



Paul Eddy

MANDRAGORA

NOWY JORK

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na tajnym posterunku obserwacyjnym amerykańskich służb celnych Grace Flint bezsilnie wpatruje się w ekran monitora, czując na sobie uważne spojrzenia mężczyzn szybko tracących wiarę w powodzenie operacji „Zielone Świątki”. I nie bez podstawy.

Jesteś gotowa na każdą ewentualność? - zapytał Cutter, kiedy dzwonił z samochodu w drodze na La Guardię. - Wszystko idzie zgodnie z planem?

I tak, i nie, panie Cutter.

Już wtedy bluzka lepiła jej się do pleców jak posmarowana klejem, gdyż błyskawicznie mnożyły się dowody na to, że poniosła druzgocącą klęskę w zakresie przewidywania tego, czego przewidzieć się nie dało.

We wszystkich prognozach pogody mówiono jedynie o możliwości przelotnego kwietniowego deszczu i krótkich porywów wiatru. Nic nie zapowiadało dokuczliwego szkwału, który nadciągnął od strony Upper Bay, przygoniwszy ze sobą kłęby gęstej szarej mgły pokrywającej teraz całą Staten Island.

W przystani jachtowej na East River płyty piany latają nad falami, na rozległym terenie Centrum Rozrywki SeaWorld nie ma żywej duszy. Kamery nie pokazują tłumów ludzi spieszących na lunch, które powinny być doskonałą osłoną dla grupy wsparcia. Zresztą samej grupy wsparcia również nigdzie nie widać.

- Krabiku, odezwij się - mówi Flint do mikrofonu słuchawek. - Gdzie jesteś?

- W środku - odpowiada agent o nazwisku Crawford, a jego słowa wzmocnione przez system nagłaśniający rozbrzmiewają w pokoju dudniącym echem. - Nie da się wyjść na dwór. Namierzyliby nas w ciągu sekundy.

- Widzisz ich?

- Nie. Nie ma nikogo. Są na łodzi. - Crawford zawiesza na chwilę głos, po czym dodaje: - Tak sędzę.

Za jej plecami ciche „Chryste!” przypomina ledwie głośniejsze westchnienie.

- Tak sądzisz?! - pyta Flint z naciskiem.

Jarrett Crawford nawet nie próbuje tłumaczyć braku pewności.

- Straciliśmy kontakt wzrokowy, kiedy nadszedł sztorm i wszyscy uciekli z nabrzeża. Gdzie indziej mogliby teraz być, Grace?

- Odwołaj akcję - przekazuje szeptem Nathan Stark, były agent FBI, wicedyrektor do spraw operacji specjalnych, a więc równy jej w służbowej hierarchii Wydziału Ścigania Przestępstw Finansowych.

Ale Flint nie zamierzała panikować. Za dobrze wiedziała, że niemal każda tajna operacja musi się otrzeć o nieszczęście, że ten dokuczliwy głos odzywający się błagalnie w jej umyśle jest czymś zupełnie normalnym, zawsze rozbrzmiewającym w takich sytuacjach. Jak niestrudzenie powtarzał Aldus Cutter, nie ma planów doskonałych. Prowadząc tego typu akcje, zawsze jest się na krawędzi, zawsze trzeba się liczyć z tym, że obiektowi podpowie coś szósty zmysł, ktoś z zespołu coś sknoci albo zawiodą urządzenia techniczne. Przy każdej okazji przypominał: Pielgrzymi zawsze muszą mieć plan awaryjny.

Flint przenosi wzrok na ekran drugiego monitora stojącego na wprost niej i pyta do mikrofonu:

- Słyszysz mnie, Lily?

Na obudowanej estakadzie łączącej SeaWorld z Największym Imperium Świata (nazwanym tak bez fałszywej skromności) kobieta, podająca się za Lily Apanę, szybko unosi prawą rękę i poprawia fryzurę - to znak, że jej miniaturowy odbiornik w kształcie kolczyka działa bez zarzutu.

Naprawdę nazywa się Ruth Apple, lecz Flint już dawno wykasowała jej personalia z komputerowej bazy danych i teraz wszyscy bez wyjątku znają ją jako Lily.

- Będiesz tam osamotniona - mówi Flint. - Nie ma nikogo ze wsparcia w promieniu dwustu metrów. Muszę mieć pewność, że godzisz się na taką sytuację.

Apana nie może odpowiedzieć, gdyż nie pozwolono jej zabrać nadajnika i ukrytego mikrofonu. Pasywny odbiornik w kształcie kolczyka i tak stwarza duże ryzyko. Flint sama najlepiej wie, że nie istnieją nadajniki, których sygnałów nie dałoby się wykryć, ani tak małe mikrofony, których nie można by zidentyfikować. Głęboka rana pod jej lewą piersią jest tego wystarczającym dowodem. Jeszcze teraz, po pięciu latach, w sennych koszmarach powracają jak żywe tamte chwile, gdy Clayton Buller znalazł mikrofon ukryty w staniku i rozgniół go na jej zębach obcasem ręcznie robionego włoskiego buta, nim przystąpił do masakrowania twarzy.

- Jeżeli nie - ciągnie Flint - zatrzymaj się, zajrzyj do torebki, jakbyś czegoś zapomniała, a potem wracaj do bazy. Zrozumiałaś?

Agentka po raz drugi poprawia włosy, dając znak, że odebrała wiadomość, lecz nawet nie zwalnia kroku. W pantoflach bez obcasów i idealnie dopasowanej jedwabnej garsonce w

ślicznym ciemnozielonym kolorze wygląda dokładnie tak, jak powinna: na urzędniczkę bankową średniego szczebla spieszącą na jakieś spotkanie.

Coraz bardziej podenerwowaną Flint mówi:

- To nie jest jednorazowa akcja, Lily... - W głębi ducha jednak czuje narastające obawy, że próbuje oszukiwać samą siebie. Chcąc je zamaskować, szybko mówi dalej, jakby tylko zawahała się na chwilę: - Bez trudu znajdziemy jakąś wiarygodną wymówkę. W końcu kto przy zdrowych zmysłach chciałby się dogadywać na wolnym powietrzu przy takiej pogodzie. Rozumiesz?

Apana ledwie zauważalnie kręci głową. Jest już przy końcu estakady i lada chwila musi przekroczyć swój Rubikon, zza którego nie będzie odwrotu.

- Uwaga! - dobiega z głośników meldunek Crawforda. - Ruch na łodzi. Ktoś wyszedł na pokład.

Flint odwraca się do siedzącego obok Rocca Moralesa, swego tymczasowego zastępcy oddelegowanego ze służb celnych.

- Muszę mieć obraz.

Ale Morales smutno kręci głową. To niewykonalne.

- Po tamtej stronie budynku mamy jedynie kamery przenośne - odpowiada, na co Flint krzywi się z niesmakiem, jakby nalegała, aby był bardziej pomocny. - Dobra, potrzebuję parę minut. Sprawdź, czy da się umieścić człowieka z kamerą na dachu.

- Lily, zwolnij - rzuca Flint do mikrofonu. - Mamy drobne kłopoty.

Apana w pierwszej chwili nie reaguje, ale minąwszy obrotowe drzwi prowadzące z estakady na galerię Światowego Imperium, przystaje, sięga do torebki i po paru sekundach wyjmuje lusterko. Spogląda jeszcze na zegarek, jakby chciała się upewnić, że może poświęcić minutę na to, by zadbać o swój wygląd.

- Sprytnie - mruczy Flint pod nosem, po czym zwraca się do Crawforda: - Kto jest na pokładzie?

- Wygląda na Hustlera - odpowiada agent, posługując się kryptonimem, który w wydziale nadano Karlowi Groberowi, obecnie najważniejszemu obiektowi ich zainteresowania. - Nie widzę dobrze, bo ma na sobie sztormiak z kapturem na głowie, ale gotów jestem się założyć, że to on.

- Co robi?

- Rozgląda się. Pewnie wypatruje Lily.

Kątem oka Flint dostrzega wysoko uniesione brwi Nathana Starka, który przysuwa sobie krzesło i siada tuż obok niej.

- Krabiku - cedzi ze złością do mikrofonu. - Kto ma to wiedzieć, jak nie ty? Więc nie opowiadaj mi, co ci się zdaje, tylko mów, co widzisz.

- Obraz będzie za pięć minut - przekazuje Morales, odkładając słuchawkę.

Za długo. Apana już była spóźniona na spotkanie z Karlem Groberem alias Hustlerem i nie mogła dłużej zajmować się swoim wyglądem, mając tak wiele do stracenia i - jak należało podejrzewać - znajdując się pod wnikliwą obserwacją wrogo nastawionych i bardzo czujnych ludzi.

Flint obróciła się z krzeselkiem i popatrzyła na opartego o ścianę Hartmanna, stojącego z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

- Feliksie, masz numer telefonu komórkowego? Przytaknął ruchem głowy.

- Chcesz, żebym zadzwonił?

- Za kilka minut, kiedy zejdziesz do atrium. Tylko dzwoń z budki.

Hartmann znowu skinął głową. Odkleił się od ściany i zamaszystym krokiem ruszył w kierunku przeszklonej dźwiękoszczelnej kabiny zajmującej róg pomieszczenia.

Jak można się było spodziewać, Nathan Stark mówi:

- Grace, musisz wyciągnąć wtyczkę.

Nie odpowiada. Ponownie włącza mikrofon.

- Lily, musisz dać nam trochę czasu. Gdy zejdziesz na dół, zadzwoni do ciebie Feliks. Odegra rolę twojego narzeczonego. Powiedz mu, że nie możesz teraz rozmawiać, bo już jesteś spóźniona na spotkanie. I masz to powiedzieć głośno i wyraźnie, żeby wszyscy dookoła słyszeli. Jasne?

Apana po raz kolejny szybko przygląda włosy i chowa lusterko do torebki.

- Ale Feliks będzie nalegał - ciągnie Flint, zerkając przez ramię, żeby się upewnić, że i on jej słucha. - Stało się coś poważnego, twoja matka miała wypadek samochodowy. Leży w szpitalu i dopytuje się o ciebie, chce się z tobą jak najszybciej zobaczyć. Rób wrażenie zdenerwowanej, jakbyś nie mogła się zdecydować. Twoja matka cię potrzebuje, ale nie możesz odwołać spotkania. Nie wiesz, co robić. Feliks będzie się z tobą spierał, iż żadne spotkanie nie może być ważniejsze od wizyty u matki w szpitalu. I tak dalej. Ruszaj.

Na ekranie monitora widać, jak Apana zaczyna schodzić po schodach.

- Potem zacznij go prosić: „Feliks, jedź do szpitala i posiedź przy niej do czasu mojego przyjazdu. Feliks, kochany, zrobisz to dla mnie?”. Wiesz, o co mi chodzi, więc improwizuj. Daj jasno do zrozumienia wszystkim, którzy będą w pobliżu, że serce ci pęka, ale za wszelką cenę pragniesz się stawić na umówionym spotkaniu. Powiem wam, kiedy skończyć przedstawienie.

Apana znika z pola widzenia kamery. Flint będzie ją mogła znów zobaczyć dopiero wtedy, gdy Morales podłączy kamerę nakierowaną na duszne atrium, w którym szesnaście wysokich palm tworzyło swoistą kolumnadę.

- Hustler rozmawia przez telefon - melduje Crawford w chwili, gdy Flint obrzuca Rocca spojrzeniem mówiącym, że naprawdę jest jej potrzebny obraz. Ten jednak odpowiada lekkim wzruszeniem ramion: Robię wszystko, co w mojej mocy.

Stark przysuwa się z krzesłem jeszcze bliżej i pochyla się, aż Flint czuje na szyi jego oddech. Cierpi na zaburzenia jelitowe, od których zawsze cuchnie mu z ust, i próbuje to maskować płynem dezynfekującym, jego zapach kojarzy jej się z cierpką wonią owoców pigwy.

- Posłuchaj, Grace. Przez tę pogodę będą mieli świetną wymówkę, żeby zaciągnąć ją na pokład. Stamtąd nie dotrze do nas ani jedno słowo i nie zdołamy jej obserwować. Zrobią z nią, co zechcą a my nie będziemy mieli najmniejszego pojęcia o tym, co się dzieje. Musisz odwołać akcję.

- Zejdź mi z oczu, Nathan.

Odwraca się gwałtownie i odpycha go z taką siłą że Stark aż marszczy brwi.

- Lily - mówi do mikrofonu. - Kiedy stamtąd wyjdiesz, musisz nakłonić Hustlera, żeby przyszedł do ciebie. Bez względu na wszystko nie wolno ci się zbliżać do jego łodzi. Rozumiesz? Za chwilę Feliks do ciebie zadzwoni i pierwsza rzecz, jaką chcę usłyszeć, to „Tak, rozumiem”. Inaczej przerywam operację. Jasne? Cokolwiek się wydarzy, nie wchodź na pokład łodzi.

Skinieniem głowy daje znak Hartmannowi, który czeka już w kabinie ze słuchawką w ręku, po czym rozkazuje Moralesowi:

- Przełącz rozmowę na głośnik.

Kiedy Feliks nakreca numer, Flint wciska klawisze na konsoli, żeby przekaz dotarł do wszystkich dwunastu agentów wchodzących w skład grupy wsparcia poza Apaną.

- Uwaga, panowie. Postawmy sprawę jasno. Zamierzam właśnie narazić na olbrzymie ryzyko agentkę federalną jedną z nas, waszą koleżankę. Na pewno zasługuje na chwilę waszego skupienia.

- Grace - mówi Stark, podnosząc się z krzesła. - Lily jest za mało doświadczona, żeby sama dać sobie radę. Ty byś to zrobiła, ale nie ona.

- Słucham - rozlega się z głośników wzmocniony głos Apany.

- Lily? Tu Feliks.

Flint odwraca się i patrzy na Hartmanna obserwującego ją przez szklaną ściankę kabiny.

- Tak, rozumiem - mówi agentka.

Stark otwiera już usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale Flint przerywa mu ostro:

- Nathan, to nie twoja operacja.

- Nie mogę teraz rozmawiać, Feliks. Spóźnię się na spotkanie.

- Lily, posłuchaj. Twoja matka miała wypadek.

- Co?

- Byłem jeszcze w domu, kiedy nadeszła wiadomość. Uderzył ją...

- W jakim jest stanie? - przerywa mu Lily podniesionym głosem.

- Uspokój się. Dzwonię ze szpitala. Właśnie rozmawiałem z lekarką. Życiu twojej matki nic nie zagraża, ale...

- O mój Boże! A więc jest ciężko ranna?

- Powiedziałem, że nic jej nie zagraża, Lily. Ale jesteś jej potrzebna. Musisz tu jak najszybciej przyjechać.

Hartmann umiejętnie improwizuje dalej na temat podsunięty przez Grace, a i Apana nieźle wciela się w rolę na użytek osób znajdujących się w pobliżu. Stark jednak kręci głową i mruczy posepnie:

- Dzwonię do Cuttera.

- Śmiało - odpowiada Flint, odwracając się od niego i znów spoglądając błagalnie na Moralesa.

- Kamera jest już na stanowisku - oznajmia Rocco. - Zaraz będziesz ją widziała.

Na pierwszym monitorze pojawia się obraz tak mglisty jak niebo nad Staten Island. „O dzień za późno i dolara za mało”, jak często mawia Cutter.

- Zrób coś z tym, Rocco - mówi z naciskiem Grace, usilnie się powstrzymując, żeby nie dodać: Natychmiast!

Jej myśli uparcie wracają do Starka, który na uboczu rozmawia cicho przez telefon, ale odsuwa je od siebie i koncentruje się na rozmowie między Hartmannem i Apaną - nawet nie na jej treści, lecz na tonie. Musi zakładać, że któryś ze zbirów Hustlera kręci się w tłumie zapelniającym atrium i obserwuje Lily, wypatrując uważnie śladów zastawionej pułapki. Jeśli zna się na swojej robocie, co jest prawie pewne, nie spuszcza agentki z oka i pewnie lada chwila powiadomi swojego mocodawcę, że kobieta rozmawia przez telefon komórkowy. Co więcej, doskonale wiadomo, że połączenia komórkowe łatwo jest przechwycić, można więc śmiało zakładać, że Hustler ma na swoim jachcie specjalistyczny sprzęt i błyskawicznie

dostroi się do odpowiedniej częstotliwości. Zatem nie jest wykluczone, że i on - a raczej któryś z jego apostołów, posługując się nazewnictwem Cuttera - również wyłowi każde słowo.

- Nie mogę uwierzyć swoim uszom, Lily! - mówi Hartmann, doszedłszy do tego miejsca wymyślonej historyjki, w której Apana odmawia natychmiastowego przyjazdu do szpitala. - Przecież tu idzie o twoją matkę!

Feliks jest Niemcem oddelegowanym z Bundesnachrichtendienst i chociaż mówi płynnie po angielsku, ma trochę kłopotów z potocznymi zwrotami. Poza tym oburzenie w jego głosie jest trochę nazbyt teatralne, wymuszone.

- Proszę, Feliks - odpowiada Apana. - Naprawdę muszę być na tym spotkaniu. Myślisz, że godzina w tę czy w tamtą stanowi aż taką różnicę?

- A co ja powiem twojej matce?

- Sama nie wiem... Powiedz, że się nie dodzwoniłeś, że miałam wyłączony telefon. Albo że utknęłam w korku. Wszystko jedno. Potrzyмай ją za rękę do czasu mojego przyjazdu. Proszę.

Hartmann milczy, jakby wyczerpał wszystkie argumenty. Za szklaną ścianką podnosi rękę w oczywistym geście: Co dalej?

W dźwiękoszczelnej kabinie nie może jej słyszeć, więc Flint bezgłośnie przekazuje mu wyraźnymi ruchami warg: Który szpital? Zapytaj ją!

Pojmuje błyskawicznie.

- Dokąd chcesz przyjechać, Lily? Przecież nawet nie wiesz, do cholery, skąd dzwonię.

- No dobrze - mówi Apana spiętym głosem, jakby jej cierpliwość rzeczywiście była na wyczerpaniu. - Więc gdzie jesteś? Który to szpital?

- Teraz to już nieważne - odpowiada Hartmann, chcąc zyskać kolejne cenne sekundy. - Powinnaś o to zapytać na samym początku.

- Do diabła, Feliks, nie mam czasu na twoje wygłupy. Chcesz kłótni? Proszę bardzo. Ale nie teraz. Więc lepiej powiedz...

- Co cię ugryzło? To naprawdę niewiarygodne!

Na drugim monitorze pojawia się agentka nerwowo drepcząca w kółko po atrium, przyciskająca aparat komórkowy do ucha i niecierpliwie wymachująca wolną ręką w powietrzu.

Miniaturowy odbiornik ma w drugim uchu, więc Flint włącza mikrofon i przekazuje półgłosem:

- Świetna robota.

W kierunku Hartmanna wyciąga rękę z kciukiem wyprostowanym ku górze, po czym zaczyna nią kręcić młynka: Mów dalej.

Tylko jak długo można to jeszcze ciągnąć, skoro nerwowe poczynania Moralesa, strzelanie przełącznikami i kręcenie gałkami wciąż nie przynoszą rezultatu? Tymczasem Nathan Stark rusza w jej kierunku i z posępną miną wyciąga do niej aparat komórkowy.

- Cutter chce z tobą rozmawiać - mówi oschle, nie pozwalając jej niczego wywnioskować ze swego tonu.

Czuje bolesne ściskanie w dołku, biorąc od niego telefon, ale odzywa się całkiem spokojnie, żeby nie zdradzić napięcia.

- Słucham.

- Nathan mówi, że wszystko się popieprzyło - zaczyna szef, jak zwykle nie bawiąc się w uprzejmości. - Wsparcie utknęło i nie masz żadnego planu awaryjnego.

- To nieprawda, panie Cutter.

- Wspaniale. Miło mi to słyszeć. Więc co to za plan? Zechcesz mnie z nim zapoznać, Flint?

Wyczuwalny teksaski akcent zdradza że i Cutter się denerwuje.

Dostrzegłszy, że Stark świdruje ją spojrzeniem, odwraca się do niego plecami i zamyka oczy, chcąc się odciąć od coraz ostrzejszej wymiany zdań padającej z głośnika.

- To prawda, że wsparcie nie jest tak blisko, jak bym sobie tego życzyła, ale czuwa w gotowości. Dotrze do Apany najdalej w ciągu pół minuty, jeśli zajdzie taka konieczność. Już jej przykazałam, żeby pod żadnym pozorem nie wchodziła na pokład jachtu, i zaraz przypomnę jeszcze, że gdyby Hustler podjął jakąś akcję, ma natychmiast paść na ziemię i zacząć wrzeszczeć, ile sił w płucach.

- Ustawiłaś snajpera na pozycji?

- Nie - odpowiada, chociaż wcześniej już to wyjaśniała. - Powinien pan pamiętać, że zrezygnowaliśmy ze snajpera, ponieważ kręcą się tu setki cywilów i w razie strzelaniny ktoś mógłby ucierpieć. Zresztą, teraz na to za późno.

Cutter wydaje z siebie nieartykułowany pomruk mający zapewne oznaczać: „Jasne”. W tle słychać zapowiedź rozlegającą się w hali lotniska. Widocznie szef dopiero co wylądował.

- Więc Hustler będzie miał pod dostatkiem czasu, żeby zrobić z Lily, co mu się żywnie podoba?

- Jak i na to, żeby się zastanowić nad swoją przyszłością, panie Cutter. Jeśli podejmie jakieś wrogie działania, w jednej chwili będzie miał na karku dwunastu uzbrojonych agentów federalnych. To powinno przyciągnąć jego uwagę.

- Czy Lily jest uzbrojona?

- Oczywiście, że nie - rzuca ostro Flint i od razu zaczyna tego żałować. Bierze głęboki oddech i dodaje znacznie łagodniejszym tonem: - Przecież występuje w roli urzędniczki bankowej.

- Czyżby? Ma niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu i waży pięćdziesiąt pięć kilo. Do tego ze strachu na pewno poci się jak mysz. Co zmusi Hustlera, żeby nie dał jej po głowie i nie zaciągnął siłą na pokład jachtu?

- Nie sędzę, żeby próbował czegoś takiego, chyba że ostatnio nabrał skłonności samobójczych.

- Nie rozśmieszaj mnie, Flint. Ma na pokładzie swoich apostołów?

- Tak.

- Uzbrojonych?

- Pewnie tak.

- Więc może użyć Lily jako żywej tarczy i wycofywać się pod osłoną ognia zaporowego? Załóżmy najgorsze, że zaciągnie ją siłą na jacht i podniesie kotwicę. Jaki masz plan awaryjny na taką okoliczność?

Flint była na to przygotowana.

- Nie odpłynię nawet mili - mówi stanowczo. - Po obu stronach wyjścia z przystani czekają na mój rozkaz dwa ścigacze nowojorskiej policji wodnej. Jeśli im się nie uda zatrzymać jachtu, w dole rzeki stoi jeszcze kuter straży przybrzeżnej, który jest uzbrojony w działko, panie Cutter. Gdyby Hustler zamierzał stawić zbrojny opór...

- I myślisz, że Lily przetrzyma ostrzał z działka?! - przerywa jej gwałtownie.

Flint mimowolnie głośno wzdycha.

- Zawsze istnieje pewne ryzyko, panie Cutter. Przed akcją dawałam Lily możliwość wycofania się, ale nie chciała o niczym słyszeć. Sama doskonale wie, na co się naraża.

- Czyżby? Jesteś tego pewna? - Zawiesza na chwilę głos, po czym dodaje ciszej: - Chyba nie zamierzasz pochować kolejnego pielgrzyma, prawda, Flint?

To cios poniżej pasa. Nie ulega wątpliwości, że szef ma na myśli Kevina Hechtera z Departamentu Skarbu, który sam wyruszył w podróż samolotem, mimo że ona miała mu towarzyszyć. Po tym, jak na pokładzie learjeta eksplodował podłożony ładunek semteksu,

odnaleziono tylko urwaną rękę. Nie było żadnych innych szczątków, które można by włożyć do trumny. Grace sama zidentyfikowała zabitego po ślubnej obrączce na palcu.

- Nie - odpowiada równie cicho.

- Nathan jest zdania, że należy przerwać akcję i poczekać na następną okazję.

- Nie będzie drugiej okazji, panie Cutter. Hustler jest zbyt przebiegły. Jeśli puścimy go teraz wolno, już nigdy nie zdołamy się do niego zbliżyć.

Na linii zapada cisza, najwyraźniej szef ciągle się waha. Flint otwiera oczy w samą porę, żeby dostrzec nerwowe znaki Hartmanna który z kabiny sygnalizuje, że kończy mu się repertuar.

- Grace - odzywa się w końcu Cutter. - Sądziś, że Lily da sobie radę?

- Tak, oczywiście. Inaczej w ogóle by jej tu nie było.

- W takim razie kontynuujcie. Nadal masz moje przyzwolenie.

Obraz na monitorze wciąż jest nieczytelny, ale nie ma już czasu. Flint z trudem przełyka ślinę i daje Hartmannowi znak, na który czekał.

- W porządku, Lily - dolatuje z głośnika jego ton pełen udawanej rezygnacji. - Idź na to swoje spotkanie...

ROZDZIAŁ DRUGI

W pełnej goryczy atmosferze po zakończeniu operacji „Zielone Świątki”, po tym, jak zwłoki Ruth Apple, Lily, zostały złożone na obskurnym cmentarzyku w Boca Raton, dwaj prawnicy z Departamentu Sprawiedliwości, dwaj ponuracy, Murtagh i Mosley, przylecą z Waszyngtonu do Nowego Jorku, aby z zeznań Aldusa Cuttera dowiedzieć się, że ryzyko jest nieodłącznym elementem każdej wojny, którą czasami się przegrywa właśnie z powodu jego natury.

W gabinecie usytuowanym za poszarzałą ceglana fasadą Gmachu Marscheidera górującego nad placem ONZ będą próbowali wykorzystać, jak im się zdaje, chwilę jego porażki, wracając raz po raz do nieszczęśliwego sformułowania „w takim razie”, które będą wskazywać zarówno w spisany protokole, jak i nagraniu rozmowy telefonicznej przeprowadzonej w czasie akcji: „W takim razie kontynuujcie”.

Na wiele sposobów, aż do znudzenia, podchwytliwymi pytaniami będą się starali wykazać, iż to sformułowanie w ostatecznym zezwoleniu na kontynuację tragicznie zakończonej operacji dowodzi, że Cutter opierał się przede wszystkim na ocenie sytuacji

dokonanej przez Flint, lekceważąc powtarzane na okrągło uzasadnione zastrzeżenia wicedyrektora Nathana Starka.

- Skończcie z tym wreszcie - burknie Cutter, mając w końcu dość ich insynuacji. - „Zielone Świątki” były w całości operacją Flint, to ona ją zaplanowała i przeprowadziła. Rozważyła możliwe ryzyko i doszła do wniosku, że warto je podjąć, a ja przyznałem jej rację. Szczerze mówiąc, dzisiaj zdecydowałbym tak samo. Skąd mogliśmy wiedzieć o tym przeklętym bradleyu? Nawet Stark nic o nim nie wiedział.

- Powinniście go zauważyć na dachu - zaprotestuje Murtagh, podczas gdy Mosley natychmiast zacznie przewijając kasetę wideo w poszukiwaniu ujęcia, które mogłoby to udowodnić.

- Był ukryty pod brezentową plandeką, w miejscu, gdzie zwykle znajduje się tratwa ratunkowa - odpowie stanowczo Cutter i robiąc niecierpliwy ruch ręką, rzuci do Mosleya: - Nie ma tego na taśmie, bo przenośna kamera nie działała, jak należy, za późno udało się uzyskać z niej wyraźny obraz. Ale wszystko dokładnie widziało dwunastu naszych ludzi z grupy wsparcia, a nawet trzynastu, wliczając w to Flint. Te lotry po prostu załatwiły nas bez pudła. - Uśmiechnie się smutno. - Niekiedy tak się zdarza.

Zanim Murtagh i Mosley zaczną się godzić z faktami, gorączkowo sporządzając notatki, Cutter doda z naciskiem:

- Moja zawodowa odpowiedzialność...

Na brzmienie tych słów obaj zmarszczą brwi, jako że pracują w Wydziale Odpowiedzialności Zawodowej, który w Departamencie Sprawiedliwości stoi na straży regulaminów, procedur i etyki, a w wypadku porażki powinien wskazać winnego. Teraz, gdy rodzina Ruth Apple zamierzała wystąpić do sądu przeciwko władzom federalnym i domagać się trzech milionów dolarów odszkodowania za „straty moralne” wobec „poważnych niedociągnięć”, które doprowadziły do śmierci agentki, w wydziale musiała zapanować pełna mobilizacja.

- Moja zawodowa odpowiedzialność - powtórzy Cutter - nie obejmuje podważania opinii podwładnych działających w terenie. Wystarczająco dbam o to, aby byli kompetentni. Nadzoruję prowadzone przez nich operacje, troszczę się, aby mieli wszystko, czego potrzebują ale podczas samej akcji zostawiam im wolną rękę. „Zielone Świątki” były operacją niemal podręcznikową przebiegającą bez zakłóceń, jeśli pominąć samo zakończenie.

- Aha - mruknie Mosley, w zamyśleniu stukając o zęby skuwką wiecznego pióra. - Jednakże tym razem akcją kierowało dwoje pańskich podwładnych, którzy w dodatku nie

zgadzali się ze sobą. Rozumiem, że nominalnie dowodziła Flint, nie rozumiem tylko, dlaczego zlekceważył pan ostrzeżenia agenta Starka.

- W moim zespole nie może być mowy o żadnym nominalnym dowództwie - padnie szybka odpowiedź. Mosley w milczeniu przełknie tę uwagę, Cutter będzie więc kontynuował:
- Potrzebujecie ważniejszych powodów? Proszę bardzo. W podobnych sytuacjach zawsze przedłożę opinię Flint nad zdanie Starka. Nathan jest dla mnie bardzo cennym pracownikiem, lecz w zakresie tajnych operacji w żadnym stopniu nie może się z nią równać. Wiecie dlaczego?

Mosley tylko zerknie na Murtagha który mruknie:

- Proszę powiedzieć.

- Ponieważ prowadziła już więcej akcji, niż zdołałbym wyliczyć. Tymczasem Nathan z największym ryzykiem zetknął się podczas służby w FBI, kiedy musiał się włamać do domu jakiegoś podejrzanego, żeby założyć podsłuch.

Powiódłszy spojrzeniem po zasępionych minach i zmarszczonych brwiach swoich gości, zapyta wprost:

- O co chodzi? Podejrzewacie, że zrobił to nielegalnie? - Uśmiechnie się ironicznie. - Możecie mi wierzyć, że Nathan nie pójdzie się odlać, nie mając na to zgody przełożonego.

Spoważnieje szybko i doda ciszej:

- Poza tym Stark nie ma szóstego zmysłu Flint. Nigdy nie był na jej miejscu i nie ma pojęcia, kiedy można przycisnąć, a kiedy trzeba popuścić. Każda tajna operacja, a więc niemal cała nasza działalność, opiera się na jakiejś mistyfikacji, która może wyjść na światło dzienne i się na nas zemścić. Wiecie, na czym to polega? Ciągłe stawiamy domki z kart na ruchomych piaskach, doskonale zdając sobie sprawę, że gdy zaczną się chwiać, dojdzie do czegoś, o czym nie uczą w Quantico.

- To jednak nie znaczy, że Flint jest nieomylna - wtrąci Murtagh.

- Prawie.

- Czy na podstawie jej wcześniejszych działań - powie ani trochę niespieszony agent - nie można jednak wnioskować, że jest uparta, może nawet lekkomyślnie dąży do wyznaczonego sobie celu?

Murtagh popatrzy w niebieskie oczy Cuttera, ale w ich lodowatym spojrzeniu nie odczyta pogardy.

- Niewykluczone. Znać jej akta i zapewne podejrzewacie, że Flint do pewnego stopnia ma skłonności samobójcze. Nie wy pierwsi doszliście do takiego wniosku, ale jesteście w błędzie. Źle interpretujecie to, co jest przejawem żelaznych nerwów i

wyjątkowego sprytu. Flint doskonale wie, jak daleko może się posunąć i kiedy się wycofać. Właśnie dlatego odnosi w tej pracy takie sukcesy.

- Aha - mruknie po raz drugi Mosley, co tylko bardziej zirytuje Cuttera. - Niemniej funkcja tajnego agenta terenowego to nie to samo, co kierowanie dużym zespołem w trakcie operacji, prawda? Zwłaszcza że akcja niezbyt ryzykowna dla Flint może być bardzo niebezpieczna dla kogoś innego, nie tak wprawnego. Albo raczej mniej doświadczonego. Czy to nie jest przypadkiem ten wniosek, do którego powinniśmy wspólnie dojść?

Popatrzy na swojego kolegę kartkującego protokół z zapisu rozmów. Odnalazłszy żądany fragment, Murtagh odchrząknie i doda:

- Stark do Flint, cytuję dosłownie: „Lily jest za mało doświadczona, żeby sama dać sobie radę. Ty byś to zrobiła, ale nie ona”. Koniec cytatu.

- Nie sądzi pan, że miał rację? - wtrąci Mosley.

Cutter pochylił się jeszcze niżej nad biurkiem i wycodził prosto w twarze agentów:

- Pozwólcie, że coś wam wyjaśnię na temat Ruth Apple. Kiedy Flint ją poznała, Ruth była tajną agentką Agencji do Zwalczania Narkotyków i musiała być dobra w tej robocie, bo gdyby było inaczej, już dawno gryzłaby ziemię. Niemal przez rok rozpracowywała od środka kartel Raula Gonzaleza z Miami i poradziła sobie na tyle, żeby później złożyć zeznania przed sądem. Mimo to po przejściu do nas została skierowana na dodatkowe szkolenie, a Flint zajęła się dopracowywaniem szczegółów, nastroiła ją jak skrzypce. Tylko dzięki niej Lily Apana stała się jedną z naszych najlepszych agentek. I to Flint w najdrobniejszych detalach stworzyła jej grunt do roli, jaką odegrała w operacji „Zielone Świątki”. To, co Nathan powiedział, to czysta bzdura. Ruth była wystarczająco doświadczona i świetnie przygotowana do tej akcji.

- W świetle tego, co się stało - odpowie pośpym tonem Mosley - rzekłbym, że jednak niewystarczająco. Niestety.

W kręgach federalnych stróżów prawa Aldus Cutter słynie z całkowitego braku tolerancji dla tego, co sam nazywa „poniedziałkowym rannym obijaniem łokci”, i wykorzystuje niemal każdą okazję, by się temu przeciwstawiać, tym razem jednak nie wybuchnie. Odchylił się tylko w swoim fotelu, splecił dłoń za głową obrzucił Murtagha i Mosleya jadowym spojrzeniem, po czym zapytał:

- Coś wam powiem, chłopcy. Całe doświadczenie okazuje się gównem, kiedy przeciwnik wtyka wam w usta lufę nabitego magnum.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rankiem następnego dnia po zabójstwie Ruth Apple Grace Flint siedzi zgarbiona na twardej poduszce kanapy w gabinecie Aldusa Cuttera i patrzy na zbliżenie swojej twarzy na płaskim ekranie monitora zawieszzonego na ścianie.

Na zapisie wideo widać w jej twarzy wielkie ożywienie, oczy błyszczą usta poruszają się szybko, wydając niesłyszalne polecenia. W rzeczywistości te same oczy są mętne z przemęczenia, a pobladła twarz zastygła w bolesnym wyrazie niczym maska. Na ubraniu Grace czernieją plamy zakrzepłej krwi Ruth.

Cutter siedzi przy małym stole konferencyjnym, między Jarrettem Crawfordem a Rocco Moralesem. Czwarte odsunięte krzesło jest puste, gdyż Feliks Hartmann woli stać przy oknie i spoglądać z góry na plac ONZ po przeciwnej stronie Pierwszej Alei, po którym ludzie przypominający stąd miniaturowe laleczki przemykają w strugach ulewnego deszczu.

Kiedy dzwoni telefon, Cutter nerwowo łapie za słuchawkę.

- Prosiłem, żeby nie przeszkadzać. - Przez chwilę słucha w skupieniu i mówi ciszej: - W porządku, połącz. - Zakrywa mikrofon dłonią i zwraca się do Moralesa: - Zatrzymaj to, dobrze? Znaleźli helikopter.

Obraz na monitorze zastyga, ukazując Flint patrzącą prosto w obiektyw, a w dodatku Morales w zamyśleniu kręci gałką powiększenia, aż jej twarz wypełnia cały ekran. Doskonale widać błyski wściekłości w oczach, rozszerzone nozdrza i lekko rozchylone wargi, jakby zamierzała krzyknąć na kogoś.

- Słucham cię, Nathan - mówi Cutter do słuchawki i pośpiesznie zaczyna coś notować lewą ręką.

Grace, która obojętnie przyjmuje wszystko, co się dzieje w pokoju, zauważa ze zdziwieniem, że szef ciągle nosi obrączkę na palcu, chociaż wszyscy już wiedzą, że jest w trakcie rozwodu, a według plotek krążących po wydziale żona zamierza się z nim wyklócać przed sądem o każdy drobiazg.

Podnosi się ociężale z kanapy i z nie mniejszym zdumieniem zauważa, że ma straszliwie wymiętą spódnicę. Przeciąga rękoma po biodrach w bezskutecznej próbie jej wygładzenia i odruchowo krzywi się z bólu w lewej nodze, aż zatyka jej oddech w piersi. Crawford dostrzega to, zrywa się z miejsca i podchodzi do niej.

- Wszystko w porządku? - pyta. Flint uśmiecha się smutno i kłamie:

- Nic mi nie jest.

- Wyglądasz naprawdę kiepsko. Koniecznie musisz się z tym zgłosić do jakiegoś specjalisty, Grace.

Ma na myśli jej poobijaną pieszczel i spuchnięte kolano. W izbie przyjęć szpitala Świętego Wincentego, już po ogłoszeniu zgonu Ruth Apple z powodu rozległych obrażeń wewnętrznych, lekarz dyżurny po namyśle zaproponował jej prześwietlenie kolana, ale się nie zgodziła. Młodemu interniście pozwoliła jedynie obejrzeć kark i obojczyk, gdzie gruba pręga z minuty na minutę rozlewała się jak paskudna plama, przybierając odcienie czerwieni, fioleto i błękitu. Obmacał ją delikatnie i orzekł, że nic nie wskazuje na to, aby miała złamaną kość.

Teraz kładzie dłoń na ramieniu kolegi, dziękując mu za troskę, lecz on reaguje jeszcze gwałtowniej.

- Za co chcesz się ukarać? - rzuca ze złością półgłosem. - Myślisz, że ci to w czymś pomoże?

Flint kręci głową, jakby pragnęła wszystkiemu zaprzeczyć.

- To nie była twoja wina, Grace - mówi z naciskiem Crawford. - Jeżeli kogokolwiek należy winić, to już prędzej mnie. - Flint obrzuca go karcącym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć: „Nie bądź śmieszny!”. On jednak ciągnie dalej: - To przecież ja pełniłem funkcję pierwszego strzelca, prawda? I ja byłem najbliżej. Powinienem być zdjąć tego dupka, kiedy tylko nadarzyła się okazja. A przecież miałem doskonałą okazję. Dobrze o tym wiesz.

Grace znów tylko kręci głową. Chciałaby go uciszyć, ale nic sensownego nie przychodzi jej na myśl. Poza tym wyczuwa, że Crawford jest coraz bardziej wściekły, tak samo na siebie, jak i na nią, bo w chwilach złości bierze górę jego irlandzki temperament.

- Nie minęła nawet doba, a już ze sto razy przeżywałem od nowa to, co się stało. Miałem czyste pole, mogłem mu wpakować kulkę w łeb. Na pewno bym nie chybił. A jednak się zawahałem. To ja schrzaniłem robotę, a nie ty, więc przestań się zadręczać, do cholery.

- Krabiku - odzywa się w końcu cicho. - To była moja akcja.

- Nie wciskaj mi kitu, do diabła! - wybuchła Crawford. - Myślisz, że czekałem na twój rozkaz?!

Cutter odsuwa słuchawkę od ucha i rzuca ze złością:

- Hej, pielgrzymi! Ciszej trochę!

Crawford unosi rękę w przeproszającym geście.

- Wiesz co, Grace? - mówi niemal szeptem, biorąc ją pod rękę i odwracając tyłem do szefa. - Jest w tobie coś, czego ciągle nie rozumiem. Jesteś chyba najbardziej przebiegłą agentką z jaką pracowałem, chociaż jesteś Angielką, więc wyjaśnij mi coś. Jak to jest, że zawsze bierzesz na siebie winę, kiedy tylko jakaś akcja się w gównu obróci? Czyżby wyrzuty

sumienia nakreślały cię do dalszej pracy i podbudowywały twoje ego? Mnie możesz powiedzieć szczerze, Grace. Z jakiego powodu uważasz się za tak cholernie ważną?

Flint delikatnie uwalnia się z jego uścisku. Woli tego nie mówić na głos, lecz myśli: Ruth była moją przyjaciółką.

- Hustler zniknął - oznajmia grobowym głosem Cutter, odkładając słuchawkę. - Przepadł bez śladu.

Na jego polecenie Rocco Morales znów uruchomił magnetowid, a Flint w końcu zajęła miejsce przy stole. Tylko Feliks Hartmann wciąż wygląda przez okno, jakby ostentacyjnie nie chciał mieć nic wspólnego z tym, co się rozgrywa na ekranie. Zatem umyka mu moment, kiedy obejmuje pierwszoplanową rolę w odtwarzanym dramacie: pojawia się w polu widzenia kamery i pochyla nad ramieniem Flint, oparty o brzeg konsoli. Widać, jak zaczyna poruszać ustami. Cutter szybko zwraca się do Moralesa:

- Możesz dołączyć fonię?

- Nie jest zsynchronizowana. Nie miałem na to czasu.

- Nie szkodzi.

Rocco ponownie zatrzymuje odtwarzanie, wyciąga spod stołu wielki kanciasty magnetofon szpulowy, ustawia go przed sobą i wkłada na głowę słuchawki.

- Za minutę będę gotów.

Urządzenie przewija taśmę bardzo szybko, przy każdym spowolnieniu wirujących szpul rozlega się głośny szum mechanizmu hamującego.

Uprzedzając zapis, Flint odzywa się cicho:

- Feliks zapytał mnie wtedy, czy jestem pewna, że chcę kontynuować akcję.

Cutter kiwa głową, jakby się tego domyślał.

- I co odpowiedziałaś?

- Że nie bardzo, ale jest już za późno, by ją przerwać.

- Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

Grace milczy przez chwilę, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć. Wreszcie wyjaśnia z ociąganiem:

- Wciąż nie mieliśmy obrazu jachtu, przez co atmosfera stawała się nerwowa. - Szefer nadal spogląda na nią pytającym wzrokiem, więc dodaje: - Poza tym, chyba już wtedy miałam przeczucie, że stanie się coś złego.

- Nie zmyliło cię - rzuca takim tonem, jakby wymierzał jej policzek.

- Skąd mogłam to wtedy wiedzieć? - odpowiada niepewnie Grace.

Zapada niezręczne milczenie, które wreszcie przerywa Morales:

- Gotowe. - Ściąga z głowy słuchawki i przełącza magnetofon na głośnik. -

Przynajmniej z grubsza.

Obraz na monitorze znów ożywa. Flint odwraca się w kierunku Hartmanna. W pokoju padają jej słowa, niezbyt dokładnie zsynchronizowane z ruchem jej warg na ekranie:

- Chryste! To pułapka!

Spoglądając teraz na ten obraz, powtarza w myślach pytanie: Jak się dowiedzieli?

Na pierwszym monitorze w sali dowodzenia wciąż nie ma obrazu. Głośniki przekazują wzmocniony, dudniący okrzyk Crawforda:

- Wyciągnął pistolet!

Flint zrywa się z miejsca jak oparzona, a Hartmann gwałtownie uskakuje jej z drogi.

- Nathan, zajmij moje miejsce! - krzyczy Grace.

Ale to niepotrzebne, gdyż Stark już siedzi przed konsolą.

- Ten skurwysyn wetknął jej lufę w usta! - wrzeszczy Crawford.

- Zdejmij go! - rozkazuje Nathan.

- Ciągnie ją w kierunku jachtu!

- Ruszać! Wszyscy! Zlikwidować obiekt! - Stark odwraca się, najwyraźniej do

Moralesa, i krzyczy: - Dawaj ten cholerny obraz! I to już!

Spoza kadru dobiegają odgłosy gorączkowej bieganiny, jakieś stuki, gwar podnieconych głosów. Jedynym rozpoznawalnym elementem jest głośny trzask zamykanych drzwi.

Chwilę później z głośnika padają ogłuszające okrzyki Crawforda:

- Agent federalny! Z drogi!

Krótkofalówka przekazuje do centrum dowodzenia nawet jego przyspieszony oddech podczas biegu. Morales sięga do pulpitu i przełącza obraz na monitorze. Statyczny widok pokoju ustępuje miejsca panoramie atrium, w którym tłum zwiedzających rozpierzcha się niczym stado spłoszonych gołębi przed dwunastoma uzbrojonymi agentami pędzącymi w kierunku wyjścia prowadzącego na przystań. Crawford ze swojego stanowiska na końcu antresoli ma do pokonania najdłuższy odcinek i dopiero po chwili ukazuje się na schodach, przeskakuje po kilka stopni naraz, klucząc między turystami. Rocco pokazuje przybliżenie jego wykrzywionej z wysiłku twarzy, bez trudu można z ruchu warg odczytać wykrzykiwane słowa, nim sekundę później padną z magnetofonu:

- Z drogi, do cholery! Spieprzać!

Jego głos, przekazywany przez krótkofalówkę do systemu nagłaśniającego, był rejestrowany w sali dowodzenia, toteż głośne okrzyki przypominają teraz dobiegający z oddali huk wystrzałów.

Obraz znów zostaje przełączony na inną kamerę. Teraz widać obudowaną kładkę łączącą dwa budynki. Z holu SeaWorld jak bomba wypada Flint, odprowadzana zdumionymi spojrzeniami dwóch umundurowanych ochroniarzy. Zatrzymuje się na chwilę, zrzuca buty i rusza jeszcze szybciej. Za nią w drzwiach pojawia się pędzący Hartmann.

Tej scenie nie towarzyszy dźwięk, z magnetofonu wciąż dolatują odgłosy z krótkofalówki Crawforda: seria z pistoletu maszynowego, brzęk tłuczonego szkła, piski przerażonych kobiet w atrium.

- Strzelają z łodzi! - wykrzykuje Crawford. Spoza kadru słychać głos Starka:

- Niech cię szlag trafi, Morales!

A po chwili cichą odpowiedź Rocco:

- Już jest obraz. Przełączam.

Ekran monitora w gabinecie Cuttera robi się całkiem biały. Po chwili na ułamek sekundy ukazuje się panorama placu przed budynkiem, która zaraz niknie w masie czarnych poziomych linii. Z głośnika magnetofonu dobiega ogłuszający huk dający się łatwo zinterpretować jako walnięcie pięścią Starka w pulpit, na którym stoi mikrofon. Ponad przybierające na sile wycie syren wybija się druga seria strzałów z broni maszynowej, potem trzecia, dłuższa i głośniejsza, wreszcie donośny okrzyk Crawforda:

- Wstrzymać ogień!

Zaraz potem melduje zadyszczanym głosem:

- Wykorzystuje ją jak żywą tarczę i wycofuje się nabrzeżem! Są już cholernie blisko jachtu! Powinienem był go zdjąć, jak tylko miałem ku temu okazję!

- „Rzeka Jeden”, tu „Zielone Świątki” - dobiega zza kadru głos Starka. - Uwaga.

Czerwony alarm. Wzięli zakładnika, jednego z naszych. Potwierdzić odbiór.

Poziome pasy na ekranie powoli rzędną, ukazuje się widok jak zza krat. Na mokrym od deszczu placu nie widać żywej duszy.

Z głośnika magnetofonu dolatuje głośny trzask i przebijający się przez szum zakłóceń głos melduje:

- Tu „Rzeka Jeden”. Zrozumiałem, „Zielone Świątki”. Jesteśmy na nasłuchu i monitorujemy cały ruch w wyjściu z przystani. Odbiór.

- Bądźcie w pogotowiu - odpowiada Stark.

- Przyjąłem. Wszystkie patrole w pogotowiu.

Morales szybko dzieli ekran na cztery okna, w których jak w kalejdoskopie przewijają się obrazy nieudanego zakończenia operacji. W lewym górnym rogu widać Starka wpatrującego się w monitor i rozmawiającego przez telefon. Po sąsiedzku kamera skierowana na przeszkloną kładkę ukazuje Flint, która, nawet nie zwalniając kroku, dopada obrotowych drzwi prowadzących do Światowego Imperium. Sekundę później pojawia się w trzecim oknie z widokiem galerii wewnątrz budynku, przecina ją błyskawicznie, wbiega w pole widzenia czwartej kamery i pędem zbiega po schodach do atrium. Tak samo z okna do okna przebiega Hartmann, pozostający kilkanaście metrów za nią.

- Wciągnął Lily na pokład! - melduje Crawford, przekrzykując kolejną serię strzałów.
- Wpycha ją po drabince na mostek!

Flint jeszcze przyspiesza. Gna przez atrium niczym plotkarka, przeskakuje nad rozciągniętymi na podłodze przerażonymi turystami, kierując się w stronę przeciwnego wyjścia. W pierwszym oknie pojawia się wreszcie czysty i klarowny widok placu przed budynkiem, ale jest mało szczegółowy. We mgle jedynie mającą sylwetki jachtów zacumowanych w odległej przystani.

Z głośnika magnetofonu dobiega głośny huk pojedynczego wystrzału i świst rykoszetującego pocisku.

- Jezu! - krzyczy zdumiony Crawford. - Co ten skurwiel zamierza?

- Co tam się dzieje? - pyta Stark. - Nadal nic nie widzę. Na ekranie też trudno cokolwiek dostrzec.

- Mają coś na dachu nadbudówki - mówi Crawford. - Nie widzę dokładnie, ale to wygląda...

Urywa, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Trudno powiedzieć, czy operator przenośnej kamery domyślił się intencji ludzi komunikujących się przez radio, lecz niemal w tej samej chwili obraz w pierwszym oknie zaczyna się błyskawicznie rozrastać, jakby zdjęcia były robione z obiektu przelatującego z niezwykłą szybkością nad placem. Na krótko w polu widzenia ukazuje się nadbudówka dużego jachtu motorowego, która szybko rozmywa się w jednostajną, ziarnistą, czerwonałą poświatę przypominającą obraz aureoli słońca.

Najwyraźniej niewprawy kamerzysta przesadził z przybliżeniem, ale szybko koryguje swój błąd. Obraz podskakuje raz i drugi, wreszcie odjeżdża do tyłu, wyostrza się i klaruje.

Równocześnie Crawford kończy z niedowierzaniem w głosie:

- To chyba jakiś zdalnie sterowany... śmigłowiec.

Wzrok go nie myli. Spod brezentowej plandeki wyłania się stojący na dachu nadbudówki mały helikopter przypominający kosztowną elektroniczną zabawkę, jakby

żywcem wyjętą z katalogu Hammachera & Schlemmera - coś, co najprędzej można by zobaczyć ponad drzewami w Central Parku, sterowane drogą radiową przez rozkapryszonego synka bogatych rodziców.

Ale Stark doskonale zna ten model.

- To bradley 5LD - wyjaśnia pospiesznie. - Nie żadna zabawka. „Rzeka Jeden”, słyszysz to?

Z powodu mgły lekko rozedrgany obraz mlecznie opalizuje, trudno więc rozróżnić szczegóły dwóch widmowych sylwetek ściśniętych za plastikową baniastą osłoną kabiny śmigłowca.

- Zrozumiałem, „Zielone Świątki”. Co chcecie...

Dalszą część łączności radiowej z policyjnym patrolem rzeczonym zagłusza czyjś donośny krzyk, ogłuszający terkot broni maszynowej i przebijający się ponad niego ryk Crawforda:

- Padnij!

Chwilę później na przystani widocznie pojawia się Flint, gdyż Crawford woła:

- Na miłość boską Grace! Chcesz się dać zabić?! - I po krótkiej przerwie z wyraźnym zdumieniem w głosie: - Co ty wyrabiasz?!

Mikrofon krótkofalówki wyłapuje jej głośny, świszczący, przyspieszony oddech, co każe wnioskować, że właśnie wtedy, leżąc obok na ziemi, łapie go za krawat, przyciąga do siebie i rzuca gorączkowo:

- Nathan! - Z trudem łapie powietrze. - Hustler... odlatuje...

- On już wie! - woła Crawford.

- Wsparcie powietrzne w drodze - odpowiada Stark i Crawford powtarza jej to na głos.

- Za późno - chrypi Flint.

Po chwili widać, co miała na myśli.

Rotor bradleya zaczyna się obracać i błyskawicznie nabiera prędkości, aż wirujące płaty zlewają się w czarniawy krąg nad helikopterem. Jego ogon unosi się, płozy odrywają od dachu nadbudówki i maszyna z głęboko pochylonym nosem startuje pod wiatr. Jak gdyby z ociąganiem zawisa nad jachtem. Równocześnie nad jego rufą pojawia się strumyk czarnego dymu, dolatuje przybierający na sile warkot potężnego silnika. Chwilę później rozlegają się dwie głuche stłumione detonacje i z pokładu, ciągnąc za sobą ogony gęstego dymu, wielkim łukiem wylatują w kierunku nabrzeża dwa ładunki przypominające flary.

Spadają na plac zaledwie kilka metrów przed leżącymi pokotem agentami grupy wsparcia.

- To zasłona dymna! - krzyczy Flint. - Chcą nam przesłonić widok!

Jakby w odpowiedzi z wystrzelonych ładunków zaczynają się wydobywać obłoki szarego dymu zlewającego się na wietrze w szczelną zasłonę. Tuż przed zniknięciem za nią jacht odbija od nabrzeża pod osłoną wciąż wiszącego kilka metrów w górze śmigłowca.

- Uciekają - mówi Crawford z rezygnacją w głosie.

Operator przenośnej kamery zmniejsza przybliżenie, w polu jej widzenia ukazuje się panorama całego placu. Doskonale widać czarne sylwetki leżących ludzi, z których jedna podrywa się z ziemi i rusza biegiem w stronę zasłony dymnej.

- Uwaga, patrolo rzeczne. Przechwycić obiekt - rozkazuje przez radio Stark.

- Zrozumiałem. Wkraczamy do akcji. „Rzeka Jeden i Dwa”, naprzód!

Kamera przesuwa się nieco w lewo i wychwytuje odbijający od przeciwległego nabrzeża East River policyjny kuter z błyskającym niebieskim kogutem na dachu sterówki.

Zaraz jednak nakierowuje się z powrotem na plac, nad którym wiatr szybko rozwiewa zasłonę dymną. Helikopter wzbija się wyżej w powietrze i zanim zniknie z pola widzenia, podrywa nos ku górze, odsłaniając czarny brzuch. Coś odrywa się od niego. Dopiero po chwili można rozróżnić ludzką sylwetkę. Wypchnięta z kabiny Lily Apana spada jak kamień ku ziemi.

Crawford wydaje z siebie przeciągły jęk, niczym ranione zwierzę. Obraz znów się przybliża. Między pasmami dymu pojawia się pędząca wielkimi susami Flint, jest dobre trzydzieści metrów przed resztą agentów. Zadzierza głowę do góry, po czym błyskawicznie wyhamowuje, cofa się kilka kroków i wyciąga obie ręce - w pierwszej chwili trudno powiedzieć, czy po to, żeby osłonić głowę, czy też w odruchowej, z góry skazanej na niepowodzenie próbie złapania spadającej koleżanki.

Następne ujęcie nie pozostawia żadnych wątpliwości, że chodzi jej o przynajmniej częściowe zamortyzowanie upadku Apany, chociaż to daremny trud zrodzony ze skrajnej desperacji. Impet zderzenia odrzuca ją dobre dwa metry do tyłu, a Lily jak bezwładna szmaciana lalka rozbija się o kamienie brukowanego placu przed Światowym Imperium.

Jakąś sekundę później z głośnika magnetofonu dolatuje wyłapany przez mikrofon krótkofalówki Crawforda miękki, stłumiony, lecz mrozący krew w żyłach odgłos tego upadku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Feliks Hartmann jest w drodze na niewielkie lotnisko w hrabstwie Suffolk, gdzie porzucony bradley stoi na skraju pasa, pośrodku kwadratu wyznaczonego żółtą policyjną taśmą. Jarrett Crawford na komendzie policji w Plaza przygląda się bezskutecznym próbom wydobywania zeznań z trzech zbirów Hustlera, którzy za namową hojnie opłacanych adwokatów swego mocodawcy w ogóle nie chcą mówić. Rocco Morales w swoim warsztacie w podziemiach Gmachu Marscheidera, szykując się na nieuchronne przesłuchanie, montuje zapisy wideo z różnych kamer i zgrywa je z dźwiękiem.

Flint nie została przydzielona do żadnego zadania.

Leży na kanapie w gabinecie Cuttera i spod przymrużonych powiek obserwuje go przy biurku. Chciałaby móc uwierzyć, że jeśli wystarczająco skoncentruje się na prowadzonej przez niego rozmowie telefonicznej, zdoła w końcu zagłuszyć tkwiący w pamięci odgłos upadku Ruth.

Ale to nieprawda. W pełni panuje nad obrazami wypełniającymi jej umysł, kontroluje wspomniany przebieg wydarzeń, lecz nie jest w stanie zmienić ich tragicznego wydzźwięku.

Zamiast nic dla niej nieznaczących słów szefa w jej uszach rozbrzmiewa w kółko ten sam dźwięk - odgłos uderzenia wróbla o szybę okna w jej dziecięcym pokoju; trzepot skrzydełek, trzask łamanych kostek, szmer wypuszczanego powietrza. Zwabiła ptaka do pokoju, chcąc mieć towarzystwo, po czym zamknęła okno, budząc w nim panikę. To była tylko jej wina.

Wróbel nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, tylko poruszył konwulsyjnie skrzydełkami i oczy zaszyły mu mgłą. Podobnie zmarła Ruth.

Cutter odkłada wreszcie słuchawkę, spogląda na nią i mówi:

- Idź do domu, Grace.

Mija parę sekund, nim dotrą do niej jego słowa.

- Dobrze - odpowiada posłusznie. Spogląda na plamy krwi na swoim ubraniu, jakby dopiero teraz je zauważyła, i dodaje: - Tak, muszę się przebrać.

Cutter kręci głową, gdyż miał na myśli coś innego.

- Chodziło mi o twój prawdziwy dom. Wracaj do męża.

Grace podnosi głowę i obrzuca go tak zdumionym wzrokiem, jakby przemówił do niej w obcym, niezrozumiałym dla niej języku.

- Chcę, żebyś się stąd wyniosła, wyjechała z miasta.

- Słucham? - pyta zaskoczona, wciąż nie mogąc się otrząsnąć ze wspomnień.

- Na kilka dni, dopóki sprawa nie przycichnie. Mnóstwo gówna będzie latało w powietrzu, a nie chcę, byś została nim oblepiona do tego stopnia, że oboje sobie z tym nie poradzimy. - Zawiesza na chwilę głos. - Wrócisz na pogrzeb Ruth, jeśli uznasz to za stosowne.

Jej smutne oczy nadal przesłania mgła, ale powoli odzyskują naturalny kolor i żywy blask. Apatia i odrętwienie, pod którymi jak pod płaszczem skrywała się od samego rana, stopniowo zanikają. Spuszcza nogi na podłogę i siada.

- Nie rozumiem - mówi nieco ostrzejszym tonem. Cutter obrzuca ją przenikliwym spojrzeniem.

- Nie wracaj tam teraz. To kiepska pora.

Grace wstaje szybko i zapomniawszy o bólu w nodze, podchodzi do biurka.

- Zawiesza mnie pan w obowiązkach, panie Cutter?

- Nie.

Grace staje tuż nad szefem i dumnie zadziera głowę. Zdaje sobie sprawę, że postępuje nierozważnie, gdyż Cutter słynie z wybuchowego temperamentu, ale wściekłość, jaką tłumila w sobie przez ostatnią dobę, zaczyna ją zalewać jak krew z rozciętej żyły i po prostu nie jest w stanie nad sobą zapanować.

- Wycofaj się - rzuca krótko Cutter.

- O to chodzi? Jestem zapuszkowana?

- Możesz to i tak nazwać. - Podnosi się powoli z fotela, staje naprzeciwko i patrząc jej prosto w oczy, ciągnie: - A więc jesteś zawieszona, jeśli ci na tym zależy.

- Myśli pan, że to przeze mnie? - pyta ostro Flint.

- Myślę, że sknociłaś sprawę i knocisz ją nadal.

- To znaczy?

- Opuściłaś swoje stanowisko. Miałaś pod rozkazami dwunastu agentów, którymi powinnaś kierować, tymczasem sama pognałaś na przystań jak jakaś...

- Nathan przejął dowodzenie! - przerywa mu w pół słowa.

- Ale to była twoja akcja.

- Nic nie widzieliśmy. Nie było obrazu.

- Mogłaś polegać na meldunkach Crawforda.

- To nie wystarczyło, panie Cutter. Musiałam widzieć, co się tam dzieje.

- Morales w końcu podłączył kamerę.

- Za późno.

- Ale zapewnił ci ten przeklęty obraz!

- Za późno!

Grace wykrzykuje mu to prosto w twarz, mimowolnie go opluwając. Cutter krzywi się z obrzydzenia. Podnosi szybko rękę i przez chwilę Flint nachodzą obawy, że ją uderzy. Ale tylko wyciera policzek.

- Przepraszam... - Cofa się o krok. - Pan nie musiał tam siedzieć jak na szpilkach, panie Cutter. W tym czasie był pan w Waszyngtonie i...

Urywa nagle, jakby straciła wątek. Szef przygląda jej się w milczeniu. Po chwili, zgarbiwszy ramiona, jakby uszło z niej powietrze, pyta:

- Jak się domyślili? Skąd wiedzieli, że Ruth to nasza wtyczka?

Nie może sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła się aż tak zmęczona.

Cutter kładzie jej dłoń na ramieniu, oferując rozejm.

- Zostaw to Nathanowi. - Flint prostuje się nagle i otwiera usta, żeby zaprotestować, ale on ucisza ją lekkim uściskiem i mówi: - Jest w tym dobry, lepszy od ciebie. Zbierze sforę i będzie przeczesywał całe „Zielone Świątki” krok po kroku, aż znajdzie przeciek, jeśli tylko faktycznie do niego doszło. - Uśmiecha się niewyraźnie. - Tobie brak do tego cierpliwości, Grace. To robota nie w twoim stylu.

- Ale Hustler jest mój - odzywa się smutno Grace.

- Już nie. Zapomnij o nim.

Flint znowu zadziera głowę, ale Cutter powstrzymuje ją karcącym wzrokiem.

- Pomyśl tylko. Wszczęte zostanie śledztwo w sprawie zabójstwa, a mogę się założyć o każde pieniądze, że FBI wyda list gończy, bo przecież Ruth do końca była formalnie agentką biura. Prawdę powiedziawszy... - ruchem głowy wskazuje telefon na biurku - ...rozmawiałem właśnie z Bobem Palmerem z Departamentu Sprawiedliwości, który postrzega tę sprawę dokładnie w ten sposób: Karl Grober zamordował agentkę federalną.

W pamięci Flint odzywają jej własne słowa: Uwaga, panowie. Postawmy sprawę jasno. Zamierzam właśnie narazić na olbrzymie ryzyko agentkę federalną... I tak też zrobiła. Zamyka oczy, gdyż żal ściska ją za serce. Jakby w odpowiedzi czuje silne ukłucie bólu w lewej skroni.

- Wszystko w porządku? - pyta Cutter. - Znowu dopadła cię migrena?

Nie po raz pierwszy przychodzi jej na myśl: Skąd ty mnie aż tak dobrze znasz? Otwiera oczy i ospale kręci głową.

- Jestem po prostu zmęczona.

Cutter przesuwając dłoń po jej ramieniu, na szczęście nie tym stłuczonym i obolałym.

- Jedź do domu, Grace. Wracaj do Bena.

Przecież jego tam nie ma, przemyka jej przez myśl. Nie zamierza jednak wyjaśniać tego szefowi.

MILLER'S REACH, CONNECTICUT

ROZDZIAŁ PIĄTY

Według polecenia Cuttera, akt Wydziału Ścigania Przestępstw Finansowych nie wolno ani kopiować, ani wynosić z Gmachu Marscheidera. Jeśli żaden z agentów nie ma zezwolenia na wykorzystanie ich w określonym celu, muszą pozostawać w strzeżonym przez kamery archiwum, pod nadzorem Kitty Lopez.

Ale nawet ścisłe rozkazy Cuttera da się obejść, a Flint i Lopez już dawno temu doszły do porozumienia.

W dwustuletniej stodole z czerwonej cegły Grace, kierując światło latarki ku podłodze, czeka cierpliwie, aż nietoperze się uspokoją. Ben tłumaczył jej wielokrotnie, że to zwykła bajka, „czysta zniewaga”, jak mawiał, że nietoperze są ślepe. Wyrwane ze snu, łatwo mogą wpaść w panikę i zaatakować, rzucając się gromadnie właśnie w kierunku źródła światła. Te, które skolonizowały stodołę Bena i Grace, to brunatne nocki nie większe od polnych myszy, ale na ścianach i pod sufitem koczą ich niezliczone tysiące. Smród ich odchodów zalegających grubą warstwą podłogę zatyka oddech w piersi.

Nauczona przez Bena, zaczyna teraz mówić cicho jednostajnym tonem. Kiedy w ciemności milknie łopot przestraszonych nietoperzy, ostrożnie wchodzi na drabinę prowadzącą na podest pod krokwiemi, gdzie ukryła niemal kompletną kopię akt operacji „Zielone Świątki”. W drabinie brakuje czwartego szczebla, a siódmy jest podpiłowany tak, by złamał się pod ciężarem człowieka. Sama przygotowała tę pułapkę i musi o niej pamiętać. W dodatku drabina jest dość krótka, stoi prawie pionowo, więc chcąc się po niej wspiąć, trzeba mieć obie ręce wolne. Z ociąganiem wtyka więc latarkę do tylnej kieszeni dżinsów.

W ciągu ostatnich czterech miesięcy, od kiedy ukryła akta w stodole, wiele razy w ciemnościach wdrapywała się mozolnie po tej drabinie, lecz teraz jest jeszcze trudniej, gdyż daje o sobie znać ciągły ból w lewej nodze. A mimo wszelkich wystąpień Bena w obronie nietoperzy, popartych zresztą dalszymi dowodami przez jej ojca, podświadomie wciąż

przypisuje im mityczną moc. Jedynie dużym wysiłkiem woli może odegnać od siebie myśl, że lada chwila zaczną jej się wplątywać we włosy.

Po wejściu na podest przykuca i wyciąga z kieszeni latarkę. Osłaniając dłonią reflektor, zapala ją i nakierowuje wąski strumień światła na obłuzowaną deskę, za którą urządziła sobie skrytkę. Odchyła ją, wsuwa rękę przez wąską szczelinę i zaciska palce na dużym pakunku zawiniętym w kawałek starego ortalionu. Akta liczą łącznie prawie osiemset stron i są dość ciężkie, toteż wyciągnięcie ich ze schowka wymaga trochę sprytu. W dodatku kilkanaście centymetrów od jej twarzy zwisają z belki śpiące nietoperze, którym pod żadnym pozorem nie chciałyby zakłócać spokoju.

No, już! Śmiało! - nakazuje sobie w myślach, powoli i ostrożnie wyciągając pakunek. Wsuwa go do nylonowego plecaka przewieszzonego przez prawe, niestłuczone ramię. Po chwili gasi latarkę i w kompletnych ciemnościach wycofuje się po omacku na czworakach do szczytu drabiny.

Zejście na dół jest jeszcze bardziej ryzykowne, ponieważ łatwo pomylić kolejność szczebli, a przemożne pragnienie, by jak najszybciej wydostać się ze stodoły, spycha na drugi plan konieczność zachowania ostrożności.

Zmusza się, żeby schodzić powoli, krok po kroku, koncentrując się na liczeniu szczebli i w miarę możliwości przenoszeniu ciężaru ciała na prawą nogę. Jeśli nawet jej się to udaje, to kurczowe zaciskanie obu dłoni i napięcie psychiczne sprawiają, że odczuwa coraz silniejszy ból w stłuczonym ramieniu, tak dotkliwy, że aż musi zagryźć wargi, by nie jęknąć na głos.

Pognałaś jak jakaś... odzywają w jej pamięci słowa Cuttera i gdy w myślach próbuje dokończyć tę niewypowiedzianą zniewagę, ogarnia ją narastająca złość z powodu doznanej niesprawiedliwości. Hustler już nie jest twój, zapomnij o nim. Teraz należy do Nathana. On na pewno znajdzie przeciek. Jest w tym dobry, lepszy od ciebie.

Spuszcza nogę na kolejny szczebel i sprawdzając ostrożnie, czy nie jest to ten siódmy, nadpiłowany, mimowolnie odzywa się na głos do siebie:

- Niech cię szlag trafi, Cutter.

Nietoperze dookoła natychmiast zaczynają poruszać się nerwowo.

Uchyliwszy drzwi stodoły, wygląda na zalane słońcem podwórko z tak wielką ulgą, że niemal kręci jej się w głowie. Czeką chwilę, żeby oczy przywykły do dziennego światła i minęło lekkie oszołomienie, po czym rusza z powrotem do domu, omijając łukiem staw, którego powierzchnia tego pięknego kwietniowego ranka przypomina gładką szklaną tafelę.

Dzisiaj jest tu spokojnie. Dwa tygodnie temu, w trakcie poprzedniego pobytu w domu, kiedy po lunchu Ben zasnął w fotelu przy kominku, przypadkiem wyjrzała przez okno i ze zdumieniem zobaczyła, że woda w przeciwległym końcu stawu burzy się i pieni. Dopiero wybiegłszy z domu, zauważyła nieporadnie usiłującą pływać sarnę oraz trzy wygłodniałe kojoty czające się na brzegu. Na jej widok rozpieczęły się, szybko jednak zebrały się na odwagę i zaczęły ją okrażać, uznawszy widocznie za kolejną zwierzynę łowną. Teraz ona z kolei musiała się wycofać. Dopiero gdy uznała, że dzieli ich bezpieczny dystans, odwróciła się i pędem pobiegła z powrotem do domu.

Wpadła do saloniku i gorączkowo szukając strzelby, obudziła Bena i w paru słowach wyjaśniła mu, co się stało. Popatrzył na nią niezbyt przytomnym wzrokiem, ziewnął szeroko i mruknął, że w pewnych sytuacjach trzeba się pogodzić z naturalnym biegiem wydarzeń.

- Nie chrzań - rzuciła, myśląc, że w końcu jest córką weterynarza.

Nie musiała jednak strzelać do kojotów. Kiedy ponownie wybiegła nad staw, ujrzała olbrzymiego wilczura stojącego tyłem do wody i lypiącego groźnie na trzy kojoty znikające już w lesie. A sarna, która tymczasem zdołała się wydostać na brzeg, uciekała wielkimi susami w drugim kierunku.

- To psisko ma jakoś na imię? - zapytał z uśmiechem Ben, wysłuchawszy jej gorączkowej relacji z ratowania życia sarnie.

Nie umiała wtedy odpowiedzieć i nadal tego nie wie, chociaż pies od tamtej pory kręci się w pobliżu. Teraz też stoi na skraju podwórka i przygląda jej się, jak kuśtykając, idzie w stronę domu.

Wchodzi do środka, odwija akta z ortalionu i kładzie je na szklanym blacie stolika pod panoramicznym oknem ciągnącym się przez całą długość saloniku. Widać przez nie większą część pięcioakrowego terenu należącego do niej i Bena, który ojciec wykupił im na własność w prezencie ślubnym.

Doktor John Flint poświęcił na to pieniądze odziedziczone po żonie, Marie-Madeleine, która zniknęła bez śladu, gdy Grace miała niespełna sześć lat, co do dzisiaj pozostaje tematem na tyle denerwującym, że oboje unikają go jak ognia. I oboje w milczeniu akceptują fakt, że zdjęcie jej matki oprawione w srebrną ramkę stoi na stoliku odwrócone w stronę okna, jak gdyby chcieli jej udostępnić rozciągający się stąd wspinały widok Miller's Reach.

Flint, wciąż jeszcze nazbyt zdenerwowana, żeby przystąpić do pracy, idzie do kuchni, nastawia wodę na herbatę, a zanim ta się zagotuje, zdejmuje pościel w sypialni na górze i wraz z ręcznikami z łazienki upycha ją w pralce. Ben miał to zrobić przed wyjazdem, ale chyba nie zdążył albo, co pewniejsze i bardziej do niego podobne, po prostu zapomniał. Nie

zostawił też żadnej kartki z zabawnymi pozdrowieniami, jak zwykle ozdobionej rysunkiem jakiegoś egzotycznego ptaka, co już było do niego zupełnie niepodobne. Zaraz po przyjeździe wieczorem z Nowego Jorku szukała jej wszędzie, a nie znalazłszy, poczuła się w dwójnasób upokorzona.

Zaparzywszy herbatę, wraca do saloniku z dwoma herbatnikami przeznaczonymi dla psa, chociaż z pewnością nie jest przybłądą, którego trzeba dokarmiać. Prawdopodobnie należy do kogoś z sąsiedztwa. Dopiero teraz przychodzi jej do głowy, że jego imię, a może również numer telefonu właściciela, powinno być wygrawerowane na tabliczce przynitowanej do skórzanej obroży. Odsuwa drzwi tarasu, zaczyna przywoływać psa, ten zaś po chwili wyłania się zza rogu domu i śmiało podchodzi do niej. Siada u jej stóp i pozwala się podrapać po szyi porośniętej gęstą sztywną sierścią i szczęce tak masywnej, że chyba zdolnej kruszyć kamienie. Ostrożnie i delikatnie bierze z jej ręki herbatnika. Na obroży faktycznie ma tabliczkę, lecz jest na niej tylko jego imię: Syriusz, nazwa „Psiej Gwiazdy”, najjaśniejszej na niebie.

- Nie masz domu? Nie masz dokąd wracać, olbrzymie? - pyta pieszczotliwie.

Ale Syriusz nie zamierza odchodzić. Układa się na tarasie, kiedy Flint wraca do saloniku, siada przy stole i przysuwa akta operacji „Zielone Świątki”. Mając świadomość, że przystępuje do ożywiania wrogich duchów, przyznaje w myślach, iż jest nawet bardzo zadowolona z jego milczącego towarzystwa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na pierwszej stronie, pod firmowym znakiem Wydziału Ścigania Przestępstw Finansowych, znajduje się wybite na czerwono poważnie brzmiące ostrzeżenie, kwalifikujące te materiały jako TAJNE. Poniżej jest tylko nazwa wydrukowana wąskimi i wysokimi, wielkimi literami: ZIELONE ŚWIĄTKI.

- W porządku, zapytam - mruknęła niechętnie, gdyż Cutter, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, tylko na to czekał. - Dlaczego „Zielone Świątki”?

- Oto nadszedł dzień Zielonych Świątek - zaczął Cutter podniosłym tonem kaznodziei wygłaszającego kazanie, wsunąwszy dłonie za klapy marynarki, jakby to był prymasowski paliusz. Niczym nawiedzony wznosił oczy do nieba i ciągnął: - I Duch Święty zstąpił z nieba jak porywisty wiatr, z donośnym hałasem, od którego zatrzęsł się dom, gdzie byli zgromadzeni Apostołowie. I objawił się im jako ogień, języki płomieni, które rozdzieliły się

między nich... - Urwał i zachichotał, widząc osłupienie na jej twarzy. - Ty będziesz tym ogniem. Jak ci się to podoba?

- Słucham?

- Według mnie - rzekł, przysiadając bokiem na rogu kuchennego blatu - właśnie koło Zielonych Świątek, jeśli dobrze się spiszesz, spadniesz na Grobera i jego apostołów niczym bicz boży. Rozumiesz?

Flint cicho jęknęła.

- To zresztą nie wszystko - dodał, najwyraźniej bardzo zadowolony z siebie. - Pewnie o tym nie wiesz, ale w judaizmie odpowiednikiem chrześcijańskich Zielonych Świątek jest Pięćdziesiątnica, czyli Święto Tygodni, podczas którego tradycyjnie czyta się... No, zgadnij co?

- Nie mam pojęcia.

- Biblijną Księgę Rut. I co ty na to? - Uderzył otwartą dłoń w blat. - Początkowo chciałem nadać operacji kryptonim „Szabuot” od hebrajskiej nazwy Pięćdziesiątnicy, ale Nathan miałby olbrzymie kłopoty z wymową tego słowa. Prawdę powiedziawszy...

- Aldus - przerwała mu Flint. - Nie za krótko spałeś? Nie rozmyślałeś przypadkiem całą noc nad tym kryptonimem?

W Gmachu Marscheidera czy gdziekolwiek indziej nigdy by się nie odważyła mówić do niego po imieniu, ale wyjątkowo spotkali się w jego mieszkaniu przy ulicy Wschodniej Sześćdziesiątej Trzeciej, ponieważ Cutter przebywał na zwolnieniu lekarskim, wyszedłszy ze szpitala po operacji przepukliny. Wygląd mieszkania skłaniał do wniosku, że nie istnieje żadna pani Cutter, a Flint wolą nie poruszać tego tematu.

Nagle spowaźniał i zapytał:

- Masz już dla niej fikcyjną tożsamość?

- Tak.

Opowiedziała mu ze szczegółami o sieci skomplikowanego podstępu, jaką przygotowywały wspólnie z Ruth Apple.

- Świetnie - przyznał. - Jak Ruth ma teraz na imię?

- Lily. Nazywa się Lily Apana.

I to spotkało się z jego akceptacją.

W ten właśnie sposób Ruth Apple, agentka specjalna Wydziału Ścigania Przestępstw Finansowych, zmieniła się w Lily Apanę, aż nazbyt ambitną pracownicę banku, gotową za odpowiednim wynagrodzeniem podjąć nielegalne działania. Od ośmiu miesięcy nikt nie zwracał się do niej prawdziwym imieniem. Bardzo rzadko bywała w Gmachu Marscheidera, a

i wtedy przemykała się korytarzami przez piwnice. Znacznie częściej spotykała się z Grace w swoim nowym mieszkaniu. Zarówno w nowojorskim oddziale banku Delta, gdzie pilnie pracowała nad umożliwieniem organizacji Karla Grobera wyprania około dwóch miliardów dolarów, jak też dla wszystkich pozostałych agentów wydziału oraz wtajemniczonych w operację współpracowników z innych agencji była zawsze Lily, nigdy Ruth. W efekcie sama zaczęła się stopniowo utożsamiać z Apaną i w ogóle przestała reagować na swoje prawdziwe imię, co Flint uznała za wielki sukces.

Oczywiście dla rodziców mieszkających w Boca Raton, byłych kolegów z oddziału Agencji Zwalczenia Narkotyków w Miami, nielicznych znajomych i ostatniego kochanka nadal była Ruth Apple, lecz nie utrzymywała z nimi żadnych kontaktów. Według rozpowszechnianej plotki, Ruth została na rok oddelegowana do Pakistanu, skąd też od czasu do czasu przychodziły podpisane przez nią pocztówki. We wszystkich dokumentach i bazach danych figurowała jako oficer łącznikowy wydziału pracujący tymczasowo w Islamabadzie, tyle że pod wyszczególnionym numerem telefonu za każdym razem zgłaszała się automatyczna sekretarka: „Agentka specjalna Apple informuje z żalem, że musiała na kilka dni wyjechać ze swego biura w teren”, co kazało wnioskować, że bez wątplenia współpracuje ściśle z policją pakistańską w jakimś skomplikowanym i czasochłonnym dochodzeniu dotyczącym finansowych aspektów nielegalnego handlu narkotykami.

Zresztą, gdyby ktoś z jej znajomych, nawet były kochanek, matka czy ojciec, przypadkowo natknął się na nią w Nowym Jorku na ulicy (co jest jednym z najgorszych koszmarów każdego tajnego agenta), miałby duże kłopoty, żeby ją rozpoznać. Pod nadzorem Flint Lily Apana stała się o pięć kilo lżejsza od Ruth Apple, zapuściła włosy, które ufarbowała na kruczoczarno i zaczesywała gładko do tyłu. Dzięki szkłom kontaktowym niebieskie oczy stały się piwne, a kosmetyki pozwoliły jej rozjaśnić naturalną śniadą cerę. Nad górną wargą pojawiła się ledwie zauważalna blizna, której Ruth nie miała - fikcyjna pozostałość po wypadku z dzieciństwa. Godziny ćwiczeń i ciasne buty zaowocowały tym, że Lily miała drobniejszy i lżejszy krok niż Ruth, poza tym zyskała wyróżniającą się postawę typową dla kobiet Orientu. Bo jeśli wierzyć oficjalnym danym, Apana urodziła się na Hawajach i należała do piątego pokolenia potomków emigrantów z Azji, pracujących tam na plantacjach trzciny cukrowej. To z kolei wymagało dalszych wielogodzinnych ćwiczeń językowych pod kierunkiem ściągniętego z Hollywood specjalisty, dzięki którym Ruth opanowała hawajski akcent.

Mimo tak wielu wysiłków cała wymyślona tożsamość Lily Apany rozsypała się jak kruchy przedmiot z kiepskiego szkła. Ktoregoś w ciągu tych ostatnich ośmiu miesięcy Karl

Grober nie tylko odkrył, że Lily jest wtyczką i agentką federalną, lecz nawet poznał jej prawdziwe personalia.

Dowód na to znajdował się w kopercie, którą odkryto wepchniętą za stanik Lily, kiedy rozbierano jej zwłoki do autopsji. List był zaadresowany do Flint i zawierał tylko jedną kartkę wyrwaną z najnowszego angielskiego wydania Biblii.

Była to strona dwieście dwudziesta szósta, pierwsza strona Księgi Rut.

* * *

W saloniku, pod czujnym spojrzeniem Syriusza oraz ducha zaginionej matki, Grace odwraca kartę tytułową i czyta dwie pierwsze linijki napisanego przez siebie wstępnego raportu.

PODEJRZANA DZIAŁALNOŚĆ FINANSOWA

Domniemane pranie brudnych pieniędzy przez kilka korporacji z Delaware założonych przez obywateli pochodzenia niemieckiego.

Dalej następuje wyjaśnienie, że jest to „Wstępny Opis Przesłuchania Tajnego Informatora #00217”, pod którym widnieją data i nazwiska osób prowadzących przesłuchanie: z. kier. s. op. Flint i ag. sp. Apple.

Wtedy jeszcze Ruth występowała pod swoim prawdziwym nazwiskiem, operacja „Zielone Świątki” znajdowała się dopiero w początkowej fazie.

Raport zaczynał się od typowego wstępu pisanego oschłym, urzędowym językiem: „Osobnik, który wcześniej kilkakrotnie dostarczył WSPF wiarygodnych informacji (patrz strony 27-31 załącznika II, wyciągi z akt CR00 'Kościsty' i CR00 'MiastoB'), 26.04.00 skontaktował się telefonicznie z zastępcą kierownika sekcji operacyjnej wydziału, Flint, i zażądał pilnego spotkania. Odmówił przybycia do siedziby wydziału, nalegając na spotkanie nazajutrz o godz. 1.00 w nocy na parkingu pod River Cafe przy Water Street w Brooklynie. Zgodnie z procedurą z. kier. s. op. Flint udała się na spotkanie w towarzystwie ag. sp. Apple, co stało się przyczyną początkowego oburzenia informatora”.

Początkowe oburzenie? Grace przemknęło przez myśl, że był to raczej wynik nieporozumienia.

- Co tu jest grane?! Kto to jest, do cholery?!

Drobny Vincent Regal, wrzeszcząc na nią i szeroko gestykulując, z powiewającymi na wietrze połami długiego czarnego płaszcza, przypominał rozszoszczonego kruka, kiedy nerwowym truchtem zbliżał się przez parking.

- Miałaś być sama!

- Uspokój się, Vincent.

- Kurwa! Przez ciebie mogę zginąć!

- Powiedziałam: uspokój się!

- Czemu on to robi? - zapytała Ruth, kiedyjechały przez most Brooklyński, a Grace co rusz zerkała we wsteczne lusterko.

- Z tego samego powodu, co wszyscy - odparła. - Może chce z kimś wyrównać rachunki? Albo poczuć się kimś ważnym? A może pragnie zdobyć polisę ubezpieczeniową przed nadciągającą burzą? - Zamyśliła się na chwilę, po czym dodała: - Chyba jednak szuka zabezpieczenia. Znając Vincenta, mogę w ciemno zakładać, że szykuje się jakaś burza.

Usiadłszy na przednim fotelu w samochodzie Flint, Regal wykręcił krótką szyję, aż zmarszczył się jego byczy kark, i obrzucił Ruth złowrogim spojrzeniem.

- Ile ona wie?

- Nic nie wie, Vincent.

- Więc co tu robi?

- Takie są przepisy. Doskonale wiesz, że nie możemy rozmawiać w cztery oczy.

Musimy mieć świadka.

- Jesteście kurewsko zapobiegliwi.

Grace słyszała to już wiele razy i serdecznie miała dość jego ostrego tonu. Pochyliła się szybko i otworzyła drzwi auta od jego strony.

- Wsiadaj!

- O co ci chodzi, do cholery?!

- Albo natychmiast przestaniesz rznąć ważniaka, albo w tej chwili wsiadaj. Chcesz ze mną rozmawiać? Proszę bardzo, jestem do dyspozycji. Ale mam ważniejsze sprawy na głowie od wysłuchiwania twoich wulgarnych uwag.

Według raportu, „osobnik w końcu się uspokoił i z własnej woli poinformował o znacznej liczbie fikcyjnych firm utworzonych w stanie Delaware przez grupę obywateli pochodzenia niemieckiego przy wydatnej pomocy spółki doradztwa handlowego WeTry Business Solutions, Incorporated (WETBS), o której działalności informator wiedział bardzo dużo. Na koniec oznajmił, że jego zdaniem wszystkie te fikcyjne instytucje z Delaware mają służyć tylko jednemu celowi, praniu znacznych sum nielegalnych pieniędzy w bankach amerykańskich”.

- Piorą je, suszą, składają i pakują - rzekł, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, zadowolony z własnego dowcipu.

- To znaczy?

- Te firmy to tylko przykrywki. Taśmociąg. Zakłada się je oficjalnie, otwiera konto bankowe, robi kilka drobnych transferów. Wreszcie przychodzi ten jeden duży, pieniądze napływają i zaraz znikają, ale już elegancko wyprane. Wystarczy je tylko poskładać i zapakować.

Obejrzał się jeszcze raz, ale jedynie po to, żeby uśmiechnąć się do Ruth.

- A co do suszenia... To w końcu wasza działka. Jak zaczniecie szukać dowodów i potwierdzeń operacji, nic nie znajdziecie, a jeśli już, to najwyżej parę świstków bez znaczenia, które donikąd was nie zaprowadzą. Więc i od tej strony sprawa jest czysta i sucha. Jasne?

Pocił się obficie, do czoła przykleił mu się całkiem mokry kosmyk czarnych włosów. Mimo nocnego chłodu Flint opuściła szybę, żeby wpuścić do środka świeżego powietrza.

- Ile firm jest zamieszanych w ten proceder?

- W przybliżeniu tysiąc sześćset.

- Dlaczego wszystkie zarejestrowano w Delaware?

W tej samej chwili na parking skręcił granatowy, mocno zdezelowany buick. Przejechał obok nich i stanął przodem do rzeki, tuż przy błyszczącym nowiutkim mercedesie Vincenta. Wewnątrz byli dwaj mężczyźni, żaden z nich nie wysiadł. W lusterku Flint zauważyła, że Ruth wsuwa rękę do torebki, gdzie trzymała pistolet. Jej tkwił w kaburze pod siedzeniem, mogła błyskawicznie po niego sięgnąć.

Regal, wyraźnie podenerwowany widokiem obcego samochodu, syknął ze złością:

- Wy naprawdę w niczym się nie orientujecie?

- Wolałybyśmy to usłyszeć od ciebie, Vincent.

- Bo w Delaware nic nikogo nie obchodzi - odparł spiętym tonem, chcąc zamaskować strach. - Nieważne, kim są szefowie firmy, skąd pochodzą, ile wynosi fundusz założycielski. Klientom wystarczy dowód rejestracji firmy z adresem i numerem telefonu, a w Delaware mają to za pięćdziesiąt dolców miesięcznie. A jaki jest cel uruchamianej działalności? No, wreszcie dobre pytanie. Ale i tak nie zgadniecie, co się wpisuje w odpowiedniej rubryce formularza rejestracyjnego.

Otworzył już usta, żeby wyjaśnić, kiedy dotarło do niego, że Ruth rozmawia przez telefon komórkowy i półgłosem dyktuje numer rejestracyjny podejrzanego buicka.

- Hej! Co ty wyprawiasz? Myślisz, że ci faceci są nami zainteresowani?

Chwycił za klamkę, gotów wyskoczyć z auta, lecz Flint złapała go za rękę.

- Właśnie to sprawdzamy. Siedź spokojnie.

- Jezu!

Ruth siedziała w milczeniu, z aparatem przy uchu, czekając na wynik przeszukiwania bazy danych.

- Więc co się wpisuje we wniosku rejestracyjnym, Vincent? Miałeś mi to wyjaśnić.

- Celem rejestrowanej firmy jest jakakolwiek działalność zgodna z przepisami stanu Delaware.

Flint zauważyła w lusterku, że Ruth bezgłośnie przekazuje ruchem warg:

SKRADZIONY.

- Słyszeliście o tym pieprzonym Saddamie Husajnie?

Nie odpowiedziała, domyśliwszy się, że zaraz usłyszy jeden ze słynnych już wykładów Vincenta.

- Albo o bin Ladenie? Arabowie mogą kierować tysiącami takich firm w Delaware, kupując za ich pośrednictwem materiały rozszczepialne, bomby, cokolwiek im się zamarzy, a władze stanowe nie będą o niczym wiedziały, bo tam nikogo nic nie obchodzi.

Zerknąwszy na granatowego buicka, zapytała szybko:

- Ile bierzecie za otwieranie takich firm, Vincent?

- Trzysta pięćdziesiąt od sztuki. Ale można dostać pięć procent rabatu, jeśli kupuje się naraz dziesięć rejestracji.

- Tylko tyle?

- I dodatkowe cztery i pół paczki, jeśli potrzebne jest konto w banku.

- A jak wygląda sprawdzanie przez bank nowego klienta?

- Żartujesz?

Wybuchnął stłumionym, piskliwym śmiechem, który Grace do tej pory miała w uszach - nadal też czuła kwaśną woń jego potu i miała przed oczyma gęste czarne włosy na wierzchu jego dłoni, którą pospiesznie zasłonił usta.

- To miał być żart, prawda?

- Lepiej od razu powiedz, co wiesz.

Według raportu, Regal doskonale się orientował, które amerykańskie banki nie trzymają się ściśle przepisów Departamentu Skarbu w sprawie dokładnego kontrolowania klientów, wprowadzonych specjalnie po to, żeby ukrócić proceder prania brudnych pieniędzy.

„Informator oświadczył, że konta w różnych bankach, od Nowego Jorku po Kalifornię, otwiera się jedynie na podstawie pisemnego oświadczenia prezesa WETBS, mówiącego, że zleceniodawca został należycie sprawdzony pod względem wiarygodności finansowej, co jest nieprawdą”.

- I wy też nie sprawdzacie ich wiarygodności?

- Oczywiście, że sprawdzamy. Nie podejmujemy żadnych działań, dopóki nie wpłynie czek na czterysta pięćdziesiąt dolców i nie zostanie potwierdzony.

- Tylko tyle?

Regal jeszcze raz zachichotał, ale już krótko. Szybko spoważniał.

- Tak, to wszystko. Nic więcej nas nie interesuje. Flint odwraca kartkę raportu.

„Informator dodał, że część banków, z którymi WETBS współpracuje, domaga się, aby w ciągu miesiąca od założenia konta zleceniodawca stawił się osobiście z odpowiednim dokumentem tożsamości, takim jak paszport bądź karta kredytowa. Niemniej w ciągu tych trzydziestu dni przeprowadza się wszelkie operacje na koncie, co umożliwia transfer pieniędzy”.

- Jeśli po miesiącu nikt się nie pojawi, jak to zazwyczaj ma miejsce, bank zamyka konto. Ale naszym klientom to nie przeszkadza. Wiecie, ile forsy można przez nie przepuścić w ciągu miesiąca?

- Ile?

Popatrzył na Grace z ironicznym uśmiechem.

- Powiedzmy, że dużo więcej, niż byłabyś w stanie wydać podczas miesiąca miodowego.

Widocznie musiała zrobić zdziwioną minę - co zresztą było całkiem zrozumiałe w tej sytuacji - gdyż ochoczo odwrócił się w jej stronę, wciąż z tym samym ironicznym uśmiechem na ustach. Pozwolił sobie nawet łypnąć do niej zawiadaczająco jednym okiem i położyć jej rękę na ramieniu.

- Moje gratulacje! Wyszłaś za Bena Gatesa, prawda? Tego przystojniaczka?

- Pilnuj lepiej własnych spraw, Vincent, dobrze?

Powiedziała to na tyle ostro, że szybko podniósł obie ręce w obronnym geście.

- Bez obrazy. Po prostu lubię znać ludzi, z którymi się zadaję.

Zaliczała go do nędznych szumowin, ale nie umiejscawiała na samym dnie rynsztoka tylko z tego powodu, iż od czasu do czasu dostarczał jej cennych informacji, niemniej świadomość, że wiedział tyle o jej życiu prywatnym, że w ogóle był w stanie czegokolwiek się o niej dowiedzieć, niemalże ją zatkała. Poczła lodowaty dreszcz na plecach, jak gdyby weszła do swojej sypialni i zastała go grzebiącego w bielizniarce.

Nawet teraz na wspomnienie tamtej rozmowy czuje ukłucie niepokoju i wstaje od stołu. Leżący na tarasie Syriusz także się podnosi i spogląda na nią z zaciekawieniem.

- Przyniosę ci trochę wody - mówi w zamyśleniu, ruszając do kuchni, a w jej głowie pojawiają się kolejne dręczące pytania: Skąd on to wiedział? Kto go wtajemniczył? Nawet w

wydziale niewiele osób wiedziało o jej małżeństwie z Benem Gatesem, a przecież żadna z nich nie mogła dzielić się wiadomościami z kimś takim jak Vincent Regal.

Przez chwilę miała wtedy straszną ochotę wydusić z niego, skąd to wie; złapać go za gardło, wywlec z samochodu i przydusić plecami do ściany, jeśli będzie się opierał. Ale doświadczenie nakazało powściągliwość. Przypomniała sobie powtarzane na okrągło nauki instruktorów z Hendon: nigdy nie należy okazywać informatorowi, że wiadomość tobą wstrząsnęła, nie wolno nawet zdradzać zaskoczenia, ponieważ w każdej sytuacji trzeba grać rolę wszechmocnego i wszechwiedzącego. Przynajmniej teoretycznie.

Nie musiała zresztą specjalnie ze sobą walczyć, gdyż Ruth odkaszlnęła znacząco, a spojrzawszy we wsteczne lusterko, Flint dostrzegła snopy reflektorów biało-niebieskiego wozu policyjnego skręcającego na parking i podążających tuż za nim dwóch nieoznakowanych aut dochodzeniówki.

Radiowóz minął ich powoli, jakby gliniarze nie zwrócili nawet uwagi na granatowego buicka, lecz gdy dwa cywilne samochody błyskawicznie zajęły go z obu stron, policjanci z włączonym kogutem na dachu szybko cofnęli i zablokowali mu wyjazd od tyłu, zatrzymując wóz zderzak w zderzak. Jego tylne światła hamowania jeszcze nie zgasły, gdy buicka otoczyło sześciu funkcjonariuszy, mierząc w podejrzanych z broni i wykrzykując głośne polecenia.

Flint spojrzała tylko przelotnie na dwóch mężczyzn, którzy bez wahania splekli dłonie na karkach, gdyż ubezpieczający akcję z pewnej odległości sierżant drogówki obejrzał się na nich i dał znać ledwie zauważalnym skinieniem głowy.

- Co robisz, do jasnej cholery?!

- Przejedziemy się kawalek, Vincent. Żeby w spokoju dokończyć naszą rozmowę.

- A mój samochód?

- Czego się boisz? Że policja ci go ukradnie?

Stojąc teraz w kuchni, przez chwilę się zastanawia, po co tu przyszła. Po chwili wyjmuje z szafki miseczkę do deserów i pod czujnym spojrzeniem pustułka - jednego z należącej do Bena kolekcji rzeźbionych w drewnie ptaków porozwieszanych po całym domu - napelnia ją wodą z kranu. Ciekawe, co on teraz porabia? - myśli, spoglądając na zegarek i próbując oszacować różnicę czasu między Connecticut a Afryką Wschodnią. Tam jest co najmniej siedem godzin później, a więc w buszu muszą już zalegać kompletne ciemności.

W zamyśleniu nalewa za dużo wody, więc ujmuje miseczkę oburącz i ostrożnie przenosi przez salonik, żeby nie wychlapać wody na podłogę. Pies jednak nie czeka przy

drzwiach. Grace wychodzi na taras i zaczyna go przywoływać, rozglądając się na wszystkie strony, ale Syriusz zdążył gdzieś zniknąć tak samo niespodziewanie, jak się pojawił.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Słońce także już zaszło, zabierając ze sobą nadzieję minionego dnia. Od strony lasu dolatuje skrzekliwy wrzask kruka, a nad stawem zaczyna się tworzyć mgła, upodabniając jego powierzchnię do jej nastroju. Dochodzi już piąta po południu, tymczasem Grace, choć próbowała się skupić na lekturze, nie przejrzała jeszcze nawet dziesiątej części akt. Przeszkadza jej mocne, graniczące niemal z pewnością przecucie, że gdzieś na tych początkowych stu stronach jest coś, co wcześniej przeoczyła, a co mogłoby wskazać drogę do odkrycia prawdy.

Jest przeświadczona, że jej fotograficzna pamięć zarejestrowała ten szczegół, a umknęło tylko jego znaczenie, jakby przeoczyła wjazd do lasu z bocznej drogi. Ale wie również, że dalsze ślęczenie nad papierami i odtwarzanie wcześniejszego toku rozumowania nic nie da, nie pomoże teraz odnaleźć punktu wyjścia, lecz jedynie bardziej wszystko zagmatwa.

Odsuwa akta, wstaje i idzie do kuchni, mając zamiar wziąć sobie coś do jedzenia, ale w lodówce nie ma niczego, na co miałyby ochotę. Pojechałyby do Essex na zakupy, gdyby miasto nie było oddalone o piętnaście kilometrów. I tak będzie musiała się tam wybrać przed powrotem Bena, ale on ma wrócić dopiero za cztery dni, postanawia więc odłożyć wyprawę, usprawiedliwiając się bólem w nodze i stłuczonym ramieniem.

Przynosi ze spiżarni puszkę kremowej zupy pomidorowej Heinza, którą ojciec przywiózł im w prezencie z rejsu do Anglii - pysznej słodkawej potrawy, od której jest niebezpiecznie uzależniona, jak mawia Ben. Podgrzewa zupę w rondelku i przelewa do kubka, z którym idzie do łazienki na górze i puszcza ciepłą wodę do wanny - olbrzymiej jacuzzi, którą zamontowali z Benem specjalnie po to, by móc się kąpać razem, gdyż zazwyczaj to wspólne pluskanie nie kończy się samą kąpielą.

Uśmiecha się na tę myśl, zarazem tłumiąc w sercu tęsknotę, jaką wywołuje. Wraca jeszcze raz do kuchni, wyjmuje z szafki kieliszek, a z lodówki pełną do połowy butelkę białego wina. Ben z pewnością wyraziłby dezaprobatę dla picia o tak wczesnej porze, ale na szczęście nie ma go w domu.

Po powrocie do łazienki napelnia kieliszek winem i wlewa do wanny dużą porcję płynu do kąpieli. Rozebrała się w sypialni, stanęła nago przed lustrem, żeby przyjrzeć się

rozległemu siniakowi biegnącemu ukosem od lewej strony szyi i rozlewającemu się na łopacie. Z radością przyjęła, że wyraźnie pozółkł na brzegach, co oznaczało, iż zaczyna się wchłaniać. Za to na udzie nie widać żadnych zmian, z pozoru nie istnieje przyczyna nękającego ją bólu.

Nastawia muzykę i po namyśle wraca jeszcze na dół po akta operacji. Nie chce ich dłużej przeglądać, przynajmniej na razie, postanawia jednak trzymać je przy sobie w łazience podczas kąpieli, chcąc w ten sposób dotrzymać słowa danego Kitty Lopez, że ilekroć wyciągnie kopię dokumentów z kryjówki, nawet nie chwilę nie spuści ich z oka.

Po zmroku za drzewami widać delikatną poświatę padającą z okien sąsiedniego domu, chociaż on sam jest niewidoczny. Miller's Reach stoi bowiem na uboczu, z dala od innych siedzib ludzkich, co zresztą było jednym z ważniejszych powodów, dla których wybrała tę posiadłość. Pod wieloma względami dom przypomina jej stary angielski dwór z czasów króla Jerzego, w jakim mieszkali do czasu zniknięcia matki. Grace wychowywała się w samotności i bardzo ją lubiła, po powrocie ze szkoły zamykała się w swoim pokoju na poddaszu tak szybko, jak tylko mogła, żeby w spokoju doczekać tam kojącego zmierzchu. Ku wielkiej konsternacji ojca, wyrosła na stroniącą od życiowych przyjemności samotnicę, która nie tylko nie miała bliskich przyjaciół, lecz wcale ich nie potrzebowała. Sytuacja niewiele zmieniła się do dziś. Grace nadal bardzo dobrze czuje się po ciemku, a wyjąwszy Bena, rzadko tęskni za towarzystwem drugiego człowieka.

Włożywszy jego frotowy szlafrok kąpielowy, który jeszcze delikatnie pachnie męskimi kosmetykami, siada na podłodze w saloniku, opierając się plecami o fotel, z niedopitą lampką wina w dłoni. Poza cichymi sykami i trzaskami polana płonącego w kominku w całym domu panuje kompletna cisza. Przynajmniej na razie zdołała się uwolnić od ducha zmarłej koleżanki i bolesnych wspomnień jej tragicznej śmierci, próbuje się więc skoncentrować na tym dręczącym ją przecuciu.

Tę jej niezwykłą zdolność naprowadzania nitek umysłowego celownika na właściwy punkt Cutter nazywa wprost snajperskim okiem.

Przez dłuższy czas siedzi bez ruchu, gapiąc się w ogień, i próbuje przywołać w myślach to ulotne skojarzenie wywołane informacjami znajdującymi się w aktach, ale czuje, że albo puściła je w niepamięć, albo zostało zatarte przez świeższe wspomnienia.

Ogień w kominku już dogasa, kiedy wreszcie wstaje z podłogi i zabierając ze sobą kopię akt, idzie do swego pokoju, odczuwając coraz silniejszą senność.

Na stoliku stoi halogenowa lampka, w której blasku szklany blat skrzy się niczym brylant. Gdy tylko wzrok przyzwyczaja się do tego oświetlenia, od razu dostrzega to, co

ledwie zarejestrowała w mętym świetle dnia. Na pierwszej stronie jej wstępnego raportu opisującego rozmowę z Vincentem Regalem, w prawym górnym rogu kartki, widnieje ledwie zauważalny niebieskawy ślad, nie większy niż odcisk dziecięcego palca.

Pospiesznie sięga po lupę, pod którą plamka przybiera kształt płatki róży. Ale w powiększeniu widać też niemal identyczny, jeszcze mniej wyraźny ślad na drugiej kartce, na trzeciej i na czwartej. Błyskawicznie przekartkowuje cały raport, potwierdzając swoje obawy: takie same ślady widnieją na wszystkich kartkach sprawozdania.

Na krótko ogarnia ją paniką aż musi zaczerpnąć kilka głębszych oddechów, żeby uspokoić napięte nerwy. Znacznie trudniej jest stłumić natłok oskarżycielskich myśli i skoncentrować się na tym, co należy dalej robić.

Jest już prawie druga w nocy, kiedy podnosi słuchawkę, łączy się z dowódcą nocnej straży w Gmachu Marscheidera i prosi o domowy numer telefonu Kitty Lopez.

Spotyka się ze stanowczą odmową. To efekt innego zarządzenia Cuttera, zgodnie z którym pracownikom wydziału nie wolno nikomu ujawniać poufnych danych osobowych, nawet jeśli rozmówca przedstawia się jako zastępca kierownika sekcji operacyjnej.

- W takim razie proszę ją powiadomić, żeby zaraz do mnie zadzwoniła - mówi Flint, z trudem nad sobą panując.

- Teraz? W środku nocy?

- Wystarczy, jak jej pan powie, że znalazłam płatki róży. Proszę to zrobić jak najszybciej.

Ciemność zaczyna jej się nagle wydawać groźna, toteż czekając na reakcję Lopez, kręci się po całym domu, wszędzie zapalając światła. Zaparza sobie mocną kawę i dorzuca drew do kominka. Wreszcie szybko się ubiera. Zapina już żakiet, kiedy dzwoni telefon.

Kitty nie marnuje czasu na zbędne słowa.

- Znalazłaś płatki róży? Jakiego koloru?

- Niebieskie - wyjaśnia Flint.

Na krótko zapada milczenie, jakby Lopez zastanawiała się, czy może podjąć ryzyko rozmowy na ten temat przez otwartą, niezabezpieczoną linię telefoniczną.

- Czyżby w odcieniu błękitu kobaltowego? - pyta wreszcie.

Grace nagle kojarzy, że prawie bezbarwny chlorek kobaltu reaguje na silne światło, tworząc intensywny niebieski barwnik, od którego powstały plamki na papierze, jeśli, dajmy na to, znajdowały się w fotokopiarce.

- Tak - odpowiada.

- W takim razie to chyba dowód na to, co podejrzewałaś.

- Najgorsze?

- Zgadza się. Najgorsze. - Kitty znów milknie na chwilę, po czym dodaje ciszej: - Zostaliśmy wystawieni.

Domowy numer Cuttera Flint zna na pamięć. Wybiera go na przenośnym aparacie w swojej sypialni i zasłuchana w monotonne sygnały, pospiesznie kończy się ubierać. Nikt nie podnosi słuchawki. Nikt nie odpowiada też pod numerem telefonu komórkowego.

Grace dzwoni więc ponownie do ochrony Gmachu Marscheidera i znów musi się użerać z dowódcą nocnej warty. Później mija jeszcze dwadzieścia minut, zanim nadchodzi odpowiedź i w słuchawce rozlega się zaspany głos Cuttera.

- Muszę się natychmiast z tobą zobaczyć - mówi Grace.

- Wiesz, która godzina?

- Znalazłam przeciek.

Zasłuchana w ciszę na linii, wyobraża sobie, jak szef przeciera klejące się oczy.

- Jestem na Florydzie.

- Gdzie?

- Przyjechałem, żeby porozmawiać z rodziną Ruth.

- W porządku. Złapię pierwszy samolot do Lauderdale.

- Jestem już w Miami.

- Dlaczego?

- Rozmowa w Boca Raton nie ułożyła się specjalnie po mojej myśli.

Nie doczekawszy się dalszych wyjaśnień, Flint mówi:

- W porządku, przylecę do Miami. Zadzwoń na twoją komórkę zaraz po wylądowaniu.

- Dobrze - odpowiada Cutter, po czym dodaje: - Mam nadzieję, Grace, że dysponujesz mocnymi dowodami.

Nie za bardzo, przemyka jej przez głowę, gdy odkłada słuchawkę. Mimo to zgarnia kopię akt i kilka rzeczy osobistych do torby podróżnej. Ale te, które mam, na pewno wystarczą, panie Cutter.

Kilka minut po czwartej nad ranem zamyka dom i wyrusza w podróż. Nie zostawia żadnej wiadomości dla Bena.

LOTNISKO GATWICK, LONDYN

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wraz ze szczegółowymi instrukcjami dotyczącymi fałszywej tożsamości Mandragora odebrał też ostrzeżenie, że niezależnie od tego, jak długo to potrwa i do jakiego stopnia będzie mu sprawiało przyjemność, nadejdzie taka chwila, kiedy wątpliwości zrodzą niepokój, a ten przekształci się w zżerający wewnątrzności strach przed wyjściem prawdy na światło dzienne. Powiedziano mu, że to normalne, z doświadczenia zaś wynika, że pierwsze wątpliwości pojawiają się wtedy, gdy nawet idealnie podrobiony paszport jest sprawdzany przez oficera straży granicznej. Miało to być pierwsze z najgorszych doświadczeń, bo jeśli wierzyć znawcom, specjaliści kontroli paszportowej, a przynajmniej najlepsi z nich, doskonale potrafią wyczuć ten niepokój bijący od człowieka i wziąć go na cel, jak z góry zaprogramowane pociski samonaprowadzające.

Mają wypracowane profile, tłumaczono mu, wciąż posługując się kryptonimem, choć według nowych dokumentów nazywał się teraz Tully. Ma podstawie wieloletnich doświadczeń potrafią natychmiast rozpoznać osoby podejrzane po nerwowych ruchach, sposobie chodzenia, specyficznym zapachu. Mogą dostrzec w twoich oczach rzeczy, których istnienia sam nie podejrzewasz, a pomaga im w tym rozbudowany system kamer. Nie zapominaj o tym, powtarzano. Jeśli nawet jesteś jeszcze piąty w kolejce do stanowiska urzędnika imigracyjnego, ludzie w przyległym pokoju już obserwują twoją twarz na ekranie monitora, wypatrują oznak podenerwowania czy zwątpienia.

A chyba wiesz, co się dzieje, gdy jesteś zdenerwowany, Mandragora? Zaczynasz szybciej mrugać oczami. Starasz się ukryć twarz pod maską obojętności, ale powieki ci trzepoczą jak skrzydła motyla. A to dopiero pierwsza z widocznych oznak. Twoje gruczoły potowe zwiększają wydzielanie, niezależnie od temperatury otoczenia. Możesz być na Syberii, gdzie oddech zamarza na wargach, lecz z prawej półkuli mózgowej do receptorów w skórze będą płynęły impulsy niepokoju, przez co gruczoły potowe zintensyfikują swoje działanie i zanim się spostrzeżesz, cała twarz będzie ci błyszczała jak wysmarowana olejem.

Na pewno ktoś to zauważy, Mandragora, wcześniej czy później, jak nie dziś, to jutro. Ludzie w przyległym pokoju wyczytają wszystko z twojej twarzy, jeśli nie nauczysz się odpowiednio reagować. Pamiętaj o tym, bo inaczej będziesz od razu spalony.

Rayland Tully stoi w kolejce do stanowiska urzędnika imigracyjnego w południowym terminalu lotniska Gatwick, wpatrując się z uporem w szeroki blady kark kobiety stojącej przed nim. Jest nadzwyczaj wysoka, prawie jego wzrostu, dzięki czemu piramida włosów zebranych w duży kok na czubku głowy powinna zasłaniać jego twarz przed obiektywami kamer.

Mimo to, na wszelki wypadek, żuje powoli gumę, co pozwala mu zamaskować mimowolne skurcze mięśni szczęki - kolejny widomy znak podenerwowania - i koncentruje się na dźwiękach muzyki odtwarzanej z pamięci. Pragnąc jak najskuteczniej odgraniczyć niepokój od części mózgu odpowiedzialnej za interpretację wrażeń słuchowych, zdecydował się na powolny fragment z sonaty G-dur Bacha, w którym wyjątkowo po mistrzowsku splatają się tony fletu, wiolonczeli oraz klawesynu.

Kolejka przesuwa się powoli, jest już drugi.

Na większości lotnisk, które dotąd odwiedzał, trzeba samemu wybrać kolejkę, a tym samym urzędnika sprawdzającego dokumenty. Ten mógłby nabrać podejrzeń i zacząć zadawać kłopotliwe pytania, więc wydawałoby się oczywiste, że lepiej rozmawiać z młodszym, mniej odpornym na takie pozory, jak wygląd zewnętrzny i uprzejmość. Ale według doświadczenia Tully'ego młodzi urzędnicy są gorsi, ponieważ wciąż wierzą, że dużo od nich zależy, a najgorsze są kobiety, gdyż podświadomie bez przerwy muszą się wykazywać bardziej od kolegów. Mając to na uwadze, Tully zawsze wybiera starszych mężczyzn i okazuje im najwyższy szacunek, zwracając się do nich „sir”.

Jednakże na Gatwick nie ma wyboru, pojedyncza kolejka wije się do kontuaru, przy którym trzeba podejść do pierwszego wolnego stanowiska.

- Następny - pada znudzonym głosem polecenie i kobieta o bladej cerze z wielką piramidą koka na głowie rusza na spotkanie swego przeznaczenia. Niemal natychmiast, nie zostawiając nawet chwili do namysłu, rozlega się kolejne identyczne polecenie. Przychodzi kolej na Tully'ego, któremu przemyka przez głowę, że to nie jest jego szczęśliwy dzień.

Dwudziestoletnia kobieta o pożółkłej skórze i wąskich zaciśniętych wargach z kącikami ust silnie wygiętymi ku dołowi na kształt odwróconej litery V.

W ogóle nie reaguje, kiedy Tully staje przed nią i kładąc na kontuarze dokumenty, paszport, kartę pokładową oraz bilet powrotny, obojętnym tonem mówi:

- Cześć.

Otwiera paszport, spogląda na zdjęcie, potem na niego i szybko zaczyna przerzucać kartki, odczytując napisy na wszystkich stemplach poświadczających przekroczenie granicy,

jakby chciała z nich wywnioskować coś istotnego na temat człowieka podającego się za Raylanda Tully'ego.

- Skąd przylecieliśmy? - pyta, chociaż jest to wypisane wielkimi literami na karcie pokładowej. Głos ma przyjemniejszy, niż można by się spodziewać, miękki kontrakt nastrojony pół oktawy poniżej jednokreślnego c.

- Z Bostonu - odpowiada. - Z przesiadką w Nowym Jorku.

- Jaki jest cel pańskiej wizyty?

- Kilka drobnych spraw służbowych, ale głównie turystyczny. - Z trudem hamuje szeroki uśmiech. - Przede wszystkim jestem na urlopie.

Nie próbuj ich przechytryć, Mandragora. Nie gadaj za dużo i niczego nie wyjaśniaj, jeśli nie zostaniesz o to zapytany, gdyż tak właśnie robią ludzie mający coś do ukrycia.

Najlepiej tylko krótko odpowiadaj na pytania.

Ale kobieta nie patrzy na niego, wciąż uparcie przerzuca kartki paszportu.

- O jakie sprawy służbowe chodzi?

- Reklama - kłamie, gdyż w portfelu ma wizytówki, zgodnie z którymi Rayland Tully jest współnikiem w firmie „Baikoff, Ducas & Tully, doradztwo reklamowe”, mieszczącej się w Nowym Jorku przy Lexington Avenue. Gdyby zarządzono szczegółową kontrolę, w dokumentach firmy rzeczywiście znalazłoby się potwierdzenie, że jest jednym z trzech współników, mimo że nigdy nie przekroczył progu nowojorskiej siedziby, nigdy nie widział na oczy Baikoffa ani Ducasa nawet z nimi nie rozmawiał.

- Kiedy ostatnio był pan w Zjednoczonym Królestwie?

To podchwytliwe pytanie, gdyż ze stempli w paszporcie zna już wszystkie daty jego przylotów i wyjazdów z Wielkiej Brytanii.

Musisz je zapamiętać, Mandragora. Bez chwili wahania powinieneś wymienić, kiedy i gdzie przebywałeś.

- We wrześniu ubiegłego roku - mówi. Mógłby przytoczyć nie tylko dokładne daty, ale nawet trasę i inne szczegóły całkowicie fikcyjnej podróży, woli jednak nie robić tego z własnej woli.

Na pierwszy rzut oka widać, że urzędniczka ma jakieś wątpliwości. Ogląda jego bilet, później kartę pokładową, wreszcie znów zaczyna kartkować paszport. Tully stoi bez ruchu, z rękoma w kieszeniach, obserwując jej twarz. Chcąc odegnać niespokojne myśli, przesuwa spojrzeniem po sylwetce i dochodzi do wniosku, że jest nawet niebrzydka. Ma ładne włosy, ciekawe oczy i drobny, lekko zadarty nosek. W mundurze trudno ocenić jej figurę, ale

sprawia wrażenie zgrabnej i wygimnastykowanej. Zapewne w innych okolicznościach spróbowałby ją poderwać, choćby tylko po to, żeby sprawdzić, jak daleko może się posunąć.

Przy którymś stanowisku z tyłu wszczyną się rwetes przyciągający uwagę wszystkich. Tully ogląda się i widzi, że kobieta z dużym kokiem zaczyna wyciągać z pękatej torebki jakieś papiery. Protestuje coraz głośniejszym, niemal histerycznym głosem. Patrzy z powrotem na kontrolującą go urzędniczkę i podejmuje ryzyko lekkiego wzruszenia ramionami oraz wstydliwego uśmiechu, jakby chciał powiedzieć: Co za ludzie!

- Proszę zaczekać - rzuca kobieta i daje głową znak przez lewe ramię.

Oni tylko wykonują swoje zadanie, Mandragora. W ten sposób powinienes ich oceniać. Z pełnym zrozumieniem, może nawet wdzięcznością. Zależy ci, żeby sumiennie spełniali obowiązki, wylapywali terrorystów, kurierów narkotykowych i pedofilów. Z drugiej strony byłoby nienaturalne, gdybyś nie okazywał choć odrobiny zniecierpliwienia. Tully powinien spoglądać na zegarek i wyrozumiale kiwać głową, lecz w gruncie rzeczy jest po ich stronie. Jak każdy uczciwy obywatel nie widzi żadnego problemu, jeśli nawet musi zaczekać parę minut na sprawdzenie jego danych w komputerze. Rozumiesz?

Albo pod kontuarem jest jakiś guzik, który kobieta nacisnęła, albo po prostu obserwowali zajście na ekranie.

Mężczyzna, który podchodzi do sąsiedniego stanowiska, równie dobrze mógłby mieć wytatuowane na czole: TAJNIAK - kamienna twarz, byczy kark, niezbyt dopasowany popielatoszary garnitur i brązowe skórzane buty. Pewnie z wydziału specjalnego, myśli Tully. Najwyraźniej nie jest specjalnie bystry, bo inaczej nie pełniłby służby na lotnisku, ale i tak z pewnością jest bardzo niebezpieczny.

Przygląda się obojętnie, jak jego dokumenty poddawane są dalszym oględzinom, usiłując nie dać po sobie poznać najdrobniejszego zaniepokojenia. Prawdę powiedziawszy, paszport jest niemalże kuloodporny. Mogą go poddawać wszelkim testom i sprawdzać wszystkie komputerowe bazy danych, a i tak niczego nie znajdą. Jego autentyczność potwierdzają odpowiednie wpisy w papierach amerykańskiego biura paszportowego.

Tully zdaje sobie jednak sprawę, że dokładniejsza kontrola zarządzana przez oficerów straży granicznej może wywołać podejrzenia „przyjaciół” co do jego wiarygodności, dla nich bowiem to on jest najsłabszym ogniwem. Byłby idiotą, gdyby się łudził, że po wypełnieniu zadania nie zostanie uznany przez nich za niepotrzebny i potencjalnie groźny.

Stąd też przez następny kwadrans - dopóki bez specjalnego entuzjazmu nie zostanie uznane jego prawo do przekroczenia granicy Zjednoczonego Królestwa - stara się przede

wszystkim nie myśleć o tym, że w gruncie rzeczy najbardziej boi się właśnie owych „przyjaciół”.

- Jakieś kłopoty? - pyta Ridout, stojąc w otwartych drzwiach wagonu i spoglądając z góry, jak Mandragora chowa w dłoni zabronionego papierosa, chciwie zaciągając się dymem.

- Strasznie długo trzymali cię na kontroli paszportowej.

- Nic szczególnego - odpowiada ostrożnie.

- Ale sprawdzali cię dokładnie, prawda? - Ridout uśmiecha się pobłaźliwie. -

Przepuścili przez wyżymaczkę?

Znając rozległe kontakty jego przyjaciół, Mandragora dobrze wie, że nie ma sensu go okłamywać.

- Trafiłem na sukę w kiepskim nastroju. - Jeszcze raz zaciąga się papierosem. - Może pokłóciła się z narzeczonym?

- Takie są najgorsze.

Na całej długości składu trzaskają zamykane drzwi. Do odjazdu pozostała tylko minuta.

- Więc może nasz drogi Tully powinien już zakończyć swoje krótkie, bardzo użyteczne życie? Jak sądzisz?

- Sam się tym zajmę - odpowiada. Ridout zeskakuje z powrotem na peron.

- Lepiej zostaw to mnie - mówi, wyciągając rękę na pożegnanie.

Mandragora pstryka niedopałek na tory, sięga do kieszeni i wyciąga paszport na nazwisko Raylanda Tully'ego. Nie ma innych dokumentów.

- Oczywiście dostaniesz nowe papiery. - Ridout uśmiecha się jeszcze raz, tak samo fałszywie. - Zajmie to kilka dni. Bądź w kontakcie.

Kiedy mężczyzna, który jeszcze przed chwilą był Tullym, a teraz nie ma żadnej tożsamości, odwraca się, żeby wsiąść do pociągu, tamten łapie go za rękę.

- A co z Benem Gatesem? - pyta. - Jak się domyślam, nie ma go już wśród nas, wyruszył w drogę na spotkanie ze stwórcą, prawda?

- Przeszedł do historii.

- To pewne?

Ujrzawszy szybkie skinienie głową Ridout uwalnia go wreszcie z uścisku.

COCONUT GROVE, FLORYDA

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Aldus Cutter, zanim dał się namówić na objęcia stanowiska dyrektora Wydziału Ścigania Przepływów Finansowych - jak obiecywano, najbardziej pasjonującego, ekscytującego i najlepiej opłacanego spośród wszystkich służb zajmujących się zwalczaniem prania brudnych pieniędzy - i przeniósł się do Nowego Jorku, kierował regionalnym biurem policji federalnej w Miami i zdążył się elegancko urządzić w przestronnym drewnianym kolonialnym domu przy Poinciana Avenue, otoczonym dużym ogrodem, ocienionym gęstą tropikalną roślinnością, z basenem kąpielowym na tylnym podwórku.

Ociągał się z przeniesieniem głównie z powodu konieczności rozstania się z tym kawałkiem rajy, ale miał też pełną świadomość, że nowa praca wcale nie będzie tak wspaniała, jak obiecywano, dlatego postawił twarde warunki. Ostatecznie dał się przekonać, gdy do kuszącego wynagrodzenia zwierzchnicy dorzucili jeszcze bezpłatny służbowy apartament na Manhattanie, pozwalając mu jednocześnie zatrzymać dom w Coconut Grove.

- Tak więc możesz tu mieszkać tak długo, jak tylko zechcesz - oznajmił wspaniałomyślnie swojej żonie, która z typową dla południowca pogardą traktowała wszystkie tereny na północ od Wirginii.

Wzięła jego słowa za dobrą monetę. Urządziwszy mu służbowe mieszkanie, co uważała za swój obowiązek, nigdy więcej nie pojawiła się w Nowym Jorku. On zaś tylko na początku w każdy weekend podejmował pielgrzymki na Florydę. Stopniowo jeździł coraz rzadziej, i to nie tylko z powodu nawału obowiązków w nowej pracy, ale też ze względu na wyraźne ochłodzenie stosunków z żoną. Z tęsknoty za swoim przytulnym domem pocieszał się myślą, że już niedługo będzie mógł przejść na emeryturę, a wtedy na pewno znajdzie czas, aby naprawić tutaj wszystko, co wymagało naprawy, oczywiście nie wyłączając swego małżeństwa, jeśli tylko będzie taka możliwość.

Pod tym względem jednak się przeliczył.

Przecisnąwszy się obok wielkiego wozu meblowego tarasującego cały podjazd, Grace wchodzi przez szeroko otwarte drzwi frontowe wprost do salonu z antresolą, prawie całkiem już pustego, gdzie Cutter siedzi w otoczeniu wypakowanych kartonów i arkuszy folii pęcherzykowej. Twarz ma zaczerwienioną, jest rozebrany do pasa, w samych szortach, z błyszczącym od potu, niemal pozbawionym owłosienia torssem. W garści trzyma puszkę piwa

Millera. Przez werandę widać kilka identycznych puszek dryfujących w basenie kąpielowym, a przecież jest jeszcze przedpołudnie.

- Ciężka praca - mówi Grace, starając się, by nie zabrzmiało to złośliwie.

- Lepiej nie zaczynaj - warczy w odpowiedzi Cutter zachrypniętym głosem. - Napijesz się?

- Czego?

- Piwa, na miłość boską - mówi, podnosząc w górę puszkę. Grace nie ma specjalnej ochoty na piwo, ale ton szefa skłania ją do wniosku, że powinna mu dotrzymać towarzystwa.

- Jasne. Czemu nie?

Cutter obojętnie macha ręką w stronę kuchni.

- W lodówce. Jeśli jest tam jeszcze lodówka.

Powód jego irytacji leży na kuchennym blacie. To wyczerpujący spis inwentarza posiadłości przy Poinciana Avenue wydrukowany na firmowym papierze miejscowej kancelarii adwokackiej i opatrzony dużym nagłówkiem: „Sprawa Cutter kontra Cutter”. Bardziej z przyzwyczajenia albo poczucia obowiązku niż z ciekawości Grace odwraca kartkę, żeby ocenić zakres tej listy, i szybko się przekonuje, że podziału majątku w wyniku rozwodu żadną miarą nie da się nazwać równym. Sąd przyznał pani Cutter większość wyposażenia domu, nie wyłączając lodówki.

- Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? - pyta szef głośno z salonu. - Że jesteś aż tak naiwna, by uważać mnie za naiwnego.

Grace puszcza to mimo uszu, nie bardzo wiedząc, co konkretnie miał na myśli. Mimo to czuje, że wbrew sobie się rumieni.

- Ciekaw jestem, ile czasu poświęciłaś na wymyślenie tej bajeczki, którą chciałaś zamydląć mi oczy. - Cutter urywa na chwilę, po czym dodaje: - Mówię o aktach. - Znów na kilka sekund zapada cisza. - I jak? Lodówka jest tam jeszcze?

- Tak jest, proszę pana - odpowiada Grace przez ściśnięte gardło.

- Więc nie marnuj czasu na lekturę tego, co ciebie nie dotyczy, weź piwo i wracaj. Musimy sobie parę rzeczy wyjaśnić.

To prawda, przemyka jej przez głowę. Bierze głębszy oddech. W porządku, panie Cutter. Ale obdzielimy się nawzajem całym tym gównem.

Wyjmuje z lodówki dwie puszkę piwa Millera, zamyka ją z trzaskiem i z dumnie podniesioną głową wkracza do salonu.

- Mnie także miło pana widzieć, panie Cutter. A skoro był pan tak uprzejmy i zapytał, podróż upłynęła spokojnie. Co się zaś tyczy pańskiej ciekawości, rzeczywiście zamierzałam skłamać. - Energicznie otwiera jedną po drugiej obie puszkę. - Mówię o aktach.

- Zamierzałaś skłamać na temat sposobu, w jaki je zdobyłaś?

- Zgadza się.

- Na przykład, że wcale nie dostałaś ich od Kitty, że o niczym nie wiedziała?

- Owszem. - Grace pociągnęła łyk piwa prosto z puszkę, podając mu drugą.

- Naprawdę wymyśliłaś jakąś bajeczkę? - pyta, biorąc od niej puszkę.

- Prawie.

- Matko Boska. I nie przyszło ci do głowy, że sam kazałem Kitty dać ci kopię?

Kazałem jej też naznaczyć papier, żebyśmy wiedzieli, czy ktoś jeszcze raz nie skopiuje akt.

- Za późno doszłam do tego wniosku, panie Cutter. Rodzi się więc pytanie, kogo jeszcze pan wtajemniczył, że mam kopię.

Flint siedzi w cieniu nad basenem, przyglądając się z zasepioną miną, jak Cutter strzela do pływających puszek z niewielkiego rewolweru kalibru 9,65 milimetra, który zazwyczaj nosi w kaburze na łydce. Przychodzi jej na myśl, że lada chwila zjawią się tu na sygnale wozy patrolowe miejscowej policji wezwanej przez sąsiadów zaniepokojonych strzelaniną, ale biorąc pod uwagę wisielczy nastrój Cuttera, zapewne nie po raz pierwszy tego dnia przy Poinciana Avenue padają strzały. W każdym razie dwaj Latynosi, którzy pokrzykują na siebie gniewnie, usiłując wytaszczyć olbrzymią lodówkę do wozu meblowego, w ogóle nie reagują jakby wcale nie słyszeli kanonady.

Wcześniej Cutter przyznał, że Kitty Lopez zadzwoniła do niego w nocy z wiadomością o odkryciu przez Flint kobaltowych plamek na kartkach swojej kopii akt. Zawiadomiła go, zanim Grace zdążyła przez telefon obwieścić swoją rewelację, że znalazła przeciek.

- Mogłeś mi powiedzieć! - wykrzyknęła ze złością, ale pod wpływem jego karcącego spojrzenia szybko odwróciła głowę.

Później zaś przekonał ją skutecznie, że nikt z całego wydziału, poza nim i Kitty Lopez, nie wiedział o istnieniu tej kopii akt, którą ukryła w Miller's Reach, więcej, nie mógł się tego nawet domyślać. W ten sposób oboje stanęli w obliczu jedyne innego wyjaśnienia. W nietypowy dla siebie sposób Cutter umilkł nagle, powstrzymując się przed zadaniem na głos pytania, które ją dręczyło już co najmniej od dziesięciu godzin, a którego efektem był wciąż ten sam wniosek.

Kto jeszcze mógł wiedzieć o istnieniu kopii akt? Ben.

Wciąż powstrzymując się od przejścia do sedna sprawy, Cutter pyta:

- Chcesz popływać? - Ale złowiwszy jej spojrzenie, szybko dopowiada: - Nie. To nie najlepszy pomysł.

Dobrze wie, że Grace ma awersję do takich basenów. Nie dalej jak pięć kilometrów stąd, podczas jednej z zaplanowanych przez niego tajnych operacji, leżała pewnego razu prawie naga nad basenem hotelu Buccaneer pod czujnym okiem rosyjskiego zbira o imieniu Władimir, który dostał rozkaz zlikwidowania jej, gdyby sprawy potoczyły się nie tak, jak należy. W gruncie rzeczy sprawy nigdy nie toczyły się dokładnie po myśli Władimira i Flint nie ma złudzeń, że wtedy pewnie wykonałby rozkaz, gdyby wcześniej nie popełnił drobnego błędu, a mianowicie, nie przyciągnął jej do siebie i nie wpakował łapy między nogi, dając snajperom z grupy wsparcia okazję, na którą tylko czekali.

Dla niej jednak cała historia się na tym nie skończyła. Ostatnie żałosne chwile życia Władimira, żałosne również dla niej, zostały utrwalone na taśmie wideo, którą mniej więcej rok później jakiś czubek wykradł z magazynu dowodów rzeczowych i zdjęcia udostępnił w Internecie, na stronie pornograficznej zatytułowanej „Dziewczynki w akcji”. Kiedy tylko się o tym dowiedziała, wpadła w szal, a Cutter poruszył niebo i ziemię, żeby zamknąć całą stronę sieciową. Było jednak za późno. Zdjęcia błyskawicznie rozprzestrzeniły się po sieci niczym zaraza. Do dziś były w niej dostępne, wystarczyła odrobina dociekliwości i dostęp do najprostszej wyszukiwarki, by je zobaczyć.

- To było głupie pytanie - mruczy Cutter z przeproszającym uśmiechem.

- Masz następne?

- Na przykład?

- Chociażby... - Grace z trudem przełyka ślinę - ...czy Ben wiedział o istnieniu kopii?

Cutter przekrzywia głowę na bok, mruży jedno oko i starannie mierzy z rewolweru do jednej z ocalałych puszek.

- Nie - odpowiada - ponieważ gdyby tak było, już byś mi o tym sama zakomunikowała. - Naciska spust i pochrząkuje z aprobatą, gdy trafiona puszka wyskakuje w powietrze. - Mam rację?

- Więc może: czy Ben mógł się o niej dowiedzieć?

- To już brzmi znacznie lepiej. - Odwraca się, żeby na nią spojrzeć. - W każdym razie ma ręce i nogi. Pytałaś go o to?

- Ciągle jest za granicą, w Afryce Wschodniej. Cutter kiwa głową.

- Ogląda ptaki?

- Obserwuje. Nie nazywają tego inaczej niż obserwacją, panie Cutter. Powinien wrócić w poniedziałek wieczorem.

Szef znowu kiwa głową i kieruje ponownie uwagę na puszki w basenie. Pozostała już tylko jedna nieprzeziurawiona kula.

- Więc wtedy go zapytasz - mówi, jakby obwieszczał fakt dokonany. - W poniedziałek wieczorem.

Później, gdy Flint jest wreszcie sama w pokoju hotelu Buccaneer, gdzie postanowiła spędzić noc, czując się zbyt zmęczona, by wracać od razu do Connecticut, zadaje sobie pytanie: Dlaczego nie wystąpiła w obronie Bena? Dlaczego w ogóle się nie odezwała, gdy Cutter rzucił cień podejrzania na jej męża?

Może sobie na nie odpowiedzieć dopiero teraz, leżąc w półmroku na łóżku, wyciągnąwszy z gniazdka wtyczkę kabla telefonicznego.

Ben? Sądzisz, że to Ben skopiował akta? Niech pan da spokój, panie Cutter! Przecież to śmieszne!

Czy Ben nie mógł się domyślić, że ukryłam coś w stodole? Tak, pewnie mógł. Chyba na pewno się domyślił, tylko nie powinno go to nic obchodzić. Może mi pan wierzyć, panie Cutter, że nie ma na świecie osoby, która mniej niż Ben Gates dbałaby o to, jak zarabiam na utrzymanie. On żyje w zupełnie innym świecie, co zresztą bardzo sobie cenię pośród wielu innych jego zalet, panie Cutter. Wystarczy, że usłyszysz o praniu brudnych pieniędzy, a natychmiast oczy zaczynają mu się kleić. Jedyne, o co się troszczy, z wyjątkiem mnie, mam nadzieję, to perkozy wielkoczułe, zresztą nie tylko perkozy, ale również gwarki, kardynały czy dzięcioły. Zwłaszcza dzięcioły. Lepiej nie zaczynać z nim rozmowy na temat dzięciołów, panie Cutter, bo będzie pan miał cały dzień z głowy.

Jego jedyną pasją są ptaki. Uwielbia muzykę Bacha, dużo wie o gąsienicach motyli i muszlach morskich mięczaków, zna się trochę na skamieniałościach, rybkach akwariowych albo niedźwiedziach polarnych, ale żyje wyłącznie ptakami. Tylko dla nich pływa po morzach i lata rozklekotanymi samolotami, ledwie zdolnymi do wzbicia się w powietrze.

Wie pan, co to jest „fizz”, panie Cutter? Jeśli mnie pamięć nie myli, piloci RAF-u z czasów drugiej wojny światowej tak określali umiejętność rozpoznawania z daleka typów samolotów na podstawie wielkości i sylwetki. Ale dla miłośników ptaków „fizz” to pełna lista gatunków, jakie mieli okazję w życiu obserwować, a Ben swoją zaczął spisywać, kiedy miał siedem lat. Choć to zabrzmiało niewiarygodnie, mieszkał wówczas w Nowym Jorku i całymi dniami włóczył się po Central Parku z prawnikiem Teddy'ego Roosevelta i teatralną lornetką

jego matki. Właśnie wtedy jako pierwszego umieścił na swojej liście mysikrólika. A może to była sikorka? Już nie pamiętam.

W każdym razie, panie Cutter, mówimy o człowieku, który uważa za osobistą zniewagę, że nie dano mu zobaczyć żywego ptaka dodo. Kiedy planowaliśmy nasz miesiąc miodowy, Ben zaproponował wyprawę na Mauritius, tylko dlatego, że to ojczyzna tego wymarłego gatunku. Ale powiedziałam mu: „Nic z tego, kolego”, bo miałam już na oku Australię i Wielką Rafę Koralową, a ściślej mówiąc, wysepkę o nazwie Hayman, gdzie nie ma nic poza hotelem oraz kapliczką w której można uroczyście poświęcić związek małżeński, co zresztą zrobiliśmy. To niezwykle miejsce. Polecieliśmy więc na drugi koniec świata, żeby tam złożyć przysięgę przed ołtarzem i przez parę dni pławić się w luksusie. I pewnie pan nie uwierzy, panie Cutter, lecz okazało się, że i tam można obserwować ptaki. Na Hayman mieszka aż osiemdziesiąt pięć gatunków i klnę się na Boga, że musieliśmy zobaczyć wszystkie, co do jednego. Ben budził mnie o czwartej nad ranem, choć proszę nie zapominać, że spędzaliśmy tam miesiąc miodowy, żebyśmy mogli zobaczyć wracające po nocnych hulankach owocożerne nietoperze wielkości pelikanów.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Anglii, żeby odwiedzić mojego ojca, a później we Francji, gdyż oboje mamy francuskich przodków, choć Bena i to nie obchodzi. W każdym razie, gdy chciałam mu pokazać La Rochelle, skąd wywodzi się rodzina mojej matki, łaskawie zgodził się spędzić tam pół dnia, ponieważ wpadł na pomysł odwiedzenia stacji biologicznej w Camargue, gwoli ścisłości chyba jedynej budowli na tamtejszych bezkresnych mokradłach, gdzie przesiedzieliśmy aż pięć długich dni. Którejś nocy, gdy Ben wypuścił się na wzgórze, żeby zobaczyć puchacza albo jakąś inną sowę, zajrzałam do jego dziennika.

Tak, wiem, ale jeszcze raz przypominam, że byliśmy w podróży poślubnej, a sądziłam, że zapisał choć parę słów na mój temat, gdyż tamtego popołudnia... No cóż, mniejsza z tym. W każdym razie zajrzałam do jego dziennika.

I wie pan, co tam znalazłam, panie Cutter?

„Obudził mnie krzyk dudka. Po południu...” - to znaczy wczesnym popołudniem, zanim udało mi się zwrócić na siebie jego uwagę - „...widziałem stado flamingów wzbijających się do lotu z murów zamku Aigues Mortes. A o zachodzie słońca obserwowałem zapadające na noc błotniaki”.

Rozumie pan wreszcie, panie Cutter?

Ben Gates naprawdę żyje w innym świecie. Nie dba o jedzenie, ciuchy, samochody ani pieniądze, chyba nawet nie umie prawidłowo wypisać czeku. Jego obchodzi tylko ja,

ptaki, żaglówki, złom zdolny do wzbicia się w powietrze i Bach, niekoniecznie zawsze w takiej kolejności.

Więc teraz pozwolę sobie zapytać, panie Cutter: Czy on sprawia wrażenie człowieka zdolnego skopiować każdą cholerną stronę tajnych akt?

Zadowolona z tej mowy obronnej, zanurza się w objęcia snu, nie zadając sobie nawet trudu, żeby się rozebrać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Senny koszmar ma postać urywanych obrazów, epizodycznych scen, w których rzeczywiste zdarzenia mieszają się z najgorszymi wyobrażeniami.

Leży na schodach piętrowego garażu w Belgravia, a Clayton Buller miażdży obcasem jej twarz, wyzywając przy tym od najgorszych, ale jakimś cudem ma głos jej pierwszego męża, Jamiego, który w następnej scenie zrywa się od stołu, ciska serwetkę na podłogę i obrzuca ją spojrzeniem mówiącym jednoznacznie, iż życzy jej rychłej śmierci.

- Suka! Zdzira! Szmata!

Tym razem głos należy do jej drugiego męża, Bena Gatesa, i to on we własnej osobie, ten najczulszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkała, celnymi kopniakami wybija jej resztki połamanych już zębów.

Przekreca się na wznak i widzi Ruth Apple spadającą wprost na nią spod ciemnych deszczowych chmur, co z kolei odbywa się w całkowitej ciszy.

Jej ojciec mówi:

- Kocham cię nad życie, Gracie.

Ale gdy odwraca się do niej, cały przód chirurgicznego fartucha ma zachlapany krwią, a w ręku trzyma młotek.

Potem Flint stoi nad grobem matki i patrzy na grabarzy zsypanych ziemię w głąb wykopu, a do jej uszu dociera głuchy rytmiczny huk, z jakim wielkie grudy gliny lądują na wieku pustej dębowej trumny.

Gwałtownie wyrwana ze snu, na trzask wyważanych drzwi błyskawicznie stacza się z łóżka na podłogę, jednocześnie wyszarpując broń spod poduszki, klęka i mierzy w kierunku drzwi.

Jarrett Crawford ostrożnie zagląda do środka i mówi:

- Wiesz co, Grace? Wielu ludziom ułatwiłabyś życie, gdybyś zechciała odbierać te cholerne telefony.

Za nim w korytarzu stoi dwóch gliniarzy w granatowych mundurach, jeden z nich trzyma w rękę jakieś masywne narzędzie, chyba młot kowalski.

- Cutter jest wściekły jak diabli - mówi Crawford. - Wiesz, jak długo próbujemy się z tobą skontaktować?

Wciąż klęcząc przy łóżku i nie mogąc zdecydować, czy to nie jest kolejny sen, spogląda, jak Jarrett zbliża się w półmroku, podnosi słuchawkę, przykładając ją do ucha, a następnie ogląda uważnie telefon, aż wreszcie znajduje kabel odłączony od gniazdka w ścianie.

- No, właśnie. Tak myślałem - mruczy.

Zaczyna niezdarnie wstawać z podłogi, a Crawford podchodzi do okna i szarpnięciem odsuwa zasłonki, wpuszczając do środka jaskrawe światło dnia. Oślepią Grace zamyka oczy i zerka ostrożnie spod zmrużonych powiek dopiero wtedy, gdy Jarrett mówi:

- Niezła balanga.

Z ciekawością przegląda resztki porzucane na tacy, zjedzoną do połowy kanapkę, kilka zeschniętych frytek. Obok pełnego dzbanka wystygłej kawy leży butelka po winie i trzy puste buteleczki po whisky Red Label z hotelowego barku. Flint jak przez mgłę przypomina sobie, że resztki trunku wykorzystwała do popicia kilku dużych tabletek tylenolu, chcąc zapobiec migrenie, która dopadła ją wieczorem. To by wyjaśniało przyczynę bolesnego pulsowania pod czaszką i zeszywniałego języka, jakby niemieszczącego się w jej ustach.

- Która godzina? - pyta chrapliwie.

- A wiesz przynajmniej, jaki dziś dzień? - odpowiada ironicznie Crawford.

Musi się chwilę zastanowić nad odpowiedzią.

- Piątek - strzela w końcu.

- Sobota, Grace. Dochodzi południe. Spałaś jak zabita przez trzydzieści sześć godzin! Matko Boska!

Jarrett odnajduje także fiolkę z tabletkami tylenolu oraz inderalu. Zagląda do środka i dodaje:

- No tak, gorzała i prochy. Doskonałe lekarstwo! - Zamyka fiolkę i rzuca ją na łóżko. - Postąpiłaś bardzo mądrze, Grace. Lepiej nie mogłaś.

Flint ma ochotę powiedzieć, że to nie jego sprawa, tyle że nie jest całkiem przekonana, iż poradzi sobie z tak długim zdaniem. Wstydliwie odwraca głowę. Kątem oka zerka na gliniarza, który wciąż stoi przy drzwiach, z potężnymi, gołymi łapskami skrzyżowanymi na piersi, tuż pod błyszczącą odznaką z wybitym nazwiskiem Garcia, i spogląda na nią takim wzrokiem, jakby miał do czynienia z uliczną szumowiną. Grace uświadamia sobie nagle, jak

musi wyglądać w pomiętym ubraniu, z zapuchniętymi oczyma i rozczochranymi włosami. Ze złością ruchem głowy wskazuje policjanta. Crawford chwytą w lot.

- Hej, dzięki za pomoc, chłopcy. Dalej sam już sobie poradzę.

Ale Garcia nie daje się tak łatwo spławić.

- Niby co mam napisać w raporcie? - pyta kwaśno.

- Że to był fałszywy alarm - podsuwa Jarrett.

- A to? - Gliniarz zerka na wyłamane drzwi, wiszące skosem na jednym zawiasie.

- Tym też się zajmę. - Garcia nadal stoi jak wmurowany, toteż Crawford rusza w jego kierunku, szeroko rozkładając ręce. - Naprawdę jesteście wam bardzo wdzięczni. - Obejmuje gliniarza w ramionach, odwraca i delikatnie popycha do wyjścia. - Pospieszyliscie z pomocą i wasz oficer dyżurny się o tym dowie. Macie to jak w banku.

Udobruchany policjant zerka po raz ostatni przez ramię i już z korytarza woła:

- Ma pani poważny problem, proszę pani. Trzeba coś z tym zrobić.

Dopiero w kąpielni, gdy gorący prysznic powoli usuwa zeszywnienie mięśni, Flint zaczyna znowu czuć się jak człowiek. Pokojówka wcześniej zabrała jej garsonkę do wyprasowania, a ekipa techniczna naprawiła wyważone drzwi. Śniadanie i gorąca kawa są już w drodze. Crawford rozmawia przez telefon z Cutterem, który najwyraźniej jest z powrotem w Nowym Jorku, i relacjonuje mu ostatnie wydarzenia.

Grace nie wątpi jednak, że Krabik zachowa dyskrecję.

Była po prostu zmęczona, panie Cutter, musiała się wyspać. Powiesiła na klamce tabliczkę „Nie przeszkadzać”, zamknęła drzwi na zasuwę i odłączyła telefon.

Coś w tym rodzaju. Przecież nie musi od razu meldować o alkoholu i tabletkach.

Odzyskawszy nieco jasność myśli, wychodzi z kabiny i wkłada miękkie i puszyste hotelowy szlafrok kąpielowy. Osusza ręcznikiem włosy i gładko je zaczesuje do tyłu, po czym spogląda w lustro. Białka jej oczu mają jeszcze różowawą barwę, lecz ogólnie wcale nie wygląda tak źle, jak można by się spodziewać. Mogło być znacznie gorzej.

Kiedy wchodzi do pokoju, Crawford siedzi na brzegu łóżka, wciąż rozmawiając przez telefon.

- Tak, w porządku - mówi. - Jest połączenie około piętnastej, z przesiadką w Houston.

Urywa nagle i zaczyna coś szybko zapisywać w hotelowym notatniku, który ekwilibrystycznie trzyma na kolanie. Tylko przelotnie zerka na przechodzącą obok Grace, nie odwzajemniając jej ciepłego uśmiechu.

Odebrawszy tacę z dzbankiem kawy i koszykiem ciepłych rogalików, Flint daje posłańcowi nadzwyczaj hojny napiwek.

Jarrett mówi do słuchawki:

- Jeszcze nie, ale zajmę się tym, jak tylko wszystko załatwimy.

Grace napelnia filiżankę kawą i wyciąga w jego kierunku, ale Crawford przecząco kręci głową. Znow coś pisze i przyłapuje ją na próbie podglądania, więc ona pospiesznie odwraca głowę, zażenowana daremnością swoich wysiłków. Nawet gdyby nie musiała czytać do góry nogami, pewnie i tak miałyby olbrzymie kłopoty z odcyfrowaniem jego bazgrołów.

Nie mając nic innego do roboty, wychodzi na balkon i patrzy z góry na South Bayshore Drive oraz Dinner Key. Temperatura musi dochodzić do czterdziestu stopni, a leciutka bryza znad morza ledwie porusza liśćmi palm. Uzmysławia sobie nagle, że podobnie upalnego dnia, zresztą niedaleko stąd, była na pierwszej randce z Benem - lunchu, który przeciągnął się aż do wieczora, kiedy to kelner postawił im na stoliku zapaloną świecę, a Ben rzekł:

- Zaryzykuję, skuszę los i spytam, czy nie zjadłabyś ze mną także kolacji.

- Chętnie - odparła z uśmiechem - lecz jeśli marzy ci się też wspólnie śniadanie, to powiem od razu, żebyś wybił to sobie z głowy.

To miał być żart, ale on potraktował go całkiem poważnie.

- Och nie, skądże - zaprotestował. - Na pewno nie tutaj. Wiem dokładnie, gdzie powinniśmy zjeść pierwsze wspólne śniadanie.

- Czyżby?

- W Maine, jakieś trzy godziny drogi od mojego biura. Mam niewielki domek... Cóż, prawdę mówiąc, to domek letniskowy moich rodziców, ale od kiedy mama się rozchorowała...

Urwał nagle, a ona zaczęła mu się uważnie przyglądać. Już podczas tamtego pierwszego wieczoru dowiedziała się, że jego matka cierpi na rzadką nieuleczalną chorobę Picka i w miarę jej rozwoju coraz bardziej izoluje się od całego świata.

- Domek stoi na odludziu i ojciec nie chce tam zostawiać mamy, na wypadek, gdyby coś się stało, a poza tym jej potrzebny jest cieplejszy klimat. Dlatego od pewnego czasu mamy go z Lizzie wyłącznie dla siebie, choć dla niej jest tam za daleko, więc to w zasadzie mój domek.

Opowiedział też o siostrze starszej o cztery lata i mającej trzy córki - sądząc po zdjęciu, bardzo wesołe i sympatyczne - oraz prowadzącej nieźle prosperującą praktykę pediatryczną w okręgu San Mateo w Kalifornii.

- W każdym razie domek stoi na szczycie grzbietu utworzonego przez cofający się lodowiec, fachowo zwanego eskerem, nad wąwozem wychodzącym na tak piękną plażę,

jakiej nigdy jeszcze nie widziałaś. Jeżdżę tam od dzieciństwa i przez lata prawie nic się nie zmieniło. Niełatwo się tam dostać i człowiek ma poczucie, że jest całkiem sam pośród dzikiej przyrody. Zresztą, sama się przekonasz. - Uśmiechnął się i dodał: - Mam jednak nadzieję, że nie będziesz tam sama, ale ze mną.

- Jak się domyślam, jest tam mnóstwo ptaków - odparła, zdążywszy wcześniej poznać wielką życiową pasję Bena.

- Tak, oczywiście. - Oczy mu rozblęły, aż odbiło się w nich migotliwe światło świecy. - Mewy, kormorany, rybołówki, czaple...

Zaczął wymieniać bez końca, wzbogacając swoją relację naśladowaniem ptasich głosów i trzepotu skrzydeł. Zaczął opisywać innych przedstawicieli tamtejszej dzikiej fauny, gdy mu przerwała, pytając z powątpiewaniem:

- Mam nadzieję, że w tym twoim domku jest przynajmniej prąd?

- Nic podobnego! - Przez chwilę sprawiał wrażenie osłupiałego. - To znaczy... Trzeba by wydać fortunę, żeby dociągnąć tam linię, a poza tym... urządzenia elektryczne odebrałyby domkowi cały urok. Tata by nigdy na to nie pozwolił.

Wiedziała już, że jego ojciec, Joseph Gates, jest wykładowcą historii sztuki na Uniwersytecie McGilla w Montrealu.

- Więc jak tam żyjecie? - zapytała. - Mam na myśli ogrzewanie, światło, wodę...

- Korzystamy z deszczówki - wyjaśnił lekko rozbawiony. - Na dachu jest duży zbiornik, w którym się gromadzi, a możesz mi wierzyć, że tam nigdy nie brakuje opadów. Poza tym są lampy naftowe i kominki, a ponieważ domek stoi w samym sercu sosnowego lasu, nie brakuje też drewna na opał. - Po raz pierwszy wziął ją za rękę. - Zaufaj mi. To naprawdę magiczne miejsce.

- No cóż - mruknęła z ociąganiem. - Jakoś się nie palę, żeby tam pojechać.

Myliła się jednak. W efekcie domek letniskowy rzeczywiście okazał się magicznym miejscem.

Crawford wychodzi na balkon i staje przy niej. Powoli raczy się rogalikiem, którego okruchy poprzyklejały mu się do sumiastych wąsów.

- Jak się czujesz? - pyta.

Spogląda na nią z dezaprobatą, wzrokiem ortodoksyjnego walijskiego baptysty, aż Grace zaczyna mieć nagle dość tych jego gierek. Ciekawi ją, co go tu sprowadziło. Dlatego pomija milczeniem pytanie.

- Lepiej mi powiedz, Jerry, co się dzieje. - Patrzy na nią zdziwiony i ruchem ręki wskazuje pokój, Flint dodaje więc ostrzej: - Dość tego! Nie musiałeś się tu zjawiać osobiście,

żeby ściągnąć gliniarzy i kazać im wyważyć drzwi. Można to było załatwić przez telefon, prawda? Więc co tutaj robisz?

Crawford wbija wzrok w podłogę, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Pokojówka przyniosła wyprasowaną garsonkę, która wygląda jak nowa. Grace jej też daje suty napiwek.

- Może byś się ubrała? - podsuwa Jarrett, kiedy wychodzi z powrotem na balkon. - Musimy złapać samolot.

- Jeszcze nie skończyliśmy, Jerry, i na krok się stąd nie ruszę, dopóki nie uzyskam wyczerpującej i logicznej odpowiedzi. Pytam jeszcze raz: Co się dzieje?

Znów zaczyna grać na zwłokę, wyjmuje chusteczkę i dokładnie wyciera usta.

Wreszcie mówi:

- Muszę cię o coś spytać.

- Proszę bardzo - odpowiada Grace bez zastanowienia.

- Mówiłaś, że Ben wyjechał do Afryki. Zgadza się? Na jakąś wyprawę, której celem jest badanie ptaków.

- Owszem, do Tanzanii. Poza tym, to się nazywa obserwacja ptaków - prostuje pedantycznie. - I co z tego?

- Wyruszył dwa tygodnie temu, z Bostonu, prawda?

- Tak. Do Nairobi, z przesiadką w Amsterdamie.

- I powinien wrócić w poniedziałek?

- Masz rację. W poniedziałek. - Po jej plecach przebiega dreszcz, rzuca więc ze złością: - Przestań wreszcie kręcić, Jerry! O co chodzi?

Spogląda na nią wzrokiem mówiącym: „Sama tego chciałaś”.

- Na polecenie Cuttera sprawdziliśmy listy pasażerów. W ciągu ostatnich trzech tygodni żaden Ben Gates ani nikt o podobnym nazwisku nie wyleciał z Bostonu do Afryki. Nie ma też rezerwacji na rejs powrotny.

Grace spogląda mu prosto w oczy, nie mogąc uwierzyć, że usłyszała dokładnie to, co powiedział.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnie Crawford. - Sprawdziliśmy nie tylko w Bostonie, ale na wszystkich lotniskach w północno-wschodnich stanach obsługujących połączenia międzynarodowe i nigdzie nie natrafiliśmy na Gatesa. To znaczy, że albo korzystał z innego paszportu wystawionego na inne nazwisko, albo nigdzie nie poleciał.

Inne nazwisko! Ma ochotę krzyknąć mu prosto w twarz: „Przecież to śmieszne!”. Ale instynktownie odpowiada:

- Albo ktoś spieprzył robotę.

- Niemożliwe - mruczy Crawford, lecz ona go już nie słucha.

Wbiega do pokoju, szybko rozwiązując szlafrok, podnosi z łóżka garsonkę, wchodzi do łazienki i nie zamknawszy nawet drzwi, zaczyna się pospiesznie ubierać. Jarrett przygląda się temu z daleka. - To jakaś wierutna bzdura! - syczy ze złością Grace. - Dobrze wiesz, ile są warte wszystkie listy pasażerów. Jak tylko zdarzy się wypadek, trzeba aż kilku dni, żeby ustalić, kto zginął.

- Może powinnaś zadzwonić do biura Bena? - sugeruje Crawford. - Warto zapytać, czy przypadkiem nie zmienił planów.

Grace wychodzi z łazienki, dopinając bluzkę.

- Dokładnie to zamierzam zrobić. Gdzie moja torba podróżna?

- Tam, na krześle. Chcesz zadzwonić do Stowarzyszenia Audubona w Portlandzie, prawda?

- W Falmouth - prostuje, gorączkowo grzebiąc w torbie w poszukiwaniu notesu z telefonami. - To na jedno wychodzi.

Pochyla się jeszcze niżej, sięgając aż na dno torby, odwrócona plecami do Jarretta, gdy rozlegają się jego ciche słowa:

- Więc możesz sobie darować, Grace. Już tam dzwoniłem. Nigdy nie słyszeli o żadnym Benie Gatesie.

GMACH MARSCHIEDERA

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W sali konferencyjnej na czwartym piętrze centrali gromada ogarów zebrana przez Nathana Starka do przetrząśnięcia kości pozostałych po operacji „Zielone Świątki” czeka na niego, by zameldować o swoich dokonaniach. Wreszcie znudzony przedłużającym się oczekiwaniem młody analityk, Justin Hamilton, celowo zapuszcza się na niebezpieczne terytorium.

Jest ono niebezpieczne, gdyż Stark kategorycznie zabronił, jak to określił, bezprzedmiotowych spekulacji na temat stosunków Grace Flint z mężem. A robi to celowo, ponieważ już wie, że dostanie podwyżkę.

- Czy jestem jedyną osobą w tym gronie, której wydaje się to bardzo dziwne? - mówi, niespodziewanie przerywając panującą w sali ciszę. - Naprawdę nigdy dotąd nie dzwoniła do biura męża?

- Co przez to rozumiesz? - odzywa się Kate Barrymore dowodząca tym stadem ogarów, uważana przez Aldusa Cuttera za najbystrzejszą spomiędzy wszystkich młodych i rokujących nadzieję zwerbowanych spomiędzy absolwentów Uniwersytetu Columbia. Wynajmowała mieszkanie wspólnie z Ruth Apple, dopóki koleżanka jako Lily Apana nie przeniosła się na tamten świat.

- Przecież nie minął nawet rok od ich ślubu, prawda? - odpowiada Hamilton. - Powinni za sobą tęsknić, lgnąć do siebie. - Jego lubieżny uśmiech nie zostawia żadnych wątpliwości co do podtekstu erotycznego. - Tymczasem ona jest tu, a on w Maine. Widują się w najlepszym razie co trzy tygodnie. I ona ani razu nie dzwoni do jego biura?! - Rozgląda się po twarzach piątki pozostałych analityków siedzących przy stole i rozkłada szeroko ręce. - Może mam niedzisiejsze poglądy, ale dla mnie to bardzo podejrzane.

- Należy rozumieć, że do ciebie żona wydzwania bez przerwy - podsuwa szybko Barrymore. - Właśnie tym zajmujesz się po całych dniach przy swoim biurku? Rozmawiasz przez telefon o seksie?

Hamilton wydaje z siebie teatralny jęk rozpacz.

- Nie, Kate, ponieważ nie mam żony. To był cios poniżej pasa.

Barrymore z politowaniem kiwa głową i pyta podchwytliwie:

- To skąd wiesz, że ani razu nie dzwoniła do jego biura?

- Bo to po prostu niemożliwe.

- Dlaczego?

- Naszym zadaniem jest znalezienie przecieku, zgadza się? Tymczasem głównym podejrzanym... Nie, wróć: jedynym podejrzanym... okazuje się mąż naszej szanownej kierowniczkii, który, jak już wiadomo, nie pracuje i nigdy nie pracował w Stowarzyszeniu Audubona. Tylko nasza szanowna kierowniczka święcie w to wierzyła do chwili, gdy dziś rano Jerry Crawford brutalnie pozbawił ją złudzeń. A jakim to cudownym sposobem niestrudzony Krabik odkrył prawdę? - Obrzuca Barrymore wyzywającym spojrzeniem. - Wystarczył mu jeden telefon, Kate.

Zaciska pięść, wyprostowując mały palec oraz kciuk, i na podobieństwo słuchawki przystawia sobie do głowy.

- „Halo” - mówi, naśladowując basowy głos Crawforda. - „Chciałbym rozmawiać z Benem Gatesem”. „Z kim?”. „Z Benem Gatesem”. „Pierwszy raz słyszę to nazwisko”. Wystarczył jeden telefon, Kate. Nic poza tym. Właśnie na tej podstawie wnioskuję, że ona nigdy nie dzwoniła do jego biura, bo inaczej od razu dowiedziałaby się prawdy... A może jednak dzwoniła? - dodaje nagle poważniejszym tonem. - Bo chyba nie możemy całkowicie wykluczyć i takiej możliwości.

- Mianowicie jakiej?

- Otóż takiej, Kate, że nasza szanowna kierowniczka wcale nie musi być tępą czy naiwną, ale także współwinna.

Piętro niżej, w gabinecie Aldusa Cuttera, Nathan Stark podsumowuje zebrane fakty dotyczące męża Grace Flint.

- Numer ubezpieczenia społecznego został mu przyznany na podstawie aktu urodzenia oraz prawa jazdy wystawionego w Connecticut. - Urywa na chwilę, po czym dodaje: - Do prawa jazdy wrócę za chwilę.

Cutter poprawia się nerwowo w fotelu. Stark widzi go na tle okna, za którym rozciąga się jednolicie szare niebo, pozostałość po gwałtownej poniedziałkowej burzy wisząca nad miastem jak zły omen.

- Benjamin Gates - odczytuje z trzymanej kopii aktu urodzenia. - Urodzony jedenastego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku w Laval, Quebec. Ojciec Joseph, matka Francoise Louise z domu Lamoureux.

- Kontaktowałeś się z nimi? - przerywa mu dyrektor.

- Jeszcze nie. Z tego, co Flint powiedziała Crawfordowi, pani Gates ma chorobę Alzheimera czy coś w tym rodzaju. Dlatego pan Gates odszedł na wcześniejszą emeryturę, żeby się opiekować żoną. Był wykładowcą na Uniwersytecie McGilla.

Cutter kiwa głową.

- Owszem, pamiętam go ze ślubu. Bystry facet. Jeśli mnie pamięć nie myli, wspominał o nieuleczalnej chorobie żony.

Stark przytakuje ociężale. Nie wychodził z budynku przez dwie doby, żywiąc się wyłącznie kanapkami dostarczonymi z pobliskiego baru i urządzając tylko krótkie drzemki na kanapie. Tak samo pracowało jego stado ogarów, lecz analitycy są średnio o połowę młodszy od niego, toteż nawet nie widać po nich przemęczenia.

- W każdym razie Flint powiedziała Crawfordowi, że teściowie przenieśli się do południowej Francji około dziesięciu miesięcy temu, po tym, jak władze uczelni przychylnie ustosunkowały się do prośby Gatesa i nadały mu tytuł profesora emerytowanego. Powodem był jakoby śródziemnomorski klimat, lepszy dla jego chorej żony. Cutter marszczy brwi i pyta:

- Ty w to wierzysz?

- Nie. Ale jak dotąd wszystko się zgadza. Sekretarka z rektoratu uczelni może nie była zbyt chętna do udzielania informacji, ale potwierdziła, że państwo Gates zamieszkali we Francji, gdzieś w okolicach Nicei. Nie umiała podać ani adresu, ani telefonu, powiedziała jednak, że bez trudu powinniśmy uzyskać te informacje z konsulatu, w którym emigranci musieli się zarejestrować.

Cutter na chwilę zamyśla się głęboko, po czym mówi:

- Wynika stąd, że Flint miała niewiele okazji do spotkań z teściami.

- Powiedziała Crawfordowi, że matki męża nigdy nie widziała. I nawet z nią nie rozmawiała. Napisała do niej tylko raz, zaraz po ślubie, i otrzymała lakoniczną odpowiedź z błogosławieństwem. Nic poza tym. Co się zaś tyczy teścia, podobno widziała go dwukrotnie, raz na dzień przed ślubem i później podczas wspólnego obiadu na mieście. Ponadto kilka razy rozmawiała z nim przez telefon. To wszystko.

- Niektórzy mają szczęście - mruczy pod nosem Cutter, lecz Stark jakby tego nie słyszał.

- Podobno przy kilku okazjach Ben proponował jej wyjazd do Francji i spotkanie z rodzicami, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie, głównie brak czasu, bo wtedy na pierwszym planie były „Zielone Świątki”.

- Jasne. - Cutter wyciąga dolną szufladę biurka i zaczyna w niej grzebać. - Mów dalej.
Co z tym prawem jazdy?

- Gates musiał przedstawić dwa dokumenty, żeby je uzyskać. W pierwszej kolejności powinien okazać swój kanadyjski paszport, ale i tym razem posłużył się aktem urodzenia, który, rzecz jasna, nie budził żadnych podejrzeń, nie wyglądał na sfalszowany. Natomiast jako drugi dokument przedstawił licencję pilota, co w Connecticut jest w pełni akceptowane. Tak więc nie mamy żadnych informacji na temat jego paszportu.

- Sprawdziłeś w Urzędzie Emigracyjnym? - pyta dyrektor, wciąż przerzucając graty w szufladzie. - Chyba potrzebował wizy na pobyt w Stanach?

- Nie - odpowiada posepie Stark. - Jako obywatel kanadyjski z odpowiednimi kwalifikacjami zawodowymi, nawet fałszywymi, na mocy porozumienia NAFTA nie potrzebował wizy. Nie było konieczne nawet zaproszenie. Wystarczyło, że na granicy okazał dowód tożsamości, ten sam akt urodzenia, oraz pisemną propozycję stałej posady w Stanach i uiścił pięćdziesiąt dolarów opłaty. Nic więcej. Dostał druk I-94 z prawem wielokrotnego przekraczania granicy i nie musiał nikomu pokazywać paszportu. Teoretycznie I-94 jest ważny tylko przez rok, ale na mocy tego samego porozumienia można przedłużać jego ważność w nieskończoność.

Nie znalazłszy szukanej rzeczy, Cutter zasuwa szufladę, wstaje z fotela i podchodzi do zdobionego kredensika zupełnie niepasującego do nowoczesnego wyposażenia gabinetu.

- Niech żyje NAFTA - mruczy ironicznie. - Nie wątpię, że w tej sytuacji będzie konieczna wymiana oficjalnej korespondencji. - Wyciąga szufladę kredensu i w niej z kolei zaczyna przerzucać rzeczy. - Rozmawiałeś z Kanadyjczykami?

- Tak - mówi wyraźnie zniechęcony Stark. - Poprosiłem w biurze paszportowym o sprawdzenie informacji, powiedzieli jednak, że potrwa to co najmniej pięć dni.

- Cholera. - Dyrektor wysuwa drugą szufladę.

- Większość dokumentów trzymana jest tam w urzędach okręgowych, nie ma żadnego centralnego rejestru ani krajowej bazy danych. Więc nie tylko będzie to wymagało oficjalnej wymiany korespondencji, ale w dodatku zajmie mnóstwo czasu i nie wiadomo, czy przyniesie jakieś rezultaty. CSIS - dodaje ciszej, nawiązując do kanadyjskich służb wywiadowczych - ma nieoficjalny dostęp do prowincjonalnych sieci komputerowych i wykorzystując prywatne znajomości, poprosiłem, żeby poszukali na własną rękę, ale... - z rezygnacją wzdusza ramionami - ...nie spodziewam się niczego specjalnego.

- A więc przydałby się nam jakiś atut. - Cutter zamyka szufladę i odwraca się z uśmiechem na ustach. Podchodzi do Starka i pokazuje mu to, czego szukał. - Co o tym myślisz?

Jego atutem jest kolorowe zdjęcie formatu pocztówkowego przedstawiające cztery szeroko uśmiechnięte osoby wpatrzone w obiektyw. Pośrodku stoją nowożeńcy. Flint wygląda wspaniale w tradycyjnej białej sukni ślubnej, z odsłoniętymi ramionami. Ben Gates narzucił bonżurkę, pod którą ma białą koszulę i szary krawat ze spinką z diamentem.

Stark ciężko podnosi się z kanapy, obraca i pochyla nad fotografią, żeby lepiej widzieć. Wskazuje tykowanego starszego mężczyznę stojącego obok Bena i pyta:

- To on?

- Nie. To ojciec Grace. To jest on. - Cutter wskazuje dużo niższego mężczyznę o dystyngowanym wyglądzie, stojącego obok Flint i obejmującego ją w ramionach. - Joe Gates. Choć prawdę mówiąc, Nate, jestem gotów postawić dwadzieścia dolarów, że to ktoś inny. - Dyrektor podaje mu zdjęcie. - Mogę się założyć, że jeśli przefaksujesz tę fotografię do CSIS i poprosisz kolegów, żeby pokazali ją na Uniwersytecie McGilla, okaże się, że nikt nie zna tego człowieka, że na pewno nie jest to czcigodny emerytowany profesor historii sztuki, ani żadnej innej cholernej historii, między nami mówiąc. I mogę się też założyć - ciągnie z ożywieniem Cutter - że gdy w końcu odnajdziesz prawdziwego Joe Gatesa na południu Francji i zapytasz go o syna, dowiesz się, że Ben Gates zmarł w dzieciństwie.

- Nie będę się zakładał - odpowiada Stark.

- Oczywiście nie mógł umrzeć w Quebecu, ale w innej prowincji, a może nawet tu, w Stanach, w każdym razie gdzieś, gdzie żaden urzędnik nie miał szans unieważnić aktu urodzenia. Zresztą niewykluczone, że akt został sfałszowany. Przecież wiesz, że na czarnym rynku krążą szczegółowe instrukcje, jak należy robić takie podróbki.

Stark smutno kiwa głową, bo aż za dobrze zna prawdę.

- Dobra. Prześlij to, gdzie trzeba. - Cutter wskazuje trzymaną przez niego fotografię. - Ja tymczasem zadzwonię do pewnego znajomego gliniarza z Paryża. Tak się składa, że to dobry przyjaciel Flint. - Spogląda na zegarek, obliczając różnicę czasu między Ameryką i Europą. - Zobaczymy, czy uda mu się odnaleźć naszego Joe Gatesa.

Stark rusza już do wyjścia, gdy nagle przystaje, odwraca się i pyta w zamyśleniu:

- A jaką decyzję zamierzasz podjąć względem Flint?

Siedzący już przy biurku Cutter, sięgając po słuchawkę telefonu, odpowiada:

- Najpierw zobaczymy, co wyniknie w Portlandzie. Mówiłeś, że trzeba poczekać do końca dnia, więc najwcześniej jutro rano trzeba będzie coś zdecydować w zależności od tego, czego się dowiemy.

- Moim zdaniem już teraz należałoby ją zawiesić - podsuwa Stark. - Albo przynajmniej wysłać na urlop.

- Jest na urlopie, od wtorku. - Cutter marszczy czoło, uświadomiwszy sobie, że prawda wygląda nieco inaczej, więc szybko koryguje: - W każdym razie byłaby na urlopie, gdyby nie te cholerne akta. - Milknie na krótko i dodaje: - Chyba masz rację. Tak czy inaczej, trzeba ją będzie na razie wyłączyć z gry.

- Jasne. Poza tym zabronić wstępu do budynku, zarówno dla jej dobra, jak i naszego.

- Najlepiej będzie ją wysłać poza miasto do czasu, aż się czegoś dowiemy.

- Podejrzewam, że zrobi się gorąco.

- Już jest gorąco - wyjaśnia Cutter. - A przecież nikt jeszcze nie wie, że akta zostały skopiowane. Miałem już telefon z Departamentu Sprawiedliwości. A w poniedziałek ma się tu zjawić dwóch głównojadów z Wydziału Odpowiedzialności Zawodowej".

- Powiesz im prawdę?

- Nic im nie powiem, dopóki sami się czegoś nie dowiemy. - Wciska jeden guzik na obudowie aparatu, pod którym jest zaprogramowany numer połączenia. - Gdybym to zrobił, natychmiast wyciągnęliby co najmniej wątpliwe wnioski i zanimbyśmy się obejrżeli, doszłoby do kolejnych pyskówek i przepychanek.

Przez chwilę w gabinecie panuje milczenie, wreszcie Stark zaczyna cicho:

- Aldus, jesteś całkowicie pewien, że ona... - Urywa w pół słowa, jakby bał się wypowiedzieć na głos to, co wydaje się nie do pomyślenia.

- Jest czysta? - kończy za niego dyrektor. - Tak, jestem pewien. Wiele rzeczy budzi obecnie moje głębokie wątpliwości, lecz gdyby się miało okazać, że właśnie Gates był tą wtyczką, której istnienie podejrzewaliśmy, możesz mi wierzyć na słowo, że Flint o niczym nie miała pojęcia.

- Dziwne... - mruczy pod nosem Stark. - Jak można wyjść za kogoś, kogo się w ogóle nie zna?

- Bywa...

Nie kończy zapewne głębokiej, filozoficznej uwagi, gdyż po drugiej stronie oceanu znajomy podnosi słuchawkę i dyrektor z ożywieniem przystępuje do ekscentrycznego popisu poliglotty:

- Gilles! Hola! Tu Aldus, Aldus Cutter. *Comment ca va*, kolego, *comment ca va*?

PORTLAND, MAINE

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Crawford uznał, że powinni w końcu dać facetowi odetchnąć. Nie lepiej poczekać na odpowiedniejszą porę? Przecież gdyby chcieli znów dobijać się do drzwi jeszcze przed nastaniem świtu, musieliby dysponować podejrzeniami znacznie bardziej uzasadnionymi niż te, które mają. To fakt, że Tyler odpowiadał na pytania w sposób mało zadowolający, lecz ostatecznie była pierwsza w nocy, wyciągnęli go z łóżka, a Flint potraktowała go dosyć... obcesowo.

- Prześpij się trochę, Krabiku - odparła. - Spotkamy się w kawiarni o siódmej.

- O wpół do ósmej - odparł błagalnym tonem Crawford, na co zareagowała szerokim uśmiechem, mając już gotowy plan działania na tę noc.

Wróciwszy samotnie pod dom Thomasa Tylera, zostawia samochód z wypożyczalni przy pobliskim skrzyżowaniu, celowo parkując go przy hydrancie, jakby sama napraszała się o dodatkowe kłopoty, ponieważ ogarnia ją wisielczy nastrój.

Jest na tyle zimno, że w mętnym świetle lampy na ganku para wydobywająca się z jej ust przypomina smugi gęstego dymu z papierosa. Opatuliwszy się szczelniej w kurtkę, opiera się zdrowym ramieniem na guziku dzwonka i nasłuchuje, jak przenikliwy dźwięk rozlega się w głębi domu.

Przygotowuje się psychicznie na to, co musi się nieuchronnie zdarzyć, wyliczając w myślach powody swojej głębokiej wściekłości, jaką odczuwa do ludzi mieszkających w tym przytulnym, pomalowanym na biało domku przy zacisznej ulicy w cichym miasteczku, jak gdyby oddalonym o całe lata świetlne od zbrozonego krwią placu obok Światowego Imperium - w miasteczku, którego także już nienawidzi za jego związek z uczuciami miotającymi nią bez reszty. Na razie woli nie myśleć o swoim mężu. Koncentruje się na tym bliższym obiekcie pogardy.

Okłamałeś mnie, Thomasie Tylerze, ponieważ wiem dobrze, że uczestniczysz w spisku i jesteś ważnym elementem fałszywej legendy Bena.

- Moja droga - odezwał się niespełna cztery godziny temu z akcentem na połę brytyjskim, na połę bostońskim, równie trudnym do precyzyjnego określenia jak środek Atlantyku. - Pomógłbym ci z przyjemnością lecz naprawdę nie potrafię. Absolutnie nic nie wiem o panu Gatesie.

Och, czyżby? W takim razie niech pan wyjaśni, panie Tyler, jak to się stało, że gdy kiedyś pomyliłam się, dzwoniąc do Bena, i zamieniłam miejscami dwie ostatnie cyfry w numerze telefonu, połączyłam się ze Stowarzyszeniem Audubona, a konkretnie właśnie z panem, i gdy przedstawiłam się jako żona Bena Gatesa, obiecał pan, że przekaże mi wiadomość i Ben rzeczywiście oddzwonił po jakichś pięciu minutach? Jak to się stało, że przekazał pan moją wiadomość człowiekowi, którego w ogóle pan nie zna, cholerny panie Tyler?

Drzwi nie są zbyt mocne i Grace pamięta z poprzedniej wizyty, że zamyka się je na pojedynczy zamek typu Yale. Jest pewna, że nawet z obolałą nogą i stłuczonym ramieniem bez większego trudu umiałaby je wyłamać. Jest zresztą gotowa to zrobić, jeśli zajdzie taka konieczność.

W domu zapala się światło, przez grubą marszczoną szybę w dolnej części drzwi na ganek pada jego słaby poblask. Nie da się przez nią dojrzeć szczegółów, a w drzwiach nie ma wizjera, toteż gospodarz musi je otworzyć, chcąc się przekonać, kto tak natrętnie dzwoni krótko po piątej w ten spokojny niedzielny poranek. Jeśli nie przyjdzie mu do głowy od razu wezwać policji.

Kiedy za szybą przesuwa się cień podchodzącego do drzwi człowieka, Grace odrywa się wreszcie od dzwonka, przygotowując się w duchu na ostrą wymianę zdań.

- Kto tam? O co chodzi? - dobiega z wnętrza domu zaniepokojony głos gospodarza.

- Agentka Flint. Byłam tu wcześniej, panie Tyler. Muszę z panem jeszcze raz porozmawiać.

Po krótkim wahaniu pada odpowiedź:

- Już mówiłem, że nic nie wiem i nie mam nic do powiedzenia. Proszę odejść.

- Niech pan otworzy drzwi.

- Proszę odejść!

Tym razem Flint krótko naciska dzwonek, ale robi to drugi raz i trzeci. Jest gotowa tak dzwonić setki razy, jeśli będzie musiała. Drzwi jednak się otwierają i staje w nich Tyler w szlafroku. Obrzuca ją pogardliwym spojrzeniem. Grace uderza nagle, że gdyby nie gęsta broda, byłby podobny do jej ojca - ma tak samo szeroką twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, wysokie czoło i pęczki drobnych zmarszczek w kącikach oczu.

- Czy pani zwariowała? - syczy z wściekłością.

Z głębi domu dobiega jakiś stłumiony hałas i rozlega się dziecięcy głos:

- Tato?

Tyler cofa się o krok i odwraca, a Flint wykorzystuje tę chwilę, by przeskoczyć ostatni stopień schodów i stanąć w przejściu.

- Wszystko w porządku, Sally - woła gospodarz do niewidocznej stąd córki. - Wracaj do łóżka.

- Thomas? - W natrętnym głosie jego żony przebija niezwykła stanowczość. - Thomas? Co tam się dzieje, do pioruna?

- Nic. Nic ważnego. Proszę... - dodaje Tyler z odcieniem hysterii w głosie - ...połóż dzieci z powrotem do łóżek.

Odwraca się do Grace i spostrzega ze zdumieniem, że stoi ona tuż przed nim, na progu, lewą nogą blokując uchylone drzwi i spoglądając na jego bose stopy, jakby chciała mu przydepnąć palce, gdyby spróbował ją wypchnąć z domu. Cofa się o krok.

- Otóż myli się pan. To bardzo ważna sprawa - mówi cicho Flint.

- Czy wie pani, która jest godzina? - Tyler zadaje to samo idiotyczne pytanie, które pada z ust każdego opornego, mającego nieczyste sumienie świadka wyrwanego z łóżka w środku nocy.

Grace unosi lewą rękę do oczu.

- Jedenaście po piątej, ale... - marszczy brwi - ...to tandetny zegarek, może się parę minut później.

Chce go jeszcze bardziej rozdrażnić, wytrącić z równowagi, ale wystarczy jeden rzut oka, by się przekonać, że te próby spełzają na niczym, a nawet przynoszą odwrotny skutek - mężczyzna sprawia wrażenie bardzo pewnego siebie, doskonale panuje nad sobą, tłumiąc wszelką agresję.

- Nie zechciałby pan wyjść przed dom? - pyta ostro Grace tonem gliniarza prowadzącego przesłuchanie. - Nie musielibyśmy więcej niepokoić pańskiej rodziny.

Nic z tego. Tyler wkłada ręce do kieszeni szlafroka i przygląda jej się w spokoju.

- Więc proszę przynajmniej włożyć coś na nogi. Jest dość zimno.

Nadal żadnej reakcji. Z nieruchomego spojrzenia gospodarza trudno cokolwiek wyczytać, głównie z powodu gęstego zarostu zakrywającego usta. Flint jest jednak przekonana, że po jego wargach błąka się niewyraźny ironiczny uśmiešek.

Chyba sam nie wiesz, Thomasie Tylerze, jak blisko znalazłeś się niebezpiecznej przepaści.

- Czekam - mówi.

- Proszę powiedzieć wreszcie to, co ma pani do powiedzenia.

- Na pewno pan chce, żeby usłyszeli to pańscy bliscy? - Dostrzegłszy wyraz zniecierpliwienia w jego oczach, ciągnie: - Jak pan sobie życzy. Podczas naszej poprzedniej wieczornej rozmowy...

- Nocnej - koryguje.

- Wszystko jedno. Otóż powiedział pan mnie i agentowi specjalnemu Crawfordowi, że nigdy pan nie słyszał o Benie Gatesie, że nic pan o nim nie wie. - Urywa w oczekiwaniu, że Tyler potwierdzi wcześniejsze kłamstwa, on jednak uparcie milczy. - No więc mam informację... z bardzo dobrego źródła... że nie powiedział nam pan prawdy. - Znowu robi przerwę, ale i tym razem nie ma żadnej reakcji. - Jeśli nie chce pan teraz ze mną rozmawiać, następnym razem usłyszysz pan te same pytania na temat Bena Gatesa, zeznając pod przysięgą.

Albo mając w gębie lufę mojego pistoletu, bo tak właśnie twoi przyjaciele potraktowali Ruth, wsunęli jej lufę pistoletu do ust, a potem wyrzucili ją z helikoptera. - W poniedziałek z samego rana - ciągnie, walcząc z coraz silniejszymi złymi przecuciami - zwrócę się do prokuratora okręgowego z Portlandu o wydanie nakazu przesłuchania pana przed sądem w sprawie uczestnictwa w spisku mającym na celu pranie brudnych pieniędzy, defraudację przelewów bankowych, fałszowanie zeznań podatkowych oraz... - zawiesza na chwilę głos, uświadamiając sobie wagę tego ostatniego oskarżenia - ...morderstwo agentki federalnej.

Teraz już nie ma żadnej wątpliwości, że Tyler uśmiecha się pod wąsem.

- A ponieważ z takim uporem, jak pospolity bandzior, odwołuje się pan do zapisów piątej poprawki do konstytucji, wcześniej zarekwiruję w pańskim biurze wszystkie dokumenty i zapisy.

Grace zaczyna się coraz bardziej spieszyć, gdyż ból w lewej nodze staje się z każdą chwilą dotkliwszy, i wie, że zaraz będzie musiała zmienić pozycję, niezdolna do dalszego blokowania stopą drzwi.

- Później wystąpię o sądowy nakaz ujawnienia pańskich billingów telefonicznych i zestawień operacji bankowych. Zwłaszcza te ostatnie powinny być nadzwyczaj interesujące.

Moja agencja dysponuje rozległymi uprawnieniami, więc jeśli tylko znajdę na pańskim koncie jednego dolara podejrzanego pochodzenia, każę je zablokować, panie Tyler.

To też nie przynosi skutku. Grace ma wrażenie, jakby ktoś żywcem odłupywał jej kawałki rzepki kolanowej, musi natychmiast przenieść ciężar ciała na drugą nogę. Stara się to jednak zrobić tak, by nie zwrócić uwagi rozmówcy.

- Skończyła pani? - pyta gospodarz z obojętnością kelnera przyjmującego zamówienie w restauracji.

- Nie. Dopiero zaczęłam.

- Ale ja skończyłem - przerywa jej stanowczo. Gwałtownie wyciąga rękę z kieszeni, jakby chciał walczyć na pięści w obronie swojej wolności. Prawą dłoń opiera na klamce. - Pani oskarżenia są całkowicie bezpodstawne, a groźby w takim samym stopniu nieuzasadnione. Więc jeśli ma pani jeszcze coś do dodania... - zaczyna zamykać drzwi - ...proszę się skontaktować z moim adwokatem.

- Tylko jedno - wtrąca Grace pospiesznie, chcąc go powstrzymać. - Czy ma pan choć blade pojęcie, jak wygląda życie człowieka objętego federalnym dochodzeniem w sprawie zabójstwa?

- Dobranoc, agentko Flint, bo do świtu zostało jeszcze trochę czasu.

Dom Tylera jest odsunięty od ulicy, otoczony rozległym trawnikiem i rzędami wieczniezielonych krzewów, nie ma jednak płotu. Flint bez przeszkód może się ostrożnie podkraść na szeroką werandę biegnącą wzdłuż nowej dużej przybudówki na tyłach.

Mieści się w niej niedawno urządzony gabinet Tylera wypełniony kosztownymi nowoczesnymi zabawkami, będący jeszcze jednym powodem, dla którego coś jej podpowiada, że facet ma nieczyste sumienie.

- Nie da się przecenić bezczelności, do jakiej prowadzi chciwość - powtarza szkolonym agentom w akademii FBI w Quantico, gdzie od czasu do czasu prowadzi wykłady. Jako przykład opowiada im historię pewnego urzędnika bankowego średniego szczebla z San Francisco, jak na ironię noszącego imię Prudence, który pod koniec swojej kariery zawodowej wplątał się w proceder prania brudnych pieniędzy i w ciągu zaledwie czternastu tygodni, jakby chcąc nadrobić stracone lata, wydał ponad cztery miliony dolarów na sportowego mercedesa, pierścioneł z brylantami, złotego roleksa, domek letniskowy w South Miami Beach oraz ekskluzywną motorówkę i nikt nie zwrócił na to uwagi. - A raczej wszyscy zwrócili uwagę, tylko nikt nie powiadomił władz - wyjaśnia słuchaczom. - Znajomym mydlił oczy bajeczką, że poszczęściło mu się i trafne inwestycje giełdowe przyniosły nieoczekiwane ogromne zyski, toteż ludzie zaczęli zwracać się do niego o radę w kwestii lokowania pieniędzy w akcjach. - W tym miejscu zwykle uśmiecha się z politowaniem. - Na szczęście dla nas pan Prudence okazał się bardzo nierozważny, a nawet głupi, skoro sam uwierzył w te bajeczki. Wystarczyło kilka nieudanych lokat jego znajomych, żeby pewnego dnia młoda sekretarka z sąsiedniego pokoju zaczęła się zastanawiać: „Jak to jest, że on ma mercedesa i domek na Florydzie, a ja zainwestowałam sto pięćdziesiąt tysięcy i zarobiłam ledwie marne grosze?”. Stąd już niewiele trzeba było, żeby informacja dotarła do nas.

Z tego przykładu wyciąga oczywisty wniosek, że chciwość i lekkomyślność zazwyczaj idą w parze i naprawdę mało kto potrafi się oprzeć pokusie szybkiego wydawania pieniędzy, dla których zdobycia zaprzedał duszę.

- Ludzie pragną sobie od razu wynagrodzić tę lekkomyślność. Jeśli będziecie szukać podejrzanej instytucji i próbować ocenić, która ma czyste ręce, a która nie, zawsze zaczynajcie od kontroli finansów i przyglądajcie się uważnie nagłym zmianom w polityce wydawania pieniędzy. W dziewięciu przypadkach na dziesięć złoczyńcy sami się zidentyfikują.

Podobnie jak Thomas Tyler, który zafundował sobie dużą nowiutką przybudówkę, kupił drogi komputer i wieżę stereo wartą co najmniej jedną miesięczną pensję, a na biurku trzyma katalog samochodów otwarty na stronie z upragnionym najnowszym modelem terenowego isuzu. Grace ledwie mogła się powstrzymać przed zadaniem pytania: „Czyżby nagle zmarła pańska ciotka i zostawiła panu duży spadek?”.

Teraz, próbując zapomnieć o bólu nogi i ramienia, zaczyna się czołgać po zmarzniętej ziemi, trzymając się z dala od prostokątnej smugi światła padającego przez oszklone przesuwne drzwi przybudówki. Zerkając w ich stronę, w regularnych odstępach czasu widzi sylwetkę Tylera niespokojnie krążącego po gabinecie, nerwowo przyglądającego ręką włosy i rozmawiającego przez telefon bezprzewodowy. Nie słyszy ani słowa z jego rozmowy, lecz w jej oczach mężczyzna każdym gestem zdradza silne podenerwowanie, zdające się potwierdzać, że ją okłamał.

- Gates? - zapytał ze zdziwieniem, rozczochrany i zaspany, gdy cztery godziny wcześniej, o pierwszej w nocy, razem z Crawfordem wyciągnęli go z łóżka. - Niestety, nie przypominam sobie tego nazwiska. Ale w pracy spotykam się z wieloma osobami. Mówi pani, że pracuje w Stowarzyszeniu Audubona? To zupełnie nie moja działka. Musiałbym sprawdzić w notesie z telefonami.

- To zbędne, proszę pana. Gates utrzymywał, że pracuje w oddziale stowarzyszenia w Maine. Posługiwał się wizytówką, na której widniało również pańskie nazwisko, a także służbowym numerem telefonu niemal identycznym jak pański.

- Naprawdę? Nie do wiary.

Przyznawała w duchu, że świetnie grał swoją rolę. Od początku w ogóle nie okazywał zdenerwowania, a przestraszoną żonę, która zeszła aż na schody, zbył na poły żartobliwym wyjaśnieniem:

- To agenci federalni, kochanie. Przyszli w nadziei, że pomogę im schwytać jakiegoś bandytę.

Po czym zwrócił się do Flint z pytaniem:

- Ma pani może zdjęcie tego Gatesa?

Oczywiście, że mam, panie Tyler. Zawsze noszę w portfelu zdjęcie mego męża, które, muszę przyznać, budzi raczej bolesne wspomnienia, ponieważ zostało zrobione podczas naszego miodowego miesiąca i doskonale na nim widać piękne oczy Bena i jego zniewalający uśmiech. Lecz jeśli sądzi pan, że zamierzam dzielić się tymi wrażeniami z panem...

- Nie - odparła. - Niestety, nie mam.

- Szkoda. No cóż, zapraszam do mojego gabinetu... - Tyler niedbałym ruchem ręki wskazał drogę. - Sprawdzimy, czy mam pani Gatesa w mojej komputerowej bazie adresowej.

Jej Gatesa! A niby skąd pan wie, że chodzi właśnie o mojego Gatesa? Czy to zwykłe przejęzyczenie, panie Tyler, czy może celowa uszczypliwość?

Zerknęła przelotnie na Crawforda, ale on chyba nie zwrócił na to uwagi.

- Zaraz zobaczymy - mruknął gospodarz, włączając komputer. - Muszę sobie tylko przypomnieć, jak się szybko przegląda wszystkie nazwiska w bazie danych.

Grace dociera do werandy, kuca przy prowadzących na nią krótkich schodkach i zaczyna rozcierać na twarzy błotnistą ziemię, żeby zamaskować biel cery. Następnie prostuje się bardzo powoli i ostrożnie wygląda ponad krawędzią werandy. Tyler stoi nie dalej niż dwa metry od niej, tkwi nieruchomo za oszklonymi drzwiami i wpatrując się w ciemność na dworze, słucha przez telefon swojego rozmówcy.

No, powiedz coś! - nakazuje w myślach Flint, ale on uparcie milczy.

- Na pewno nie ma pan nic do powiedzenia? - zapytała, gdy dobiegło końca przedstawienie z przeszukiwaniem komputerowej bazy danych.

- Słucham?

- Chyba nie sądzi pan, że Gates wydrukował sobie tylko kilka fałszywych wizytówek. Nie ulega wątpliwości, że dysponował szczegółowymi informacjami na temat prac waszego stowarzyszenia i zdumiewająco dużo wiedział o panu.

- Zdumiewająco dużo? - powtórzył odruchowo Tyler.

- Źle się wyraziłam? - zapytała Crawforda.

- Rzekłbym, że to wręcz encyklopedyczna wiedza - przyznał.

- Na przykład, na podstawie tego, co opowiadał Gates, mogę dość dokładnie opisać pański typowy dzień pracy. Mary zawsze zjawia się pierwsza i zaparza kawę, ale czasami zapomina, że pan z rana nie pija bezkofeinowej, tylko mocną czarną. Zdarzyło się, że ją pan za to skrzyczał, zwymyślał do tego stopnia, iż musiała panu przypomnieć, że parzenie kawy nie należy do jej obowiązków służbowych i od tej pory będzie pan musiał sam szykować

sobie tę cholerną czarną lurę. Przez cztery dni nikt nie parzył rano kawy i stanął pan przed groźbą generalnego strajku całego personelu. Pamięta pan to, panie Tyler? Nie pomyliłam się?

- Nie rozumiem - bąknął wtedy.

- Pańskim ulubionym lunchem jest tofu z plasterkami świeżego pomidora, zgadza się?

A ostatnio musiał się pan pozbyć Johna jakiegoś tam z powodu jego ciągót do picia. Żona, Fran, chyba do dzisiaj ma do pana pretensje o to, że młodsza córka, czyli Sally, bardzo chciała pojechać na zimowisko z nauką jazdy na nartach, a pan się nie zgodził, ponieważ jej oceny...

- Dość tego!

Flint lekko zacisnęła palce na jego łokciu, jakby chciała go uspokoić.

- Więc skąd Gates mógłby tak dużo o panu wiedzieć, co? - zapytała łagodnym tonem.

- Jakim cudem człowiek, którego pan nie zna i o którym w ogóle nie słyszał, tak dobrze zna pańskie nawyki?

Tyler szarpnął się do tyłu, jakby go spoliczkowano. Ale później, już w drodze powrotnej do hotelu, Crawford tłumaczył, że ta reakcja mogła być całkiem niewinna:

- Na Boga, Grace, gdybyś mnie zaskoczyła takimi osobistymi informacjami, pewnie zareagowałbym podobnie.

Ona jednak twardo obstawała przy swoim.

- Mylisz się, Krabiku. To była reakcja przerażonego łotra, któremu w oczy zajrzała niewesoła przyszłość.

Tenże łotr jeszcze przez jakiś czas spogląda teraz przez szybę w drzwiach, wbijając wzrok w ciemność jakiś metr ponad jej głowę. Wreszcie otwiera drzwi i wychodzi na werandę. Zatrzymuje się tak blisko, że Grace mogłaby go złapać za nogę - a on mógłby ją złapać za włosy. - Przestań - mówi cicho do słuchawki.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy Jarrett Crawford był jeszcze młodym oficerem waszyngtońskiej dochodzeniówki i pracował nad swoją pierwszą sprawą zjawił się na spotkanie z informatorem punktualnie o wyznaczonej porze i wpadł w zasadzkę zastawioną przez handlarzy narkotyków. Oddano w jego kierunku pięć strzałów z rewolweru kalibru 9,65 milimetra i dostał dwie kule w pośladki, toteż gdy leżał na chirurgicznym stole zabiegowym, głęboko wziął sobie do serca złośliwą uwagę opiekującego się nim porucznika: „Co ci mówiłem, wołowy dupku?! Zawsze musisz być na miejscu przed czasem!”. Potraktował ją tak dosłownie, że koledzy szybko zaczęli go nazywać rannym ptaszkiem.

Teraz także z nawyku zjawia się w sali restauracyjnej hotelu Howard Johnson dwadzieścia minut przed czasem i stwierdza ze zdumieniem, że Flint już tam jest. Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie odświeżonej i wypoczętej, ale o tak wczesnej porze służba hotelowa nie przyjmuje jeszcze zleceń, toteż z bliska Crawford spostrzega ciemne smugi oraz plamy na jej ubraniu i od razu się domyśla, skąd się wzięły.

- Matko Boska. Wróciłaś tam w nocy, prawda? - pyta, nie zdążywszy nawet usiąść. A gdy zamiast odpowiedzi Flint tylko lekceważąco macha ręką pochyla się nad stolikiem i dodaje ciszej: - Grace, naprawdę chcesz zarobić oskarżenie o bezpodstawne najście? Moim zdaniem jesteś na najlepszej drodze do tego. - Flint uparcie milczy, Jarrett siada więc naprzeciwko niej i nie wyczerpawszy jeszcze repertuaru pytań, ciągnie z naciskiem: - Zdajesz sobie sprawę, jak wyglądasz? Jakby ktoś cię włókł po ziemi. Pozwala mi to zgadywać, że weszłaś wokół domu Tylera bez jego zgody i, co gorsza, bez sądowego nakazu, więc na wypadek, gdybyś nie wiedziała, kwalifikuje się to jako nadużycie prawa, a w dodatku dopuściłaś się wykroczenia wobec człowieka zajmującego dość wysoką pozycję w tutejszej społeczności, a nie pospolitego przestępcy, jakiegoś wyrzutka, którym mogłabyś bezkarnie pomiatać. Dlaczego, Grace? Cokolwiek na tym zyskałaś?

- Wystarczająco dużo.

- Co?

- Przede wszystkim, nikt mnie nie włókł po ziemi, tylko sama się czołgałam, bo byłam wściekła, więc jeśli skończyłaś swoje nabożne kazanie, lepiej przynieś sobie kawy, bo chciałabym, żebyś dokądś zadzwonił.

Crawford krzywi się, że przejaw jego troski został określony nabożnym kazaniem, ale ostry ton Grace i dzikie błyski w jej spojrzeniu podpowiadają mu, że jest bliska wybuchu.

Dlatego w milczeniu nalewa sobie kawy z termosu, mając nadzieję, że zaraz uzyska wyjaśnienia.

- Byłam wściekłą Jerry, bo od razu do kogoś zadzwonił - mówi Flint, po czym wyjmując z torebki notatnik. - Twój przykładowy obywatel Tyler, niezłomny filar miejscowej społeczności, rozmawiał przez telefon około piątej dwadzieścia rano, ledwie potrząsnęłam silnie jego klatką, najwyżej dwie minuty po tym, jak zatrzęsął mi drzwi przed nosem. Domyśliłam się tego i gdy mnie splawił, zadzwoniłam z komórki pod jego numer. Był zajęty. Dlatego nadużyłam swoich uprawnień i przeczołgałam się na tyły domu, żeby podsłuchać jego rozmowę. Udało się o tyle, że słyszałam przynajmniej jej część. Chcesz wiedzieć, co mówił?

Pytanie jest retoryczne. Flint otwiera notes na pierwszej stronie, obraca go i przesuwa po stole, by Crawford mógł sam przeczytać, co zanotowała na gorąco zaraz po powrocie do wynajętego samochodu. Według jej zapewnień jest to prawie dosłowny zapis tego, co Tyler spiętym szeptem mówił do słuchawki.

„Zapewniałeś, że nigdy do tego nie dojdzie. Dałeś mi słowo... Do cholery. Ona już wie o wszystkim... Skąd to wiem? Bo była tu dzisiaj, i to aż dwa razy. Nie uwierzyła w ani jedno moje słowo, groziła sądowym nakazem, przesłuchaniem pod przysięgą i Bóg wie, czym jeszcze. Mówię ci, że to... Nie, to ty mnie posłuchaj. Możesz być pewien, że gdy wróci tu jeszcze raz, a jestem pewien, że wróci, chyba że ją powstrzymasz, wtedy powiem jej całą prawdę i będziesz... Wcale ci nie grozę, tylko lojalnie ostrzegam, że przez ciebie znalazłem się w niezręcznej sytuacji i dopóki czegoś z tym nie zrobisz... Przecież obiecywałeś, dałeś mi słowo!”.

Tyler stał wtedy na brzegu werandy, nie dalej niż metr od jej kryjówki. Musiałby ją zobaczyć, gdyby tylko spojrzął w prawo i w dół. Zaciskała już palce na kolbie rewolweru, była gotowa poderwać się na nogi, wymierzyć mu prosto między oczy i wyrwać słuchawkę z ręki w nadziei, że rozpozna głos jego rozmówcy, w najmniejszym stopniu nie martwiąc się o to, czy Tyler dostanie nagłego ataku serca, czy nie.

Nie zdążyła jednak, bo odwrócił się nagle i ruszył w stronę przeciwległego końca werandy dochodzącej na samą krawędź stromego zbocza. Skradając się za nim, musiała trzymać się oburącz jej wsporników, żeby nie ześliznąć się po błotnistym gruncie do wąwozu.

Znalazła się dokładnie pod miejscem, w którym stanął, gdy ze zniecierpliwieniem przerwał padające z drugiego końca linii zapewnienia:

- Wszystko pięknie, tyle że wyraźnie, bardzo wyraźnie dała mi do zrozumienia, że jest w mocy nadzwyczaj utrudnić mi życie, dlatego mówię szczerze... Czy mógłbyś mi dać

skończyć?... Bo z ręką na sercu, jeśli zrobi choć połowę z tego, czym mi groziła, to... Możesz mówić, co ci się podoba, ale ja nie zamierzam świecić za ciebie oczami. Nie pozwolę, by ktoś mi groził jak zwyczajnemu kryminaliście. Zgodziłem się ci pomóc tylko dlatego, że zapewniałaś, iż to kwestia...

Rozmówca znowu mu przerwał, na dłużej zapadła martwa cisza. Flint miała ochotę wrzasnąć na cały głos, i to nie tylko z powodu coraz silniejszego bólu przeszywającego jej stłuczone ramię, na którym zwieszała się niemal całym ciężarem ciała. Przez szczeliny w podłodze werandy widziała srebrzyste odblaski bosych stóp gospodarza i w wyobraźni podkładała pod nie ogień, żeby wymusić na nim zeznania, zwłaszcza odpowiedź na pytanie: To kwestia czego, panie Tyler?

- No, nie wiem - odezwał się w końcu. - Zresztą, zaczekaj, może i mam. Zostawiła mi swoją wizytówkę... - Najwyraźniej zaczął jej szukać w kieszeniach szlafroka. - Już mam. Zapisała na odwrocie numer, jak się domyślam, hotelu, w którym mieszka... - Powoli i wyraźnie przedyktował swemu rozmówcy numer telefonu w hotelu Howard Johnson.

- Tak, dobrze. Mam nadzieję - rzekł po kolejnej dłuższej przerwie nieco łagodniejszym tonem, widocznie uspokojony otrzymanymi zapewnieniami. - Dobrze... Wtedy nie musiałbym cię znów niepokoić... Życzę ci tego samego. Do widzenia.

Jeszcze przez jakiś czas stał na werandzie, więc Grace także tkwiła bez ruchu w swojej kryjówce, spoglądając na szarzejące powoli niebo. Później usłyszała jego głośnie westchnienie i podejrząny plusk, poczuła na odsłoniętej skórze ciepłe rozpryski.

Kiedy się wysikał i wszedł z powrotem do domu, puściła wreszcie wsporniki i zjechała na dno wąwozu niczym pozbawiony oparcia worek pełen śmieci.

Po przeprowadzce do Waszyngtonu Crawford zamieszkał w domu starszej siostry przy ulicy M, w północno-zachodniej części miasta, ze względów finansowych dzieląc jeden pokój z kolegą, Jimmym Bamfordem. Znali się jeszcze z dzieciństwa, wychowywali się w tej samej dzielnicy Pittsburga, razem chodzili do szkoły średniej, a potem na Uniwersytet Pitta, który obaj ukończyli z przeciętnymi ocenami, nie mając żadnych ciekawych perspektyw na przyszłość. I obaj chwyтали się dorywczych zajęć, gdy Alicia wyciągnęła pomocną dłoń i zaproponowała Jerry'emu podjęcie służby w policji, ponieważ jej mąż był opiekunem psów policyjnych w komendzie głównej i miał wystarczająco rozległe kontakty, by ułatwić młodszemu szwagrowi przejście wstępnej selekcji. Tak więc pod czujnym okiem siostry Crawford przeniósł się do stolicy i zamieszkał w domu Alicii, gdzie ściągnął też Bramforda, by razem z nim zgłosić się do naboru. Razem wstąpili do akademii policyjnej, razem ją ukończyli i rozpoczęli służbę patrolową, tego samego dnia uzyskali nominacje do wydziału

dochodzeniowego, aż w końcu zostali partnerami. Nawet na randki umawiali się wspólnie i ostatecznie ożenili się z siostrami.

- Zadzwoń do Czarodzieja - mówi Flint, mając na myśli właśnie Jimmy'ego Bramforda, którego dalsza kariera potoczyła się zupełnie inną drogą, choć pozostał w zażyłej przyjaźni i bliskim kontakcie z Crawfordem.

Ten w zamyśleniu obejmuje oburącz filiżankę z kawą, jakby chciał nią ogrzać palce.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - pyta obojętnie.

- Bo musimy wiedzieć, do kogo dzwonił Tyler. - Crawford wciąż nie reaguje, toteż Flint ciągnie: - Śledzenie jego połączeń może nie wystarczyć, bo nie wiemy, czy jeszcze raz zadzwoni pod ten sam numer, a ściągnięcie i sprawdzenie wykazów z centrali potrwa strasznie długo. - Doskonale zdaje sobie sprawę, że narusza niepisane prawo zachowania w ścisłej tajemnicy samego faktu istnienia Czarodzieja, nie mówiąc już o jego dostępie do najnowszych urządzeń elektronicznych. Dlatego z rozbrajającym uśmiechem dodaje: - Proszę, zrób to dla mnie, Krabiku.

Jarrett kręci głową.

- Dobrze wiesz, Grace, że nie powinnaś mnie o to prosić.

- Nie mam wyboru, Krabiku.

Crawford odznacza się chłopięcymi rysami, ale gdy silnie marszczy czoło, jak teraz, nagle zaczyna sprawiać wrażenie o wiele starszego.

- Jak to jest - cedzi, oddzielając słowa - że gdy czegoś chcesz, mówisz do mnie Krabiku, a gdy jesteś zła, zwracasz się do mnie Jerry?

- Kiedy jestem naprawdę wściekła, to mówię do ciebie pełnym imieniem, Jarrett.

Jarrett w zakłopotaniu odwraca głowę. Flint szybko wyciąga rękę, ścisną mu dłoń i dodaje cicho:

- Zrozum, Krabiku, że oni świetnie wiedzą, gdzie jesteśmy.

Crawford zerka przez ramię i uświadomiwszy sobie, że siedzi tyłem do drzwi sali restauracyjnej, porusza się nerwowo na krześle. Opanowuje jednak instynktowną chęć, żeby się przesiąść.

- Oni? - pyta z głupia frant.

- Oni, on, ona. Wszystko jedno. - Grace wciąż stara się panować nad sobą lecz po jej rozbieganym spojrzeniu widać, że jest niezwykle zdenerwowana. - Wolisz, żebym zawiadomiła NSA? Chyba wiesz, że stać mnie i na to.

- Grasz ze mną nie fair - odpowiada, mierząc ją surowym spojrzeniem, jakby chciał dać do zrozumienia, że potraktował to jak blef. - Naprawdę chcesz, żebyśmy mu przysporzyli kłopotów? O to ci chodzi?

Flint zaczyna celowo przenosić szybko spojrzenie z jego twarzy na wejście i z powrotem, pragnąc w ten sposób podkreślić wagę sytuacji.

- Skończ z tym - syczy ze złością Jarrett, ale obraca się bokiem na krzesło, żeby stale mieć drzwi na oku. - Czasami...

Urywa nagle, gdyż kelnerka przynosi zamówioną jajecznicę na bekonie. Grace rzuca się na nią z wilczym apetytem, jakby nie myślała o niczym innym, tylko o jedzeniu. On nie ma ochoty na śniadanie. Przez kilka minut, dopóki ona jest całkowicie pochłonięta jedzeniem, w posępnym milczeniu rozważa swoją sytuację.

- Żartowałaś, prawda? - pyta w końcu. - O powiadomieniu NSA?

- I tak, i nie. Nigdy bym nie zdradziła twojego informatora, Jerry, lecz jeśli nie zgodzisz się do niego zadzwonić, sama znajdę do niego dojście, możliwie jak najdyskretniej, i zacznę go błagać na kolanach, jeśli będzie to konieczne. Zrozum, Krabiku... - Zawiesza na chwilę głos i odsuwa pusty talerz. - Dotąd nie traktowałam tej sprawy jak osobistej, ale mam dziwne przeczucie, że ktoś z samej góry mnie olewa. I nie mówię tu dosłownie o szczyinach Tylera. Więc muszę tę sprawę potraktować jak osobistą, co oczywiście stawia mnie w bardzo kłopotliwej sytuacji, ale... Uwaga! - Delikatnym ruchem głowy wskazuje wejście do sali.

Wchodzi do niej dwóch mężczyzn. Flint z wydajnością aparatu fotograficznego natychmiast rejestruje szczegóły: obaj biali, średniej budowy ciała, barczyści, zadbani, koło trzydziestki. Nie wyróżniają się niczym szczególnym. Są w samych koszulach i krawatach, co mogłoby sugerować, że mieszkają w hotelu i nie noszą przy sobie broni, którą musieliby ukrywać pod marynarkami. A może to tylko specjalnie zainscenizowane pozory? Odprowadza ich uważnym spojrzeniem do stolika w drugim końcu restauracji, przy którym siadają.

Chwilę później w drzwiach pojawia się dwóch następnych, a tuż za nimi jeszcze trzech, wreszcie samotna kobieta po czterdziestce, około stu siedemdziesięciu trzech centymetrów wzrostu, odliczając wysokie obcasy, z krótko obciętymi ciemnymi włosami lekko przetykanymi siwizną i delikatnym makijażem służącym zamaskowaniu ciemniejszej plamki na lewej skroni, prawdopodobnie dużego pieprzyka, oczyma o odcieniu pośrednim między turkusowym a niebieskozielonym, drobnymi piersiami, zgrabnymi nogami, może tylko trochę za grubymi w kostkach, bez biżuterii i ślubnej obrączki. Siada przy sąsiednim stoliku, nie spojrzawszy nawet w ich kierunku. Jej twarz wydaje się Flint dziwnie znajoma.

Po minucie do sali wchodzi jeszcze małżeństwo z dwójką dzieci oraz umundurowana załoga rejsowego samolotu. Coraz trudniej rozeznaczyć się wśród tylu gości. Crawford wolno podnosi się z krzesła, jakby wciąż niezdecydowany, dokąd mogliby pójść.

- Wyośmy się stąd - mówi cicho.

- Co zamierzasz, Jerry? - pyta Flint, nie ruszając się z miejsca. - Co byś zrobił na moim miejscu?

Zniecierpliwiony pochyla się nad stolikiem i podpisuje rachunek.

- Także zwróciłbyś się do mnie z prośbą, prawda? Chciałbyś, żebym zadzwoniła?

Kobieta po sąsiedzku ukrywa twarz za rozłożoną kartą dań, lecz wcale jej nie przegląda, gdyż Flint kątem oka obserwuje jej nieruchome spojrzenie i domyśla się, że szatynka ze wszech miar usiłuje podsłuchać ich rozmowę. Łatwo poznać, czy ktoś próbuje czytać z ruchu warg, bo jeśli nie ma w tym doświadczenia, musi maksymalnie koncentrować uwagę i wyteżać wszystkie zmysły. Ona zaś na pewno nie jest zawodowcem, tylko bardzo się stara.

- Idziesz? - pyta ze złością Crawford, ignorując jej pytanie. Grace podnosi się z krzesła i mówi w zamyśleniu:

- Idź już. Zaraz cię dogonię.

Jarrett odwraca się i rusza do drzwi. Flint kieruje się za nim, ale po paru krokach gwałtownie skręca, siada przy stoliku naprzeciwko kobiety i szarpnięciem wrywa jej z ręki menu, odsłaniając twarz zastygłą w wyrazie osłupienia.

- Ja panią skądś znam - mówi stanowczym tonem.

- *Bitte?*

- Na razie nie mogę sobie przypomnieć, skąd, ale zaraz to skojarzę.

Szatynka powoli kręci głową i uśmiecha się z politowaniem.

- *Ich verstehe Sie nicht. Ich spreche kein Englisch.*

- Na pewno nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy - ciągnie niezrażona Flint - ale widziałam panią na zdjęciu. Może w zestawieniu osób poszukiwanych? - Marszczy brwi, udając, że wyteża pamięć. - Albo w liście gończym Interpolu? - Sięga do kieszeni po legitymację służbową. - Tak, chyba na liście gończym. - Otwiera portfel i podtyka jej pod nos srebrzystą odznakę zaprojektowaną przez Cuttera. - Mogę zobaczyć pani dokumenty?

Kobieta natychmiast poważnieje i z udawaną bezradnością zaczyna się rozglądać na boki, jakby szukała czyjejś pomocy.

- *Ich verstehe das nicht* - powtarza to swoje „Nie rozumiem”.

- *Ihre Dokumente* - mówi stanowczo Flint. - *Zeigen Sie mir Ihren Pas.*

Szatynka otwiera torebkę i zaczyna szukać paszportu. A może chce wyjąć coś innego?

- *Nein!* - krzyczy Grace.

Zrywa się z miejsca, sięga nad stolikiem i wyszarpuje jej torebkę. Kobieta wydaje z siebie przeraźliwy pisk. W sali zapada martwa cisza. Z przejścia do kuchni wybiega kelnerka i rusza w tę stronę.

- Nie zbliżać się! - syczy do niej Flint tak złowieszczo, jakby ostrzegała przed możliwością nagłej śmierci.

- *Hilfe! Bitte helfen Sie mir!* - woła brunetka, podrywając się z miejsca.

Nikt jednak nie próbuje powstrzymać agentki federalnej, która błyskawicznie odwraca torebkę i wysypuje z niej wszystko na stolik. Obrzuca zawartość jednym szybkim spojrzeniem, wypatrując pistoletu, noża czy jakiegokolwiek innej broni, ale niczego takiego nie ma.

Nie ma również paszportu, jedynie laminowany niemiecki dowód tożsamości ze zdjęciem przedstawiającym kobietę dosyć podobną do brunetki, która właśnie zaciska palce na pasku torebki, chcąc ją wyrwać z rąk Flint. Ta jednak lekkim pchnięciem w ramię sadza ją z powrotem na krześle. Według dowodu czterdziestotrzyletnia Frau Gisela Lender pochodzi z Berlina.

Mężczyźni siedzący w końcu sali wolno podnoszą się z miejsc, niezbyt pewni, jak mają zareagować, próbując w myślach mierzyć poziom swojej rycerskości z groźbą przeciwstawienia się agentce. Nie przeszkadza to jednak Flint spokojnie wyjść z restauracji z zabranym dowodem w ręku. Przecina hol, podchodzi do kontuaru recepcyjnego i machnąwszy swoją odznaką pracownikowi przed nosem, pyta ostro, czy Frau Lender, której zdjęcie widnieje na dowodzie, wynajmuje pokój w tym hotelu, a jeżeli tak, to kiedy się zameldowała.

Pięć dni temu, a więc na długo przed tym, jak Grace przyszło w ogóle do głowy przyjechać do Maine. Usłyszawszy to, garbi się nagle, jakby uszło z niej powietrze niczym z przebitej opony.

Zostawia niemiecki dowód w recepcji ze zdawkowym wyjaśnieniem, że znalazła go w restauracji, po czym wjeżdża windą na drugie piętro i idzie do swojego pokoju. Mało ją obchodzi możliwe reperkusje tej pomyłki, lecz mimo to zastanawia się, co powie Crawford, gdy się dowie o zajściu.

- Aha, postanowiłaś do bezprawnego najścia dorzucić jeszcze napaść z nieuzasadnionym przeszukaniem. Cudownie, Grace. Po prostu cudownie.

Samo tak wyszło, kwituje w myślach.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Czekając, aż pokojówka przyniesie wyprane i wyprasowane ubranie, po raz czwarty dzwoni pod numer telefonu komórkowego Crawforda, lecz ten nadal nie odbiera. Nie ma go w pokoju, a przynajmniej nie odpowiada na pukanie, toteż w Grace odżywa złudna nadzieja, że jednak zmienił zdanie i poszedł szukać bezpiecznego miejsca, żeby zadzwonić do Czarodzieja z Nieistniejącego Miasta, gdzie powinien być jeszcze ślad po rannej rozmowie telefonicznej Tylera przechwyconej przez rejestrujące wszystko anteny systemu inwigilacji elektronicznej NSA.

Nie mając nic innego do roboty, idzie do łazienki, żeby wymyć zęby i zrobić sobie makijaż. Podobnie jak Frau Lender nie lubi się mocno malować, używa tylko odrobiny pudru i szminki. Przygląda się dokładnie swemu odbiciu w lustrze, ale cerę ma prawie idealną. To zasługa chirurgów plastycznych, którzy dokonali wspaniałego dzieła rekonstrukcji jej twarzy straszliwie poranionej butem Claytona Bullera. Owo odbicie jest zarazem zwodnicze, gdyż w najmniejszym stopniu nie odzwierciedla jej uczuć.

- No, dobra. Gadaj - nakazuje stanowczo temu natrętnemu głosowi w głowie, który nie daje jej spokoju.

- Wysłaś za łgarza! - mówi odbicie w lustrze.

- Skąd możesz to wiedzieć?!

- Wszystko, co ci mówił, było kłamstwem.

- Nieprawda!

- Nie kłamał na temat swoich zamiłowań i pracy?

- Owszem.

- Więc ilekroć byliście razem, wszystko, co ci opowiadał na temat swoich zajęć i wypraw w teren, wymarzonej ekspedycji do Afryki, było kłamstwem!

- Zgadza się.

- W czym zatem nie kłamał? Czy kiedykolwiek mówił prawdę?

W kąciku prawego oka pojawia się łza, którą Grace ze złością ociera wierzchem dłoni.

- Może - odpowiada swojemu odbiciu.

- Skąd wiesz, że choć jedno jego słowo było szczere, kiedy cię dotykał i przytulał, kiedy się kochaliście?

Wpatrując się w tę nieruchomą maskę twarzy widocznej w lustrze, nie potrafi znaleźć w myślach odpowiedzi, którą tak bardzo chciałaby usłyszeć.

Po powrocie z łazienki Flint znów podchodzi do telefonu i choć jest niedzielny poranek, dochodzi dziewiąta, zastaje Rocco Moralesa na swoim posterunku w piwnicy Gmachu Marscheidera. Mówi mu, że potrzebny jej adres właściciela zastrzeżonego, a może już nawet zlikwidowanego numeru telefonu w Portlandzie.

Dla Moralesa to dziecinnie łatwe zadanie, ponieważ jego siostra, Rosetta, jest płatną poszukiwaczką czy też oficjalnie, „specjalistką od informacji”, i ze swego biura w Minnesocie odnajduje na zlecenia dłużników, tatusiów niepłacących alimentów, zbiegłe żony i innych zdesperowanych uciekinierów (z których część jest także poszukiwana przez Wydział Ścigania Przestępstw Finansowych) metodą gromadzenia danych z niezliczonych komputerowych baz dostępnych poprzez Internet i zbierania śladów nieświadomie zostawianych przez ludzi. Jeśli się tylko zapłaci odpowiednią cenę, Rosetta może udostępnić dowolny zastrzeżony numer telefonu w Stanach Zjednoczonych, jak również podać nazwisko i adres właściciela każdego aparatu, komórkowego czy stacjonarnego, nawet jeśli został odłączony w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Niestety, taka usługa kosztuje.

- Przecież jest niedziela - odpowiada Rocco. - To cię będzie sporo kosztować.

- Nawet więcej, niż myślisz. Ale bardzo potrzebuję tych danych, i to nie za trzy dni, czy ile trwa normalna realizacja zlecenia, ale dzisiaj, najlepiej jeszcze przed południem. Dlatego nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztować.

Dłuższa cisza w słuchawce oznacza, że Morales robi w myślach szybkie obliczenia.

- Będzie musiała zagonić do pracy cały swój zespół - mówi w końcu.

- Niech zaangażuje nawet drugi, jeśli będzie to konieczne.

- Rety. Jesteś pewna, że Cutter zaakceptuje to zlecenie? - pyta Rocco.

Chyba nie, przemyka przez głowę Grace.

- Załatwię to z nim - odpowiada.

Później jeszcze raz dzwoni pod numer telefonu komórkowego Crawforda, próbuje się też połączyć z jego pokojem, ale bez rezultatu. Dzwoni więc do obsługi, by przyspieszyć czyszczenie swoich ubrań. Nie ma nic do roboty i nie ma dokąd pójść, ale nie chce beczynnie oczekiwać w pokoju na efekt działań Rosetty. Musi zaczerpnąć powietrza i choć trochę się rozluźnić, w jakikolwiek sposób odpędzić od siebie natrętne pytania dotyczące Bena, na które boi się poznać odpowiedzi.

Po dziesięciu minutach pokojówka przynosi ubrania, szczęśliwie wyrwijając ją z zamyślenia. Mimo starań służby garsonki nie dało się wskrzesić, na spódnicy pozostały duże plamy, a w zakiecie jest naderwany rękaw. Grace dzwoni więc do recepcji i pyta, gdzie najbliżej w niedzielny poranek można kupić nowe ubrania. Okazuje się, że czterdzieści

kilometrów na północ od Portlandu leży Freeport, będące w zasadzie jednym wielkim centrum handlowym. Szybko decyduje się tam pojechać.

Kiedy kończy już pisać notatkę dla Crawforda, którą chce zostawić w recepcji, dzwoni telefon. Spodziewając się, że to Jarrett albo Morales, podbiega, chwyta słuchawkę i rzuca krótko:

- Flint.

Odpowiada jej jednak cisza, a po paru sekundach rozlega się urywany sygnał przerwane połączenia. Grace od razu wciska zero, a gdy odzywa się operatorka hotelowej centrali, pyta zniecierpliwiona:

- Czy łączyła pani przed chwilą rozmowę do mojego pokoju?

- Nie, proszę pani.

- Zatem ktoś musiał dzwonić z hotelu?

- Tak, oczywiście.

W jej pamięci nagle odzywa ostrzeżenie, które rano skierowała do Crawforda: Oni wiedzą, gdzie jesteśmy.

Nie kończy pisać notatki. Zagląda do torebki, żeby sprawdzić, czy pistolet jest na miejscu, po czym otwiera drzwi i ostrożnie wygląda na korytarz. Jest pusty. Wychodzi więc i energicznym krokiem rusza w kierunku przeciwnym do windy, idąc za znakami prowadzącymi do wyjścia awaryjnego.

Tak samo ostrożnie zagląda na klatkę schodową i upewniwszy się, że nikogo tam nie ma, przeskakując po dwa stopnie naraz i próbując zignorować ostry ból w kolanie, zbiega na parter, wychodzi bezpośrednio na parking i okrąża budynek. Wkracza głównym wejściem do holu niespełna dwie minuty po odebraniu głuchego telefonu. Skręca w stronę stojaka z wydawnictwami reklamowymi, bierze pierwszą lepszą broszurę i udając zainteresowaną atrakcjami turystycznymi Maine, zaczyna obserwować kątem oka wyświetlające się cyfry nad drzwiami wind. Jedna z nich stoi na drugim piętrze.

Niepostrzeżenie wyjmuje z torebki mały automatyczny pistolet i wsuwa go za pasek spódnicy na lewym boku. Ma nadzieję, iż pod połą zakietu nie będzie widać wybrzuszenia.

Chwilę później - zdecydowanie za wcześnie na to, by ktoś zdążył się przekonać, że nie ma jej w pokoju - winda zaczyna zjeżdżać z drugiego piętra. Po drodze zatrzymuje się jeszcze na pierwszym, wreszcie dociera na parter. Drzwi się rozsuwają i wychodzi z niej gruba kobieta w średnim wieku o nienaturalnie jasnych włosach, otoczona trójką ciemnoblondego dzieci, również otyłych. Flint oddycha z ulgą lecz w tym samym momencie babsko zwraca się do najstarszej latorośli:

- Darren, zapomniałeś o dobrych manierach? Powinieneś pomóc damie.

Chłopak zapiera się brzuchem o drzwi, jakby z obawy, że zaraz się zamkną, odwraca się i wyciąga dużą walizkę. Przenosi ją bez trudu, co świadczy, że wcale nie jest taka ciężka, na jaką wygląda. Ze środka windy dobiega głos drugiej, niewidocznej jeszcze kobiety:

- Dziękuję, kawalerze. Jesteś bardzo uprzejmy.

Bez wątpienia to ten sam głos, który Flint słyszała niespełna dwie godziny wcześniej: *Ich verstehe das nicht. Ich spreche kein Englisch.* Przychodzi jej do głowy, żeby jeszcze raz stanąć oko w oko z Frau Lender.

No, proszę, jak szybko można się nauczyć języka!

Błyskawicznie rezygnując z pierwszego pomysłu, przesuwa się jeszcze trochę do rogu i kuca, jak gdyby zainteresowana broszurami ułożonymi na samym dole stojaka. Kątem oka zerka na nogi Niemki wychodzącej z windy.

- Jesteś bardzo uprzejmy. Dziękuję - powtarza Frau Lender. Flint jest coraz bardziej pewna, że już się kiedyś spotkały.

Mętne skojarzenia wywołuje widok wielkiej walizki. Zaczyna więc gorączkowo odtwarzać w myślach epizodyczne wspomnienia, próbując umiejscowić to skojarzenie.

Darren widocznie zaproponował dalszą pomoc, gdyż Niemka odzywa się szybko:

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę, młodzieńcze. Mój samochód stoi przed hotelem.

Rusza w stronę wyjścia, z turkotem ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Dopiero ten widok pozwala Grace skonkretyzować wcześniejsze skojarzenie. W wyobraźni cofa się do parnego upalnego dnia z sierpnia ubiegłego roku, który musiała spędzić w zagraconym pokoiku nad sklepem ze sprzętem elektronicznym przy Tottenham Court Road w Londynie. Z niechęcią i znudzeniem przeglądały wtedy zapisy wideo zrobione poprzedniego dnia w hali przylotów drugiego terminalu lotniska Heathrow.

Operacja „Zielone Świątki” utknęła wówczas w martwym punkcie i Flint była zmuszona wybrać się do Anglii, żeby zdopingować swoich byłych kolegów z Wydziału Zwalczenia Przystępczości Zorganizowanej, zobligowanych do współpracy z nią, ale czyniących to bez zaangażowania, w swoim własnym letargicznym rytmie.

- Zaraz będzie przechodziła przez odprawę paszportową - powiedziała inspektor Pat Bakewell, kobieta nietowarzyska do tego stopnia, że pół godziny u jej boku wystarczyło, by Grace poczuła się wyzuta z wszelkiej energii. - To ta krowa po prawej.

Wciąż kucając przy stojaku z broszurami, Flint zamyka oczy, żeby lepiej przypomnieć sobie szczegóły tamtego obrazu oglądanego na monitorze.

- Legitymuje się paszportem na nazwisko Moltke, Friederike Moltke - wyjaśniła Bakewell. - Ale to o niczym nie świadczy. Biorąc pod uwagę, czym się zajmuje, dokumenty prawie na pewno są fałszywe.

Brytyjscy antyterrorysty mieli uzasadnione podejrzenia, że Moltke jest mułem w organizacji Karla Grobera, kurierem transportującym brudne pieniądze.

- To już jej ósma wizyta w Zjednoczonym Królestwie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy - powiedziała Bakewell. - Zjawia się regularnie, z zegarmistrzowską precyzją, i zawsze wlecze za sobą tego kolosa na kółkach.

Flint przypomina sobie czarno-biały obraz z kamery systemu bezpieczeństwa, na którym kobieta odchodzi z punktu kontroli paszportowej, ciągnąc za sobą wielką walizkę.

- Już dwa razy zarządziłam dokładne sprawdzenie jej bagażu, lecz oczywiście niczego nie znaleźliśmy - oznajmiła Bakewell.

Kobieta na ekranie odwróciła głowę i obejrzała się przez ramię, a policjantka zatrzymała odtwarzanie, żeby Grace mogła się przyjrzeć jej twarzy. Niemka była wtedy zupełnie inaczej uczesana i miała włosy innego koloru, ale dokładne te same szeroko rozstawione oczy i prosty wąski nos oraz zamaskowane makijażem duże ciemne znamię na lewej skroni.

To była Frau Lender.

Mimo jaskrawego, oślepiającego słońca wskaźnik na desce rozdzielczej wypożyczonego auta wskazuje, że na zewnątrz jest tylko jeden stopień powyżej zera. Na poboczach jezdnii skrzą się jeszcze kryształki szronu. Flint jedzie przez śródmieście Portlandu, starając się, by przez cały czas co najmniej dwa auta dzieliły ją od brązowego forda escape. Doskonale zdaje sobie sprawę, że ciągle skrety i zmiany trasy nie świadczą o tym, że Niemka zgubiła drogę. Najwyraźniej próbuje się zorientować, czy nie jest śledzona.

Grace od razu zadzwoniła do Moralesa i poprosiła o sprawdzenie numerów rejestracyjnych. Okazało się, że ford także pochodzi z wypożyczalni Hertz'a i ma zostać odstawiony na parking przy lotnisku Logana w Bostonie dzisiaj do osiemnastej. Nic jednak nie wskazuje na to, by Frau Lender dokądkolwiek się spieszyło, chociaż w ciągu minionej pół godziny minęli aż kilkanaście tablic wskazujących drogę do autostrady prowadzącej na południe, w kierunku Massachusetts. Wynika stąd, że podróż do Bostonu nie jest na razie najważniejszym punktem wizyty Niemki w Ameryce.

Flint stara się też zapamiętać krętą trasę przejazdu, spoglądając na plan miasta rozłożony na kolanach. Stwierdza ze zdumieniem, że już drugi raz tego ranka skręcają na Market Street wiodącą między szeregami ponurych baraków i hal magazynowych na wschód,

w stronę morskiej przystani z pomostami cumowniczymi odchodzącymi od lądu na kształt rozczapierzonych palców ręki. Poprzednio nie dojechali do portu, skręcili w lewo, w Commercial Street, i wyjechali na US-1A, wielopasmową obwodnicę biegnącą wokół Portlandu. Teraz także ford włącza kierunkowskaz i zatrzymuje się na skrzyżowaniu. Flint przesuwa dźwignię automatycznej skrzyni biegów w położenie neutralne i zaczyna powoli hamować, czekając, aż Frau Lender zjedzie ze skrzyżowania.

Zatrzymuje się jako trzecia w kolejce wozów do skreću. Kierowca przed nią, choć ma wolną drogę, nie skręca za brązowym fordem, toteż Flint krótko naciska klakson. Rusza wreszcie i patrząc w prawo, zjeżdża ze skrzyżowania. Nagle spostrzega, że auto Niemki stoi przy krawężniku najwyżej dwadzieścia metrów dalej. Mimowolnie szybko zbliża się do niego, łowiąc odbicie Frau Lender spoglądającej w boczne lusterko.

Nic już nie może zrobić, nie ma szans, by uniknąć rozpoznania. Mija więc forda, patrząc nieruchomo przed siebie, bojąc się nawet zerknąć w kierunku Niemki. Jadąc dalej Commercial Street, przenosi wzrok na wsteczne lusterko.

Brązowy ford jest już pięćset metrów z tyłu, ona ma zaś przed sobą wjazd na obwodnicę, kiedy dochodzi do tego, czego można się było spodziewać. Frau Lender rusza gwałtownie i zawraca w ciasnym skreću. Rozlegają się klaksony wozów nadjeżdżających z przeciwka i chwilę później brązowy ford znika Flint z oczu.

Ledwie pohamowując wściekłość, zaczyna się rozglądać za miejscem, gdzie mogłaby stanąć i zadzwonić. Chce zawiadomić policję o domniemanej kradzieży auta, podając się za właścicielkę forda, udać zrozpaczoną tłumacząc chociażby, że zostawiła małe dziecko na tylnym siedzeniu - jest gotowa zrobić wszystko, by komunikat o uciekającym brązowym aucie został natychmiast rozesłany do wszystkich patroli drogówki z Portland. Nic jej nie obchodzi ewentualne konsekwencje.

Rozmyśla wciąż nad skutecznymi sposobami rozpętania prawdziwego piekła, kiedy nagle dzwoni jej telefon komórkowy. Pospieszenie sięga po niego do torebki, nie zdając sobie nawet sprawy, że Jarrett Crawford po raz kolejny ratuje ją przed nią samą.

- Gdzie jesteś? - pyta ostro, pomijając zbędne formalności.
 - Kręcę się po całym Portlandzie jak kot za własnym ogonem.
 - Muszę z tobą porozmawiać.
 - Słucham.
 - Nie przez telefon i nie w hotelu.
- Ton jego głosu sprawia, że przechodzą ją ciarki.
- Więc gdzie?

- Pamiętajasz Scratchwood i Petera?
- Mija parę sekund, nim Flint uzmysławia sobie, o co mu chodzi.
- Tak.
- Zrobimy tak samo. Jedź na południe. Spotkamy się mniej więcej za godzinę.
- Dobra.
- I wyłącz swój telefon, Grace. Natychmiast.
- Dlaczego?
- Bo jest jak nadajnik sygnałów dla radionamiernika.
- Co takiego?
- Zaufaj mi, Grace. Kiedyś sama powtarzałaś, że dopóki ma się włączony telefon komórkowy, przeciwnik zawsze będzie wiedział, gdzie jesteś.
- W porządku.
- Nie, nic nie jest w porządku - mówi Crawford.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Statut Wydziału Ścigania Przestępstw Finansowych, po wielu staraniach uzgodniony przez przedstawicieli siedemnastu krajów finansujących operacje, daje agentom nadzwyczajne uprawnienia. Na podstawie „uzasadnionych podejrzeń” szef wydziału może zarządzić zamrożenie majątku podejrzanej osoby w każdym z krajów członkowskich - oczywiście, jeśli ten majątek „pochodzi z prania brudnych pieniędzy lub jest do tego wykorzystywany”. Tak więc na wniosek Aldusa Cutter bądź pod jego nieobecność Nathana Starka czy Grace Flint (jeśli akurat nie kieruje żadną tajną operacją) władze Stanów Zjednoczonych, Kanady i piętnastu krajów Unii Europejskiej powinny zamrozić konta bankowe podejrzanej osoby i zająć najcenniejsze elementy majątku, takie jak dom lub jacht. Ich odzyskanie powinno być możliwe dopiero po udowodnieniu, że zarzuty agentów Wydziału Ścigania Przestępstw Finansowych były nieuzasadnione.

Zachętą do prowadzenia tych nietypowych działań ma być klarowny schemat podziału zysków. Jego trzecia część ma stanowić budżet operacyjny wydziału - nie tylko zapewniać źródło finansowania operacji, ale też, jak z dumą powtarza Cutter, „przynosić całkiem przyzwoite dochody” - ponadto dwadzieścia procent ma zasilać tajny fundusz na opłacanie informatorów, trzydzieści iść na rzecz aktywnie współdziałających instytucji i agencji rządowych, reszta zaś, a więc lwią część, powinna zasilać budżet współpracujących krajów. Wziąwszy pod uwagę takie rozwiązania prawne, jeszcze się nie zdarzyło, by któryś z

sygnatariuszy porozumienia odmówił dokonania konfiskaty na podstawie oskarżeń Wydziału Ścigania Przestępstw Finansowych.

Ale to porozumienie ma też swoje minusy, co Cutter podkreśla przy każdej sposobności. W rządowych agencjach dotkniętych kłopotami finansowymi, a zatem dosłownie w każdej, zaznacza się wyraźna tendencja do ukrywania informacji, których ujawnienie w bardziej stosownym momencie może się przyczynić do zwiększenia jej udziału w przewidywanych zyskach. Bywa też odwrotnie - zdaniem dyrektora zdecydowanie za często - gdy gorliwi agenci za szybko chwytają za broń i wyłapują tylko małe płotki, nieświadomi istnienia znacznie ważniejszych obiektów powiązanych z prowadzoną sprawą. Cutter nazywa to „niecierpliwością pijusów sięgających po młodniak”.

Stąd też nauczeni przykrymi doświadczeniami agenci wydziału także starają się zatrzymać dla siebie zgromadzone informacje aż do ostatniej chwili. Właśnie dlatego w grudniu

Flint poleciała do Anglii w ścisłej tajemnicy, formalnie tylko po to, żeby spędzić wigilię Bożego Narodzenia w towarzystwie ojca. Dla wszystkich, którzy mogli uznać za dziwne to, że nie spędzi świąt razem z mężem, miała gotowe wiarygodne tłumaczenie - a przynajmniej sama uważała je wtedy za wiarygodne:

- Ben znów wybiera się na wyprawę terenową - powiedziała Kitty Lopez, która, jak olbrzymia większość pracowników Gmachu Marscheidera, nie mogła znać prawdziwych powodów jej wyjazdu za ocean. - Na skutek lodem wybrzeże Zatoki Hudsona. - Po czym przytoczyła ulubione określenia Bena, naśladując jego bas: - Do światowej stolicy niedźwiedzia polarnego.

- To sprawa o najwyższym priorytecie i nikt poza nami nie powinien znać prawdy - oznajmił Cutter podczas odprawy w sali konferencyjnej. - Czy wyrażam się jasno?

Jarrett Crawford i Feliks Hartmann przytaknęli na głos, a Flint tylko skinęła głową. Rozjechali się w różne strony. Hartmann wyruszył do Niemiec, mówiąc wszystkim, że jedzie na święta do rodziców. Crawford miał je spędzić w Waszyngtonie, w domu siostry, gdzie, jak co roku, zbierał się liczny rodzinny klan.

Rocco Morales musiał dostarczyć cały sprzęt potrzebny do przeprowadzenia tajnej misji, ale nawet on nie został wciągnięty do kręgu wtajemniczonych.

Dwa dni później Flint poleciała nocnym rejsem do Anglii, nie do Londynu, tylko do Manchesteru, żeby do minimum ograniczyć ryzyko spotkania któregoś z byłych kolegów z brygady antyterrorystycznej. Samochodem z wypożyczalni pokonała samotnie

dwustukilometrową trasę do Mid Compton, maleńkiej wioski w Oxfordshire, i pochodzącej z epoki króla Jerzego farmy, na której się wychowała.

Zastała ojca w części przerobionej starej stodoły przeznaczonej do zabiegów chirurgicznych. Wywołał spory popłoch wśród swoich pacjentów, gdy na jej widok ryknął głośno:

- Cudownie, cholernie cudownie znów cię widzieć!

Jak zwykle objął ją przytulił i podniósł na chwilę z podłogi.

Od razu poszli do domu, gdyż chciał się pochwalić dość ekstrawaganckimi przygotowaniami do jej wizyty - ogromną choinką stojącą w kącie saloniku i przybraną długim sznurem lampek, lodówką pełną specjałów z Londynu, z delikatesów Fortnuma & Masona, nową lnianą pościelą w jej świeżo odmalowanej sypialni.

Przepełniona poczuciem winy, pozwoliła, żeby doszczętnie zepsuł jej radość tego pierwszego dnia pobytu w domu, zanim przedstawiła nowiny.

- Muszę cię prosić o przysługę - zaczęła, gdy krótko przed zachodem słońca wybrali się na spacer wśród pól.

- Możesz prosić o wszystko, skarbie.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli kilku moich przyjaciół wpadnie na parę dni, a konkretnie na święta?

- Kilku przyjaciół? - zapytał, przystanąwszy, obrzucając ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Prawdę powiedziawszy, chodzi o kolegów z wydziału, którzy są również moimi przyjaciółmi.

Dostrzegła grymas rozczarowania, który przemknął przez jego twarz. Może był to nawet wyraz zaniepokojenia, ale szybko zniknął pod uśmiechem.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu - odparł takim tonem, jakby pomysł mu się naprawdę spodobał. - Im więcej nas będzie, tym weselej spędzimy czas. Nie sądzisz?

- Dziękuję - powiedziała i cmoknęła go w policzek.

Wzięła go pod rękę i pociągnęła dalej w dół dość stromego, porośniętego trawą zbocza wzniesienia, na którym stały zabudowania farmy. Dopiero po jakimś czasie ojciec spytał obojętnym tonem:

- Więc mówisz, Gracie, że u Bena wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście, tato,

- A poza tym? Wszystko między wami układa się dobrze? Był to niezwykle u Johna Flinta przejaw zainteresowania życiem prywatnym córki.

- Doskonale.

Mniej więcej było to zgodne z prawdą. Przynajmniej wtedy tak jej się wydawało.

Jadąc teraz na spotkanie z Crawfordem i przypominając sobie tamten wieczór, nieświadomie dodaje gazu i rozpędza wóz do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, chociaż jedzie prawym pasem autostrady przeznaczonym dla ruchu lokalnego.

Uświadomiwszy to sobie, zaczyna hamować. Prowadzi jak pogrążona w letargu.

Od czasu do czasu zerkając we wsteczne lusterko i wypatrując samochodu Crawforda, znów pozwala swoim myślom zagłębić się we wspomnieniach i doznaniach z tamtych dni.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Crawford i Hartmann zjawili się w Mid Compton w wigilię, przyjechawszy z Londynu dziwnym konwojem złożonym z dwóch aut, wielkiego bmw Hartmanna na niemieckich numerach rejestracyjnych oraz sportowej jaskrawożółtej mazdy, w której Crawford z trudem się mieścił. Za namową Grace przywieźli prezent dla gospodarza, jego ulubioną słodową whisky, toteż zostali przyjęci bardzo ciepło. Sami natomiast byli aż nazbyt wyraźnie spięci, przesadnie uprzejmi i prześcigający się z pomocą. Flint szybko doszła do przekonania, że jest tylko kwestią czasu, kiedy ojciec straci do nich cierpliwość.

- Na miłość boską czy obaj musicie ciągle zwracać się do mnie per pan? - zapytał ostro już pierwszego wieczoru, kiedy zebrali się w kuchni na zaimprovizowanej kolacji wigilijnej. - Mam na imię John. Poza tym nie jestem kompletnym idiotą i dobrze wiem, że we właściwym czasie Grace wyjawi mi prawdziwy powód waszej wizyty, prosząc o zgodę na to, co zamierzacie zrobić. Ma duże szanse uzyskać moją akceptację, zresztą nawet jeśli jej nie uzyska, i tak zrobi to, o co jej chodzi... Więc spróbujcie się choć trochę rozluźnić. W końcu mamy święta. A skoro już o tym mowa, czy ktoś z was ma pojęcie, jak należy upiec tę gęś? - zapytał, dźgając nożem wypatroszone ptaszysko leżące na blacie. - Jeśli tak, chętnie bym się tego dowiedział.

Hartmann odparł, że trochę się zna na gotowaniu, i podjął się pokierować przygotowaniami (co Grace przyjęła z ulgą, gdyż podobnie jak ojciec nie miała żadnej wprawy w szykowaniu świątecznych potraw, tym bardziej że w Miller's Ranch gotowaniem zajmował się niemal wyłącznie Ben). Później, z nie mniejszym zdziwieniem, dowiedziała się, że Crawford ma nie tylko właściwy stosunek do zwierząt, ale jeszcze dysponuje podstawową wiedzą z zakresu weterynarii, toteż gdy po kolacji zadzwonił miejscowy leśniczy z wiadomością że jego najlepsza klacz leży w drgawkach na podłodze stajni, prawdopodobnie

wskutek nagłego ataku kolki, Jarrett podjął się na ochotnika towarzyszyć doktorowi Flintowi i udzielić mu wszelkiej pomocy, jakiej będzie potrzebował.

W oczekiwaniu ich powrotu, wygnana z kuchni przez Hartmanna, posłała dwa łóżka w pokoju gościnnym i zajęła się szykowaniem stołu do świątecznego śniadania, wreszcie zadzwoniła do domu, by przesłuchać wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Mimo trzasków w słuchawce natychmiast rozpoznała głos Bena:

- Cześć, nurze. To ja. Nie gniewaj się, ale dzisiaj już nie jesteś słowikiem, tylko takim samym nurem jak ja, bo tylko nury mają nogi tak blisko kupra, że w ogóle nie mogą chodzić, a gdy zmieniają upierzenie, nie mogą nawet latać, co bardzo dobrze oddaje stan, w jakim się znalazłem. Nie mam najmniejszego pojęcia, co tu robię i dlaczego nie jestem teraz z tobą bo oddałbym wszystko, byle tylko móc się do ciebie przytulić. Kocham cię, moja pani nurzyco. Wesołych świąt.

Jarrett z ojcem wrócili dopiero po dziesiątej, a musiała minąć jeszcze godzina, nim dotarło do niej, że Crawford i Hartmann muszą być bardzo zmęczeni i tęsknią za wygodnym łóżkiem. Mimo to potrzeba było jeszcze kwadransa, żeby obaj zrozumieli jej delikatną aluzję i przyznali gorliwie, że faktycznie chętnie położyliby się spać.

- Sympatyczne chłopaki - mruknął ojciec, kiedy wreszcie zostali sami i usiedli na kanapie przed kominkiem. W zamyśleniu obracał w szklaneczce whisky, którą mu naląła. - Pracujesz z nimi na co dzień, prawda?

- Owszem - przyznała obojętnym tonem, domyślając się, że rozmowa zejdzie na tematy, które sama chciała poruszyć.

- Podejrzewam więc, że i teraz bierzecie udział w jakiejś operacji.

- Zawsze jakąś prowadzimy - odparła z pobłażliwym uśmiechem.

- To tajna operacje?

- Prawie wszystkie są tajne.

- I prowadzicie ją tu, w Wielkiej Brytanii?

- Mniej więcej.

Zrobił tak zdziwioną minę, że uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- No cóż. Jak nie możesz, to nie mów - mruknął.

- Nie powiem.

- W takim razie ja też nie powiem, co zamierzałem ci dać w prezencie gwiazdkowym.

Pozostaniemy oboje w świecie tajemnic.

- To jawny szantaż. A może próba przekupstwa? W każdym razie i tak nie wytrzymasz, żeby mi nie powiedzieć.

- Tak myślisz? No to się przekonasz.

Pociągnął łyk słodowej whisky i zacisnął wargi, chcąc dać do zrozumienia, że będzie milczał jak grób.

Odczekała stosowną minutę i zaczęła z ociąganiem:

- Czy to... ładny prezent?

- Wspaniały!

- I drogi?

- Piekielnie!

- To znaczy... taki, za który każda twoja córka sprzedałaby duszę?

- Bez dwóch zdań!

Jeszcze przez chwilę udawała, że się waha.

- No, dobrze. Niech ci będzie.

* * *

- Jakieś dwa tygodnie temu - powiedziała w zamyśleniu półgłosem - z Londynu do Nowego Jorku przyleciała pewna kobieta, Brytyjka prowadząca małą agencję detektywistyczną z Birmingham, i została zawrócona przez służby imigracyjne na lotnisku Kennedy'ego. Bez żadnego konkretnego powodu, niemalże przypadkiem, jakby sprawdzający ją oficer po prostu był w złym humorze. Ale przecucie go nie zawiodło. Zapalił jej czerwone światło, co znaczy, że została prześwietlona na wylot. Celnicy dokładnie sprawdzili bagaż i za wykładziną walizki znaleźli dokumenty dotyczące pewnego dochodzenia, które prowadziłam prawie od roku. Konkretnie były to komputerowe wydruki naszych depesz do angielskiego Wydziału Zwalczania Przystępczości Zorganizowanej, w których domagaliśmy się ujawnienia informacji i rozpoczęcia obserwacji grupy podejrzanych. Bo musisz wiedzieć, że w wielu prowadzonych przez nas sprawach ujawniają się powiązania z Londynem. Kobieta zarzekała się, że nic nie wie o tych dokumentach, ale po nocy spędzonej w areszcie celnym szybko zmieniła zdanie. Pozwoliliśmy jej się jeszcze wypocić przez następną dobę, po czym wzięliśmy na przesłuchanie. Zaczęła mówić z własnej woli.

Nie po raz pierwszy Flint pozwalała ojcu wejrzeć w głąb obcego mu świata, ale obserwując uważnie jego minę, miała pewność, że nie w pełni trafia do niego posępny kontekst relacji.

- Oczywiście, nie powiedziała nam całej prawdy, bo przestępcy nigdy nie mówią wszystkiego, przynajmniej nie od razu. Wyznała jednak, że to jej czwarta podróż do Nowego Jorku, w której miała dostarczyć dokumenty klientowi znanemu jej pod imieniem Peter.

Nigdy się z nim nie spotkała. Kontaktował się z nią przez Internet, gdyż na potrzeby firmy miała w sieci własną stronę. I gdy prosił od czasu do czasu o wzięcie na siebie roli kuriera, nie miała odwagi mu odmówić.

Przekazywanie poczty zawsze miało taki sam przebieg. Peter przysyłał jej e-mailem instrukcje, nakazujące o określonej porze nocy pojechać tą czy inną drogą, a gdy zobaczy stojący na poboczu samochód z włączonymi światłami awaryjnymi, ma zajechać na najbliższą stację benzynową, zwykle oddaloną najwyżej o parę kilometrów, zostawić w zatoczce niezamknięty wóz i pójść do toalety, a po wyjściu wracać do domu i wyjąć z bagażnika pustą walizkę, która tylko z pozoru była pusta. Następnie jak najszybciej, w ciągu trzech dni, musiała się wybrać do Nowego Jorku, zameldować w hotelu Hilton przy Szóstej Alei i nagrać wiadomość na automatycznej sekretarce pod numer podany przez Petera, podając numer swojego pokoju.

W ciągu godziny, najdalej dwóch, rozległ się pojedynczy dzwonek telefonu, który oznaczał, że ma zostawić otwarte drzwi i zniknąć w łazience. Przebywała tam przez dziesięć minut, a gdy wracała, walizki już nie było w pokoju. Procedura była dość złożona, ale zapewniała bezpieczeństwo. Nie dochodziło do żadnych kontaktów osobistych.

- Tylko czemu się na to godziła, na miłość boską? - zapytał ojciec.

Grace mimowolnie roześmiała się cicho.

- Z chciwości - odparła. - Wyłącznie z chciwości. Na łóżku w miejscu zabranej walizki zawsze znajdowała kopertę z dziesięcioma tysiącami gotówką, w banknotach dwudziestodolarowych. Nawet wzięwszy pod uwagę koszty takiej podróży, to i tak niezły zarobek za wykonanie trzydniowego zlecenia.

John Flint pokręcił głową, jakby nie mógł tego zrozumieć.

- Ten Peter nie mógł po prostu wysłać dokumentów pocztą?

- Owszem, mógł, chociażby kurierską, ale to nie w stylu Hustlera.

- Kogo?

- Naszego głównego obiektu, łotra kierującego wielką operacją prania brudnych pieniędzy. To Niemiec z byłej NRD, który wcześniej, przed zjednoczeniem, pracował w służbie bezpieczeństwa i miał rozległe kontakty w Moskwie, a teraz zajmuje się praniem forsy dla wszystkich pasożytów, jakich namnożyło się we wschodniej Europie po upadku muru. Obraca setkami milionów dolarów. Jest w tym bardzo dobry i nadzwyczaj ostrożny. To, czego najbardziej się obawia i przed czym szczególnie się chroni, to infiltracja jego siatki przez naszych agentów, bo doskonale wie, że tylko poprzez infiltrację możemy go zniszczyć. Kłopot z listami polega na tym, że nie da się stwierdzić, czy nie były otwierane, a już na

pewno nie po naszej działalności. Poza tym służby celne wrywkowo kontrolują pocztę kurierską i choć nie jest to rutynowa procedura, zawsze istnieje niebezpieczeństwo wpadki. Mam nadzieję, że teraz rozumiesz, tato. Wykorzystując muła, czyli własnego najętego kuriera, Hustler zachowywał ciągły nadzór nad dokumentami i od razu by wiedział, gdyby coś się stało, na przykład, gdyby został zdradzony czy walizka zaginęła w podróży. To z kolei umożliwiłoby mu podjęcie kroków zaradczych, z pewnością od razu zaalarmowałby Petera i natychmiast przystąpił do zacierania śladów.

Tego właśnie należało oczekiwać. Ta kobieta, która, nawiasem mówiąc, ma na imię Nina, powinna trzymać gębę na kłódkę albo powtarzać jakąś zmyśloną bajeczkę, że na przykład znalazła tę walizkę w pociągu i postanowiła ją zatrzymać. Najgorsze, co mogło im się przytrafić, to deportacja Niny, o czym Hustler także szybko by się dowiedział. W takim wypadku straciłby tylko pięćdziesiąt tysięcy dolarów, bo właśnie tyle jej obiecał w razie kłopotów, a on zawsze dotrzymuje obietnic.

Nie przewidział jednak tego, że Nina całkowicie się załamie po dobie spędzonej w areszcie, w jednej celi z jakimiś szumowinami, których nikt nie chciałby napotkać na swej drodze.

John Flint skrzywił się boleśnie i zapytał:

- Co oni jej zrobili?

- Nic takiego, powiedziałam jej tylko, że jeśli nie przestanie kłamać, odeślę ją z powrotem do aresztu przy lotnisku. Wtedy rozplakała się jak dziecko. - Grace śmiało spoglądała prosto w oczy słuchającego uważnie ojca. - Przez Hustlera zginęli już ludzie, tato. Niewinni ludzie. Tacy jak Nina muszą zrozumieć, że skoro postanawiają dołączyć do jego drużyny, to muszą się liczyć z poważnymi konsekwencjami, gdy coś pójdzie niezgodnie z planem.

- W to nie wątpię - mruknął, po czym szybko odwrócił głowę i zapatrzył się w ogień pod kominkiem.

- W każdym razie załamała się tak, że mogliśmy ją wytrząsnąć, i...

- Wytrząsnąć?

- Przepraszam. Poddać przesłuchaniu z wykorzystaniem poligrafii, wykrywacza kłamstw. Przeszła je mniej więcej gładko, dlatego zdecydowałam się wejść w rolę Niny. Zamiast niej zameldowałam się w hotelu i ukryłam w łazience, co pozwoliło nam zdobyć zdjęcia człowieka odbierającego walizkę Hustlera. Mamy nadzieję, że w odpowiednim czasie zdołamy go przycisnąć i spalić.

- Spalić?

- Zrobić z niego naszego informatora. Przepraszam za ten slang. - Wyciągnęła rękę i musnęła ramię ojca. - Za często mam do czynienia z gliniarzami i tajniakami. Podejrzewam, że niekiedy odnosisz wrażenie, jakbym mówiła w obcym języku.

- Ben także nie rozumie połowy z tego, co opowiadasz?

- On nie lubi rozmawiać o mojej pracy. - Zmarszczyła nos.

- Chyba wiem, dlaczego - mruknął ojciec, wywołując jej szeroki uśmiech.

- W każdym razie, zostało nam teraz odnaleźć Petera i spróbować go spalić. Właśnie dlatego Crawford i Hartmann przyjechali ze mną. Wybacz, że zwałam ci się z nimi na głowę. - Uśmiechnęła się znowu. - Więc jaki masz dla mnie prezent?

- Nie tak szybko. - John Flint energicznie pokręcił głową. - Przeczuję, że to dopiero część tajemnicy. Albo powiesz mi wszystko, albo nici z naszej umowy.

- W ogóle nie powinnam ci nic mówić! Cutter by mnie zabił, gdyby się o tym dowiedział.

- Więc po co zaczęłaś tę opowieść?

- Ponieważ i tak wciągnęłam cię w nasze działania. Potrzebne nam było bezpieczne schronienie, a nie umiałam wymyślić lepszego. Poza tym, chciałam, żebyś wiedział, na wypadek... - Urwała, zastanawiając się, jak najlepiej to powiedzieć.

- Na wypadek?

- Peter, a może raczej jego informator, pracuje w Wydziale

Zwalczania Przemocności Zorganizowanej. Muszą tam mieć swoją wtyczkę, ponieważ komputer, do którego napływa nasza korespondencja, jest specjalnie zabezpieczony. Chcąc mieć do niego dostęp, trzeba nie tylko znać hasło, ale także poddać się kontroli odcisków palców. Nie można się do niego zwyczajnie włamać. Zanim zyska się sposobność do wpisania hasła na klawiaturze, przed wejściem do sali trzeba jeszcze przyłożyć dłoń do czytnika linii papilarnych i gdy tylko zeskanowany wzór nie zgadza się z zapisanymi w pamięci wzorcami, system bezpieczeństwa uruchamia alarm.

Wszystko to oznacza, że ktoś z tutejszego wydziału jest brudny, i dopóki się nie dowiemy, kto to jest, musimy podejrzewać cały personel. Stąd też nie możemy podjąć ryzykownej próby spalenia Petera. Z tego samego powodu Cutter nie ufa już nikomu z Yardu, a raczej nie wie, komu może zaufać czemu zresztą trudno się dziwić, dlatego musimy przeprowadzić tę akcję we własnym zakresie.

- Jaką akcję?

- Już mówiłam. Chcę zamiast Niny odebrać następną przesyłkę. - Dostrzegła w oczach ojca błyski niepokoju, toteż wyjaśniła pospiesznie: - Ten sportowy wóz, którym przyjechał

Jerry, należy do niej. Pojadę nim na spotkanie. Z tego, co nam wiadomo, Peter nigdy nie widział Niny z bliska. Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku, podobnego wzrostu i budowy ciała. Wystarczy, że zmienię fryzurę i ubiorę się trochę grubiej, by z daleka uchodzić za nią. Zamierzam wszystko robić na dystans, nie zbliżać się do obiektu. Jerry i Feliks zjawiają się na miejscu spotkania przede mną i kiedy pójdę do ubikacji, a Peter będzie wkładał walizkę do bagażnika, przykleją nadajnik do jego samochodu. W ten sposób będziemy mogli go wysledzić i zidentyfikować. Tak to przynajmniej wygląda w teorii.

- Na wypadek czego mówisz mi to wszystko, Grace?

Na wypadek, gdybym wpadła w zasadzkę, tato. Nie można wykluczyć, że Peter zna prawdę, Hustler ostrzegł go, że na spotkanie przyjedzie ktoś inny zamiast Niny.

- Na wszelki wypadek - odparła. - Nasz plan może się nie powieść i jeśli będziemy zmuszeni zdjąć go na parkingu... No cóż, zrobi się spory szum, bo nie mamy prawa prowadzić żadnych akcji na terenie Wielkiej Brytanii. Nie chciałabym, żebyś dowiedział się z gazet o dyplomatycznym młynie, w który zostaliśmy we trójkę wplątani, gdy tymczasem byłeś przekonany, że wybraliśmy się na jednodniową wycieczkę do Stratford-on-Avon czy gdziekolwiek indziej. Po prostu nie chciałam cię okłamywać i żerować na twojej naiwności.

- Chcecie go zdjąć?

- Aresztować bądź też obezwładnić i wezwać policję.

- Będziecie uzbrojeni?

- Nie, to mogłoby mieć dużo poważniejsze konsekwencje. Przylecieliśmy tu bez broni.

- A on będzie uzbrojony?

- Wątpię. Przecież wiesz, że tutejsi policjanci zwykle nie noszą przy sobie broni.

- Nawet twoi przyjaciele z brygady antyterrorystycznej?

- Tylko niektórzy i w szczególnych okolicznościach. Poza tym, to nie są moi przyjaciele.

John Flint powoli wstał z kanapy i popatrzył na córkę z góry.

- Wiesz już, kiedy to się wydarzy?

- W ciągu najbliższych trzech dni. Nina już dostała e-mailem kolejne instrukcje.

Oczywiście nie mogła się z nimi zapoznać, ponieważ na razie jest nieosiągalna. -

Dostrzegłszy minę ojca, dodała szybko: - Nie, tato. Nie siedzi w areszcie celnym. Jest w naszym tajnym punkcie kontaktowym, gdzie w porównaniu z aresztem ma warunki jak w hotelu Ritza.

- Czy mogę cię o coś spytać, Grace?

- Śmiało.

- Ta kobieta, Nina... Gdyby nie powiedziała ci prawdy, naprawdę odesłałabyś ją do aresztu i skazała na pastwę tych łotrów?

- Pewnie tak.

Nie wahałabym się nawet przez chwilę, dodała w myślach.

* * *

Zgodnie z instrukcjami, Nina miała wjechać na autostradę M1 w okolicach Rugby i podążać na południe. Prowadząc sportową mazdę, Flint dotarła niemal na przedmieścia Londynu, nim wreszcie zobaczyła stojący na poboczu samochód z migającymi żółtymi światłami awaryjnymi.

- W porządku. Mam kontakt - powiedziała do miniaturowego mikrofonu przyszytego do ramiączka stanika. - Jestem jakieś pięć kilometrów przed Scratchwood. Ruszajcie przodem.

Zdjęła nogę z gazu i z szybkością nie większą niż osiemdziesiąt kilometrów na godzinę minęła stojącego na poboczu ciemnego forda. Zwolniła jeszcze bardziej, czekając, aż wyprzedzi ją bmw Hartmanna. Ale nigdzie nie było go widać.

- Powtarzam. Mam kontakt trzy kilometry przed Scratchwood. Nie jestem sama. - Wpatrywała się we wsteczne lusterko, w którym coraz jaśniej świeciły reflektory zbliżającego się forda. - Wyprzedzajcie. Powtarzam: wyprzedzajcie.

Nic. Zupełnie nic. Kompletna cisza. Obyś gnił w piekle, Rocco!

Połączony z mikrofonem nadajnik dostarczony przez Moralesa miała w prawym bucie, przyklejony plastrem do stopy. Przed akcją własnoręcznie włożyła do niego dwie nowe baterie i zgodnie z zaleceniami Rocco dodatkowo kawałkiem plastra umocowała przycisk w pozycji włączonej, żeby przypadkiem go nie przełączyć przy jakimś kroku. Szybko schyliła się i parę razy stuknęła nadajnik otwartą dłonią ale nic to nie dało.

Nie mogła wiedzieć, że zepsuty był odbiornik w aucie Hartmanna i Crawford nie usłyszał jej meldunku, bo cały czas odbierał w słuchawce tylko szum elektrostatyki. Dlatego pojechali dalej autostradą ledwie spojrzawszy na zjazd do Scratchwood, podczas gdy ona była już dla nich niewidoczna na końcu estakady, jechała sto metrów przed ciemnym fordem i gorączkowo zadawała sobie w myślach pytanie: Co dalej?

Szybko zorientowali się jednak, że coś jest nie tak, gdyż dotarli do końca autostrady M1, nie napotkawszy sportowej mazdy. Ale nie mogli też odnaleźć drogi powrotnej. Hartmann zaczął nerwowo krążyć wśród zdawałoby się nieskończonych rozjazdów i estakad,

wykręcając z piskiem opon i przeciskając się między innymi samochodami, podczas gdy Crawford tak kurczowo trzymał się uchwytu nad drzwiami, jakby jego życie od tego zależało.

Zdołali w końcu wjechać z powrotem na autostradę, na pas biegnący ku północy, i pognali z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę. Błyskawicznie dotarli do Scratchwood i Crawford, dostrzegłszy znak stacji benzynowej, musiał aż trącić kolegę w ramię, by ten zjechał na pobocze. Wskoczyli z bmw i zaczęli się przedzierać w stronę stacji, przeskakując przez pasy ruchu wśród ciężarówek pędzących z szybkością pocisków. Przeleźli przez barierkę rozdzielającą pasma i z taką samą szaleńczą brawurą przebili się przez południową nitkę autostrady. Potem musieli jeszcze na czworakach wdrapywać się na stromy nasyp porośnięty śliską oszronioną trawą. Wreszcie z jego szczytu zobaczyli rozległy parking przy stacji i od razu zauważyli mazdę skąpaną w złotawym blasku latarni, stojącą nieco z dala od innych aut, w pobliżu przenośnej ubikacji.

Pędząc wielkimi susami, Hartmann dopadł jej pierwszy, chociaż wydawało mu się, że w samochodzie nikogo nie ma. Dopiero z bliska dojrzał Grace na przednim fotelu, z głową tak nisko spuszczoną na piersi, że przez szybę widać było tylko czubek głowy. Gwałtownie otworzył drzwi i odruchowo zaklął po niemiecku. Flint ospale uniosła głowę i popatrzyła na niego szklistymi oczyma. Szeroki strumyk krwi ściekającej z nosa rozpląwał się na bluzce niczym wielka, a w słabym oświetleniu niemal czarna plama atramentu.

Po chwili zjawił się też zdyszany Crawford i natychmiast zaczął badać szczegóły, jakby był na miejscu zbrodni. Obiegł maskę, otworzył drzwi od strony kierowcy i zaczął szukać telefonu komórkowego Grace.

Znalazł go i chciał już wybrać numer, kiedy zapytała słabym głosem:

- Co robisz?

- Wzywam karetkę.

- Nie trzeba - jęknęła stanowczym tonem. - Zabierzcie mnie stąd. Wracajmy do domu.

Wbrew sobie Jarrett potraktował to jak rozkaz. Poleciał Hartmannowi wrócić po bmw, po czym wyprowadził wóz z parkingu i znalazł wjazd na północną nitkę autostrady. Przez całą drogę powrotną do Mid Compton Grace na przemian traciła i odzyskiwała przytomność, uparcie nie chciała jednak powiedzieć, co się stało.

W ascetycznej izbie przyjęć szpitala Horton General, dokąd John Flint zawiózł córkę - po zbadaniu jej pulsu i obejrzeniu silnie rozszerzonych źrenic - Crawford, mimo energicznych protestów, musiał w posępnym milczeniu zająć miejsce na niewygodnym plastikowym krzeselku w poczekalni.

Zdawał sobie sprawę, że doktor Flint obwinia jego i Hartmanna o to, co się stało. Sam zresztą robił sobie wyrzuty. Przyglądając się bezsilnie, jak weterynarz otula córkę kocem i układa ostrożnie na tylnym siedzeniu land-rovera, towarzysząc mu bez zaproszenia w drodze do szpitala wąskimi i krętymi bocznymi drogami Oxfordshire, patrząc na jego pobladłą twarz, gdy ruszał za pielęgniarzem wiozącym Grace na prześwietlenie, czuł na swoich barkach coraz większe brzemienie niewywiązania się ze swoich obowiązków.

Minęła prawie godzina, a doktor Flint ciągle nie wracał.

Dla zabicia czasu zadzwonił z automatu telefonicznego do domu weterynarza, ale nikt nie odbierał, co oznaczało, że Hartmann jeszcze nie wrócił. Potem wyszedł przed izbę przyjęć, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, a zobaczywszy sportową mazdę na parkingu, uświadomił sobie, że nie zajrzał dotąd do bagażnika. Szybko naprawił błąd, lecz niczego nie znalazł. W środku nie było walizki.

Kontakt zatem nie doszedł do skutku, zaprzepaścili więc szansę spalenia Petera, a tym samym zawalili całą akcję. Łatwo było przewidzieć, jak przyjmie to Cutter. W ponurym nastroju rozmyślał o tym, co ich czeka, ciągle wpatrując się w głąb pustego bagażnika mazdy, gdy usłyszał wściekle nawoływania doktora Flinta:

- Crawford! Co ty tam robisz, do cholery?!

Weterynarz ruszył energicznie w jego kierunku, jakby chciał rzucić się na niego z pięściami.

- Słucham? - Zdumiony Jarrett cofnął się o krok,

- Dlaczego nie było cię przy niej? Na tym parkingu w Scratchwood. Coś ty wtedy robił, do diabła?!

Bładość zniknęła z jego twarzy. Miał zaczerwienione policzki, a na skroniach wystąpiły nabrzmiałe żyłki.

- Proszę się uspokoić... - Crawford w obronnym geście wyciągnął przed siebie ręce. - Jak ona się czuje?

- Żyje, choć nie zawdzięcza tego ani panu, ani pańskiemu przekłętemu przyjacielowi.

- Proszę, doktorze...

- Jest poważnie ranna, ma liczne urazy.

- Co wykazało prześwietlenie?

- Na szczęście nic. Ale muszą ją zatrzymać na obserwacji. Obiecuję, że nie ujdzie wam to na sucho, Crawford.

- Co panu powiedziała? Muszę...

- Nie mogę w to uwierzyć! - Flint z wściekłością kopnął tylne koło mazdy. - Moja córka spadła na beton z daszku...

- Co takiego?

- Spadła! Bo was tam nie było! Nie udzieliliście jej wsparcia, jak zakładał plan akcji. Nie mogą na was liczyć, tylko udała, że zamyka się w ubikacji, i przekradła się na tyły, chcąc na własne oczy zobaczyć Petera. Jak powiedziała, jedynym dogodnym punktem obserwacyjnym był daszek przenośnej ubikacji, wdrapała się więc na górę, ale pośliznęła się i spadła na beton. A wy zjawiliście się na miejscu, kiedy było już po wszystkim...

- Proszę... Czy przynajmniej zobaczyła Petera?

- Nie wiem. Nie pytałem, bo mnie to nie obchodzi. Jedyne, o co się martwię i co chciałbym wiedzieć, to dlaczego, do jasnej cholery, nie wezwaliście karetki i nie zawieźliście jej do najbliższego szpitala.

- Bo nam zabroniła, doktorze, a ponieważ jest moją przełożoną, czy chce pan w to wierzyć, czy nie, muszę wykonywać jej rozkazy.

- Na miłość boską, człowieku!

- Tak, wiem. Ma pan rację. Schrzaniliśmy robotę.

- Dobrze, że przynajmniej umiesz się do tego przyznać.

- Doktorze, muszę porozmawiać z Grace. Muszę wiedzieć, czy widziała Petera. To zajmie najwyżej minutkę...

- Po moim trupie! - odparł stanowczo Flint.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Teraz Jarrett Crawford siedzi na fotelu pasażera w szoferce nieoznakowanego wozu, z pozoru niemającego nic wspólnego z policją, i śledzi drogę Grace Flint na południe. Stoją na poboczu autostrady 95, będącej płatną główną arterią Maine, dokładnie dwa kilometry przed zjazdem do Ogunquit. Pragnąc zdobyć ten ruchomy punkt kontrolny, skontaktował się z tutejszą bracią stróżów prawa i odkrył ze zdumieniem, że Craig Karr z drogówki, do którego należy ta jednotonowa półciężarówka, naprawdę jest jego dalekim kuzynem ze strony żony. Już nie po raz pierwszy zetknął się z sytuacją gdy szukając w policji nieformalnego wsparcia, trafia na jakiegoś „członka rodziny”, co zdaje się tylko potwierdzać zdanie jego siostry, Alicii, że przedstawiciele rodu Crawfordów stoją na straży prawa w każdym stanie, może z wyjątkiem Hawajów.

Przez krótkofalówkę dociera meldunek z wozu patrolowego, że samochód Flint właśnie minął zjazd numer 2.

- To Kennebunk - wyjaśnia Karr. - Ma do nas jeszcze jakieś piętnaście kilometrów.

Crawford kiwa głową i spogląda na zegarek. W ciągu ostatnich sześciu godzin - czyli od czasu, gdy Karr zabrał go sprzed hotelu Howard Johnson i przywiózł do biura szeryfa okręgu York, żeby mógł skorzystać z zabezpieczonej linii telefonicznej, po czym taktownie na czas rozmowy zostawił go samego w pokoju - stopniowo popadał w coraz posępniejszy nastrój, dochodząc do wniosku, że zbyt wiele zważyło mu się na głowę.

Ale kuzyn nie czuł się chyba urażony jego małomównością. Siedzą obaj w milczeniu, jak gdyby zasłuchani w pomrukiwanie silnika pracującego na wolnych obrotach i szum dmuchawy tłoczącej do szoferki nagrzane powietrze, gdy niespodziewanie dzwoni telefon komórkowy. Crawford aż się wzdyga na jego dźwięk. Kiedy Karr sięga do wewnętrznej kieszeni puchowej kurtki, pyta:

- Nie mógłbyś go na razie wyłączyć?

- Jasne. Tylko po co? - dziwi się Karr.

- Na wszelki wypadek. - Crawford uśmiecha się skąpo i dodaje: - Powinienem być cię wcześniej o to poprosić, ale nawet nie przyszło mi do głowy, że masz komórkę. To moja wina.

- Nie ma sprawy. - Policjant wyłącza telefon, chowa go i najwyraźniej domyśliwszy się powodów tej nietypowej prośby, pyta z ociąganiem: - Chcesz, żebym wezwał posiłki?

- To chyba nie będzie konieczne.

- Na pewno?

- Tak. Nasze kłopoty mają nieco inny charakter.

Jeszcze na jakiś czas zapada milczenie. Crawford znów spogląda na zegarek i stwierdza, że nadeszła odpowiednia pora. Prosi kuzyna o włączenie świateł awaryjnych, wciska głęboko na oczy czapkę baseballową, stawia kołnierz kurtki i rzuciwszy krótkie „Przepraszam”, wysiada z nagrzanej szoferki na mróz.

Flint z daleka dostrzega stojący na poboczu wóz z migającymi światłami awaryjnymi, ale stwierdza, że to musi być pomyłka, gdyż Crawford na pewno jeździ samochodem z wypożyczalni. Dopiero później, gdy jej uwagę przyciąga mężczyzna oparty łokciem o skrzynię półciężarówki i pozornie znudzonym wzrokiem odprowadzający kolejne pojazdy, kiedy w ostatniej chwili rozpoznaje Jarretta skrywającego twarz pod daszkiem śmiesznej czapki, ogarnia ją bezpodstawny strach.

To już chyba paranoją myśli, próbując zapanować nad ciarkami chodzącymi jej po plecach. Zwalnia, ale tylko trochę, odprowadzając go spojrzeniem. Dostrzega ledwie zauważalny ruch głową w stronę tablicy informującej o najbliższym, odległym o dwa kilometry zjeździe z autostrady do Ogunquit.

W jej głowie pojawiają się naraz dziesiątki pytań. Co to za ciężarówka i kim jest kierowca? - ponieważ zdążyła zauważyć, że Crawford nie jest sam. Czarodziej? Mało prawdopodobne, jako że analitycy danych wywiadowczych z Krajowej Agencji Bezpieczeństwa z pewnością nie jeżdżą furgonetkami, zwłaszcza takimi, na bardzo szerokich kołach, z rurą wydechową kalibru pancernicy i numerami rejestracyjnymi z Maine. Zresztą jest przeświadczona, że Crawford prędzej dałby się posiekać, niż miałby dopuścić do jej spotkania z tajemniczym przyjacielem. Więc kto to może być? I co tu robi? W jej wyobraźni rodzi się fantastyczna teoria, według której Jarrettowi udało się odnaleźć jakiegoś znajomego Bena i ten zdoła jej wreszcie powiedzieć prawdę.

Dość tych domysłów!

Podjeżdża do szlabanu, płaci za przejazd autostradą i skręca na zjazd do Ogunquit, pozwalając się wyprzedzić ciężarówce, która szybko mija sąsiednią bramkę i jedzie przodem na miejsce spotkania. Okazuje się nim parking przed barem Karen's Pizza Parlor. Ledwie wóz się zatrzymuje, Crawford wyskakuje z szoferki i rusza w jej kierunku. Z posępną miną nakazuje jej ruchem ręki pozostać w samochodzie. Wsiada na miejsce pasażera i natychmiast rzuca krótko:

- Nie pytaj.
- O co mam nie pytać?
- O nic. Posłuchaj, Grace.

Obraca się i pochyla na fotelu, opierając prawą ręką o deskę rozdzielczą, przysuwa się tak blisko, że gdyby i ona odwróciła głowę, pewnie musieliby się pocałować. Siedzi więc usztywniona, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, zerkając we wsteczne lustro. Czuje na policzku jego oddech.

- Numer, pod który dzwonił Tyler - mówi cicho Jarrett - w ogóle nie istnieje. Z pozoru to bezpłatna linia zaczynająca się od zero osiemset, tyle że nie figuruje w rejestrach żadnej firmy telekomunikacyjnej, ponieważ nigdy nie została wykupiona. Sprawdzaliśmy wszędzie, gdzie się da, u operatorów lokalnych, międzystrefowych i satelitarnych. Wszyscy gotowi są przysięgać na każdą świętość, że ten numer nie figuruje w spisie, w ogóle nie jest wykorzystywany, ponieważ nie ma abonenta. Koniec, kropka. A jeśli pod niego zadzwonisz,

nie usłyszysz absolutnie nic, ani sygnału wywołania, ani żadnej zarejestrowanej wiadomości. Tylko głucha cisza. Kapujesz?

Flint przytakuje ruchem głowy.

- Lecz Tyler nie rozmawiał przecież sam ze sobą prawda? I nie ma żadnych wątpliwości co do tego, pod jaki numer zadzwonił. Możesz mi wierzyć. Więc jak to możliwe, że wybrał numer abonenta, który nie istnieje i pod którym w ogóle nie można uzyskać połączenia, a jednak on uzyskał połączenie, a rozmówca zgłosił się już po pierwszym sygnale?

- Przecież mówiłeś, że nie ma żadnego sygnału.

- Zgadza się. - Crawford na krótko zawiesza głos, po czym wyjaśnia: - Dopóki nie wprowadzi się czterocyfrowego kodu.

Dostrzegłszy swe pobielale knykcie, Flint rozluźnia uchwyt palców zaciśniętych kurczowo na kierownicy.

- Nazywa się to numerem wirtualnym i jest jak gdyby furtką pozwalającą na przekazywanie połączeń do istniejących legalnie abonentów bez możliwości ich przetrasowania. Jedynym śladem jest wpis w billingu wybierającego numer, świadczący o próbie połączenia z nieistniejącym abonentem. Wiesz, co stąd wynika? - ciągnie Crawford. - Że ten łotr nie zostanie nawet obciążony za przeprowadzoną rozmowę, bo z punktu widzenia operatora nie było żadnej rozmowy.

W tym tłumaczeniu jest coś dziwnego, co Flint bezskutecznie stara się wyłapać. Pyta z niedowierzaniem:

- A Hustler mógł coś takiego zorganizować bez wiedzy operatora sieci telefonicznej?

- Nie sądzę. - Jarrett także zerka w lusterko i ich spojrzenia się stykają. - Odnoszę zresztą wrażenie, że to nie ma nic wspólnego z Hustlerem.

- Mów dalej - szepcze Grace, ale Crawford kręci głową odchyla się z powrotem i siada prosto w fotelu. Teraz ona musi się obrócić, żeby spojrzeć mu w twarz. - Jerry?

Wzdycha głośno, zdejmując czapkę i pociera palcami zaczerwieniony ślad odcisnięty na czole.

- Jerry! - syczy Flint ze złością. - Tylko ci się wydaje czy wiesz coś na pewno?

Jeszcze jedno westchnienie, jakby zwracała się do niego z nierealną prośbą. Wreszcie odpowiada:

- Nie tylko nie da się tego zorganizować bez wiedzy firmy telekomunikacyjnej, ale trzeba jeszcze mieć podpisany stosowny dokument.

- Przez kogo podpisany?

- Prokuratora generalnego albo co najmniej kierownika wydziału z Departamentu Sprawiedliwości.

W jednej chwili Grace uzmysławia sobie, co to może oznaczać, jakie wypływają stąd implikacje i jakie problemy może to dla niej oznaczać.

- Nie rozumiem - mówi powoli, chcąc zyskać na czasie.

- Tyler musi pracować dla rządu.

- Dla naszego rządu?

- Tak. I to w ściśle określonej branży.

- Jakiej?

- Tego dokładnie nie wiem. Mówię szczerze. Ale na pewno ma coś wspólnego z wymiarem sprawiedliwości albo wywiadem. W grę wchodzi FBI, CIA, służby celne, takie formacje specjalne jak nasza... Wybór jest olbrzymi.

Rany boskie!

Grace z trudem przełyka ślinę i pyta:

- Może być nasz wydział?

- Niewykluczone, ale moim zdaniem, bardziej prawdopodobna jest inna agencja prowadząca równoległą operację.

Cisną się setki pytań, na które należałoby znaleźć odpowiedź, ale umysł Flint na razie nie potrafi ich sformułować. Całkiem osłupiała, niemal jak wtedy, gdy w Scratchwood spadła z daszku przenośnej toalety, gapi się tylko na Crawforda takim wzrokiem, jakby nie mogła sobie przypomnieć, kim on jest.

- Muszę lecieć - rzuca Jarrett. - Cutter już godzinę temu kazał mi wracać do Nowego Jorku.

- Co?

- Powiedziałem, że muszę lecieć.

Dopiero teraz dociera do niej sens jego odpowiedzi.

- Jadę z tobą.

- Nie. Cutter chce, żebyś tu została i dalej próbowała rozwikłać tę zagadkę. - Wyjmuje z kieszeni kurtki złożoną na czworo kartkę. - Rocco dotarł do adresu abonenta numeru, pod który dzwoniłaś do Bena. Cutter kazał ci go sprawdzić.

Flint rozkłada kartkę, na której jest zapisane:

SAM

13A Customs Wharf

Portland, ME 04101

- SAM? - pyta zdziwiona.

- To skrót nazwy abonenta. Z pozoru mogłoby chodzić o Stowarzyszenie Audubona w Maine, ale wątpię w to.

Włożywszy z powrotem czapeczkę, Crawford wysiada z auta, ale po chwili puka jeszcze w szybę. Kiedy Grace ją opuszcza, zagląda do środka i dodaje:

- Rocco kazał ci jeszcze powiedzieć, że ze względu na ciebie Rosetta załatwiła to gratis. Nie wiem, o co chodzi, ale uważaj na siebie i nie włączaj telefonu komórkowego.

Zawraca na pięcie i rusza do ciężarówki.

Mija parę minut od jego wyjazdu z parkingu, kiedy Flint wreszcie może pozbierać myśli i poniewczasie uświadamia sobie, że Jarrett nawet jej nie przedstawił swojego przyjaciela.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Mniej więcej w połowie drogi od wylotu Customs Wharf do pomalowanego na brązowo wejścia Imperium Kraba znajdują się nieoznakowane drzwi prowadzące do wąskiego korytarza biegnącego na tyłach zbiorników, w których biedne skorupiaki walczą o swój ostatni posiłek, zanim same wylądują na talerzach. Na jego końcu po krótkich drewnianych schodach dochodzi się do kolejnych drzwi, na których już widnieje mosiężna tabliczka z tajemniczym akronimem SAM.

Za nimi kobieta występująca obecnie jako Frau Lender, choć w rzeczywistości nazywa się Krol, stoi na progu biura obejmującego dwa pokoje i podziwia swoje dzieło. Oceniając po wyglądzie, można by ją teraz nazwać siostrą Lender albo nawet doktor Lender, gdyż ma na sobie kompletny strój chirurgiczny: elastyczny zielony czepak na włosach i zieloną maseczkę na twarzy, zielony fartuch oraz identyczne bufiaste spodnie i ochraniacze na buty, a do tego jednorazowe gumowe rękawiczki. Gdyby zdjęła maseczkę, zobaczylibyśmy szeroki uśmiech satysfakcji. Bo też ma do niego pełne prawo.

Przed czterema dniami, kiedy przystępowała do wyznaczonego jej zadania, te dwa niewielkie pokoiki przypominały miejsce zbrodni zdolne wprawić w zachwyt nawet najbardziej opanowanego śledczego. Pełne pozostałości po pracującym tu człowieku pozwalały dokładnie określić, czym się zajmował. Regał był zawalony kradzionymi dokumentami, z których znaczna część nosiła oznakowanie TAJNE, POUFNE albo DO UŻYTKU SŁUŻBOWEGO. Na twardym dysku komputera znajdowała się prawie kompletna lista personelu Wydziału Ścigania Przestępstw Finansowych, zawierająca rysopisy wielu

agentów i ich biografie obejmujące także dane współmałżonków i dzieci wraz z adresami domowymi. Uzupełniała ją dokonana przez analityka wywiadu ocena mocnych i słabych stron agencji, która z pewnością bardzo by zainteresowała wiele osób, a szczególnie Aldusa Cuttera. Był tam również szczegółowy plan działań i harmonogram operacji „Zielone Świątki”.

Frau Lender zaczęła od dokumentów i pakowała po kilkanaście stron naraz do małej niszczarki, którą w walizce przyniosła na Customs Wharf ze śródmiejskiej wypożyczalni sprzętu biurowego. Zajęło jej to większą część pierwszego dnia, a ścinki wypełniły ponad pięćdziesiąt plastikowych worków na śmieci. Wystawiła je po prostu na ulicę, skąd nazajutrz rano zniknęły, i dzięki doskonale funkcjonującemu w Maine programowi przetwórstwa makulatury cały materiał dowodowy przeszedł do historii.

Jeszcze poważniejszym zadaniem dla niszczarki był pokaźny zbiór materiałów opublikowanych przez Stowarzyszenie Audubona, głównie broszur, opisujących zasady działania i akcje podejmowane przez organizację, między innymi szczegółowe sprawozdania z licznych wypraw terenowych i podróży, w większości tego rodzaju, jakimi według przekonania jego żony kierował Ben Gates. Później, strona po stronie, Frau Lender zniszczyła kolekcję fachowej literatury, w tym siedem opasłych tomów *Ptaków Ameryki* stanowiących dzieło życia Johna Audubona - będące białym krukiem wydanie z 1844 roku, zawierające 435 ręcznie wykonanych rysunków i wzbogacone o wcześniej opublikowaną *Biografię ornitologiczną*. (Kiedy w swoim czasie o tym akcie barbarzyństwa dowie się Thomas Tyler, określi go jako „prawdopodobnie najgorsze ze wszystkich popełnionych przestępstw”).

Stwierdziwszy z satysfakcją, że każdy kawałek papieru znajdujący się w pokojach został pocięty na strzępy i oddany na makulaturę, Frau Lender ze zwykłym sobie pietyzmem zajęła się sprzętem biurowym, obejmującym komputer, faks, drukarkę laserową, kserokopiarkę, podłączony do telefonu modulator głosu typu Enigma oraz sam aparat wyposażony w przystawkę przesyłową DialMate, pozwalającą Benowi Gatesowi zawsze odbierać telefony, nawet jeśli przebywał poza biurem, jak również kilka innych gadżetów elektronicznych, których zastosowanie nie było dla niej całkiem jasne. Cały ten sprzęt miał wylądować na śmietniku, ale wcześniej musiał zostać dokładnie oczyszczony.

Frau Lender wyjęła z komputera twardy dysk, zdjęła z niego obudowę i pumeksem zacierała powierzchnię każdej płytki magnetycznej, dopóki nie zyskała pewności, iż żadnych danych nie pewno nie da się z nich odczytać. Następnie wyjęła płytkę pamięci RAM i młotkiem roztrzaskała ją w drobny mak.

Z klawiatury metodycznie powyślubiwała wszystkie plastikowe klawisze.

Z kserokopiarki wyjęła szklaną płytę, gdyż znajdujące się na niej mikroskopijne zadrapania mogłyby pozwolić specjalistom kryminalistyki na ustalenie, które dokumenty były kopiowane na tym urządzeniu. Owinęła ją grubo w stare wydanie „Portland Press Herald” i rozbiła młotkiem.

Z faksu i drukarki laserowej powyciągała kasety z tonerem. Z aparatu telefonicznego, modulatora głosu i przystawki Dial-Mate wyjęła obwody drukowane i również je zniszczyła. Podobny los spotkał wszelkie pozostałe urządzenia, co do których zachodziło podejrzenie, że mogą zawierać elementy elektronicznej pamięci.

Dopiero wtedy przystąpiła do usuwania śmieci. Spakowała je w plastikowe worki, przez trzy kolejne noce wynosiła pojedynczo na Customs Wharf i wrzucała do morza z końca ostrogi portu w Portland. W ostatnim worku pozbyła się niszczarki.

Ostatecznie w niedawnej domenie Bena Gatesa pozostały wyłącznie dwa biurka, kilka krzeseł, opróżniony regał i puste półki po książkach. W świetle jarzeńówek wszystkie meble aż błyszcząły, starannie wypucowane przez Frau Lender tanim przemysłowym detergentem. Nie zapomniała o wyczyszczeniu kontaktów i gniazdek elektrycznych, klamek w oknach i drzwiach oraz futryn, krótko mówiąc, wszelkich miejsc, gdzie mogły pozostać odciski palców pracującego tu człowieka.

Teraz, stojąc w progu biura, zdejmuje strój ochronny i pakuje go do walizki, w której znajduje się już cały sprzęt użyty do czyszczenia. Wychodzi na schody i zamyka drzwi na klucz, który również wylądowuje na dnie morza, po czym chusteczką wyciera jeszcze klamkę, zamek oraz mosiężną tabliczkę na drzwiach z wygrawerowanym skrótem upadłej legendy: SAM.

Kiedy Grace Flint dociera na Customs Wharf, odnajduje drogę na tyłach zbiorników, wchodzi po schodach i staje przed drzwiami biura - mniej więcej o tej samej porze, gdy kobieta niepodająca się już za Frau Lender wkracza na pokład samolotu, i to nie w bostońskim międzynarodowym porcie Logana, lecz na miejscowym lotnisku w Portlandzie - błyszcząca mosiężna tabliczka jest już jedynym dowodem, że Ben Gates kiedykolwiek przekraczał ten próg.

Prawdę mówiąc, nigdy nie było żadnych niezbitych dowodów jego istnienia poza świadomością żony.

LONDYN

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nigel Ridout mieszka samotnie w dużym domu przy Fulham Road, z ogrodem od strony południowej, w którym prowadzi rozmaite doświadczenia z okazami flory zdecydowanie bardziej pasującej do klimatu śródziemnomorskiego. Rośliny o takich zmysłowych łacińskich nazwach, jak *Acanthus mollis*, *Salvia uliginosa*, *Thuja occidentalis* czy też - jego zdaniem najpiękniejsza ze wszystkich, *Convolvulus cneorum* - nie tylko rzutują na jego prywatne życie. Często, według znacznej części podległych mu oficerów z Sekcji Europy Wschodniej SIS zbyt często, pseudonimy „obiektów” oraz „nielegalnych”, którymi muszą się zajmować, mają wiele wspólnego z tym, co rośnie w ogrodzie Ridouta.

- Mandragora jest na wagarach - powiedziała podenerwowana Stephanie Cooper-Cole, zjawiwszy się bez zapowiedzi w progu domu Ridouta tamtego nadzwyczaj pięknego kwietniowego niedzielnego popołudnia, odrywając go od wymagającego skupienia przycinania suchych gałęzi.

Oczywiście, ten pseudonim także ma rodowód botaniczny. *Mandragora officinarum*, czyli mandragora lekarska z rodziny psiankowatych, to roślina o dużych zielonkawożółtych kwiatach i masywnym trującym korzeniu przypominającym kształtem ludzką sylwetkę, znanym jako alrauna.

- Bardzo mi się podoba twoje poczucie humoru, Steff - odparł, biorąc ją pod rękę i wprowadzając szybko do pokoju. - Mandragora na wagarach! To bardzo zabawne.

- Wcale nie żartuję, do diabła.

- Ależ tak, nie inaczej - rzekł z naciskiem, odsłaniając w szerokim uśmiechu zęby sprawiające wrażenie za dużych w stosunku do ust, co nadawało mu wygląd groźnego drapieżnika. - Przecież się umówiliśmy, prawda, Steff? Zawarliśmy porozumienie, zgadza się? Ty miałaś pilnować Mandragory, poświęcając mu całą swoją uwagę, a ja ciebie. Czyżbym się mylił?

Coraz silniej zaciskał przy tym palce na jej przedramieniu powyżej łokcia, aż lekko skrzywiła się z bólu.

- Więc chyba nie chcesz mi teraz powiedzieć, Steff, że źle cię oceniłem, że przeceniłem twoją sumienność i poświęcenie, nie wspominając o inteligencji? Mam rację?

Ze złością wyszarpnęła rękę z jego uścisku i bez zaproszenia skrzyła do kuchni, zmuszając go, żeby poszedł za nią. Przyglądał się w milczeniu, jak z szafki nad zlewem wyjmując szklanę, napełnia ją wodą z kranu i z lubością gasi pragnienie. Miał w lodówce włoską wodę mineralną, ale nie zamierzał jej poczęstować.

- Więc? - zapytał, tym razem już nie siląc się na udawaną uprzejmość.

Ze strony matki Cooper-Cole wywodziła się z irlandzkiej rodziny arystokratycznej, po której odziedziczyła ciężką budowę ciała, ognistorude włosy i nie mniej ognisty temperament.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie - syknęła, odwracając się od zlewu. - To nie moja wina, do diabła. - Zrobiła krok w jego kierunku i dodała z ociąganiem: - I nie nazywaj mnie, do cholery, Steff.

Ridout zdobył się na szlachetność i pominął milczeniem ten przejaw niesubordynacji. Przyglądał jej się tylko spod przymrużonych powiek, czekając cierpliwie, aż zastanowi się nad swoim wybuchem i odzyska panowanie nad sobą.

W końcu powiedziała cicho:

- To był bardzo długi dzień.

- I co z tego? - zapytał znacznie łagodniejszym tonem.

- Wczoraj wieczorem, tuż po dziewiątej - zaczęła - Mandragora zapytał, czy może wrócić do swego pokoju. Powiedział, że wciąż odczuwa zmęczenie podróży, gdyż nie wyspał się porządnie od czasu przylotu. Pani Baxter niczego nie podejrzewała. - Dostrzegłszy jego wydęte pogardliwie wargi, dodała szybko: - Tak, wiem, ale nie było żadnych powodów do podejrzeń. Od piątku skarżył się na przemęczenie i wyglądał naprawdę kiepsko. Zgodnie z wytycznymi: był błądy i ospały, miał podkrążone oczy...

- Zgodnie z wytycznymi?!

- Mówię o ręcznie spisanej notatce służbowej, a nie oficjalnym dokumencie.

Pokiwał głową, jakby sobie o niej przypomniawszy, po czym rzekł:

- Po prostu udawał potulnego i przemęczonego. Tego już nie było w twoich wytycznych, Stephanie?

Ignorując tę ironiczną uwagę, ciągnęła:

- Pani Baxter zajrzała do niego pięć po jedenastej. Wciąż przewracał się w łóżku. zaproponowała mu coś ciepłego do picia, ale odmówił. Potem, około trzeciej w nocy, zapukał do niej i zapytał, czy nie ma jakichś środków nasennych. Oczywiście nie była zbyt szczęśliwa z tego powodu, ale dała mu parę tabletek melatoniny. Uznała, że może sama o tym zdecydować.

- Niech zgadnę - przerwał jej Ridout. - Zapewne powiedział, że jeśli melatonina zadziała, to nie należy go budzić? „Proszę mi nie przeszkadzać ” albo coś w tym rodzaju?

- Mniej więcej.

- Obawiam się, że mniej... Matko Boska!

- Łatwo ci mówić po fakcie, Nigel.

- Lepiej nie lekceważ spostrzeżeń po fakcie, Stephanie, bo ucząc się na błędach, na własnych błędach, można dłużej żyć. I co dalej?

- Zajrzała do niego koło dziewiątej, zobaczyła, że śpi, i postanowiła go nie budzić.

- Tyle że wcale nie spał, bo go już tam nie było! Mam rację, do cholery?!

Cooper-Cole smętnie pokiwała głową.

- Ułożył poduszki pod kołdrą?

- Nie, był sprytniejszy. Zrolował dywan.

- I pani Baxter nie zauważyła, że brakuje dywanu na podłodze? Nagle oslepla?

- Zastony były zaciągnięte, w pokoju panował półmrok.

- Nie wątpię - mruknął Ridout z rezygnacją w głosie. - Kiedy wreszcie przejrzała na oczy? Kiedy szacowna pani Baxter wreszcie zrozumiała, co się stało?

- Nie ona odkryła prawdę, tylko Fellowes, około drugiej po południu.

- Ach, tak, mistrz Fellowes. A gdzież to wcześniej przebywał ten mózgowiec?

- Na dole, w kuchni.

- I bez wątpienia spał na posterunku?

- Twierdzi, że nie. W każdym razie nie spał, gdy pani Baxter zeszła na dół krótko po dziewiątej i go zluzowała.

- Aha - mruknął bez przekonania Ridout. Dostrzegł, że Cooper-Cole z kwaśną miną spogląda na szklanke, toteż z ociąganiem wyjął z lodówki wodę mineralną. - Więc skoro młody Fellowes nie spał, tylko pilnie czuwał, to jakim cudem Mandragora przekradł się niepostrzeżenie obok niego?

- Wymknął się przez okienko w łazience. Odkręcił zamek śrubokrętem bądź innym ostrym przedmiotem i... Tak, wiem - wtrąciła szybko, ujrawszy jego sceptyczną minę. - Jego pokój nie został wcześniej przeszukany, ponieważ nikt nie traktował go jak więźnia, raczej jak gościa, partnera z tej samej drużyny.

- A jak ty go postrzegałaś, Stephanie? Też jak partnera z drużyny?

- Nigel, przecież to tylko kryjówka, a nie więzienie. Jeśli zależało ci na tym, żeby był pod ścisłym nadzorem, trzeba było go umieścić w Fort Monkton albo w wariatkowie. W końcu nikt z nas się nie spodziewał, że on będzie chciał dać nogę, prawda?

Ja się spodziewałem, pomyślał, lecz wolał jej tego nie mówić.

- A skoro już o tym mowa - ciągnęła - to dlaczego w ogóle uciekał? Nie potrafię tego zrozumieć.

Ponieważ świetnie wiedział, Steff, że jego bardzo użyteczna rola już się skończyła, chociaż ty nie powinnaś sobie zawracać tej pięknej główki takimi sprawami.

- Będziesz go mogła o to spytać, jeśli się odnajdzie - odparł szorstko.

Zamyśliła się na chwilę, po czym powiedziała nieśmiało:

- Czy mogłabym w związku z tym skontaktować się po cichu z Piątką? Albo z Wydziałem? Może ktoś stamtąd pomógłby nam go wysledzić. Co o tym sądzisz?

Brawo! Skwitował jej celną propozycję skąpym, wymuszonym uśmiechem.

- Nie. Dzięki za dobre chęci, Stephanie, ale nie będziesz się w tej sprawie kontaktowała ani z M15, ani z Wydziałem Specjalnym, ani z kimkolwiek innym. Sądzę, że najlepiej będzie zachować tę sprawę dla siebie. Co ty na to?

- Zgoda. W takim razie co mam teraz robić?

- Myśleć, moja droga. Przede wszystkim myśleć. Dokąd mógł się udać?

Było to szczególnie istotne pytanie, zresztą Ridout wyłącznie takie zadawał. Cooper-Cole zmarszczyła brwi, wyężając swój błyskotliwy umysł, by ogarnąć możliwości stojące przed Mandragorą.

- No cóż... - zaczęła z wahaniem, ale szybko nabrawszy pewności, ciągnęła: - Nie ma paszportu, a reszta jego dokumentów jest spalona, więc niełatwo mu będzie wydostać się z kraju, chyba że w skrzyni ciężarówki, przez zieloną granicę albo w kutrze przemytników. Z drugiej strony ma pieniądze, w każdym razie powinien je mieć, biorąc pod uwagę, czym się zajmował, i zna odpowiednich ludzi, toteż bez trudu mógłby załatwić sobie fikcyjną tożsamość, włącznie z fałszywym paszportem. Na jego miejscu obawiałabym się jednak wykorzystywać te znajomości w takiej chwili. Bo skoro postanowił uciekać przed nami, to ich także powinien unikać. Poza tym, dlaczego w ogóle się zgłosił? Po co by nawiązywał z nami kontakt, gdyby miał inne wyjście?

- Doskonale, Stephanie.

- Zatem możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że nie ufa nikomu i chce polegać tylko na sobie. Po jakimś czasie i tak musi nawiązać kontakt, ale na razie pewnie poszuka jakiegoś miejsca, gdzie będzie czuł się bezpieczny. Zaszyje się gdzieś, wynajmie groszowy pokój z wyżywieniem. Problem polega na tym, że z jego punktu widzenia możemy wysłać za nim list gończy pod dowolnym pretekstem, opublikować jego zdjęcie we wszystkich mediach.

- Uśmiechnęła się szeroko. - Bo przecież nic nie wie o naszych chwilowych kłopotach, prawda, Nigel? Nie ma pojęcia że musimy utrzymać jego zniknięcie w tajemnicy.

Brawo! - pomyślał po raz drugi, przytakując ruchem głowy.

- Zatem w pierwszej kolejności powinien, moim zdaniem, postarać się o zmianę wyglądu. Może zapuścić brodę, ostrzyc się na krótko i tak dalej. Przez kilka dni pewnie będzie się ukrywał wśród uliczników, a potem chyba wyjedzie z Londynu, bo tu mógłby się natknąć i na nas, i na nich. Lecz jeśli zamierza kiedyś nawiązać odpowiedni kontakt, będzie musiał wybrać jakieś duże miasto. Birmingham, Manchester, Liverpool, a może Szkocję? Szczerze mówiąc, to chyba niezły strzał. Glasgow to wręcz wymarzone miejsce, żeby się do reszty zgubić, a i o nowe dokumenty tam nietrudno.

- Wyśmienicie - przyznał. - Przynajmniej pod względem domysłów. Ale zastanów się dobrze, Stephanie. Czy na pewno nie ma jakiegoś przyjaciela, kogoś, komu wierzy i mógłby w pełni zaufać?

- W jego aktach nie ma na ten temat ani słowa.

- No to może bliskiego krewnego?

Cooper-Cole wysoko uniosła brwi, po czym uśmiechnęła się szeroko i wykrzyknęła:

- Flint!

Ridout także się rozpromienił.

Kiedy wyszła w pośpiechu, aby wydać dyspozycje, Ridout wraca do ogrodu, żeby posprzątać. Zbiera narzędzia, zanoszą je do szopy i odkłada na miejsce. Obcięte gałęzie przerzuca na stertę kompostu, starannie zamiata alejki i upewniwszy się, że o niczym nie zapomniał, telefonicznie zamawia taksówkę, dając sobie trzy kwadransy na to, by się wykapać i przebrać.

Ridout ma zwyczaj chodzić do pracy pieszo, jeśli tylko pogoda na to pozwala, a ponieważ jest to wyjątkowo ciepłe popołudnie, wysiada z taksówki na północnym brzegu Tamizy i rusza spacerem przez most Vauxhall Bridge w kierunku wyniosłej budowli mieszczącej siedzibę Tajnych Służb Wywiadowczych, która we wszystkich oficjalnych publikacjach określana jest eufemistycznie jako „Rządowe Centrum Łączności "85". Co bardziej bezpośredni oficerowie SIS nazywają jednak wieżowiec przy Albert Embankment 85 mianem Wieży Ceaucescu, zdaniem Ridouta nie bez powodu, gdyż tylko ktoś odznaczający się butą nieodżałowanego byłego dyktatora Rumunii mógł zatwierdzić projekt architektoniczny owego monstrum.

Po minięciu kuloodpornych drzwi i wkroczeniu do lobby musi przeciągnąć swą kartą identyfikacyjną w szczelinie czytnika i wprowadzić indywidualny kod PIN, żeby otworzyła

się pierwsza z dwóch ochronnych bramek z perspektu, po czym stanąć na płycie wagi, by automatyczny system bezpieczeństwa mógł odczytać, że jest sam, i poczekać na zamknięcie pierwszej bramki i otwarcie drugiej. Dopiero teraz może przejść do wyłożonego marmurami wewnętrznego holu, skinąć głową strażnikom czuwającym w przeszklonej budce i ruszyć do pospiesznych wind jeżdżących wewnątrz dwóch gigantycznych kolumn. Jego celem jest „sala łączności” - zabezpieczony elektronicznie przed podsłuchem i wyłożony dwudziestocentymetrowej grubości płytami ołowianymi pokój, przez wtajemniczonych nazywany żartobliwie najbezpieczniejszą budką telefoniczną na świecie.

Mimo tych środków ostrożności rozmowa telefoniczna ze Stanami Zjednoczonymi, którą zamierza przeprowadzić, będzie dodatkowo maskowana białym szumem i kakofonią dźwięków z całego pasma częstotliwości akustycznych. Nie zostawiając niczego przypadkowi - jako że etos SIS określa motto: Semper Occultus, czyli Zawsze w tajemnicy - impulsy telefoniczne mają być dodatkowo szyfrowane przez specjalny układ elektroniczny, a efekt jego pracy, jeśli wierzyć speccom od informatyki, jest nie do odcyfrowania nawet przez najbardziej wyrafinowane komputery amerykańskiej centrali NSA z Crypto City.

To jednak nic pewnego, myśli Ridout. Bo skąd można wiedzieć, czy NSA rzeczywiście nie jest w stanie rozszyfrować tych połączeń? Przecież na pewno nikogo by nie poinformowali, gdyby im się udało tego dokonać.

Nie mogąc się uwolnić od wątpliwości, nie zamierza o niczym mówić wprost, woli nie przytaczać faktów, które kiedyś mogłyby się na nim zemścić. Dlatego na kartce, którą później spali, starannie dobiera tekst instrukcji, poprawiając go kilkakrotnie, dopóki nie zyska pewności, że nie zawiera żadnych jednoznacznych słów.

MID COMPTON, OXFORDSHIRE

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wróciwszy po zakończeniu wieczornego obchodu, doktor Flint wchodzi po kamiennych stopniach swego domu, nie zapalając nawet światła na ganku, gdyż księżyc świeci jasno, zatapiając wszystko w eterycznej srebrzystej poświacie. Nawet w domu jego blask jest na tyle mocny, żeby swobodnie się w nim poruszać. Dlatego wciąż nie zapalając świateł, idzie do kuchni, przygotowuje sobie ulubionego drinka i ze szklaneczką w dłoni wychodzi na taras, z którego roztacza się piękny widok na Glebe Meadow i leżącą za nią Allen's Lane. Doskonale widać stąd białą brzozę, którą Grace zasadziła na swoje dziesiąte urodziny, ćwierć wieku temu, chcąc zaznaczyć w ten sposób miejsce, gdzie zniknęła jej matka, Madeleine Flint, bez wątplenia porwana i zamordowana. Wznoszenie milczącego toastu ku czci jej pamięci ze wzrokiem utkwionym w tej brzozie stało się niemalże wieczornym rytuałem w samotnym życiu doktora Flinta.

Tyle że tego wieczoru nie jest sam.

Dolatuje go cichy odgłos kroków na płytkach tarasu, dostrzega wydłużony cień ponad swoim ramieniem i odwraca się szybko, instynktownie unosząc trzymaną w rękę szklaneczkę niczym broń.

- Kto, do diabła...

- Witam, doktorze Flint - odzywa się jego zięć. - Nie chciałem pana przestraszyć, ale drzwi były otwarte, więc...

- Ben! To ty?

- We własnej osobie.

Flint zbliża się o krok, żeby lepiej widzieć niespodziewanego gościa. Kiedy rozpoznaje Bena, czuje przyływ ulgi, przemieszanej jednak z osłupieniem.

- A gdzie jest Gracie? Przyjechała z tobą?

- Nie. Czyżby nie dzwoniła?

- Dlaczego miałyby dzwonić? - Nagle zaniepokojony, podchodzi jeszcze krok bliżej i zaciska dłoń na ramieniu Bena. - Co się stało? - pyta ostro. - Co z nią?

- Nic się nie stało. Wszystko w porządku. Naprawdę!

Ben próbuje się odsunąć i uwolnić z jego uścisku, ale bezskutecznie, chociaż jest tego samego wzrostu i o połowę młodszy.

- Spokojnie, doktorze. Proszę wybaczyć. Zaraz wszystko panu wyjaśnię.

- Czekam.

- Grace miała zadzwonić i uprzedzić, że będę na konferencji w Londynie i mając parę dni wolnych, wpadnę tu, żeby się przywitać i porozmawiać. To wszystko.

- Gdzie ona jest?

- W Nowym Jorku, prowadzi jakąś operację. Widocznie bardzo ważną, skoro zapomniała zadzwonić. Cholera! - rzuca gwałtownie. - Sam powinienem był zadzwonić z Londynu.

Flint ma niepewną minę, wciąż nie jest przekonany, że usłyszał prawdę.

- Przysięgam, że Grace czuje się znakomicie - mówi Ben, spoglądając doktorowi w oczy tym swoim błagalnym wzrokiem, który jego córka określa jako zniewalający. -

Przysięgam - powtarza ciszej.

Flint uwalnia go wreszcie ze stalowego uścisku.

- Śmiertelnie mnie wystraszyłeś. Już myślałem...

- W pełni to rozumiem, bo przecież gdyby naprawdę coś się stało Grace, właśnie ja bym tu przyjechał ze złymi wiadomościami i raczej nie uprzedziłbym telefonicznie o swojej wizycie. Wiem, jak musiał pan to odebrać.

- No cóż... - Flint odchrząkuje, cofa się o krok i rozgląda dookoła takim wzrokiem, jakby przed chwilą wyszedł z transu i jeszcze nie może pojąć, gdzie się znajduje. - Jeśli to wyłącznie towarzyska wizyta, myślę, że następnym razem byłoby lepiej...

- Następnym razem na pewno zadzwonię. Obiecuję - odpowiada Ben z szerokim uśmiechem.

Dopiero teraz doktor spostrzega, że trzyma w ręku pustą szklaneczkę. Najwyraźniej w zdenerwowaniu musiał wylać resztę whisky.

- Lepiej wejdźmy do środka. Przypuszczam, że też się chętnie czegoś napijesz.

- Nie, dziękuję. Ale proszę się nie krępować.

- Czy mógłbyś wreszcie przestać się do mnie zwracać per pan?

- Oczywiście, doktorze Flint.

- I nie nazywaj mnie też doktorem Flintem.

- W porządku. - Ben uśmiecha się jeszcze szerzej. - Mogę mówić po prostu: tato?

Flint zastanawia się chwilę nad tą propozycją i odpowiada:

- Myślę, że najlepiej będzie po imieniu: John.

Po wejściu do domu Flint zapala światło, dolewa sobie whisky i proponuje Benowi kolację, ale ten odmawia. Przebąkuje, że powinien już iść do pobliskiego pubu, żeby wynająć pokój na noc, na co gospodarz reaguje stanowczo:

- Bzdura! Prześpisz się w pokoju Gracie. Przecież to wasz dom, a w każdym razie będzie wasz któregoś dnia.

Przy kuchennym stole Ben zaczyna mówić o sponsorowanej przez Światową Fundację Ochrony Przyrody londyńskiej konferencji (całkowicie wyssanej z palca), wzbogacając relację o garść żartobliwych szczegółów, mających dodać jej wiarygodności, jak też o swojej pracy w Stowarzyszeniu Audubona (w którym nigdy nie pracował) i licznych wyprawach terenowych (bądź zmyślonych, bądź odbywających się bez jego udziału). Snując tę pajęczynę kłamstw, uświadamia sobie wyraźnie, że gdyby sprawy potoczyły się choć trochę inaczej, córka doktora Flinta wyszłaby za Raylanda Tully'ego, nie za Bena Gatesa, on zaś w tej sytuacji opisywałby zupełnie inne, choć równie zmyślane życie w branży reklamowej, a siedzący naprzeciwko niego mężczyzna, podobnie jak Grace, nie miałby najmniejszych powodów, aby mu nie wierzyć. Myśli zatem - mając wystarczająco dużo czasu na myślenie, gdyż ta część jego świadomości, z której wypływa potok kłamstw, jest jak gdyby sterowana przez autopilota - że równie dobrze mógłby się uwolnić od osobowości Raylanda Tully'ego, zrzucić ją jak starą skórę i wrócić do jeszcze wcześniejszej postaci Jeffreya Stampa, także będącego od początku do końca wytworem przebiegłych i oszukańczych umysłów.

Chcąc poznać prawdziwe oblicze tego człowieka, musielibyśmy się cofnąć do czasów sprzed stworzenia Jeffreya Stampa, ale tamte informacje okazałyby się nieprzekonujące. Po wpojeniu mu fałszywego życiorysu Bena Gatesa poddano go kontrolnemu szczegółowemu badaniu na poligrafie i urządzenie ani razu nie wykazało podejrzanых reakcji fizjologicznych, kiedy z przekonaniem i pewnością siebie odpowiadał na pytania. Co zdumiewające, a zarazem przewrotne, dowody kłamstwa uzyskiwano tylko wtedy, gdy pytano go o prawdziwą tożsamość.

Ben w końcu zmienia zdanie co do drinka i ostrożnie nagabywany przez Johna Flinta, zaczyna opowiadać o swojej pasji do ptaków. Z wielkim zaangażowaniem opisuje spotkanie z wielkim stadem gwarków nad brzegiem rzeki Roanoke, które wzbilo się w powietrze z łopotem skrzydeł przypominającym grzmot, tak liczne, że niebo pociemniało, a gdy po chwili osiadło na drzewie, wydawało się, iż pokryło szczelnie każdą gałąź.

- Żałuj, że nie słyszałeś ich krzyków, John. To był naprawdę niezwykły chór rozlegający się donośnie na silnym wietrze.

Oczywiście, doktor nie ma prawa wiedzieć, że bardzo podobny opis spotkania ze stadem gwarków został zamieszczony w małej antologii zatytułowanej *Literatura obserwacji ptaków*, której egzemplarz znajdował się wśród książek strawionych w niszczarce Frau Lender.

Nastrój Bena ulega diametralnej odmianie, gdy padają pytania o stan jego matki mieszkającej we Francji. Mówi o haniebnym destrukcyjnym przebiegu choroby Picka podobnej do alzheimera, choć pod pewnymi względami nawet gorszej. Łamiącym się głosem wymienia jej symptomy: ciągłe silne zaniepokojenie i wręcz nieprzyzwoity popęd seksualny przy postępującym równocześnie dziecięciu.

- Bierze do ust wszystko, co wpadnie jej w ręce - kończy bliski płaczu.

- Tak mi przykro, drogi chłopcze - odpowiada zatroskany doktor Flint. - Zamierzasz ją odwiedzić, póki jesteś w Europie?

- Tak, oczywiście.

Ben dodaje z ociąganiem, że matka coraz częściej doznaje ataków szczególnej apatii, która stwarza obawy, że choroba wkracza w końcowe stadium.

- A co z Gracie? - wtrąca szybko jej ojciec, nie tylko spragniony wieści o córce, ale także chcąc zaoszczędzić zięciowi dalszych bolesnych wyznań. - Jak jej się powodzi? Rzecz jasna, możesz mi powiedzieć, żebym nie wtykał nosa w nie swoje sprawy, ale ciekawi mnie, czy jesteście szczęśliwi.

Ben szybko się rozpromienia.

Równie dobrze jak doktor zna wszystkie cudowne zalety jego córki i tak samo przymyka oko na jej wady. Jednakże wychwalając żonę takim tonem, jakby usiłował nawrócić niewiernych, w części świadomości niezaangażowanej w ten proces z pewnym zdumieniem przyznaje przed samym sobą, że wszelkie uzasadnione peany na jej cześć w pełni odzwierciedlają rzeczywisty stan jego uczuć.

Już po północy Flint ziewa szeroko i mówi:

- Pora iść do łóżka. Z samego rana muszę się zająć pacjentami.

Prowadzi Bena do pokoju Grace, żegna się i idzie do swojej sypialni. Ale długo jeszcze nie może zasnąć.

Krótko po trzeciej w nocy schodzi na dół, żeby zajrzeć do notatnika, w którym ma zapisane wszystkie numery telefonów córki, gdyż przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić i usłyszeć jej głos, jak również powiedzieć: „Bardzo się cieszę z wizyty Bena”.

Kiedy jednak podnosi słuchawkę aparatu wiszącego w kącie, gdzie urządził sobie skromne biuro, panuje w niej cisza, nie ma ciągłego sygnału. Zastanawia się nad przyczyną

dziwnego zjawiska, gdy nagle za jego plecami rozlega się jakiś szelest. Zanim zdąży się odwrócić, otrzymuje silny cios w tył głowy i traci przytomność.

Krótko po wschodzie słońca, parę minut przed piątą rano, znajduje się w stodole służącej mu za gabinet chirurgiczny. Wciąż spoczywa bez ruchu. Jest związany i zakneblowany, leży w klatce mogącej pomieścić najwyżej psa wielkości owczarka niemieckiego. Nogi ma podkulone, kolana przyciśnięte do piersi.

Jego zięć również leży bez ruchu, ale na platformie służącej kiedyś do przechowywania siana, i wygląda ostrożnie znad krawędzi ramy okrągłego okienka przypominającego bulaj na statku. Widać stąd tylko skraj dachu małego czerwonego samochodu, który przed paroma minutami wjechał na prostokątny dziedziniec za domem. Chrzęst żwiru pod kołami wywołał spore poruszenie wśród czworonożnych pacjentów doktora.

Zjawilo się ich co najmniej dwoje. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości, gdyż poprzez zgiełk zwierzęcych głosów dotarły do niego fragmenty prowadzonej rozmowy:

- Musi być...
- Sprawdź drzwi - odpowiada kobiecy głos.
- ...zamknięte.
- ...okna, żeby zajrzeć do środka.

W półmroku stodoły trudno nawet rozpoznać, co znajduje się w psiej klatce. Solidne wrota są nie tylko zamknięte od środka, ale jeszcze zabarykadowane olbrzymim biurkiem doktora. Musieliby użyć tarana, żeby się tu włamać.

- Zajrzyjmy do domu - słyszy kobiecy głos.

Unosi nieco wyżej głowę, czekając niecierpliwie, aż nieproszeni goście podejną do schodów przed tylnymi drzwiami domu i pojawią się w jego polu widzenia.

Najpierw wyłania się mężczyzna, za nim kobieta. Ledwie ujrawszy tył jej głowy i ramiona, natychmiast ją rozpoznaje: to kierowniczka sekcji w dziale wywiadowczym SIS i porywcza asystentka Ridouta znana pod pseudonimem Ćma.

Patrząc, jak sięga do klamki drzwi, za którymi aż roi się od dowodów niedawnych gwałtownych wydarzeń, jakie rozegrały się w tym domu, zięć doktora Flinta mimowolnie mruczy pod nosem:

- Kurwa mać!

CONNECTICUT

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Portland dzieli od Miller's Reach około czterech godzin jazdy i Flint z łatwością mogłaby być już w domu, ale nie wiedząc, czy jej telefon nie jest na podsłuchu, i bojąc się panicznie włączyć aparat komórkowy, zatrzymuje się trzydzieści kilometrów wcześniej i wynajmuje pokój w zajeździe niedaleko Saybrook Point. Siada na maleńkim balkoniku i zasłuchana w skrzypienie desek pomostów na niedalekiej przystani czeka cierpliwie, aż Rocco Morales skończy kolację i do niej zadzwoni.

Sama bez większego apetytu przekąsiła coś wcześniej po drodze i teraz odczuwa tylko narastającą irytację z tego powodu, że do czasu wyjaśnienia drażliwych kwestii jest zmuszona trzymać się z dala od Miller's Reach. Ale jej drugie ja, płaczliwe i wiecznie narzekające, którego chętnie by się wyrzekła, gdyby to tylko było możliwe, podpowiada, że powinna być wdzięczna za tę okazję opóźnienia powrotu do domu, aż będzie widno.

Kiedy w końcu Morales dzwoni, Grace jeszcze raz przeprasza, że zakłóca mu odpoczynek w domu, na co Rocco odpowiada:

- W końcu my nigdy nie śpimy, prawda?

- Zaczynam to czuć na własnej skórze.

- Kiepski dzień?

- Nie najlepszy. Biuro na Customs Wharf zostało dokładnie wyczyszczone, naprawdę sumiennie. Śmierdzi detergentami jak fabryka chemiczna. Zostało zaledwie trochę starych mebli.

Wygląda na to, że wysłali tam jakiegoś zawodowca, by pozacierał ślady.

- Może dokonała tego twoja niemiecka przyjaciółka, Frau Lender?

- Już o tym myślałam. Do tej pory była jedynie kurierem, nie zajmowała się zacieranem śladów. Ale nigdy nic nie wiadomo.

- Chyba i tak warto tam wysłać ekipę z dochodzeniówki. Może jednak coś znajdą.

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiada Flint bez entuzjazmu. - Są jakieś nowe wiadomości o Lender?

- Tak. Dziś po południu zwróciła wóz do wypożyczalni, ale w Portlandzie, a nie przy lotnisku Logana. Za odstawienie go na miejsce zapłaciła dodatkowo siedemdziesiąt pięć

dolarów, choć nie sędzę, żeby specjalnie odczuła tę stratę. Dalej ślad się urywa. Nie było jej na liście pasażerów żadnego samolotu startującego z Portlandu.

- Co by oznaczało, że nie jest już Frau Lender, prawda?

- Na to wygląda.

- Wiesz co, Rocco? Jestem pewna, że ta suka mnie wykiwała. Dziś rano w hotelu ktoś zadzwonił do mnie, żeby sprawdzić, czy jestem w pokoju. Od razu się domyśliłam, o co chodzi. Natychmiast zbiegłam do holu, chcąc sprawdzić, kto to. I kogo ujrzałam wysiadającego z windy, jak nie Frau Lender! Oczywiście pojechałam za nią. Kluczyła po całym śródmieściu, a w pewnym momencie tylko zostawiła smród za sobą i tyle ją widziałam. Zachowałam się jak nowicjuszka.

Morales nie odpowiada.

- Jezu, co za bałagan! - dodaje Grace, słysząc, jak mimo woli pobrzmiwają w nim żalotne tony. To znów to przekłete płaczące drugie ja. Szybko nakazuje sobie wziąć się w garść.

- W porządku - mówi pewniejszym głosem. - Trzeba odszukać właściciela budynku i sprawdzić, czy nie został po nich jakiś ślad w dokumentach, na przykład list polecający, poprzedni adres bądź zapowiedź jego zmiany, sposób regulowania czynszu. Warto się też przyjrzeć rachunkom za prąd, wodę i telefon.

- Sprawdzę to - odzywa się Morales.

- Lokal znajduje się nad targowiskiem homarów, na terenie należącym do gminy, więc niewykluczone, że zarządcą budynku jest właściciel targowiska. W każdym razie ktoś musiał widzieć urzędujących tam ludzi, Bena i jego ewentualnych kolegów, jak wchodzili lub wychodzili z biura. Trzeba wypytać ludzi. Można to powierzyć miejscowej policji albo wysłać kogoś od nas.

- Chyba będzie lepiej, jak sami się tym zajmiemy - uznaje Morales. - Porozmawiam z Nathanem.

Na chwilę zalega cisza. Wreszcie Flint pyta:

- Dlaczego właśnie z nim?

- Ponieważ przejął dowództwo operacji „Zielone Świątki”, Grace. Świetnie o tym wiesz.

Natychmiast z jej pamięci wypływają słowa Cuttera: Sprawę Hustlera zostaw teraz Nathanowi. Na pewno znajdzie przeciek. Jest w tym dobry, lepszy od ciebie. Czując wzbierającą złość, rzuca w pośpiechu:

- A jednak to nie Nathan znalazł przeciek, prawda, Rocco? To moja zasługa.

- Słucham?

- Nieważne. W porządku, porozmawiaj ze Starkiem, jeśli chcesz, ale postaraj mu się wytłumaczyć, że najważniejszą sprawą jest ustalenie, ile czasu Ben spędzał w Portlandzie i gdzie się zatrzymywał, kiedy tam przyjeżdżał.

- A gdzie mógł się zatrzymywać? Jak ci się zdaje?

Tobie też się to spodoba, Rocco, przemyka jej przez myśl, gdy próbuje stłumić mimowolny chichot.

- Większość czasu między kolejnymi wyprawami w teren na pewno spędzał w towarzystwie Tylera, tak przynajmniej utrzymywał. A skoro już mowa o Tylerze...

- On jest poza naszym zasięgiem, Grace - wtrąca szybko Morales.

- Jak to?

- Na rozkaz Cuttera. Dopóki się nie dowiemy, dla kogo naprawdę pracuje, mamy zostawić Tylera w spokoju.

Czyżby? Po moim trupie!

- No cóż... - mruczy, chcąc się ustrzec przed powiedzeniem tego na głos. - Sama porozmawiam o tym jutro z Cutterem, gdy przyjadę do biura.

- Chcesz jutro przyjechać?

W jego głosie można wyczuć skrajne zdumienie, którego przyczyna pozostaje niejasna. Flint zaczyna więc tłumaczyć, że jej samochód wciąż stoi przy lotnisku Kennedy'ego, unieruchomiony za niewłaściwe parkowanie, ona zaś na razie używa auta z wypożyczalni Hertz, które musi właśnie zwrócić. Dlatego postanowiła przy okazji wpaść do centrali.

- Będę koło południa - dodaje.

W słuchawce znów nastaje zagadkowa cisza.

- O co chodzi, Rocco?

- Posłuchaj, to nie moja sprawa, dotarły do mnie tylko plotki, ale podobno Cutter chwilowo nie chce cię tu widzieć.

- Od kogo to słyszałeś?

- Daj spokój, Grace.

- Rocco!

Morales wzdycha głośno.

- Stark powiedział, że Cutter wolałby cię trzymać nie tylko z dala od budynku, ale nawet od miasta, przynajmniej na razie. Podobno zachodzi podejrzenie, że wymknęłaś się

spod kontroli. - Milknie na krótko, po czym dodaje: - Obiło mi się o uszy, że twoja przepustka i kod dostępu zostały unieważnione.

Ta wiadomość jest tak zaskakująca, że Flint nie może złapać oddechu. Czuje się do tego stopnia głęboko upokorzona, że gwałtowny skurcz żołądka odczuwa tak, jakby ktoś ją kopnął w brzuch. Rzuca słuchawkę i wybiega na balkon, ale musi się z całej siły złapać poręczą, żeby nie wypaść. Dopiero po pewnym czasie wciąga głęboko powietrze. Odlicza jeszcze powoli do dziesięciu i wraca do pokoju. Staje przy łóżku i spogląda na leżącą na nim słuchawkę, z której dobiegają słyszalne nawoływania Moralesa:

- Grace? Grace! Jesteś tam?!

Wreszcie po nią sięga i odzywa się nieswoim, nienaturalnie spokojnym głosem:

- Czy to znaczy, że jestem zawieszona?

- Nie, chyba nie. Po prostu chcą cię na razie usunąć w cień. - Woli nie powtarzać tego, co dodał jeszcze Nathan Stark: Gdzieś, gdzie nie będzie mogła więcej szkodzić.

- Dzięki, że mnie uprzedziłeś. Sama się tym zajmę.

- Tylko nie wymieniaj przy tym mojego nazwiska, dobrze?

- Oczywiście, to zrozumiałe. Nie będę ci więcej zawracała głowy. Do zobaczenia, Rocco.

Ale on, niczym stęskniony kochanek, chcąc zapewne odmienić jej nastrój albo też wykazać się zawodową dokładnością prosi, by opisała dokładnie biuro przy Customs Wharf. Grace odpowiada szybko, nie zaglądając do notatek:

- Drzwi zamknięte na klucz na szczycie pomostu, do którego prowadzą schody liczące piętnaście stopni.;Na nich błyszcząca mosiężna tabliczka z literami SAM. Nie wiadomo, co ma oznaczać ten skrót. Za nimi dwa takie same pokoje, mające w przybliżeniu pięć na trzy i pół metra, połączone przejściem. Dwa szare metalowe biurka, dwa obrotowe krzesła, także szare. Regał na akta z czterema szufladami, pusty, również szary. Na najdalszej ścianie regał i półka na książki, pomalowane na białą, też puste. Na podłodze klepka, świeżo wyszorowana. Lampy jarzeniowe. - Zawiesza na chwilę głos, po czym dodaje niezmiennym tonem: - Aha, jeszcze podpisane przez Bena szczegółowe zeznanie.

- Mogę o coś zapytać? - odzywa się Morales, pomijając milczeniem ten kiepski żart. - Jeśli drzwi były zamknięte, to jak się dostałaś do środka?

Chce już wyznać otwarcie, że po prostu wyważyła zamek, używając łyżki do opon, gdy w jej pamięci odzywa ostrzeżenie: Myślą że wymknęłaś się spod kontroli.

- A jak sądzisz, Rocco? - mówi z udawaną obojętnością. - Znalazłam klucz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wczesnym popołudniem na Miller's Reach Flint pootwierała na oścież wszystkie okna i drzwi, żeby wpuścić do środka ożywcze powietrze niesione lekkim wiatrem znad stawu, jakby próbowała się pozbyć uporczywego fetoru, który w wyobraźni czuła od siebie.

Nie pojechała na lotnisko Kennedy'ego, żeby odebrać samochód. Nie była też w Gmachu Marscheidera, by sprawdzić, czy gdy przeciągnie w szczelinie czytnika swoim służbowym identyfikatorem zastępcy kierownika sekcji operacyjnej wydziału, rzeczywiście zamiast zielonej zapali się czerwona lampka i nie otworzy się bramka wejściowa. W takim wypadku ponowna próba użycia anulowanej karty magnetycznej spowodowałaby alarm, a strażnicy wyprowadziliby ją z budynku na ulicę. Nie pomogłyby żadne tłumaczenia.

Nie rozmawiała też z Cutterem, chociaż rano dwukrotnie próbowała się z nim skontaktować, jeździła do Essex, żeby zadzwonić z budki telefonicznej. Za każdym razem jednak słyszała, że jest „nieosiągalny” albo „na zebraniu” i że „stanowczo zabronił łączyć jakiegokolwiek rozmowy”.

Po powrocie z drugiego wypadu, gdy chcąc zabić czas, wzięła się do porządków w kuchni, zauważyła brak zdjęcia.

Ścierała właśnie kurz na drewnianej półce pod oknem, zamierzając wygospodarować trochę miejsca między wszechobecnymi drewnianymi ptakami Bena, gdy spostrzegła, że nie ma fotografii, która zawsze tam stała. Było to oprawione w ramkę zdjęcie zrobione przed kaplicą na wyspie Hayman zaraz po tym, jak kapłan pobłogosławił ich związek. Tylko spokojnie, nakazała sobie w duchu, kiedy implikacje tego odkrycia wdarły się niczym fala powodziowa w jej wzburzone emocje.

Nie miała żadnych wątpliwości, że podczas ostatniego pobytu w domu, zanim sześć dni temu (które wydają jej się teraz równie długie, jak sześć lat) wyruszyła z Miller's Reach w podróż do Miami, ich wspólne zdjęcie ciągle stało na półce. Właśnie obok niego Ben zwykle zostawiał dla niej notatki, gdy wyjeżdżał z domu, spoglądała więc tam w pierwszej kolejności.

- Tego już za wiele, do jasnej cholery! - mruknęła na głos, czując wzbierającą wściekłość. Pobiegła do saloniku i wyciągnęła kartonowe pudełko, gdzie trzymali wszystkie zdjęcia. Także zniknęły. Pozostały tylko te, na których nie było Bena.

Zaczęła gorączkowo przetrząsać cały dom. Otwierała szafki i wyciągała szuflady, wyrzucając ich zawartość na podłogę niczym działający w pośpiechu włamywacz.

Potwierdziły się jej obawy, że nie zostało ani jedno zdjęcie przedstawiające Bena. Zniknęły również wszystkie jego listy i kartki z zapiskami, które trzymała na dnie szuflady z bielizną a ściślej biorąc, wszelkie papiery z jego odręcznym pismem.

Doskonale wiedziała, dlaczego tak się stało. Nie dawała jej spokoju zagadka, jak to się stało.

Jakim sposobem się tu dostali? - zachodziła w głowę.

Zaczęła dokładnie oglądać zamki w drzwiach i oknach, szukając śladów wyważania, kiedy nagle ją olśniło, że wcale nie musieli się włamywać do domu.

Na pewno mieli klucze Bena.

Nie zadziałał też nowoczesny system alarmowy, na którego zainstalowanie tak bardzo nalegała mimo ironicznych uwag męża. O wykryciu przez niego intruza powinno zostać powiadomione czuwające na okrągło centrum monitoringowe, skąd najdalej po upływie kwadransa powinni przybyć na miejsce uzbrojeni ochroniarze z psami. Firma gwarantowała jego niezawodność albo zwrot pieniędzy.

Nie zadziałał, ponieważ Ben przekazał im kod wyłączający system.

W końcu - wielkie nieba! - uderzyła ją jeszcze jedna oczywista możliwość: że to Ben sam otworzył drzwi, wyłączył alarm i wpuścił do środka ludzi, umożliwiając im myszkanie w ich prywatnych rzeczach, aby usunąć stąd wszelkie ślady swojego istnienia.

Tylko jednego zdjęcia nie zabrali - tego, które zawsze miała przy sobie, w portfeliku, o czym Ben chyba nawet nie wiedział.

Ma je właśnie przed sobą, oparte o opróżniony do połowy kieliszek wina stojący na biurku obok zdjęcia matki, którą ledwie pamięta, podobnie jak ledwie pamięta już Bena, utraciwszy pewność co do wszystkiego, co się z nim wiązało.

Jak mogłaś być tak cholernie głupia? Właśnie ty?! Całe życie poświęciłaś ściganiu oszustów, o których, jak ci się zdawało, wiesz wszystko, których potrafisz wyczuć na kilometr, a mimo to pozwoliłaś, by najgorszy z nich wdarł się do twojego życia, wpuściłaś go do łóżka. Jak mogłaś być tak naiwna?

Siedzi już przy drugim, a może trzecim kieliszku wina - nie tylko z tego powodu, że alkohol koi jej nerwy, ale również dlatego, iż propagowana przez męża wstrzeźliwość jest dla niej równie pusta, jak wszelkie inne jego deklaracje.

Pragnąc jak najszybciej zdemaskować następne kłamstwa Bena, dzwoni pod domowy numer inspektora Gilles'a Bourdonneca z francuskiej Brigade Criminelle. Ilekroć łączy się z Paryżem, z jej pamięci nieodmiennie wypływa obraz zbliżającego się w jej kierunku po rue Tiquetonne policjanta, bądź to idącego powoli na obolałych nogach, bądź w wózku

inwalidzkim pchanym przez Dominique, jego żonę. I jak zawsze w takich chwilach dopada ją poczucie winy, gdyż niezależnie od tego, co Gilles mówił, oboje doskonale wiedzieli, że to ona ponosi winę za jego kalectwo.

Odbiera po drugim sygnale i rozpoznawszy ją po głosie, jak zwykle witają bardzo ciepło. Ale chociaż jego słowa są dla niej jak balsam na zranioną duszę, Grace przerywa, mówiąc z naciskiem, że dzwoni z aparatu, który ani trochę nie jest bezpieczny.

Kiedy Bourdonnec gwałtownie milknie, wyjaśnia pospiesznie, że musi się skontaktować z człowiekiem, którego numer telefoniczny uważa za wielce wątpliwy. To Ben podyktował jej kiedyś numer do ojca, teraz więc doszła do wniosku, że wszelkie jego opowieści o rodzinie zapewne także były wyssane z palca. Dzwoniła już kiedyś pod ten numer i rozmawiała z mężczyzną, który potwierdził, że jest jej teściem, ale nie zmienia to faktu, że obecnie w to nie wierzy.

- Chodzi ci o... - Bourdonnec na chwilę zawiesza głos - ...tego człowieka z południa?

- Tak - odpowiada zdziwiona.

- W takim razie nie jesteś osamotniona. Dzwonił już Cutter i prosił o tę samą informację.

- Kiedy?

- Wczoraj... Nie, w sobotę, późnym wieczorem naszego czasu.

Chryste!

- Zaczekaj chwilę. Zaraz ci go podyktuję.

Wkrótce dysponuje już zarówno adresem, jak i numerem telefonu - zupełnie innym od podanego przez Bena - Josepha Gatesa, emerytowanego profesora Uniwersytetu McGilla, mieszkającego obecnie w Saint-Paul-de-Vence. Pospiesznie żegna się z Gilles'em i bez zastanowienia po raz drugi dzwoni do Francji. Odzywa się nieznany jej męski głos.

- Halo? Halo?

- Profesor Gates?

- Tak. Kto mówi?

Po chwila wahania odpowiada:

- Joe... To ja, Grace.

- Kto?

- Grace, żona Bena. - Ledwie się powstrzymuje, żeby nie dodać: „Twoja synowa”.

Na drugim końcu linii zapada martwa cisza, w słuchawce słychać tylko lekki świergot zakłóceń połączenia satelitarnego. Wreszcie pada ostro:

- Jak pani śmie?! Jak pani ma czelność robić coś takiego?!

- Proszę wybaczyć, ale muszę panu zadać kilka pytań.

- Już mówiłem policji. Nie mam syna. Zmarł w wieku sześciu lat.

Podświadomie spodziewała się takiej wiadomości, a mimo to coś boleśnie ścisną ją za serce. Wbrew sobie powtarza w osłupieniu:

- Ben... zmarł?

- Dość tego! Proszę tu więcej nie dzwonić! Połączenie zostaje przerwane.

Flint natychmiast dzwoni do Gmachu Marscheidera, całkowicie lekceważąc to, że ktoś może podsłuchiwać.

Po raz trzeci tego dnia cierpliwie wysłuchuje monotonnej zapowiedzi sekretarki Cuttera, po czym stanowczo domaga się połączenia z Nathanem Starkiem. Okazuje się, że on także jest nieuchwytny, uczestniczy w zebraniu i nie wolno mu przeszkadzać. W tym kontekście przełączenie rozmowy na aparat Jarretta Crawforda należy uznać za znaczące osiągnięcie.

- Krabiku, co tam się dzieje, do cholery?

- Nie rozumiem.

- Chociaż ty nie próbuj mnie wykołować. W ogóle nie mogę się połączyć z wydziałem, nie mogę złapać ani Cuttera, ani tego pieprzonego Nathana Staraka. Jestem zawieszona w próżni, Jarrett, a mając sporo wolnego czasu, zdołałam się przekonać, że mój mąż pozabierał z domu mnóstwo różnych rzeczy, tyle że to wcale nie był mój mąż, bo Ben w rzeczywistości zmarł, mając sześć lat. Skoro Cutter już o tym wie, wcale nie byłabym zdziwiona, gdybyś ty także wiedział. Dlatego domagam się wyjaśnienia, kto mi ukradł całe życie, do jasnej cholery? Możesz mi to powiedzieć? Czy wyrażam się dość jasno?

- Grace, Cutter jest w poważnych kłopotach - odpowiada Crawford.

- Nie wątpię.

- Posłuchaj. Jest tu dwóch facetów z Wydziału Odpowiedzialności Zawodowej Departamentu Sprawiedliwości. Właśnie rozmawiają z Cutterem. Szukają kozła ofiarnego, by go obwinić za śmierć Ruth, a wszystko przemawia przeciwko tobie. Stary za wszelką cenę próbuje cię wyciągnąć z dołka. To jedyny powód, dla którego kazał cię zatrzymać z dala od centrali.

- Cudownie! W takim razie zrób mi przysługę, Krabiku. Powiedz Cutterowi... - Urywa nagle, kątem oka dostrzegłszy jakiś ruch u wylotu drogi dojazdowej do Miller's Reach. - Zaczekaj chwilę.

Wstaje zza biurka i podchodzi do wyjścia na werandę, żeby się lepiej przyjrzeć. Jakiś mężczyzna zdążył już otworzyć bramę i w stronę domu wolno posuwają się dwa duże ciemne auta bez oznakowań.

- Muszę kończyć - rzuca pospiesznie do słuchawki. - Mam gości.

Zapewne przyjaciół Bena, dodaje w myślach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jest ich czworo, trzech mężczyzn i kobieta. Już na pierwszy rzut oka widać, że to funkcjonariusze którejś agencji ochrony porządku publicznego. Wymownie świadczą o tym wymięte, tandetne ubrania i niechlujne fryzury. Aż odruchowo chce się rzucić pytanie: „Dlaczego wy wszyscy tak kiepsko się ubieracie?” - choćby tylko po to, żeby ich wkurzyć i zyskać nad nimi drobną przewagę.

- Grace Flint? - pyta najwyższy mężczyzna, sądząc po wyglądzie dowodzący tą grupą. Zbliży się ścieżką do wejścia na werandę, podczas gdy reszta zostaje przy samochodach. Stanąwszy przy schodach, wyciąga w jej kierunku trzymany w lewym ręku otwarty portfelik z legitymacją służbową. - Agent specjalny Mike Pritchard z sekcji dochodzeń kryminalnych Urzędu Imigracyjnego.

- Moje gratulacje - odpowiada Flint.

Na jego ustach pojawia się skąpy uśmiech, dodając mu nieco melancholijnego uroku.

- Pozwoli pani, że wejdziemy? Chciałbym zobaczyć pani paszport.

- Nie pozwolę, dopóki nie zobaczę nakazu.

To już nie jest zabawne i jego uśmiech znika w jednej chwili.

- Niepotrzebny mi nakaz, proszę pani. Muszę jednak zobaczyć pani paszport, i to natychmiast.

Flint domyśla się, że agent Pritchard chętnie wszedłby po trzech stopniach na werandę, ale waha się, gdyż ona stoi w samym przejściu, na lekko rozstawionych nogach z nieco ugiętymi kolanami, co instruktorzy z Quantico nazywają pozycją gotowości, a w dodatku nie zamierza ruszyć się z miejsca. Nie ma sposobu, żeby precyzyjnie się obok niej i wtargnął do domu. Mógłby to zrobić najwyżej siłą.

- Mówi pan, agencie Pritchard, że jest z sekcji dochodzeń kryminalnych?

- Dokładnie tak, proszę pani.

- Więc ośmielę się zauważyć, że prowadząc dochodzenie kryminalne, nie miał pan prawa wtargnąć na teren prywatny bez nakazu sądowego. A skoro tę kwestię już

wyjaśniliśmy, mam nadzieję, że dysponuje pan przynajmniej uzasadnionymi podejrzeniami co do popełnienia przestępstwa natury kryminalnej, agencie Pritchard.

Pritchard wzdycha ciężko i kręci głową, chcąc okazać, że nudzą go tego rodzaju argumenty, które musi zbijać przy każdej okazji. Monotonnym głosem zaczyna klepać utartą formułkę, mającą jej udowodnić, że na podstawie takich a takich paragrafów kodeksu karnego oraz artykułów ustawy o emigracji i obywatelstwie ma obowiązek ścigać domniemane przestępstwa kryminalne i wykroczenia administracyjne.

- To nadal nie stwarza podstaw, abym was wpuściła do domu - odpowiada Grace.

- W takim razie proszę tutaj okazać swój paszport, panno Flint.

- A tamci to kto? - Ruchem głowy wskazuje pozostałą trójkę tkwiącą bez ruchu przy samochodach.

- Specjaliści od zatrzymań - odpowiada krótko Pritchard, nie siląc się na dalsze wyjaśnienia.

- Wszyscy troje? Dobra, proszę tu zaczekać. I nie życzę sobie, by pańska stopa stanęła na werandzie.

Grace wchodzi do domu, zamyka drzwi i na krótko opiera się o nie plecami, czując, jak opuszcza ją odwaga.

Nie może się uwolnić od skojarzeń, że specjaliści od zatrzymań są zarazem specjalistami od nękania ludzi. Właśnie tacy fachowcy zajmowali się Niną na lotnisku Kennedy'ego, wywieźli ją stamtąd zapłakaną i roztrzęsioną, po czym umieścili w zamkniętym ośrodku w towarzystwie szumowin, których nikt nie chciałby w życiu spotkać.

Pospiesznie obmyśla strategię działania. Może jedynie podejrzewać, co jest prawdziwym powodem tej wizyty, nie ma jednak złudzeń, że zdoła się łatwo wybronić przed aresztowaniem, dochodzi więc do wniosku, że w tej sytuacji dalsze sprzeciwianie się przyszłym ciemnościom nie jest najrozsądniejszym wyjściem.

Otwiera drzwi i woła:

- W porządku, zmieniłam zdanie. Proszę wejść.

Miała na myśli samego agenta Pritcharda, ale nie protestuje, widząc w progu całą czwórkę. Wchodzą do środka ostrożnie, jakby wietrzyli jakąś pułapkę. Dwaj pozostali mężczyźni niczym szczególnym się nie wyróżniają, kiwają jej nerwowo głowami na powitanie, ale kobieta to zupełnie co innego. Ma szczupłą pociągłą twarz o kiepskiej cerze i minę człowieka dogłębnie rozczarowanego koniecznością przebywania w takim ciele. Najwyraźniej żywi z tego powodu urazę do całego świata.

Flint prowadzi ich do saloniku i wskazuje miejsca na kanapie i krzesłach, ale nie chcą usiąść. Rozdzielają się szybko i niby oglądając pokój, umiejętnie zachodzą ją ze wszystkich stron, obserwując bacznie, jak przerzuca rzeczy w torebce, szukając paszportu.

W końcu wręcza go Pritchardowi i ten zaczyna odruchowo przerzucać kartki, ledwie zerkając na kolejne wpisy.

- Panno Flint - zaczyna ewidentnie przygotowaną wcześniej mowę. - Otrzymała pani zgodę na pobyt w Stanach Zjednoczonych na podstawie nieemigracyjnej wizy typu H-1B, zezwalającej pani podjąć pracę w Wydziale Ścigania Przestępstw Finansowych. Jednakże ze względu na to, że została pani zawieszona w prawach pracownika wydziału, automatycznie wiza utraciła ważność, a pani prawo pobytu zostało unieważnione. Czy to zrozumiałe?

Zawieszona!

Grace nie ma odwagi otworzyć ust. Zmusza się do tego, by skinąć potakująco głową.

- Na tej podstawie - ciągnie Pritchard - w myśl obowiązujących przepisów, musi pani jak najszybciej wyjechać ze Stanów Zjednoczonych, a naszą powinnością jest dopilnowanie, by opuściła pani granice tego kraju. Muszę jednak zaznaczyć, że w myśl obowiązujących przepisów ma pani do wyboru kilka możliwości. Jeśli zgodzi się pani dobrowolnie wycofać swój wniosek o przyznanie prawa pobytu w Stanach Zjednoczonych i odlecieć najbliższym samolotem, będzie pani mogła w przyszłości ponownie złożyć taki wniosek i nie zostanie on automatycznie odrzucony. Ponadto w takim wypadku, w razie odwieszenia pani w prawach pracownika wydziału, będzie pani mogła również wystąpić o wznowienie ważności wizy. - Zawiesza głos, po czym dodaje przyjacielskim tonem: - Prawdę mówiąc, osobiście nie widzę żadnych powodów, dla których miałyby się pani spotkać z odmową.

W głowie Grace kotłują się nieskładne myśli, które gorączkowo usiłuje zebrać, choć wydaje się to niewykonalne.

- W myśl obowiązujących przepisów ma pani także prawo - ciągnie agent oficjalnym tonem - odwołać się od tej decyzji do sędziego Urzędu Imigracyjnego. Gdyby postanowiła pani obrać taki tryb postępowania, zostałaby pani tymczasowo umieszczona w zamkniętym ośrodku urzędu bądź innym miejscu nadzorowanym przez służby imigracyjne i pozostała w nim do czasu wyznaczonego przesłuchania. - Robi krótką przerwę, by dotarło do niej znaczenie tych słów, po czym kończy: - Zajęłoby to kilka dni.

Flint znów przypomina sobie Ninę, która na wieść o konieczności powrotu do takiego ośrodka zalała się łzami, omal nie wpadła w histerię.

- Jeszcze przed jednym muszę panią przestrzec. Jeśli nie zgodzi się pani jak najszybciej dobrowolnie opuścić granic Stanów Zjednoczonych i nie wystąpi z odwołaniem

od decyzji unieważnienia wizy, lub jeśli takie odwołanie zostanie oddalone, będzie pani deportowana. W takiej sytuacji, w myśl obowiązujących przepisów, stanie się pani osobą niepożądaną. - W ustach Pritcharda to określenie brzmi pogardliwie, jakby samo z siebie świadczyło, że dopuściła się haniebných czynów. - A to oznacza... No cóż, może lepiej zostawmy to na razie. - Uśmiecha się krzywo. - W każdym razie, może mi pani wierzyć, że nie warto wybierać tej drogi, panno Flint.

To jakaś bzdura! Przecież jestem zastępcą kierownika sekcji...

- Ma pani zarezerwowane miejsce na pokładzie samolotu British Airways, który startuje z lotniska Kennedy'ego za cztery godziny - odzywa się po raz pierwszy urażona przyszczata baba. - Możemy rozwiązać ten problem w sposób cywilizowany, bo jeśli nie, mam w bagażniku samochodu kajdanki z łańcuchami do skucia nóg. Wolny wybór.

- Nie wierzę, by próbowała pani stawiać opór - dodaje Pritchard.

- A więc Tyler pracuje dla was, prawda? - odpowiada Flint, dając tym samym dowód, że się pomylił. - A może jesteście zwykłymi sługusami wynajętymi do tego, by posprzątać po kimś brudy?

- Proszę odejść od stołu - rzuca ostro przyszczata, błyskawicznie dobywając broń zza pazuchy za dużego o kilka numerów zakietu. - Spleść ręce na głowie i odwrócić się do mnie tyłem.

- Lepiej, żeby nie doszło do żadnego głupiego wypadku - mówi Pritchard.

- Na kolana!

Zanim Flint zdąży zdecydować, co robić, czy zastosować się do poleceń, czy też nie, jeden z pozostałych mężczyzn dostrzega coś dziwnego za jej plecami, gdyż ze zmarszczonym czołem i wybałuszonymi oczami mruczy pod nosem:

- Jasna cholera!

Grace odwraca się szybko. W otwartych drzwiach tarasu stoi Syriusz - a raczej jakieś sześćdziesiąt kilo żywego zagrożenia z obnażonymi kłami, z którego gardła dobywa się mrozące krew w żyłach warczenie.

- Spokojnie, chłopcy - ostrzega Pritchard wyraźnie podenerwowanym głosem. - Czy to pani pies?

- Syriusz - mówi zdumiona Flint, jakby nie słyszała pytania.

- Proszę go uwiązać, i to zaraz, bo będziemy zmuszeni go zastrzelić.

Następuje seria tak błyskawicznych i gwałtownych wydarzeń, że później Grace ma spore trudności, by dokładnie zrekonstruować ich kolejność i wyjaśnić przebieg. Jest pewna tylko tego, że na początku złowieszcze warczenie Syriusza nagle przybiera na sile, rozlega się

kilka głośnych szczęknięć, a pies przysiada na tylnych łapach, jakby szykował się do skoku. Ona zaś, widząc, że pryszczata robi szybki półobrót i przyjmuje pozycję strzelecką, reaguje niemal odruchowo, bez zastanowienia. Obraca się na pięcie i pochyla silnie, wyprostowaną nogą wysoko wymierzając jej kopniaka. Trafiona w ramię, pryszczata zwala się bezwładnie do tyłu, na stolik do kawy. Pada strzał.

Flint odwraca się błyskawicznie i widząc, że agent Pritchard także sięga po broń, chce i jego w podobny sposób zwalić z nóg, gdy kątem oka dostrzega gwałtowny ruch obok siebie i czuje, jakby przez pokój przemknął czarny wichur. Syriusz skacze mu na pierś i przewraca na podłogę, po czym z obnażonymi kłami rzuca mu się do gardła.

Zasłaniając się jedną ręką przed psem, Pritchard drugą nieporadnie usiłuje odciągnąć kurek rewolweru. Grace rzuca się naprzód i z całej siły przydeptuje mu nadgarstek. Rozlega się głośny okrzyk bólu, chociaż trudno powiedzieć, czy to jej działanie jest tego przyczyną. W każdym razie agent rozwiera palce i wypuszcza broń, ona odrzuca ją kopniakiem i odwraca się w samą porę, by dostrzec drugiego mężczyznę skaczącego w jej kierunku z pięściami. Robi błyskawiczny unik pod jego ramieniem i kolanem wymierza mu cios w jaja. Lekki ból z boku twarzy po tym, jak ześliznęła się po niej jego pięść, jest zapewne niczym w porównaniu z tym, co on musi odczuwać, sądząc po głuchym jęku i szeroko rozwartych ustach próbujących spazmatycznie złapać dech.

Flint rozgląda się pospiesznie, ale nigdzie nie widać ostatniego intruza. Zauważa swoją torebkę leżącą na podłodze obok przewróconego stolika. Szybko sięga po nią wyjmując pistolet, w pośpiechu odbezpiecza, wprowadza nabój do komory, strzela w sufit i krzyczy na cały głos:

- Stać!

Skutek jest natychmiastowy. Nawet Syriusz zastyga bez ruchu.

- Do nogi - przywołuje go.

Pies nie reaguje, tylko spogląda na nią wzrokiem pełnym zwierzęcego przywiązania. Ale już na drugie wezwanie zawraca w jej kierunku i zbliża się niepewnym krokiem dzikiego wilka. Pritchard pozostaje bez ruchu na podłodze.

Dopiero teraz Grace zauważa nogi ostatniego mężczyzny za ulubionym fotelem Bena. Leży skulony na boku, a z rękawa jego marynarki wypływa wąska strużka krwi.

Flint rozgląda się dookoła, ogarniając wzrokiem pobożowisko, i jak przystało na córkę weterynarza, mówi karcącym tonem:

- Nie strzela się do psów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Niewiele ponad dwie godziny potrzebował Rocco Morales, aby dyskretnie się dowiedzieć, że nikt z Urzędu Imigracji i Naturalizacji nie zamierzał anulować wizy Grace Flint ani tym bardziej wydać jej poza granice Stanów Zjednoczonych, nikt nie był nawet świadom możliwości zawieszenia jej w prawach pracownika wydziału (choć słuchając później jego pokrętnych tłumaczeń, Grace nie może się oprzeć wrażeniu, że według plotek krążących po Gmachu Marscheidera taka ewentualność jest jednak całkiem realna).

Moralesowi udało się też ustalić, że w sekcji dochodzeń kryminalnych urzędu rzeczywiście pracuje agent Mike Pritchard, tyle że przebywa obecnie w Kalifornii, gdzie prowadzi jakieś śledztwo, a ponadto nie jest nawet podobny do tego „agenta specjalnego Pritcharda”, który leży teraz na werandzie, zakrwawiony i oklejony plasterkami, wcale nie tak bardzo poraniony, jak można by sądzić, chociaż głębokie rozcięcia od kłów Syriusza na jego szyi i szczęce mogą mu przysporzyć jeszcze sporo zmartwień.

- Chciałabym powiedzieć, że ten pies był szczepiony - oznajmiła mu Flint - ale szczerze w to wątpię.

Dokumenty Pritcharda, na pierwszy rzut oka niebudzące żadnych zastrzeżeń, są tak samo fałszywe, jak jego tożsamość. To samo tyczy się trojga specjalistów od zatrzymań, którzy wcale nie działali na polecenie Urzędu Imigracyjnego, niemniej rzeczywiście przybyli wyposażeni w łańcuchy z obręczami do krępowania nóg. Flint szybko je odnalazła w bagażniku ich samochodu.

Wykorzystała je do unieruchomienia całej czwórki na werandzie pod czujnym wzrokiem Syriusza.

Milczek - jak ochrzciła na swój użytek pierwszego z trzymających się na uboczu funkcjonariuszy - ma ranę postrzałową w górnej części prawego przedramienia, skutek przypadkowego strzału z pistoletu pryszczatej, której kopniakiem wybiła ramię. Poza tym kobieta dorobiła się guza na czole, gdy padając, uderzyła głową o kant stolika.

Natomiast Jeff, czyli drugi ze specjalistów od zatrzymań, nie ma żadnych widocznych obrażeń, ale jest bardzo blady, jak również najbardziej potulny i małomówny ze wszystkich jej więźniów.

- Wstawać - rozkazuje, wychodząc na werandę pełniącą od czasu krótkiej bitwy funkcję obozu jenieckiego i ambulatorium. - Chodź tu, piesku - zwraca się do Syriusza. - Zajdź ich od tyłu, żeby ruszali się trochę szybciej.

Wilczur z donośnym warczeniem podnosi się z werandy, co sprawia, że i więźniowie energiczniej dźwigają się na nogi, chociaż łańcuchy i kajdanki znacznie ograniczają im swobodę ruchów. Wyglądają na bardzo zdenerwowanych. Mają ku temu ważne powody, mimo że Flint nie zadała im jeszcze ani jednego pytania na temat prawdziwej tożsamości.

Mając w zanadrzu jeszcze jedną potwierdzoną wiadomość od nieocenionego Rocco - że zgodnie z zapowiedzią pryszczatej zarezerwowano jej miejsce w samolocie British Airways odlatującym do Londynu - zapytała tylko o jedno:

- Komu aż tak bardzo zależy na moim wyjeździe z Ameryki?

Odebrawszy zamiast odpowiedzi jedynie ich zaleźnione spojrzenia, dodała:

- W porządku. Pogadamy o tym jutro, kiedy będziecie bardziej rozmowni.

Niczym banda skutych razem bandziorów pod strażą deptającego im po piętach Syriusza idą gęsiego w kierunku wielkiej stodoły, gdzie Flint zatrzymuje ich przed drzwiami.

- A teraz posłuchajcie - nakazuje szeptem, chcąc zrobić większe wrażenie. - Macie być bardzo, bardzo cicho. W środku nie wolno wam nawet pisnąć. Cokolwiek się wydarzy, musicie zachować całkowitą ciszę. Chyba że zależy wam na obudzeniu stada liczącego sto tysięcy nietoperzy.

Ostrożnie podnosi sztabę, uchyla drzwi i zagania więźniów w głąb mrocznego pomieszczenia.

Dom wydaje się jej pełen duchów. Sama także siedzi po ciemku, czekając na telefon od Cuttera, zasluchana w szmery i szelesty na strychu, jakby pod dachem buszował wiatr.

Salon wygląda okropnie. Na podłodze ciemniejszą smugę rozmazanej krwi, w suficie zieje dziura po kuli, a stół ma wyłamano jedną nogę. Nie wiadomo jak i kiedy stłukła się szyba w oknie i krzesło rozleciało się na kawałki. Ale ona się tym nie martwi. Siedzi na środku pobojuwiska, lecz myślami błędzi bardzo daleko. Kiedyś była w tym domu szczęśliwa, jednak wszelkie jej wspomnienia o szczęściu są teraz równie martwe, jak te duchy krążące po poddaszu. Nie jest już w żaden sposób związana z Miller's Reach.

Czuje się tak osamotniona jak dawniej, jakby była żywym trupem. Bardzo by chciała mieć w tej chwili przy sobie Syriusza, ale pies położył się przed wejściem do stodoły i został tam, wcielając się w oddanego strażnika.

Zaczyna przysypiać, wyciągnięta w fotelu Bena, kiedy w końcu dzwonek telefonu podrywa ją na nogi.

To jednak nie Cutter.

- Panna Flint? Grace Flint?

Mężczyzna mówi z brytyjskim akcentem, powoli, cedząc słowa. Znow nabrawszy podejrzeń, odpowiada z ociąganiem:

- Tak, to ja. Słucham.

- Mówi sierżant Manning z komendy policji hrabstwa Oxfordshire. Dzwonię w sprawie pani ojca.

Grace milczy, gdyż żołądek nagle podchodzi jej do gardła.

- Doktor John Flint to pani ojciec, prawda? - dopytuje się policjant.

Pragnie powiedzieć, że tak, oczywiście, ale nie jest w stanie nic wydusić przez zaciśnięte gardło. Sama parokrotnie przekazywała podobne wiadomości przez telefon i świetnie pamięta, jak trudno jest w podobnych momentach dobrać właściwe słowa.

- Co się stało? - wydusza w końcu z siebie, uwolniwszy się od wszelkich podejrzeń.

- Niestety, został... ranny. Obawiam się, że to dość poważne.

- Jak?

- No cóż, nie jesteśmy tego pewni, panno Flint. Wszystko wskazuje na to, że stał się ofiarą napadu, dosyć brutalnego, ośmielę się zauważyć. We własnym domu. Co prawdą został znaleziony w swojej pracowni weterynaryjnej, a dokładniej... w psiej klatce...

Grace ma ochotę wrzasnąć na cały głos, ale znow coś ściska ją za gardło.

- W każdym razie odnaleziono go dzisiaj wieczorem i natychmiast przewieziono do szpitala Horton General w Banbury, gdzie znajduje się na oddziale intensywnej opieki. Niestety, nie potrafię dokładniej opisać pani jego obrażeń, ale cały czas jest nieprzytomny, dlatego postanowiliśmy jak najszybciej panią o tym powiadomić... Inaczej mówiąc, rokowania są niepewne, więc chcieliśmy dać pani czas na przygotowanie się do powrotu do kraju.

Sierżant musi odczuwać wyraźną ulgę, kiedy już zrzucił z barków najgorsze brzemie. Słysząc to wyraźnie po jego głosie.

- Zaraz odlatuję - rzuca Flint do słuchawki.

- Może jednak zechciałaby pani zapisać mój numer telefonu... - ciągnie Manning, ale na drugim końcu linii już nikt go nie słucha.

Droga dojazdowa do Miller's Reach prowadzi przez szczyt wzniesienia, z którego leżący dość nisko w dole dom i wielka stodoła wyglądają jak dekoracje na scenie utworzonego przez naturę gigantycznego amfiteatru.

Tego wieczoru, gdy Flint odjechała, zdoławszy dociągnąć opierającego się Syriusza zaledwie do bramy, wewnątrz amfiteatru stopniowo wypełnia się roztańczonym, pomarańczowym i czerwonym blaskiem, który wydostaje się z wnętrza domu przez dach w

postaci długich jęzorów płomieni i kładzie smugami na powierzchni stawu. Ponad lustrem wody z donośnym wrzaskiem zaczynają krążyć spłoszone kruki.

Ptasie krzyki wkrótce giną w kakofonii syren nadsięgających wozów strażackich i policyjnych aut patrolowych.

NOWY JORK

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W swoim mieszkaniu Aldus Cutter w samych bokserkach sięga po pierwszą kopertę ze stosu korespondencji i otwiera list od Kennetha Trenta, swojego adwokata, z którym łączy go dość zażyłe stosunki.

Drogi Aldusie!

Dziś po południu spotkałem się z Eleanor i jej adwokatem, Elim Brillingssem, w celu przezwyciężenia impasu i ustalenia warunków finalnego porozumienia. Eli jest człowiekiem stąpającym twardo po ziemi i jego kontrpropozycje względem naszej oferty są, moim zdaniem, całkiem rozsądne. W odrębnym liście prześlę ci wstępną wersję tymczasowej ugody, nad którą trzeba będzie jeszcze popracować, ale to już coś.

Dotąd całkiem niezłe, jak zwykleś mawiać. Jednakże po spotkaniu umówiłem się z Eleanor na drinka „za stare, dobre czasy” i z przykrością muszę cię powiadomić, że jest do ciebie bardzo wrogo nastawiona. W innych okolicznościach nie zawracałbym ci tym głowy, ale w trakcie pogawędki padło z jej strony kilka ostrych gróźb pod twoim adresem. Jako twój adwokat, a zarazem przyjaciel, czuję się w obowiązku uprzedzić cię, co powiedziała i co zamierza.

Eleanor jest przekonana, że przez wiele lat poprzedzających rozpad waszego związku utrzymywałeś pozamałżeńskie kontakty z Grace Flint.

Cutter spogląda na zegar stojący na gzymsie kominka i widzi, że dochodzi ósma wieczorem. Spodziewa się gości, toteż idzie z listem Trenta do łazienki i ustawia go na półce pod lustrem, by czytać dalej w trakcie golenia.

Eleanor powiedziała, że wasz „romans” zaczął się gdzieś pod koniec roku 1997, po tym, jak Flint przeniosła się do Miami i została oddelegowana do pracy w twoim wydziale, co było już „oczywiste dla każdego” podczas przyjęcia, które wydaliście wspólnie w wigilię Bożego Narodzenia (i w którym, jeśli mnie pamięć nie myli, ja i Sandra mieliśmy przyjemność uczestniczyć, choć tylko na krótko). Eleanor twierdziła, że „obłapywałeś” Flint

przez cały wieczór (ale na pewno nie w mojej obecności), później zaś, gdy cię o to spytała, taktownie potwierdziłeś swoje zaangażowanie w ten związek.

- Gówno prawda - mruczy Cutter, wyskakując z bokserek i wchodząc pod prysznic. Doskonale pamięta tamten wieczór - z pewnością nic podobnego się nie wydarzyło.

Młoda Flint, jak wtedy o niej myślał, gdyż mogłaby być jego córką, zaraz po przylocie z Londynu do Miami przypominała towar zapakowany w gruby szary papier z naklejką OSTROŻNIE! SZKŁO! przyklepioną na czole. Uczestniczyła w tajnej operacji, w której coś poszło nie tak, i dostała się w łapy szachrajskiego adwokata, Claytona Bullera. W Scotland Yardzie panowało powszechne przekonanie, że nie tylko połamał jej szczękę i nos, poorał policzki i powybił zęby, ale także doszczętnie pozbawił ją pewności siebie i odwagi. Poza naprawieniem szkód fizycznych chirurdzy nadali jej wygląd niebiańskiej piękności - Masz rację, Eleanor, rzeczywiście uważam ją za uderzająco piękną kobietę, jak któregoś dnia otwarcie przyznał żonie, czego teraz mógł jedynie żałować - ale według krążących plotek była skończona, wypalona; miała już nigdy, pod żadnym pozorem, nie wziąć udziału w tajnej operacji. A i sama Flint najwyraźniej podzielała ten pogląd.

Poznawszy ją nieco lepiej i dostrzegłszy w niej tak nieugiętego ducha, jakiego rzadko widywał u innych agentów, szybko przestał wierzyć tym plotkom. I choć oficjalnie objęła w Miami stanowisko łącznika kierowanego przez niego Wydziału Ścigania Przestępstw Finansowych ze Scotland Yardem - czyli miała za zadanie utrzymywanie tajnych dokumentów z brytyjskiego konsulatu najdalej od linii frontu, jak tylko to możliwe - Cutter poprosił ją o sugestie dotyczące sposobów rozbicia mafii z Fort Lauderdale nadzorującej prostytutkę w całym stanie i otrzymał szczegółowy plan akcji wymagającej przeniknięcia do struktur mafijnych, który w efekcie przyniósł doskonałe rezultaty. Właśnie dlatego postanowił ją skusić, lecz wcale nie do nawiązania romansu, ale powrotu do czynnego uczestnictwa w prowadzonych przez wydział operacjach.

Zaproszenie jej na przyjęcie - Gwiazdkową Bibę Aldusa i Eleanor Cutterów, coroczne wydarzenie głośne w kręgach miejscowych stróżów prawa - było częścią tego procesu. Doszedł do wniosku, że gdy Grace znajdzie się w hałaśliwym przyjacielskim gronie agentów, oficerów śledczych i prokuratorów, przechwalających się swoimi osiągnięciami i żartujących z rozmaitych frontowych opowieści, znów poczuje zadrę w tyłku i zapragnie włączyć się w wir zmagania.

Tak też się stało. Trzy miesiące później zgłosiła się na ochotnika do udziału w operacji, w której musiała odgrywać rolę żony Cuttera i razem z nim spotkać się z bandą rosyjskich gangsterów w zastawionym pluszowymi meblami apartamencie hotelu w Coconut

Grove. Świetnie się wtedy spisała, gdy siedząc na kanapie w obcisłym skąpym kostiumie, tylko uśmiechała się przymilnie, gdy w zamyśleniu przesuwał dłońią po jej odsłoniętym udzie.

Nie było jednak prawdą że ją „obłapywał” podczas przyjęcia, w każdym razie niczego takiego sobie nie przypominał. Może faktycznie raz czy drugi położył rękę na jej nagim ramieniu, pomógł jej narzucić żakiet, gdy zrobiło się chłodno, czy też cmoknął w policzek przy pożegnaniu.

- Tak samo traktowałbym własną córkę, Eleanor, gdybyśmy ją mieli - odpowiedział żonie, kiedy po przyjęciu naskoczyła na niego z pretensjami, że wzrokiem nieco mętym od zbyt wielu kieliszków mrożonego miętowego daiquiri.

- Przyznaj się, Aldus, że ją posuwasz, ty sukinsynu!

- Dajże spokój, Eleanor! Zachowuj się stosownie do swojego wieku, jeśli łaska.

Przecież trudno to nazwać „taktownym” czy jakimkolwiek innym „potwierdzeniem zaangażowania w związek”.

Po wyjściu spod pryszniczka szybko wyciera się do sucha, rozprawdza na twarzy nieco kremu, żeby uwolnić się od szczypania świeżo ogolonej skóry, wyjmując z szafy czystą koszulę i zapinając ją, ponownie staje przed lustrem i czyta dalej.

Jak powiedziała, w celu ułatwienia sobie „posuwania tej suki” (to oczywiście słowa Eleanor, a nie moje) wciągnął ją do tajnej operacji swojego wydziału, w której przydzielił jej rolę swojej żony, żebyście mogli zamieszkać razem w jednym pokoju hotelowym.

No pewnie, myśli Cutter, zwłaszcza w pokoju pełnym ukrytych kamer i mikrofonów, żeby połowa moich agentów, piętro niżej obserwująca przebieg spotkania, mogła sobie popatrzeć, co tam wyrabiamy.

Eleanor utrzymuje, że gdy Flint wróciła do Anglii w lipcu 1999 roku, znalazłaś sobie „kretyńską wymówkę”, by wyjechać służbowo do Londynu, i w czasie tej podróży spędziliście razem cztery noce w Paryżu, gdzie zatrzymaliście się w hotelu Westminster. Najwyraźniej Eleanor zdobyła jakiś dowód waszego pobytu w tym hotelu, gdyż przyznała, że choć wynajęłaś dwa pokoje jednoosobowe, jest przeświadczona, iż przez cały czas „przekradałaś się od drzwi do drzwi”. Jej zdaniem wynajęcie dwóch oddzielnych pokoi to tylko „żałosna próba zapewnienia sobie alibi”.

Bardzo ładne określenie, Eleanor, uznaje w duchu Cutter, wspominając, że jedyne, co było żalosne w trakcie tego wyjazdu do Paryża, to widok inspektora Gilles'a Bourdonneca, któremu podczas jednej ze wspólnych operacji obie nogi pocięły liczne odłamki szkła roztrzaskanego wybuchem ukrytej bomby. To Flint nalegała na tę podróż, niemalże siłą

zaciągnęła go na lotnisko, gdyż tak bardzo chciała, żeby zobaczył na własne oczy, co ich działalność zrobiła Gilles'owi.

- Bardzo nam pomagał, panie Cutter, o wiele więcej, niż było potrzeba, więcej, niż moglibyśmy po nim oczekiwać, i omal nie przyplacił tego życiem. Jesteśmy jego dozgonnymi dłużnikami, panie Cutter.

Tylko jak mielibyśmy go spłacić? - zastanawiał się, z trudem pokonując za Grace 137 stopni krętych schodów prowadzących do skromnego mieszkanca państwa Bourdonnec na ostatnim piętrze kamienicy przy rue Tiquetonne 38, oraz później, gdy już poznał poruszającego się w wózku inwalidzkim chorobliwie szczupłego Francuza o zmierzwionych włosach i chłopięcej twarzy. Gilles uparł się wtedy, że musi stanąć na własnych nogach, by przywitać się z tak ważnym gościem, a gdy kulejąc i krzywiąc się z bólu, zawrócił w stronę kanapy, w oczach trzymającej go pod rękę Flint pojawiły się łzy.

Ku jej rozczarowaniu, inspektor nie zamierzał grać roli ofiary. Najpierw zaproponował im coś do picia, później wstał po raz drugi, żeby odebrać telefon, podnosił się też, witając kolejno każde z trojga dzieci wracających ze szkoły, i sprawiał wrażenie, jakby z minuty na minutę przybywało mu sił. Kiedy wróciła do domu jego żoną Dominique, ruszył do kuchni, by przygotować jej kolację. I za każdym razem, gdy Flint podrywała się ochoczo, aby mu pomóc, rzucał zdawkowo: „Siedź, siedź”.

- Traktujesz mnie jak inwalidę - powiedział z udawaną urazą w głosie, gdy uparła się, że nakryje do stołu i przyniesie z kuchni gotowy posiłek.

- Wcale nie jest ze mną tak źle - oznajmił, gdy zasiedli do kolacji.

Był na pełnopłatnej bezterminowej rencie. Orzekł stanowczo, że jego stan systematycznie się poprawia, a przełożeni z komendy obiecali, że gdy wystarczająco odzyska siły, by wrócić do pracy, znajdą mu jakieś zajęcie przy biurku, stosowne do jego stopnia.

- Jak ty będziesz jeździł na komendę, Gilles? - zaprotestowała Flint. - Jak będziesz schodził sam po schodach?

Inspektor przyznał, że schody rzeczywiście stanowią jeszcze spory problem, ale wspólnie z Dominique szukają innego mieszkania, bliżej komendy i najlepiej na parterze. Powiedział to takim tonem, jakby w centrum Paryża oferowano mnóstwo lokali do wyboru. Wolał nie mówić też gościom, że to mieszkancko odziedziczył po rodzicach, tu się urodził i tu spędził całe życie.

- Równy facet - podsumował Cutter, kiedy późnym wieczorem wrócili do hotelu Westminster. Flint zbyła tę uwagę milczeniem.

Pod pewnym względem masz rację, Eleanor, myśli teraz. Grace rzeczywiście przekradła się korytarzem o trzeciej w nocy i załomotała do mojego pokoju, jakby się paliło. Spędziliśmy resztę nocy razem, ale nigdy byś nie zgadła na czym. Na kłótni.

- Aldus, już wiem - oznajmiła, z roziskrzonym wzrokiem wpadając jak bomba do pokoju.

- Co wiesz?

- Co możemy zrobić dla Gilles'a. Co musimy zrobić!

- A mianowicie?

Uśmiechnęła się od ucha do ucha jak Kot z Cheshire i oznajmiła podniosłym tonem, jakby znalazła cudowny sposób na zaprowadzenie pokoju na świecie:

- Kupimy mu windę.

- Co?

- Windę. Możemy pokryć koszty jej zainstalowania w budynku. Powinna być na tyle duża, żeby zmieścił się wózek inwalidzki i zostało jeszcze trochę miejsca. Rozumiesz?

- Czyś ty na głowę upadła? - zapytał spokojnie.

Kiedy Flint była tak podniecona, z trudem dawała sobie cokolwiek wyperswadować. Do końca pobytu we Francji musiał

razem z nią „wybadać możliwości”, jak mówiła. Okazało się, że „nie jest technicznie wykluczone” zainstalowanie windy w studni klatki schodowej kamienicy przy rue Tiquetonne 38, że pozostali mieszkańcy „niekoniecznie będą temu przeciwni”, a władze dzielnicowe „są dosyć skłonne” wydać stosowne zezwolenia. Jedynym problemem pozostało więc zdobycie 850 000 franków na to przedsięwzięcie.

- Ile to będzie w dolarach? - zapytał Cutter.

Flint szybko obliczyła i podała mu sumę: w przybliżeniu 140 000. Zmarszczył brwi, wyduł wargi, popatrzył w niebo i gwizdnął pod nosem, na co spytała cicho:

- Naprawdę trudno będzie zdobyć taką sumę, panie Cutter?

- Bardzo trudno.

Chyba sądziła, że gdzieś wśród rozlicznych skarbców władz federalnych Stanów Zjednoczonych jest ukryty budżet, z którego on bez większego trudu wydobędzie pieniądze potrzebne na uwolnienie Gilles'a Bourdonneca z jego swoistego więzienia w ramach wdzięczności za jego zasługi w walce z międzynarodową przestępczością. Ale Cutterowi nie udało się ich zdobyć. Na fundusz zakupu windy wpłynęło jedynie 50 000 dolarów z konta prywatnej fundacji, o której nigdy wcześniej nie słyszał, polecanej mu przez radcę prawnego

z Departamentu Sprawiedliwości, i to dziwnym przypadkiem dopiero wtedy, gdy ostatecznie zgodził się stanąć na czele Wydziału Ścigania Przepływów Finansowych.

Flint pojechała do Londynu, ale nie znalazła tam żadnego poparcia dla swojej idei. Wreszcie, mimo jego ostrzeżeń, z biciem serca udała się do Thames House, dowództwa Brytyjskich Tajnych Służb, aby przypomnieć wicedyrektorowi, że Gilles brał aktywny udział w jego operacji, kiedy doszło do wybuchu bomby, i że to w jego wydziale pracował zdrajca, który tę bombę podłożył, co na zawsze pozostało tajemnicą dla opinii publicznej.

- I co na to A.J.? - zaciekawił się Cutter, świetnie znający wicedyrektora pionu operacyjnego, Devereaux, kiedy zadzwoniła do niego do domu z wiadomościami.

- Odczytywał mi jeszcze paragrafy ustawy o tajemnicy państwowej, gdy wychodziłam z jego gabinetu. Ale dziś rano dostałam pocztą czek bankierski na siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów z firmy Inter-Global Marketing Partnership, o której nigdy nie słyszałam. Prawdę mówiąc, sama się trochę przestraszyłam, że dał się tak łatwo zaszantażować. Zmierzam do tego, Aldus, że... - Zawiesiła na krótko głos, po czym dodała z wahaniem: - Chyba powinieneś mnie stąd jak najszybciej wyciągnąć.

- Domyślałem się tego - odparł.

Takim to sposobem Grace Flint objęła stanowisko Zastępcy Kierownika Sekcji Operacyjnej w jego wydziale. A wzięwszy pod uwagę jego nieskrywany podziw dla jej umiejętności pracy w terenie oraz ciągłej gotowości uczestniczenia w tajnych operacjach, stała się niemalże jego oczkiem w głowie.

Tylko pani Cutter widziała łączącą ich zależność w zupełnie innym świetle.

Jeśli wierzyć jej słowom, Eleanor liczyła na to, że po powrocie z Paryża wyzwolisz się od „szczeniackiego zauroczenia” Flint, gdyż objęcie posady w wydziale i przeprowadzka do Nowego Jorku stwarzały nadzieję na „nowy start życiowy”. Powiedziała, że włożyła „serce i duszę” w urządzenie i umeblowanie nowego mieszkania, wierząc w to, że zamieszkacie w nim razem. Więc wyobraź sobie, Aldusie, jaki „horror” przeżyła, gdy się dowiedziała (najwyraźniej nie od ciebie, jak sądzę), że uczyniłeś z „tej szmaty” swojego zastępcę i ściągnąłeś ją do Nowego Jorku, żeby móc kontynuować wasz „romans”.

Zaprotestowałem, ma się rozumieć, tłumacząc, że jestem absolutnie pewien, iż nigdy byś czegoś takiego nie zrobił. I podkreśliłem z naciskiem, że nawet jeśli jej zarzuty są prawdziwe, nie mogą w żaden sposób wpłynąć na warunki polubownej umowy rozwodowej.

Muszę cię jednak przestrzec, Aldusie, że Eleanor wcale nie pragnie korzystniejszych warunków ugody. Powiedziała otwarcie, że zależy jej tylko na „rewanżu”.

Po przejściu do sypialni Cutter kładzie list Trenta na bielizniarce, wyjmując z szafy granatowy wełniany garnitur, kasztanowy krawat z wytłoczonymi emblematami jego wydziału oraz miękkie skórzane pantofle z salonu Brunona Magliego, będące jak na ironię prezentem od Flint, który dostał z okazji uroczystego rozruchu windy Gilles'a. Ubierając się przed lustrem, wspomina tamten wspólny dzień, a zwłaszcza promienny uśmiech Grace, kiedy razem z Dominique i trójką dzieci Bourdonneca czekali w holu na parterze, aż inspektor zjedzie windą. Nigdy nie zapomni też jego ogłuszającego, triumfalnego okrzyku: „Wolność! Niech żyje wolność!”.

Na uroczysty obiad zaprosił wszystkich do restauracji Joe Aliena, gdzie przez cały wieczór mniejszymi i większymi grupkami zaglądali chyba wszyscy paryscy gliniarze, żeby toastem uczcić radość Gilles'a. Tam też Flint powiedziała mu po raz pierwszy o istnieniu Bena Gatesa, z którym była związana już od pół roku i wydawała się zadurzona w nim po uszy.

- Proszę! Jak ci się udało tak długo trzymać to w tajemnicy? - odparł wtedy Cutter, gotów otwarcie przyznać, że poczuł drobne ukłucie w sercu, może nie tyle zazdrości, ile rozczarowania. - Chcesz za niego wyjść?

- To niewykluczone - powiedziała skromnie. - Liczę się z taką ewentualnością, choć jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

Gotów na przyjęcie gości, Cutter wraca do salonu, żeby przeczytać ostatnie akapity listu.

Tym, co nastawiło ją przeciwko tobie, jak powiedziała, „przepełniło czarę goryczy”, było odkrycie, że wasz „romans” przetrwał nawet ślub Flint w ubiegłym roku. Eleanor jest przekonana, że nawet ten ślub był tylko „dla picu”, stał się „przykrywką” mającą ukryć fakt, że tej „fałszywej suce zależy jedynie na posuwaniu Aldusa”. Powiedziała, że ma „niezbite dowody”, iż Flint regularnie odwiedza twoje mieszkanie „o dowolnych porach dnia i nocy”, i że zamierza przedstawić te dowody twoim przełożonym.

Twoje życie osobiste, Aldusie, to wyłącznie twoja sprawa (i jeśli zajdzie taka konieczność, jestem gotów na tej podstawie bronić cię zaciekle). Niemniej, czuję się w obowiązku przypomnieć ci, że większość pracodawców, w tym także twój, źle patrzy na bliższe związki z podwładnymi, głównie z powodu groźby oskarżenia o molestowanie seksualne w miejscu pracy, gdyby taki związek miał się rozpaść.

Jeżeli faktycznie łączy cię romans z Flint, radziłbym ci jak najszybciej go zakończyć albo przynajmniej zachować większą dyskrecję. Domyślam się bowiem, że owe „dowody częstych wizyt Flint w twoim mieszkaniu”, o których mówiła Eleanor, pochodzą od portiera.

Dzwoni telefon. Portier, odznaczający się tak samo silnym irlandzkim akcentem, jak w chwili przybycia do Nowego Jorku przed trzydziestu laty, zapowiada:

- Mówi Pat. Przyszli pańscy goście, panie Cutter.
- Wpuść ich, proszę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

To okres łatania dziur w płotach i choć Cutter słynie z porywczosci, zazwyczaj bez trudu dogaduje się z kolegami. Kiedy doktor Otto Schnell, naczelny dyrektor Bundesnachrichtendienst (niemieckiej służby wywiadowczej, dla wygody powszechnie określanej skrótem BND), drobny i krępy, ostrożnie siada na samym skraju kanapy niczym wystraszony ptak, gospodarz z sympatycznym uśmiechem mówi:

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, iż spotykamy się tutaj, zamiast w moim biurze?

- Wręcz przeciwnie - odpowiada Schnell po angielsku, bez śladu obcego akcentu. - Jestem tu z prywatną wizytą i bardzo mi odpowiada pańska dyskrecja, panie Cutter.

- Dziękuję. Proponuję też, byśmy mówili sobie po imieniu. Jestem Aldus.

Niemiec przyjmuje to jedynie delikatnym, dwornym ukłonem.

- Na pewno Feliks już ci to mówił - ciągnie Cutter, zerkając w stronę fotela, w którym Feliks Hartmann przyjął niemal pozycję półleżącą - ale chciałbym postawić sprawę jasno, że to ja podjąłem decyzję wyłączenia BND z operacji „Zielone Świątki”, a nie on, zatem tylko mnie należy winić za ten błąd, bo w świetle tego, co się stało, była to ewidentnie błędna decyzja.

- Najwyraźniej nie do końca rozumiesz Feliksa, że się tak wyrażę - odpowiada Schnell, jakby Hartmanna przy tym nie było. - Otóż nasz młody przyjaciel zalicza się do tych Niemców, którzy uważają branie na siebie odpowiedzialności za patriotyczny obowiązek. Pozostaw mu więc ten przywilej.

- Tak czy inaczej, proszę przyjąć moje przeprosiny, doktorze Schnell.

- Tak czy inaczej, panie Cutter, bo przecież nie mogę mówić Aldusie, skoro sam nie chcesz się zwracać do mnie po imieniu, przyjmuję przeprosiny. Nie mogę tylko zaręczyć, czy wszyscy w Pullach będą tak samo pobłażliwi.

- W Pullach panuje przekonanie - odzywa się Hartmann, nawiązując do kwatery głównej BND - że stopień naszej współpracy albo raczej brak pełnej współpracy nie jest *korrekt*. Dokładnie tak się wyraził nasz prezydent, i to nie raz. - Nerwowo przeciąga palcami

po blond włosach, zdecydowanie za długich jak na byłego oficera armii. - Rzekłbym, że nawet wiele razy.

- Widocznie jest na nas wściekły.

- Sam nie nazwałbym tego inaczej - przyznaje Schnell.

- Do jakiego stopnia jest wściekły, Otto? Czy mimo wszystko zgodzi się nam pomóc w sprawie Grobera?

Niemiec pochyła się i podnosi aktówkę stojącą między jego nogami.

- Chyba nie sądzisz, Aldusie, że leciałem taki kawał drogi, żeby marnować czas, zarówno mój, jak i twój. - Kładzie aktówkę na kolanach, otwiera ją i wyjmuje trzy skoroszyty w odmiennych kolorach. - Oto akta Grobera. - Podaje Cutterowi zielono-czerwoną teczkę, po czym otwiera szarą i mówi dalej: - Na początek, jeśli pozwolisz, zrobię krótki wykład z historii. Ile ci wiadomo o generale Erichu Mielke oraz *Staatssicherheit*, nazywanej krótko Stasi?

- Prawdę mówiąc, niewiele.

Przenieśli się do restauracji przy Trzeciej Alei, gdzie Cutter zarezerwował małą prywatną salkę. Jego zdaniem, podawano tu najlepsze żeberka, jakie można dostać poza granicami Teksasu, ponadto miał nadzieję, że biesiadny nastrój zrelaksuje Niemców. Ale tak się nie stało. Zwłaszcza Schnell wydaje się spięty, od chwili wejścia do sali odpowiada monosylabami, zerkając podejrzliwie na wyłożone boazerią ściany. Łatwo się domyślić przyczyny.

- Podejrzewasz, Otto, że jest tu podsłuch? Sądzisz, że próbuję cię spalić?

Schnell nie odpowiada.

- W porządku. Masz pełne prawo być podejrzliwy, pałac żąda zrywania paneli ze ścian, odkręcania nóg w stole i krzesłach, zrywania klepki z podłogi, zdzierania ubrań ze mnie oraz z Feliksa i Bóg jeden wie, czego jeszcze. Żadnym sposobem ci nie udowodnię, że nie ma tu mikrofonów ani nadajników. Zrobmy więc tak. Zdradzę ci pewną tajemnicę, która... zatkaj uszy, Feliksie... powinna cię przekonać, że prędzej bym skonał, niż pozwolił się nagrać. Zgoda?

Schnell nadal milczy, ale w jego oczach pojawiają się błyski zainteresowania.

- Dowiedziałem się dziś po południu, że moja żona podejrzewa mnie o romans z moim zastępcą, agentką Grace Flint. Na tej podstawie zamierza mi wytoczyć sprawę przed sądem federalnym, której nie wygra, bo jej oskarżenia są bezpodstawne. Ale mówiąc szczerze, między nami... - Cutter spogląda z uśmiechem na Hartmanna - skoro ten temat już wypłynął i

musiałem się nad nim zastanowić, zrozumiałem, skąd się wzięły podejrzenia żony. Otóż zdradzę ci w najgłębszym zaufaniu, Otto, że podświadomie chciałem mieć romans z Flint i gdybym tylko odebrał z jej strony najdrobniejszy wyraz zachęty, niech mi Bóg wybaczy, pognalbym za nią w samych skarpetkach, ale w takim wypadku musiałbym ją dla własnego dobra natychmiast wylać ze służby. Gdyby to, co ci przed chwilą powiedziałem, zostało utrwalone na taśmie, wystarczyłoby, abym pierwszy wyleciał z roboty, i to szybciej, niż ci się wydaje. Nie pomogłyby żadne wyjaśnienia. Rozumiesz? - Uśmiecha się jeszcze szerzej. - Jeśli teraz podejrzewasz, że nagranie zostało na chwilę zatrzymane i nikt na bieżąco nie śledzi naszej rozmowy albo kazałem włączyć zapis, kiedy ty zaczniesz mówić, możemy zrobić jeszcze coś innego. - Wyjmuje z kieszeni długopis i sięga po papierową serwetkę. - Podpiszę ci oświadczenie, że zamierzam z hukiem wylać Grace Flint ze służby, a Feliks potwierdzi to jako świadek. W porządku? Będziesz miał podstawę, żeby mnie spalić, gdybym ja próbował spalić ciebie. Chyba nie wątpisz, że za podejrzenie o romans z podwładną natychmiast wyląduję na bruku. Schnell ze zniecierpliwieniem macha ręką.

- Czy możemy wreszcie zamówić coś do jedzenia? - pyta.

Czekając na powrót kelnerki przy kieliszku wyśmienitego bordo, Schnell podejmuje przerwana opowieść o ostatnich dniach niesławnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego nie mniej niesławnej Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

- Zapanował chaos, Aldusie. Teoretycznie Stasi została wykastrowana. Generała Mielke zmuszono do rezygnacji z funkcji ministra i odejścia razem z całym Politbiurem, a jego monstrualna machina pod rządami nowego reżimu stała się zwykłym urzędem. Z wcześniejszej potęgi pozostał tylko żalostny cień. Ale to wszystko było tylko złudzeniem, chytrą sztuczką. Komuniści chcieli zyskać na czasie. Wcale nie po to, żeby się przegrupować, bo na to było już o wiele za późno, ale żeby zniszczyć dowody swoich osiągnięć. Pamiętaj, co było głównym celem Stasi według Mielkego: „Wiedzieć wszystko”, to znaczy wszystko rejestrować i zapisywać. Mówię o aktach, Aldusie. O dokumentach! Nigdy byś nie uwierzył, ile Stasi ich zgromadziła! Przeniosłem się na wschód w grudniu osiemdziesiątego dziewiątego roku, jakiś miesiąc po upadku muru berlińskiego. W BND wiedzieliśmy z przechwyconych komunikatów, że w końcu listopada reżim rozesłał do wszystkich dwustu trzydziestu czterech okręgowych i powiatowych biur Stasi rozkaz natychmiastowego zniszczenia akt. Wyobraź to sobie, Aldusie. Prawie przez czterdzieści lat dążyli do tego, żeby „wiedzieć wszystko”, wszystko zapisywać. Jakie ognisko można było rozpalić z tych papierów! Oczywiście w miarę możliwości staraliśmy się temu zapobiec.

- Jak? - pyta Cutter.

- Przez dodawanie ludzi odwagi, szerzenie słów zachęty. - Schnell wzrusza wąskimi ramionami. - To nie było takie trudne. Mieliśmy do czynienia z siedemnastoma milionami ludzi, którzy przez całe życie albo przynajmniej przez większą jego część wierzyli, że ich kraj jest niepokonany, może nawet wszechpotężny, a tymczasem nagle cały aparat władzy znalazł się w rozsypce. Rzecz jasna, wciąż był niebezpieczny, jak ranione zwierzę, ale szybko słabł i tracił kompetencje, wystarczyło więc... - zawieszając na chwilę głos - wystarczyło trochę perswazji. Biorąc pod uwagę sytuację, mieliśmy logiczny argument nie do zbiccia: skoro Niemiecka Republika Demokratyczna jest państwem ludowym, to przecież akta należą do ludu, bo i do kogo innego, zatem Stasi nie ma prawa ich niszczyć. Niezależnie od naszej zachęty, komitety obywatelskie zaczęły wychodzić z podziemia, rosnąć w siłę i dopominać się o prawa ludu. Gdzieś dochodziło do konfrontacji, niektórzy byli nieugięci, przez pewien czas rosło napięcie. Aż tu nagle w połowie grudnia około pięćdziesięciu tysięcy agentów Stasi niemalże zapadło się pod ziemię, jakby nigdy nie istnieli. - Najwyraźniej wspomnienia z tamtego okresu wywołują tajemniczy uśmiech na jego ustach. - Tylko w Berlinie Wschodnim było inaczej.

- W naczelnym dowództwie Stasi sytuacja była całkiem odmienna - wtrąca Hartmann. - To istna forteca zaprojektowana przez paranoika. Za czasów Mielkego była całkowicie hermetyczna, odporna na wszelkie typy penetracji, czy to ludzkiej, czy elektronicznej. Wiele razy próbowaliśmy do niej przeniknąć. Ale nawet po odejściu generała i rozpadzie wszystkich instytucji Berlina Wschodniego w centrali przetrwał jego porządek.

- Przy Normannenstrasse pod numerem dwudziestym drugim mieściło się serce imperium Mielkego, i to jakiego imperium, Aldusie! - podejmuje natychmiast Schnell. - Sam ten adres był swoistym talizmanem, brzmiał jak zaklęcie, bo mury otaczające kwaterę główną Stasi obejmowały aż sześć kwartałów, a i tak nie mogli się za nimi pomieścić wszyscy ludzie generała. W samym Berlinie pracowało ich trzydzieści tysięcy, w ścisłej hierarchii wojskowej aż po sekretarki, sprzątaczkę, dozorców, nawet kucharzy. Liczba ta w ogóle nie uwzględnia *Mitarbeiterów*, czyli „współpracowników” Stasi, będących oczami i uszami Mielkego. Generał miał swoich szpiegów absolutnie wszędzie, w każdej elektrowni na terenie całego kraju, w każdej fabryce, urzędzie, banku, na poczcie, komisariacie policji i w więzieniu, na każdym uniwersytecie, w szkole, bibliotece, szpitalu czy kościele, w każdym porcie, na przejściu granicznym i lotnisku, stacji metra i dworcu kolejowym, na stacji benzynowej i w każdym koszarach. - Schnell wolno kręci głową, chcąc zaakcentować swoją fascynację skalą tego zjawiska. - W sumie sto osiemdziesiąt tysięcy szpiegów, Aldus!

- Przynajmniej o tyłu wiedzieliśmy - dodaje pospiesznie Hartmann - nie mówiąc już o zwykłych informatorach, ludziach, którzy szpiegowali swoich sąsiadów, przyjaciół, a nawet współmałżonków.

- Nawet własne dzieci - uzupełnia szeptem Schnell, jakby ta wiadomość była zbyt przerażająca, by wypowiedzieć ją na głos. - I własnych rodziców. - Bierze głębszy oddech i ciągnie po chwili: - Oczywiście Mielke był szalonym megalomanem, ale mamy też wiarygodne dowody, że cierpiał na obsesję nerwicową, tak samo jak Dzierżyński, założyciel wszechrosyjskiego Czeka. Na pewno pamiętasz, Aldusie, „Żelaznego Feliksa”, twórcę bolszewickiego „Czerwonego Terroru”?

Cutter przytakuje ruchem głowy.

- Otóż prywatna kwatera Mielkego przy Normannenstrasse pełna była pamiątek po towarzyszu Dzierżyńskim, jego popiersi, proporczyków, zdjęć i oprawionych cytatów z publikowanych tekstów. Każdy pokój przypominał świątynię ku czci Dzierżyńskiego, gdyż generał szczerze wierzył w słuszność doktryny o absolutnej kontroli poprzez terror. To fakt, że Stasi nie odważyła się wymordować dwustu tysięcy ludzi, jak zrobiła to Czeka, niemniej Mielke pracował przez trzydzieści dwa lata, i to bez wytchnienia, dzień i noc, podobnie jak Dzierżyński, nad stworzeniem wokół Normannenstrasse aury ośrodka władzy absolutnej i bezlitosnej, która przetrwała nawet jego odejście. W każdym razie to najlepsze wytłumaczenie, jakiego możemy ci udzielić.

Cutter zerka w osłupieniu na Hartmanna i pyta:

- To ma być jedyny powód, dla którego naczelne dowództwo Stasi przetrwało bezpiecznie aż do nocy piętnastego stycznia?

- Dokładnie dziewięć tygodni i cztery dni od runięcia muru berlińskiego. Nie sądzisz, że to niesamowite, Aldusie? - Błyski w żywych niebieskich oczach Schnella wydają się odzwierciedlać jego podziw. - Było już po wszystkim, komuniści upadli, policja i straż graniczna nosiła kwiaty w lufach karabinów, ale przy Normannenstrasse, w Ministerstwie Strachu, trwała zwykła praca. No, może nie całkiem zwykła, bo Stasi zajmowała się teraz przepisywaniem historii.

- Niszczaniem dokumentów?

- Nie tylko niszczeniem, ale także uzupełnianiem. Zmianami i poprawkami. - Schnell niczym pianista przebiera palcami po szarej okładce leżących przed nim akt. - Albo tworzeniem od nowa.

- Karl Martin Grober, urodzony w Lipsku dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku - zaczyna Schnell, ledwie zerknąwszy do akt w zielonej teczce, ale podnosi głowę i pyta: - Byłeś w Lipsku, Aldusie?

Cutter przecząco kręci głową.

- Na swój sposób to smutne miasto. Za rządów komunistów okoliczne kopalnie węgla brunatnego tak zanieczyściły powietrze, że kwaśne deszcze niemal doszczętnie zniszczyły całe kwartały. Tlenki siarki wżerają się w kamienie i zaprawę, aż budynki... Partyjni dygnitarze określali je eufemistycznie *ausgewohnt*, to znaczy „wymieszkanę”. Wiele z nich stoi do dzisiaj jak zapomniane przez wszystkich nagrobki, pozabijane deskami, czekające na wyburzenie, jeśli tylko znajdzie się ktoś gotów pokryć gigantyczne koszty. W pewnym sensie te *ausgewohnt* stały się katalizatorem rewolucji. W osiemdziesiątym dziewiątym roku ruina miasta była aż nadto oczywista i mieszkańcy, głównie studenci i księża, zaczęli protestować. W poniedziałkowe popołudnia urządzali marsze z trumną na ramionach, symbolizującą śmierć Lipska. Początkowo było ich kilkuset, potem kilka tysięcy, kilkadziesiąt tysięcy, wreszcie... Kto to wie, Aldusie? Protestowała masa ludzi.

Schnell uśmiecha się szeroko, a Cutter nie może powstrzymać chichotu.

- Domyślam się, że i w tym wypadku za waszą delikatną namową, jak sam powiedziałeś, Otto, przy odrobinie zachęty.

- Nie, skądże - odpowiada Schnell. - Możesz mi wierzyć, że ani trochę nie ingerowaliśmy w Lipsku. Wiesz, co ci ludzie robili? Maszerowali pod biura Stasi. Stawali na stopniach przed gmachem, na wprost obiektywów kamer systemu bezpieczeństwa, rozwijali transparenty i zaczęli skandować hasła. Wyobrażasz to sobie, Aldusie? Młodzież i księża prowokowali Stasi, żeby wykorzystwała swoją niezmierzoną władzę, co według Mielkego nie powinno się nigdy wydarzyć. Przenigdy! Nie mieliśmy tam nic do roboty, mogliśmy się jedynie przyglądać z podziwem.

Hartmann chrząka znacząco i Schnell szybko znów zagląda do akt.

- Ojciec Grobera, Wilhelm, był wykładowcą ekonomii na Uniwersytecie Karola Marksa. Matką Eva, położną w miejskiej klinice ginekologicznej. Według standardów NRD-owskich byli stosunkowo nieźle sytuowani. Mieszkali przy Karl-Heine-Strasse w jednorodzińnym domku z ogródkiem, co zdecydowanie wykraczało poza normę. Do dziś takie domki są w Lipsku rzadkością. Nielicznym uprzywilejowanym partia przydzielała... - urywa na chwilę, szukając właściwego słowa - ...*schrebergarten*, czyli działki, ogródki warzywne. Ale młody Karl Martin mógł się bawić we własnym prawdziwym ogrodzie, a po czterech latach miał się także z kim bawić, gdyż urodziła się jego siostra. Nazwali ją Ilse. To

piękne imię, nie sądzisz, Aldusie? Zresztą była śliczną dziewczynką, a Karl, jak wynika z dokumentów, bardzo się o nią troszczył. - Schnell zdejmuję okulary i uśmiecha się przepraszająco. - Chyba cię zanudzam, prawda? Musisz znać już na pamięć życiorys Grobera.

- Czyżby? - pyta zdziwiony Cutter.

- Bądźmy ze sobą szczerzy. Świetnie wiadomo, że wiele co bardziej interesujących akt Stasi dotarło do Moskwy i tam zostało sprzedanych współpracownikom CIA. Był to jeden z pierwszych pozytywnych przejawów kapitalizmu po zakończeniu zimnej wojny. - Znowu stuka palcem w leżącą przed nim teczkę. - Te akta również zostały wykupione przez CIA, zakładam więc...

- Chyba powinieneś coś zrozumieć, Otto - przerywa mu Cutter. - Rzadko łączą nas z agencją wspólne cele, a jeśli już, to prędzej na gruncie rywalizacji. Langley niechętnie dzieli się z kimkolwiek swoimi wiadomościami. Nawet gdybym coś od nich dostał, pewnie i tak bym nie uwierzył w ani jedno słowo. Większość informacji na temat Grobera, jakimi dysponujemy, pochodzi od Brytyjczyków...

- Naprawdę? A konkretnie skąd, jeśli wolno zapytać?

- Konkretnie z Krajowego Biura Wywiadowczego Spraw Kryminalnych, które prowadzi teraz były szef Flint.

- A oni skąd zdobyli te informacje, Aldusie? Czyżby od Brytyjskich Tajnych Służb Wywiadowczych, nazywanych kiedyś MI6? Nadal używa się tego skrótu?

- Owszem. Wydaje mi się, że już wiem, do czego zmierzasz.

W spojrzeniu Schnella pojawiają się błyski rozbawienia.

- Naprawdę? W takim razie zróbmy zawody. Ty mi powiesz, co ci wiadomo o młodości Karla Martina Grobera a ja potwierdzę, czy te informacje pochodzą z naszych akt. Później zaś Feliks wyjaśni, czy to samo jest w tej tezcze. - Niemiec szybko podnosi ze stołu czerwony skoroszyt i kładzie go przed Hartmannem. - Zawarte tu informacje nie były wystawione na sprzedaż w Moskwie. Zatem łatwo będziemy mogli oddzielić prawdę od fałszu.

Cutter otwiera już usta, żeby zapytać wprost, skąd pochodzą akta w jego tezcze, gdy Schnell dodaje błagalnym tonem:

- Zrób to dla mnie, Aldusie. Proszę.

Z ociąganiem kiwa głową. Akta Grobera, które Flint przywiozła z Londynu, to w zasadzie tylko obszerne podsumowanie. Przystępując do zawodów zaproponowanych przez Schnella, zaczyna cytować z pamięci najważniejsze fakty.

- Z tego, co nam wiadomo, jego dzieciństwo nie wyróżniało się niczym szczególnym. Trzymał się z dala od kłopotów i uzyskiwał bardzo dobre oceny w szkole, był oceniany jako dość błyskotliwy. Dopiero gdy ukończył osiemnaście lat i miał rozpocząć służbę wojskową, fortuna się odwróciła. Ilse, która miała wtedy trzynaście albo czternaście lat, poważnie się rozchorowała. Jeśli dobrze pamiętam, wykryto u niej pewien rodzaj białaczki, na którą szczególnie podatne są dzieci. W każdym razie zaistniała konieczność dokonania przeszczepu szpiku kostnego i na podstawie badań uznano, że Karl będzie najlepszym dawcą. W czasie operacji coś jednak poszło źle, gdyż i on się poważnie rozchorował. A jeszcze na dodatek ich rodzice zginęli wtedy w wypadku samochodowym.

- Dwudziestego siódmego lipca sześćdziesiątego dziewiątego roku, w niedzielę, jak mi się zdaje - wtrąca Schnell. - Do tej pory twoje informacje z grubsza pokrywały się z naszymi. Czy wiesz jednak, gdzie dokładnie zginęli rodzice Grobera?

- Nie.

- Otóż to. W oficjalnych aktach także nie ma szczegółów tej sprawy. Feliksie, czy mógłbyś nas oświecić?

- Stało się to półtora kilometra na północ od miasteczka Vacha - odpowiada Hartmann, nawet nie zaglądając do teczeki.

- To znaczy? Czym wyróżniało się to miejsce?

- Tuż przed granicą Niemiec Zachodnich, czyli Republiki Federalnej. Około dwustu kilometrów na południowy zachód od Lipska.

- Dość daleko od domu, prawda, Feliksie? Czy wiadomo ci też, dokąd jechali państwo Grober tego późnego niedzielnego wieczoru, kiedy doszło do nieszczęśliwego wypadku?

- Skręcili w leśną drogę prowadzącą do granicy. Poza tym to nie był żaden wypadek.

- Ach, tak - mówi Schnell, jakby dopiero teraz się o tym dowiedział.

- Zostali zabici przez straż graniczną - wyjaśnia Hartmann takim tonem, jakby recytował wykute na pamięć dialogi ze scenariusza.

Doktor Schnell bierze łyk wina, żeby zwilżyć usta.

- Zdaniem Groberów kuracja Ilse nie przynosiła efektów, dlatego chcieli wywieźć ją na Zachód. Kilka miesięcy wcześniej może dostaliby zezwolenie, mimo zimnej wojny podróże zagraniczne nie były całkiem wykluczone. Ale w roku sześćdziesiątym ósmym partia postanowiła dokręcić śrubę. - Zacisnął pięść i lekko stuknął nią w stół. - Sekretarz generalny, Ulbricht... Pamiętasz, Aldusie, ten bolszewicki pomiot?... Otóż Ulbricht był zwolennikiem stalinowskich metod zwalczania każdego oporu: zdusić, skruszyć i wykorzystać. Kiedy więc Groberowie z piękną Ilse zakrytą kocem na tylnym siedzeniu auta wyruszyli na

zachód z zamiarem przekroczenia granicy w dowolny możliwy sposób, w zasadzie dopuścili się zdrady stanu. W tamtym okresie wystarczyła drobna nieścisłość w planie ucieczki albo zwyczajny brak szczęścia i człowiek napotykający patrol graniczny musiał się liczyć z tym, że zginie na miejscu. - Schnell wyciąga nad stołem dłoń ułożoną na kształt pistoletu i dwukrotnie strzela językiem, naśladując odgłosy wystrzałów, po czym zwraca się do Hartmanna: - Tak więc Groberowie nie mieli szczęścia. Zgadza się, Feliksie?

- Nie. Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Straż graniczna była uprzedzona, że zechcą przekraść się na Zachód.

- Ponieważ, mój przyjacielu... - Schnell kładzie dłoń na rękę Cuttera - ponieważ wcześniej zostali zadenuncjowani Stasi. Zdradzeni. - Przez chwilę spogląda mu w oczy spod przymrużonych powiek. - Przez Karła, ich własnego syna.

Pukanie do drzwi oznacza, że kelnerka przyniosła zamówione potrawy.

- Chwileczkę - woła Cutter. - A co się stało z Ilse?

- Nic jej nie groziło, gdyż straż graniczna otrzymała rozkaz, żeby nie strzelać na oślep do samochodu. Po prostu zatrzymali uciekinierów, wywlekli ich z wozu i zabili strzałami w tył głowy, Ilse wróciła do Lipska, gdzie wznowiono jej kurację, jak gdyby nic się nie stało. Jak na ironię, prawda jest taka, Aldusie, że opieka lekarska w NRD wcale nie była gorsza niż u nas. - Na wargach doktora Schnella pojawia się smutny uśmiech. - Tylko według naszej propagandy istniały ogromne różnice. W każdym razie Ilse wróciła do zdrowia.

- Proszę wejść - woła Cutter w stronę drzwi.

Na mocy niepisanej umowy w trakcie posiłku nie nawiązali ani słowem do Karla Martina Grobera, ale gdy tylko talerze zniknęły ze stołu, ustępując miejsca kawie i brandy, a Cutter i Schnell z przyjemnością zapalili hawańskie cygara, Niemiec od razu wraca w rozmowie do Lipska, a konkretnie do budynku znanego jako Runde Ecke przy Dittrichring 24, krytej czerwoną dachówką przygnębiającej cytadeli Stasi.

- To było Normannenstrasse w miniaturze, ze specjalnymi sekcjami podsłuchu rozmów telefonicznych, kontrolowania listów, nasłuchu fal radiowych, fałszowania dokumentów, konstruowania sprzętu do inwigilacji, kompletowania przebrań, prowadzenia dochodzeń i przesłuchań oraz analizowania informacji. Ale przede wszystkim do spisywania i archiwizowania akt.

- Jak się okazało, zgromadzono ich za dużo - dodaje Hartmann. - W centrali okręgowej w Lipsku pracowało na pełnych etatach dwa tysiące czterystu agentów Stasi, nie licząc dziesiątek tysięcy „współpracowników”, z których wszyscy sporządzali raporty. W

Runde Ecke nie było komputerów, każdy świstek spisywano ręcznie bądź na maszynie do pisania.

- Chyba nawet nie umiesz sobie wyobrazić, Aldusie, jak daleko sięgała ich obsesja. - Schnell wydmuchuje kłęb dymu z cygara i przygląda się, jak powoli wędruje w stronę sufitu. - Średnio każdego dnia w lipskiej centrali otwierano, czytano i kopiowano półtora tysiąca listów. Wszystkie miejskie linie telefoniczne były podłączone do centrali podsłuchowej w Runde Ecke, gdzie nagrywano do trzystu rozmów jednocześnie, a każdą „podejrzaną” wypowiedź trzeba było przepisać i dołączyć do akt. Do siedziby Stasi trafiały kopie wszystkich telegramów odbieranych i wysyłanych w Lipsku. Z każdego „podejrzanego” listu zdejmowano odciski palców, pobierano próbkę śliny i archiwizowano charakter pisma. Jeśli ktoś stawał się obiektem zainteresowania Stasi, agenci mieli obowiązek zrobić absolutnie wszystko, żeby w magazynie znalazły się próbki z naturalnym zapachem ciała, spermy włosami łonowymi.

Cutter porusza się nerwowo na krześle.

- Większość papierów produkowali „współpracownicy”, czyli zwyczajni kapusie - podejmuje Hartmann. - Każdy świstek przechodził przez ręce oficera prowadzącego. Informatorzy spotykali się z nimi w należących do Stasi kryjówkach rozrzuconych po całym Lipsku, gdzie przekazywali raporty albo zdawali relacje, które były nagrywane, a następnie spisywane. - Feliks moczy palec w kieliszku brandy, jakby to był kałamarz z atramentem, i pisze liczbę na blacie stołu.

- Łącznie w Lipsku było sześćset takich mieszkań, Aldusie - wyjaśnia Schnell. - Sześćset swoistych fabryk produkujących papiery wkładane do akt.

- A co z aktami Grobera? - pyta Cutter. - Oczywiście, mówię o tych w czerwonej teczce, gdyż zakładam, że są prawdziwe.

Schnell wzdycha ciężko, jak człowiek zawiedziony, że oto dotarł do końca ciekawej podróży.

- To odwieczny problem: Kto ma nadzorować nadzorców? Stasi nie ufała nikomu, więc było logiczne, że nie może również ufać swoim agentom. Na rozkaz Mielkego każdy oficer musiał zakładać i prowadzić akta swoich podwładnych, mając świadomość, że przełożony prowadzi jego akta. Ta zasada obowiązywała w całej hierarchii służbowej i we wszystkich biurach, okręgowych i powiatowych. Pozostawało tylko pytanie, kto ma nadzorować dowódców w poszczególnych ośrodkach. W Lipsku wybór generała padł właśnie na Grobera, czemu nie należy się dziwić. Mielke musiał być pod wrażeniem młodego rekruta, który podpisał wyrok śmierci na własnych rodziców. Tak więc Grober znalazł się w wąskim

gronie protegowanych Mielkego, co oznaczało, że generał musiał mu całkowicie ufać. Nawet po przejściu w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym do berlińskiej centrali Grober regularnie jeździł do Lipska z „misją specjalną”, w ramach której zbierał informacje o dowódcy biura okręgowego. Rzecz jasna, równocześnie dowódca biura był zobowiązany rozkazem Mielkego do uzupełniania i aktualizowania akt Grobera. W latach osiemdziesiątych tę funkcję sprawował generał-porucznik Kessel. I to... - Schnell ruchem głowy wskazał czerwony skoroszyt - ...jest oryginał zebranych przez niego akt. Jestem przekonany, że przynajmniej w dużym stopniu mówią prawdę o Karlu Martinie Groberze.

- Prawdopodobnie i one zostałyby zniszczone - mówi Hartmann. - Pod koniec listopada osiemdziesiątego dziewiątego roku w Runde Ecke zainstalowano niszczarkę do papieru wielkości sporej betoniarki i natychmiast przystąpiono do niszczenia akt. Ale już w nocy czwartego grudnia, o wiele wcześniej, niż można by się spodziewać, do budynku wtargnęli demonstranci i rozpoczęli jego okupację, by ocalić wszystko, co jeszcze zostało.

- To, co uratowali - włącza się Schnell - w mieście liczącym pięćset tysięcy mieszkańców, to zbiór ponad trzech milionów siedmiuset tysięcy fiszek indeksowych i tyle kartonowych teczek z aktami, że gdyby je ustawić ciasno jedna przy drugiej, utworzyłyby szereg o długości dziesięciu kilometrów. Ile to będzie na Manhattanie, Aldusie? Cała Wall Street aż do Upper West Side?

- Mniej więcej. Może nawet do Midtown. Wróćmy jednak do tych konkretnych akt personalnych, Otto, bo chyba coś mi umknęło - mówi Cutter, choć jego mina wyraża coś zupełnie przeciwnego. - Jeśli dobrze pamiętam, wszystkie ocalałe akta agentów Stasi trafiły pod nadzór niezależnej komisji federalnej, powołanej do ich zbadania. Nazwano ją Komisją Gaucka, zgadza się? Kierował nią jakiś pastor z Rostocku?

- Owszem.

- Więc jakim cudem dysponujecie oryginalnymi aktami Grobera?

- Mógłbym ci odpowiedzieć, że dostaliśmy je pocztą od anonimowego nadawcy.

- Rozumiem.

- Albo znaleźliśmy je na miejskim wysypisku - dodaje Hartmann. - W Lipsku wiele teczek z aktami wywieziono na śmieci.

- Jasne - mruczy Cutter.

- Grober narobił sobie licznych wrogów w Stasi - wyjaśnia lekko spiętym głosem Schnell. - Powszechnie wiadomo, że starsi rangą oficerowie centrali berlińskiej wykorzystali opóźnienie biegu wydarzeń, by spreparować własne akta i w korzystniejszym świetle przedstawić swoją karierę w Stasi. Dlatego możemy bezpiecznie zakładać, że ktoś z biura w

Lipsku, kto wiedział prawdę o Groberze, postanowił ocalić te dokumenty w niezmienionej postaci.

- Oczywiście.

- O co ci chodzi, Aldusie? Co cię martwi?

- Nie pytałem o twoje źródła, Otto. Nie chcę tylko po raz kolejny znaleźć się w ślepej uliczce, dlatego proszę, żebyś powiedział otwarcie, czy wiesz, skąd pochodzą te akta, i masz absolutną pewność, że są prawdziwe.

Schnell przez chwilę spogląda na niego z marsową miną a Hartmann spuszcza głowę i wbija wzrok w leżącą przed nim teczkę.

- Może najpierw - mówi powoli Schnell, sięgając po butelkę, żeby dolać brandy do kieliszków - powinniśmy wznieść toast za generała Kessela, dzięki któremu wasza operacja „Zielone Świątki” ma szansę zakończyć się sukcesem.

W milczeniu podnoszą kieliszki i spełniają toast. Schnell ociera dłonią usta, pochyla się niżej nad stolikiem i wyjaśnia półgłosem:

- Każdy świsstek papieru znajdujący się w tej teźce został na moje polecenie poddany drobiazgowej specjalistycznej analizie. Sprawdzono, że rodzaj papieru dokładnie odpowiada temu, który był dostępny na rynku NRD-owskim w okresie powstania notatki; że to samo dotyczy tuszu z taśmy maszynowej; jeśli notatka została sporządzona odręcznie, charakter pisma porównano ze wzorem pisma jej autora, jeśli był osiągalny; w wypadku dwóch lub więcej notatek tego samego autora przeprowadzono analizę tekstu, zarówno pod względem składni, jak i doboru słów; jeśli tylko istniała możliwość zdjęcia odcisków palców z papieru, zrobiono to i porównano z odciskami autora notatki pochodzącymi z innych źródeł. W żadnym wypadku nie stwierdzono rozbieżności. W dokumentach spisanych osobiście przez generała Kessela dokonano analizy kroju pisma, porównując je z czcionką jego służbowej maszyny do pisania z Runde Ecke. Tak, Aldusie. Zdobyliśmy tę maszynę. Dlatego, choć w naszej pracy mało jest rzeczy absolutnie pewnych, możesz mi wierzyć na słowo, że te akta są prawdziwe.

- Dziękuję - odpowiada Cutter. - I wiesz także, skąd pochodzą?

- Oczywiście. Z archiwów Komisji Gaucka. Wykradliśmy je.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Po powrocie do mieszkania Cuttera doktor Schnell, tłumacząc się zmęczeniem i podróżą zdjął marynarkę oraz buty i wyciągnął się na kanapie w saloniku. Nie chciał skorzystać z sypialni, tłumacząc, że krótki odpoczynek w zupełności mu wystarczy.

Zresztą przy swoim niewielkim wzroście mógł się wygodnie ułożyć na kanapie. Kiedy zakrył twarz chusteczką i skrzyżował ręce na piersi, przyglądający mu się gospodarz pomyślał, że budową ciała przypomina niezbyt wyrosniętego nastolatka.

- Oto wstępne, jeszcze nieformalne zgłoszenie Grobera do służby w Stasi - mówi Hartmann, podając mu foliową koszulkę z krótkim listem napisanym jeszcze niezbyt pewnym charakterem. - Miał wtedy piętnaście lat.

- Jezu! - mruczy Cutter. - Piętnaście?

- Nie było w tym nic niezwykłego. Nauczyciele w szkole średniej mieli rozkaz zachęcać „odpowiednich” uczniów do brania pod uwagę „interesującej” kariery w tajnej policji. Ci, którzy złapali się na przynętę, musieli tylko napisać tego typu list. „Szanowna pani David”, zwrócił się Grober do swojej wychowawczynie, „chciałbym służyć swojej ojczyźnie w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego”. Kiedy taki list docierał do Runde Ecke, przystępowano do sprawdzania kandydata.

- Piętnaście lat! - powtarza Cutter, jakby wciąż nie mógł w to uwierzyć.

- A to - ciągnie Hartmann, podając mu następną koszulkę - drugi, już formalny wniosek, złożony rok później. Powinien zostać podpisany przez jego rodziców, ale jak widać, ich podpisy zostały nieudolnie podrobione.

Rzeczywiście na dole zamiast podpisów znajdują się krzywo nagryzmołone nazwiska: Wilhelm Grober i Eva Grober.

- I nikt w Stasi się nie zorientował?

- Oczywiście, że się zorientowali. W konsekwencji powstało to. - Feliks wyjmuje trzecią koszulkę z fiszką biblioteczną zapisaną gęsto po obu stronach kilkoma różnymi charakterami pisma. - Zwróć uwagę, że na wniosku o przyjęcie do służby widnieje data dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Tego dnia Grober obchodził szesnaste urodziny. Porównaj teraz datę utworzenia fiszki.

Powstała dwa dni później, kiedy to zapadła decyzja o zaliczeniu przez Stasi Wilhelma i Ewy Groberów do grona osób podejrzanych.

- Objęli ich inwigilacją? Nie rozumiem - dziwi się Cutter.

- Ponieważ, mój przyjacielu - odzywa się doktor Schnell wyciągnięty na wznak na kanapie - nie myślisz w kategoriach oficera Stasi. Skoro, chcąc służyć krajowi, chłopak musiał podrobić podpisy rodziców, oznaczało to, że coś z nimi jest nie w porządku. Bo dlaczego nie mógł ich poprosić, żeby podpisali wniosek? Czemu mieliby nie akceptować jego służby w Stali? To przecież całkiem logiczne, Aldusie.

Cutter mruczy pod nosem.

- W wieku siedemnastu lat - ciągnie Hartmann - Grober uczestniczył w letnim obozie obrony cywilnej, co w NRD było obowiązkowe dla wszystkich chłopców w tym wieku, niezależnie od tego, czy chcieli wstąpić do Stasi. Ale jak można się łatwo domyślić, zwracano tam szczególną uwagę na tych, którzy złożyli wnioski zgłoszeniowe, i to... - wyjmuje z teczki następną foliową koszulkę - ...jest sumaryczna ocena jego osiągnięć sporządzona przez instruktora. Krótko mówiąc, uznano go za „obiecującego”. Ulbricht wysłał właśnie wschodnioniemieckie wojska do Czechosłowacji, żeby pomóc Sowiecom stłumić powstanie praskie, znacznie ograniczając zarazem możliwości wyjazdów na Zachód, co stało się trudnym testem lojalności nawet dla członków partii. Niemniej w prowadzonych codziennie wieczorem na obozie dyskusjach Grober dał się poznać jako nieugięty zwolennik polityki Ulbrichta, przez co zapewnił sobie jaśniejsze perspektywy przyszłej kariery w Stasi. Ponadto uzyskiwał niezłe wyniki w zajęciach sprawnościowych, będących w zasadzie elementami podstawowego szkolenia wojskowego. Jak na swój wiek był duży i silny, a instruktorzy zwracali uwagę, że podczas zajęć z walki wręcz wykorzystuje swą siłę głównie do tego, by zadać przeciwnikowi jak najwięcej bólu. Stąd też w jego opinii znalazło się stwierdzenie o „skłonności do agresji”, niebędące w najmniejszym stopniu uwagą krytyczną.

Z sypialni Cuttera dolatuje stłumiony dzwonek telefonu, po drugim sygnale włącza się automatyczna sekretarka.

- Dochodzimy wreszcie do osiemnastych urodzin Grobera - mówi dalej Hartmann - kiedy to złożył trzeci i ostatni wniosek o przyjęcie do Stasi.

- Chwileczkę - przerywa Cutter. - Przecież wcześniej Ilse zachorowała i zaszła konieczność przeszczepu szpiku kostnego, prawda? Grober był dawcą i po operacji sam się poważnie rozchorował...

Hartmann energicznie kręci głową.

- W aktach nic nie ma o tej sprawie. Przynajmniej na razie. Dopiero dwadzieścia lat później generał Kessel wyjaśni, co się naprawdę stało.

Spod chusteczki zakrywającej twarz doktora Schnella dolatuje uwaga:

- Nie drażnij się z gospodarzem, Feliksie. To nieładnie.

- No więc? - pyta stanowczo Cutter.

Hartmann sięga prawie na koniec teczki i wyjmuje zszyty maszynopis liczący około czterdziestu stron.

- Ma pan rację, panie Cutter. Pod koniec sześćdziesiątego ósmego roku u Ilse wykryto ostrą białaczkę limfocytową, wymagającą przeszczepu szpiku kostnego, i uznano jej brata za najlepszego dawcę. On zaś poważnie się rozchorował po zabiegu. - W milczeniu przebiega wzrokiem kilka akapitów tekstu, jakby usiłował sobie przypomnieć podstawowe fakty, po czym dodaje: - Prawdę powiedziawszy, w wyniku tej choroby jej brat zmarł.

W saloniku zapada pełna napięcia cisza, jakby właśnie dotarła tu wiadomość o śmierci kogoś bliskiego. Cutter nie ma odwagi jej przerwać. Siedzi bez ruchu, wpatrując się w pociągłą twarz młodego Niemca, jak gdyby utrwał w pamięci jego rysy.

- Prosiłem, żebyś się nie drażnił, Feliksie - mruczy cicho Schnell.

- Państwo Grober mieli troje dzieci - wyjaśnia w końcu Hartmann, nie zaglądając do akt. - Ich drugi syn, młodszy, Heinz Frank, urodził się szóstego maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku. Kiedy chemioterapia nie przyniosła spodziewanych rezultatów w leczeniu Ilse, krew obu braci poddano szczegółowej analizie pod kątem zgodności immunologicznej. Najlepszym dawcą okazał się Karl, ale odmówił. Zamiast niego zgłosił się na ochotnika Heinz, który był bardzo podatny na infekcje. W trakcie zabiegu albo tuż po nim zaraził się posocznicą, ta zaś przybrała bardzo ostrą formę, gdy dodatkowo dostał wirusowego zapalenia płuc. W efekcie zmarł w szpitalu piątego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, na dzień przed swoimi szesnastymi urodzinami. - Hartmann odruchowo poprawia kosmyk włosów, który uparcie opada mu na czoło. - Karl nie zjawił się nawet na pogrzebie brata.

Telefon dzwoni po raz drugi i znowu włącza się automatyczna sekretarka, a Cutter spogląda na drzwi sypialni takim wzrokiem, jakby natychmiast chciał wysłuchać nagranej wiadomości. Wreszcie wstaje z krzesła i rusza powoli w tamtym kierunku, lecz zatrzymuje się po paru krokach, odwraca z wahaniem, po czym skręca do kuchni, ale w przejściu znów przystaje.

- Macie na coś ochotę? - pyta w zamyśleniu.

- Chętnie napiłbym się wody - mówi Hartmann.

Od strony kanapy dolatuje tylko ciche pochrapywanie doktora Schnella.

- Ostatnią rzeczą niezbędną przed wstąpieniem do Stasi, że się tak wyrażę, trzecim stopniem wtajemniczenia, był list motywacyjny, który kandydat musiał napisać po ukończeniu osiemnastu lat.

Hartmann i Cutter przenieśli się do kuchni i siedzą teraz ramię przy ramieniu na stołkach przy kontuarze, gdzie jest lepsze oświetlenie, a ponadto ich rozmowa nie zakłóca drzemki Schnellowi. Feliks, znacznie pewniejszy siebie, wyjmuje z teczki piątą koszulkę zawierającą sześciostronicowy list napisany odręcznie przez Grobera.

- Ten list różni się zasadniczo od wcześniejszych, gdyż kandydat musiał w nim ujawnić najbardziej intymne szczegóły o sobie, swojej rodzinie i przyjaciółach. Na przykład: Czy kandydat się masturbuje, jak często i gdzie? Jakich fantazji seksualnych doświadcza? Czy miał już przygodę miłosną z kim i kiedy?... Przy tym należało określić szczegółowo charakter kontaktów seksualnych. Co kandydat wie o życiu seksualnym swoich rodziców i ich romansach pozamałżeńskich? To samo o najbliższych krewnych i przyjaciółach. A przede wszystkim: Kim są jego przyjaciele i co kandydatowi wiadomo o ich poglądach politycznych, słabościach, wykroczeniach przeciwko prawu i lękach? Czy zna kogoś, kto nadużywa zakazanych środków lub alkoholu, a jeśli tak, to konkretnie czego, w jakich ilościach, gdzie i kiedy? Kto ma za mało pieniędzy, a kto za dużo? Z punktu widzenia Stasi nie było wyznań ani trywialnych, ani banalnych. - W głosie Hartmanna pojawiają się tony zmęczenia i rezygnacji, za to w jego oczach zapalają się dzikie błyski, przypominające iskry wyładowań skaczących między odartymi z izolacji kablami pod napięciem. - Mimo to kandydat Grober spisał się wyśmienicie. W tym liście... - podnosi go i macha nim w powietrzu - ...zawarł kompromitujące informacje o trzynastu swoich przyjaciółach oraz rodzicach pięciorga z nich, o trojgu nauczycielach, nie wyłączając Fraulein David, która go zwerbowała do służby, o sąsiedzie państwa Groberów, mającym odwagę głośno krytykować członków partii, a nawet o własnej siostrze.

- Matko Boska! - syczy Cutter.

- Tak, tak, może mi pan wierzyć. Nie oszczędził nawet Ilse. - Feliks szybko wyjmuje list z foliowej koszulki i przerzuca kilka kartek. Znalazłszy stosowny fragment, zaczyna czytać i tłumaczyć: - „Sam nie masturbuje się od czasu, kiedy uznałem samozaspokojenie seksualne za przejaw słabości. Zachęcam innych, by się od tego powstrzymywali. Jednak z żalem muszę przyznać, że dwa razy zaobserwowałem moją siostrę masturbującą się w łazience". Jak mógł ją „zaobserwować”, panie Cutter? Wszedł przypadkiem, bo drzwi były otwarte, czy raczej podglądał ją przez dziurkę od klucza?

Cutter nie odpowiada.

- Ale przede wszystkim zdradził swoich rodziców. - Hartmann otwiera list na ostatniej stronie i znów zaczyna tłumaczyć na bieżąco: - „Choroba mojej siostry stała się oczywiście powodem wielu zmartwień w rodzinie”. Nawiasem mówiąc - wtrąca, podnosząc głowę - w

liście nawet jednym słowem nie wspomina o swoim zmarłym bracie, Heinzu... „Wierzę, że lekarze w Republice Demokratycznej zapewniają Ilse najlepszą możliwą opiekę, ale ze wstydem muszę wyznać, że rodzice nie podzielają tej opinii. Dali się omamić propagandzie zachodnich imperialistów"... to znaczy naszej „...i są przekonani, że Ilse uzyskałaby znacznie lepszą opiekę w ich kapitalistycznych szpitalach. Przy kilku okazjach spierałem się z rodzicami na ten temat i ostatnio nie chcą ze mną o tym rozmawiać i nie poruszają tej kwestii w mojej obecności. Sądzę, iż nie można wykluczyć, że chcą potajemnie wywieźć siostrę poza granicę NRD, co mogłoby być poważnym zagrożeniem dla jej zdrowia". - Hartmann z takim obrzydzeniem rzuca list na stół, jakby nie chciał sobie ubrudzić palców. - Nie wiadomo, czy Grober się dowiedział, kiedy i jak rodzice zamierzają uciec z kraju. Ale to nie ma znaczenia, bo gdy tylko ten list dotarł do Runde Ecke, z pewnością zostali objęci całodobową obserwacją. Nie mieli żadnych szans. - Hartmann prostuje się na krześle. - Równie dobrze mógł ich sam zastrzelić.

Cutter podnosi ze stołu list i w zamyśleniu zaczyna przerzucać kartki, wodząc spojrzeniem po niezrozumiałych dla niego słowach i zastanawiając się nad niepojętą dla niego nienawiścią, która się za nimi kryje.

- Ohydny gówniarz - mruczy w końcu pod adresem Karla Grobera.

- Cała ta sprawa miała swój epizod, panie Cutter - podejmuje cicho Hartmann. - Grober został oficjalnie przyjęty do służby w Stasi pięć dni po tym, jak zginęli jego rodzice, ale najpierw musiał odbyć służbę wojskową. Nie zgadnie pan, dokąd go wysłali nowi przełożeni. Do straży granicznej, właśnie na posterunek w Vacha. Do tej samej jednostki, która wykonała wyrok na jego rodzicach. Przez półtora roku miał za towarzyszy ich morderców. A wie pan, czym się tam zajmował? Ich szpiegowaniem na rzecz Stasi. Co tydzień wysyłał szczegółowe raporty do Runde Ecke. - Hartmann ponownie sięga do teczki i wyjmuje najgrubszy jak dotąd plik papierów. - Pedantyczne, przesiąknięte jadem sprawozdania.

- Wiesz co, Feliksie? Przez cały czas powtarzam moim agentom, żeby nie traktowali naszych obiektów jak osobistych wrogów. Według mnie to złota zasada: nigdy nie należy pozwolić, żeby ci łajdacy zaleźli nam za skórę.

Hartmann kiwa głową, jakby już nieraz to słyszał.

- I wiesz co? - ciągnie Cutter. - Ta zasada musi się teraz zmienić.

Czterdziestopięciominutowa drzemka pozwala doktorowi Schnellowi w pełni odzyskać siły. Dochodzi już północ, czyli według czasu środkowoeuropejskiego szósta rano, a to oznacza, że minęły prawie dwadzieścia cztery godziny, od kiedy obaj Niemcy wyruszyli

z Pullach w podróż do Nowego Jorku. Hartmann wykazuje objawy przemęczenia, za to Schnell wchodzi do kuchni rozpromieniony i prosi o kawę.

- Pozwolisz, mój przyjacielu, że zaproponuję przejście do kolejnego etapu? - mówi i nie czekając na odpowiedź Cuttera, ciągnie: - To znaczy do spisanej przez generała Kessela krótkiej historii kariery Grobera w Stasi. Myślę, że zainteresuje cię możliwość porównania tej relacji z zawartością tamtych akt, nazwijmy je dla wygody moskiewskimi, oraz treścią podsumowania, które dostałeś od Brytyjczyków.

- Świetnie - oznajmia Cutter.

- W ogólnym zarysie akta moskiewskie są precyzyjne, lecz istnieje w nich wiele luk, rzekłbym, że dość poważnych i raczej ciekawych. Na przykład nie ma w nich ani słowa, podobnie jak w twoim podsumowaniu, jak się domyślam... - Schnell uśmiecha się lekko - ...o licznych misjach Grobera poza granicami NRD, chociażby na Kubie, najpierw w siedemdziesiątym ósmym, a potem w osiemdziesiątym trzecim roku, w Afryce, a konkretnie w Angoli i Mozambiku, w latach siedemdziesiąt osiem i dziewięć, w Paragwaju, także dwukrotnie, w roku siedemdziesiątym ósmym i osiemdziesiątym trzecim, w Iranie pod koniec roku siedemdziesiątego dziewiątego, w Turcji w osiemdziesiątym drugim, w Libii w osiemdziesiątym czwartym i osiemdziesiątym siódmym - wylicza Niemiec, zginając kolejno palce najpierw jednej dłoni, potem drugiej - poza tym w Czechosłowacji, Nikaragui, Iraku, Jemenie Południowym, Sudanie. Nawet nie sposób zapamiętać wszystkich krajów, w których przebywał. Było ich znacznie więcej.

- Chcesz powiedzieć, że Grober był szpiegiem? - pyta zdziwiony Cutter.

- Nie w tradycyjnym sensie tego słowa. Wywiadem zagranicznym zajmowało się HVA, *Hauptverwaltung Aufklärung*, to znaczy... - Schnell krzywi się z obrzydzenia - ...Główny Urząd Informacji. Grober pełnił raczej rolę doradcy, czasem zajmował się prowokacjami, kiedy indziej dokonywał... - układa dłoń na kształt pistoletu i mierzy z palców w głowę gospodarza - ...zabójstw.

Cutterowi przychodzi do głowy, że chyba nic nie zdoła go już zaskoczyć. Pyta nieswoim głosem:

- Mam rozumieć, że wykonywał wyroki wydane przez Stasi?

- Nie, Aldusie. Zabójstw dokonywał nie dla Stasi, ale z polecenia Moskwy, KGB. Do takich przynajmniej wniosków doszedł generał Kessel na podstawie bardzo przekonującej analizy zdarzeń. Kiedy Grober wrócił z posterunku straży granicznej w Vacha do Lipska, został oddelegowany do Wydziału M, czyli kontroli poczty, gdzie jego zadaniem było ściąganie z urzędów meldunkowych kopii akt personalnych wszystkich osób wysyłających

listy za granicę. Ale niespełna rok później został przeniesiony do Wydziału Dziesiątego, zajmującego się współpracą ze służbami wywiadowczymi innych państw Układu Warszawskiego, i został łącznikiem z KGB, którego biuro okręgowe w Lipsku działało aż do upadku NRD. Początkowo pełnił jedynie rolę chłopca na posyłki i dostarczał Rosjanom materiały z Runde Ecke. Kessel opisuje jednak dokładnie, jak szybko zyskiwał w oczach nowych przyjaciół. Zaczął się z nimi spotykać prywatnie, czasami zapraszać do siebie na obiad.

- Ilse potrzebna mu była do tego, żeby dla nich gotować - wtrąca Hartmann.

Cutter szybko dochodzi do wniosku, że jednak pokłady jego zdumienia jeszcze się nie wyczerpały.

- Żartujesz? Po tym, co zrobił, ona z nim zamieszkała?

- Owszem, w domku po rodzicach przy Karl-Heine-Strasse. Mieszkali razem prawie dwadzieścia lat. - Cutter dostrzega mroczny cień przemykający po twarzy Hartmanna, który dodaje ciszej: - Jak małżeństwo.

Zapadłą nagle grobową ciszę przerywa Schnell:

- Wyglądasz na bardzo zmęczonego, Feliksie. Powinieneś odpocząć.

Cutter pospiesznie przyznaje mu rację. Hartmann jest jednak zdecydowanie za wysoki, by się wygodnie ułożyć na kanapie, toteż prowadzi go do swojej sypialni. Młody Niemiec protestuje nieśmiało, lecz gdy parę minut później Cutter zagląda do pokoju, żeby sprawdzić, czy niczego mu nie trzeba, tamten, wyciągnięty na wznak, śpi już jak zabity.

Po powrocie do kuchni kładzie przed sobą na kontuarze notatnik i długopis, gotów zapisywać niektóre szczegóły dotyczące działań oraz przyjaciół Karla Grobera, o których w ogóle się nie wspomina ani w aktach moskiewskich, ani w podsumowaniu przywiezionym przez Flint z Londynu, wobec pełnej dokumentacji Niemców prawie całkiem bezwartościowym, a nawet gorzej, bo mylącym. Czyżby był to efekt celowego działania? W głębi świadomości Cuttera pojawiają się czarne myśli, jakby nagle dostrzegł coś podejrzanego ukrytego w gąszczu trawy.

Schnell ułożył przed sobą akta Kessela otwarte na wybranej stronie, ale chyba nie jest jeszcze gotów do podjęcia relacji, gdyż zaczyna od wprowadzenia.

- Ten raport powstał na początku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, gdy Kessel domyślał się już bliskiego końca. Zresztą wtedy już wszyscy, Aldusie, nawet Mielke, przeczuwali, co się wkrótce stanie. Cały blok sowiecki chwiał się w posadach. Ale Kessel, co można otwarcie wyczytać w jego raporcie, uznał Karla Martina Grobera niemal za jasnowidza, który od początku wiedział, że socjalizm kiedyś runie, dlatego od początku

kariery w Stasi przygotowywał sobie grunt na przyszłość. Wiesz, w Lipsku kursuje taki powszechnie znany dowcip. Dlaczego byli agenci Stasi są najlepszymi taksówkarzami? Bo wystarczy im podać nazwisko, a od razu wiedzą, dokąd mają jechać. - Schnell uśmiecha się chytrze. - Tyle, że Grober nigdy nie zamierzał zostać taksówkarzem, Aldusie. Wiedział, że gdy ostatecznie nastąpi koniec, wcześniej czy później system kapitalistyczny odniesie nieuchronne zwycięstwo, kraje bloku wschodniego będą potrzebowały przedsiębiorców zdolnych wykorzystać otwierające się nowe możliwości zarobku na zorganizowanej prostytutce, przemyśle narkotyków, handlu bronią szantażu i wymuszeniach, oszustwach bankowych czy przestępstwach podatkowych. Przyznasz, Aldusie, że możliwości były ogromne. A któż mógł je lepiej wykorzystać, jak nie ludzie, którzy za rządów komunistów w maksymalnym zakresie tłumili te same możliwości? Przede wszystkim jego rosyjscy przyjaciele, oczywiście przy wydatnej współpracy kolegów z Pragi, Warszawy, Sofii, Tirany, Budapesztu i pozostałych państw Układu Warszawskiego. Właśnie na tym polegała przebiegłość działań Karla Grobera, jego swoisty geniusz. W swoim jasnowidztwie sprzed lat, kiedy tylko zrozumiał, na jaką skalę w odmienionej sytuacji jego przyjaciele zaangażują się w nowe przedsięwzięcia, gdy zaczną wysyłać na Zachód swoje dziewczęta, narkotyki i broń, wymuszać dla siebie po dziesięć centów od każdego dolara z napływającej pomocy zagranicznej i znacznie więcej za oferowaną ochronę powstających jak grzyby po deszczu legalnych firm, będą potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy w szmuglowaniu swoich zysków za granicę i praniu brudnych pieniędzy w zachodnich bankach, na czym w ogóle się nie znają. Natomiast on, znając się na procedurach obrotu bankowego, mógł im tę pomoc zapewnić.

Schnell robi krótką przerwę i wkłada okulary.

- Pozwól, że ci zacytuję krótki fragment ze sporządzonego przez Kessela chronologicznego zestawienia działań podejmowanych przez Grobera. „W lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, formalnie pracując wciąż w Wydziale Dwudziestym Pierwszym w centrali"... chodzi tu, Aldusie, o znaną powszechnie jako ZAIG Główną Grupę Gromadzenia i Analizy Informacji... „porucznik Grober"... co ciekawe, nigdy nie doczekał się awansu do stopnia kapitana... „uzyskał pozwolenie od ministra"... oczywiście mowa o generale Mielkem... „na zorganizowanie sekcji mającej się zajmować wszechstronną analizą zachodniego systemu bankowego. Za pretekst posłużyła konieczność lepszego zabezpieczenia funduszy przeznaczonych na prowadzenie tajnych operacji zagranicznych. Sekcja ta działała przez trzy lata"... Generał dodatkowo to podkreślił, Aldusie: trzy lata... „i zakończyła pracę bez jakichkolwiek rekomendacji czy raportu końcowego. Zdobyte przez nią

informacje stały się użyteczne jedynie dla Grobera". - Schnell zdejmuje okulary i przyciska palcami kąciaki oczu. - Trzy lata. Zorganizowali sobie wyższy kurs metod prania brudnych pieniędzy.

- Powiedz mi coś, Otto. Czy jest w tym raporcie cokolwiek - Cutter ruchem głowy wskazuje czerwoną teczkę - co pozwoliłoby nam wpaść na trop łajdaka?

- Chyba tak. Ale najpierw muszę cię o coś spytać. Nasz młody przyjaciel, Feliks, w samych superlatywach wyraża się o twojej zastępczyni, agentce Flint. Twierdzi, że w zakresie tajnych operacji odznacza się ona intuicją, z jaką nigdy wcześniej nie zetknął się u nikogo. Nie jestem nazbyt skłonny w pełni zaufać ocenie Feliksa, gdyż nie musi ona być czysto profesjonalna. Mam wrażenie, że on jest... jak to się u was mówi, Aldusie? Zauroczony? Tak. Otóż zdaje mi się, że Feliks jest po prostu zauroczony panną Flint.

- Nie on pierwszy.

- Pozwól więc, że zapytam, czy ona jest naprawdę taka dobra?

Cutter zamyśla się na krótko. Instynkt podpowiada mu, że powinien zachować obiektywność, chociaż jego przywiązanie do Grace Flint rzeczywiście wykracza poza sferę zawodową. Poza tym nie daje mu spokoju poczucie winy wynikające ze świadomości decyzji, jakie będzie musiał podjąć w jej sprawie.

- Jako dyrektor pionu operacyjnego, w świetle tego, jak zakończyła się operacja „Zielone Świątki”, mam pewne wątpliwości. Flint została spalona, a podjęta przez nią akcja doprowadziła do śmierci innej agentki. Szczerze mówiąc, uważam, że schrzaniła robotę. Ale rzeczywiście trudno przecenić jej umiejętności w zakresie organizowania tajnych operacji.

- Dlaczego?

- Ze względu na jej szczególny dar wcielania się w osobę, którą w danym momencie powinna być. Ona nie tylko biernie odtwarza rolę przygotowaną w ramach przykrywki, ale tworzy ją na bieżąco. Jest najlepszą aktorką jaką w życiu widziałeś. Do tego bardzo ładną. To wielki atut, gdyż uroda bardzo ułatwia jej noszenie maski.

- Rozumiem. Feliks mówił, że została brutalnie pobita.

- To nie było zwykłe pobicie, Otto. Zmieniono jej twarz w krwawą miazgę. Potrzeba było roku, żeby przywrócić jej poprzedni wygląd. Ale po operacjach nie został nawet ślad. Zaczekaj chwilę.

Cutter idzie do saloniku, skąd dobiega odgłos klucza przekręcanego w zamku i wysuwanej szuflady. Po chwili wraca z małym skórzanym portfelikiem, otwiera go i kładzie na kontuarze przed Niemcem. W przegródce umieszczone są obok siebie dwa zdjęcia.

- Tak wyglądała przedtem, a tak teraz.

Schnell krzywi się boleśnie. Nawet on jest przerażony widokiem na fotografii po lewej. Zmaltretowana twarz o ledwie rozpoznawalnych ludzkich rysach przypomina widok odkopanego trupa, zwłaszcza człowieka wydobytego z masowego grobu, wcześniej poddawanego torturom.

Pospiesznie przenosi wzrok na sąsiednie zdjęcie, przedstawiające Flint po szeregu operacji plastycznych.

Kobieta patrzy prosto w obiektyw, z głową lekko pochyloną na prawo. Ma ciemnoblonde włosy, które po lewej stronie, gdzie opadają na policzek o idealnie gładkiej skórze i odbijają padające z boku światło, sprawiają wrażenie prawie czarnych. Kształtne brwi ocieniają szeroko rozstawione oczy o kształcie liści wawrzynu, przypominające dwa oszlifowane bursztyny. Niezbyt wydatne, wysoko umieszczone kości policzkowe są perfekcyjnie symetryczne, przedzielone regularnym, lekko zadartym nosem o niewielkich nozdrzach. Odległość między podstawą nosa a szczytem górnej wargi wydaje się zbyt duża, a usta są lekko wykrzywione, przez co powstaje wrażenie, iż żyją własnym życiem na tej niewielkiej przestrzeni ponad mocno zarysowaną brodą i harmonijnie ukształtowaną szyją. Odrobinę rozchylone wargi nadają twarzy obojętny wyraz, choć bez trudu można się po nich domyślić bardzo silnego charakteru Flint. Niemniej, rzeczywiście nie sposób odgadnąć po jej minie nastroju.

- To twarz, której łatwo się nie zapomina, prawda, Otto?

- Chyba przesadzasz.

Cutter szczerzy zęby w uśmiechu i kręci głową.

- Nieprawda. Jej niezwykle zdolności pozwalają odgrywać dwie, a nawet trzy role jednocześnie. Kiedyś rano widziałem ją udającą wygadanego i bezwzględnego adwokata, którego każdy chciałby mieć po swojej stronie, a wieczorem w roli ekskluzywnej drogiej dziwki, za którą gotów byłbyś sprzedać diabłu duszę. I gdybyś tamtego ranka chciał ją wynająć, a wieczorem skorzystać z jej usług, nigdy byś się nie domyślił, że masz do czynienia z tą samą osobą.

- Zatem jest również mistrzynią kamuflażu - mówi Schnell lekko ironicznym tonem.

- Niezupełnie. Oczywiście, potrafi szybko zmieniać kolor włosów i doskonale stosować makijaż, nie wyłączając zmiany koloru oczu, ale nie to jest najważniejsze, Otto. Mam na myśli umiejętność zmian brzmienia głosu i ogólnie języka ciała, sposobu poruszania się, trzymania głowy, jednym słowem stwarzania iluzji, że łatwo odgadnąć jej myśli, intencje, odczucia. Tymczasem to tylko złudzenie, bo jej prawdziwe myśli i odczucia są skryte za nieprzeniknioną maską. Zmierzam do tego, że tak długo, jak tylko zajdzie potrzeba, Grace

może swobodnie odgrywać rolę urzędniczki bankowej, zwykłej dziwki czy też kogokolwiek innego. Pod tym względem jest nie tylko bardzo dobrą ale wręcz niesamowita.

- W takim razie, Aldusie, nie mam złudzeń, że za żadne skarby nie wylałbyś jej z roboty - oznajmia posepnym tonem doktor Schnell. - Zatem wyślij ją z następną tajną misją, do Lipska.

- Do Niemiec? Po co?

- Ponieważ jedyną osobą na świecie, która może wam pomóc odnaleźć Grobera, jest jego siostra, Ilse. Nadal mieszka w rodzinnym domu przy Karl-Heine-Strasse, ale teraz już sama. Wciąż nie cieszy się dobrym zdrowiem, a ponieważ dom jest za duży dla jednej osoby, wynajmuje jego część sublokatorom, nie tylko reperując w ten sposób skromny domowy budżet, ale także zapewniając sobie towarzystwo.

Cutter w milczeniu przygląda mu się czujnym wzrokiem niczym kot.

- Ilse najchętniej przyjmuje pod swój dach stateczne małżeństwa, nie za młode, ale i nie za stare, powiedzmy koło trzydziestki - wyjaśnia Schnell z lekkim uśmiechem. - Chyba Feliks i Grace świetnie by pasowali do tego zadania. - Uśmiecha się nieco szerzej. - Wydaje mi się, że Ilse szybko by polubiła tę twoją niesamowitą zastępczynię. Co do Feliksa nie mam żadnych wątpliwości.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W holu budynku Jarrett Crawford jest już na granicy utraty swojej celtyckiej cierpliwości, mierząc ostrym spojrzeniem portiera zagrządzającego mu drogę.

- Do diabła! Naprawdę muszę się z nim zobaczyć - powtarza.

- Już mówiłem, że mam ściśle wytyczne od pana Cuttera: dziś wieczorem żadnych gości więcej. To wszystko. Proszę stąd wyjść.

Crawford do tej pory podtykał Patowi pod nos swoje dokumenty, ale teraz zastanawia się, czy nie zrobić tego z pistoletem, gdy nagle otwierają się drzwi windy i ze środka wysiada Cutter z Feliksem w towarzystwie trzeciego mężczyzny, który przy nich wydaje się karłem.

- Panie Cutter! - woła ponad ramieniem portiera.

Cała trójka zatrzymuje się nagle, a karzełek błyskawicznie chowa głowę w ramiona i odwraca się tyłem, jakby tuż nad uchem zagrzechotał mu karabin maszynowy.

- Crawford?! Co ty tu robisz, do pioruna?! - wykrzykuje zdumiony Cutter, ruszając energicznie w jego kierunku i próbując zasłonić sobą dwóch pozostałych z tyłu.

- Mówiłem mu, panie Cutter - zaczyna Pat płaczącym głosem.

Dyrektor także ma nietęgą minę. Staje tuż przed Crawfordem, nieomal deptając mu po palcach, i wściekłym głosem syczy:

- Czego chcesz?

- Próbowałem się z panem skontaktować.

- W końcu ci się to udało. O co chodzi?

- O Flint. - Pochyla się niżej i wyjaśnia cicho, prawie szeptem: - Ona zwariowała, panie Cutter. Zupełnie jej odważyło.

- Rozumiem - odpowiada stary ze stoickim spokojem, jakby nie było w tym niczego niepokojącego. Kładzie rękę na ramieniu Crawforda, odwraca go i prowadzi w stronę wyjścia.

- Masz tu samochód, Jerry?

- Tak.

- Gdzie?

Crawford ruchem głowy wskazuje na prawo.

- Kilkadziesiąt metrów stąd.

- Wracaj do niego, wsiądź i zaczekaj na mnie. - Sprowadza go po schodach na chodnik. - I natychmiast zapomnij, że mnie z kimś widziałeś. To nie twoja sprawa. Więc lepiej trzymaj oczy zamknięte, jak będziesz siedział za kierownicą.

Crawford z uśmiechem oddala się East Sixty Third Street, przypominając sobie dawną rozmowę z Feliksem Hartmannem. Lecieli wtedy dokądś samolotem i dla zabicia czasu snuli nawzajem frontowe opowieści. Niemiec dużo mu wtedy mówił na temat swojego byłego szefa z BND, doktora Otto jakiegoś tam. Jego nazwisko umknęło Crawfordowi, zapamiętał jednak, że wszyscy podwładni nazywali go podobno Gnomem.

Gadaj - mówi Cutter, sadowiąc się na prawym fotelu jego nuta.

- Podpałiła dom, omal nie zabiła czworga agentów i zniknęła bez śladu. Poza tym jej ojciec leży w szpitalu w ciężkim stanie, nie może odzyskać przytomności.

- Rety! - mruczy dyrektor. - Może spróbuj wolniej i po kolei.

- Dobra. Dziś po południu zadzwoniła z Connecticut do Rocco Moralesa z prośbą o sprawdzenie personaliów czworga agentów z Urzędu Imigracyjnego. Nie powiedziała, z czego wynika ta prośba, ale Rocco odniósł wrażenie, że tamci zjawili się u niej w domu. W każdym razie ich legitymacje okazały się fałszywe, nie mieli nic wspólnego z Urzędem Imigracyjnym. Morales oddzwonił więc i zapytał, czy nie potrzebuje pomocy, ale Grace odparła, że sama da sobie radę. Niedługo później odebrała telefon od jakiegoś gliniarza z Anglii z wiadomością...

- Chwileczkę - przerywa mu Cutter. - Skąd wiesz, że odebrała telefon?

- Bo prowadziliśmy podsłuch na jej linii.
- My?
- Jasne - mówi Crawford z ociąganiem, jakby nagle stracił pewność siebie.
- Na czyje polecenie?
- Pańskie.

Lodowate spojrzenie Cuttera jest jawnym dowodem, że niekoniecznie musi to być prawdą.

- Pan Stark powiedział Rocco, że zatwierdził pan tę decyzję, gdyż martwiło pana, że Flint wymyka się spod kontroli.

- Tak powiedział? - Cutter odwraca głowę, patrzy prosto przed siebie i pyta, jakby zwracał się do przedniej szyby: - Kiedy Nathan Stark kazał Rocco założyć podsłuch na linii Flint?

- W poniedziałek z samego rana. Byłem przy tym, siedziałem z Rocco, kiedy Nathan... O kurwa! - wrywa się Crawfordowi, gdy nagle dociera do niego znaczenie własnych słów.

- Krabiku, to ma zostać między nami. Jak piśniesz o tym choćby jedno słówko, to...
- Rozumiem.

Cutter znów spogląda na niego w napięciu, jakby chciał coś dostrzec w jego oczach.

- Na pewno?
- Absolutnie, panie Cutter. Dyrektor odwraca głowę.
- Mów dalej. Co to za wiadomość z Anglii?
- Otóż ten gliniarz z komendy hrabstwa Oxfordshire powiedział, że ojciec Flint został

napadnięty we własnym domu, znaleźli go nieprzytomnego w klatce dla psów i...

- Gdzie?
- W klatce dla psów, która stała w jego pracowni weterynaryjnej.
- Aha. I co dalej?

- Nie umiał wyjaśnić, kto go napadł i czym uderzył, powiedział tylko, że doktor Flint leży w miejscowym szpitalu, na oddziale intensywnej opieki, po czym dodał, że Grace chyba powinna jak najszybciej tam przyjechać, bo on może tego nie przetrzymać albo coś w tym sensie.

- A co ona na to?
- Że natychmiast odlatuje. Ale przed wyjazdem podłożyła jeszcze w domu ogień.
- Miało być wolno i po kolei - przypomina Cutter.

- No więc, Rocco odebrał jej zgłoszenie pożaru i wezwanie straży pożarnej. Zrobiła to pod przybranym nazwiskiem, tłumacząc, że zobaczyła ogień z drogi. Miejscowa straż dotarła

na miejsce po dwunastu minutach, ale w zasadzie nie było już czego ratować. Podobno wszędzie unosił się silny smród oleju opałowego. Grace miała w garażu olbrzymi zbiornik na olej, chyba z pięć tysięcy litrów.

- Olej opałowy wcale tak łatwo się nie pali - wtrąca Cutter obojętnym tonem.

- Bardzo łatwo, jeśli się go wymiesza z benzyną - odpowiada Crawford, co dyrektor przyjmuje skinieniem głowy. - W każdym razie dom poszedł z dymem. Nie było co ratować. Nawet stodoła zajęła się ogniem, bo iskry z płonącego domu spadły na jej dach, który zaczął się tlić. Ale strażacy zdołali ją ugasić, a kiedy weszli do środka, ujrzeli czworo ludzi, trzech facetów i jedną kobietę, zakneblowanych i powiązanych jak króliki, a raczej skutych policyjnymi kajdankami i łańcuchami.

- To byli ci fałszywi agenci Urzędu Imigracyjnego?

- Możemy tak zakładać, bo gdy tylko ich oswobodzono, nawiali stamtąd. Miejskowa policja rozesłała do patroli nakaz ich zatrzymania, ale... - Crawford krzywi się i wzrusza ramionami. - Taki sam nakaz zatrzymania wydano na Flint.

- Która jest zapewne w drodze do Europy?

- Nie było jej nazwiska na liście pasażerów żadnego samolotu startującego dziś wieczorem. Wygląda więc na to, że podróżuje pod przybranym nazwiskiem.

- Przecież to jasne, Jerry. Myślisz, że nie skombinowała sobie fałszywego paszportu i nie ukryła go gdzieś na czarną godzinę?

- Nikt też nie rozpoznał jej na zdjęciu.

- Jerry! Przecież mówimy o Grace Flint!

- Więc co mamy robić? Powiadomić Londyn, żeby ją zgarnęli na lotnisku?

- W żadnym wypadku. Na szczęście wiemy przynajmniej, dokąd zmierza. Daj mi chwilę pomyśleć. - Cutter w zadumie przez parę sekund bębni palcami o deskę rozdzielczą. - Masz trochę benzyny w baku?

- Pewnie - odpowiada zdumiony Crawford.

- I wiesz, gdzie mieszka Feliks?

- Tak. - Jarrett marszczy brwi, nie rozumiejąc, do czego stary zmierza.

- To zawieź mnie tam. Powinniśmy go odstawić na samolot.

Z budki telefonicznej w gigantycznej sali dworca Grand Central wicedyrektor Nathan Stark dzwoni do Londynu. W Europie jest wczesny ranek, szykuje się więc na dłuższe oczekiwanie, ale Nigel Ridout należy chyba do rannych ptaszków, gdyż odbiera już po drugim sygnale.

- Tak - rozlega się w słuchawce głos szefa Sekcji Europy Wschodniej Tajnych Służb Wywiadowczych, znanych powszechnie jako MI6.

- Nic z tego nie wyszło, bo wynajęta pomoc sknociła robotę. Twoja dziewczyna jest w drodze, wraca do domu. Leci liniami Virgin Atlantic z lotniska Kennedy'ego, ląduje na Heathrow. - Stark spogląda na zegarek. - Powinna być na miejscu za jakieś cztery godziny.

- Cudownie - odpowiada Ridout. - Zatem i tak misja została zakon...

W słuchawce rozlega się sygnał przerwania połączenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Ze swej małej kolekcji fałszywych dokumentów trzymany na specjalne okazje Grace darzy największym zaufaniem te, według których jest pracownicą sektora prywatnego, bo stwarzają najmniejsze zagrożenie szybkiego potwierdzenia tożsamości. W południowej Francji, a dokładnie w Marsylii, w mrocznych zaułkach Quartier du Panier górującej nad starym portem, znalazła fałszerza, mistrza w swoim fachu, który za dwadzieścia tysięcy franków, o nic nie pytając, przygotował jej paszport, *carte d'identite* oraz legitymację prasową na nazwisko Katii Portelli, fotografa działającego na własną rękę. Nigdy dotąd nie korzystała z tych dokumentów.

Z cerą przyciemnioną kremem samoopalającym, włosami zabarwionymi henną i wkładkami zmieniającymi kolor oczu na zielonkawy, Katia Portelli siedzi samotnie w trzymiejscowym rzędzie foteli boeinga 747, który wystartował z lotniska Kennedy'ego i teraz, mijając kolejną granicę strefy czasowej nad Atlantykiem, kieruje się w stronę różowawożółtej poświaty nad wschodnim horyzontem zapowiadającej bliski świt. Ubrana jest w rozpiętą oliwkowozieloną flanelową koszulę, pod którą widać czarną bawełnianą bluzkę, i obcisłe czarne skórzane spodnie. Wytrwale broniła wolnych miejsc obok siebie, bo choć przedział turystyczny jest tylko w połowie zapełniony, jeszcze przed startem słyszała raz za razem: „Czy to miejsce jest wolne?“, „Pozwoli pani?“, „Czy my się nie znamy?“, albo już całkiem bezczelne „Nie ma pani ochoty na towarzystwo?“. Musiała się odwołać do swojego bogatego repertuaru i na każde takie pytanie odpowiadała spojrzeniem, świetnie znanym przede wszystkim Francuzkom, tak pełnym pogardy i lodowatym, że będącym niema! w stanie porządnie schłodzić butelkę wina.

Żałośni podrywacze dali jej w końcu spokój, mogła więc ułożyć się wygodnie na wszystkich trzech fotelach, z głową opartą o ściankę kabiny i butelką wody mineralnej Evian w rękach, z której dość często popija drobnymi łykami. Wbrew zaleceniom obsługi samolotu

trzyma zasłonę iluminatora podniesioną na parę centymetrów, żeby śledzić powolną drogę boeinga w kierunku odległego pierwszego brzasku. Wcześniej kapitan ogłosił, że mają wyjątkowo sprzyjający tylny wiatr, a mimo to wydaje się jej, że mroczne niebo za oknem przesuwa się do tyłu przeraźliwie wolno.

Grace czuje się zawieszona w czasie, podobnie jak w próżni są zawieszane jej uczucia. Znajdując się w bezpiecznym gniazdku liniowego odrzutowca, nie chce dopuścić do siebie wizji oddziały intensywnej opieki szpitala Horton General, odpycha niepokojące myśli o stanie ojca, który może być umierający albo nawet już martwy. Kurczowo trzyma się wpływających z pamięci obrazów tryskającego energią, radosnego Johna Flinta, pracującego w swoim gabinecie weterynaryjnym i ze zmarszczonymi brwiami, szerokim uśmiechem oraz pomrukiem niedowierzania witającą przybyłą niespodziewanie córkę.

W podtrzymaniu tego stanu bardzo jej pomagają wracające uporczywie myśli o mężu. Desperacki akt podpalenia domu, zamienienia go w kupkę popiołu, jak ma nadzieję, pomógł jej osiągnąć zamierzony cel odcięcia się od przeszłości, pozbycia złudzeń, że kiedykolwiek wiodła w Miller's Reach prawdziwe życie. Ma to dla niej znaczenie symbolicznego katharsis - po zniszczeniu zdradzieckiego sanktuarium może bezpiecznie grzebać w popiołach swego małżeństwa.

Tyle że nie jest na to jeszcze gotowa.

Konfrontacja z prawdą dotyczącą samej siebie wymaga zastosowania ochronnej techniki, którą na własny użytek wypracowała przed laty, żeby zapomnieć o skutkach, albo przynajmniej złagodzić efekt straszliwego psychicznego spustoszenia, jakie niesie ze sobą każde nieznośne cierpienie.

- Zatem postawmy sprawę jasno. Już raz wyszłaś kiedyś za ścierwo podobne do Bena i nie wyciągnęłaś z tamtej lekcji żadnych wniosków? Absolutnie żadnych?

Znów w jej świadomości pojawia się stanowczy głos tej drugiej Flint, cynicznego oficera dochodzeniowego, w którego wcielała się wielokrotnie w sytuacjach wymagających zderzenia dobrego gliniarza ze złym.

- Jamie wcale nie był taki jak Ben. W niczym go nie przypominał.

Odpowiada ta Grace, która zasiada na ławie oskarżonych i z której bardzo trudno wyciągnąć szczere zeznania.

- Czyżby? Naprawdę nie dostrzegasz żadnych podobieństw? Nawet w ich powłóczystych spojrzeniach i przymilnych uśmieszkach? Nawet w ich dłoniach, Grace? W tych długich, wysmukłych palcach, których dotyk tak bardzo pragnęłaś czuć na swoim ciele?

- Bzdura. Mówisz o wydumanych elementach, które nie mają żadnego znaczenia.

- W porządku. Niech ci będzie - zgadza się nad podziw łatwo Grace-oficer śledczy. -
Jak długo znałaś Jamiego przed ślubem?

- Osiem, może dziewięć miesięcy. Coś w tym rodzaju.

- A co o nim wiedziałaś, naprawdę wiedziałaś w chwili, kiedy się pobieraliście?

- Że jest bystry, ciekawy świata, zabawny, delikatny, czuły...

- Chodzi mi o fakty, Grace. Ogranicz się do konkretów. Co wiedziałaś o jego rodzicach?

Oskarżona Grace ma pełną świadomość tego, że jak na agentkę tajnych służb wyjątkowo mało interesowała się „faktami” dotyczącymi jej pierwszego męża.

- Urodził się w Kornwalii, bodajże w Saint Ives. Jego ojciec pracował w banku, ale nie wiem, na jakim stanowisku. Nie wiem, czym zajmowała się matka. Jamie nie utrzymywał bliższych kontaktów z rodzicami, kiedy go poznałam. Miał siostrę, Nicky, która mieszkała w Zambii... A może w Tanzanii?...

- Może w Tanzanii? A więc tylko tak ci się wydaje, nie jesteś tego pewna?

- Przecież nie wyszłam za jego cholerną rodzinę, prawda? - odpowiada ostro Grace.

- A czego byłaś całkowicie pewna?

- Że go kocham. I że on kocha mnie. Tak przynajmniej sądziłam. W każdym razie bardzo mnie lubił.

Boeing przez chwilę kołysze się lekko, trafiawszy na turbulencję.

- Jak długo znałaś przed ślubem Bena?

- Osiem miesięcy. Niecałe.

- Co wiedziałaś o jego rodzicach?

- Prawdę powiedziawszy, dość dużo - odpowiada śmieiej Grace, czując pod nogami pewniejszy grunt.

- Skąd się tego dowiedziałaś? Od niego?

- Nie. Przez przypadek go sprawdziłam. Flint doskonale wie, że to tylko puste słowa.

- Naprawdę? Jakim sposobem?

- To był błąd, nieporozumienie - przyznaje Grace. - Poznałam go w barze w Miami, gdzie przyjechałam z misją werbowania zdolnych agentów do naszego wydziału.

Rozmawialiśmy przez jakiś czas i bardzo mi się spodobał. Tylko tyle, nic więcej. Ale gdy parę tygodni później ponownie musiałam przyjechać do Miami, pomyślałam, że moglibyśmy się umówić na drinka. Wiedziałam jedynie, jak się nazywa i gdzie pracuje, dlatego poprosiłam znajomego z miejscowej policji, żeby pomógł mi go odszukać. Zależało mi wyłącznie na adresie i numerze telefonu, lecz znajomy doszedł chyba do wniosku, że Ben jest

obiektem naszego dochodzenia lub potencjalnym informatorem, bo dostarczył mi wszystkie informacje, jakie udało mu się zdobyć. Dostałam kopię jego karty meldunkowej z numerem ubezpieczenia społecznego, kopię prawa jazdy, licencji pilota, pełną historię zatrudnienia, wyciąg z konta bankowego, nawiasem mówiąc, niezbyt imponujący, i historię wykroczeń, obejmującą tylko dwa mandaty za przekroczenie szybkości. Dlatego gdy spotkaliśmy się po raz drugi i zaczęliśmy rozmawiać o sobie, wiedziałam już, co zaraz usłyszę, zanim jeszcze otworzył usta.

Samolot trafia na kolejną dziurą w powietrzu i zaczyna wyraźnie zniżać lot. Nad drzwiami zapala się napis polecający zapiąć pasy, a między rzędami siedzeń pojawiają się stewardesy sprawdzające, czy ich uśpioni podopieczni są prawidłowo przypięci do foteli.

- I na pewno wszystko, co ci o sobie powiedział, zgadzało się dokładnie z tym, czego się o nim wcześniej dowiedziałaś?

- Nie pytałam go ani o mandaty drogowe, ani o debet na koncie, jeśli chodzi o ścisłość. - Ta odpowiedź pada ostrzejszym tonem, typowym dla wszystkich gliniarzy znajdujących się w Kłopotliwej sytuacji.

- Wróćmy do twojego pierwszego spotkania z Benem. Mówisz, że poznałaś go w barze?

- Tak, w Tobacco Road w śródmieściu Miami, nad samą rzeką. To zwykła knajpa, która w piątkowe wieczory zmienia się w ulubiony wodopój miejscowych gliniarzy, agentów antynarkotykowych, prokuratorów z biura okręgowego i stanowego. Kiedy jeszcze pracowałam w Miami, zwykle chodziłam tam w piątki.

- Ale wtedy już nie pracowałaś w Miami, prawda, Grace? Więc dlaczego poszłaś do Tobacco Road? Chyba nie po to, żeby wspominać stare czasy?

- Byłam wówczas z Ruth Apple - rzuca pospiesznie, jakby chciała się czym prędzej uwolnić od bolesnej prawdy. - Próbowałam ją namówić, żeby przeniosła się do Nowego Jorku i podjęła służbę w naszym wydziale.

- Ale Ruth nie chciała się przenieść, prawda, Grace? W ogóle nie miała ochoty przechodzić do waszego wydziału, zgadza się?

- Nie. Przynajmniej na razie. Dobrze się czuła w DEA.

- I na Florydzie, czyż nie tak? Nie uwielbiała Florydy? Dobrze jej się powodziło, kariera układała się obiecująco, lubiła towarzystwo, które poznała w oddziale agencji w Boca Raton. Ale ty nie chciałaś przyjąć do wiadomości jej odmowy, prawda? Wiedziałaś, że dobrze się spisuje w tajnych operacjach, i bardzo ci zależało, żeby mieć ją przy sobie. Tylko o to ci chodziło, zgadza się? Widziałaś w niej swoje drugie ja, kogoś ulepionego z tej samej gliny.

- Zamknij się!

Boeing wpada w kolejną dziurę powietrzną i zbieżność wydarzeń sprawia, że Flint serce podchodzi do gardła. Przez krótką upiorną chwilę jej myśli wypełnia widok Ruth spadającej na ziemię jak kamień. Apana po wyrzuceniu z helikoptera Karła Grobera nie wydała z siebie ani jednego dźwięku, ale jej się wydaje, że wszędzie dokoła rozbrzmiewają okrzyki przerażenia.

- Skoncentrujmy się na Benie. To nie będzie dla ciebie łatwiejsze?

- Tak. Proszę.

- Tak więc wybrałaś się z Ruth do Tobacco Road i tam spotkałyście Bena...

- Nie, na początku byliśmy same. W piątkowe wieczory zwykle jest tam tłoczno, ale udało nam się zająć stolik w najdalszym kącie na dziedzińcu. Rozmawiałyśmy przez jakąś godzinę, w końcu Ruth musiała iść, żeby zdążyć dojechać przed nocą do Boca Raton. Żegnałyśmy się, kiedy jak spod ziemi wyrósł przy nas Ben.

- Jak spod ziemi?

- Czekał, aż zwolni się miejsce.

- Pamiętasz, co wtedy powiedział?

- „Pozwoli pani, że się przysiędę?”.

- A ty nie miałaś nic przeciwko temu?

- Niezupełnie.

Flint prowadząca przesłuchanie wykorzystuje chwilę ciszy niczym nóż przystawiony do gardła.

- W porządku, nie miałam. Rozmowa z Ruth szła mi ciężko, musiałam wysłuchiwać jej obiekcji na temat Nowego Jorku i pracy w naszym wydziale... szczerze mówiąc, miałam dość gadania o robocie, jak na jeden dzień. A Ben sprawiał sympatyczne wrażenie, nie narzucał się, w każdym razie nie bardzo, więc pomyślałam... Owszem, nie miałam nic przeciwko temu.

- Skąd wiedziałaś, że nie jest gliniarzem?

- To się wyczuwa na odległość.

- Nigdy nie umawiałaś się z gliniarzami, prawda? W każdym razie nie robiłaś tego od czasu wstąpienia na służbę. Nigdy nie nawiązałaś bliższej znajomości z kolegą z wydziału. Dlaczego, Grace?

- Może lepiej w to nie wnikajmy.

Ale Grace-oficer śledczy wolałaby zgłębić ten temat, gdyż głęboka niechęć Grace do związków z gliniarzami i agentami płci męskiej stanowi interesujący paradoks i nadzwyczaj żyzny grunt do rozmaitych wniosków. Godzi się jednak wrócić do tej sprawy kiedy indziej.

- Co było dalej?

- Usiadł przy stoliku i zaczęliśmy rozmawiać o różnych rzeczach, o Miami, pogodzie... niczym szczególnym. Później rozmowa zesłała na temat jazzu, gdyż właśnie taką muzykę puszczała w Tobacco Road. Pamiętam, że przyznał wtedy, iż lubi Pata Metheny'ego i Keitha Jarretta, ale zdecydowanie bardziej pasuje mu Bach. Powiedział, że jego zdaniem to jedyny kompozytor, którego utwory są zdolne przeniknąć barierę oddzielającą nasz świat od tego, co znajduje się po drugiej stronie.

- Zapytał, czym się zajmujesz?

- Nie przypominam sobie, ale nawet gdyby zapytał, i tak nie powiedziałabym prawdy. Jak zawsze skłamałabym, że pracuję w sektorze inwestycji bankowych.

- Ale on wyznał ci, jak zarabia na życie?

- Tak. Powiedział, że zajmuje się obserwacją ptaków. Rzekł po prostu: „Obserwuję ptaki”, i myślałam przez chwilę, że kpi sobie ze mnie. Pomyślałam: „Jezu, zaczyna się”. Zaraz jednak dodał, że znalazł okresowe zatrudnienie polegające na lataniu małym sportowym samolotem nad mokradłami parku Everglades i filmowaniu kluczy migrujących ptaków. To mnie przekonało. Zresztą, jak raz zesłaliśmy na temat ptaków, już myślałam, że nigdy nie przestanę o nich gadać.

- Jednak zostałeś z nim?

- Na kilka godzin.

- Aż tak długo?

- Nie miałam wtedy nic szczególnego do roboty.

Jak skrzydła to wytrzymują? Kiedy samolot ważący ze trzysta ton napotyka na drodze gwałtowny wir powietrza, coś w rodzaju trąby tornada uderzającej w jego bok, po czym spada kilkadziesiąt metrów albo nawet więcej, a gdy tylko odzyskuje stateczność, wpada w drugi wir i znów zwala się ku ziemi, jakim cudem skrzydła nie odrywają się od kadłuba? Flint zna odpowiedź na to pytanie, ale pochodzi ono od Bena, a ponieważ wszystko, co się z nim wiąże, jest teraz dla niej synonimem fałszu, uznaje to wyjaśnienie za nieprawdziwe, przynajmniej do czasu.

Nie ulega wątpliwości, że boeing zmaga się z turbulencjami, i to tego rodzaju, których nie widać na radarach meteorologicznych. Nieświadom ich obecności kapitan nie jest w stanie ich uniknąć, nie ma więc innego wyjścia, jak przeprowadzić przez nie maszynę. Krótki

komunikat z kabiny pilotów sprawia, że stewardesy śpieszą na swoje miejsca i także zapinają pasy. Ponad fotelem Flint otwiera się panel, zza którego wysuwają się uwieszone na końcach węży trzy maski tlenowe przypominające trzy stryczki czekające na skazańców.

- Skoncentrujmy się na swoim zadaniu, dobrze?

- Błagam!

- Czy Ben mógł wiedzieć, że tego wieczoru będziesz w Tobacco Road?

- Wykluczone. Podjęliśmy decyzję pod wpływem chwili. Przypadkiem przechodziłyśmy tamtędy z Ruth w drodze do mojego hotelu i postanowiłyśmy się czegoś napić.

- Więc może szedł za wami?

- Dlaczego miałby to robić?

- Może jedynym celem jego przyjazdu do Miami było zawarcie znajomości z tobą?

Może chodziło mu wyłącznie o to?

Ta ewentualność drzemie gdzieś na skraju jej świadomości już od kilku dni, podobna do wiszącej nad horyzontem chmury burzowej. Celowo nie chciała jej do tej pory rozpatrywać.

- Jasna cholera! Serdeczne dzięki! Co chcesz przez to powiedzieć? Że od samego początku byłam omotana siecią kłamstw? Otóż poważnie się mylisz.

- Czyżby?

- Zastanów się. Kiedy poznałam Bena, nikt jeszcze nie myślał o operacji „Zielone Świątki”. W ogóle nie byliśmy świadomi istnienia Karla Grobera. Zналиśmy się z Benem od kilku miesięcy i rozmawialiśmy już o ślubie, kiedy po raz pierwszy na scenie pojawił się Grober i banda jego opryszków.

- A kto mówił o operacji „Zielone Świątki”?

- Bo przecież ona przez niego zakończyła się niepowodzeniem, prawda?

- Ach, rozumiem. Kurczowo trzymasz się tej płonnej nadziei, że Ben stał się szcurem dopiero po waszym ślubie.

Wtedy ktoś zainteresowany operacją przypomniał sobie o nim i rzekł: „Słuchajcie! Znamy faceta, który może zdobyć dostęp do akt operacyjnych!”. A potem wykorzystali jakiś kompromitujący fakt z przeszłości, żeby go szantażować. W końcu musiał mieć jakąś przeszłość, skoro spreparowano mu cały życiorys, prawda, Grace? Myślisz więc, że Bena zmuszono do tego, żeby cię zdradził? O to chodzi? Właśnie takie wyjaśnienie ci najbardziej pasuje?

- W każdy razie go nie wykluczam.

- Naprawdę?

Flint wie z doświadczenia, że newralgicznym punktem niemal każdego przesłuchania jest rozwianie ostatniego promyka nadziei. Trzeba pozwolić, żeby obiekt trochę się rozluźnił, rozejrzał uważnie i zaczął się łudzić, że dostrzeżone wyjście może być dla niego szansą ratunku, a potem w jednej chwili pozbawić go tej nadziei. Kiedy zaczyna myśleć, że najgorsze ma już za sobą okazuje się, że to nieprawda.

- Czy mogę ci coś powiedzieć, Grace, o czym sama doskonale wiesz? Już od waszego pierwszego spotkania Ben Gates był szcurem. Był nim jeszcze wcześniej, zanim go poznałaś. Został stworzony i uformowany tylko w jednym celu: aby z twoją pomocą uzyskać dostęp do tajnych materiałów wydziału.

- Nie możesz tego wiedzieć na pewno.

- Owszem, wiem, podobnie jak ty. I zaraz ci powiem dlaczego. Otóż znajomy, z policji w Miami wyciągnął dla ciebie wszelkie dane dotyczące Bena, chcąc ci się przysłużyć, i dzięki jego gorliwości otrzymałaś jasny, klarowny obraz. Ben Gates istniał tylko dlatego, że liczne wpisy w komputerowych bazach danych potwierdzały jego istnienie, poczynając od aktu urodzenia, a kończąc na mandatach za przekroczenie szybkości. I doskonale wiemy, zarówno ty, jak i ja, że gdyby dokładnie prześwietlić te dane, okazałoby się, że potwierdzają je stosowne dokumenty znajdujące się we właściwych urzędach. Ben to nie tylko papierowa przykrywka, Grace, ograniczona do podstawowego zestawu fałszywych dokumentów. Ben jest realnie istniejącą tożsamością, choć tak samo fałszywą. Kto mógł go stworzyć? Kto w tym kraju dysponuje możliwościami ożywienia dowolnej wymyślonej postaci?

- Na pewno federalni szeryfowie zarządzający programem ochrony świadków. Pewnie także CIA oraz IRS. Może również FBI albo DEA.

- Otóż to, Grace. Musiała tego dokonać któraś z federalnych agencji. Czy sądzisz więc, że zadano by sobie tyle trudu, by stworzyć Bena Gatesa na wszelki wypadek, z nadzieją, że kiedyś pozna się i ożeni z kimś użytecznym, przez przypadek pracującym w innej agencji federalnej, do której tajnych informacji warto by mieć dostęp? Nie wierzę w to. Jeśli chcesz być uczciwa wobec samej siebie, także nie powinnaś się łudzić, bo w końcu to ty musisz stawić czoło zaistniałej sytuacji. Zmierzyć się z nią. Ben Gates został stworzony specjalnie po to, żeby cię podejść, oczarować, uwieść, zaciągnąć do łóżka i na stałe wniknąć w twoje życie.

Wyszli wreszcie z rejonu turbulencji. Kapitan przez interkom przeprasza pasażerów, którzy się trochę poobijali.

- Wcale mnie nie uwiódł. Bałam się, że nigdy nie zrobi pierwszego kroku, więc to ja zaciągnęłam go do łóżka.

Oskarżona Grace ma ten jeden wąty promyk nadziei, którego pragnie się kurczowo trzymać.

ANGLIA

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

W pięknie wykończonej sali restauracyjnej Reform Club w londyńskim Pall Mall (z niewiadomych powodów nazywanej salą kawiarnianą) Nigel Ridout z MI6 i AJ. Devereaux z MI5 spotykają się na wczesnym śniadaniu. Pod wieloma względami toczy się wyniszczająca rywalizacja między oficerami wywiadu i kontrwywiadu, ale żaden z nich nie zniża się do tego poziomu. Obaj pochodzą z dobrych rodzin, kończyli równorzędne prywatne szkoły dla uprzywilejowanych, a potem studiowali na tym samym wydziale w Oksfordzie. Mimo że Devereaux ma wyższy stopień i jest o osiem lat starszy, łączy ich wiele wspólnych znajomości i podobne zainteresowania, w tym także upodobanie do pięknych kobiet. Obserwując ich w trakcie podobnych prywatnych spotkań, można by nawet uznać, że są przyjaciółmi.

- Obawiam się, Alan, że zapędzona w ślepią uliczkę potrafi być bardzo niebezpieczna - mówi Ridout, mając na myśli Flint. - Nie wiem tylko, jak sprawdza się w tropieniu.

- To ci powiem. - Devereaux uśmiecha się szeroko, wyraźnie rozbawiony. - Jednego faceta tropiła ze szczególną zaciekłością jak lisa podbierającego jej kury z kurnika. Nazywał się Frank Harling. Jak tylko zwietryła jego trop na Karaibach, podążała za nim uparcie, najpierw do Włoch, potem do Francji, wreszcie na Cypr, gdzie go zastrzeliła. Dasz wiarę? Pozornie zrobiła to w samoobronie, ale mówiąc szczerze, bardzo w to wątpię.

- I robiła to tylko z własnej inicjatywy? Cały ten pościg za Harlingiem nie był w żaden sposób formalnie usankcjonowany?

- No cóż, akcja na Karaibach było częścią oficjalnej operacji prowadzonej wspólnie z kowbojami Aldusa Cuttera i Scotland Yardem przeciwko pewnemu oszustowi bankowemu. W trakcie jej trwania ujawnił się trop Harlinga. Po zakończeniu operacji i powrocie do Londynu miała wziąć urlop zdrowotny, zostawiając sprawę Harlinga poważniejszym agentom, ale wymknęła się za granicę z fałszywym paszportem i rozpoczęła samotnie łowy.

Ridout popija w zamyśleniu herbatę earl grey, bez mleka i cytryny, drobnymi kęsami skubie suchy tost. Jest zwolennikiem bardzo skąpych, wręcz ascetycznych śniadań.

- Zatem po powrocie z Karaibów nie powinna mieć dostępu do tajnych informacji w tej sprawie?

- Nie powinna, ale stało się inaczej - odpowiada Devereaux, z apetytem zajadając porcję płatków śniadaniowych z mlekiem. - Nie miała oficjalnego dostępu do oficjalnych informacji, ale Flint jest mistrzynią w ich wyciąganiu, jeśli choć na chwilę spuści się ją z oczu. Owinęła sobie wokół palca paryskiego gliniarza, inspektora Bourdonneca, który pomógł jej o wiele więcej, niż powinien, a mówiąc między nami, wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że sporo informacji dostarczył jej też Cutter.

Ridout marszczy brwi, niezbyt zadowolony z tych wiadomości. Devereaux, który bardzo chce mu pomóc, dodaje szybko:

- Zresztą nie wątpię, że i bez tego wcześniej czy później odnalazłaby Harlinga. Ona należy do osób szczególnie upartych, Nigel. Rzekłbym, że nieznośnie upartych.

Ridout nie ujawnił powodu, dla którego MI6 zainteresowało się nagle Flint, a Devereaux o to nie pytał. On z kolei nie powiedział, że Harling był informatorem MI5, nie przyznał się również, że to przez niego w Paryżu eksplodowała bomba, która zrobiła z inspektora Bourdonneca inwalidę. Oczywiście Ridout zna plotki na ten temat, lecz woli się na nich nie opierać. Kiedy zachodzi konieczność, agenci wywiadu i kontrwywiadu dzielą się nawzajem informacjami o swoich porażkach, ale zawsze potrafią zachować dyskrecję.

Devereaux nie może jednak zapomnieć, że kiedy po raz ostatni widział się z Flint, gdy wtargnęła do Thames House naładowana niczym burza gradowa, zagroziła mu otwarcie ujawnieniem wszystkich szczegółów dotyczących sprawy Franka Harlinga, jeśli z tajnych kont MI5 nie wpłynie znacząca darowizna na fundusz instalacji windy w domu Gilles'a Bourdonneca. Nadal ma ją przed oczyma, stojącą w jego gabinecie, w pantofelkach na płaskim obcasie i szarej garsonce, miotającą wściekłe spojrzenia, gdy on próbuje ją zastraszyć, odczytując listę możliwych kar za naruszenie przepisów ustawy o ochronie tajemnicy państwowej.

Tym bardziej chcąc pomóc koledze, dodaje z uśmiechem:

- I do tego ma naprawdę słoniowe jaja. Nigel Ridout z poważną miną kiwa głową.

Energicznym krokiem wchodzi do lobby Ceausescu Towers, skręca w boczny korytarz prowadzący do biblioteki i otwiera ciężkie stalowe drzwi, które jednak nie strzegą żadnych tajemnic MI6, tylko oddzielają salę gimnastyczną, gdzie Cooper-Cole w obcisłym stroju sportowym wyciska sztangę, leżąc na ławce.

- Ach, tu jesteś, Stephanie! - woła Ridout od progu, jeszcze zanim ona wyczuje jego obecność, jakby nie wiedział doskonale, gdzie jej szukać o wpół do dziewiątej rano w dzień wolny od pracy.

- A gdzie miałabym być, Nigel? - odpowiada kwaśno, zachodząc w głowę, jak długo przyglądał jej się w milczeniu.

- Muszę zamienić z tobą kilka słów. Spotkajmy się na basenie - rzuca z uśmiechem, jako że wbrew intencjom architektów, w centrali Tajnych Służb Wywiadowczych nie ma basenu kąpielowego, gdyż w ministerstwie uznano w ostatniej chwili, że byłaby to zbyt duża ekstrawagancja.

Zamiast basenu powstał więc kort do badmintona, na którym Ridout czeka niecierpliwie, aż Cooper-Cole się przebierze. Nerwowo krąży wzdłuż końcowej linii boiska, przetwarzając w myślach radę, jakiej udzielił mu Devereaux już po wyjściu z klubu, gdy żegnali się na schodach przed budynkiem: „Jeśli zastanawiasz się, czy nie wykorzystać Flint do jakichś swoich celów, miej na uwadze, że ona jest jak niesforny berbec, znacznie trudniejszy do upilnowania niż podskakujący granat. Więc gdybyś się jednak zdecydował wyciągnąć zawleczkę, lepiej trzymaj głowę nisko, bardzo nisko, przyjacielu”.

To bez wątpienia bardzo mądra rada, której Ridout zamierza posłuchać. Zresztą trzymanie głowy nisko jest nieodłącznym elementem obmyślanej przez niego strategii działania.

Wreszcie pojawia się Cooper-Cole w dresie, z ręcznikiem przewieszonym przez szyję i włosami mokrymi po kąpieli. Wyraźnie jest w dużo lepszym nastroju. Rzuca żartobliwie:

- Masz ochotę zagrać, Nigel?

- Mam ochotę wysłać cię w trasę, Stephanie - odpowiada. - Na Heathrow, w drugim terminalu, trzeba stworzyć komitet powitalny dla Flint. Leci liniami Virgin, nie British Airways. Zabierz ze sobą tego pechowca, Fellowesa. - Spogląda na zegarek. - Macie dwie godziny.

- Co mamy konkretnie robić, kiedy już ją powitamy w Londynie?

- Nie traktuj tego tak dosłownie, Stephanie. Oczywiście nie chodzi mi wcale o to, byście ją powitali. Macie podjąć obserwację, śledzić każdy jej krok. Upewnijcie się, żeby dotarła bezpiecznie do domu i zdążyła na spotkanie z tatusiem, jeśli on doczeka tej chwili.

Po twarzy Cooper-Cole przemyka bolesny grymas, jakby dyrektor rozdrapywał jej świeżą ranę.

- Matko Boska! Tylko popatrz! - wykrzyknął Fellowes, kiedy skończyli przeszukiwać pusty dom doktora Flinta i wrócili do stodoły, której drzwi nie były już zamknięte od środka.

Znaleźli Johna Flinta skulonego w niedużej klatce, nieprzytomnego, z włosami z tyłu głowy zlepionymi krwią.

Cooper-Cole ostrożnie otworzyła klatkę i przytknęła mu palce do szyi, żeby wyczuć puls. Był słaby i nierytmiczny, a oddech urywany i płytki, mimo to błyskawicznie podjęła decyzję, żeby nie wzywać od razu pogotowia. Najpierw metodycznie przeszukali całą stodołę w poszukiwaniu Mandragory. Kiedy się przekonali, że zniknął bez śladu, postanowili zrobić to samo - wysłiznęli się na podwórze i zamknęli za sobą drzwi stodoły, zostawiając gospodarza w klatce. Dopiero gdy dojechali do Oksfordu, poprosiła Fellowesa, by wykonał anonimowy telefon na policję.

- Bardzo mądrze! - wykrzyknął Ridout, kiedy się o tym dowiedział. - Zawsze trzeba przede wszystkim mieć na uwadze względy bezpieczeństwa.

Cooper-Cole ma jednak świadomość, że to celowe opóźnienie mogło jedynie pogorszyć stan doktora Flinta, i dręczy ją z tego powodu jeśli nie poczucie winy, to przynajmniej dotkliwy żal. Ale Nigel, jak to ma w zwyczaju, brutalnie wykorzystuje ten przejaw słabości.

- Jak myślisz? Dożyje spotkania z córką? - pyta. - Masz o nim jakieś wiadomości?

- Jest w stanie krytycznym, lecz stabilnym - odpowiada spiętym głosem, nie dając się wciągnąć w pułapkę. Dokładnie to usłyszała, gdy godzinę wcześniej zadzwoniła do szpitala, podając się za córkę Flinta.

- Zresztą to i tak nie ma większego znaczenia, prawda? Ridout przygląda jej się uważnie i po chwili dodaje:

- Nam nie robi to żadnej różnicy, czy przeżyje, czy umrze. Cooper-Cole nadal nie reaguje.

- Przynajmniej w kategoriach operacyjnych, do czasu, aż Grace dowie się prawdy.

Wreszcie z trudem przełyka ślinę i pyta:

- Jakiej prawdy, Nigel?

- Że to Mandragora, czyli jej ukochany Ben tak załatwił biednego tatusia, wysłał go do szpitala, a może nawet, nie daj Boże, na tamten świat.

To odnosi w końcu skutek, bo przez parę sekund spogląda na niego z rozdziawionymi ustami, wreszcie pyta cicho:

- I co wtedy?

- Wtedy chyba zaczniesz go szukać, prawda? Słyszałem, że jest w tym dobra. Wystarczy jej tylko odrobina odrażającego fetoru ciągnącego się za Mandragorą, żeby bez wytchnienia ruszyła jego tropem, odnalazła go i wyciągnęła z korzeniami z kryjówki, w której się zaszylał.

Cooper-Cole w zamyśleniu ściąga z ramion ręcznik i zaczyna wycierać mokre włosy.

- Bardzo sprytnie, Nigel. To chytry plan. Ma tylko jeden słaby punkt.

- Jaki? - pyta Ridout z wyraźnym powątpiewaniem, że jego strategia może zawierać jakieś niedociągnięcia.

- Jeśli będzie nas tylko dwoje, ja i Fellowes, nie damy rady skutecznie śledzić każdego jej kroku. Będzie mi potrzebnych co najmniej pięć czteroosobowych zespołów obserwacyjnych, a może nawet więcej, jeśli nie dopisze jej wyjątkowe szczęście. Nawiasem mówiąc, nie mam pojęcia, skąd wytrzaśniesz ludzi potrzebnych do tej roboty.

- Do jakiej roboty, na miłość boską?!

- Do śledzenia Mandragory. Bo przecież o to ci chodzi, prawda? Chcesz, żeby Flint doprowadziła nas do Mandragory.

Z miny Nigela Ridouta rzadko można cokolwiek wyczytać, ale tym razem maluje się na niej bezgraniczne zdumienie.

- Dobry Boże! Ty nadal nic nie rozumiesz! Wcale nie chcę, żeby Flint doprowadziła was do Mandragory! Gdyby udało jej się go odnaleźć i przyskrzynieć za wszystko, co zrobił, nikogo z was nie powinno być w promieniu co najmniej stu kilometrów! - Bierze ją pod rękę.

- Czy to dla ciebie jasne, Stephanie? Czy wreszcie dotarło do ciebie, co jest moim celem?

Owszem, dotarło. Ale ta świadomość sprawia, że Cooper-Cole przenika mimowolny dreszcz.

Siedzący za biurkiem Ridout wraca już do czytania poczty elektronicznej przesyłanej specjalnie zabezpieczonymi łączami komputerowymi, gdy Cooper-Cole z depczącym jej po piętach olbrzymim Fellowesem ruszają do wyjścia. Agentka zatrzymuje się jednak przed drzwiami, odwraca i pyta w zamyśleniu:

- A co będzie, jeśli ona sama nie dojdzie do wniosku, że to robota Mandragory. Jeśli...

- Chce powiedzieć: „John Flint umrze”, ale te słowa nie przechodzą jej przez gardło. - Jeśli jej ojciec nie odzyska przytomności?

- Wtedy będziesz musiała ją naprowadzić innymi sposobami. To chyba oczywiste - rzuca Ridout, nie odrywając wzroku od ekranu monitora.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Siedząca w rogu szpitalnej sali Grace Flint porusza się, wyrwana z półsnu świadomością, że w otoczeniu coś się zmieniło. Wstrzymuje oddech i zaczyna się wsłuchiwać w stuki i szумы aparatury podtrzymującej ojca przy życiu. Pospiesznie spogląda na ekran czarnego monitora umieszczonego nad wezłowiem łóżka, na którym przesuujące się zielone punkty rejestrują rytm pracy serca i funkcje oddechowe. Na obu wykresach widnieją regularne piki, może więc odetchnąć z ulgą.

Ostrożnie podnosi się z fotelika, na tyle dużego, by mogła się w nim zdrzemnąć z podkulonymi nogami, i podchodzi do łóżka, uważnie omijając płataninę kabli i wężyków biegnących od aparatury do leżącego bez ruchu pacjenta. W mętym blasku nocnej lampki jego twarz o popielatej cerze sprawia wrażenie śmiertelnie bladej, aż z trudem rozpoznaje w nim ojca, co napawa ją wstydem. Jego czoło, lepkie od potu, na dotyk wydaje się lodowato zimne. Gdyby nie wskazania szpitalnej aparatury, byłaby skłonna uwierzyć, że ma przed sobą trupa.

Ciche chrząknięcie wyrywa ją z tych ponurych rozważań.

- Proszę wybaczyć. Panna Flint? - rozlega się stłumiony męski głos.

Grace podnosi głowę i zerka w stronę mężczyzny stojącego w drzwiach. Ponad jego ramieniem drugi ciekawie zagląda do środka.

- Inspektor detektyw Flint?

To pytanie brzmi tak absurdalnie, że ma ochotę natychmiast sprostować: „Zastępca kierownika pionu operacji specjalnych, Flint”. Ale tylko kiwa głową, gdyż takie właśnie stanowisko zajmowała ostatnio w londyńskiej policji metropolitarnej, zanim odeszła ze służby. Jeśli chodzi o ścisłość, przemyka jej przez głowę, że nie jest już także agentką amerykańskiego Wydziału Ścigania Przestępstw Finansowych.

- Inspektor Drake z wydziału dochodzeniowego w Banbury. Możemy zamienić parę słów?

Postanawia szybko, że wyjdzie na korytarz i stanie oparta ramieniem o ścianę przy uchylonych drzwiach, nie oddali się od nich ani na krok.

- Nie zakłóćmy mu spokoju, inspektorze - odpowiada lodowatym tonem - choć bardzo tego żałuję. Chciałabym, żeby się ocknął i kazał nam się zamknąć, ale tego nie robi.

Świetnie wie, że policjanci nie są niczemu winni, ale w takiej chwili do wszystkich odnosi się z jednakową wrogością.

- Detektyw Bastable - mówi Drake, ruchem głowy wskazując kolegę, który beczelnie obrzuca ją badawczym spojrzeniem.

Jego wzrok świadczy jednoznacznie, że barwione henną włosy, sztuczna opalenizna, skąpa bawełniana bluzka i obcisłe skórzane spodnie, krótko mówiąc, cała przykrywka fałszywej fotoreporterki, Katii Portelli, nie pasuje do kobiety, która czuwa w szpitalu przy umierającym ojcu.

Chrzań się, Bastable.

- Więc? - zwraca się do Drake'a. - Kto tak urządził mojego ojca?

- Nie wiemy. Liczyliśmy na to, że pani pomoże nam rozwiązać tę zagadkę.

Cudownie! Tylko mi tu jeszcze brakowało brygady nudziarzy.

Ojciec nazywał takich „rzepogłowymi”.

- Byłam pięć tysięcy kilometrów stąd, kiedy to się stało, inspektorze. Mieszkam w Ameryce.

Drake ma łagodne, wyrozumiałe oczy, sprawia wrażenie bezgranicznie cierpliwego.

- Wiemy o tym, panno Flint - mówi, z naturalną swobodą rezygnując z posługiwania się jej służbowym stopniem. - Ale to nie zmienia faktu, że może pani nam pomóc w śledztwie. Pani ojciec bez wątpienia znał napastnika.

- Słucham?

- Nie znaleźliśmy śladów włamania. W kuchni przy zlewie stały dwie szklaneczki z resztkami whisky, jak wykazały wyniki analizy. Niezasłane były dwa łóżka, jedno pani ojca, a drugie w pokoju, który prawdopodobnie należał kiedyś do pani i zawsze był gotów na wypadek pani przyjazdu do domu.

W moim pokoju? Ten bydlak, który to zrobił, spał w moim łóżku?!

- Znaleźliście odciski palców? - pyta, siłąc się na spokój.

- Nie. Szklaneczki zostały starannie wytarte. Napastnik wymył także lampę na biurku w gabinecie pani ojca, której użył jako broni.

Dobry Boże! - myśli Grace, skojarzywszy, że podstawa lampki ojca jest zrobiona z lanego żelaza i musi ważyć z dziesięć kilogramów.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego sądzimy, że powinna pani znać napastnika. - Drake urywa na chwilę, gdyż Flint zagłąda do pokoju.

Z jej pamięci wypływają natrętne wspomnienia z dzieciństwa, zwłaszcza z beztroskiego okresu poprzedzającego zniknięcie matki. Przypomina sobie, jak leżała w łóżku zasłuchana w monotony klekot maszyny do pisania, wyobrażając sobie, że ojciec spisuje tajemnice państwowe, które zamierza sprzedać wrogom kraju; jak niejednokrotnie zakradała

się do gabinetu na dole, omijając trzeszczące stopnie, i za jego plecami włąziła na stolik do kawy obok masywnej lampki, gotowa skoczyć mu na kark w razie odkrycia przerażającej prawdy; jak próbowała go przestraszyć, wołając na cały głos: „Muppet!”, chociaż zawsze potrafił wyczuć jej obecność; jak zdejmował ją ze stolika, obracał w powietrzu, w końcu brał na ręce i zaczynał łaskotać, dopóki nie przyznała się do wszystkiego.

- Przepraszam - mówi, odwracając się z powrotem do Drake'a. - Co pan mówił?

- Nie była pani jeszcze w domu, prawda, panno Flint?

- Nie. Od razu przyjechałam tutaj.

- W takim razie muszę pani opisać, co tam znaleźliśmy. Nie licząc bałaganu w gabinecie, gdzie nastąpił atak, który zresztą sam posprzątałem... - Urywa, jakby w oczekiwaniu, że podziękuje mu choćby lekkim uśmiechem. - W pozostałych pomieszczeniach nie ma żadnych śladów płądrowania czy myszkowania. Podejrzewam, że nic nie zginęło. Poza jednym. - Inspektor rozgląda się po korytarzu, jak gdyby z obawy, że ktoś ich podsłuchuje. - Otóż łóżko w pani pokoju zostało odsunięte, a kilka klepek podłogi pod łóżkiem wyjętych i odłożonych na bok. To wyraźnie o czymś świadczy, prawda, panno Flint?

- Rzeczywiście. Tylko o czym?

- Nie chce nam pani pomóc zawęzić obszar poszukiwań?

Bastable ciągle milczy, ale jego postawa z rękoma skrzyżowanymi na piersi świadczy wyraźnie, że chętniej zacytowałby jej akt oskarżenia, niż o cokolwiek pytał.

- Proszę mówić, inspektorze.

- Moim zdaniem możemy swobodnie zakładać, że kiedyś pod obluzowanymi klepkami podłogi pod łóżkiem zostało coś ukryte. Oczywiście mógł to zrobić jedynie człowiek mający pełen dostęp do pani sypialni. I dwa dni temu ta sama osoba, jak wszystko na to wskazuje, dobrze znana pani ojcu, skoro wypił z nią drinka i zaproponował nocleg w sypialni, nie w pokoju gościnnym, ale w pani sypialni, zjawiała się ponownie w domu i zabrała rzeczy ukryte pod podłogą. Nie chcę być niegrzeczny, panno Flint, ale muszę zapytać, ilu mężczyzn miało swobodny dostęp do pani sypialni w Glebe Farm?

Tylko jeden, przemyka jej przez myśl. Pieprzony Ben.

* * *

Czuje się zraniona, pobita, jakby konstabl Bastable w końcu wyszedł z siebie i puścił w ruch wielkie pięści. Nie stracił jednak cierpliwości, zamiast tego przyniósł składane krzeselka i plastikowe kubeczki z kawą, która okazuje się podła i kwaśna, ale gorąca,

zapewne przygrzana w kuchence mikrofalowej, toteż Grace ma nadzieję, że pomoże jej przynajmniej trochę się rozgrzać, bo na odsłoniętych przedramionach ma gęsią skórka.

- Zimno ci, Grace? - Drake bez pytania przechodzi na ty, co robią wszyscy oficerowie śledczy na pewnym etapie przesłuchania.

Flint chętnie włożyłaby swoją flanelową koszulę, poprosiłaby kogoś z nich, żeby ją przyniósł, ale zostawiła ją na oparciu krzesła w sali, a nie chce, by policjanci tam wchodzili.

- Nie - odpowiada, kręcąc głową. - Wszystko w porządku.

Nie odpowiedziała dotąd na pytanie Drake'a dotyczące gości odwiedzających jej sypialnię, a inspektor jest na tyle taktowny, żeby nie naciskać. Czeka cierpliwie, patrząc na nią uważnie, jakby miał nadzieję, że zdoła coś wyczytać z jej miny.

- Kiedy miałam dwanaście lat, poszłam do szkoły z internatem, Tudor Hall. Tylko sporadycznie przyjeżdżałam do domu na weekendy, wakacje zaś najczęściej spędzałam w Londynie, w domu mojej najlepszej przyjaciółki. Gdy miałam szesnaście lat, a dokładnie szesnaście i pół, poważnie zachorowałam. Jakiś czas spędziłam w szpitalu, a później przeniosłam się do Paryża, gdzie mieszkałam do ukończenia osiemnastego roku życia. Chcę przez to powiedzieć, że chłopcy, z którymi się spotykałam w młodości, nie pochodzili z tych okolic i nigdy mnie nie odwiedzali w Glebe Farm.

Flint doszła do wprawy w opowiadaniu tego rodzaju bajek o swoim życiu, tylko w zarysach opartych na faktach.

- Z Paryża przeniosłam się do Londynu, gdzie wstąpiłam do służby w policji metropolitarnej. Mój ojciec bardzo źle to przyjął, gdyż nigdy nie miał najlepszego zdania o oficerach policji.

Flint urywa i spogląda na Drake'a, który odpowiada szybko:

- Wiem o tym. Czytałem twoje akta.

- Naprawdę? - Pozwala sobie na odrobinę zdumienia, uważając, by nie przesadzić. - Rozumiem. W takim razie zapewne wiecie, że w wieku szesnastu lat przeszedłam rodzaj załamania nerwowego. Zaczęłam mieć wizje, iż mój ojciec zamordował matkę, aż w końcu sama sobie wmówiłam, że to prawda. Tłumione wspomnienia zaczęły do mnie wracać w postaci majaków sennych. Wreszcie zgłosiłam się na policję i oskarżyłam go o zabójstwo. Musiałam być przekonująca, bo przeze mnie ojciec miał dużo nieprzyjemności. Pańscy koledzy byli bardzo gorliwi, inspektorze. Mówiąc szczerze, wykazali się wyjątkową podłością.

Drake wyrozumiale kiwa głową.

- Zatem rozumie pan już, dlaczego tak bardzo gardził gliniarzami. Nie zmienił się tylko jego stosunek do mnie. Po wstąpieniu do służby czasem umawiałam się z kolegami, ale nigdy nie przyjeżdżałam z nimi do domu. A później poznałam Jamiego, mojego pierwszego męża, który, co prawda, nie był gliniarzem, ale miał alergię na tereny wiejskie. I to poważną alergię. Wystarczyło, że wyjechał pięć kilometrów poza Londyn, i natychmiast zaczynał kichać. Tak więc z nim również nigdy nie przyjechałam do Glebe Farm. Natomiast po rozwodzie przeniosłam się do Stanów Zjednoczonych i od tamtej pory mieszkam tam na stałe, choć zdarza się, że w podróży służbowych odwiedzam inne kraje.

- Rozumiem, Grace - mówi Drake, pochylając się na krzesło i opierając łokcie na kolanach. - Ogólnie rzecz biorąc, chcesz powiedzieć, że żaden mężczyzna nie miał wcześniej swobodnego dostępu do twojej sypialni w Glebe Farm, a przynajmniej ty nic o tym nie wiesz.

- Niezupełnie.

Inspektor podnosi głowę i spogląda na nią ze zdumioną miną.

- W Ameryce poznałam mojego drugiego męża, Bena, który także nie jest gliniarzem. Wracając z podróży poślubnej, przyjechaliśmy odwiedzić ojca i zatrzymaliśmy się tu na kilka dni. Zatem on miał dostęp do mojej sypialni. - Uśmiecha się, czując na sobie uważny wzrok Drake'a. - I mógł coś ukryć pod podłogą.

Inspektor milczy przez chwilę i nadal z poważną miną świdruje ją przenikliwym spojrzeniem.

- A ten Ben, twój mąż, jest Amerykaninem?

- Kanadyjczykiem.

- Lecz obecnie przebywa w Stanach Zjednoczonych?

- Prawdę mówiąc, od kilku tygodni siedzi w Afryce. Jest ornitologiem, zajmuje się obserwacją ptaków w Tanzanii.

- Ale jesteś z nim w kontakcie, prawda?

- Przebywa gdzieś w głębi buszu, z dwudziestoosobową ekipą.

Drake odchyła się na oparcie krzesła i prostuje rękę.

- Bastable, przynieś pannie Flint drugą kawę, jeśli łaska. Grace świetnie wie, o co mu chodzi. Chce ją przetestować.

Czeka, aż sama podejmie ten wątek i zacznie go rozwijać, jak czynią wszyscy kłamcy. Dlatego uparcie milczy.

- Powiem ci, co mnie zastanawia - odzywa się w końcu inspektor. - Z oględzin miejsca zdarzenia, ułożenia plam krwi i tak dalej, wiemy, że twój ojciec został zaatakowany przy biurku, gdy siedział przy telefonie. Obok aparatu leżał kalendarzyk otwarty na stronie z

twoimi i tylko twoimi numerami. Można więc zakładać, że chciał do ciebie zadzwonić. Tyle że okazało się to niemożliwe, bo linia telefoniczna została przecięta. Rozumiesz?

Unosi dłoń i wyprostowanymi palcami robi w powietrzu taki ruch, jakby coś przecinał nożyczkami.

- Dlatego pojawia się bardzo istotne pytanie: Komu mogło zależeć, żeby się z tobą nie skontaktował? Co chciał ci powiedzieć aż tak ważnego? Przy czym wcale nie musiało to być ważne dla niego, dla twojego ojca. Może więc chciał cię tylko zawiadomić, że odwiedził go nieoczekiwany gość. Któż to mógł być, Grace? Komu mogło zależeć, abyś nie dowiedziała się o jego wizycie na Glebe Farm, bo chciał w spokoju zajrzeć do skrytki pod podłogą w twoim pokoju, choć w tym czasie powinien przebywać zupełnie gdzie indziej? Kto byłby gotów roztrzaskać czaszkę twojemu ojcu, byle tylko powstrzymać go od zawiadomienia cię o przyjeździe gościa?

- I tak nie mógłby mnie o niczym powiadomić. Powiedziałaś przecież, że linia telefoniczna została przecięta.

- To prawda. Ale to także mógł odkryć twój ojciec. Co by się stało, gdyby postanowił do ciebie zadzwonić i podniósł słuchawkę, ale nie usłyszał ciągłego sygnału? Zapewne wyszedłby przed dom, żeby sprawdzić kable, i zauważyłby, że są przecięte. To musiałyby mu dać do myślenia, prawda? Na pewno zaczęłyby zadawać pytania.

Flint nie może się uwolnić od myśli, że ma jednak do czynienia z brygadą „rzepogłowych” nudziarzy.

- Jak się domyślam, w którejś kartotece powinny się znaleźć odciski palców twojego męża, prawda? - odzywa się Bastable, jakby wprowadzony do gry z ławki rezerwowych na czas nieobecności Drake'a, który parę metrów dalej rozmawia przez telefon komórkowy.

- Nie mam pojęcia, z jakiego powodu miałyby być zdejmowane - odpowiada. - Ale za kilka dni Ben ma wrócić do domu.

- To znaczy do Connecticut?

- Właśnie tam mieszkamy.

- Zatem będziemy mogli się zwrócić do FBI z prośbą o zdjęcie i przesłanie jego odcisków palców?

- Zapewne.

- Oczywiście tylko po to, żeby wyeliminować go z grona podejrzanych.

- Oczywiście.

Przecież nie macie żadnych odcisków, z którymi moglibyście je porównać, konstablu, ponieważ dokładnie wytarł szklaneczki i lampę na biurku.

- Tak więc zadzwonisz do nas zaraz po jego powrocie, jak tylko zyskasz okazję, żeby z nim porozmawiać?

Prawdę powiedziawszy, nie zadzwonię, konstablu, ponieważ Ben nie wróci, a ja jestem ostatnią osobą, z którą chciałby obecnie rozmawiać. Będzie to możliwe dopiero wtedy, gdy sama go odnajdę.

- Oczywiście, że zadzwonię - kłamie.

Wstaje z krzesła i zagląda przez uchylone drzwi do sali, aby upewnić się, że zielone punkty na ekranie wciąż rysują te same linie z rozmieszczonymi w równych odstępach pikami, jedynymi oznakami życia jej ojca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

W pokoju ojca - w jego prawdziwej sypialni, gdzie łóżko nie jest tak nienaturalnie wysokie, nie ma syczącej i postukującej aparatury podtrzymującej życie oraz plątaniny kabli i wężyków - na podłodze leżą otwarte dwie duże walizki. Są w nich ubrania oraz garść rzeczy osobistych, które spakowała przed podłożeniem ognia w Miller's Reach. Zabrała tylko to, co w jej świadomości nie zostało skażone i nie wiąże się bezpośrednio z osobą Bena Gatesa.

W pierwszej kolejności wyjęła z walizki fotografię matki w srebrnej ramce i ustawiła ją na nocnej szafce, stojącej po tej stronie łóżka, która przed laty należała właśnie do matki. Grace zamierza spędzić noc w tym pokoju, nie wie tylko, czy zdoła choćby zmrużyć oko.

Wyjęła także telefon komórkowy i położyła obok zdjęcia, by mieć go pod ręką gdyby zadzwoniła pielęgniarką którą zmusiła, by przyrzekła uroczyście, na życie swoich rodziców, że natychmiast ją zawiadomi, gdyby nastąpiła nawet najdrobniejsza zmiana stanu jej ojca. Jedynie ta przysięga pielęgniarki zdołała ją nakłonić, by wyszła ze szpitala i przyjechała do domu.

A oparta o stół stoi strzelba myśliwska ojca, kalibru dwanaście, którą wyciągnęła z szafki w jego gabinecie, sprawdziła i załadowała, wsadzając do obu luf naboje.

- Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że przestępca wróci na miejsce zbrodni - ostrzegł inspektor Drake, proponując ochronę konstabla Bastable'a, który miałby spędzić noc w samochodzie zaparkowanym przed domem, lecz uprzejmie za nią podziękowała.

Oby tak się stało.

Otworzyła kalendarzyk ojca z numerami telefonów i popatrzyła na zakrwawioną kartkę, pokrytą brązowymi plamami. Zajrzała też do stodoły, by obejrzeć klatkę dla psów, w której skulony ojciec musiał przeleżeć jakiś czas.

Dałby Bóg, żeby Ben tu wrócił.

Zmyła hennę z włosów i usunęła krem przyciemniający ze skóry. Przebrała się w dres i sportowe buty na miękkich podszewkach, które pozwalają poruszać się niemal bezszelestnie. Leży po ciemku na łóżku, po stronie zajmowanej niegdyś przez matkę, ze strzelbą pod ręką, usiłując sobie przypomnieć z dzieciństwa, które stopnie schodów trzeszcza pod ciężarem.

- Musiała pani sporo przejść - powiedziała pielęgniarka, nie mając nawet pojęcia, ile Grace rzeczywiście przeszła. - Jeśli mam być szczerą, nie wygląda pani dobrze. Uważam, że powinna pani odwiedzić lekarza, moja droga.

Naprawdę? I co miałabym mu powiedzieć? Że wyszłam za faceta, który nie istnieje, że mój mąż jest duchem zrodzonym w chorej wyobraźni jakiegoś łajdaka, zwykłą zjawą? Nie, nawet nie duchem, bo przecież duchy nie gwałcą kobiet i nie robią tego wszystkiego, co on robił, i to wielokrotnie. Bo nasze stosunki trudno nazwać inaczej jak gwałtem, skoro nie można uprawiać seksu z mężczyzną, który nie istnieje, prawda? W każdym razie nie jest to akt dobrowolny, gdy człowieka oślepi się kłamstwami i skrepuje parszywą zdradą.

Wie pan, doktorze, co Ben zrobił? Wcielił się w mojego męża. Za każdym razem, gdy wtykał we mnie swojego kutasa, udawał mężczyznę, za którego wyszłam za mąż. Czy zdaje pan sobie sprawę, czy w ogóle może pan sobie wyobrazić, jaka się czuję poniżona z tego powodu, wykorzystana, brudna i ogłupiona?

Ma pan na to jakieś lekarstwo, doktoru? Jakieś pigułki, która mogłabym zażywać trzy razy dziennie po jedzeniu? A może da się załatwić ten problem metodą operacyjną? Po prostu wyciąć upodlenie i wypalić resztki naświetleniami?

Więc może ma pan chociaż drobną radę dla ofiary gwałtu? Może bym usiadła wygodnie w fotelu jakiegoś specjalisty i spróbowała mu wyjaśnić, jak się czuje człowiek wielokrotnie zgwałcony przez zjawę?

Ma ochotę wyplakać się w poduszkę, wyc i wrzeszczeć na cały głos, ale rządząca nią wściekłość hamuje napływ łez.

Dałby Bóg, żeby on tu wrócił.

Mimo szczyrych chęci leży z suchymi oczami, na wznak, zasłuchana w nieustające odgłosy nocy.

Nagi Ben Gates leży na boku. Jego naga żona, zwiedziona i oszukana, leży obok, tyłem do niego, z pośladkami przyciśniętymi do jego podbrzusza, by czuć wielkość erekcji. Jedną rękę trzyma na jej piersi, delikatnie pieszcząc ją dłonią. Palcami drugiej wodzi po szyi i karku.

- Przytul mnie - mówi Grace, jak czyni to zawsze, kiedy nie czuje się jeszcze gotowa.

Ku jej nieustannemu zdumieniu Ben, zawsze forsujący swoje zdanie, w takich sytuacjach nieodmiennie się dostosowuje. Leżą więc oboje, dryfując powoli w głąb nieznanego obszaru między snem a jawą. Tulą się w milczeniu, w pierwszym brzasku wstającego dnia, niczym konspiratorzy zasłuchani w szmer wiatru między trzaskającymi cicho krokwiemi domu w Miller's Reach.

Jakiś nietypowy dźwięk wyrywa ją z drzemki. Mija parę sekund, zanim Grace na dobre wyrwie się z objęć snu i uświadomi sobie, że jest w łóżku sama, do tego wcale nie w Miller's Reach. Przez okno wpada do środka jaskrawe światło, a więc dawno minął pierwszy brzask. Leży bez ruchu, czekając, aż powtórzy się ten dźwięk, który ją zbudził.

Rozlega się ponownie. Rozpoznaje teraz chrzęst żwiru na ścieżce, czyjeś kroki.

Z okna sypialni ojca rozciąga się widok na Glebe Meadow, nie widać stąd ani podjazdu od frontu, ani stodoły. Chcąc zobaczyć, kto się kręci wokół domu, musi szybko przebiec do swojego pokoju - tego samego, w którym ostatnio spał Ben, i do którego czuje głębokie obrzydzenie.

Weź się w garść!

Unosi strzelbę, ważąc w rękach jej uspokajający ciężar i sycąc oczy refleksami światła na wypolerowanej stali luf, po czym wyslizguje się z sypialni na korytarz.

Jej pokój znajduje się za główną sypialnią małżeńską i łazienką, prowadzą do niego trzecie drzwi na prawo z korytarza. Po raz pierwszy dostrzega ślady proszku do zdejmowania odcisków palców, które technicy dochodzeniówki zostawili na klamkach, framugach i ramach drzwi. To oczywisty dowód ich sumienności. Drzwi jej sypialni są uchylone. Unosi wyżej strzelbę i lufą otwiera je szerzej.

Opowiem panu dobry dowcip, doktoru. Setnie się pan ubawi. Wie pan, co się stało pierwszej nocy, którą spędzałam wspólnie z Benem na Glebe Farm, gdy po kolacji poszliśmy na górę, żeby się położyć? Powiedział, że musi mnie przenieść przez próg i dopełnić starego rytuału, poprzedzającego chwilę, gdy dziewica wpuści oblubieńca do swego panińskiego łóża i stanie się pełnoprawną kobietą. A ja mu na to pozwoliłam!

Łóżko jest przesunięte wzdłuż ściany, pościel w nieładzie. W odsłoniętej części starego dębowego parkietu pomalowanego na szaro brakuje kilku klepek, odsłonięta kryjówka przypomina szerniałą otwartą ranę o długości około metra. Przestrzeń między belkami podłogowymi ma prawie pół metra głębokości, można by sobie złamać nogę, gdyby się do niej wpadło.

Flint przechodzi ostrożnie nad dziurą i zbliża się do okna, w którym zasłonki są do połowy zasunięte. Między nimi widać samochód o szarometalicznej karoserii stojący przed

stodołę. Jej wrota są uchylone, chociaż na pewno zamknęła je na skobel, kiedy wychodziła stamtąd w nocy.

Wybiega z pokoju i rusza korytarzem w stronę schodów, po drodze, o czym wcześniej zapomniała, zabezpieczając strzelbę, żeby przypadkiem sama nie wypaliła. Pospieszenie zbiega z powrotem na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz i sunąc lewą dłonią po poręczy, żeby zachować równowagę. W holu zawraca na pięcie, wpada do gabinetu i wpycha garść zapasowych nabołów do kieszeni spodni od dresu.

Przebiega przez kuchnię, przekręca klucz w zamku tylnych drzwi, wymyka się na taras i zeskakuje na pochyły trawnik, którego nie widać ze stodoły. Zatrzymuje się u podstawy wzniesienia, żeby uspokoić przyspieszony oddech, po czym zgięta wpół, z głową nisko pochyloną poniżej poziomu okien, zaczyna się podkradać do stodoły, idąc po trawie wzdłuż wysypanej żwirem ścieżki.

Kuca pod oknem i przez dłuższą chwilę zastanawia się, czy warto zajrzeć przez nie do środka, ryzykując wykrycie. Intruz zapewne nie jest uzbrojony, ma więc nad nim przewagę, ale strzelba jest rodzinną pamiątką, ma co najmniej sto lat i prawdopodobnie nikt z niej nie strzelał w ostatnim ćwierćwieczu. Tak samo niepewne są naboje, a można je sprawdzić, tylko próbując oddać strzał. Zatem: Do dzieła!

Odbezpiecza broń i prostuje się powoli, dopóki jej oczy nie znajdą się na wysokości kilku centymetrów ponad ramą okienną. Szybkim spojrzeniem obrzuca poczekalnię gabinetu weterynaryjnego, w której stoi kilka drewnianych krzeseł i stolik zawalony starymi numerami czasopisma „Country Life”. Nikogo w niej nie ma. Po prawej widać szereg klatek, w których pacjenci Johna Flinta dochodzą do siebie po zabiegach chirurgicznych. Właśnie w największej z nich policjanci znaleźli nieprzytomnego doktora pozostawionego na pastwę losu. Przy klatkach także nikogo nie ma. Nie da się stąd zobaczyć, co jest za nimi, bez wchodzenia do środka.

Jazda!

Podbiega do rogu stodoły, wygląda zza niego i zaczyna się skradać do otwartych drzwi, nadal nisko pochylona. Dotarłszy do nich, wślizguje się do środka i od razu skacze w bok, by wyjść ze smugi dziennego światła. Układa się na brzuchu na podłodze, przyciska strzelbę do ramienia i spoglądając wzdłuż linii muszki i szczerbinki, powoli odciąga oba kurki. Kiedy zaskakują z cichym trzaskiem, pospieszenie układa palec na dwóch spustach za osłoną.

Bardziej wyczuwa, niż dostrzega, jakiś ruch w głębi stodoły, któremu towarzyszy ledwie słyszalny szelest.

- Grace? - dobiega wyraźnie zza grubej kurtyny oddzielającej stół zabiegowy.

Nie zamierza od razu strzelać, lecz źle ocenia nacisk na spust potrzebny do zwolnienia kurków. Jeden po drugim rozlegają się dwa ogłuszające huki wystrzałów, kolba broni kopie ją w ramię z siłą rozjuszonego muła. Zasłona marszczy się, podskakuje w górę i na chwilę zapada głucha cisza, którą zaraz rozdziera donośny wrzask.

Grace łamie strzelbę, wyjmując z komór puste łuski i sięga do kieszeni po następne naboje. Załadowawszy broń, wstaje powoli i przyjmuje wygodniejszą pozycję strzelecką, gdy nagle w osłupienie wprawia ją potok najbardziej obraźliwych i wulgarnych przekleństw, jakie kiedykolwiek słyszała pod swoim adresem, wypowiedzianych po niemiecku.

Feliks Hartmann leży na stole operacyjnym doktora Flinta rozebrany do pasa, a Grace pęsetą wydłubuje mu z piersi i ramion śruciny. Chyba z tysiąc razy przepraszała go za nieumyślne postrzelenie, ale nie dał się udobruchać, wciąż się wściekał, aż ją to zmęczyło i zaczęli się kłócić.

- To boli!

- Na miłość boską, Feliksie, nie ruszaj się. Masz tylko drobne skaleczenia.

- Skaleczenia?! Mogłaś mnie zabić!

- Nie z tej strzelby i tej odległości przez grubą zasłonę. - Udaje jej się wydłubać czwartą ołowianą kulkę, którą z brzękiem rzuca na blaszaną nerkę. - Poza tym nawet cię nie trafiłam, a w każdym razie nie bardzo. Masz tylko parę drobnych ranek. Śrut ledwie ci się wbił w skórę.

- Nie mogę uwierzyć, że zaczęłaś strzelać, nie upewniwszy się nawet, do kogo.

- Już ci mówiłam, że strzelba wypaliła przez przypadek. Nie chciałam. A ty nie powinienesz być myszkować po stodole mojego ojca. Nie powinienesz być się tu włamywać.

- Tłumaczę po raz trzeci, że wcale się nie włamałem. Drzwi nie były zamknięte.

- Owszem, były.

- Nie były!

- Mniejsza z tym. Formalnie i tak się włamałeś, wtargnąłeś na teren prywatny.

Dlaczego... - Ze złością przytyka wacik nasączony alkoholem do kolejnej drobnej ranki. -

Dlaczego, do diabła, wcześniej nie zadzwoniłeś?

- Bo nie masz telefonu, twój aparat został odłączony albo jest zepsuty.

- Mogłeś zadzwonić na komórkę.

- Tak, jasne. To bądź uprzejma mi jeszcze wyjaśnić, kiedy dokładnie podałaś mi swój angielski numer aparatu komórkowego.

Hartmann i Flint będą się tak spierali, dopóki prymitywny zabieg chirurgiczny nie dobiegnie końca, a rany nie zostaną oczyszczone i zdezynfekowane.

Nawet później, gdy przejdą już do domu i zasiądą przy kuchennym stole, gdy Grace zaparzy dzbanek kawy i zacznie szukać w lodówce czegoś do zjedzenia, Feliks nie przestanie się użalać, a ona wciąż będzie zbijać jego argumenty i przekomarzać się z nim, dopóki nie zada w końcu pytania o cel przyjazdu do Glebe Farm.

- Nawiasem mówiąc, co tutaj robisz?

- Mamy razem pojechać do Lipska.

- Do Lipska?

- Żeby odszukać Grobera. Wpadliśmy na trop.

Flint zatrząskuje drzwiami lodówki, straciwszy wszelkie zainteresowanie jedzeniem.

- Słucham?

- Mamy nawiązać kontakt z siostrą Grobera, Ilse. To rozkaz Cuttera.

- Nic z tego, Feliksie. Możesz sobie sam uwodzić siostrę Grobera, bo ja zostaję tutaj. - W jej głosie po raz pierwszy od dłuższego czasu nie słyhać urazy. - Jeśli zapomniałeś, to ci przypomnę, że mój ojciec leży nieprzytomny w szpitalu.

- Ale Cutter powiedział...

- Mam go gdzieś.

- Posłuchaj, Grace. W niczym nie pomożesz ojcu, na pewno nie teraz, nie w tej sytuacji. A Cutter twierdzi...

Flint go jednak nie słucha. Z dumnie zadartą głową wychodzi na taras, staje przy balustradce nad opadającym trawnikiem i w zamyśleniu spogląda na rozciągającą się przed nią dolinkę. Po chwili Hartmann staje obok niej z rękoma w kieszeni, jakby czekał na okazję, żeby jeszcze coś powiedzieć.

W końcu Grace obrzuca go gniewnym spojrzeniem i pyta:

- Czego?

- W porządku, zapomnij o Cutterze. Daj sobie spokój z Lipskiem, Groberem, Ruth, a nawet ze mną, służbą w wydziale i tym, co się z nią wiąże. Możesz machnąć ręką na wszystko. Tylko odpowiedz mi na jedno pytanie, dobrze?

Ona jednak uparcie milczy.

Przez chwilę patrzy jej prosto w oczy i zadaje to pytanie:

- Jeśli nie pojedziemy do Lipska, nie znajdziemy tropu Grobera i w końcu go nie odnajdziemy, to jak zamierzasz sama sobie z tym poradzić, Grace? - Doskonale wie, że ona

musi rozumieć, co ma na myśli, ale na wszelki wypadek dodaje: - Jak zamierzasz odnaleźć swojego męża?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Na lotnisku w Liverpoolu krótko po północy lekko podenerwowany Mandragora czeka w kolejce podróżnych. Nie ma tu oficera urzędu imigracyjnego, który mógłby sprawdzić jego paszport, nie ma nawet odprawy celnej, ale on ma w torbie podróźnej ponad sto tysięcy dolarów w gotówce i obawia się, że pieniądze będą za bardzo widoczne na ekranie urządzenia prześwietlającego bagaże. Wystarczyłoby zresztą, żeby funkcjonariusz ochrony lotniska otworzył jego torbę i zajrzał do środka.

Zrobią to? Zaczną się dopytywać, skąd ma tyle pieniędzy?

Najłatwiej byłoby odpowiedzieć szczerze: wyciągnąłem je spod łóżka mojej żony. Ale nie może tego zrobić, nie narażając się na poważne komplikacje. W Glebe Farm zapewne wszczęto już dochodzenie, mógłby zatem zostać aresztowany pod zarzutem brutalnego pobicia czy usiłowania zabójstwa - może nawet nie tylko usiłowania, bo przecież nie ma pojęcia, czy doktor Flint przeżył. Bardzo żałuje, że pojawienie się agentów Ridouta zmusiło go do ucieczki, a jeszcze bardziej żałuje tego, że musiał wyrządzić krzywdę ojcu Grace. W gruncie rzeczy żałuje, że w ogóle zgodził się wziąć udział w tej operacji, chociaż gdyby nie ona, nigdy nie poznałby Grace.

Na wspomnienie żony mimowolnie się uśmiecha. Chcąc zapanować nad zdenerwowaniem, zaczyna odtwarzać w myślach dobrze znaną melodię, nawet cicho mruczy ją pod nosem. Wyjątkowo nie jest to żaden motyw z kompozycji Bacha, ale piosenka Edith Piaf *Je ne regrette rien*.

Nie, on także nie żałuje, że poznał Grace.

- Czy my się znamy?

Wygląd specja od forsy ani trochę nie pasuje do jego profesji. Jest zaszuszony i pomarszczony, głębokie bruzdy schodzą z czoła pionowo niczym rozległe szramy między drobne oczka ocienione krzaczastymi brwiami. Tabliczka na drzwiach informuje, że jest on doradcą do spraw zagranicznych usług finansowych, ale wysunięta spiczasta broda, grube wargi, resztki ciemnego zarostu na policzkach oraz czerwona chusta luźno zawiązana pod szyją sprawiają że w oczach Mandragory bardziej przypomina ekscentrycznego artystę, malarza czy rzeźbiarza żywcem przeniesionego tu z paryskiej kawiarenki z lat pięćdziesiątych.

- Jeszcze nie - odpowiada. - Ale mamy wspólnego znajomego, który należy do pańskich klientów.

Biuro także nie pasuje do stereotypu, składa się tylko z jednego niewielkiego pomieszczenia nad apteką przy bocznej ulicy w Douglas, stolicy Isle of Man. Ale w końcu tylko niewielka część pieniędzy klientów pracującego tu człowieka rzeczywiście trafia na tę niewielką wyspę na środku Morza Irlandzkiego, będącą bezpiecznym rajem dla jakichś pięćdziesięciu miliardów dolarów podejrzanego pochodzenia. Grace obliczyła kiedyś, że daje to po sześćset sześćdziesiąt tysięcy na każdego mieszkańca wyspy. Powiedziała wprost, że gdyby tylko było to możliwe, Wydział Ścigania Przepływów Finansowych najchętniej po prostu zbombardowałby Isle of Man.

- To znaczy? - pyta Patrick Archer, chcąc poznać nazwisko ich wspólnego znajomego.

- Grober. Karl Grober.

Marszczy brwi i kręci głową, aż rozsypują mu się na czole szpakowate włosy.

- Nie przypominam sobie. Chyba musiał mnie pan z kimś pomylić.

Nie zwracając na to uwagi, Mandragora zaczyna wyciągać z torby paczki zawierające po sto pięćdziesięciodolarowych banknotów. W sumie wyjmuje ich dziesięć i układa rządkiem na biurku Archera.

- Chciałbym otworzyć konto, złożyć depozyt.

- Obawiam się, że to niemożliwe - rzuca lakonicznie finansista. - Wbrew powszechnej opinii, na wyspie obowiązują bardzo restrykcyjne przepisy w tym zakresie. Przede wszystkim musiałbym znać wiarygodnie potwierdzoną tożsamość klienta oraz źródło pochodzenia tych pieniędzy. A w szczególności... - ruchem głowy wskazuje paczki banknotów - ...jeśli chodzi o fundusze płynne. W takim wypadku nie mogę nic dla pana zrobić.

- Oczywiście, to nie jest depozyt w tradycyjnym sensie - mówi Mandragora. - To zaliczka z pańskiego honorarium. Powiedzmy, że przeznaczona na pokrycie wstępnych wydatków. Z przyjemnością wypłacę resztę należnych panu pieniędzy, jak tylko Herr Grober przeleje całą kwotę na moje nowe konto. Chodzi o pięć milionów dolarów amerykańskich.

- Żałuję, ale nie mogę panu pomóc.

- Na pewno pan może. Proszę przekazać Groberowi, że nie chciałbym zakłócać jego pobytu na wyspie wizytą nieproszonych gości, z Londynu czy Nowego Jorku... Zwłaszcza z Nowego Jorku i zwłaszcza przyjaciół Ruth. Proszę mu powtórzyć, że przyjaciele Ruth zjawią się na wyspie, jeśli nie otrzymam swojej zapłaty w wysokości pięciu milionów dolarów. Ma dwadzieścia cztery godziny na wykonanie przelewu.

- Z przykrością... - zaczyna Archer, unosząc obie ręce w obronnym geście.

- Zadzwoń jutro - przerywa mu Mandragora i rusza do wyjścia.
- Przepraszam, ale nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.
- On będzie wiedział, o kogo chodzi.

LIPSK

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Na malowniczym placu na lipskiej starówce stoi majestatyczny pomnik Jana Sebastiana Bacha mający brzydką skazę, choć nie z powodu wykruszania się kamienia. Jego autor, Seffner, przedstawił kompozytora z oderwaną i odwiniętą na zewnątrz lewą kieszenią surduta, chcąc podkreślić ubóstwo, w jakim zmarł geniusz, którego muzyka stała się niemodna i niedoceniana przez mieszkańców Lipska. Ben mówił, że został pochowany w nieoznakowanym grobie. Dlatego Flint jest zainteresowana, jak to się stało, że kości złożone w kościele dwieście lat po śmierci Bacha są przedstawiane bez cienia wątpliwości jako szczątki wielkiego mistrza? Wie także od Bena, że ich autentyczność podobno udowodniono ponad wszelką wątpliwość, ale wzięwszy pod uwagę wątpliwe źródło informacji, wolałaby sama obejrzeć wyniki analizy DNA.

Uderza ją jeszcze jeden ironiczny zbieg okoliczności - który na pewno się panu spodoba, doktorku. Otóż kościół, do którego ciągną całe pielgrzymki miłośników Bacha, jak też dawny kościelny dziedziniec, na którym ona teraz siedzi przy stoliku i obraca w dłoni filiżankę kawy, bo na dobrą sprawę nie ma na nią ochoty, zostały nazwane od imienia - uważaj, doktorku - Thomasa, to jest *Thomaskirche* oraz *Thomaskirchhof*. Bez wątpienia władzom Lipska chodziło o wąpiącego apostoła, ale Grace nieodmiennie przychodzi na myśl Thomas z Maine, miłośnik kosztownych nowoczesnych zabawek; ten sam Thomas, który kłamał jej w żywe oczy, używając pogardliwego określenia: *federates*.

- Tyler został zdjęty z haczyka - powiedział Jarrett Crawford, gdy zadzwonił do jej pokoju na pierwszym piętrze lipskiego Holiday Inn, usytuowanego w sąsiedztwie hałaśliwej zajezdni tramwajowej.

- Zaczekaj chwilę, słabo cię słyszę. Muszę zamknąć okno... - Uczyniła to szybko i zapytała: - Co mówiłeś na temat Tylera?

- Powiedziałem, że jest czysty.

- Niemożliwe. Na pewno nie dla mnie.

Crawford wyjaśnił jednak, że Thomasowi Tylerowi można zarzucić jedynie naiwność, to, że uwierzył na słowo fałszywemu przyjacielowi.

- We wrześniu dziewięćdziesiątego dziewiątego roku Tyler na jakiejś konferencji w Waszyngtonie spotkał starego znajomego z Wielkiej Brytanii, niejakiego Hudsona. Wygląda na to, że razem studiowali.

Flint słucha tego jednym uchem, rozkojarzona przez wspomnienia właśnie z września dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, kiedy to po raz pierwszy zobaczyła Bena.

- Hudson wcześniej pracował dla brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, powiedział jednak, że ostatnio przeniósł się na stałe do Wirginii i prowadzi fundację charytatywną. Usłyszawszy to, Tyler, który zawsze szukał nowych źródeł finansowania Stowarzyszenia Audubona, zaczął nalegać na jakąś dotację. A Hudson na to: „Przyjedź do mnie na weekend, to pogadamy”. Jak można się domyślać, Tyler przyjął zaproszenie z ochotą i na miejscu poznał jakiegoś znajomego Hudsona, któremu zależało, aby się z nim spotkać.

- Skąd ty to wszystko wiesz, Krabiku? Tyler po prostu zadzwonił, żeby ci się zwierzyć?

Crawford odpowiada stłumionym chichotem.

- Nie, dzwonił jego adwokat. Chciał się upewnić, że nie staniesz znowu przed drzwiami Tylera, tym razem z całą brygadą antyterrorystyczną, gotowa zamordować mu żonę i dzieci. Odparłem, że za to mogę ręczyć, jeśli tylko jego klient zechce z nami szczerze porozmawiać. Zjawił się wczoraj wieczorem i opowiedział to wszystko.

- A ty mu uwierzyłeś?

- Owszem, przynajmniej w większą część tej relacji. Posłuchaj, Grace. Śmiertelnie go wystraszyłaś, ale jednocześnie zmusiłaś, by wylazł na światło dzienne. Dzięki tobie zrozumiał, że został oszukany i wykorzystany, co wprawiło go we wściekłość. Nawiasem mówiąc, niedawno odziedziczył spory spadek po ciotce. Sprawdziłem to.

- Wspaniale.

Podróż z Mid Compton do Lipska przez Londyn i Berlin zajęła jej prawie cały dzień, dotarła na miejsce krótko przed północą, przez co czuje się lekko skołowana, a w dodatku znów dokucza jej ból w stłuczonym kolanie. Ponadto w hotelu nie czekała na nią wiadomość od Feliksa Hartmanna, chociaż tak się umawiali. I dwukrotnie dzwoniła do szpitala, najpierw zaraz po zameldowaniu się w hotelu i ponownie dzisiaj rano, za każdym razem otrzymując informację, że stan jej ojca nie uległ zmianie.

- Nie lekceważ tego. Ów przyjaciel Hudsona może być dla nas najlepszym tropem.

- Więc kto to jest, Jerry? Już nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć jego nazwisko - rzuca ironicznym tonem.

- Nazwiska jeszcze nie znamy. Na imię ma Sherman. W każdym razie tak go Hudson przedstawił. „Thomasie, chciałbym, żebyś poznał Shermana, który pracuje dla rządu amerykańskiego”. W rozmowie nie zostały ujawnione żadne szczegóły. Tyler twierdzi, że facet roztaczał wokół siebie aurę kogoś postawionego bardzo wysoko, komu nikt nie ma odwagi odmówić, jakby wszystkim robił wielki zaszczyt, prosząc o cokolwiek.

Flint, która stoi przy oknie i przygląda się tramwajom przejeżdżającym jeden za drugim, dostrzega nagle wysiadającego Hartmanna. Gdyby okno było otwarte, pewnie natychmiast by go zawołała. Obserwuje jednak w zdumieniu, że Feliks skręca z przystanku w przeciwnym kierunku, przechodzi przez ulicę i rusza w stronę dworca kolejowego.

- W każdym razie - ciągnie dalej Crawford - temu Shermanowi wcale się nie spieszyło. Zaczekał spokojnie do niedzieli i gdy po lunchu Hudson przeprosił swoich gości i zostawił ich samych, zapytał zniecierpliwionym: „Thomasie, jak byś zareagował, gdybym ci powiedział, że nasze spotkanie nie jest przypadkowe, że poprosiłem gospodarza, by je zaaranżował, ponieważ znalazłeś się w sytuacji, kiedy możesz się bardzo przysłużyć naszemu rządowi, Ameryce?”. Zgrabnie owinął go sobie wokół palca, machając przed oczyma gwiazdzistym sztandarem. I co Tyler mógł na to odpowiedzieć?

Flint jest bez reszty pochłonięta obserwacją Feliksa Hartmanna, który przed bocznym wejściem dworca, dokładnie na wprost hotelu, rozmawia z dużo niższym, krępy męczyzną w brązowym kapeluszu z szerokim rondem opuszczonym nisko na oczy.

- Nie wiem, Jerry - mówi do słuchawki. - Odwołanie się do działania na rzecz władz amerykańskich pewnie było bardzo sprytnym posunięciem. - Hartmann stoi lekko zgięty w pasie, z głową nieco pochyloną w bok, jakby uważnie wsłuchiwał się w słowa Karla. - Więc co Tyler powiedział?

- „Oczywiście, że pomogę, jeśli tylko będę mógł”. Zaraz jednak dodaje, żeby nie wyjść na głupca: „Jeśli nie jest to nic nielegalnego”. A Sherman na to: „Wręcz przeciwnie, Thomasie. Chcemy właśnie, abyś nam pomógł przywrócić prawo w pewnym zakresie”.
Typowa pułapka.

Flint musi dzielić uwagę między zajmującą opowieść Crawforda a zagadkową scenę, której jest mimowolnym świadkiem. Hartmann odbiera właśnie z rąk Karla kopertę i chowa ją do kieszeni tak szybko, jakby to była łapówka.

- Nie masz wrażenia, Jerry, że taką prośbę najłatwiej byłoby uzasadnić udziałem w federalnym programie ochrony świadków?

- Nie. Po pierwsze, z tego, co mówi Tyler, Sherman w niczym nie przypominał szeryfa federalnego i zachowywał się zupełnie inaczej. A po drugie, program federalny ma na swoje usługi dziesiątki różnych firm, które wystawiają lipne zaświadczenia pracy dla ludzi objętych ochroną świadków. Dlaczego więc chcieliby jeszcze angażować Tylera dla zapewnienia Benowi ochrony? Po trzecie, w takim wypadku Sherman nie powiedziałby mu prawdy. Co prawda, nie ujawnił Tylerowi żadnych szczegółów, przynajmniej wtedy. Powiedział, że władze potrzebują, cytat, wiarygodnej tożsamości, koniec cytatu, dla jakiegoś faceta wykonującego ważne rządowe zlecenia.

Hartmann i jego niski towarzysz żegnają się i rozchodzą w przeciwnych kierunkach. Feliks energicznym krokiem oddala się od dworca i rusza w kierunku starego miasta. Flint czuje przemożną ochotę sprawdzenia, dokąd idzie, i ma już odwrócić się od okna, kiedy zauważa podejrzaną kobietę koło trzydziestki, w czapeczce baseballowej, ubraną jak turystka, która nagle traci zainteresowanie trzymanym w ręku przewodnikiem. Lekkim skinieniem głowy daje znać komuś niewidocznemu z okna hotelu i rusza za Hartmannem, przyspieszając kroku, żeby go nie zgubić. Chwilę później dołącza do niej atletycznie zbudowany mężczyzna, także koło trzydziestki, przebrany za turystę, z włosami ostrzyżonymi na jeża.

- Muszę lecieć, Krabiku - rzuca Flint do słuchawki, sięgając po torebkę. - Powiedz mi jeszcze tylko jedno. Czy Tyler kiedykolwiek poznał Bena?

- Na początku spotkali się dwa razy. Najpierw w hotelu Mayflower w Waszyngtonie, gdzie Sherman przedstawił ich sobie, a później w domu Tylera w Portlandzie, gdzie Ben przyjechał na cały dzień, by wysłuchać jego relacji na temat działalności Stowarzyszenia Audubona z Maine, dowiedzieć się, kto tam pracuje, jaki jest dzienny rozkład zajęć i tak dalej.

- To wszystko?

- Tyler szybko go polubił. Uznał za bystrego i inteligentnego. Powiedział, że jak na amatora bardzo dużo wiedział o ornitologii. Od tamtej pory kilka razy gościł Bena na obiedzie, ale według jego relacji rozmawiali głównie o ptakach.

Zbiegając już po schodach, Grace myśli: A więc nie wszystko było całkowitym kłamstwem. Ben przynajmniej nie kłamał na temat swojego zamiłowania do ptaków.

Lipska starówka, a raczej ta jej część, która składa się z garstki bezcennych barokowych budowli, jakie przetrwały dywanowe naloty z czasów drugiej wojny światowej, obejmuje zaledwie kilka uliczek i placyków. Flint była w stanie sprawdzić je dokładnie w ciągu niecałej godziny.

Nigdzie nie natknęła się ani na Feliksa Hartmanna, ani na śledzących go ludzi, toteż jego zagadkowe poczynania i sam fakt ścisłej inwigilacji zaczynają coraz bardziej ją intrygować. Nie chciała tu przyjeżdżać i nie chciała udawać żony Feliksa, dlatego z coraz większą niechęcią myśli o perspektywie zamieszkania w prawdopodobnie ponurym domu Ilse Grober przy Karl-Heine-Strasse. Przede wszystkim nie chce marnować czasu na bezproduktywne, jej zdaniem, oczekiwanie, aż Ilse naprowadzi ich na trop brata, i jeszcze bardziej złudną nadzieję, że poprzez Karla Grobera dotrze do Bena.

- Oczywiście, Grober pozostaje naszym głównym obiektem - oznajmił twardo Hartmann, gdy przedstawiła mu swoje wątpliwości.

Ocknij się, Feliksie! Czy na pewno żyjemy w tym samym świecie?

W końcu zgodziła się poświęcić pięć dni na pobyt w Lipsku i polowanie na Grobera. Tymczasem Feliks już zmarnował pół dnia, myśli, wstając od stolika i obrzucając na pożegnanie wrogim spojrzeniem pomnik Bacha.

Wracając zrezygnowana do hotelu, wchodzi do księgarni, żeby zaopatrzyć się w dokładny plan Lipska i okolic z naniesionymi trasami linii tramwajowych. Szybko odnajduje Karl-Heine-Strasse w zachodniej części śródmieścia, widzi z radością, że kursują po niej na całej długości tramwaje, i wobec przedłużającej się nieobecności Feliksa, nie mając nic lepszego do roboty, postanawia się tam udać w myśl starego porzekadła, że czas poświęcony na rekonesans rzadko idzie na marne. Dla niepoznaki wchodzi do hali dworca kolejowego, gdzie może swobodnie zastosować swoje środki zaradcze przeciwko ludziom prowadzącym obserwację. Po wyjściu sprawdza jeszcze dokładnie, czy nie ciągnie za sobą ogona, a nie spostrzegłszy go, wsiada do tramwaju, by odnaleźć dom Groberów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Jeden rzut oka między prętami ogrodzenia wyższego od niej starczy, by Flint rozdziawiła usta ze zdumienia. Pod wskazanym adresem wznosi się pięciokondygnacyjna budowla z licznymi mansardami, od strony ulicy ma co najmniej trzydzieści okien. Zupełnie nie pasuje do otoczenia. W tej ponurej dzielnicy na skraju centrum miasta, gdzie tylko kolorowe graffiti urozmaicają monotonię betonowych murów, przypomina istny pałacyk, tym bardziej że otaczają spory ogród, co prawda, trochę zaniedbany i zachwaszczony.

Jej uwagę przyciągają jaskrawe figurki krasnoludków, wokół domu są ich dziesiątki, może nawet setki - mniejszych i większych, na wpół ukrytych w wybujałej trawie i

porośniętych bluszczem. Chyba nie ma wśród nich dwóch takich samych. Jedna figurka bez wątplenia przedstawia dziewczynkę.

Krasnoludzica?

Spoglądająca w osłupieniu Grace nie słyszy chrzęstu żwiru pod kołami wózka inwalidzkiego Ilse.

- *Sind Sie wegen der Wohnung hier?*

- Słucham? - Spuszcza wzrok i patrzy na kobietę za płotem, której twarz znajdująca się na wysokości jej pasa jest tak blada, że niemal przezroczysta. Uwagę przykuwają bardzo duże uszy o jak gdyby rozdętych małżowinach ułożonych płasko przy czaszce. Oczy także wydają się nieproporcjonalnie duże w stosunku do głowy, jak dwie okrągłe plamki czystego błękitu wpatrujące się w nią z napięciem. Poprawia się szybko: - *Bitte?*

- *Warum sind Sie hier? Wie heissen Sie?*

Flint słabo zna niemiecki, zdecydowanie gorzej niż francuski, toteż mimowolnie się rumieni. Co ona tu robi? Czego chce? Mogłaby odpowiedzieć: „Jestem zafascynowana pani krasnoludkami”, tylko brakuje jej słów, by to wyrazić po niemiecku.

- *Wer sind Sie? Wie heissen Sie?* - pyta Ilse coraz bardziej zaniepokojona.

Kim ona jest? Błyskawicznie postanawia strzelić w ciemno:

- *Meine Name ist Frau Hartmann.*

Spostrzega z ulgą, że kobieta natychmiast się rozluźnia, jej podejrzliwość ustępuje miejsca zwykłemu zniecierpliwieniu. Dlaczego nie mówiła tak od razu? Gdzie jest jej mąż?

- *Mein Ehemann?*

Postanowiwszy trzymać się prawdy, mówi, że nie ma pojęcia. Wyjaśnia, że nie zna Lipska, co dla Frau Grober musi być oczywiste - bo pani to Frau Grober, prawda? - i że bardzo słabo zna niemiecki, dlatego...

- *Sind Sie aus Amerika?* - pyta ostro Ilse niemalże wrogim tonem.

Grace odpowiada, że nie jest Amerykanką.

- *Nein, ich bin Engländerin.*

Do tego beztruską Angielką, skoro zgubiła męża, przyznaje. Mieli się spotkać w hotelu, ale pomyliła drogę, zwiedzając starówkę, spóźniła się i jego już nie było, a teraz nie wie, gdzie go szukać. Przyjechała więc na Karl-Heine-Strasse w nadziei, że znajdzie go tutaj, omawiającego z Frau Grober możliwość wynajęcia u niej pokoju. Podkreśla z naciskiem, iż jest jej bardzo przykro, że wprowadziła tyle zamieszania swoim przybyciem.

Wózek inwalidzki Ilse, na którym siedzi bokiem, to nowoczesne urządzenie przypominające trzykołowy skuter, z mnóstwem gałek i przełączników na kierownicy.

Kobieta palcem wskazuje mały, słabo widoczny zza płotu wyświetlacz, zapewne zegar, i mówi, że Herr Doktor na pewno jest w pracy, bo gdzie o tej porze, wczesnym popołudniem, mógłby być taki specjalista.

Herr Doktor Hartmann? Jaki znowu doktor? - zachodzi w głowę Flint, usiłując odgadnąć, jakąż to cenioną specjalność obrał jej fikcyjny mąż na użytek Ilse. Szybko stwierdza, że wszelkie spekulacje nie mają sensu, i przyznaje, że jest wielce prawdopodobne, iż mąż wrócił do pracy.

- Powiedział, że przyjadą państwo o szóstej.

- A więc jestem dużo za wcześnie.

- I że przywiezie ze sobą referencje, bo wymagam nienaganych referencji.

- Oczywiście.

Ilse wciska guzik i obraca się z fotelikiem przodem do kierownicy. Uruchamia silnik, lekko dodaje gazu i wykonuje ciasny nawrót. Następnie bez pośpiechu obrzuca uważnym spojrzeniem rzekomą Frau Hartmann od stóp do głowy. Jednocześnie ocenie poddaje jej włosy upięte z tyłu głowy w ciasny kok, okulary w drucianej oprawce nadające jej wygląd sowy, bladą cerę bez śladów makijażu, wełniany sweter stosownie zapięty pod samą szyję i spódnicę sięgającą do połowy łydek, brak biżuterii poza obrączką na palcu, gustowną torebkę, wygodne pantofle na płaskich obcasach. W milczeniu kiwa głową cc może równie dobrze oznaczać aprobatę, jak i gest pożegnania po czym wykręca w kierunku domu i rusza nieco wyboistą, nierówną ścieżką między zastępami krasnoludków.

- *Kommen Sie, ich zeige Ihnen die Wohnung!* - woła przez ramię. - Proszę wejść, pokażę pani mieszkanie.

Z zewnątrz dom Ilse wygląda na zaniedbany, zarośnięty brudem, na pierwszy rzut oka mógłby uchodzić za porzucony, jak wiele innych domów w tej okolicy, jakie Flint widziała w czasie podróży tramwajem. Ale wchodząc za Frau Grober po rampie prowadzącej ku *piano nobile*, od razu spostrzegą że wewnątrz to olśniewający przykład typowego, wykończonego z przepychem rokokowego pałacyku. W bawialni, gdzie siada na podniszczonym, bogato zdobionym krześle, przez okna wychodzące na ogród, mające co najmniej cztery metry wysokości, wpadają potoki słońca budzące refleksy na krytych boazerią ścianach i oświetlającego pastelowy widok rozgwieżdżonego nieba na suficie.

- Pani też będzie pracowała na uniwersytecie? - pyta Ilse.

Na razie nie, odpowiada wymijająco, gdyż nie wie dokładnie, za kogo Feliks podał się gospodyni. Mówi, że najpierw musi popracować nad swoim niemieckim. Ma nadzieję znaleźć

prywatnego nauczyciela, z którym będzie mogła ćwiczyć rozmówki. Czy Frau Grober nie zna kogoś?

Nauczyciel nie będzie potrzebny, to zbyteczny wydatek. Wystarczy się samemu przyłożyć do nauki. Frau Hartmann nie wolno używać angielskiego. Musi się uczyć tylko pięciu nowych zwrotów dziennie. Powinna słuchać radia, byle nie za głośno. Powinna czytać niemieckie gazety i książki. Frau Grober ma dużą bibliotekę, chętnie coś jej pożyczy od czasu do czasu.

- Jest pani bardzo miła.

- Jeśli tylko, ma się rozumieć, referencje Herr Doktor Hartmanna będą zadowalające.

- Oczywiście.

Niespodziewanie Ilse przyciska gwałtownie duży czerwony guzik na kierownicy skutera i rozlega się tak ogłuszający klakson, że zdumiona Grace aż się krzywi. Kobieta nie zdejmuje z niego dłoni, dopóki w drzwiach pokoju nie pojawia się starszy mężczyzna, niski i krępy, o pałkowatych nogach i porytej zmarszczkami, ogorzałej twarzy wieśniaka.

Ilse krzyczy coś do niego w obcym języku, chyba po turecku, i mężczyzna bez słowa wychodzi.

- Dostaniemy herbaty - wyjaśnia gospodyni. - Każdego popołudnia będziemy się spotykać przy herbacie i ustalać temat rozmowy. Zna pani dzieła Schillera?

- Niestety, nie - odpowiada Flint.

- W takim razie zaczniemy od *Śmierci Wallensteina* Schillera. Codziennie rano przeczyta pani fragment, o którym po południu będziemy rozmawiać. W ten sposób szybko poprawi pani swój niemiecki.

- Jest pani naprawdę nadzwyczaj uprzejma - mówi Grace.

Dopiero po herbacie podanej przez milczącego ciągle Turka i odebraniu przez Flint dalszych instrukcji dotyczących nauki niemieckiego Ilse stworzyła jej okazję do tego, by podjąć pierwszą próbę zasiania owego nasienia, które powinno - dałby Bóg, jak najszybciej - zaowocować możliwością nawiązania rozmowy na temat brata Frau Grober.

- Pani rodzice mieszkają w Anglii?

- Tylko ojciec - odpowiada Flint, pomijając milczeniem jego obecny stan. - Moja matka zmarła, kiedy byłam jeszcze małą.

Ilse wzdryga się wyraźnie.

- Ile miała pani lat?

- Sześć - odpowiada zgodnie z prawdą. - Została zamordowana - dodaje, choć to tylko przypuszczenie, gdyż jej zwłok nigdy nie odnaleziono. - Zabita - ciągnie dalej, wreszcie posuwa się do kłamstwa: - Strzałem w głowę.

Nawet gdyby Flint w samolocie do Berlina nie zapoznała się dokładnie z tłumaczeniem raportu generała Kessela, nawet gdyby nie znała szczegółów okoliczności, w jakich rodzice Ilse zostali zdradzeni przez jej brata, Karłą a potem przypuszczalnie zamordowani w lesie niedaleko Vacha, i tak by się domyśliła przyczyn bolesnego skurczu, który przemyka po twarzy Frau Grober. Wydawać by się mogło, że Niemkę opuszczają nagle resztki tłęcego się w niej życia, jakby zdmuchnięte nagłym porywem wiatru. Oczy jej zachodzą mgłą a oddech zastyga w piersi. Grace łatwo sobie wyobraża, że z jej pamięci wypływają nagle wspomnienia tamtego niedzielnego wieczoru sprzed trzydziestu lat, gdy jako mała dziewczynka leży na tylnym siedzeniu trabanta otoczonego przez patrol graniczny na leśnej drodze. Mimo upływu czasu wciąż ma w uszach ogłuszające strzały, jakby padły teraz tuż nad jej uchem, aż niemal podskakuje na miejscu.

Czyżby Frau Grober źle się poczuła? Flint kładzie dłoń na jej rękę. Czy Frau Hartmann może jej jakoś pomóc?

- Kto zamordował pani matkę? - pyta Ilse nieco chrapliwie przez ściśnięte gardło.

- Nie wiadomo. Prawdopodobnie nigdy się tego z ojcem nie dowiemy. To najgorsza świadomość. Niewiedza jest dla człowieka nieznośnym ciężarem.

- Naprawdę wolałaby pani wiedzieć?

- Tak - odpowiada pewnie Grace. - Chciałabym znać całą prawdę.

- Wydaje mi się, że czasem lepiej nie wiedzieć - mówi Ilse takim tonem, jakby chciała przekonać sama siebie.

Bingo! To jest właśnie to: ewidentne zaproszenie do szczerych wyznań, podsuwające sugestię, że Ilse w dzieciństwie także poniosła nieodżałowaną stratę. I chociaż Flint jest świadoma ryzyka, jakie wiąże się ze zbyt pospiesznym dążeniem do osiągnięcia swego celu, bez wahania podejmuje to zaproszenie. Starannie dobiera słowa, a mimo to, ledwie z jej ust pada pierwsze pytanie, od razu wie, że popełniła kolosalny błąd.

Czyżby Frau Grober również poniosła w dzieciństwie podobną stratę? Jej matka także zginęła?

- *Was erlauben Sie sich?* - Jak pani śmie? Wybuch Ilse przypomina erupcję wulkanu, jest tak gwałtowny, że Flint aż chowa głowę w ramiona, jakby ktoś chciał ją wysmagać batem. - Kto pani pozwolił na taką impertynencję?

Frau Grober zaczyna się niemalże trząść z furii.

- Proszę mi wybaczyć - mamrocze Frau Hartmann.

- Nie ma pani prawa...

- Tak, wiem. Nie chciałam...

- Jest pani moim gościem, nieznaną osobą przyjmowaną pod moim dachem, i pozwala sobie pani na wścibstwo? Ma pani czelność zadawać mi osobiste pytania?

- Rozumiem, że nie potrafi mi pani tego wybaczyć, bo dopuściłam się rzeczy niewybaczalnej.

Frau Hartmann podnosi się z krzesła, przyciskając oburącz torebkę do brzucha, i stara się robić wrażenie - a przynajmniej Flint ma taką nadzieję - że świetnie wie, iż powinna już sobie pójść.

Nie chciałam być wścibska. Miałam tylko nadzieję, że pani rozumie, jak to jest...

- *Setzen Sie sich!*

Frau Hartmann posłusznie siada. Wygląda na załamana. Do oczu napływają jej łzy.

W pełnym napięcia milczeniu Ilse przez jakiś czas przygląda się zbolącej minie Frau Hartmann, wypatrując efektów, jakie musiała wywrzeć jej reakcja. Wreszcie, najwyraźniej usatysfakcjonowana, w jednej chwili uwalnia się od złości.

Czy Frau Hartmann ma brata? To pytanie zadane łagodnym tonem ewidentnie ma służyć załagodzeniu konfliktu.

- Niestety, nie.

- Czy pani brat także zmarł?

- Nie, Frau Grober. Jestem jedynaczką.

- Ja miałam brata, który zmarł - mówi Niemka

Nie odzywaj się, Flint. Nie waż się pisnąć ani słówka. Frau Hartmann w milczeniu wbija wzrok w podłogę, z zaciśniętymi mocno pięściami ułożonymi na kolanach.

- Jeszcze o tym porozmawiamy. O pani matce.

- Z przyjemnością.

- Powinna pani teraz zobaczyć pokoje do wynajęcia.

- Bardzo chętnie. Dziękuję.

- Służący panią zaprowadzi.

Z rękawa obszernego wełnianego swetra Ilse wyciąga chusteczkę do nosa, aby Frau Hartmann mogła nią zetrzeć z policzków wszelkie ślady łez.

Na pierwsze piętro domu prowadzą szerokim łukiem schody, stanowiące jak gdyby przejście do całkiem innego świata. Już na podeście leży mocno powycierany dywan, a na ścianach widać żółtawe zacieki od dymu tytoniowego. Lampa nad schodami daje tyle światła,

co płomień świecy, zresztą podobnie mruga, napęliając Flint obawami co do stanu sieci elektrycznej. Prowadzący ją Turek silnie wspiera się na poręczy i sapie z wysiłku.

Grace ma wrażenie, jakby dom nagle się skurczył. Pomieszczenia na piętrze są dużo niższe, okna mniejsze, światło przedostające się do środka nie jest nawet w stanie rozproszyć mroku. Otwarte są tylko jedne drzwi na końcu korytarza, za którymi znajduje się wydzielone mieszkanie składające się z trzech pomieszczeń.

W saloniku stoi wąska dwuosobowa kanapa i krzesło obite takim samym kasztanowym adamaszkiem, niski odrapany stolik i komódka z blatem laminowanym folią w marmurkowy wzorek, w wielu miejscach na brzegu przypaloną od papierosów. Podłogę ze zwykłych sosnowych desek zakrywają dwa wyliniałe dywaniki. Drzwi na końcu pokoju prowadzą do zaimprovizowanej kuchni. Flint udaje, że zainteresowała ją jedyna ozdoba nagich ścian, oprawiona w ramę tandetna reprodukcja wisząca nad komodą przedstawiająca wiejski pejzaż.

Turek obrzuca ją podejrzliwym spojrzeniem, kiedy Grace mówi:

- Bardzo ładne.

Na końcu znajduje się sypialnię kwadratowy pokój mający cztery na cztery metry, bez okna. Bieliźniarka z masywnymi szufladami jest grubo polakierowana na odcień wiśniowy, a wysokie lustro upstrzone czarnymi cętkami w miejscach, gdzie wykruszyła się warstwa srebra. Funkcję szafy na ubrania pełni oddzielona zasłonką alkowa z grubym prętem na wieszaki. Żelazne łóżko jest na tyle szerokie, że tylko z trudem można je uznać za dwuosobowe. Stoją przy nim dwa drewniane krzesła pełniące funkcję nocnych stolików.

A gdzie ty będziesz spał, Feliksie?

Flint ostrożnie przyciska dłonią materac, ale jest dość sprężysty, zapada się tylko w tych miejscach, gdzie brakuje sprężyn.

Ledwie rzuciwszy okiem na umeblowanie sypialni, podchodzi do okna w saloniku i wygląda na teren na tyłach domu, zasypany gruzem i zawalony śmieciami w plastikowych workach. W zawartości jednego z nich grzebie bezpański kundel. Dopiero teraz uderza ją, że to pierwszy pies, jakiego zauważyła w Lipsku.

Myśli, że za żadne skarby nie zostanie w tym przygnębiającym domu, nie da zrobić z siebie więźnia potwornej Frau Grober.

Ale Frau Hartmann musi tu zamieszkać. Przywiezie swoje rzeczy, porozwiesza ubrania na wygiętej poręczy w alkwie, porozstawia kosmetyki na splekanym obrzeżu poobijanej wanny. Kupi tranzystorowe radio, aby niezbyt głośno słuchać wiadomości po niemiecku, w elektrycznym piekarniku przygrzewając mężowi na obiad gotowe mrożone

danie z supermarketu. Codziennie rano, po jego wyjściu do pracy, będzie czytała Schillera, zasiadając na drewnianym krzeselku przeniesionym z sypialni do łazienki, gdzie jest więcej światła. W południe będzie schodziła na dół, by zaoferować pomoc Frau Grober, robić jej zakupy i sprzątać, zajmować się wszystkim, co będzie konieczne. A popołudniami będą rozmawiać, i to zapewne nie tylko o dziełach Schillera.

Jak długo chcesz tu zostać? - pyta Flint, wyraźnie przerażona tą perspektywą.

Jak długo będzie trzeba - odpowiada Frau Hartmann.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Obok Holiday Inn, w opuszczonej dobudówce gigantycznego, lecz tak samo opuszczonego hotelu Astoria, zniecierpliwiona Stephanie Cooper-Cole czeka, aż zadzwoni jej telefon komórkowy. Thymus - od łacińskiej nazwy tymianku, *Thymus vulgaris*, krzewiącego się obficie w angielskim ogrodzie Nigela - siedzi w swoim pokoju w hotelu przy Richard-Wagner-Strasse, Fellowes czuwa w holu, a dwóch innych obserwatorów ma z ulicy oko na boczne i tylne wejście do budynku. A przez lornetkę świetnie widać ostatniego z ludzi Fellowesa, który w kawiarence po drugiej stronie małego skweru, gdzie urzęduje banda pijaczków, siedzi przy stoliku, ubrany w czarną skórzaną kurtkę, tuż obok swego motocykla. Wszyscy czekają na Kocimiętkę, która otrzymała pseudonim od nazwy rośliny z rodziny jasnotowatych, na swój sposób dość ładnej, o szarawych liściach i strzelistych wiechach purpurowych kwiatów. Jak to możliwe, na Boga, że cała czwórka straciła ją z oczu?

Po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich dwóch dni Cooper-Cole cisną się na usta niezbyt miłe określenia pod adresem Nigela Ridouta.

- Bardzo dobrze, Stephanie - powiedział, gdy przedstawiła mu niepokojącą informację o wyjeździe Kocimiętki do Lipska. - Będziesz mogła nająć obserwatorów, zaangażujesz tamtejszych ludzi.

- Miejscowych?

- Ze względów ekonomicznych.

- Nigel, chyba nie mówisz...

- Mamy kryzys, Stephanie. Żyjemy w czasach poważnych cięć budżetowych i żalonych dusigroszy. Jak ci doskonale wiadomo, to oni teraz rządzą w Ceausescu Towers. Dlatego zaangażujesz miejscowych, i to najwyżej czterech.

- Czterech?

- Niech będzie sześcioro, ale to moje ostatnie słowo. Lipscy najemnicy, pozostałość zimnej wojny, byli głównie wolnymi strzelcami wykorzystywanymi okazjonalnie przez MI6 za czasów NRD. Mimo hojnych wynagrodzeń ich lojalność zawsze pozostawała pod znakiem zapytania, a podejrzenia o współpracę ze Stasi w wielu przypadkach okazały się później uzasadnione. Jak na ironię - *ipso facto*, jak orzekł z naciskiem Nigel - właśnie oni mieli odpowiednie doświadczenie w prowadzeniu inwigilacji.

Ale Cooper-Cole zdążyła się już przekonać - i zamierza przy najbliższej okazji powiedzieć to Nigelowi prosto w oczy - że inwigilacja obiektu w państwie policyjnym, gdzie wszystkie linie telefoniczne są na podsłuchu, trudno rozpoznać śledzący samochód, gdyż niemal każdy jest takim samym trabantem, i nie sposób wyłowić obserwatora w tłumie, w którym co najmniej połowa ludzi spogląda na innych podejrzliwym wzrokiem, to zupełnie co innego niż próba śledzenia doświadczonej tajnej agentki w otwartym mieście, gdzie nie ma ani jednego z wcześniejszych elementów zapewniających przewagę.

Zgubili Kocimiętkę na dworcu kolejowym. Krążyła bez pośpiechu między sklepikami galerii handlowej, na krótko weszła do baru szybkiej obsługi, sprawiając wrażenie, że kręci się po budynku bez żadnego celu. I nagle przepadła bez śladu.

- Przepadła?!

- Po prostu zniknęła, wtopiła się w tłum podróżnych na największym terminalu kolejowym w Europie. Czy pani ma w ogóle pojęcie, ile tu jest poziomów, ile peronów?

- Przeszukaliście wszystkie?

- Oczywiście. Sprawdziliśmy też w każdym pociągu.

- Myślicie, że Kocimiętkę przysłał na dworzec, żeby wsiąść do jakiegoś cholernego pociągu?!

Kazała im wsiąść na motocykle i ruszyć na przeszukiwanie wyznaczonych czterech sektorów miasta, stopniowo coraz dalej od centrum ku przedmieściom, chociaż miała świadomość, że równie dobrze mogliby szukać igły w stogu siana. Wyzaczyła też hojną nagrodę: tysiąc dolarów dla tego, który pierwszy, choćby na krótko, zauważy Kocimiętkę na ulicy. Dlatego ciągle czeka, aż zadzwoni telefon.

Doskonale zdaje sobie sprawę, że szanse odnalezienia Angielki w tym wielkim mieście są prawie równe zeru. Jest dużo bardziej prawdopodobne, że podejmą obserwację dopiero wtedy, gdy Kocimiętkę skontaktuje się z Thymusem albo wróci do Holiday Inn - jeśli w ogóle wróci do hotelu. Niewykluczone, że już odnalazła trop Grobera i ruszyła nim.

- Nie powinna teraz szukać Grobera - zaproponował zdziwiony Ridout. - Powinna przede wszystkim szukać Mandragory, swojego Bena.

- Może sądzi, że Grober doprowadzi ją do Mandragory - podsunęła Cooper-Cole.
- Stephanie, moja droga - rzekł Nigel protekcjonalnym tonem. - Karla Grobera na pewno nie ma w Lipsku. Od dziesięciu lat trzyma się z dala od tego miasta co najmniej na tysiąc kilometrów.

- Wiem.

- Więc dlaczego... - Ridout strzelił palcami w powietrze i wycedził: - ...Kocimiętka... wybiera... się... do... Lipska?

- Nie mam pojęcia.

- Z kim... zamierza... się... spotkać?

- Niedługo się o tym dowiemy.

- Mam nadzieję. - Ridout w zamyśleniu pogładził palcami kant biurka, jakby chciał je udobruchać. - Wiesz co, Stephanie? Ty i Flint jesteście do siebie bardzo podobne. Obie odznaczacie się podobnym sprytem, obie działacie intuicyjnie, jesteście tak samo wytrwałe i obie... jak to powiedzieć?... odnosicie się z pogardą do przełożonych. Ktoś ostatnio opisał Flint jako „nieuleczalnie upartą”, ale słysząc to, natychmiast pomyślałem o tobie. Ponadto wydajesz mi się jeszcze bardziej atrakcyjna od niej, jesteś nadzwyczaj pociągająca.

Pieprz się, Nigel - pomyślała.

- To wszystko sprawia, że zawsze znajdujesz godnych siebie, interesujących przeciwników, wolałbym jednak mieć absolutną pewność, że z nimi wygrasz.

Za cenę, na wieść o której Nigel natychmiast by zbladł, zdobyła klucz do opuszczonej przybudówki w Astorii i możliwość korzystania z niej tak długo, jak tylko będzie chciała. Na jej prowizorycznym posterunku obserwacyjnym nie ma żadnych mebli - co prawda nie ma też bieżącej wody, prądu ani działającej toalety - ale mimo to jest zdecydowana trwać na posterunku do czasu odnalezienia Kocimiętki.

Doktor Otto Schnell mówi recepcjoniście w Holiday Inn, że chce zostawić wiadomość pannie Grace Flint. To pilna sprawą dodaje, prosząc, by dostarczył jej list jak najszybciej, gdy tylko wróci do hotelu. Będzie bardzo wdzięczny za tę drobną przysługę.

Na pewno przekażę, zapewnia recepcjonista.

Schnell wkłada z powrotem kapelusz z szerokim rondem i rusza do wyjścia na ulicę. Po przejściu dwudziestu metrów skręca w alejkę wyjazdową z hotelowego parkingu, przy której znajduje się wejście dla personelu. Chowa kapelusz do kieszeni, wślizguje się do środka i bacząc, by nie dostrzegł go nikt z recepcji, wchodzi schodami na pierwsze piętro. Korzystając z duplikatu uniwersalnego klucza sprzątaczkę, szybko otwiera drzwi pokoju Flint i wchodzi do środka.

Nie ma zamiaru go przeszukiwać, niemniej z aprobatą przyjmuje pozostawione przez nią zabezpieczenia, wąskie skrawki przezroczystej taśmy samoprzylepnej, którymi zaklejone są drzwi szafy i szuflady biurka.

Pokój jest niewielki, ale dość przytulny, wystarczający dla dwojga gości. Pośrodku stoją dwa zsunięte tapczaniki jednoosobowe. Po drobiazgach rozrzuconych na nocnym stoliku łatwo się zorientować, że Flint zajęła łóżko bliżej okna. Schnell siada więc na drugim, zdejmując buty i układa się wygodnie, żeby na nią zaczekać.

Po wyjściu z tramwaju Flint pośpiesznie zdejmując brzydkie okulary Frau Hartmann, wyciąga spinkę utrzymującą kok i potrząśnięciem głowy rozsypuje włosy. Rozpina też dwa górne guziki wełnianego swetra, by nie przypominać więcej kobiety, która za wszelką cenę chce pozostać niezauważona. Patrząc przez lornetkę ze swego posterunku w przybudówce hotelu Astoria na tę nagłą przemianę, Stephanie Cooper-Cole dochodzi do ponurego wniosku, że Flint odznacza się zdolnościami kameleona.

Tymczasem Grace, wiedzona instynktem, nie idzie od razu do Holiday Inn. Wraca na dworzec kolejowy i wtapiając się w tłum w galerii handlowej, kieruje się stopniowo ku schodom wiodącym na najwyższy poziom antresoli, ciekawie oglądając wystawy sklepów. W rzeczywistości tylko wykorzystuje odbicie w szybach, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi.

Nie stwierdziwszy za sobą ogona, rusza nieco szybszym krokiem do bocznego wyjścia, nie tego, które znajduje się naprzeciwko hotelu i które można obserwować z przybudówki Astorii. Rusza na południe, w kierunku starego miasta, ale kilkaset metrów dalej skręca na zachód, mijając sześć przecznic, i dopiero wtedy zawraca na północ, w stronę hotelu, po czym skręca w boczną uliczkę biegnącą na jego tyłach. Znowu skręca na wschód, potem na południe, i zatoczywszy szeroką pętlę, dociera do wejścia Holiday Inn poza zasięgiem wzroku Stephanie Cooper-Cole.

Gdyby odznaczała się słuchem tak samo czułym, jak jej szósty zmysł, na pewno złowiłaby stłumione przeklęcia, które rozlegają się w opuszczonej przybudówce Astorii.

- Dobry wieczór, panno Flint. Jest dla pani wiadomość. Wreszcie Feliks się odnalazł, przemyka jej przez myśl. Ale nazwisko na kopercie jest starannie wykaligrafowane charakterem pisma krańcowo różnym od niechlujnych bazgrołów Hartmanna. Poniżej znajduje się dopisek: „Bardzo pilne. Proszę otworzyć natychmiast”. Grace wycofuje się w zaciszny kąt hotelowego lobby, wyjmując ze środka pojedynczą kartkę i czyta:

Nazywam się Otto Schnell i jestem kolegą Feliksa Hartmanna z Pullach. Feliks chwilowo nie może się z panią skontaktować, ponieważ jest pilnie obserwowany przez siły wroga. Czekam w pani pokoju. Proszę się nie przestraszyć z tego powodu.

Pod wpływem jej ostrego spojrzenia doktor Schnell szybko wstaje z łóżka i pośpiesznie wygładza kapeł. Jest bez kapelusza, ale Grace natychmiast rozpoznaje w nim tajemniczego rozmówcę, z którym Feliks spotkał się przed dworcem kolejowym. Jego wzrost nie pozostawia najmniejszych wątpliwości.

- Schnell - przedstawia się Niemiec z dwornym ukłonem. - Doktor Otto Schnell.

- Jak pan się tu dostał?

- Przykro to powiedzieć, ale za łapówkę. - Schnell dostrzega z satysfakcją, że Flint błyskawicznie wodzi wzrokiem po drzwiach szafy i szufladach biurka, gdzie zabezpieczenia z taśmy samoprzylepnej są na swoich miejscach. - Kupiłem duplikat uniwersalnego klucza sprzątaczkę.

- Kto śledzi Feliksa?

- Trzyosobowy zespół. Podjął inwigilację jeszcze na lotnisku, jak tylko Feliks wysiadł z samolotu. Jestem pewien, że dwóch ludzi to miejscowi, z Lipska, a trzeci, jak mi się zdaje, to Anglik.

- Jak się panu zdaje?

Schnell wkłada buty, dzięki którym sprawia wrażenie wyższego o pięć centymetrów.

- Nie mieliśmy jeszcze okazji o nic go zapytać. Jednakże wykorzystuje mieszkanie, które kiedyś, w czasach NRD, było kryjówką urządzoną przez MI6 i cieszyło się sporą popularnością ze względu na sąsiedztwo okręgowego dowództwa Stasi. - Dostrzegłszy zdziwioną minę Flint, dodaje: - Z jego okien rozciąga się doskonały widok na główną kwaterę tajnej policji. - Unosi dłonie do oczu, pokazując na migi, jakby regulował ostrość lornetki.

- Ja też jestem pod obserwacją?

- Była pani, czteroosobowy zespół zaczął panią obserwować dopiero tutaj, w hotelu. Ale stracili panią z oczu na dworcu kolejowym. Moim zdaniem wyśmienicie wyprowadziła ich pani w pole przed złożeniem wizyty Frau Grober. - Chcąc podkreślić wyrazy uznania, Schnell uśmiecha się chytrze.

- Najwyraźniej nie udało mi się jednak zmylić pana.

- Jesteśmy w tej samej drużynie, panno Flint... Grace, jeśli pani pozwoli. I mamy tę przewagę, że gramy na własnym boisku. Ponadto nietrudno mi się było domyślić, dokąd mogła pani pojechać. Nawiasem mówiąc, jak odebrała pani Ilse?

- To stara wiedźma - rzuca Flint. - Otto, jeśli to pańskie prawdziwe imię, co tu się dzieje, do cholery? Dlaczego na mojej drodze kręci się aż tyle robactwa?

- Robactwa?

- Węży, żmij, karaluchów... proszę ich nazywać, jak się panu podoba. Przepraszam, ale gatunki zasiedlające świątek wywiadu nie należą do moich ulubionych zwierzątek, ewentualnie z wyłączeniem obecnego towarzystwa. Wie pan, o co im chodzi?

Schnell zamyśla się na krótko.

- Nie, ale sądzę, że wywiad brytyjski zainteresował się nagle Karlem Groberem, albo po to, by go chronić, albo żeby do niego dotrzeć za pani pośrednictwem. Dlatego uważam, Grace, że choć znakomicie sobie radzisz ze znikaniem obserwatorom, najlepiej byłoby cię przenieść do innego hotelu, mniej eksponowanego. Tak się składa, że znam świetne miejsce poza miastem, niedaleko od Lipska, gdzie jest doskonała restauracja. Gdybyś zechciała uczynić mi ten zaszczyt, moglibyśmy zjeść razem obiad. Mogę zagwarantować, że nikt tam nie zakłóci nam spokoju, nie będzie obrzucał podejrzliwymi spojrzeniami ani próbował podsłuchiwać. Gdybyś w dodatku zechciała dać mi godzinę, przygotowałbym też małą akcję dywersyjną, aby i Feliks mógł bezpiecznie do nas dołączyć. Wtedy w trójkę byśmy się zastanowili, skąd... tyle robactwa na twojej drodze, wyłączając mnie. - Uśmiecha się jeszcze szerzej. - Czy ta propozycja jest dla ciebie do przyjęcia? Flint rozważają przez chwilę.

- Co było w kopercie, którą dał pan Feliksowi dzisiaj rano?

- W kopercie? Jakiej kopercie?

Flint nie odpowiada, z uporem patrząc mu prosto w oczy.

- Naprawdę jesteś dobra, bardzo dobra. - Schnell chichocze krótko i kręci głową ze zdziwienia. - Zatem ty także go obserwowałaś. Doskonale. W ten sposób przypomniałaś mi o czymś, co powinienem był pamiętać. W kopercie znajdowały się wymagane przez Ilse referencje, ośmielę się powiedzieć, że najlepsze, jakie technicy z Pullach mogli podrobić dla Herr Hartmanna i jego uroczej małżonki. Feliks miał je dostarczyć dziś wieczorem. Ale teraz będziemy musieli...

- Nie będą już potrzebne - przerywa mu Flint.

- Naprawdę?

Flint stawia na stoliku niewielki pojemnik z gazem łzawiącym, który do tej pory ukrywała w dłoni. Otwiera torebkę i z dumną miną pokazuje Schnellowi klucze do domu Ilse Grober.

MORZE IRLANDZKIE

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Na promie płynącym do Dublina Mandragora trzyma się mocno relingu na pokładzie dziobowym, patrząc, jak statek unosi się w górę, by po chwili zsunąć się po grzbiecie kolejnej fali. Pogoda się psuje, stalowoszare morze coraz silniej miota płatami piany, a wilgoć niesiona wiatrem kłuje w twarz jak pokrzywa. Chętnie zszedłby pod pokład, obawia się jednak, że jeśli wysłannicy Ridouta są na promie, tam właśnie go szukają, a głowa ogolona do gołej skóry i pięciodniowy zarost nie wystarczą, by wywieść ich w pole. Zrobił wszystko, aby zmienić wygląd, lecz nie jest w stanie się zmniejszyć, przy swoich stu dziewięćdziesięciu centymetrach wzrostu rzuca się w oczy w każdym otoczeniu, stojąca obok niego dziewczyna o łobuzerskim wyglądzie i niewyparzonym języku ledwie sięga mu do ramienia. Nie powiedziała ani jednego zdania bez przekleństwa od czasu, kiedy pojawiła się na pokładzie w towarzystwie zasepionego chłopaka, którego najwyraźniej próbuje oczarować swoją ryszczokową elokwencją.

- Do kurwy nędzy! - wykrzykuje, gdy odprysk wody moczy jej papierosa ukrytego w dłoni. A dostrzegłszy pobłażliwy uśmiech Mandragory, spogląda na niego i pyta groźnie: - Co się tak gapisz, kutasie?!

Odwraca się, pod osłoną grodzi przypala papierosa i w milczeniu wyciąga go w kierunku nieznamym.

- Spierdalaj - rzuca dziewczyna z obrzydzeniem.

Mandragora wzrusza ramionami. Jest mu obojętna jej bezczelność i wulgarne słownictwo, dopóki stoi obok niego przy relingu. Wykorzystuje ją jako element swojego kamuflażu, gdyż świetnie wie, że para jest znacznie mniej podejrzana i nie rzuca się tak w oczy, jak samotny mężczyzna.

Zresztą obawia się nie tylko agentów Ridouta. Jest pewien, że najemnicy Karla Grobera także już go szukają, ponieważ zdążył już poznać swego mocodawcę i umie przewidzieć jego reakcję na niespodziewane żądanie wypłaty należnych pieniędzy.

- Tak i nie - przekazał mu ekspert finansowy, gdy następnego dnia Mandragora zadzwonił z pytaniem, czy przelew wpłynął na jego konto.

- Tylko bez żadnych sztuczek - odparł ostro.

- Co zrozumiałe, klient wyraża obawy, że nawet jeśli zapłaci panu całą sumę, nie będzie miał żadnych gwarancji, że przyjaciele Ruth i tak nie złożą mu wizyty.

- Ma na to moje słowo - rzekł Mandragora, lecz jedyną reakcją było przedłużające się milczenie. - Więc? - zapytał w końcu. - Co proponuje pański klient?

- Płatność w tygodniowych ratach, które będą kontynuowane tak długo, jak długo na wyspie... będzie spokój.

Albo dopóki jego ludzie mnie nie odnajdą, dodał w myślach Mandragora.

- Już odebrałem depozyt w wysokości dziesięciu procent sumy, który mogę wpłacić na dowolne, wskazane przez pana konto. Mam jednak obowiązek zablokować tę kwotę na miesiąc, bo tyle czasu potrzebuje mój klient, żeby zmienić miejsce pobytu.

Co w zupełności mu też wystarczy, by mnie zlokalizować, śledząc jedynie transfery bankowe.

- Mógł je zmienić już dziś - zaproponował.

- Rzeczywiście mógł, choćby po to, by pańskie informacje stały się bezwartościowe. Woli jednak wszystko starannie zaplanować, dając tym samym dowód, że nie uchyla się od wyrównania rachunków za pańskie... usługi. Chce zyskać na czasie i upewnić się, rzecz jasna, że uzyska za wypłacone pieniądze to, co mu pan obiecał.

Głównie chce zyskać na czasie, żeby zapolować na mnie.

W dziób promu uderza fala silniejsza od poprzednich, przewala się przez pokład, a rozkołysany statek przechyla się na prawą burtę. Mandragora puszcza się prawą ręką relingu i łapie dziewczynę pod ramię. Ta podnosi krzyk i próbuje się wyrwać z jego uścisku, dopóki strumień wody spływającej po pokładzie nie ścina jej z nóg. Błyskawicznie odwraca się i kurczowo obejmuje go rękoma za szyję.

Po chwili przez pokład przetacza się druga monstrualna fala i Mandragora musi znów złapać się oburącz relingu. Nie zważa na to, że przyciska do niego plecami dziewczynę, mimowolnie napierając na nią całym ciałem. Przychodzi mu do głowy, iż powinien odczuwać satysfakcję, że uratował jej życie. Ale nie odczuwa niczego, jeśli nie liczyć lekkiego naporu ciała. Świetnie wie, że przytrzymał ją instynktownie, ponieważ chwilowo służy mu do określonego celu. Gdyby nie to, gdyby nie była mu potrzebna, nic by go nie obchodził jej los.

Znaczy dla niego tyle, co inna koścista dziewczyna o posiniałej skórze, którą kiedyś dźwignął z łóżka i zawiniętą w dywan porzucił na wpół zanurzoną w wodzie na brzegu Tamizy.

GMACH MARSCHIEDERA

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

O fałszywym teściu Grace Flint - oszuście, który bezprawnie poprowadził ją do ołtarza - Jarrett Crawford ma do powiedzenia tylko tyle:

- To dziwak, bezrobotny aktor żyjący z dorywczych zajęć. Nazywa się Pierre Defoe. Znaleźli go za barem w jakiejś knajpie w Montrealu i zaproponowali półtora tysiąca dolarów oraz pokrycie wszystkich wydatków, jeśli zgodzi się odegrać rolę Joego Gatesa.

- Jacy oni?

- Na pewno Ben, panie Cutter. Defoe rozpoznał go na zdjęciu. Tego drugiego widział zza baru tylko przez parę pierwszych minut rozmowy, więc mógł go jedynie z grubsza opisać.

Zrobiło się wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku. Temperatura w pomieszczeniach dochodzi do trzydziestu stopni, nic więc dziwnego, że na biurku Cuttera obraca się duży wentylator, a w strumieniach wyrzucanego powietrza łopoczą obciążone przyciskiem kartki. Crawford dostrzega stronę tytułową akt personalnych Nathana Starka i za wszelką cenę usiłuje ukryć swoje zdumienie.

- Kiedy go zaangażowali?

- Powinienem raczej powiedzieć, że Defoe sam się zaangażował do ich przedsięwzięcia. Kiedy nie miał angażu w teatrze i nie pracował jako barman, wykonywał usługi pod szyldem „Telefoniczne Fantazje”. Za pięćdziesiąt dolców dzwonił do najlepszego przyjaciela zleceniodawcy, jego szefa czy kogoś z rodziny i przedstawiał się jako policjant, inspektor urzędu skarbowego, adwokat prowadzący sprawę rozwodową czy ktoś w tym rodzaju.

Cutter robi zdziwioną minę.

- Po co?

- Dla żartu. W każdym razie dotarli do niego poprzez reklamę tych usług. Powiedzieli: „Skoro oferuje pan różne fantazje, to co by pan powiedział na coś takiego?”. Ben wytłumaczył mu, że jego prawdziwy ojciec wykładający na uniwersytecie w Montrealu był kilkakrotnie oskarżany o nagabywanie studentek, po kolejnym skandalu wyleciał z pracy i popadł w alkoholizm. Orzekł, że gdyby pojawił się na jego weselu, pewnie by zaczął podszczypywać pannę młodą i dostał po pysku. Obiecali, że Defoe nie będzie świadkiem na ślubie, że nie ma w tym niczego nielegalnego. Miał się tylko pokazać, poprowadzić pannę

młoda do ołtarza, ponarzekać na Montreal, powiedzieć coś o swojej chorej żonie, przejściu na emeryturę i planowanej przeprowadzce do Francji, nic poza tym.

Cutter słucha tej relacji z napiętą uwagą, łowi każde słowo Crawforda, jakby doszukiwał się jakiegoś ukrytego znaczenia. Jarrett, czując na sobie jego wzrok, nie ma nawet odwagi zetrzeć kropelek potu z górnej wargi.

- Tylko tyle? - pyta w końcu stary.

- Niezupełnie. Po ślubie, kiedy Ben zapłacił mu resztę należności, tysiąc dolarów, dał mu telefon podłączony do francuskiej sieci komórkowej. Powiedział, że to na wypadek, gdyby Grace chciała porozmawiać z teściem, bo i tak nie będzie wiedziała, że on nie jest we Francji. Przykazał mu, że jeśli zadzwoni, on ma go natychmiast zawiadomić, a wtedy Ben prześle mu sto dolarów. Zdarzyło się tak kilka razy. Nawet gdy Grace chciała tylko zamienić parę słów, Defoe zawsze dostawał swoją stówę. I pewnego dnia, będąc bez grosza przy duszy, postanowił naciągnąć Bena. Zgłosił, że Grace znowu dzwoniła, podczas gdy nie odebrał żadnego telefonu. Dwa dni później w barze, gdzie pracował, zjawił się jakiś typek, który postraszył, że jeśli jeszcze raz zrobi taki numer, obudzi się z poderżniętym gardłem. Defoe śmiertelnie się przestraszył i, jak twierdzi, natychmiast wyrzucił telefon.

Crawford z ulgą przyjmuje, że Cutter w końcu odwraca głowę, nagle straciwszy wszelkie zainteresowanie osobą Pierre'a Defoe.

- Kanadyjczycy jeszcze go trzymają w areszcie?

- Tak, wpytują go o kilka innych spraw, między innymi o podszywanie się pod gliniarzy na zlecenie klientów „Telefonicznych Fantazji”. Chętnie zgodzili się na współpracę i są gotowi potrzymać go za kratkami tak długo, jak zechcemy.

- To chyba marnotrawstwo pieniędzy podatników, jak sądzisz, Jerry?

- Raczej tak.

- Więc?

- Co: więc, panie dyrektorze?

- Kiedy mi wreszcie powiesz, co cię nurtuje?

Od początku wizyty w gabinecie Cuttera Crawford był przekonany, że ta chwila musi kiedyś nadejść, lecz nadal nie ma pojęcia, jak to rozegrać, dlatego szybko postanawia kręcić.

- Flint chce, żebym przycisnęła Regała.

- Kogo?

- Vincenta Regała, jednego z informatorów operacji „Zielone Świątki”, pracującego w agencji, która zakładała wszystkie firmy Grobera w Delaware.

Domyślając się słusznie, że to nie jest jeszcze zasadnicza sprawa, Cutter kwituje ją krótkim skinieniem głowy.

- Problem, który od ponad roku nie daje jej spokoju, polega na tym, że owego wieczoru, gdy odbierała informacje od Regala, wymknęło mu się, a może wspomniał o tym umyślnie, że wie o jej małżeństwie. Znał nawet imię Bena.

- I co z tego?

- Niby skąd taki palant jak Regal mógł wiedzieć o jej sprawach osobistych? W końcu nie dawała ogłoszenia o swoim ślubie w ogólnokrajowym dzienniku. Grace twierdzi, że wiedziało o nim tylko kilka osób. Powstaje więc pytanie, kto powiedział o tym Regalowi.

- Zapytaj go - rzuca Cutter. - Czy mógłbyś wreszcie przestać kręcić, Jerry? Chciałbym się w końcu dowiedzieć, co cię naprawdę gryzie.

Crawford potakuje ruchem głowy i wbija wzrok w czubki swoich butów.

- Chodzi o Hudsona. Tego, który poznał Tylera z Shermanem - zaczyna z ociąganiem.

- Co z nim?

- Mam już dzisiaj wieczorem jechać do Wirginii, żeby dopaść Hudsona jutro z samego rana, wziąć go z zaskoczenia, nim jego adwokat zjawi się w biurze.

- To dobrze.

- Mimo to nie sądzę, panie Cutter, żeby udało mi się coś z niego wydusić. Przez wiele lat pracował w brytyjskiej dyplomacji, był ceniony i szanowany, wysyłano go na znaczące placówki na całym świecie. Dlatego nie wierzę, byśmy się od niego dowiedzieli, kim naprawdę jest ten Sherman. Zapewne w ogóle nie będzie chciał gadać, czy to w obecności adwokata, czy też nie.

- I co?

- Jestem przekonany, że zaledwie się pożegnamy, bo przecież nie ma żadnych podstaw, żeby go tu ściągać na przesłuchanie, natychmiast zadzwoni do kogo trzeba, może nawet do samego Shermana, z wiadomością że Tyler zaczął sypać. Dlatego uważam, że to nie najlepszy pomysł. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Cutter, chętnie zostawiłbym na razie Hudsona w spokoju i spróbował zidentyfikować Shermana innymi sposobami.

- Jakimi, Jerry?

- Więc gdyby pan się zgodził, to Tyler siedzi w tej chwili w pracowni komputerowej, a Rocco próbuje złożyć portret pamięciowy Shermana. Kłopot polega na tym, że Tyler nie ma, jak to się mówi, fotograficznej pamięci. Doskonale potrafi opisywać ptaki. Gdyby mu na to pozwolić, opowiedziałby szczegółowo, jakie ptaki widział w ogrodzie Hudsona, podając nawet długości dziobów w milimetrach. Ale wygląda na to, że ludzkie twarze łatwo ulatują

mu z pamięci. Siedzi z Moralesem już od trzech godzin. Próbowałem mu pomóc, chciałem, żeby zamknął oczy i opisał mi wygląd Rocco, lecz nawet tego nie potrafił. Dlatego... naprawdę nie wiem, co dalej robić, panie Cutter.

- Jerry, przestań mnie wreszcie owijać wokół palca, bo już mi się w głowie kręci. Po prostu wyrzuć, co ci leży na sercu.

- No więc... chodzi o pana Starka, który kazał Rocco założyć podsłuch na linii Grace, mówiąc, że to na pańskie polecenie. Tak, wiem, prosił pan, żeby nikomu o tym nie wspominać. Przysięgam, że nikomu nie mówiłem, ale...

Skry, które zapalają się w oczach dyrektora, zdają się niczym promienie lasera wgryzać w twarz Crawforda.

- W porządku. Rocco obiecał, że spróbuje podejść inaczej do zagadnienia. Będzie pokazywał Tylerowi zdjęcia autentycznych ludzi i na tej podstawie próbował dobierać poszczególne elementy, poczynając od linii włosów, a skończywszy na kształcie brody. Chce demonstrować różne typy czoła i ułożenia włosów z zakrytą pozostałą częścią twarzy na fotografii, dopóki Tyler nie powie, że właśnie to pasuje. Dysponuje dość dużą bazą zdjęć, więc jest z czego wybierać. Po dobraniu kształtu czoła i linii włosów pokaże oczy z danej fotografii, a jeśli nie będą pasowały, zmieni je na oczy z innego zdjęcia. W ten sposób chce ułożyć całą podobiznę.

- Rozumiem - mówi Cutter z podejrzliwym uśmiechem.

- Tyle że i to przynosi mierne rezultaty, panie dyrektorze. Bo gdy na przykład Tyler wybiera pasujący zarys czoła, nagle zaczyna mu też pasować linia włosów z tego samego zdjęcia, którą wcześniej odrzucił. Rocco odsłania więc oczy i Tyler znowu je akceptuje...

- Dlaczego to robi, Jerry?

- Przepraszam, co, panie Cutter?

- Czemu stopniowo odsłania na ekranie zdjęcie Nathana Starka?

Crawford z trudem przełyka ślinę.

- Ponieważ kazałem mu to zrobić. Nie tłumaczyłem, z jakich powodów.

- Ale mnie na pewno je wyjaśnisz, prawda, Jerry?

- W ubiegłą sobotę po południu Tyler odebrał telefon od Shermana, pierwszy od kilku miesięcy. Po krótkiej wymianie zdań Sherman go ostrzegł, że kilku agentów z naszego wydziału jest w drodze do Portlandu, chce zapukać do jego drzwi i zasypać go pytaniami dotyczącymi Gatesa, że został wzięty pod lupę, w związku z czym powinien trzymać gębę na kłódkę, zwyczajnie zaprzeczać, że kiedykolwiek słyszał o Benie Gatesie. Zachodziłem w głowę, jakim cudem Sherman się o tym dowiedział, jak ktokolwiek poza tym gmachem mógł

wiedzieć, że oboje z Flint wybieramy się do Portlandu, kiedy Tyler powiedział coś jeszcze. Oznajmił, że zamiast masy komputerów przydałby się nam aparat do identyfikacji zapachów. Miał to być żart, ale zapytałem szybko, skąd ten pomysł. Odparł, że jego zdaniem Sherman miał kłopoty z cuchnącym oddechem, gdyż czuć od niego było bardzo intensywny płyn do płukania ust, który na pewno by rozpoznał po zapachu. Powiedział, że była to woń podobna do zapachu owoców pigwy.

Rocco Morales siedzący przed konsolą komputerową w podziemiach Gmachu Marscheidera raz za razem ciężko wzdycha, w powietrzu czuć zbliżający się wybuch wściekłości.

Thomas Tyler już od pewnego czasu próbuje go ułagodzić luźną pogawędką, lecz Morales w ogóle nie zwraca na niego uwagi. Myśli tylko o tym, że jego siostra, Rosetta, ostrzegła wielokrotnie, iż porywczosć kiedyś go zgubi, stara się więc za wszelką cenę udowodnić, że to nieprawda.

Jerry Crawford, unikając jego lodowatego spojrzenia, mówi:

- Panie Tyler, dyrektor Cutter chciałby pana poznać osobiście.

- To, co pan dla nas zrobił - zaczyna Cutter podniosłym tonem - jest niesłychanie ważne. - Zamyka w uścisku dłoń Tylera i nie wypuszczając jej, ciągnie: - Teraz mam do pana jeszcze jedną prośbę. Chciałbym, żeby poszedł pan z agentem Crawfordem do mojego gabinetu na górze i zadzwonił stamtąd do swojej żony. Proszę kazać jej spakować najpotrzebniejsze rzeczy, państwa oraz dzieci, które wystarczą na jakieś cztery lub pięć dni. Jeśli dzieci nie ma w tej chwili w domu, pańska żona musi je natychmiast odnaleźć. Gdyby w tym celu potrzebowała pomocy, proszę powiadomić agenta Crawforda. Rozumie pan? Tyler, blady jak ścianą wygląda tak, jakby miał za chwilę zemdleć.

- Mniej więcej za pięć minut przed pańskim domem zjawi się mnóstwo aut policyjnych - mówi dalej Cutter. - Pańska żona i dzieci znajdą się pod ochroną do czasu przybycia ekipy ratunkowej. Mówiąc wprost, będzie to oddział antyterrorystyczny, który nieoznakowaną furgonetką zabierze pańską rodzinę w bezpieczne miejsce. Mam nadzieję, że jeszcze dziś wieczorem, a najpóźniej jutro, dołączy pan do żony i dzieci. Pozostaniecie pod ścisłą ochroną, dopóki nie zniknie zagrożenie.

- Mój Boże... - mruczy Tyler przez zaciśnięte gardło. - Co ja takiego zrobiłem?

- Wykazał się pan obywatelską postawą. - Cutter wreszcie puszcza jego dłoń. - A teraz proszę iść z agentem Crawfordem i zadzwonić do domu.

Oszołomiony Tyler stoi jak wmurowany, Jarrett musi go wziąć pod rękę i wyprowadzić. W zapadłej ciszy Rocco Morales w myślach odlicza powoli do dziesięciu, jak

człowiek wahający się przed popełnieniem jakiejś głupoty. Za ledwie jednak kończy odliczanie, wybucha:

- Jasna cholera! Czy mógłby mi pan wyjaśnić, panie Cutter, co tu się, u diabła, wyrabia?!

- Nie wydałem polecenia, byś założył podsłuch na linii Grace Flint - odpowiada spokojnie dyrektor. - Stark cię okłamał.

- I Crawford o tym wiedział? Od jak dawna?

- Od poniedziałkowego wieczoru.

Morales zrywa się na nogi i kopniakiem przewraca krzesło.

- Od pięciu dni?! Wiedział o tym prawie od tygodnia i nie pisał ani słowa?! Kurwa! Wierzyć mi się nie chce!

- Nakazałem mu zachować milczenie, Rocco. Wykonywał moje instrukcje. Więc jeśli chcesz się na kimsz powyżywać, to na mnie. - Cutter nadal mówi spokojnym, zrównoważonym tonem, jednakże lekki rumieniec na twarzy sugeruje, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Dlaczego, panie Cutter? Na miłość boską! Czemu trzymaliście przede mną w tajemnicy, że kierownik naszej sekcji jest zdrajcą?!

- Wtedy jeszcze nie mieliśmy pewności, czy zdradził. Wiedzieliśmy tylko, że wydał ci polecenie za moimi plecami i okłamał cię, że to moja decyzja. Chciałem zbadać, dlaczego to zrobił, nie płosząc go jednocześnie. A ty na pewno byś go spłoszył, Rocco, ponieważ nie panujesz nad emocjami. Pracowałem nad tą sprawą, przeglądałem akta Nathana, podejrzewając, że coś przeoczyłem. Może i sam bym do tego doszedł, ale... - Cutter uśmiecha się szeroko. - Byłeś szybszy. Pokażesz mi w końcu, co ci się udało odkryć? - pyta, ruchem głowy wskazując ciemny ekran monitora.

- Cholerny Jerry - mamrocze Morales, ale wyraźnie już udobruchany, z wściekłością uchodzącą z niego jak powietrze z przebitego koła.

- Powtarzam jeszcze raz, Rocco, Jerry działał na mój rozkaz. Ostatecznie właśnie za to mu płacą.

Morales z rezygnacją odwraca się do konsoli i wpisuje hasło. Rozjaśnia się ekran, na którym widnieje zdjęcie pociągłej kościstej twarzy Nathana Starka. To ta sama fotografia, którą dołączono do akt personalnych leżących na biurku w gabinecie Cuttera, tyle że Morales uzupełnił ją komputerowo o okulary i gęste, lekko kręcone czarne włosy zaczesane do tyłu.

- Podczas spotkania z Tylerem u Hudsona musiał nosić perukę - wyjaśnia. - Dlatego zwodził nas tak długo. Kiedy pokazałem Tylerowi tę część zdjęcia... - kilkoma ruchami myszy usuwa czarne włosy i zaciemnia część obrazu, pozostawiając tylko czoło - ...odparł

szybko, że to nie ten zarys. Ale gdy za namową Crawforda pokazałem mu tę część... - tym razem pozostają tylko oczy ocienione krzaczastymi brwiami - ...z wyraźnym podnieceniem uznał, że to ten sam człowiek. Wtedy wszystko się wyjaśniło.

- Masz wątpliwości, Rocco? Twoim zdaniem identyfikacja dokonana przez Tylera jest pewna?

- No cóż, tutaj wypowiadał się dość pewnie, lecz wolałbym nie przyjmować jego zeznań przed sądem, zwłaszcza opartych na tej fotografii. Myślę, że każdy doświadczony adwokat odeprze zarzuty postawione Starkowi, chyba że zdołamy przyłapać go na gorącym uczynku.

- A gdyby Tyler usłyszał głos Nathana i zobaczył go na własne oczy?

- To mogłoby przynieść skutek, tylko nie widzę za bardzo sposobu... Jezu, już wiem! - Morales do reszty pozbywa się nadąsanej miny. - Chce mu pan pokazać zapis wideo z operacji „Zielone Świątki”?

- W każdym razie nie zaszkodzi to zrobić, prawda?

Rocco błyskawicznie sięga do szuflady i po chwili wyjmuje płytę DVD, na której nagrał ostateczną wersję zapisu ukazującego aż nadto wyraźnie skalę klęski, jaką zakończyła się operacja „Zielone Świątki”. Wkłada płytę do czytnika i czeka z niecierpliwością, aż załaduje się odtwarzacz filmów.

Pospiesznie zaczyna przeglądać zaznaczone początki rozdziałów, aż trafia na moment, w którym Flint woła: „Nathan, zajmij moje miejsce!”. Zanim jeszcze milknie jej piskliwy głos, zniekształcony przez komputerowe głośniczki, w kadrze pojawia się Stark.

„Ten skurwysyn wetknął jej lufę w usta!”, wrzeszczy rozwścieczony Crawford.

„Zdejmij go!”, rozkazuje Nathan, patrząc w obiektyw z taką miną, jakby stał przed plutonem egzekucyjnym.

- Nie da się poprawić trochę dźwięku? - pyta Cutter.

- Pewnie. Można to puścić przez system nagłaśniający dużej mocy.

- W takim razie przełącz dźwięk i pokaż ten fragment nagrania Tylerowi, gdy skończy rozmawiać z żoną. Niech się napatrzy do woli, dopóki nie zyska niezbitej pewności, że on... - Cutter wskazuje Nathana na stop-klatce - ...i Sherman to jedna i ta sama osoba. Ale później nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć, Rocco. Buzia na kłódkę. Wystarczy, że ty i Crawford będziecie znać prawdę, na razie nikt więcej nie musi o tym wiedzieć.

Dyrektor odwraca się do wyjścia.

- I jak to się skończy, panie Cutter?

- Dokładnie tak, jak przed chwilą sam powiedział w nagraniu. Zdejmiemy go.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Następnego dnia w swoim gabinecie Cutter znów otwiera akta personalne Nathana Starka i zaczyna przeglądać spis jego najważniejszych osiągnięć z wcześniejszej służby w FBI. Tymczasem Stark, który patrzy na niego z wiszącego na ścianie płaskiego ekranu, nie mając o tym pojęcia, poczyną sobie z coraz większą swobodą i pewnością siebie.

Piętro wyżej agenci zbierają się w głównej sali konferencyjnej wydziału, ochrzczonej już przez młodych terierów „Dowództwem ZAIG”, co ma być żartobliwą aluzją do nazwy sekcji Stasi, w której Karl Grober zdobywał swą imponującą wiedzę na temat zachodnich systemów bankowych. Cutter zazwyczaj zwalcza takie określenia, ale w tym wypadku przymyka oko, uważając, że trzeba zezwolić psom gończym na odrobinę luzu. Jego zdaniem w pełni sobie na to zasłużyli, gdyż odnalezienie w dokumentach śladów działalności organizacji Grobera było isticie tytanicznym zadaniem.

Większość z sumy szacowanej na dwa miliardy dolarów, która powinna paść łupem wydziału - brudnych pieniędzy, jakie by przejęli, gdyby nie została ujawniona prawdziwa tożsamość agentki Ruth Apple - zniknęła bez śladu jak poranna mgiełka. Teriery są jednak przekonane, że nadal do zdobycia pozostaje kilka milionów dolarów, dlatego starannie przygotowały materiał dowodowy, na podstawie którego w poniedziałek rano agenci wydziału dokonają jednoczesnych nalotów na dwadzieścia trzy banki w Bostonie, Nowym Jorku, Wilmington i Chicago.

Dokładnie w tym samym czasie, a zatem w Europie już po południu, takie same naloty czekają dziewięć banków w Genewie, Londynie i Douglas na Isle of Man, a przeprowadzają je agenci służb specjalnych z poszczególnych krajów, wyposażeni w odpowiednie dokumenty i kopie zapisów komputerowych, pozwalające na zablokowanie wybranych kont. I po obu stronach Atlantyku tego dnia, jeszcze przed zachodem słońca, zakłócony zostanie domowy spokój wielu adwokatów, księgowym i innym urzędnikom biorącym udział w procederze prania brudnych pieniędzy. W stosunku do niektórych już zostały wydane nakazy aresztowania.

W sumie teriery zarządziły kontrole w czterdziestu dziewięciu instytucjach oraz przesłuchania stu osiemnastu podejrzanych osób, co sprawia, że będzie to największa do tej pory operacja koordynowana przez amerykański Wydział Ścigania Przestępstw Finansowych. Weźmie w niej udział prawie każdy oficer śledczy, lecz tych Cutter ma do dyspozycji niespełna dwustu, dlatego zaistniała konieczność włączenia do współpracy agentów FBI,

DEA oraz Sekcji Dochodzeń Kryminalnych Centralnego Urzędu Skarbowego. Przedstawiciele tych instytucji są już w sali konferencyjnej, gdzie na stojaku wisi przygotowany przez teriery olbrzymi i skomplikowany diagram obrazujący labirynt wzajemnych powiązań, który organizacja Grobera wykorzystywała do prania brudnych pieniędzy.

Narada ma być transmitowana na żywo do podobnie zatłoczonych sal konferencyjnych w czterech innych miastach Ameryki oraz w Londynie i Genewie. Stojący na mównicy Nathan Stark czeka już tylko na znak Rocco Moralesa, że wszystkie połączenia działają. Nie wie jednak, że Morales przygotował jeszcze jedno łącze do gabinetu Cuttera, a jego efektem jest właśnie widoczna na dużym ściennym ekranie twarz wicedyrektora wydziału do spraw operacyjnych.

Szykując sprzęt do narady, Morales rozmieścił w Dowództwie ZAIG ukryte mikrofony wysokiej czułości i teraz dzięki jednemu z nich do gabinetu Cuttera dociera prowadzona półgłosem rozmowa:

- Na co Nathan czeka, Kate? Na Godota? - odzywa się jeden ze zniecierpliwionych terierów, zwracając się najwyraźniej do Kate Barrymore, kierowniczkii sekcji.

- Co?

- Gdyby miał choć trochę włosów na głowie, świetnie by pasował do roli w sztuce Samuela Becketta. Nie sądzisz?

Cutter uśmiecha się mimowolnie, chociaż w środku wściekłość go pali bardziej od nadkwasoty. Znany jest ze swej bezgranicznej pogardy dla korupcji wśród funkcjonariuszy państwowych. Od dawna twierdził, że wśród jego podwładnych nie może być żadnych krętaczy, bo musieliby być ostatnimi idiotami, decydując się na brudne gierki ze świadomością tego, co ich czeka z jego strony, on zaś nie angażuje idiotów. Dlatego dowody zdrady Starka doszczętnie zrujnowały jego pewność siebie i skłoniły do jakże rzadkich, lecz tym bardziej gorzkich refleksji nad własną umiejętnością oceny ludzi.

Dlaczego zaangażował Nathana? Czemu właśnie jego wybrał z szeregów FBI?

Przeglądając po raz kolejny leżące na biurku akta, uświadomił sobie, że to właśnie sposób bycia Starka musiał być przyczyną jego szybkiej kariery w biurze federalnym, która doprowadziła go do stanowiska wicedyrektora. Co prawda, była to kariera dość monotonna, pozbawiona błyskotliwych sukcesów, lecz zarazem pozwalająca uniknąć poważniejszych urazów z powodu licznych porażek FBI. Mimo swojej pozycji w służbowej hierarchii Stark uniknął odpowiedzialności za niepotrzebne zabójstwa w Ruby Ridge, pożar Waco czy zbędny

pośpiech w formułowaniu oficjalnych oskarżeń po zamachu bombowym podczas olimpiady w Atlancie. Według Cuttera sprawiał wrażenie bardzo zrównoważonego, trzymającego się ściśle przepisów służbisty, przez co stanowił doskonałą przeciwwagę dla Flint.

Głośne stukanie w pulpit mównicy odrywa go od tych rozważań.

- Proszę o uwagę - mówi Stark, jakby zwracał się z ekranu specjalnie do niego. -

Witam wszystkich zebranych oraz uczestniczących w naradzie drogą telekomunikacyjną, w tym także wszystkich państwa w Europie. Mamy obecnie godzinę dwunastą czasu Wschodniego Wybrzeża, sobotę dwudziestego ósmego kwietnia. Operację „Odplata” rozpoczniemy punktualnie o dziewiątej rano w poniedziałek trzydziestego kwietnia, czyli za czterdzieści pięć godzin. Tyle czasu nam zostało na rozpatrzenie wielu spraw dotyczących taktyki działania.

W Dowództwie ZAIG oraz sześciu innych salach konferencyjnych rozlegają się chóralskie pomruki. Stark czeka parę sekund, aż znowu zapadnie cisza.

- Na początku chciałbym powiedzieć, że dyrektor Cutter osobiście poprowadziłby tę naradę, gdyby nie wezwały go inne, bardzo pilne sprawy.

Żebyś wiedział, Nathan, przemyka Cutterowi przez myśl.

- Pod jego nieobecność pragnę państwu przypomnieć, że celem operacji „Odplata” jest wyrządzenie możliwie jak największych szkód naszemu przeciwnikowi, władającemu prawdziwym imperium zła. Proszę pamiętać, że dla pieniędzy pranych przez Grobera i jego sługusów kobiety, a nawet dzieci są zmuszane do prostytucji. Każdego dnia w Europie i Stanach Zjednoczonych umierają ludzie z powodu przedawkowania narkotyków rozprowadzanych przez klientów Grobera. Inni, w znacznej części Bogu ducha winni, giną wskutek użycia broni i materiałów wybuchowych dostarczanych przez przyjaciół Grobera bandytom i terrorystom. W najbliższy poniedziałek zapukacie do drzwi wygodnie urządzonej i bogatych ludzi, którzy nie łączą ani siebie, ani swoich działań z tymi wszystkimi tragediami. Ale są z nimi powiązani. Świadomie czy nie, celowo czy nieumyślnie, czerpią nielegalne dochody z obrotów handlarzy śmiercią i niewolnikami.

Stark zaczyna stopniowo przybierać ton mesjasza.

- Gdyby był tutaj dyrektor Cutter, zapewne chciałby jeszcze przypomnieć wam wszystkim i każdemu z osobna... - pochyla się niżej na mównicy, zaciskając kurczowo palce na jej krawędzi - ...że z powodu bezgranicznej chciwości tych ludzi, z samego faktu istnienia takich ludzkich pijawek, funkcjonariuszka naszego wydziału, nasza wspólna koleżanka, straciła życie.

Nathan odwraca się w stronę dużego ciekłokrystalicznego ekranu, na którym po chwili ukazują się nieco ziarnisty obraz z zapisu wideo zarejestrowanego przez Rocco Moralesa. Widać helikopter wznoszący się ponad kłębam dymu, jego czarny brzuch, sylwetkę człowieka wypadającego z kabiny; później Grace Flint pędzącą susami przez plac Światowego Imperium i wyciągającą przed siebie ręce, wreszcie zderzenie dwóch ciał. Morales celowo tak obrobił ścieżkę dźwiękową, że wrzask Jarretta Crawforda rozbrzmiewa jak wycie dzikiego zwierzęcia. Zapis kończy się wraz z głuchym łoskotem, z jakim Ruth Apple zderzyła się z ziemią.

W Dowództwie ZAIG, jak i w sześciu innych salach konferencyjnych, zapada martwa cisza, którą przerywa głos Starka:

- Formalnie rzecz biorąc, w tej sytuacji Karl Grober działał sam, skazując agentkę specjalną Apple na pewną śmierć. Ale wszyscy wiemy, że ten jeden fakt wyrwany z kontekstu nie mówi całej prawdy. W ciągu najbliższych dni, kiedy poczujecie się zmęczeni operacją „Odplata”, kiedy przeszkody zaczną się wam piętrzyć na drodze i coraz częściej będziecie myśleć: „Do diabła z tym, to tylko jedna z wielu podobnych spraw”, chcę, żebyście pamiętali, iż każdy, kto pracuje dla Grobera, każdy, kto czerpie zyski z jego działalności, ma swój udział w tym morderstwie.

Na wpół odwrócony, wyciąga rękę i wskazuje widoczne na zatrzymanym obrazie zwłoki Ruth Apple leżące na brukowanym placu Światowego Imperium.

W wyobraźni Cuttera nakładają się na to obrazy pochodzące z wcześniejszych partii zapisu: widok Starka stojącego za krzesłem Flint i powtarzającego z naciskiem: Odwołaj akcję! A potem: Grace, musisz wyciągnąć wtyczkę!; Starka pochylającego się nad nią tak nisko, że musiała czuć woń pigwy z jego płynu do ust, i mówiącego błagalnym tonem: Posłuchaj, Grace... Zrobią z nią, co zechcą...

Dyrektor zamyka oczy, usiłując sobie przypomnieć to, co go trapi, a czego nie ma w zapisie Moralesa - przebieg rozmowy telefonicznej, jaką przeprowadził z krajowego lotniska Ronalda Reagana zaraz po przylocie z Waszyngtonu.

Stark powiedział wtedy: Aldus, musisz ją powstrzymać, musisz odwołać dalszą akcję - w każdym razie coś w tym rodzaju.

Dlaczego?

Nathan wyliczył wtedy cały szereg powodów: brak oddziały wsparcia na stanowiskach, kiepską pogodę, brak planu awaryjnego, brak doświadczenia Ruth Apple. Flint by sobie z tym poradziła, ale ona nie da rady.

Kiedy zaś Cutter zlekceważył jego zastrzeżenia - Grace na pewno wie, co robi - co wtedy Nathan odpowiedział?

Dopiero teraz z jego pamięci wypływają słowa Starka: Aldus, proszę, błagam cię, każ jej się wycofać. Przerwij akcję. Niechby nawet Flint była najlepsza, mam jednak dziwne przeczucie, że jeśli pozwolisz kontynuować akcję, to zakończy się ona klęską.

Dyrektor błyskawicznie otwiera oczy i spogląda na ekran, na którym widać wicedyrektora Nathana Starka opisującego taktyczne zasady operacji „Odplata”. Teraz już rozumie prawdziwe motywy jego obiekcji.

Dobrze wiedziałeś, sukinsynu, co Grober zamierza zrobić, prawda?

- Chcę cię prosić o przysługę - mówi Cutter, dodzwoniwszy się, mimo sobotniego popołudnia, do domu swojego mentora z waszyngtońskiego Departamentu Sprawiedliwości.

- A czy zdarzyło się choć raz, byś zadzwonił, nie prosząc o przysługę, Aldusie?

- Tym razem to bardzo poważna sprawa, która może nas sporo kosztować.

- Słucham.

- Spróbuj pod byle pretekstem wyciągnąć wszystkie akta spraw podpisane przez Nathana Starka w ciągu ostatnich piętnastu lat pracy w biurze.

- Matko Boska!

- Chciałbym je mieć w poniedziałek z samego rana, a jeśli to możliwe, nawet wcześniej. I niezależnie od wszystkiego, Nathan nie może się o niczym dowiedzieć.

- Niezależnie od wszystkiego... Aldusie, to jakaś bzdura! Niby jak miałbym to wytłumaczyć ludziom z FBI?

- Nie ludziom, tylko dyrektorowi. Nikt poza nim nie może się o niczym dowiedzieć.

W słuchawce na dłużej zapada cisza.

- Więc jest aż tak źle? Czy może nawet jeszcze gorzej?

- Mniej więcej tak źle, jak na to wygląda - odpowiada Cutter.

LIPSK

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Już pierwszego dnia pobytu państwa Hartmannów w domu Frau Grober wyszło na jaw, że Grace jest kiepską towarzyszką. Podczas herbaty podanej w ogrodzie przez Feliksa - jako że jest niedziela i służący ma wolne - zaczęła się skarżyć na ból głowy: co prawda, to jeszcze nie migrena, która bardzo często jej dokucza, lepiej jednak zastosować środki zaradcze. Jeśli Frau Grober jej wybaczy, wróci do swojego pokoju i zażyje tabletkę inderalu. Ma nadzieję, że później, po krótkiej drzemce, poczuje się znów na tyle dobrze, by dołączyć do nich w czasie kolacji, którą Feliks - dzięki Bogu - podjął się przygotować. I Frau Grober, tylko trochę udobruchana obietnicą Feliksa, że dotrzyma jej towarzystwa, szybkim skinieniem głowy udzieliła jej swojego zezwolenia.

Mając pełną swobodę, Flint skrada się mrocznym korytarzem na pierwszym piętrze, zaintrygowana małą tajemnicą: Gdzie są schody prowadzące na wyższe kondygnacje? Na pewno muszą być ukryte za którymiś z zamkniętych drzwi. Cztery pierwsze otwiera kolejno, lecz znajduje tylko tonące w ciemności pokoje. Piąte okazują się zamknięte na klucz. Zaczyna więc ostrożnie manipulować przy nich wytrychem, mając nadzieję, że skorodowany zamek da się otworzyć.

Rygiel w końcu odskakuje, ale wypaczone drzwi są zaklinowane we framudze, musi naprzeć na nie ramieniem. Owiewa ją fala zatechłego powietrza tak silnie przesiąkniętego wonią zgnilizny, że żołądek podchodzi jej do gardła. Otoczona nieprzeniknioną ciemnością, starając się oddychać tylko ustami, zaczyna pod nosem złorzeczyć na siebie, że nie wzięła latarki albo przynajmniej zapalek.

- Ty głupia krowo.

Sądząc po głuchym rezonansie, jaki wzbudzają jej słowa, dochodzi do wniosku, że znajduje się w wąskim długim pomieszczeniu. Z lewą ręką podniesioną na wysokość ramienia robi krok w bok i trafia palcami na szorstką ścianę. Tak samo przesuwa się w prawo, ale dopiero po trzech małych krokach wyczuwa przeciwległą ścianę. Znajdują się w odległości jakichś dwóch metrów, zatem musi to być korytarz, a nie pokój. Macając na oślep rękoma to przed sobą, to po bokach, jakby na sucho ćwiczyła ruchy do kraula, zaczyna ostrożnie posuwać się naprzód, pełna obaw, że lada chwila zderzy się z jakimś meblem.

Zaraz jednak trafia prawą nogą na przeszkodę, sądząc po odgłosie, drewnianą. Szybko podnosi stopę, żeby potwierdzić podejrzenia, że odnalazła schody. Zaczyna też macać z boku w poszukiwaniu poręczy, ale jej nie znajduje. Dlatego klęka i zaczyna wchodzić na czworakach, wodząc ręką po ścianie, by nie spaść z prowadzących półkolistych schodów. Stara się ignorować dotyk pajęczyn na twarzy, pocieszając się myślą, że nawet jeśli ją obleżą pająki, to przynajmniej nie będą latały wokół głowy jak nietoperze.

O dotarciu do szczytu schodów przekonuje się boleśnie, waląc głową w następne drzwi. Na dotyk sprawiają wrażenie jeszcze solidniejszych, a pospieszna kontrola wykazuje, że są zamknięte nie tylko na skobel, lecz także na masywną, mocno zardzewiałą kłódkę łączącą oczka grubego łańcucha. Cudownie! Ma przeczucie, że prędzej uderzeniem młotka rozwaliliby skorodowaną kłódkę, niż zdołała ją otworzyć, lecz mimo to znów wyciąga wytrych wpięty w kok z tyłu głowy. Ku jej zdumieniu już przy pierwszej próbie kłódka się otwiera.

Za drzwiami także zalegają kompletne ciemności. Przeciąga dłonią wzdłuż futryny, mając nadzieję wymacać włącznik światła, ale trafia tylko na dziurę w ścianie, z której wystają końce dwóch grubych drutów. Przez chwilę stoi jeszcze w przejściu, rozmyślając, że jeśli zapaści się za daleko i nie znajdzie jakiegoś źródła światła, może stracić orientację i mieć kłopoty z odszukaniem drogi powrotnej.

Musi tu być światło. Albo przynajmniej okno. Trzeba tylko poszukać.

Dochodzi do wniosku, że jest w korytarzu biegnącym równoległe do tego na pierwszym piętrze, więc dokładnie naprzeciwko powinien się znajdować pokój. Odpycha się od ściany i wyciągając przed siebie ręce, posuwa się ostrożnie na palcach po trzeszczącej i niebezpiecznie uginającej się pod jej ciężarem podłodze.

Bingo! Drzwi są dokładnie tam, gdzie się ich spodziewała, w dodatku niezamknięte na klucz. Wchodzi do pomieszczenia przeciętego wąską strużką światła wpadającego przez szczelnie zasłonięte okno. Zatrzymuje się na krótko w drzwiach i czeka, aż wzrok przywyknie do słabego oświetlenia, żeby rozejrzeć się po pokoju. Przed jej oczyma powoli wyłaniają się z ciemności ledwie widoczne zarysy mebli.

Mogąc się przynajmniej bezpiecznie poruszać, rusza w stronę okna, przeciska się obok zwalistej komody, chcąc odrobinę szerzej rozsunąć zasłony. Odkrywa jednak, że okno wcale nie jest zasłonięte, lecz zabite ściśle dopasowanym arkuszem sklejk. Gwoździe tkwią głęboko w okiennej ramie. Odwraca się więc do komody, mając nadzieję znaleźć coś, co pozwoli jej choć trochę odchylić sklejkę i wpuścić do środka więcej światła. Wyciąga rękę i potraça coś, co spada na podłogę. Rozlega się przerażający brzęk tłuczonego szkła. Cholera!

Pospiesznie kuca i wymacuje na podłodze półkoliste odłamki czegoś, co było prawdopodobnie dużą wazą... Nie, trafia palcami ostry szpic, który bez wątpienia musiał służyć do mocowania świecy. A więc musiał to być duży szklany lichtarz. Szkło jest grube i zdobione, co nasuwa jej skojarzenie z popularnymi kiedyś we Francji „fotoforami” sprzedawanymi zwykle w parach. Wstaje i bardzo ostrożnie zaczyna dalej macać po blacie komody, aż trafia palcami na drugi identyczny lichtarz. Co więcej, obok leży pudełko zapalek!

Pierwsza łamie się jej w palcach, druga syczy, strzela iskrami i gaśnie, dopiero trzecia rozpala się wątlým płomykiem, wystarczającym jednak do zapalenia tkwiącej w lichtarzu świecy.

Jej blask wyławia z ciemności niewidoczną dotąd ścianę za komodą. Zakrywa ją ciemnoczerwona tkanina, na której jest zawieszony masywny krucyfiks, zdaniem Grace mający co najmniej dwa metry wysokości. Po obu stronach krzyża wiszą portrety oprawione w srebrne ramki - z prawej fotografia przedstawia nadzwyczaj przystojnego mężczyznę o przenikliwym spojrzeniu i wysokim czole, po lewej ukazuje się w trzech czwartych profil bardzo ładnej kobiety o minie wyrażającej głębokie zatroskanie. Usytuowanie zdjęcia sprawia, że kobieta wydaje się zapatrzona na wysuniętą stopę ukrzyżowanego Jezusa, pod którą na gwoździu wisi trzecia fotografia, przedstawiająca dziewczynkę o chochlikowatym uśmiechu, z białą kokardą we włosach, kokieteryjnie spoglądającą w obiektyw aparatu.

To bez wątpienia sama Ilse, można więc sądzić, że urządziła tutaj, zapewne w dawnej sypialni, swoistą świątynię ku czci pomordowanych rodziców, pozostawiając wszystko nietknięte od trzydziestu lat.

Na końcu komody, pod krucyfiksem, leży wąska deseczka, na której stoi ze dwadzieścia zniczy. Zauważywszy też słomkę, Flint zapala kilka od płomienia świecy. Ich blask rozlewa się czerwona w poświata po ścianie zakrytej materiałem, wyławiając z mroku szczegóły fotografii. Ilse nie jest sama na zdjęciu, zza pleców nad jej prawym ramieniem wygląda chłopak o bardzo bladej twarzy z posklejnymi kosmykami włosów rozsypanymi na czole, uśmiechający się wstydliwie do obiektywu. To Karl? Nie, biorąc pod uwagę charakter tego miejsca, wydaje się to mało prawdopodobne.

A nad lewym ramieniem dziewczynki wyławia się duża nieregularna czarna plama. Cokolwiek tam było, zostało starannie zamazane czarną kredką. Flint ostrożnie zdejmuje ramkę z gwoździ, wyciąga zdjęcie spod szkła i paznokciem zaczyna zdrapywać grubą warstwę kredki. Jej oczom ukazuje się trzecia postać, starszy chłopak z bardzo poważną miną

i czarnymi włosami zaczesanymi gładko do tyłu, odsłaniającymi wysokie czoło Karla Grobera.

Flint rozgląda się ciekawie po pokoju. Jest prostokątny, z dużym, zakrytym kapą łóżkiem stojącym w mrocznym kącie pod przeciwległą ścianą. Z prawej, między dwoma oknami, stoi szafa z ciężkim gzymsem i kunsztownie rzeźbionymi drzwiami, a obok małe biurko z krzesłem. Po lewej, między wejściem do sypialni i łóżkiem, ciągnie się masywna drewniana ława przypominająca kościelną na niej leżą dwie poduszki obszyte tym samym czerwonym materiałem, który wisi na ścianie. Grace szybko dochodzi do wniosku, że chyba nie znajdzie tu niczego ciekawego.

Mimo to zaczyna od komody, wyciąga kolejno od dołu ciężkie szuflady. Spomiędzy grubych wełnianych swetrów i pulowerów dolatuje ją słaby zapach naftaliny. W środkowej znajduje się kilkanaście starannie złożonych męskich koszul i damskich bluzek, w najwyższej bielizna, skarpety i pończochy. Nie ma nic ukrytego pod ubraniami. Flint podchodzi z kandelabrem do nocnego stolika, gdzie przed lustrem leży szczotka do włosów i pęseta. W szkatułce spoczywa parę sztuk taniej biżuterii, tu także nie ma żadnego ukrytego schowka. Na szczotce są jednak ludzkie włosy, zdejmuje więc kilka za pomocą pęsety. Szuflada jest pusta, wyłożona papierem. Odrywa kawałek i robi z niego prowizoryczną kopertkę na próbkę włosów, licząc na to, że mogą zawierać DNA matki Karla Grobera pozwalające na identyfikację jego DNA, gdyby zaszła konieczność przeprowadzenia badań porównawczych.

Jeśli uda ci się kiedykolwiek odnaleźć Grobera - odzywa się uprzykrzony głos w jej myślach, wypływający z tej części podświadomości, która pragnie jak najszybciej opuścić ten upiorny pokój.

Zamknij się!

O co chodzi? Na co ty w ogóle liczysz? Przecież Ilse porusza się tylko na wózku. Z pewnością nie zaglądała tu od lat.

Milcz!

Grace zagląda do szafy, nadzwyczaj głębokiej, podzielonej na dwie nierówne części, damską i męską. W pierwszej wiszą tylko dwie jedwabne sukienki matki Ilse, trzy spódnice, trzy bluzki i długi szal, nie ma żadnych spodni, pasków, kapeluszy czy butów. Garderoba ojca Ilse jest znacznie bogatsza, składa się z sześciu garniturów, dwóch brązowych, dwóch granatowych i dwóch szarych, zielonej marynarki sztruksowej i granatowej, uszytej z marnej podróbki tweedu, ośmiu par spodni w różnych kolorach, trzech skórzanych pasków i trzech par ciężkich półbutów. Na górnej półce leży czarny kapelusz z szerokim rondem, bardzo podobny do tego, który nosi doktor Schnell.

Kiedy Grace go zdejmuje, żeby zajrzeć pod wyściółkę, uderza ją straszna myśl: Czy Wilhelm Grober miał go przy sobie, kiedy zginął w przygranicznym lesie? Czy jego oprawcy kazali mu go zdjąć, nim zabili strzałem w tył głowy?

Zaczyna kolejno zdejmować ubrania z wieszaków i przeszukiwać kieszenie, gromadząc swój łup na nocnym stoliku. Składa się na niego kilka monet, parę skrawków papieru z fragmentami nieczytelnych zapisków, bilety tramwajowe, mały kluczyk w aksamitnej pochewce - od czego może być? Stopniowo traci nadzieję na znalezienie czegoś istotnego, kiedy nagle do pokoju wpada szeroka smuga światła. Serce zamiera jej w piersi.

Rzuca trzymaną w rękę marynarkę i odwraca się na pięcie. Światło wpada z korytarza przez uchylone drzwi. Grace na chwilę zastyga jak sparaliżowana, przez głowę przemykają jej nieskładne pytania.

To na pewno Feliks. Tylko co by tu robił? I jak zapalił światło? Skąd mógł wiedzieć, że tu jestem?

A jeśli to nie Feliks?

Podbiega do drzwi i ostrożnie wygląda na zewnątrz. W korytarzu nikogo nie ma. Chce już zawołać cicho Feliksa, gdy nagle po jej lewej stronie, tam, gdzie korytarz zakręca w prawo, rozlega się donośne, dobrze już jej znane buczenie elektrycznego wózka Ilse.

Nie ma czasu, żeby pozbierać ubrania rozrzucone po podłodze i odłamki stłuczonego kandelabra oraz zgasić zapalone znicze. Flint błyskawicznie wychodzi z sypialni, zostawiając bałagan za zamkniętymi drzwiami, w dwóch susach dopada przeciwległych drzwi i ostrożnie zamyka je za sobą kryjąc się w ciemności na szczycie schodów.

Pełna obaw, że za chwilę rozpęta się piekło, dochodzi do wniosku, który od początku powinien być dla niej oczywisty - że jest jakieś inne wejście na piętro, rampa wjazdowa, może nawet specjalna winda dla wózka.

Czemu tego nie sprawdziłaś?

Jak? Po ciemku?

Więc czemu nie zczekałaś, aż zdobędziesz latarkę? Dlaczego musiałaś tu przyjść już dzisiaj? Dlaczego zawsze działasz w takim cholernym pośpiechu?

Ponieważ... nie ma czasu.

Nie znajduje innego wytłumaczenia.

Nasłuchuje przez drzwi, jak wózek zbliża się korytarzem, czekając, aż się zatrzyma, najwyżej dwa metry od jej kryjówki, a chwilę później Ilse odkryje zbeczeszczoną świątynię swoich rodziców.

I co wtedy?

Ale wózek się nie zatrzymuje. Brzęczenie elektrycznego silnika przybiera na sile, lecz wkrótce zaczyna cichnąć. Ilse mija drzwi sypialni i jedzie dalej, sądząc po odgłosie, chyba pełnym gazem.

Nie mogąc się powstrzymać, choć jest w pełni świadoma ryzyka, Grace odlicza w myślach do dziesięciu, po czym ostrożnie uchyla drzwi i zerka na korytarz dokładnie w tym momencie, gdy Ilse kończy ciasny skręt i znika w ostatnim pokoju po lewej stronie.

Z ulgą skazańca ocalonego przed szubienicą przemyka się znowu przez korytarz, od środka blokuje drzwi sypialni krzesłem i zaczyna pospiesznie wieszać z powrotem ubrania w szafie, zbierać odłamki szkła i gasić znicze.

Wreszcie, w mętym blasku świecy w kandelabrze, tknięta instynktem gliniarza postanawia sprawdzić łóżko. Odchyła brzeg kapy i dostrzega leżące na poduszkach dwie krwistoczerwone róże.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

- *Ihre Frau ist sehr empfindlich* - Pańska żona jest bardzo wrażliwa, mówi Ilse.

- Wiem, zawsze taka blada - odpowiada Feliks Hartmann, mówiąc o swojej domniemanej żonie takim tonem, jakby chodziło o obcą osobę. - To przez te migreny. Bardzo dają się jej we znaki.

Zaserwował na obiad cielejącą wątróbkę w lekkim sosie musztardowym z przyrumienioną na maśle fasolką szparagową i młodymi ziemniakami. Frau Grober spałaszowała ją z apetytem i teraz prosi raz za razem, aby dolać jej wina. Za to jeszcze bledsza niż rano Frau Hartmann w zamyśleniu dłubie widelcem w talerzu i popija tylko wodę.

- Mam na myśli kruchość jej zdrowia psychicznego - mówi Frau Grober.

Feliks podnosi głowę i spogląda na nią zdziwionym i zakłopotanym wzrokiem. Gospodyni wyjaśnia więc:

- Na pewno zdaje pan sobie sprawę z tego, że żona do dzisiaj nie pogodziła się ze śmiercią matki, prawda? Po tylu latach to niezdrowo i nienaturalnie, jeśli nadal jest się pogrążonym w rozpacz po stracie najbliższej osoby.

- *Bitte* - odzywa się słabym głosem Frau Hartmann. Feliks marszczy brwi.

- Proszę wybaczyć, Frau Grober, ale jak pani widzi, to nie jest temat, o którym moja żona chciałaby rozmawiać.

- Dlaczego?

- Sama dokonała takiego wyboru.

- Ale dlaczego? - powtarza Ilse, nadzwyczaj ożywiona po kilku lampkach wina.

- *Bitte, bitte...* - powtarza Frau Hartmann. - Proszę mnie dłużej nie dręczyć.

Lekceważąc jej instrukcje - bo Flint oświadczyła stanowczo: Jeśli choć jednym słowem nawiąże w rozmowie do mojej matki, natychmiast wyjeżdżam - Feliks wymawia się pilnymi zajęciami w kuchni, nie chciałby, żeby suflet opadł z powodu braku dostatecznej uwagi, i zostawia kobiety same. Ledwie się oddała, Frau Grober podejmuje:

- Dlaczego nie rozmawia pani z mężem o śmierci swojej matki?

- Ponieważ on nie potrafi mnie zrozumieć.

- Wydaje się człowiekiem wrażliwym i pełnym współczucia.

- Jest bardzo miły i troskliwy, po prostu cudowny, ale jak sama pani mówi, Frau Grober, to tylko mężczyzna.

- I co z tego?

- Sądzi pani, że mężczyzna w ogóle jest w stanie zrozumieć uczucia kobiety?

- A co on na to?

- Próbuje mnie pocieszać. Mówi o konieczności „pogodzenia się”, o „zamknięciu”. Co to jest „zamknięcie”, Frau Grober? Co pani rozumie pod tym określeniem?

- Zamek błyskawiczny.

- Dokładnie tak.

Dobre wychowanie nakazuje Ilse zachować ostrożność, ale zarazem zżera ją ciekawość, a wino uwalnia od poczucia wstydu.

- *Sagen Sie mir* - Opowiedz mi, mówi. O swojej matce.

- Miałam wtedy sześć lat. Mój ojciec był... jest nadal... wiejskim weterynarzem i czasami zabierał mnie ze sobą, gdy jechał na wezwanie. Była październikowa sobota. Kiedy wróciliśmy do domu późnym popołudniem, matki nigdzie nie było. Miała na imię Marie-Madeleine, ale wszyscy mówili do niej Mad. Siedzą przy długim stole w tradycyjnie urządzonej jadalni, gdzie Frau Grober łatwo jest tak ustawić wózek, by znaleźć się bardzo blisko rozmówcy, na tyle blisko, żeby położyć kościstą dłoń na rękę Flint.

- Mieliśmy psa, labradora o imieniu Hector. Jego też nigdzie nie było, więc ojciec doszedł do wniosku, że Mad zabrała go na spacer. Poszliśmy, żeby ich poszukać, i dość szybko odnaleźliśmy Hectora przy szosie niedaleko domu. Leżał w rowie, cały zakrwawiony. Siedziałam ojcu na ramionach i kiedy go zobaczyłam, zsunęłam się, omal spadłam na ziemię. Ojciec złapał mnie w powietrzu, a ja zawisłam głową w dół i przez chwilę patrzyłam do góry nogami na to biedne zwierzę. Później ojciec powiedział, że ktoś musiał go pobić żelazną sztabą. Matki nie znaleźliśmy.

Wszystko to prawda, a stare bolesne wspomnienia wciąż tak samo budzą w Grace niezmierny smutek, który sprawia, że czuje się jakby skurczona, fizycznie pomniejszona. Dalej jednak nie może już mówić prawdy, gdyż jej matki nigdy nie odnaleziono, ani żywej, ani martwej - jest jednak przekonana, że dopóki będzie miała przed oczyma ów widok zakrwawionego psa, układanie kłamstw w wiarygodną bajeczkę przyjdzie jej bez trudu.

- Policja odnalazła zwłoki mojej matki dopiero po kilku dniach. Nie pamiętam dokładnie, ile czasu minęło. Leżała na polance w lesie, niezbyt daleko od domu. Morderca po prostu porzucił jej ciało, nawet nie starał się go zamaskować. Nigdy nie widziałam jej zwłok, lecz ojciec opowiadał, że wyglądała na pogodzoną ze swoim losem. Nie wierzę w to, Frau Grober. Jak można się pogodzić z losem, gdy człowieka uprowadzają z własnego domu, wywożą do lasu i zabijają strzałem w tył głowy? Chodzi mi o to, że nawet gdy człowiek nie widzi wymierzonej w siebie broni, to zawsze może ją wyczuć, prawda? Pani na pewno by wiedziała, że lada chwila umrze.

Ilse w napięciu patrzy jej prosto w oczy, jakby zahipnotyzowana tą opowieścią.

- Od tamtego czasu minęło prawie trzydzieści lat, a ja wciąż o tym myślę każdego dnia. Feliks może potwierdzić, że obsesyjnie dręczą mnie pytania bez odpowiedzi. A zwłaszcza to, o czym moja matka myślała tuż przed śmiercią?

- *Moglicherweise dachte sie an Sie?* - podsuwa gospodyni.

- O mnie? - Flint uśmiecha się blado. - To mogło coś oznaczać.

Feliks wraca z sufletem. Jego spojrzenie zdaje się mówić Grace: Byłem w kuchni tak długo, jak tylko mogłem.

Frau Grober przygotowuje się do powrotu na swoje miejsce u szczytu stołu, ale po krótkim namyśle zerka jeszcze na Flint przez ramię i mówi:

- *Meine Mutter dachte an mich.* Moja matka myślała o mnie.

Grace i Feliks w swoim mieszkaniu szykują się do snu. Flint zazwyczaj sypia nago, ale teraz wyjątkowo wkłada skromną flanelową koszulę nocną bez dekoltu, będącą częścią garderoby, w którą zaopatrzyła się specjalnie do roli Frau Hartmann. Siedzi na brzegu łóżka, rozsmarowując na twarzy krem, i nasłuchuje odgłosów dobiegających z łazienki, gdzie Feliks bierze prysznic, zastanawiając się, ile mu powiedzieć o swojej eskapadzie na drugie piętro, która omal nie zakończyła się katastrofą.

Wreszcie decyduje: Nie za wiele, tylko to, co najważniejsze.

Kiedy Hartmann wychodzi z łazienki w szlafroku, wycierając ręcznikiem włosy, Flint mówi:

- Dziś po południu poszłam na górę, na drugie piętro, żeby się trochę rozejrzeć.

Feliks szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Naprawdę? A ja myślałem, że przez cały czas leżysz tu po ciemku, czekając, aż ci przejdzie ból głowy.

- Rzeczywiście po ciemku. - Grace także się uśmiecha. - Zapomniałam wziąć ze sobą latarkę.

- I co znalazłaś w mieszkaniu Groberów?

- Jak to w mieszkaniu?

- Za czasów NRD dom był podzielony na mieszkania.

Groberowie mieli do dyspozycji tylko pięciopokojowy lokal na drugim piętrze.

- Ilse ci to powiedziała?

- Między innymi. Jest dosyć gadatliwa - wyjaśnia nieco tajemniczym tonem. - Chyba mnie polubiła. Nawet próbowała ze mną trochę flirtować.

- Szczęściarz. Może ci jeszcze pokaże sypialnię rodziców. Wierz mi, jest na co popatrzeć. Zakradłam się schodami w tej części budynku, ale na drugim końcu musi być inne wejście, jakaś rampa albo coś w tym rodzaju, bo Ilse...

- Jest tam mała winda - przerywa jej Hartmann. - Wchodzi się do niej z korytarzyka między kuchnią i jadalnią. Została specjalnie tak skonstruowana, żeby zmieścił się do niej elektryczny wózek. A więc... - robi poważną minę - ...rozumiem, że Ilse omal cię nie przyłapała na myszkowaniu w jej pokojach?

- Nic podobnego - odpowiada stanowczo Grace, a po namyśle dodaje: - Ciekawe, kto wyłożył pieniądze na budowę specjalnej windy?

- Słucham?

- Kto za nią zapłacił? Skoro już mowa o pieniądzach, kto wykupił cały wielki dom i zafundował jej ten cholerny wózek elektryczny? Kto opłaca służącego i łoży na jej życie?

- Karl?

- Miejmy nadzieję. A jeśli to rzeczywiście on wyklada forszę, miejmy też nadzieję, że uda się znaleźć jakiś ślad w dokumentach.

Wstaje i idzie do łazienki, żeby zmyć krem i rozczesać włosy.

- Muszę tam wrócić - woła przez otwarte drzwi do Feliksa.

- Jeszcze dzisiaj? - pyta zdziwiony.

- Nie, bo potrzebna mi latarka. A ty będziesz się musiał zatroszczyć, żeby nie przyjechała na górę, kiedy ja tam będę. Sądziś, że Otto mógłby nam pomóc?

- W zdobyciu latarki na pewno. - Hartmann staje w drzwiach i spogląda na odbicie Grace w lustrze. - Ale czy w wyjaśnieniu źródła finansów na windę? Nie wiem.

- Miałam na myśli krótką przerwę w dostawie prądu, która unieruchomiłaby windę. Na pewno jest jakiś sposób odłączenia dopływu prądu na kilka godzin.

Hartmann marszczy brwi i przygryza wargi.

- Nie sądzę, żeby doktor Schnell zgodził się na ingerencję w domenę służb publicznych.

- Naprawdę? To jak zorganizował ten cyrk wczoraj wieczorem? Uważasz, że ściągnięcie kilku wozów strażackich, policji i karetka pogotowia do wymyślnego pożaru w hotelu nie było ingerencją w domenę służb publicznych?

- To zupełnie co innego.

- Czyżby? - Odwraca się do niego. - Niby dlaczego?

- Bo byłem bardzo głodny. - Feliks uśmiecha się chytrze. - Trzeba było tak załatwić sprawę, żebym mógł zjeść z tobą obiad.

- Lepiej idź do łóżka, Feliksie. A właściwie nie do łóżka. Bądź łaskaw zabrać koc i swoją poduszkę, żebym mogła się położyć spać.

Hartmann wycofuje się do saloniku, gdzie próbuje umościć sobie posłanie na wąskiej kanapie, o wiele za krótkiej na to, by wygodnie się na niej ułożyć. Grace gasi światło w łazience.

A w samochodzie stojącym na Karl-Heine-Strasse, jakieś pięćdziesiąt metrów od domu Ilse, jeden z obserwatorów zapisuje w notesie aktualny czas.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Po zjednoczeniu Niemiec zbudowano nowy terminal lotniska Lipsk-Halle, lecz i on jest za mały, by pomieścić wszystkich pasażerów znacznie bardziej nasilonego ruchu lotniczego. Natychmiast przystąpiono więc do jego rozbudowy, a trwające prace poważnie ograniczyły liczbę miejsc parkingowych. Dlatego też Stephanie Cooper-Cole, objechawszy kilkakrotnie cały plac w poszukiwaniu wolnego miejsca, zostawia w końcu samochód w rejonie objętym ścisłym zakazem parkowania. Mając wybór między kurczowym trzymaniem się przepisów a możliwością uniknięcia złośliwych uwag Nigela Ridouta, nie waha się nawet przez chwilę.

I tak jest spóźniona. Ridout stoi już bowiem w hali przylotów, oparty ramieniem o ścianę, i ze znudzoną miną przerzuci kartki ilustrowanego niedzielnego dodatku do gazety.

- Ach, Stephanie, jesteś wreszcie - wita ją kwaśno, teatralnym gestem odkładając gazetę i spoglądając na zegarek. - Miałem już obawy, że zgubiłaś się tak samo, jak twoi ludzie

zgulili swoje obiekty. Chyba odnaleźliście Kocimiętkę, prawda? - Spogląda na jej minę i sam sobie odpowiada: - Widzę, że nie. Czy możemy już iść? Mam nadzieję, że przyjechałaś samochodem.

Przez dłuższy czas jadą autostradą do Lipska w milczeniu. Wreszcie odzywa się Ridout:

- Ten facet, który zjawił się w domu doktora Flinta, nie jest agentem wydziału, ale blisko z nim współpracuje, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, Stephanie.

- Prawdę mówiąc, nie rozumiem - odpowiada lodowatym tonem Cooper-Cole, patrząc sztywno na drogę, wciąż jeszcze urażona.

- Nazywa się Hartmann, Feliks Hartmann. Jest Niemcem oddelegowanym do współpracy z Amerykanami przez tutejszą policję federalną, przynajmniej oficjalnie. W rzeczywistości pracuje w Pullach. To podwładny Otto Schnella.

- Matko Boska. Ridout chichocze.

- Niezależnie od tego, w jakim stopniu wypełnia rozkazy Schnella, zaangażowanie BND w sprawę i tak nie wyjaśnia zdarzeń z piątkowego wieczoru, prawda? Tyle wozów na sygnałach, całe to zamieszanie i podniecenie... Bez wątpienia chodziło tylko o to, żeby Herr Hartmann wymknął się niepostrzeżenie tylnym wyjściem. Otto zapewne nieźle się bawił z tej akcji dywersyjnej. W tych okolicznościach nie powinnaś się zanadto wściekać na biednego Fellowesa.

- Ja? - dziwi się Cooper-Cole, bo to przecież nie ona trzydzieści sześć godzin wcześniej nawymyślała Fellowesa od kretynów, nie wspominając już o kilkunastu innych epitetach; to nie ona mu zagroziła, że wywali go z roboty na zbity pysk pod zarzutem skrajnej niekompetencji.

- Skoro już o nim mowa - ciągnie Ridout - gdzież się podziewa nasz biedny Fellowes?

- A gdzie miałby być? Jak poprzednio jeździ w kółko tramwajami. Wszyscy to robią.

- Tramwajami? Myślisz, Stephanie, że natkną się na chłopca Schnella albo na Kocimiętkę w tramwaju?

- Przeszukują miasto, Nigel. A z tramwaju po prostu widać dużo więcej. Na to przynajmniej wygląda.

Runde Ecke, gdzie przez czterdzieści lat mieściło się okręgowe dowództwo Stasi, stoi na skraju niewielkiego parku, w przybliżeniu pod kątem czterdziestu pięciu stopni do budynku mieszkalnego po drugiej stronie Dittrichring, z którego Nigel Ridout, z okna na trzecim piętrze, uważnie lustruje teren.

Część Runde Ecke zajmuje obecnie muzeum, które zachowało charakter gmachu z czasów Stasi i ma być wieczystą pamiątką okresu szaleństwa - poczynając od wspaniałego, wyłożonego marmurami holu wejściowego, a skończywszy na mrocznych korytarzach wyklejonych popękanym linoleum. W niedziele muzeum jest zamknięte dla indywidualnych zwiedzających, wstęp mają tylko zorganizowane wycieczki z przewodnikiem, toteż Ridout patrzy z podziwem na kilkunastoosobową grupę mężczyzn w średnim wieku, którzy zbierają się na schodach i witają serdecznie, jak starzy przyjaciele.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby to byli dawni „mitarbeiterzy” - odzywa się do Cooper-Cole. - Towarzysze Stasi wracają na stare śmieci, kierowani nostalgią.

Nie tylko oni kierują się nostalgią, myśli Stephanie, która zdążyła się już przekonać, że Nigel doskonale zna to mieszkanie.

- Byłeś tu już kiedyś? - pyta, lecz Ridout w odpowiedzi tylko uśmiecha się zagadkowo, ale wcześniej z czułością przeciągnął dłonią po skórzanym oparciu kanapy i popatrzył na drobiazgi stojące na regale, jakby nie mógł się nacieszyć, że nadal tu są.

Odwraca się z powrotem do okna, żeby popatrzeć na Runde Ecke, i pyta:

- Czy to naprawdę wygląda jak pomnik zła?

- Nie. Prawdę powiedziawszy, mnie bardziej przypomina bank.

- Doskonale, Stephanie, bo został wybudowany na siedzibę towarzystwa ubezpieczeniowego. Potem, przed nastaniem Stasi, jeszcze zanim przyszedł na świat, moja droga, mieściło się tam dowództwo jednostki znanej pod kryptonimem K5, gromadzącej najbardziej tępych wojskowych matolów, jakich kiedykolwiek nosiła ta ziemia. A gdybyś jeszcze wcześniej ośmieliła się wkroczyć po tych schodach, stałabyś się gościem sowieckiego NKWD, od którego KGB nauczyło się paru skutecznych metod prowadzenia przesłuchań.

Cooper-Cole, która uświadamia sobie nagle, że Nigel żywi głęboki podziw dla zastosowanej przez Schnella techniki odwracania uwagi, czeka cierpliwie, aż szef sam dojdzie do sedna sprawy.

- Byłbym zapomniał, że jeszcze wcześniej, pod sam koniec drugiej wojny światowej, w tym budynku mieściło się okręgowe dowództwo armii amerykańskiej. A skoro mowa o naszych kuzynach... - Ridout jak zwykle z zupełną swobodą przeskakuje z jednego tematu na drugi. - Chyba nie sądzisz, że Langley coś przed nami ukrywa, prawda?

- To znaczy?

- Mówię o aktach Grobera, które wydają mi się niekompletne.

- Nic więcej nie mają. Tak przynajmniej twierdzą.

- Na przykład, nie ma tam ani słowa o jego rodzinie. Czyżby Karl nie miał żadnych krewnych? Sprawdziłaś w książce telefonicznej?

- Oczywiście. Chcesz dokładnie wiedzieć, Nigel, ilu Groberów mieszka obecnie w Lipsku?

- Podejrzewam, że wielu. Pewnie jest ich parę stron. W takim razie będziesz potrzebowała pomocy, żeby odnaleźć Kocimiętkę, prawda, Stephanie? Myślałaś o posiłkach?

- Mówisz poważnie? Ridout puszcza do niej oko.

- Nadal upierasz się na miejscowych?

- Bynajmniej - odpowiada Ridout takim tonem, jakby sam pomysł wydawał mu się nie do przyjęcia.

- Kiedy?

- Mam nadzieję, że niedługo. Powinni już tu jechać z Berlina.

Cooper-Cole wzdycha ciężko, poczucie ulgi miesza się z rozgoryczeniem.

- Gdybyś tylko od początku zapewnił mi odpowiednie wsparcie, nigdy by się...

- Nie można grać na wyjeździe przeciwko chłopcom Schnella, nie mając dobrej drużyny, prawda, Stephanie? - przerywa jej Ridout.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Doktor Schnell, który sto metrów nad ziemią najwyraźniej czuje się jak ryba w wodzie, długo zastanawia się nad niespodziewanym żądaniem Flint, by na jakiś czas odciąć dopływ prądu do domu Ilse. Od razu zapytał, czy nie łatwiej byłoby po prostu wykręcić bezpiecznik. Ale Grace, które źle spała, gdyż Feliks całą noc przewracał się w salonie, tylko unosi oczy do nieba.

- Zaraz po sąsiedzku jest warsztat elektryczny - odpowiada ze złością z trudem łapiąc oddech, gdyż Schnell się uparł, żeby we troje pokonali pięćset stopni schodów i weszli na szczyt *Volkerschlachtdenkmal*, wzgórza przekształconego w pomnik ku czci stu tysięcy niemieckich żołnierzy poległych w bitwie pod Lipskiem w 1813 roku. Jego sześciu ochroniarzy zostało na dole i kręci się teraz pośród grup turystów. - Pierwsze prawo kretyna mówi, że elektryk zjawi się na miejscu w ciągu pięciu minut, i przede wszystkim sprawdzi skrzynkę z bezpiecznikami. Musimy zasymulować taką usterkę, której zwykły technik nie zdoła usunąć.

- Rozumiem - odpowiada Otto - ale czy elektryk nie nabierze podejrzeń, jeśli tylko dom Ilse zostanie pozbawiony prądu?

- W takim razie proszę odłączyć całą ulicę, dzielnicę, nawet całe miasto, jeśli nie będzie innej możliwości. Muszę mieć godzinę całkowitego spokoju.

- Obawiam się, że przeceniasz moje możliwości.

- Dobra, więc może zorganizujemy awaryjne roboty drogowe naprzeciwko domu Ilse?

- Grace krąży nerwowo po tarasie na szczycie wzgórza jak dziki drapieżnik zamknięty w klatce. Zdaniem Schnella bardzo przypomina tygrysięcę. - Podczas wykopków mógłby omyłkowo zostać przecięty kabel elektryczny, a jeden z pańskich ludzi wyjaśniłby gospodyni przyczynę awarii.

- Zakładając nawet, że zlokalizowalibyśmy kabel pod ulicą, i tak nie wiem, czy miałyby to szansę powodzenia, Grace.

Dlaczego to jest aż takie skomplikowane?

- Przecież naprawę nie trzeba by szukać tego kabla ani go przecinać - ciągnie Grace, starając się panować nad swoim głosem. - Chodzi tylko o pretekst, uzasadnione wyjaśnienie przerwy w dopływie prądu. Nawet nie trzeba by rozkopywać ulicy. Wystarczyłoby odgrodzić kawałek, rozstawić namiot ekipy remontowej i oznakować miejsce, żeby wszystko wyglądało na prace drogowe. Szczerze mówiąc, Otto, nie proszę przecież, żebyście wymyślali proch.

Feliks Hartmann, który znowu popadł w typowe dla siebie melancholijne milczenie, spogląda na nią takim wzrokiem, jakby podejrzewał, że oszalała.

- O co chodzi? - pyta Grace.

- Czy możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie? Czego się właściwie spodziewasz? Co chcesz znaleźć w pokojach na drugim piętrze?

- Tylko pomyśl, Feliksie. Ilse nienawidzi Karla za to, że przyczynił się do śmierci rodziców i napiętnował jej życie. Ma obsesję na punkcie tego, co się stało, ponieważ to zdefiniowało jej los, inaczej nie urządzałyby świątyni w sypialni rodziców pozostawionej w niezmiennym stanie. Niemniej, wciąż musi być w kontakcie z bratem, skoro bierze od niego pieniądze, może nawet wymusza je szantażem. Dlatego założę się, że gdzieś w innej części domu czci pamięć Karla w podobny sposób, jak wspomnienia o rodzicach.

Hartmann wyraźnie podyskutowałby na ten temat, ale Schnell pospiesznie interweniuje:

- Zakładając, że możliwe byłoby odcięcie dopływu prądu, kiedy miałyby się to zdarzyć?

- Jutro po południu, koło czwartej, kiedy wypijemy z Ilse herbatę. Po godzinie rozmowy na temat twórczości Schillera na pewno znów rozboli mnie głowa, pójdę więc na górę, żeby odpocząć.

- Nie - rzuca krótko Hartmann.

- Dlaczego?

- Bo ja muszę być na miejscu, na wypadek, gdyby coś poszło niezgodnie z planem.

Lepiej, żebyś nie została przyłapana.

- Jakim sposobem, Feliksie? Kto mógłby mnie przyłapać? - Nie potrafi się oprzeć wrażeniu, że musi pływać w gęstym błocie.

- A jeśli Ilse wyśle na górę służącego, żeby sprawdził, jak się czujesz, i powiadomił cię o braku prądu, on zaś nie zastanie cię w pokoju? A jeśli wejdzie...

- No to będę musiała go zabić, czyż nie? - odpowiada ostrym tonem, gotowa do kłótni.

- Nie żartuj, Feliksie. Turek ma chyba ze sto lat, ledwie jest w stanie wejść po schodach. Proszę posłuchać - zwraca się znowu do Schnella. - Grozi nam najwyżej to, że zostanę zdemaskowana, a w takim razie przynajmniej nie musiałabym dłużej czytać tego przekłętego Schillera. Wiem, że to strzał w ciemno, ale równie dobrze zdaję sobie sprawę, Otto, że w zasadzie nie mamy nic do stracenia.

Snell nie odpowiada, wpatruje się w stłoczone zabudowania Lipska zasłaniające horyzont, jakby w ogóle jej nie słuchał, ale w rzeczywistości już dawno podjął decyzję.

Każe kierowcy zatrzymać samochód jakieś dwa kilometry od domu Groberów, przed szarym budynkiem z prefabrykatów, na którego dachu stoi stary rosyjski turbośmigłowiec pasażerski, jak gdyby wylądował tam przez pomyłkę. Jest czerwono-biały, w barwach Interflugu, nieistniejących już wschodniemieckich linii lotniczych, i Snell tłumaczy, że choć w założeniu ma to być reklama mieszczącego się tu kabaretu, dla niego jest symbolem losu całej NRD i jej wszelkich instytucji państwowych.

- Amerykanie powiedzieliby zapewne, że po prostu zabrakło im paliwa.

Flint, która siedzi na tylnym siedzeniu obok zaszepionego Hartmanna, uśmiecha się lekko, ale całą uwagę kieruje na meldunki płynące z głośnika krótkofalówki. Obserwatorzy Schnella zauważyli mercedesa z berlińską rejestracją, który już po raz kolejny przejeżdża przed domem Ilse. Dlatego podzielili się na cztery zespoły i podjęli ścisłą obserwację podejrzanego samochodu.

- Wcześniej czy później musiało do tego dojść.

- Do upadku muru berlińskiego? - pyta zdumiona Grace.

- Do tego także, ale w tej chwili mam na myśli odnalezienie Ilse Grober przez naszych przeciwników.

- Jeśli to rzeczywiście oni.

- Sądzę, że możemy to bezpiecznie założyć. - Otto ruchem głowy wskazuje krótkofalówkę, z której dolatuje następny meldunek, mówiący o tym, że mercedes zatoczył koło i znów skręcił w Karl-Heine-Strasse, kierując się na zachód, ale wyraźnie zwolnił przed domem Groberów. - Dla mnie to oczywiste, że nadciągnęła kawaleria Ridouta.

- Słucham?

Schnell odwraca się bokiem w fotelu, żeby móc spojrzeć na minę Flint.

- Nigel Ridout to przedstawiciel twojego robactwa, Grace. Dziś rano przyleciał do Lipska z przesiadką we Frankfurcie, oczywiście nie pod swoim nazwiskiem, ale pan Ridout jest tu doskonale znany. Nasze drogi wielokrotnie się krzyżowały. - Opuszczone w dół kąci jego ust sugerują wyraźnie, że długoletnia znajomość z Nigelem Ridoutem nie jest dla niego powodem do szczególnej radości. - Pracuje w MI6, podobnie jak kobieta, która odbierała go rano na lotnisku. Może ją pamiętasz. Mniej więcej twojego wzrostu i budowy, w tym samym wieku, o bladej cerze i charakterystycznych ognistorudych włosach.

Zdumiona Flint powoli kręci głową.

- Siedziała dwa rzędy za tobą w samolocie z Londynu do Berlina, tyle że pewnie podjęła środki ostrożności, byś jej nie zauważyła. Mniejsza z tym - dodaje szybko, zauważywszy rumieniec wykwitający na policzkach Grace. - Podróżuje pod nazwiskiem Fitzroy, wątpię jednak, by było prawdziwe. Prawdopodobnie to ta sama asystentka Ridouta, która w MI6 występuje pod pseudonimem Ćma zapewne od połyskliwego koloru włosów. Mam nadzieję, że wkrótce zyskamy dowody, że Fitzroy i Ćma to jedna i ta sama osoba. - Schnell chichocze cicho. - Nawiasem mówiąc, Ridout wykazuje się niezwykłą inwencją w wymyślaniu pseudonimów. Zwykle wybiera nazwy egzotycznych roślin ze swojego ogrodu. To najwyraźniej jego konik. Na przykład ciebie nazwał Kocimiętką co raczej nie jest najlepszym pomysłem. Na jego miejscu wybrałbym bardziej egzotyczną nazwę.

- Co oni tu robią?

- Depczą ci po piętach.

- Po co?

Schnell uśmiecha się tajemniczo, aż w kąci oczu pojawiają mu się liczne zmarszczki.

- To bardzo dobre pytanie. Chcesz im sama je zadać, Grace? Mógłbym bez trudu zaaranżować wasze spotkanie.

Grace ma wielką ochotę przyjąć tę ofertę. Chciałaby zobaczyć, jak ludzie Schnella otaczają robactwo i ze zwykłą sobie niemiecką wydajnością zaganiają je z powrotem do nory. Oczywiście chciałaby też być obecna przy przesłuchaniu, gdyż doskonale wie, że szpiedzy

niczego bardziej się nie boją niż ujawnienia. Ale zdrowy rozsądek nakazuje jej trzymać się kurczowo przeświadczenia, że na drugim piętrze domu Ilse są ukryte jakieś dokumenty, które mogą ją doprowadzić do Karla Grobera oraz - dałby Bóg, jeśli w ogóle istnieje - do Bena.

- Chętnie - odpowiada - ale nie wcześniej niż pojutrze.

- *Das Auto hat gegenuber vom Haus angehalten* - pada przez radio: Mercedes zatrzymał się przed domem. W środku jest dwóch ludzi. Nie wysiadają, tylko obserwują dom.

- W takim razie poczekają sobie - mówi Otto, po czym każe kierowcy skręcić na parking pod wysuniętym ogonem turbośmigłowca na dachu budynku.

Grace przeprasza Niemców, wysiada i z telefonu komórkowego już po raz drugi tego dnia dzwoni do szpitala Horton General. I jak poprzednio dowiaduje się, że stan jej ojca nie uległ zmianie.

- Jest stabilny - informuje pielęgniarka, a Grace przemyka przez głowę, że obecnie to chyba jedyna stabilna rzecz w jej życiu.

Kwietniowe słońce nie grzeje za mocno, na zewnątrz jest dość chłodno, stawia więc kołnierz grubego wełnianego palta Frau Hartmann, wkłada ręce do kieszeni i powoli rusza przed siebie. Czubkiem buta kopie większy kamyk i przygląda się, jak podskakując na betonowym placu, zmierza w sam środek bramki wymalowanej białą farbą na ścianie budynku. Podbiega za nim i kolejnym kopnięciem zdobywa bramkę. Posyła jego śladem drugi kamyk, a rozglądając się za trzecim, myśli, że jeśli uda jej się zdobyć hat-trick, strzelić trzy gole z rzędu, będzie to oznaczało, że ojciec przeżyje.

Trzeci kamień nie trafia jednak do bramki. Flint ogarnia nagle przemożne poczucie bezradności.

Tylko nie waż mi się umierać, nakazuje w myślach ojcu. Nie waż się odchodzić z tego cholernego świata.

Spoglądając ostatni raz na bramkę wymalowaną na murze, odwrócona plecami do samochodu, pozwala sobie w końcu zaszlochać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

- Gdzie jest pani mąż?

To pytanie wraca jak bumerang. Nie chcąc kłamać, powinna po raz kolejny odpowiedzieć, że nie ma najmniejszego pojęcia, ale nie stać jej na taką szczerość.

- Wezwwały go pilne sprawy - tłumaczy Frau Hartmann. - Jedna z młodszych studentek doktora znalazła się w kłopotcie i musiał się nią zająć. Zadzwoiła pod numer jego aparatu komórkowego, kiedy już wyszli z uniwersytetu, musiał się więc cofnąć. Nie wiadomo, kiedy wróci.

Siedząca w wózku Frau Grober patrzy na Flint podejrzliwym wzrokiem.

- Młoda studentka? A cóż to za kłopot?

- Przechodzi kryzys, pewnie rodzaj lekkiego załamania nerwowego. - Grace kładzie nacisk na to określenie, mając nadzieję, że stanie się znakiem rozpoznawczym tematu, którego lepiej nie zgłębiać.

Ale dociekliwość Ilse nie tak łatwo uspić. Czy doktor Hartmann ma odpowiednie doświadczenie, by poradzić sobie z kryzysem u młodej studentki, zwłaszcza z załamaniem nerwowym? Przeszedł jakieś przeszkolenie? Może lepszy byłby psychiatra? Albo choćby neurolog?

Pytania sypią się bez końca, aż wreszcie nawet bezgraniczna cierpliwość Frau Hartmann jest na wyczerpaniu.

- *Genug!* - Dość tego!

Wobec dotychczasowej nieśmiałości ta gwałtowna reakcja jest zadziwiająca i wywołuje u Ilse nadętą obrażoną minę oraz groźbę zachowania milczenia do czasu, aż sublokatorka odzyska zdrowy rozsądek.

Wyjaśnienie pada pospiesznie przymilnym tonem: Jest późno i Frau Hartmann jest zmęczona. Bardzo przeprasza za to, że . okazała zniecierpliwienie. Może przygotowała by kolację? Na co Frau Grober ma ochotę?

Kolacja? O tej porze? Nie warto ryzykować niestrawności, by potem mieć bezsenność noc pełną cierpień. Czy Frau Hartmann, nawiasem mówiąc, wyjątkowo samolubna, nie rozumie, ile komplikacji przysporzyła swoim późnym powrotem do domu? A skoro już o tym mowa, co było przyczyną spóźnienia? Co porabiała od chwili rozstania z mężem, który musiał się zająć nagłą sytuacją kryzysową?

Mówiąc szczerze, moja droga Ilse, odmrażałam sobie tyłek na jakimś cholernym parkingu, czekając, aż Otto wymyśli jakiś sposób na odciążenie szpiegów Ridouta od twojego domu.

- Musimy zorganizować małą akcję dywersyjną - oznajmił Schnell, uznawszy, że Flint miała wystarczająco dużo czasu, by dojść do siebie. Podszedł do niej, gdy stała oparta ramieniem o ścianę budynku w najdalszym końcu parkingu, i udawał, że nie dostrzega śladów łez na jej policzkach. - Feliks odegra rolę przynęty, a właściwie zrobicie to oboje, jeśli pozwolisz, moja droga, zaaranżować drobne złudzenie.

Aranżacja owego złudzenia ciągnęła się niemal bez końca, ponieważ Schnell musiał skorzystać z pomocy policji federalnej, a konkretnie młodej funkcjonariuszki z wydziału śledczego, która przyjechała na parking małym volkswagenem i w milczeniu, z zasepioną miną, obrzuciła Flint od stóp do głowy takim spojrzeniem, jakby porównywała jej wygląd z opisem poszukiwanej przestępczyni. Następnie usunęła makijaż z twarzy, zdjęła biżuterię, związała włosy w ciasny kok z tyłu głowy, włożyła na nos okulary i zażądała, by Grace zamieniła się z nią paltami. Obserwujący te zabiegi Otto w końcu skinął głową z aprobatą, uznawszy, że z okna przejeżdżającego samochodu policjantka może bez trudu uchodzić za Flint.

Odpowiadając na pytanie gospodyni, Frau Hartmann mówi, że musiała iść pieszo, pokonała piechotą całą drogę od *Volkerschlachtdenbnal*, gdzie jej mąż odebrał telefon od studentki, a konkretnie na tarasie widokowym na szczycie wzgórza, jak dodaje, chcąc uwiarygodnić swoją bajeczkę. Feliks kazał jej wracać do domu taksówką, ale w pośpiechu, zapewne przejęty losem swojej studentki, zapomniał zostawić jej pieniądze i zaczął zbiegać po schodach. Kiedy znów go ujrzała u podstawy wzgórza, zawołała z tarasu, ale nie słyszał. Frau Hartmann wzdycha ciężko. To nie była jego wina. Jak mógł ją usłyszeć z takiej odległości?

- Feliks! - zawołała go naprawdę, gdy szedł już w stronę auta, którym wraz z jej dublerką miał jechać pod dom Ilse, gdzie powinno dojść do stłuczki z furgonetką. (Oczywiście upozorowanej przez Schnella i niezbyt groźnej, wystarczającej jednak, by pięćdziesiąt metrów od domu Feliks wyskoczył zza kierownicy, żeby ocenić uszkodzenia, i wdał się w kłótnię z kierowcą furgonetki. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, szpiedzy Ridouta musieli go natychmiast zauważyć i dostrzec też kobietę podobną do Flint, siedzącą w samochodzie. Powinni zatem połknąć haczyk i ruszyć za swoimi obiektami w kierunku centrum miasta). - Uważaj na siebie, dobrze? - powiedziała, nie mogąc zapomnieć o bombie,

która w Paryżu okaleczyła inspektora Gilles'a Bourdonneca. - Robactwo posługuje się innymi zasadami. Lepiej nie wchodzić mu w drogę.

- I ty też uważaj - odparł. - Gdyby sprawy się skomplikowały, poradzimy sobie z ludźmi Ridouta. Moim zdaniem Ilse jest znacznie groźniejsza.

Chuda i pomarszczona, z wyglądu sporo starsza niż w rzeczywistości, wcale nie wygląda na groźną, ale Flint skłonna jest przyznać, że gdy patrzy w te niebieskie oczy świdrujące ją ostrym spojrzeniem, rzeczywiście ogarnia ją niepokój. I wcale już nie uważa tego za śmieszne, że w tajemnicy przed Schnellem Feliks wsunął jej do kieszeni palta mały pistolet.

- To było bardzo nierozsądne z pani strony, że w ogóle nie miała pani przy sobie pieniędzy - mówi Frau Grober. - Dlaczego liczy pani wyłącznie na męża z zaspokajaniem własnych potrzeb, kiedy on ma tyle innych spraw na głowie?

- Oczywiście ma pani rację - odpowiada Frau Hartmann.

- Jest pani bardzo wymagająca i bardzo samolubna.

- Nie robię tego celowo.

- Myśli pani tylko o sobie.

- Przykro mi.

- Sądzi pani, że ma prawo do końca życia zamykać się we własnych odczuciach, ponieważ pani matka została zamordowana. Postępuje pani jak dziecko. Myśli pani, że tylko pani jedna cierpi? Proszę zatem wiedzieć, że jest inaczej, że są ludzie, którzy wycierpieli znacznie więcej od pani. Czy mam pani powiedzieć, Frau Hartmann, jak wygląda prawdziwe cierpienie?

Flint milczy. Domyślając się, że nadeszła właściwa pora wstaje, podchodzi do kredensu i wyjmując przygotowaną wcześniej, stojącą na srebrnej tacy butelkę śliwkowej brandy. Wraca z nią do stołu i nalewa sporą porcję do kryształowego kieliszka, który przez chwilę grzeje w dłoniach, dopóki trunk nie uzyska właściwej temperatury. Bez słowa stawia kieliszek przed gospodynią, po czym nalewa drugą, dużo mniejszą porcję dla siebie.

Stara się sprawiać wrażenie bezgranicznie cierpliwiej. Chce w ten sposób udowodnić Frau Grober, że jest gotowa jej wysłuchać, jeśli tylko będzie miała ochotę na szczere wyznania. Mają przed sobą całą noc, gdy zajdzie taka potrzeba. Nic ich nie pogania.

- Mój ojciec był czułym mężczyzną, lecz silnym, bardzo silnym. Kiedy leżałam w szpitalu i byłam zbyt słaba, by chodzić o własnych siłach, pielęgniarka podstawiła mi wózek, on jednak wolał mnie nosić na rękach. I nosił mnie godzinami, po kilka kilometrów, jakby w

ogóle go to nie męczyło. Wydawało mi się, że chce tym sposobem tchnąć we mnie część swojej siły, jaka promieniowała z jego cudownych, mocnych i delikatnych ramion.

Blade światło świecy płonącej w kandelabrze łagodzi ostre rysy Ilse. Sprawia wrażenie dużo młodszej, a w jej głosie pojawiają się dźwięczne, jakby dziewczęce tony.

- Tamtej nocy, kiedy to się zdarzyło, podniósł mnie na wpół śpiącą z łóżka. Nie miałam pojęcia, co się dzieje, gdyż rodzice o niczym mnie nie uprzedzili. Nakazał, abym była bardzo cicho, nic nie mówiła, nawet nie pisnęła. Było ciemno, lecz wcale się nie bałam. W ramionach ojca niczego się nie lękałam. W tamtym czasie dom był podzielony na wiele odrębnych mieszkań. Ze względu na zawodową pozycję rodziców zajmowaliśmy największe z nich, ale na drugim piętrze, musieliśmy zatem bardzo ostrożnie i powoli schodzić po schodach, żeby nikt nie usłyszał. Powinna pani wiedzieć, że wtedy wszędzie było pełno donosicieli. Na każdym kroku spotykało się informatorów tajnej policji. Nie było wiadomo, komu można zaufać, dlatego większość ludzi nie ufała nikomu. Absolutnie nikomu.

Ilse pociąga spory łyk brandy.

- Drzwi od frontu zawsze głośno skrzypiały, ale tej nocy otworzyły się bez szmeru, nawet nie zgrzytnęły. Pomyślałam, że pewnie ojciec specjalnie naoliwił zawiasy. Jednocześnie naszyły mnie obawy, że mogło to zainteresować kapusiów. Któryś z nich na pewno zadał sobie pytanie: Dlaczego doktor Grober naoliwił drzwi, skoro nigdy dotąd tego nie robił? Bałam się, że już donieśli o tym Stasi. Później jeszcze przez długi czas sądziłam, że to właśnie było przyczyną, iż o wszystkim wiedzieli i już na nas czekali. Byłam bardzo naiwna. Nawet do głowy mi nie przyszło, żeby podejrzewać jego. - Pociąga następny łyk alkoholu. - Mówię o Karlu, moim bracie.

Flint siedzi bez ruchu, ledwie ma odwagę oddychać. Odsuwa trochę swoje krzesło od stołu, żeby jej twarz znalazła się w cieniu i Ilse nie mogła z niej niczego wyczytać. Czuje się jak na pogrążonej w mroku widowni, gdzie może słuchać uważnie, w zasadzie niewidoczna ze sceny.

- Mama już czekała w samochodzie. Miała na głowie kapelusz. Nigdy wcześniej nie widziałam jej w kapeluszu, dlatego zaczęłam się śmiać. Nakazała mi być cicho, ale zrobiła to bez złości. Nigdy się na mnie nie złościła. Na tylnym siedzeniu leżała przygotowana dla mnie poduszka i koc. Ojciec ułożył mnie wygodnie i powiedział, żebym zasnęła, a gdy się obudzę, rozpocznie się moja wielka przygoda. Byłam jednak zbyt podniecona, żeby zasnąć. Zapytałam, czy Karl z nami pojedzie, ale powiedzieli, że nie, że ta przygoda jest tylko dla mnie. Jechaliśmy długo, bardzo długo. Od czasu do czasu słyszałam, jak rodzice półgłosem zamieniają parę słów, ale nie rozumiałam, o czym mówią. Byli bardzo spokojni, jakbyśmy

jechali na wycieczkę, w góry albo nad jezioro, gdzie wybieraliśmy się czasami, zanim zachorowałam. Tyle że tym razem nie było z nami Karla. Nie było też Heinza. Nie mogło go już z nami być, bo zmarł. W końcu musiałam jednak zasnąć. Kiedy się obudziłam, staliśmy na poboczu, a właściwie nie na poboczu, ale u wylotu leśnej przecinki. Było mi zimno. Powiedziałam o tym mamie, ale kazała mi być cicho. Wyczułam u rodziców zdenerwowanie. Atmosfera zrobiła się bardzo napięta.

Ilse jednym haustem opróżnia kieliszek, a Flint pojawia się jak duch ze swego niewidocznego miejsca i pospiesznie napełnia go prawie po brzegi.

- Rodzice chyba czekali na jakiś znak, że można bezpiecznie jechać dalej. Noc była pogodna, niebo kryształowo czyste, las dookoła tonął w blasku księżyca. Panowała taka cisza, że wyraźnie słyszałam własny oddech. Usiadłam, żeby wyjrzeć przez okno, ale ojciec kazał mi się położyć z powrotem. „Jeszcze trochę, kochanie”, powiedział. Zawsze się tak do mnie zwracał, byłam jego oczkiem w głowie. W każdym razie posłuchałam i położyłam się. Nie wiem, co to był za znak, lecz w pewnej chwili ojciec powiedział: „Jest”. Uruchomił silnik i ruszył bardzo powoli, bo droga była dziurawa i wyboista. Wydaje mi się, że przejechaliśmy tylko dwieście albo trzysta metrów, kiedy nagle mama panicznie krzyknęła. Jakoś tak...

Ilse z zamkniętymi oczami próbuje wydać z siebie krótki okrzyk, lecz z jej gardła wydobywa się jedynie chrapliwy jęk równie cichy, jak nocny szmer nagłego porywu wiatru. Kiedy się nieco pochyla nad stołem, blask świecy wyławia bezgraniczny smutek na jej twarzy.

- A ojciec zaklął głośno, ordynarnie. Nigdy wcześniej nie słyszałam z jego ust takich przekleństw. Pamiętam, że ogarnęło mnie zdumienie i przerażenie, gdyż wyczułam, że i on jest przerażony. Obrócił się szybko, żeby wycofać samochód, i wtedy zobaczyłam jego przestraszoną minę. Uderzyliśmy w coś z dużą siłą, aż spadłam z siedzenia na podłogę. Wtedy usłyszałam krzyki ludzi, donośne gwizdki i szczekanie psów. Drzwi z mojej strony otworzyły się gwałtownie i gdy spojrzałam w górę, zobaczyłam człowieka w mundurze, żołnierza albo funkcjonariusza straży granicznej. Złapał mnie za włosy i brutalnie wywlókł z samochodu na ziemię. Dostrzegłam, jak unosi nogę w ciężkim bucie, i przestraszyłam się, że kopnie mnie w twarz. Ale tego nie zrobił, tylko przycisnął mnie butem za gardło, żebym się nie ruszała. Mama zaczęła histerycznie krzyczeć: „Zostawcie ją! Zostawcie ją!”. Usłyszałam brzęk tłuczonego szkła, mama głośno pisnęła i rozległy się odgłosy... sama nie wiem: ciosów pięścią? W każdym razie były to głuche, stłumione uderzenia. Wtedy i ojciec zaczął krzyczeć. Samochód aż się zakotłosał, gdy doleciały kolejne odgłosy ciosów i szloch mamy. I nagle wszystko ustało, zapadła cisza. Słyszeć było tylko sapanie mężczyzn i czyjeś szybkie kroki.

Żołnierz, który przyciskał mi butem gardło, przystawił mi karabin do głowy i pociągnął za coś, co głośno szczęknęło metalicznie.

Flint mimowolnie wędruje myślami do zdarzeń odległych w czasie i przestrzeni - znów leży zalana krwią na klatce schodowej londyńskiej kamienicy i ma w uszach donośny metaliczny szczęk zamka dziewięciomilimetrowego browninga, kiedy Clayton Buller szykował się, aby ją zabić.

- Teraz oczywiście zdaję sobie sprawę, że załadował nabój do lufy, zamierzając mnie zastrzelić, ale wtedy nie wiedziałam, co ten odgłos oznacza. Byłam chyba w szoku, leżałam jak sparaliżowana. Raz już znalazłam się blisko śmierci, gdy wieźli mnie do szpitala, i pamiętam to samo uczucie nierealności, jakbym przyglądała się temu wszystkiemu z boku, a nie uczestniczyła w rozgrywających się wydarzeniach. To było bardzo dziwne. Leżałam w błocie, w samej piżamie, a mimo to nie czułam ani zimna, ani strachu, tylko obojętność. Jakiś mężczyzna powiedział: „Postawcie ich na nogi”, ale nie dotyczyło to mnie, bo dodał: „Ona zostaje”. Żołnierz cały czas przyciskał mnie butem do ziemi, nie mogłam nawet obrócić głowy. Nie widziałam więc, co się dzieje. Ale wszystko słyszałam. Domyśliłam się, że żołnierze powlekli moich rodziców w głąb lasu, lecz niezbyt daleko od samochodu. Słyszałam, jak mama szepcze: „Ilse”, jakby chciała mnie uspokoić. A potem rozległy się dwa wystrzały: bach, bach. Później odgłos padających ciał. I cisza. Nikt się nie odezwał.

Ilse także milknie, jakby zabrakło jej słów albo nie mogła ich z siebie wydusić. Jej kieliszek znowu jest pusty, lecz Flint nie sięga już po butelkę, by go napełnić. Przynajmniej na razie. Czeką przez dłuższy czas, aż wreszcie dochodzi do wniosku, że Frau Hartmann może się w końcu odezwać:

- I zrobił to Karl?

- Co?

- Zabił pani rodziców.

- Nie. Już mówiłam, że zastrzelili ich żołnierze straży granicznej.

- Żołnierze tylko pociągnęli za spusty, ale w rzeczywistości to Karl ich zabił, prawda?

Bo to on zdradził waszych rodziców, zdradził panią?

- Tak.

- Gdzie on teraz jest, Ilse? Gdzie jest Karl?

Ilse Grober unosi kościsty palec i w milczeniu wskazuje sufit.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

W mieszkaniu naprzeciwko Runde Ecke, będącym kiedyś kryjówką MI6, od dawna spaloną, Stephanie Cooper-Cole odkłada słuchawkę telefonu i ze zdziwioną miną, jakby dopiero teraz to sobie uświadomiła, pyta Nigela:

- Nie sądzisz, że podejrzanie łatwo pozwolili nam się zlokalizować?

Ridout, który przy stole nakrytym lnianym obrusem ustawia domek z kart, zaszczyca ją szerokim uśmiechem.

- Doskonale, Stephanie, naprawdę wyśmienicie. Moje gratulacje. Zechciej mi jeszcze powiedzieć... - nagle poważnieje - ...dlaczego w końcu doszłaś do takiego wniosku?

Zdaje sobie sprawę, że powinna się tego spodziewać i ani trochę nie okazywać zdumienia. Ale wyrywa jej się mimo woli:

- Nigel, ty łajdaku!

- Licz się ze słowami, jeśli łaska - odpowiada jej szef strofującym tonem.

- To kolejna łamigłówka, prawda? Następna akcja cholernego Schnella dla odwrócenia naszej uwagi? A ty wiedziałeś to od samego początku?

- No, niezupełnie, wcale nie od samego początku, Steff. - Nawet nie podnosi głowy, jakby całkowicie pochłonięty delikatnym zadaniem postawienia ostatnich dwóch kart na szczycie piramidy. - Kiedy mi powiedziałaś, że Kocimiętka i Thymus zniknęli w budynku mającym tylko jedno wejście, do którego doprowadzili twoich ludzi, w ogóle nie próbując się przed nimi ukrywać, i kiedy uświadomiłem sobie, jak szczęśliwym trafem udało się wam wpaść na ich trop z dala od czujnych chłopców Schnella, których nieobecność jest wielce podejrzana, wtedy rzeczywiście domyśliłem się, że Otto zastawił kolejną pułapkę. - Ridout dźga palcem pierwszą kartę w podstawie ustawionego domku i patrzy z satysfakcją jak cała konstrukcja błyskawicznie się zapada. - Twoi chłopcy widzieli Thymusa jak na dłoni, prawda? A później zobaczyli go w oknie, w którym stanął na tyle długo, żeby zyskali niezbita pewność, że to on?

Cooper-Cole obrzuca go piorunującym wzrokiem.

- Ale Kocimiętki już tak dobrze nie widzieli, zgadza się, Stephanie? Dostrzegli jedynie zarys jej sylwetki w samochodzie, w dodatku od tyłu? Oczywiście, trudno wykluczyć, że to naprawdę była ona, lecz... Co ty robisz, Stephanie?

Cooper-Cole podniosła słuchawkę i z wściekłością gwałtownie wciska klawisze, wybierając numer.

- Stephanie?!

- Dzwonię do Fellowesa, żeby ich odwołać.

Ridout z zadziwiającą zwinnością zrywa się z krzesła, dopada jej w paru susach i wrywa słuchawkę z dłoni.

- Nie pozwolę ci na to.

- Dlaczego, Nigel? O co chodzi?

- O to, moja droga, że nawet jeśli Fellowes potwierdzi, iż nigdzie w pobliżu nie ma chłopców Schnella, nie oznacza to jeszcze, że faktycznie ich tam nie ma. Bez wątplenia są, tyle że niewidoczni dla Fellowesa, bo chyba się nie ludzisz, że Otto ma za mało ludzi albo środków do prowadzenia obserwacji. Więc gdybyś teraz odwołała swoich, dałabyś im do zrozumienia, że przejrzałaś ich wybieg. Nie wolno ci tego robić. Prowadź dalej akcję, możesz ją nawet nasilić, pojechać tam sama, jeśli chcesz, ale pod żadnym pozorem nie daj się wciągnąć w zastawioną przez Schnella pułapkę. Rozumiesz?

Stoi bardzo blisko, tuż przed nią.

- W takim razie gdzie jest Kocimiętka? - pyta Stephanie.

- Zastanów się, a sama znajdziesz odpowiedź na to pytanie.

- W domu przy Karl-Heine-Strasse, tam, gdzie ich znaleźliśmy... a raczej gdzie oni znaleźli nas i skąd nas odciągnęli jak barany prowadzone na rzeź.

- Bardzo dobrze, Stephanie. Doskonale - Ridout znowu szczyrzy zęby w uśmiechu.

LA ROCHELLE, FRANCJA

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Mandragora jedzie żółtym rowerem po Quai du Bout Blanc i osłaniając oczy od jaskrawego słońca, przygląda się jachtom zacumowanym w tej części przystani, gdzie powinien stać również jego obiekt. Poprzednim razem był tutaj z Grace pod koniec podróży poślubnej, kiedy to doszli na koniec pomostu i z nastawionymi kołnierzami ciepłych kurtek, chroniąc się przed ostrym atlantyckim wiatrem, spoglądali, jak kołujące w powietrzu głuptaki eskortują wracające do portu kutry rybackie. Grace odznaczała się cerą, którą ostre słońce błyskawicznie przebarwiało z młynarskiej bieli na ciemny brąz, i po dwóch tygodniach na wyspie Haymana jej twarz gorzała świeżą opalenizną. Obejmował ją wtedy w ramionach, tulił do siebie i muskając wargami szyję, szeptał do ucha, że jest najwspanialszym stworzeniem, jakie dotąd napotkał - co w stosunku do kobiet było szczerą prawdą. I obiecał wówczas, że nigdy, przenigdy jej nie porzuci, co z kolei było kłamstwem, chociaż w głębi duszy pragnął, aby stało się inaczej.

Nigdy nie zapominaj, kim ona jest, Mandragora - powtarzano mu w czasie ostatniej odprawy w Fort Monkton. - Nie wolno ci zapomnieć, że masz do czynienia z pionkiem, zwykłym narzędziem przeznaczonym do tego, by cię zniszczyć. Kiedy będziesz ją przytulał albo kochał się z nią, pamiętaj, że służy to wyłącznie osiągnięciu celu. Pod żadnym pozorem nie możesz dopuścić, by zawładnęły tobą uczucia.

Nigel Ridout, który przejazdem wpadł wtedy do Monkton, a przynajmniej tak twierdził, wybuchnął gromkim śmiechem, jakby usłyszał świetny dowcip.

- Uczucia?! Dobry Boże! Sądzicie, że Mandragora jest zdolny do jakichkolwiek uczuć?!

W jego aktach personalnych w MI6 znajduje się raport opisujący niezwykle autonomiczne reakcje na bodźce wzrokowe i słuchowe - sadystycznie brutalne, niekiedy nawet pornograficzne zdjęcia pojawiające się na ekranie na przemian z niewinnymi, sielskimi obrazami i rozlegające się w słuchawkach rozzwierające wrzaski przerażenia wplecione w dźwięki kołysanki Brahmsa. Był wtedy podłączony do urządzenia rejestrującego zmiany szerokości źrenic oraz elektryczne przewodnictwo skóry, które wykazywało stałe wartości niezależnie od tego, na co patrzył i co słyszał. Niespotykany absolutny brak reakcji świadczący o całkowitym braku uczuć skłonił specjalistów do wyciągnięcia wniosku, że musi

mieć uszkodzoną część mózgu odpowiedzialną za spontaniczne reakcje emocjonalne na bodźce zewnętrzne.

Kiedy zaś próbowali dociec, czy nie jest to wynikiem jakiegoś urazu odniesionego, powiedzmy, w czasie wypadku samochodowego, Ridout zauważył złośliwie, że jedynym wypadkiem w jego życiu był sam fakt przyjścia na świat.

Lecz choć prawdą jest, że Mandragorze są całkowicie obce takie odczucia, jak poczucie winy, skrupuły bądź wstyd - co, zdaniem Ridouta, pozwala go uznać za socjopatę - to nie jest on zupełnie pozbawiony uczuć. Niektóre bodźce powodują jego instynktowne reakcje, na przykład śpiew ptaków czy dźwięki utworów Bacha, lecz także krągłości ciała Grace i miękkość jej skóry, jak również zapach i szum morza.

Dlatego i teraz ogarnia go radość na widok „Lady Jane”. Wyczuwa podświadomie, że to łódź stworzona dla niego, która już wkrótce wyniesie go na otwarte morze, daleko od lądu i ścigających go prześladowców. Ma jedenaście metrów długości, pełne ożaglowanie i solidny silnik wysokoprężny, co pozwala myśleć o rejsie przez ocean. Mandragora nie wyklucza możliwości podjęcia takiego ryzyka.

Tym bardziej, że cena jachtu to tylko pięćdziesiąt tysięcy dolarów, którą będzie mógł zapłacić z pieniędzy Karla Grobera.

NOWY JORK

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

W Gmachu Marscheidera nie ma aresztu ani zakratowanych cel, ani nawet pokojów przesłuchań zamykanych tylko od zewnątrz. Dlatego niesforny Vincent Regal siedzi na podłodze w piwnicy z lewą ręką przykutą kajdankami do masywnego metalowego pulpitu w pracowni Rocco Moralesa, gdzie, jak mu powiedziano, może się wykrzyczeć do woli, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Nie jest to do końca prawdą. Jarrett Crawford spacerujący po chodniku pod budynkiem i palący ostatniego z pięciu papierosów, jakie wydzielił sobie na cały weekend, słyszy wyraźnie dzikie wrzaski i najgorsze przekleństwa dolatujące na zewnątrz przez szyby wentylacyjne. Flint ostrzegła, że Regal ma niewyparzoną gębę, mimo to potoki bluźnierstw działają mu na nerwy.

Z ociągnięciem gasi papierosa, przesuwając swoim identyfikatorem z paskiem magnetycznym w szczelinie czytnika, wchodzi do budynku i rusza schodami na dół. Krzyki stają się głośniejsze. Cicho podchodzi do wrzeszczącego Regala od tyłu, bierze ze stołu ciężką książkę telefoniczną Manhattanu, waży ją w dłoniach i trzymając oburącz jak kij baseballowy, bierze szeroki zamach i wali nią więźnia po głowie. Skutek jest natychmiastowy. Regal, bardziej zaskoczony niż ogłuszony, od razu milknie.

- Widzisz, do czego mnie zmusiłeś? - pyta spokojnie Crawford. - Po raz pierwszy od dwudziestu lat uderzyłem skrupowanego człowieka. Dlatego posłuchaj mnie uważnie, Vincent. Jeżeli jeszcze raz usłyszę z twoich ust słowo „kurwa”, „pierdolić”, „skurwysyn” lub jakiegokolwiek pokrewne, zmuszę cię, żebyś to zeżarł w całości. - Podtyka mu opasłą książkę telefoniczną pod nos. - Czy wyrażam się jasno?

- Dwudziestego szóstego kwietnia dwutysięcznego roku... nie, wróć - mówi Crawford do mikrofonu magnetofonu kasetowego stojącego między nimi na pulpicie. - Dwudziestego siódmego kwietnia, powtarzam, dwudziestego siódmego, około godziny pierwszej nad ranem spotkałeś się na swoje żądanie z wicedyrektor Flint na parkingu przy River Cafe na Brooklynie. Pamiętasz to, Vincent? W spotkaniu uczestniczyła także, choć już nie na twoje żądanie, agentka specjalna Ruth Apple. Lepiej, żebyś to sobie przypomniał, ponieważ, jak ci świetnie wiadomo, agentka Apple została później zabita, zatem jest to przede wszystkim dochodzenie w sprawie o zabójstwo i w obecnym stanie rzeczy znajdujesz się w kręgu osób

uznawanych za współwinne tego zabójstwa, więc dla własnego dobra powinieneś jak najlepiej przypomnieć sobie tamto spotkanie. Przypominasz je sobie, Vincent?

Na obudowie magnetofonu świeci czerwona lampka świadcząca o włączonym zapisie, choć w rzeczywistości rozmowa nie jest rejestrowana, a więzień nawet się nie domyśla, że Rocco Morales po prostu zwarł obwody. Uwolniony z kajdanków, siedzi sztywno wyprostowany na stołku, spoglądając to na groźną minę Crawforda, to znów na leżącą obok niego książkę telefoniczną.

- Pytam jeszcze raz, Vincent. Przypominasz sobie tamto spotkanie?

- Tak - odpowiada cierpko Regal, jakby gdyby zmuszony do zapłacenia astronomicznie wygórowanej ceny.

Crawford stuka palcem w teczkę z aktami operacji „Zielone Świątki”.

- Podczas tego spotkania przekazałeś swojemu zleceniodawcy pochodzące od twojego szefa poufne informacje dotyczące klientów jego firmy, mogące być podstawą do wysunięcia oficjalnych, bardzo poważnych oskarżeń grożących surowymi karami. Dlatego też... - Crawford sięga do magnetofonu i wciska klawisz, przez co gaśnie czerwona lampka markująca zapis. - Mówiąc między nami, Vincent, kiedy do tego dojdzie, wiele wkurzonych ludzi będzie próbowało dociec, kto ich wsypał, stąd też nasuwa się pytanie, kto jeszcze wie o tym, że jesteś kapusiem, szpiclem.

Regal krzywi się, ale nie reaguje, udając odpornego na zniewagi i puste groźby. Czeką w milczeniu, aż Crawford w końcu wyjawia, o co mu naprawdę chodzi.

- Zrozum, Vincent, że w naszym wydziale bardzo rygorystycznie chroni się informatorów. Bo dla nas jesteś informatorem, czyli CI. Dla pracowników niemających z tobą żadnego kontaktu jesteś nikim, anonimowym informatorem oznaczonym numerem. Widzisz?

Crawford wyciąga z teczki raport Flint dotyczący tamtego spotkania i pokazuje mu widniejący w nagłówku zwrot: „Poufny informator nr 00217”. Regal odwraca głowę.

- Tylko troje ludzi pracujących w tym budynku wiedziało, że CI217 i Vincent Lowell Regal to ta sama osoba. Jedna z nich nie żyje. A więc tylko ja i wicedyrektor Flint znamy prawdę i tylko my możemy cię ochronić. - Jarrett przerzuca parę kartek raportu, jakby czegoś szukał. - Ale nie zdołamy cię ochronić przed tobą samym, rozumiesz? Nic nie zaradzimy, jeśli sam będziesz rozpowiadał na lewo i prawo, że jesteś kapusiem.

- Bzdura - rzuca Regal.

- Czyżby? Chcesz powiedzieć, Vincent, że przed nikim się z tym nie zdradziłeś? Że nikt poza nami nie wie, iż Vincent Regal donosi na swoich przyjaciół i współpracowników? - pyta Crawford ironicznym tonem. - Nie próbuj mydlić mi oczu. Nie dam się nabrać na takie

bajeczki. - Dwoma palcami chwyta za sam brzeg pierwszą kartkę akt i podtyka ją więźniowi pod nos. - A co powiesz o Benie Gatesie?

- Niby co mam powiedzieć?

- Kim on jest, Vincent?

- Dobrze wiecie, kim on jest.

Crawford chichocze krótko, jakby usłyszał dobry dowcip. Po chwili pochyła się szybko i syczy Regalowi prosto w twarz:

- Oczywiście, że wiemy. Chodzi jednak o to, skąd ty się o nim dowiedziałeś. Kto ci powiedział? Jak zdobyłeś informacje?

Przez parę sekund spoglądają sobie prosto w oczy, aż nagle Regal uświadamia sobie implikacje tego pytania, co wyraźnie widać po jego minie. Najwyraźniej nie spodziewał się takiego obrotu spraw i pytań na ten temat, gdyż bąka niepewnie:

- A kogo to obchodzi?

- Wicedyrektor Flint - wyjaśnia spokojnie Crawford. - Chciałaby wiedzieć, który z twoich kolegów albo przyjaciół odważył się ujawnić takiej gnidzie prywatne sekrety. I dlaczego to zrobił. Poza tym... - Wstaje wolno i podnosi z pulpitu ciężką książkę telefoniczną.

- Obchodzi to mnie, Vincent, bo także chciałbym wiedzieć, kto zaczął gadać niepytany. Powinieneś zrozumieć jedną rzecz. Jak to się mówi, najtrudniej jest pierwszy raz wychylić się z szeregu. Potem już...

Robi krok do tyłu, znowu oburącz biorąc szeroki zamach.

Regal jest szybszy. Podrywa się ze stołka, zgięty wpół, by ewentualne uderzenie książką nie trafiło go w głowę. Rzuca się naprzód, trafiając Jarretta bykiem w dolną część brzucha. Kiedy agent z głuchym jękiem osuwa się na kolana, więzień, wciąż nisko pochylony, odskakuje w bok i rusza biegiem do drzwi prowadzących na schody.

Są zamknięte i parę sekund zajmuje mu odnalezienie i otwarcie sprytnej zasuwki. W końcu droga do wolności staje przed nim otworem. Rusza pędem na górę, przeskakując po dwa stopnie. Zawracając na pierwszym podejściu, rzuca donośnie w kierunku Crawforda niewidocznego za otwartymi drzwiami pracowni:

- Pieprz się, pojebańcu!

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

W niedzielę, krótko przed siódmą wieczorem, Nathan Stark szykuje się do wyjścia z domu na Staten Island, wyciąga z portfela trzy studolarówki i podpisuje in blanco pięć czeków wspólnego małżeńskiego konta bankowego, przypominając żonie, że jeśli będzie musiała z nich skorzystać, powinna zapisać wszystkie dane w zestawieniu operacji finansowych. Z pedantyczną dokładnością informuje ją także, że zbliża się termin okresowego przeglądu jej samochodu, zraszacz z frontowego trawnika trzeba oddać do naprawy, muszą odwołać obiad z państwem Carpenter, Nathan junior ma umówioną wizytę u ortodonta, a ponadto należy koniecznie przypilnować, by w dni powszednie o ósmej wieczorem chłopak kończył swoje ciągłe surfowanie po Internecie. (Nathan junior kończy szesnaście lat, lecz dla ojca niezmiennie pozostaje „chłopakiem”).

- Tak, tak - powtarza niecierpliwie Melinda Stark, chcąc się wreszcie uwolnić od tych rytualnych wręcz przykazań, których musi wysłuchiwać przed każdym służbowym wyjazdem męża.

Jak zwykle, nie powiedział jej, dokąd się wybiera i kiedy wróci, ale ona widzi, że zamiast małej torby podróźnej spakował średniej wielkości walizkę, co oznacza, że nie będzie go przez parę dni, przy odrobinie szczęścia cały tydzień, a może nawet dłużej.

Stark kieruje się do swojego gabinetu i zamyka drzwi. Z niewielkiego sejfu ukrytego za jednym z licznych, oprawionych w ramki dyplomów i wyróżnień wyciąga półautomatycznego glocka kalibru 5,84 milimetra, dwa zapasowe magazynki, dwa amerykańskie paszporty, oba na fikcyjne nazwiska, oraz skórzaną aktówkę zawierającą między innymi zgromadzony przez niego awaryjny fundusz podróźny: plik dziewięćdziesięciu szwajcarskich banknotów z podobizną filozofa Jacoba Burckhardta, z których każdy wart jest ponad sześćset dolarów. Przez ostatnie dwa tygodnie, to znaczy od czasu tragicznego - mimo jego starań - zakończenia operacji „Zielone Świątki”, wykorzystywał już ten fundusz na różne podróże, zmuszony do uznania słuszności twierdzenia Burckhardta, że tworzenie historii jest procesem toczącym się ze stałym przyspieszeniem, czyli że trzęsienie ziemi, którego groźba jawiła się dotąd w odległej perspektywie czasowej, może nastąpić już w najbliższych dniach.

Wpuszczony w ścianę sejf jest solidny, zabezpieczony zamkiem cyfrowym, ale Stark świetnie zdaje sobie sprawę, że gdyby doszło do najgorszego, jego otwarcie nie będzie większym wyzwaniem dla specjalistów z FBI - a ściślej rzecz biorąc, dla Rocco Moralesa,

który zapewne dobierze się do niego pierwszy. Ktokolwiek go jednak otworzy, znajdzie w środku tylko dwa listy. Pierwszy, krótki i lakoniczny, adresowany do Melindy, napisany z serca, choć zawierający więcej przeprosin niż wyjaśnień. Drugi, przeznaczony dla Aldusa Cuttera, obejmuje bitych pięć stron wystukanych na maszynie wyjaśnień, które, przynajmniej z jego punktu widzenia, usprawiedliwiają zdradę, jakiej dopuścił się zarówno wobec Wydziału Ścigania Przepęstw Finansowych, jak też ojczyzny.

Nathan junior, jak zwykle siedzący w bawialni z nosem przyklejonym do ekranu monitora, tylko niewyraźnie mruczy w odpowiedzi na pożegnanie ojca. Stark ma mieszane uczucia wobec obsesyjnego zainteresowania syna Internetem, ponieważ chłopak poświęca głównie czas na identyfikację przestępców, porównując dane ściągane z listów gończych publikowanych na oficjalnych stronach różnych agencji federalnych z informacjami zawartymi w imiennych bazach adresowych, bibliotekach redakcji prasowych, rejestrach hipotecznych, wojskowych aktach personalnych i temu podobnych. Korzystając z programu o nazwie „Net Detective”, zdołał dotąd zlokalizować dwóch zbiegłych więźniów, przy czym za drugim razem otrzymał od władz stanu Floryda nagrodę w wysokości pięciu tysięcy dolarów za dostarczenie informacji, które umożliwiły natychmiastowe aresztowanie uciekiniera. Opisujący ten wyczyn dziennikarz „Tampa Tribune”, w artykule zatytułowanym *Niedaleko pada jabłko*, ośmielił się nawet porównać dokonania młodocianego tropiciela z przeszłością jego ojca, byłego agenta federalnego. Było to trafne tylko do pewnego stopnia, gdyż Stark świetnie wiedział, że „nieustraszony łowca bandytów” kieruje się wyłącznie żądzą sławy i chciwością, podczas gdy jemu, jak podkreślał z naciskiem w liście do Aldusa Cuttera, nigdy nie zależało wyłącznie na bogactwie.

Ambicją chłopaka było zdobycie „prawdziwej nagrody” za odnalezienie któregoś z publikowanej przez FBI dziesiątki najbardziej poszukiwanych przestępców. W drodze do przystani promowej, w pełni świadom, że być może opuszcza rodzinny dom na zawsze, Nathan rozmyślał o przewrotności losu, przez którą już niedługo sam mógł się znaleźć na tej liście z wyznaczoną za jego głowę nagrodą w wysokości, powiedzmy, miliona dolarów. Nie wątpił, że gdy ten dzień w końcu nadejdzie, stanie się obiektem najbardziej zaciekle poszukiwań prowadzonych przez własnego syna.

Spycha tego typu rozważania w najdalszy zakamarek świadomości, do którego bardzo rzadko sięga myślami. Niespełna dwanaście godzin zostało do rozpoczęcia operacji „Odplata”, musi się więc skupić na znacznie ważniejszych sprawach. Zamierza spędzić noc w Gmachu Marscheidera nad planami operacyjnymi, poświęcić ją na wyszukiwanie i poprawianie wszelkich niedociągnięć. Już wcześniej postanowił, że skoro ma to być ostatni

zryw wicedyrektora Starka, powinien uczynić wszystko, aby stał się zarazem jego wielkim dziełem.

Kiedy na przystani ustawia się w kolejce czekających na prom, musi nagle zapomnieć o planach macierzystej firmy. Gdy rozlega się dzwonek jego telefonu komórkowego, niemal odruchowo odbiera połączenie i w słuchawce rozlegają się nieskładne dzikie wrzaski Vincenta Regala, który wykrzykuje coś o Flint i obrzuca najgorszymi przekleństwami Jarretta Crawforda, rzucając na przemian groźby i błagania, po czym domaga się natychmiastowego spotkania z „panem Starkiem”.

Nathan bez słowa przerywa połączenie, wysiada z samochodu, podchodzi na skraj nabrzeża i wyrzuca telefon w wodę Upper Bay.

Dochodzi do wniosku, że wyjdzie mu to jedynie na dobre. Po krótkim namyśle rezygnuje z pomysłu spędzenia nocy w biurze, wyjeżdża z kolejki, zawraca i rusza w kierunku mostu Verrazano. Oczywiście wyobraźni widzi już, jak Crawford, a może Rocco Morales, wyjmując kasetę z zarejestrowaną rozmową telefoniczną i natychmiast sięga po słuchawkę, żeby zawiadomić dyrektora, że Regal chwycił przynętę, a pułapka przyniosła spodziewany efekt.

- Mamy go! - na pewno wykrzyknie z radością, ciesząc się perspektywą przyskrzynienia zastępcy szefa.

Jeszcze za wcześnie na radość, przestrzega w myślach Stark.

DOM ILSE

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

W nocy niespodziewanie nadciąga gwałtowna burza, pojawia się nagle, jak gdyby znikąd, zrodzona gdzieś na wyżynach Białorusi i dodatkowo nabierająca energii w błyskawicznej wędrówce przez Europę. Naciera porywami wiatru na północno-wschodnią ścianę domu Ilse. Gdy na krótko ucicha, Flint wsłuchuje się w huk wichury narastający stopniowo od stłumionego basowego pomruku do dzikiego zawodzenia, które sprawia, że zastyga bez ruchu na pogrążonym w ciemności korytarzu drugiego piętra, czekając, aż żywioł wyładuje swą wściekłość i znów trochę przycichnie.

Powinnaś wiedzieć, Ilse, że jesteśmy jak siostry, że ja także zostałam zdradzona. Właśnie zdrada najbliższych jest tym, co nas łączy.

Latarka dostarczona przez doktora Schnella jest ciężka, ale bardzo dobra. Regulowany obrotowo reflektor może wytworzyć albo szeroki strumień światła zdolny oświetlić cały korytarz, albo wąziutką niemalże punktową wiązkę niczym z lasera. Flint ustawiła ją tak, by zapewnić sobie niezbędne minimum światła i zbliża się powoli do drzwi pokoju Karla Grobera, ostatnich po lewej stronie.

Karl jest tutaj? W domu? Na górze?

Ilse, półprzytomna od wypitej brandy, tylko skinęła głową.

Flint zdaje sobie sprawę, że powinna zawiadomić Schnella albo wymknąć się z domu i przekazać wiadomość któremuś z obserwatorów, gdyż kręcenie się po tej części domu o drugiej w nocy, bez żadnego wsparcia, tylko z pojemnikiem gazu łzawiącego i małym pistolecikiem od Feliksa, niemającym prawie żadnej siły przebicia, jest czystą głupotą. Dom powinien być otoczony przez kilka patroli policyjnych, a jeszcze lepiej przez jednostkę antyterrorystyczną tyle że taka akcja zapewne skończyłaby się śmiercią Karla Grobera. A do tego nie wolno dopuścić. Grace nie może pozwolić mu umrzeć, dopóki nie uzyska odpowiedzi na to jedno pytanie, jakie się teraz dla niej liczy: gdzie jest Ben?

Dlatego pośpiesznie zdecydowała, że jest wystarczająco uzbrojona. Jeśli Grobera nie odstraszy widok pistoletu i nie powstrzyma gaz łzawiący, będzie mogła oślepić go światłem latarki, a następnie wykorzystać ją jako maczugę.

Mimo to z głębin jej pamięci, a może z tej wiecznie przestraszonej części świadomości, wypływają słowa Cuttera podsumowującego raport generała Kessela: „Według

niego w okresie od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego do osiemdziesiątego siódmego Grober wielokrotnie uczestniczył w zagranicznych operacjach terenowych organizowanych przez KGB. Pełnił rolę doradcy, kiedy indziej prowokatora, czasami płatnego zabójcy".

Zabójcy? A ty chcesz się przed nim obronić latarką?

Zamknij się!

Burza jeszcze przybiera na sile, porywisty wiatr spada z impetem na dach, jakby szukał obluźowanych dachówek. Flint, przywarta plecami do ściany, znowu czeka, aż nawałnica nieco przycichnie, żeby mogła w spokoju pozbierać myśli i usłyszeć najdrobniejszy szmer za zamkniętymi drzwiami pokoju Karla Grobera.

Nie chcąc się rzucać w oczy, obserwatorzy Schnella czuwają parami w dwóch samochodach zaparkowanych na Karl-Heine-Strasse mniej więcej po pięćset metrów na wschód i zachód od domu Ilse. Są wyposażeni w lornetki noktowizyjne, które, przynajmniej teoretycznie, powinny im umożliwić dostrzeżenie widmowo zielonkawego zarysu ludzkiej sylwetki z odległości kilometra. Jednakże na dalsze dystanse, poza zasięgiem bezpośredniej detekcji promieniowania podczerwonego, urządzenia te działają wyłącznie na zasadzie wzmocnienia wylapywanego odbitego światła widzialnego, a w burzowych warunkach tej nocy jedynym jego źródłem są snopy reflektorów przejeżdżających sporadycznie aut. Dopływ prądu w dzielnicy został odcięty bez interwencji Schnella, a wobec silnego zachmurzenia terenu nie rozjaśnia ani blask księżyca, ani światło gwiazd.

Dlatego też obserwatorzy nie dostrzegają ubranej na czarno postaci, która wylania się spod daszku nad wejściem pobliskiego oddziału banku, pod osłoną strug deszczu przebiega na drugą stronę ulicy i przeskakuje przez parkan ogradzający posiadłość Ilse Grober.

Wreszcie nawałnica słabnie. Nie kończy się jeszcze, lecz tylko chwilowo przycicha, jakby dla zebrania sił przed kolejnym gwałtownym atakiem.

Ruszaj. I to już. Zgaś latarkę. Zdejmij buty i w skarpetkach ostrożnie przesuważ stopy po podłodze, choć i to raczej nie uchroni cię przed skrzypieniem starych desek. Módl się, żeby wziął to za trzaski starych gontów pod naporem wiatru. Zabezpieczony pistolet w kaburze na prawym biodrze, pojemnik z gazem w lewej kieszeni dzinsów. Masz do pokonania zaledwie trzy metry.

Czekając w swojej sypialni, przed poszarzałym lustrem trenowała szybkie wydobywanie pistoletu z kabury, chwytanie kolby oburącz i przyjmowanie pozycji strzeleckiej z głową pochyloną do linii muszki i szczerbinki. „Stój!", nakazywała bezgłośnie, nie bacząc na komizm sytuacji. Tyle że wtedy był jeszcze prąd i nie mogła wiedzieć, że

gdyby naprawdę przyszło jej do kogoś mierzyć z broni, będzie musiała trzymać pistolet w jednej ręce, a w drugiej latarkę.

Przełóż ją do lewej, a prawą sięgnij do klamki. Naciśnij ją i kopniakiem gwałtownie otwórz drzwi. A jeśli są zamknięte na zasuwkę? Co wtedy? Przestrzelić zamek? Daremny trud, skoro z tej zabaweczki trudno byłoby nawet zabić królika. Pamiętaj, że nie masz niczego więcej do obrony. Zapomnij o tym, czego cię uczono w Quantico, i mierz w głowę, bo tylko w ten sposób zdołasz zatrzymać przeciwnika. Oddychaj głęboko, szeroko rozwartymi ustami, żeby uspokoić przyspieszone tętno. Niech adrenalina swobodnie krąży ci w żyłach, dopóki nie poczujesz na języku jej gorzkawego posmaku.

Naciśnij klamkę, kopnij drzwi, odskocz w bok, skieruj do środka światło latarki i krzyknij: „Stój! Na kolana! Ręce do góry! No, już, Grober! Nie ociągaj się!”.

Palcami prawej dłoni, którą sunie po ścianie korytarza, wyczuwa najpierw framugę, a potem drzwi pokoju. Pochyliła się ostrożnie i przykładła ucho do ich zimnej powierzchni, nasłuchując dobiegających ze środka odgłosów. Cisza. Powoli sięga do klamki i naciska ją. Drzwi uchylają się na centymetr. Nie są zamknięte na zasuwkę.

Ruszaj, Flint! Teraz!

Niczym nurek przed skokiem do zimnej wody nabiera głęboko powietrza, powtarzając sobie w myślach, że nie różni się to w niczym od ćwiczeń praktycznych, jakie przechodziła podczas szkolenia w Quantico, i to nie raz, ale wielokrotnie. W niczym. Odpycha od siebie wszelkie myśli, koncentrując się na rutynowych czynnościach, wreszcie kopniakiem otwiera szeroko drzwi. Unosi pistolet, jednocześnie go odbezpieczając. Robi dwa kroki do przodu i błyskawicznie omiata pokój promieniem latarki. W jej świetle wyłania się wykrzywiona grymasem pogardy twarz Karla Grobera, mundur, wysoko sklepiona wojskowa czapka z daszkiem. Flint szybko uzmysławia sobie prawdę i okrzyk „Stój!” zamiera jej w gardle.

Nie może się powstrzymać od chichotu. Wraz z ulatującym strachem ogarniają poczucie przemożnej ulgi przemieszane ze złością na własną głupotę i zaczyna chichotać głośniej, nerwowo, aż nachodzą ją obawy, że straci panowanie nad sobą i dostanie ataku histerycznego śmiechu. Powoli osuwa się na kolana i oburącz ściska za brzuch, chcąc powstrzymać napad i opanować spazm ściskający ją za gardło. Pochyliła się jeszcze bardziej i na czworakach zaczyna łapać powietrze, kiedy uderza ją myśl, że musi wyglądać jak błagalnica oddająca cześć Groberowi, a raczej zgromadzonemu tu pamiętkom po nim. Ta świadomość sprawia, że konwulsyjny atak śmiechu tylko przybiera na sile.

W końcu Grace przewraca się na podłogę i zgina w pół, mając tuż przed oczyma wypolerowane do połysku wojskowe buciory, jak w *Koszmarze* Fuseliego - tyle że przed nią

zamiast diabelskiego gnoma stoi ogrodowy karzeł, mający niewiele ponad metr wysokości, ubrany w mundur Stasi, z rozpiętym rozporkiem, z którego sterczy pomazany keczupem kawałek uschniętej parówki mającej wyobrażać zakrwawione resztki oderwanego penisa.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Czyja to robota? Kto zappełnił ten pokój pamiątkami po Stasi, przekształcając go w koszmarne muzeum: mundury, odznaczenia, hełmy, maski gazowe, noże, bagnety, pałki, dwa karabinki automatyczne Kałasznikowa, czyste przepustki, stemple urzędu miejskiego, przyklejane brody, peruki, śmieszne sztuczne brzuchy, aparaty fotograficzne wmontowane w aktówkę, magnetofon kasetowy ukryty w szkatułce, wąska i twarda prycza sprawiającą wrażenie wymontowanej z celi aresztu, kajdanki, łańcuchy, żelazne pęta na nogi, czarne kaptury.

Jeśli to dzieło Karla Grobera, jak zakłada Grace, to kto zepsuł niezwykłą kolekcję przedmiotami z innej epoki despotyzmu?

Opanowawszy wreszcie atak histerycznego śmiechu, wstaje z podłogi, siada na brzegu pryczy i kieruje strumień światła na mniejsze karły stojące za Karlem, z prawymi rękoma podniesionymi w hitlerowskim salucie. Jest ich sześć, wszystkie w wyjściowych mundurach Stasi ozdobionych wyciętymi z papieru i pomalowanymi na krwisto swastykami. W ich plastikowych twarzach zieją czarne jamy zamiast oczu, a wyszarpane dziury między wargami przypominają usta zastygłe w niemym wrzasku przerażenia.

Dwie następne swastyki, czarne, z ramionami zakończonymi zygzakami błyskawic, wiszą na przeciwległej ścianie po obu stronach portretu generała Mielkego, głównego architekta Stasi, którego minę można by uznać za groźną, gdyby nie namalowany na górnej wardze drobny wąsik Hitlera. Nie ulega wątpliwości, że to efekt cichej zemsty Ilse.

Ścianę po prawej stronie pryczy pokrywają wycinki z gazet i czasopism dotyczące stawianych generałowi Mielkemu po zjednoczeniu Niemiec zarzutów wymordowania uciekinierów próbujących przedostać się przez granicę na zachód. Grubą czerwoną kredką podkreślone są nagłówki artykułów opisujących zawieszenie procesu wobec domniemanej niepoczytalności oskarżonego oraz późniejszej jego śmierci w szpitalnym łóżku. Obok wisi długa lista ofiar generała, na której jednak brakuje nazwisk Wilhelma i Ewy Groberów. Na umieszczonej obok pustej kartce widnieje nabazgrane tą samą czerwoną kredką desperackie pytanie: *Warum?* - Dlaczego?

Wpada jej w oko zestaw nowych wycinków prasowych dotyczących niedawnego zabójstwa w Nowym Jorku. W większości są to krótkie notatki przedstawiające w zarysie wydarzenia pod Światowym Imperium oraz wystosowany międzynarodowy list gończy za Karlem Groberem, chociaż w niektórych wspomina się także o przeszłości byłego agenta Stasi. „Bildzeitung” zamieścił nawet zdjęcie Karla stojącego w niedbałej pozie na schodach Runde Ecke przed tłumem milicjantów, z podpisem: „Ostatni posterunek: końcowe dni terroru Stasi”. Jest w cywilnym ubraniu i chyba bez broni, za nim jednak stoi gromada mundurowych funkcjonariuszy uzbrojonych w pistolety maszynowe, do złudzenia przypominająca grupę krasnali ustawionych za plecami Karla w tym pokoju. W większości to bezimienni agenci upadłego reżimu, ale dwie twarze są zakreślane czerwonymi kółkami, prawdopodobnie przez Ilse, a nad nimi widnieją wykonane wielkimi literami podpisy: DANNECKER oraz KROL.

Flint zdejmuje wycinek ze ściany i przebiega wzrokiem krótki tekst. Nie ma w nim nawet wzmianki ani o Danneckerze, ani o Krolu. Jest za to informacja, która przyprawia ją o szybsze bicie serca: „Według dobrze poinformowanych źródeł miejscowego półświatka Grober posiada luksusową willę gdzieś na adriatyckim wybrzeżu dawnej Jugosławii, w której, jak głoszą plotki, ostatnio przyjmował dwóch byłych oficerów Stasi z Lipska”.

Kaczka dziennikarska? Niewykluczone. Mimo to Grace składa wycinek, chowa go do kieszeni, przeciska się za szeregiem krasnali i zaczyna oglądać meble: poobijane biurko stojące pod portretem generała Mielkego, kufer z rzeźbionym wiekiem, komodę z trzema szufladami w biurowym szarym kolorze. Ustawwszy reflektor latarki na najszerszy strumień, stawia ją na biurku, by pełniła rolę lampki, po czym klęka na podłodze i ostrożnie, centymetr po centymetrze unosi ciężkie wieko kufra, jakby się bała, że w środku czyha na nią coś bardzo groźnego. Ale nieprzyjemny okazuje się tylko zatechły odór buchający ze środka. W kufrze leży wypchany łeb brunatnego niedźwiedzia z przerażającymi haczykowatymi kłami długości dobrych dwudziestu centymetrów, pożółkłymi ze starości, podobnie jak poupychane przy nim kartki pochodzące ze starych akt Stasi, zapewne wykradzione z Runde Ecke. Tylko dlaczego? Wyciąga kilka spod niedźwiedziego pyska i pochyla do światła, próbując odczytać ich treść. Rozumie jednak tylko pojedyncze niemieckie słowa, znaczenie wielu zwrotów jest jej obce, a całość sprawia wrażenie tak zagmatwanej, że jest dla niej całkiem nieprzystępna.

Chcąc odłożyć dokumenty na miejsce, musi unieść pysk niedźwiedzia. Wsuwa dłoń pod ostre kły i stwierdza ze zdumieniem, że jest bardzo ciężki. Równocześnie dostrzega leżącą na spodzie dużą księgę w sztucznie postarzonej obwolucie z wytłoczonym na wierzchu złotym napisem: FotoAlbum. To zapewne album Karłą przedstawiający jego młodość, od

wczesnego dzieciństwa do wieku średniego. Wyciąga go i zaczyna przeglądać. Pod każdą fotografią znajduje się wykaligrafowany czarnym tuszem podpis.

Patrzy na zdjęcie pucułowatego trzyletniego chłopca siedzącego na parkowej ławce i osłaniającego oczy od jaskrawego słońca; potem sześciolatka w spodenkach kąpielowych, w miejscu opisanym jako „Waren”, będącym albo plażą, albo brzegiem jeziora; następnie dziesięcioletniego, w Dreźnie, uśmiechającego się wstydliwie do obiektywu; później opisanego: *Berlin, Juli 1963*, a więc dwunastoletniego, dziwnie usztywnionego i śmiertelnie poważnego; wreszcie na studyjny portret czternastolatka, już z ustami wygiętymi ku dołowi w wyrazie pogardy...

Podnosi nagle głowę. Oswoiła się już z hukiem szalejącej burzy, teraz jednak łowi ledwie słyszalny dźwięk, którego źródłem na pewno nie jest nawałnica. Nie potrafi go dokładnie zidentyfikować, ale nie pasuje jej do tego otoczenia. Błyskawicznie przygasza latarkę i podkrada się do drzwi. Z odbezpieczonym pistoletem w ręku wymyka się na korytarz, przebiega na drugą stronę i przesuwa w lewo, żeby wyjść ze smugi słabego blasku padającego z otwartych drzwi pokoju Karla. W całkowitych ciemnościach nieruchomieje, żeby się przekonać, czy ta poświata nikogo nie przywabi.

Myślni wciąż jest przy zdjęciach usuniętych z albumu, po których zostały tylko grudki kleju bądź dziurki wyrwane w kartach. Być może przedstawiały one Karla w towarzystwie Ilse bądź też rodziców i Heinza - czego Ilse zapewne nie mogła znieść. Dlaczego więc zachowała pozostałe zdjęcia z albumu? Czemu nie zniszczyła go w całości?

Czy Ben także zniszczył zdjęcia, które wykradł z Miller's Reach? A może ogląda je teraz, pokazuje kumplom i śmieje się głupio razem z nimi? „Spójrzcie na to, zostało zrobione w noc poślubną, kiedy ją przeleciałem. Widzicie ten błogi uśmiech na jej twarzy?”.

Dość tego, do cholery! Skoncentruj się wreszcie!

Wsluchuje się w bębnienie deszczu o szyby i zawodzenie wiatru. Nie słyszc niczego więcej.

Jeszcze cię odnajdę, Ben.

Jej drugie ja tym razem nie pyta: A co potem? Po raz pierwszy od dawna strachliwa część jej świadomości nie ma nic do powiedzenia.

Karl jako kapitan szkolnej drużyny piłkarskiej, pozujący z rękoma skrzyżowanymi na piersi i stopą opartą na piłce. Kolejne zdjęcie grupowe: Karl w drużynie harcerskiej, wyższy i szerszy w ramionach od kolegów, sądząc po aroganckim spojrzeniu i dumnie zadartej brodzie, będący w swoim żywiole.

Karl podczas służby w straży granicznej, sfotografowany w Vacha, gdzie zamordowano jego rodziców.

Grace zamknęła drzwi pokoju i zatarasowała je krzesłem podstawionym pod klamkę.

Karl w towarzystwie młodej kobiety, uderzająco ładnej, przyklejony do jej ramienia i obejmujący ją ręką w pasie. Według podpisu ma na imię Sabine, a fotografia została zrobiona w roku 1974, w okresie, gdy Karl Grober mieszkał z siostrą, z którą był „związany jak z kochanką”, według raportu generała Kessela.

- Jak to rozumieć? - zapytała doktora Schnella podczas kolacji po ucieczce z Holiday Inn. - Sypiał z własną siostrą czy tylko żyli zgodnie jak stare dobre małżeństwo?

Schnell nie umiał odpowiedzieć.

W każdym razie Flint przyjmuje ze zdziwieniem, że zdjęcie Sabine zostało w albumie. Ilse z pewnością powinna jej nienawidzić, albo widząc w niej rywalkę mogącą odebrać jej Karla, albo wręcz przeciwnie - jeśli bezwolnie została wciągnięta w kazirodczy związek - z żalu, że Sabine tego nie zrobiła.

Najwyraźniej było jednak inaczej, gdyż w dalszej części albumu pojawiają się następne fotografie Sabine, chyba jakoś związanej z Karlem, bo na przykład na zdjęciu zrobionym w Hawanie we wrześniu 1978 roku leży w stroju kąpielowym u jego boku na brzegu basenu kąpielowego, co wskazywałoby, że łączy ich zażyły intymny związek.

Nawet na zdjęciach z początku lat osiemdziesiątych Karl i Sabine nadal są razem, tworząc uroczą parę: on staje się coraz bardziej podobny do ojca, ona nabiera pełniejszych kształtów. Wiosną 1982 roku w Pradze stoją, trzymając się pod rękę; zimą fotografują się w Stambule, a potem w Damaszku na tle minaretu, przytuleni do siebie. W roku 1983 są znów w Hawanie, następnie w Asuncion, a rok później w Trypolisie - i dopiero po tych zdjęciach Flint ze wstrząsem, jakby przeszył ją prąd, uzmysławia sobie zgodność ich chronologii z zestawionymi przez Schnella zagranicznymi wyjazdami Grobera w ramach operacji organizowanych przez KGB: Kuba, Czechosłowacja, Turcja, Syria, ponownie Kuba, Paragwaj, Libia...

Kim naprawdę jesteś, Sabine? Miłą towarzyszką jego życia czy też nieodłącznym uczestnikiem zadań wykonywanych przez Karla? I gdzie teraz jesteś?

Podważa paznokciem róg zdjęcia z Trypolisu i wrywa je z albumu.

Dalej następuje dłuższa przerwa, kolejna fotografia Sabine pojawia się dopiero na ostatniej stronie, z grudnia 1988 roku, a więc zaledwie parę miesięcy przed upadkiem muru berlińskiego. Kobieta siedzi u boku Karla przy szczycie długiego stołu zastawionego jedzeniem i butelkami wina, w towarzystwie czterech innych par, uśmiechając się szeroko do

obiektywu. Nadal jest bardzo ładna, z dużymi, uroczymi oczami i długimi kasztanowymi włosami opadającymi na odsłonięte ramiona, ale w jej minie można dostrzec cień sztuczności, wymuszonego rozbawienia. Podpis pod zdjęciem głosi: *Das Letzte Abendessen* - Ostatnia Wieczera.

Flint zamyka album, podnosi głowę i z dreszczem emocji uzmysławia sobie zbieżność niektórych obserwacji.

Mężczyzna siedzący na ostatnim zdjęciu po prawej stronie Sabine i obejmujący ją ramieniem występuje także na opublikowanym w „Bildzeitung” „Ostatnim posterunku” na schodach Runde Ecke, jest zakreślony czerwoną kredką i zidentyfikowany jako KROL. A siedząca obok niego przy stole kobieta to bez wątpienia ta sama, która ze zdumieniem popatrzyła na nią znad rozłożonego menu w restauracji hotelu Howard Johnson w Portland.

- Ich spreche kein Englisch.

Ma się rozumieć, Frau Lender.

Komoda jest zamknięta na klucz, toteż Grace wyciąga z pochwy bagnet, w który jest uzbrojony jeden z krasnali osobistej straży Karla, i zaczyna podważać zamek górnej szuflady. Nie dba o rysy powstające na drewnie, wykręca ostrze i naciska z całej siły, aż w końcu rozlega się cichy stuk odskakującego rygla.

Szuflada jest wyładowana kartonowymi teczkami pełnymi rachunków, starannie opisanymi: telefon, prąd, ubezpieczenie, świadczenia. Domowa buchalteria nie przedstawia dla Flint żadnej wartości. Zagląda jedynie doteczki zatytułowanej „lekarskie”, wyjmując leżący na wierzchu plik spiętych zaświadczeń, przechodzi z nim do biurka i pobieżnie przegląda w świetle latarki. Są napisane zbyt specjalistycznym językiem, by mogła wszystko zrozumieć, lecz pewne zwroty pozwalają jej zyskać podgląd co do natury kłopotów zdrowotnych trapiących gospodynię: przedwczesna menopauza wywołana reakcją autoalergiczną; postmenopauzalna osteoporoza; na tym tle kostniakomięsak w obu kolanach odporny na chemioterapię.

Zalecana interwencja chirurgiczna, amputacja nóg powyżej kolan.

Och, ty biedna krowo.

Kiedy Ilse w końcu zapadła w drzemkę, Grace wtoczyła ją na wózek korytarzem do sypialni i przeniosła na łóżko. Odniosła wrażenie, że gospodyni nic nie waży, jakby miała kruchutkie kości ze szkła.

Chowa z powrotem zaświadczenia lekarskie i zaczyna dalej przeglądać teczki, aż wreszcie trafia na zatytułowaną *Bankverkehr*. Otwiera ją z nadzieją i spogląda na wyciągi z bankowego konta Ilse pochodzące z ostatnich pięciu lat. Liczy na to, że znajdzie pośród nich

dowody podejrzanych przelewów albo wpłat gotówkowych dokonywanych przez Karla. Aldus Cutter często powtarza, że Grace potrafi wyczytać więcej informacji z bankowego wydruku niż z całego numeru „The New York Times”, ale dokumenty Ilse nie zawierają niczego szczególnego. Na jej konto, którego stan waha się na poziomie kilku tysięcy marek, wpływają wyłącznie pieniądze z ubezpieczenia społecznego.

Flint znowu sięga po bagnet i bierze się do pracy nad zamkiem drugiej szuflady.

Jak na ironię, ta okazuje się całkiem pusta. Nic w niej nie ma. Grace ze złością zasuwa ją z powrotem. Chwileczkę! Po raz drugi wysuwa ją powoli, unosi lekko i waży w rękę, sprawdza opór, jaki stawiają listwy, na których się ślizga. Coś tu się nie zgadza - albo raczej się zgadza, szuflada pod każdym względem nie sprawia wrażenia pustej. Podejrzewając fałszywe dno, delikatnie opukuje je pięścią, po czym zaczyna szukać ukrytego zamka, ale w środku go nie ma. Sięga więc pod spód i szybko odnajduje wystający guzik, który naciska bez wahania. Rozlega się cichy trzask i dno szuflady nieco odskakuje na sprężynie, odsłaniając pięciocentymetrowej głębokości skrytkę pełną białych kopert. Leżą w sześciu stosikach po trzy. Razem jest tu osiemnaście identycznych białych kopert podpisanych po prostu: Ilse. Wszystkie są zaklejone.

Grace bierze pierwszą z brzegu, rozrywa i wyjmuje ze środka złożoną kartkę papieru, w której znajduje się ściśnięty gumką plik banknotów. Przelicza je pospiesznie: dwadzieścia pięć tysięcy marek, a więc nieco ponad jedenaście tysięcy dolarów.

Czy to cena twojego milczenia, Ilse? Jak często Karl ci za nie płaci? Raz w miesiącu? Co tydzień? A może każdego dnia?

Na kartce widnieje spisana odręcznie krótka wiadomość, którą Flint szybko tłumaczy sobie w myślach: „Jak zwykle, moja droga Ilse, Karl przesyła ci najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy troski z prośbą o wiadomość, gdybyś czegokolwiek potrzebowała. Proszę, daj mi znać, a ja powiadomię o tym Karla. I zadzwoń, proszę”. List jest podpisany: Krol. Pod nazwiskiem znajduje się numer telefonu.

Flint chowa kartkę do kieszeni, a pieniądze wkłada z powrotem do koperty i sięga po następną.

Znowu powtarza w myślach: Odnajdę cię, Ben,

Ale teraz, chyba po raz pierwszy, zaczyna w to naprawdę wierzyć.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Zgodnie z rozkazami Nick Fellowes przystępuje do penetracji pogrążonego w ciemnościach domu przy Karl-Heine-Strasse.

- Zdaję się na twoją intuicję - powiedział mu Ridout. - Przede wszystkim sprawdź, czy jest tam Kocimiętka, a jeśli tak, to co robi. Aha, Fellowes... - rzucił jeszcze, stojąc już przy drzwiach. - Oczywiście nikt nie może cię zobaczyć. I pod żadnym pozorem nie daj się złapać.

Dlatego też wbrew rozkazom, a nawet w jawnej sprzeczności z rygorystycznym regulaminem MI6, Fellowes jest uzbrojony. W pochwie umocowanej nad kostką lewej nogi ma dwudziestocentymetrowy nóż bez rękojeści, o ostrej jak brzytwa obustronnej klindze, wykonany z jednego kawałka oksydowanej na czarno stali. Rzucanie nożem do tarczy jest jego jedynym hobby, nie licząc intensywnych ćwiczeń fizycznych, które stały się niemal celem jego życia. Nocne łowy, jakie urządza sobie na tyłach rodzinnego domu w Sussex, stanowią dla niego główną rozrywkę. W dziewięciu wypadkach na dziesięć potrafi z odległości dziesięciu metrów trafić nożem tak mały i poruszający się szybko cel, jakim jest żywy królik.

Podobnie do obserwatorów Schnella - znudzonych kretynów, których bez trudu wyprowadził w pole - jest także wyposażony w gogle noktowizyjne, tyle że w przeciwieństwie do nich radzi sobie znakomicie z ich niedużym zasięgiem, strumieniem niewidocznego promieniowania podczerwonego, wyławiając z ciemności wszystko na swojej drodze. Promiennik jest zainstalowany na szczycie obudowy gogli, łatwo więc naprowadza jego światło w dowolnym kierunku, obracając po prostu głowę.

Pochyla ją teraz nisko, by oświetlić przykryte kołdrą nogi, po czym przesuwa powoli ku górze, przyglądając się w goglach zarysom pośladków i drobnego tułowia, odsłoniętego karku oraz głowy spoczywającej na poduszce. Znów pochyla głowę i powtarza cały proces od początku, tym razem znacznie wolniej, wręcz pieszczotliwie sunąc światłem promiennika po ciele śpiącej kobiety i upajając się świadomością całkowitej władzy, jaką w tej chwili nad nią posiada.

To byłoby takie proste. Producent noża pisze w reklamówce, że oprawianie zabitych zwierząt za jego pomocą jest dziecinnie łatwe. Nie ulega wątpliwości, że ostrze weszłoby w gardło śpiącej jak w masło. Wystarczyłby jeden szybki ruch, a pewnie nawet nie zdążyłaby otworzyć oczu. Można by potem zawiadomić rodzinę, że bez cierpień wyzionęła ducha we śnie, co w tym wypadku byłoby absolutną prawdą.

Fellowes odpycha od siebie te rozważania, pamiętając, że nie wolno mu się z nimi przed nikim zdradzić, a przede wszystkim przed psychologiem z komisji kwalifikacyjnej MI6.

Wychodzi z sypialni i ostrożnie zamyka za sobą drzwi. Następny pokój, który musi sprawdzić, znajduje się na podwyższonym końcu korytarza. Pokonuje cztery stopnie prowadzące na podest i zaczyna się skradać bezszelestnie jak dziki kot, czarny kombinezon w jego oczach upodabnia go do drapieżnej czarnej pantery.

Wchodzi do środka i wyciągając trzymany w ręku nóż niczym sztylet, ciekawie rozgląda się dookoła. W porównaniu z sypialnią gospodyni pokój jest urządzony bardzo skromnie: maleńki, rozmiarów klasztornej celi, bez okna, z drążkiem do wieszania ubrań i poobijanym zlewem przykręconym do ściany. Jest tu tylko stół, samotne krzesło i wąskie łóżko. Leżący w nim człowiek głośno chrapie, jakby coś tkwiło mu w gardle, przeszkadzając w nabraniu powietrza.

Fellowes chowa nóż do pochwy, podchodzi do łóżka i spogląda na porytą zmarszczkami twarz starca leżącego z szeroko rozwartymi ustami i tak samo otwartymi oczyma, jak się patrzy z przerażeniem na zjawę, która ukazuje się we śnie.

Gdyby się jeszcze nie poruszył, leżał dalej na wznak, przekonując się w myślach, że obudził go senny koszmar i wciąż trwa; gdyby zamknął je z powrotem, żeby znowu zasnąć...

Ale starzec unosi się na łokciach i nabiera powietrza, żeby krzyknąć.

Fellowes błyskawicznie zakrywa mu dłonią usta, wyszarpuje spod głowy poduszkę i zasłania nią twarz, dociska silnie, po czym zapiera się kolanem o pierś mężczyzny, czekając spokojnie, aż ustana nieporadne próby uwolnienia się.

Myśli przy tym, że bardzo dosłownie potraktował zalecenie Ridouta: Pod żadnym pozorem nie dać się złapać.

Trzecia szuflada komody także zawiera fałszywe dno zakrywające skrytkę, w której leży dwadzieścia dalszych zaklejonych białych kopert. Ukryty tu majątek Ilse wynosi więc z grubsza jakieś dziewięćset tysięcy marek, równowartość ponad czterystu tysięcy dolarów. Zdaniem Flint to i tak niezbyt wysoka cena za jej milczenie, tym bardziej że kumuluje się w nienaruszony wciąż fundusz.

W ośmiu kopertach są dołączone listy od Krola, z których wszystkie kończą się tak samo: „Proszę, zadzwoń”.

Przysparzasz Karlowi sporo zmartwień, prawda, Ilse? Krol regularnie wrzuca ci do skrzynki listy z pieniędzmi, a ty uparcie nie odpowiadasz na listy. Co utrzymujesz w tak ścisłej tajemnicy, Ilse? Czego ty naprawdę chcesz?

Grace odkłada z powrotem koperty do skrytki. Uzmysławia sobie, że gdy operacja dobiegnie końca, zgromadzone w nich banknoty będzie można wykorzystać jako bardzo mocny dowód procederu prania brudnych pieniędzy, tylko na pewno nie ona weźmie już na siebie to zadanie. Bo nie zamierza nawet słowem wspominać doktorowi Schnellowi o majątku Ilse.

W biurku nie znajduje dla siebie niczego interesującego. Pospiesznie zaciera więc ślady swojego pobytu w tym pokoju, zostawiając tylko wyłamane zamki w szufladach komody, puste miejsce na ścianie po wycinku z „Bildzeitung” oraz w albumie po zdjęciach z Trypolis i z „Ostatniej Wieczery”. Zabiera także list z numerem telefonu Krola.

Po krótkim namyśle, już na korytarzu, dusi w sobie instynktowną chęć zabrania bagnetu krasnalowi ze świty Karla. Doskonale zdaje sobie sprawę, że byłaby to znacznie skuteczniejsza broń od pistolecika Feliksa czy pojemnika gazu łzawiącego. Tylko po co miałyby go zabierać? Do obrony przed kim?

Fellowes jest już na piętrze, w kolejnej sypialni, tym razem pustej, może więc swobodnie sprawdzać metki znalezionych tu damskich ubrań, chcąc się przekonać, skąd pochodzą. Dobrze wie, że nawet najlepsi agenci zapominają o metkach, zwłaszcza na bieliźnie, jakby nawet nie podejrzewali, że ktokolwiek będzie sprawdzał, co noszą na tyłku.

MARKS & SPENCER

Rozmiar 10- UK

A więc to na pewno rzeczy Kocimiętki. Oczyma wyobraźni Fellowes widzi ją w salonie Marksa & Spencera pod Marmurowym Łukiem, gdzie pewnie zagląda podczas każdego pobytu w Londynie, wybierając sobie majtki i staniki.

Gdzie jest teraz? Dlaczego o trzeciej nad ranem nie leży w łóżku? Czubkiem noża pospiesznie wypruwa metkę z jednej pary majtek. Będzie miał dowód dla Ridouta, jeśli nie znajdzie niczego innego. Po chwili, tknięty nagłym impulsem, robi szerokie nacięcie w kroku.

- Chyba niezła z niej dupa, prawda? Jak się rżnie? - zapytał kiedyś Mandragory dla zabicia czasu, gdy siedzieli razem w londyńskiej kryjówce.

- Możesz mi wierzyć, że jest w tym bardzo dobra.

- Jak lubi najbardziej?

- Powinieneś raczej zapytać, jak nie lubi - odpowiedział z uśmiechem Mandragora, najwyraźniej chcąc zmienić temat.

Na wspomnienie Mandragory Fellowesa przeszywa dreszcz. Odkłada majtki, cofa się przez cały pokój i ostrożnie wygląda zza uchylonych drzwi na korytarz. Powoli obraca głowę, by światło promiennika podczerwieni przesunęło się od ściany do ściany. Nikogo nie ma.

Instynkt podpowiada mu jednak, że powinien zostać na miejscu, zachować czujność i chwilę zaczekać. Słucha go i wkrótce zostaje nagrodzony widokiem słabiutkiej poświaty pojawiającej się na lewej ścianie korytarza. Dopiero po paru sekundach uzmysławia sobie, że światło pada przez szparę pod drzwiami, które wcześniej musiał minąć, ponieważ okazały się zamknięte na klucz.

W goglach wzmacniających trzy tysiące razy słabe światło jest widoczne w postaci rozmytej, rozedrganej plamy, która szybko przybiera na sile. Nie ulega wątpliwości, że jego źródło zbliża się do drzwi, poruszając zarazem w górę i w dół. Fellowes dochodzi do wniosku, że jest nim latarka albo lampa trzymana przez kogoś schodzącego po schodach. A więc za zamkniętymi drzwiami znajduje się ukryte przejście na wyższe piętra.

To na pewno Kocimiętka.

Cofa się w głąb sypialni i ukrywa za zasłonką w alkowie pełniącej rolę szafy na ubrania.

Tymczasem Flint, której spokoju nie dają wyrzuty sumienia, postanawia zajrzeć do Ilse Grober. Ostatecznie wlała w staruszkę prawie pół butelki brandy, napełniała kieliszek nawet wtedy, gdy gospodyni z głową wyraźnie chwiejącą się na boki stopniowo traciła kontakt z rzeczywistością. W świetle tego, czego dowiedziała się o stanie jej zdrowia - Bóg jeden wie, jakie leki przyjmuje, a przecież mogą to być środki, których nie wolno łączyć z alkoholem! - coraz bardziej zaczyna jej dokuczać poczucie winy.

A jeśli ją otrułaś?

Wykluczone.

Zwyczajnie zamordowałaś?

Zamknij się!

Zmniejszywszy do minimum światło latarki, pochyła się nad łóżkiem i przybliży policzek do ust śpiącej Niemki. Czuje na skórze wyraźne muśnięcie jej oddechu ostro cuchnącego alkoholem, ale ciepłego i rytmicznego, bez odoru wymiocin, nieniosącego żadnych niepokojących odgłosów z płuc.

- Ilse. Frau Grober - odzywa się cicho, kładąc jej rękę na czole i przytykając palce do szyi, żeby wyczuć puls.

Gospodyni ma skórę lekko wilgotną, a tętno trochę za słabe, brak jednak drgań gałek ocznych, należy zatem wnioskować, że znajduje się w stadium głębokiego snu pozbawionego sennych marzeń, kiedy to u każdego człowieka spada tętno i nieznacznie obniża się temperatura ciała.

Albo zapadła w śpiączkę.

Zamknij się wreszcie!

Grace siada na brzegu łóżka i zaczyna gładzić Ilse po policzku, jakby miała do czynienia ze śpiącym dzieckiem.

- *Frau Grober, wachen Sie auf, bitte* - Proszę się obudzić. Lecz Ilse tylko nieznacznie się porusza.

Przychodzi jej na myśl ojciec, który leży teraz w szpitalu otoczony czarnymi skrzynkami aparatury dostarczającej jedynych dowodów tłącego się w nim życia.

Pospiesznie unosi dłoń Niemki i szybko odwraca wewnętrzną stroną ku sobie, ale nie musi nawet szukać pulsu, gdyż pod pergaminową skórą wyraźnie widać rytmicznie pulsującą niebieskawą żyłkę.

Obudź się, do diabła! Musisz się obudzić!

- *Sie müssen aufwachen* - dolatuje do Fellowesa, który z ukrycia w przedpokoju obserwuje Kocimiętkę, ale nie rozumie ani słowa po niemiecku.

Powoli wodzi światłem promiennika podczerwieni swoich gogli noktowizyjnych po sylwetce Flint, sycąc oczy krągłością jej bioder oraz piersi i znów pogrążając się w swoich fantazjach, które musi skrzątnie ukrywać przed psychologami z MI6.

„Powinieneś raczej zapytać, jak nie lubi”, powraca w jego myślach ironiczna odpowiedź Mandragory.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Biało-zielona furgonetka policyjna z masywnymi kratami w oknach, zdolnymi oprzeć się gwałtownym atakom rozwścieżonego tłumu, blokuje cały zachodni pas Karl-Heine-Strasse, jej migające światła odbijają się w oknach domu Ilse. Osłupiały Feliks Hartmann ostro hamuje przy krawężniku, wyskakuje z auta i rusza biegiem w kierunku drzwi, trzymając w wyciągniętym ręku przed sobą służbową legitymację BND niczym tarczę mającą go uchronić przed zatrzymaniem przez gliniarzy. Na frontowym podwórku kręci się ich sporo, w kamizelkach kuloodpornych i spodniach polowych mundurów luźno wetkniętych za cholewy wysokich butów, z pełnym uzbrojeniem przy błyszczących lakierowanych pasach. Usuwają mu się z drogi, choć z wyraźną niechęcią, widocznie przekonani, że oficer wywiadu nie ma nic do roboty na miejscu przestępstwa.

W ogrodzie stoją trzy spalinowe generatory prądu, po alejkach wiją się kable zasilania, dzięki czemu wewnątrz domu rozjaśniają mocne jupitery, jakby trwały tam zdjęcia do jakiegoś filmu. Hartmann natychmiast zauważa Schnella krążącego nerwowo po saloniku i

rozmawiającego przez telefon komórkowy, prawdopodobnie z kimś z Pullach. W upiornym blasku reflektorów jego twarz wygląda jak pobielona wapnem.

Rzuca mu się w oczy wyłamane okno i odłamki szkła na podłodze, ewidentne dowody włamania. Na resztkach wybitej szyby widać jeszcze kawałki szerokiej taśmy samoprzylepnej, która umożliwiła włamywaczowi jej rozbicie jednym silnym uderzeniem. To prymitywny, ale skuteczny sposób. Przez dziurę łatwo było wsunąć do środka rękę i otworzyć okno, lecz na parapecie został wyraźny odcisk buta, którego technicy z dochodzeniówki nie zdążyli jeszcze zabezpieczyć. Czy Flint usłyszała brzęk wybitej szyby i przybiegła do saloniku? Feliks zaczyna gorączkowo szukać wzrokiem śladów krwi na dywanie, ale nigdzie ich nie ma.

Zauważywszy go, doktor Schnell, nie przerywając rozmowy telefonicznej, unosi brwi i ruchem głowy wskazuje wybite okno, jakby chciał zapytać: „Możesz w to uwierzyć?”. Widocznie domaga się czegoś od centrali i napotyka kłopoty, gdyż powtarza z naciskiem:

- *Nein, nein! Uberlassen Sie Ridout mir.*

Zatem chce, by zostawić jemu Ridouta. Od dawna czekał na podobną okazję do osobistego rewanzu.

Pojawiają się dwaj sanitariusze z noszami, którzy przechodzą korytarzem i znikają za zakrętem korytarza prowadzącym do sypialni Ilse. Nie spieszy im się, w końcu mają tylko zabrać stąd zwłoki.

Schnell zasłania dłońią mikrofon aparatu i mówi półgłosem:

- Feliks, to jeszcze trochę potrwa. Idź do niej, proszę. Jest na górze.

Flint leży na łóżku na tyle wąskim, że trudno je nazwać małżeńskim. Sprawia wrażenie wycieńczonej, jest bardzo blada, choć niewiele ma to wspólnego z nienaturalnym jarzeniowym oświetleniem awaryjnym. Lewą rękę ma grubo zabandażowaną a rozległa brunatna plama na bandażu świadczy wyraźnie, że krwawienie nie ustało.

- Trzeba ci zaszyć ranę, Grace - mówi Hartmann. - Powinnaś jechać do szpitala.

Odpowiada bladym uśmiechem i lekko klepie dłońią pościel, jakby chciała udowodnić, że rozcięcie wcale jej nie boli.

- Usiądź przy mnie, proszę. - Odsuwa się nieco, robiąc mu miejsce. - Bałam się, że ją zabiłam.

- Kogo?

- Ilse. Bez umiaru pompowałam w nią brandy, żeby zaczęła gadać, a potem naszły mnie obawy, że przesadziłam. Nie mogłam jej dobudzić. Chciałam już dzwonić po karetkę, lecz okazało się, że telefon w jej pokoju nie działa. Ruszyłam więc na górę, żeby zadzwonić z

mojej komórki, kiedy ten łobuz na mnie skoczył. - Mówi bardzo szybko i chaotycznie, zlewając ze sobą słowa. - Złapał mnie od tyłu, w korytarzu, zaraz za drzwiami sypialni. Zakrył mi usta, a drugą ręką chwycił przez piersi i próbował powalić, wpychając mi kolano w plecy. Ale ugryzłam go w palec, aż zawył z bólu, a gdy mnie puścił, odwróciłam się szybko i kopnęłam go w jaja. Chciałam kopnąć jeszcze raz, lecz złapał mnie za nogę, powalił na podłogę i zwałił się na mnie całym ciężarem. Nie miałam jak sięgnąć do kieszeni po pojemnik z gazem. Chciałam mu wbić palce w oczy, ale miał na głowie gogle noktowizyjne, co oznaczało, że mógł mnie świetnie widzieć, a ja jego nie, bo gdy na mnie skoczył, upuściłam latarkę...

- Grace - przerywa jej Hartmann. - Wolniej trochę.

- Przepraszam. Chyba masz rację z tym szpitalem. Ale zanim pojedę, musisz wiedzieć, co mi powiedział. Na temat Bena.

Flint krzywi się z bólu.

- Słucham.

- Na czym skończyłam? Aha, więc leżałam na podłodze, przygwożdżona jego ciężarem, i próbowałam mu sięgnąć do oczu, co było niewykonalne. W końcu skrzyżował mi dłonie i też je przygwoździł do podłogi nad głową, jedną ręką i... Chryste, był bardzo silny... przekonałam się wtedy, że jest podniecony, całkiem dosłownie, wyczuwałam to bez trudu... Dlatego przestałam się szarpać, żeby pomyślał, że się poddam, a on się pochylił, żeby mnie pocałować. Wtedy złapałam go zębami za dolną wargę i... - Wyszczorza zęby, kłapie nimi i szarpie w bok głową, żeby zademonstrować swoje zmagania. - Próbował się ode mnie uwolnić, lecz zagryzałam zęby z całej siły. Jak Syriusz. Jakbym chciała mu odgryźć wargę...

- Jaki Syriusz?

- Pies z Miller's Reach. Kiedy zjawili się ci fałszywi agenci z urzędu skarbowego... - Flint urywa nagle, gdyż ból coraz mocniej daje się jej we znaki. Szybko dochodzi do wniosku, że nie ma czasu, by opowiadać o Syriuszu. - Mniejsza z tym.

W każdym razie wgryzłam mu się w wargę jak wściekły pies, bo na nic więcej nie było mnie stać. Kiedy próbował się wyprostować, pociągnął mnie za sobą. Wtedy sięgnęłam po pistolet, który mi dałeś, ale okazało się, że kabura jest pusta. Musiał wypaść, kiedy ten łobuz mnie powalił... - Z trudem łapie głębszy oddech. - Feliks, Ben pracował dla przekłętego MI6.

Hartmann przygląda jej się w milczeniu, jakby nie mógł w to uwierzyć.

- On sam mi to powiedział, kiedy zaczął mi urągać. Warknął: „Mandragora mówił, że lubisz się pieprzyć”. Dosłownie tak powiedział.

- Ty suko! Pieprzona suko! - Wciąż ma w uszach jego słowa, niezbyt wyraźne z powodu silnie krwawiącej wargi, padające z korytarza, gdy ona już pędzi schodami na górę. - Mandragora mówił, że lubisz się pieprzyć! Ale na pewno jeszcze nie próbowałaś porządnego pieprzenia!

Grace, uciekająca po omacku, uderza ramieniem o ścianę korytarza na piętrze. Ścigający ją agent wciąż ma tę przewagę, że wszystko widzi w goglach noktowizyjnych.

- Zaraz cię tak wypieprzę, że zdechniesz! Hartmann z niedowierzaniem kręci głową.

- Grace, proszę. To się kupy nie trzyma. Kim jest Mandragora?

- Kim jest Mandragora?

Teraz już ona ma gogle noktowizyjne na głowie, a on nic nie widzi w mrocznym korytarzu. Leży na podłodze przed drzwiami pokoju Karla Grobera, z twarzą zalaną krwią, niemal czarną w świetle podczerwonym. Lufę kałasznikowa ma podetkniętą pod gardło, przez co nie odważa się nawet drgnąć.

- Twoim pieprzonym mężem!

- To Ben. Taki ma pseudonim. Wszystko pasuje, nie rozumiesz? Ridout zawsze wybiera na pseudonimy nazwy roślin. Otto mówił, że to jego konik.

- To prawda - przyznaje stojący w drzwiach doktor Schnell. Na jego widok Hartmann, niczym młody rekrut, błyskawicznie podrywa się na nogi. - Mimowolnie słyszałem ostatnie słowa - wyjaśnia Niemiec, ruchem głowy nakazując podwładnemu, by usiadł z powrotem na brzegu łóżka, do którego przysuwa krzesło i siada na nim. - Jak się czujesz, moja droga?

- Nieszczególnie.

Schnell wyrozumiale kiwa głową.

- Nasz lekarz jest już w drodze.

- Co z Ilse?

- Jest bezgranicznie oszołomiona. - Uśmiecha się ironicznie. - Moim zdaniem ma gigantycznego kaca, ale poza tym... Ją również zbada lekarz, ale najpierw zajmie się tobą. Widzę, Feliksie, że ty także nie możesz się w tym wszystkim połapać.

- To prawda - mówi Hartmann. - Czuję się skołowany.

- Może w takim razie ja coś wyjaśnię. Mandragora to roślina znana z odrażającego odoru, przez co wydaje się nadzwyczaj stosownym pseudonimem dla kogoś takiego jak Ben. - Schnell zerka na Grace. - Wybacz mi tę brutalną szczerłość.

Flint krzywi się z niesmakiem.

- Nie mam nic przeciwko temu. - Zastanawia mnie jednak... - Otto w zamyśleniu skubie brodę - ...czy Ridout także dostrzegął ironię, wybierając taki pseudonim. Kiedy odbył się wasz ślub, Grace? W jakim miesiącu? Nie był to przypadkiem maj?

- Owszem, maj dwutysięcznego roku.

- No, właśnie. Teraz już sobie przypominam. Otóż w Stanach Zjednoczonych mandragora jest też niekiedy nazywana „majowym jabłkiem”. Pomijam już fakt, że taki sam tytuł nosi sztuka, po włosku *Mandragola*, napisana... przez kogo, jak nie samego Machiavellego? Rozumiecie już, do czego zmierzam?

- Oczywiście - odpowiada Flint.

- Błagam, Grace - odzywa się Hartmann. - Możecie mi wreszcie wyjaśnić, co tu się stało?

- Co się stało? Rzucił we mnie nożem! Nie widziałam tego, tylko usłyszałam. Zrobiłam unik i padłam na podłogę. Próbowałam go odnaleźć, ale w tych ciemnościach nie było łatwo. A gdy go w końcu wymacałam, chciałam wyciągnąć z framugi, w którą się wbił głęboko, lecz tylko rozcięłam sobie rękę. -

Unosi ją nieco, pokazując przesiąknięty krwią bandaż. - Na szczęście pokój Karla przypomina zbrojownię Stasi, dlatego...

- Pokój Karla?

- Na górze, nad nami. - Flint wskazuje palcem sufit.

- Przecież powiedziałaś, że byłaś na dole!

- Zgadza się. Może faktycznie warto przewinać taśmę i zacząć od początku.

Schnell chichocze krótko.

- Sam chciałbym zobaczyć to nagranie. Obejrzałbym je z wielką przyjemnością. Pewnie dostarczyłoby świetnego materiału szkoleniowego dla twoich przyjaciół z Quantico i stało się podstawą do wprowadzenia zmian w programie szkolenia. Chociaż... - spogląda z uśmiechem na Hartmanna - ...nie wiem, czy znalazłby się ochotnik do odegrania roli napastnika. Może ty byś się zgłosił, Feliksie?

Oczy Flint przesłania mgłą, widok zaczyna jej się rozmywać, aż nachodzą ją obawy, że może stracić przytomność. Mruga szybko i potrząsa głową, żeby odzyskać jasność widzenia, i ciągnie dalej:

- W porządku, posłuchaj, Feliksie. Byłam w korytarzu na dole, tuż przed drzwiami sypialni Ilse, i wgrzyzałam się w jego wargę. Próbował mnie walnąć w głowę, ale niezbyt mu to wychodziło, nie mógł wziąć porządnego zamachu, bo byłam za blisko. Więc huknęłam go w skroń i wpackowałam mu kolano między nogi. - Język jej się trochę płacze, mówi

niewyraźnie, dlatego coraz bardziej się spieszy. - Stracił równowagę, poleciał do tyłu i pociągnął mnie za sobą. Znalazłam się na nim i wymierzyłam mu następny cios kolanem. Musiał go niezłe odczuć, bo zauważyłam, że już nie jest podniecony. Rzekłabym, że wręcz przeciwnie. - To wspomnienie przywodzi jej na myśl krasnala stojącego w pokoju Karla z rozpiętym rozporkiem. Przerywa opowieść i zwraca się do Schnella: - Widział pan, co Ilse zrobiła Karlowi? A raczej co pragnęłaby zrobić? - Niemiec z uśmiechem podnosi rękę, dając do zrozumienia, że tam był. Hartmann spogląda na nich w osłupieniu. - Wybacz, Feliksie. Sam się przekonasz, jak pójdziesz na górę. W każdym razie...

Obaj czekają cierpliwie, aż Grace zbierze myśli.

- Szczęki mnie rozboleły i musiałam zwolnić uścisk. Odkoczył ode mnie, zaczął wrzeszczeć i pluć krwią. Poczułam jej smak na języku. Zrozumiałam, że muszę uciekać. Znów sięgnęłam do gogli i zerwałam mu je z głowy, żeby mnie nie widział, ale złapał mnie za krocze. Przyłożyłam mu pięścią i wtedy je zgubiłam. Kopnęłam na oślep, aby musiał ich szukać, odwróciłam się i rzuciłam do ucieczki. Raz i drugi wpadłam na ścianę, lecz miałam tę przewagę, że znałam już rozkład domu, a on nie, no i wiedziałam, dokąd biec, oczywiście do pokoju Karla bo jak już mówiłam, jest tam wystarczająco dużo broni, żeby rozpętać wojnę. Wiedziałam, że jeśli nie dam rady się tam dostać, to się gdzieś zaczaję i potraktuję go gazem łzawiącym. Nie miałam tylko pojęcia, czy zdołam go w ten sposób powstrzymać. Miał rozciętą wargę, był obolały i kierowała nim bezgraniczna wściekłość. Zaczął wrzeszczeć za mną rzucać najgorszymi wyzwiskami, co tylko działało na moją korzyść, bo niepotrzebnie tracił energię, a poza tym dawał mi znać, jak daleko jest za mną. - Urywa nagle, jakby straciła wątek, ale zaraz dodaje ciszej: - Prawdę mówiąc, deptał mi po piętach.

Pędzi na oślep schodami na górę, ścigana nieprzerwaną falą wulgarnych wyzwisk, które wciąż przybierają na sile. Dopada drzwi na szczycie schodów, ale nie może wymacać zasuwki. Tuż za sobą słyszy jego głośny tupot. Boi się, że lada chwila znów poczuje na sobie jego łapska, które pociągną ją na dół. Wie, że gdyby tylko odzyskała klarowność myśli i odegnała śmiertelne przerażenie, natychmiast by sobie przypomniała, gdzie jest ta przeklęta zasuwka.

Skoncentruj się, do jasnej cholery!

Odnajduje ją w końcu, gwałtownie otwiera drzwi, wypada na korytarz i zatrzaskuje drzwi za sobą. Pewnie byłaby to zwykła strata czasu, gdyby w jej głowie nie zrodził się desperacki pomysł zatrzymania napastnika. Odwraca się więc na pięcie, staje twarzą do drzwi, na wyciągnięcie ręki od nich, i gdy tylko słyszy ciche skrzywienie naciskanej klamki i szelest uchylanych drzwi, ze wszystkich sił, jakich dodało jej przerażenie, wymierza

solidnego kopniaka z półobrotu na wysokość ludzkiej piersi. Rozlega się trzask wyłamywanej płyty w drzwiach, chwilę później stłumiony huk uderzenia, gardłowy wrzask i głuchoe odgłosy ciała staczającego się po schodach.

Rusza pędem ku końcowi korytarza, w stronę pokoju Karla, ciągnąc dłonią po ścianie. Wpada do środka i zaczyna szukać po omacku. Trafia na krasnalą, przebranego za Grobera, ale nie o niego mu chodzi. Mija go, wymacuje pierwszego z osobistej straży, potem drugiego i trzeciego. Przeciąga rękoma po jego sylwetce, niemal z lubością kochanki, trafia na pasek na ramieniu, posuwa się wzdłuż niego i wreszcie zaciska palce na kolbie kałasznikowa. Dobry Boże! Oby tylko był naładowany! Wyciąga magazynek i wyczuwa pod palcami tkwiące wewnątrz naboje. W tym momencie jest niemal gotowa wszystko wybaczyć Karlowi Groberowi.

- Z powodu broni straciłam czujność, poczułam się zbyt pewnie - tłumaczy Feliksowi, który przygląda się jej uważnie z dziwną miną, której Grace nie może przeniknąć. - W paru susach wyskoczyłam z powrotem na korytarz, zakładając, że on nadal leży na podeście schodów. Dobrze wiesz, ile warte są takie założenia. Czekał na mnie w korytarzu. Bardziej to wyczułam, niż usłyszałam jego ruch. Chciałam się błyskawicznie odwrócić, ale zaczęłam nogą o nogę i omal nie upadłam. Dzięki Bogu, bo w tej samej chwili coś ze świstem przeleciało tuż obok mojej głowy i z hukiem wbiło się w futrynę drzwi. A ja, jak ostatnia idiotka, sięgnęłam po to i odruchowo zacisnęłam palce. - Zdrową ręką stuka się w głowę, chcąc dać do zrozumienia, że naprawdę straciła rozum. - Okazało się, że to nóż bez rękojeści, z obustronnym ostrzem, tak ostry, że można by nim kroić szkło. Czemu sięgnęłam po ten nóż, Feliksie? Dlaczego nie zaczęłam od razu strzelać? Przecież ciebie od razu postrzeliłam, nie wiedząc nawet, do kogo mierzę.

Tym razem Schnell zerka na swego podwładnego ze zdumioną miną.

- To nic wielkiego. Zdarzył się drobny wypadek - wyjaśnia pospiesznie Hartmann.

- Dopiero wtedy nacisnęłam spust, celując nieco w bok, a nie w to miejsce, gdzie stał. Miał to być strzał ostrzegawczy, lecz nigdy przedtem nie strzelałam z kałasznikowa i nie wiedziałam, że jest ustawiony na ogień ciągły. Wydawało mi się, że tylko na krótko nacisnęłam spust, ale musiałam w tej pierwszej serii opróżnić z pół magazynka.

- To całkiem prawdopodobne - wtrąca szybko Hartmann. - Typowy magazynek kałasznikowa nie jest zbyt pojemny.

- Nieważne. W każdym razie rozległa się ogłuszająca seria wystrzałów. Byłam chyba bardziej wystraszona niż on.

- Stój! Nie strzelaj! - krzyczy niewyraźnie napastnik z przegryzioną wargą.

- Na kolana! Ściągnij gogle i rzuć mi je. Natychmiast, bo przysięgam...

Grace kuca, unosząc karabin na wysokość pasa. Mierzy nisko i wodzi lufą od jednej ściany do drugiej, żeby mieć w polu ostrzału całą szerokość korytarza. Wytęża słuch.

- Masz dwie sekundy. Potem zaczynam strzelać.

Rozlega się stuk i coś pada na podłogę u jej stóp. Odruchowo chce natychmiast sięgnąć po gogle zdrową lewą ręką, palec prawej bez przerwy trzymając na spuście, ale ma wrażenie, jakby ktoś przykleił jej ramię do boku, skóra na żebrach dziwnie jej się naciąga, gdy próbuje odsunąć rękę w bok.

- Nie ruszaj się. Nie waż się choćby drgnąć.

- Nawet gdybym chciał, to nie dam rady. Złamałaś mi nogę, do cholery.

Grace mu nie wierzy, ale ma tylko dwa wyjścia do wyboru: albo wystrzelać na oślep resztę magazynka, albo zaryzykować i zdjąć palec ze spustu. Szybko! Opada na kolana i przeciąga ręką po podłodze przed sobą, wychylając się tak daleko, jak tylko starcza jej odwagi, najpierw na prawo, potem na lewo - w dodatku ma świadomość rosnącego zagrożenia, gdyż w tej pozycji, przy tak głębokim pochyleniu, czuje się niemal całkiem bezbronna. Najlepiej byłoby na chwilę odłożyć karabin, oprzeć się na lewym ręku i wyciągnąć prawą...

Wreszcie trafia czubkami palców na gogle, przyciąga je błyskawicznie i wkłada na głowę, niezdarnie naciągając elastyczny pasek. I oto, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jakby w mrocznej głębinie mętnej wody ktoś nagle zapalił reflektor, wnętrze korytarza ukazuje się jej przed oczyma w opalizującej poświacie. Po chwili, gdy oczy przywykają do nienaturalnego blasku, nakierowuje niewidzialne światło promiennika podczerwieni na człowieka na wpeł leżącego na podłodze, opartego plecami o ścianę nie dalej niż pięć metrów od niej. W pierwszej chwili nie może uwierzyć w efekt działania swoich zębów widoczny na jego dolnej wardze. Zaraz też dostrzega, że prawa noga napastnika jest wygięta pod dziwnym kątem.

- Musiał dostać rykoszetem od ściany - wyjaśnia powoli, jak gdyby z niechęcią wkraczała w finał opowieści. - Od bezpośredniego trafienia znacznie silniej by krwawił. Niemniej kula roztrzaskała mu rzepekę kolanową. - Milknie na chwilę, po czym dodaje ciszej: - Na jakiś czas będzie musiał zrezygnować z joggingu.

Hartmann i Schnell milkną. Obaj siedzą usztywnieni, niczym księża w konfesjonale, czekając na ostatnią część spowiedzi.

- Cholernie musiało go to boleć. Oczywiście, starał się niczego po sobie nie okazywać, ale łatwo domyśliłam się prawdy.

- Bardzo boli? - pyta, stając nad nim, choć nawet bez cienia żalu w głosie. - Potrafisz sobie wyobrazić jeszcze gorsze cierpienia?

- Zrozumiałam wtedy, że nie mam czasu. Wasi obserwatorzy musieli usłyszeć strzały, bo z dołu doleciał wyraźny odgłos wyważanych drzwi frontowych. Ja zaś musiałam się dowiedzieć prawdy. Zapytać go o Bena.

- Więc ten Mandragora, mój pieprzony mąż, jak się wyraziłeś, jest twoim dobrym znajomym? Pracuje razem z tobą dla MI6?

- Pieprz się!

- Mierzyłam mu z kałasznikowa w gardło, ale musiał dobrze wiedzieć, że go nie zastrzelę. Sami rozumiecie, że nie mogłam tego zrobić, bo wasza kawaleria była już blisko. Poza tym od trupa niczego bym się nie dowiedziała, nie było więc dalej sensu grozić mu karabinem. Musiałam znaleźć inny sposób.

- Jeśli mi nie powiesz, dam ci posmakować prawdziwego bólu.

Grace wciąż ma w uszach jego dzikie wrzaski i błagalne prośby, żeby przestała.

- Nie miałam wyboru. Nie zostawił mi go.

Milknę na dobre, jakby powiedziała już wszystko, co było do powiedzenia.

- O co chodzi? - zwraca się do Hartmanna, który spogląda na nią z coraz większym osłupieniem, szeroko rozwartymi oczami. - Co ty byś zrobił na moim miejscu? Naprawdę nie miałam wyboru.

- Więc co zrobiłaś, Grace?

Flint krzywi się, chcąc dać mu do zrozumienia, że nie powinien pytać wprost o to, co oczywiste.

- Nadepnęłam mu na postrzelone kolano.

WYSPA KORCULA, CHORWACJA

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Tego wieczoru brat Ilse jest dziwnie niespokojny.

Mgła nadciągająca znad Kanału Korculańskiego przesłania nie tylko światła niezbyt odległego półwyspu Peljesac, lecz nawet molo znajdującego się kilkadziesiąt metrów niżej od balkonu sypialni, na którym siedzi Karl Grober, wsłuchując się w stłumione głosy tak samo niewidocznych strażników z nocnej zmiany. Pali jednego papierosa za drugim, odtwarzając w pamięci rozmowę, która przyprawiła go o wściekłość. Krol zadzwonił z Lipska niezabezpieczoną linią telefoniczną, żeby wytłumaczyć swoje niepowodzenia.

- Minęli się z nim. O godzinę.
- Minęli się?
- Wyszedł z hotelu godzinę przed ich przyjazdem.
- Jak to możliwe, Krol? Zapewniałeś mnie, że macie hotel pod stałą obserwacją.
- Prawdopodobnie skorzystał ze schodów pożarowych.
- Prawdopodobnie? Więc schody pożarowe nie były pod obserwacją?
- Nie. Mówią, że nic nie wskazywało na to, by spodziewał się gości.

Grober pstryknięciem posyła niedopałek papierosa za poręcz balkonu. Gdyby teraz Krol był obok niego, pewnie tak samo wyleciałby za poręcz.

- Więc co dalej?
- Niewykluczone, że wyruszył z Dublina do Francji.
- Niewykluczone? Tysięcy rzeczy nie da się wykluczyć, Krol.
- Jest bardzo prawdopodobne. Zostawił mi instrukcje, by przelać pieniądze na jego konto w Bordeaux. A nasi przyjaciele z Dublina widzieli człowieka odpowiadającego jego rysopisowi na promie do Cherbourga, który wypłynął z Irlandii w sobotę wieczorem. Dzwoniłem już do...

- Tylko bez nazwisk!
- Dzwoniłem do naszych przyjaciół z Francji. Będą go szukać w Bordeaux.
- A kiedy go znajdą, jeśli to w ogóle możliwe, będą wiedzieli, że trzeba objąć obserwacją także schody pożarowe?
- Osobiście tego dopilnuję.
- Mam nadzieję. Co u Ilse?

- Nic nowego. Nadal nie odpowiada na moje listy, a nie mogę do niej zadzwonić, bo jestem prawie pewien, że ma aparat na podsłuchu.

- To musisz znaleźć jakiś inny sposób nawiązania kontaktu.

- Jaki?

- Rusz głową, Krol. Zapłacę ci za konkrety. Inaczej nie dostaniesz ani grosza.

Grober jest coraz bardziej przekonany, że otaczają go sami idioci. Nawet Sabine ostatnio zatraciła czujność. Za dużo pije i każdego wieczoru zwala się nieprzytomna do łóżka, nie można z nią nawet porozmawiać. A kiedy zwraca jej uwagę, zaczyna obwiniać go za wszystko, głównie za to, że skazał ją na przeraźliwą nudę w tym domu, w którym ona czuje się jak w więzieniu. Coraz częściej przestaje jej wystarczać jedna butelka wyśmienitego białego wina korculańskiego na dzień. Zasypia kamiennym snem, nawet teraz słyszy na balkonie jej głośnie chrapanie, chociaż drzwi do sypialni są z grubego szkła kuloodpornego.

Obiecał jej, że za kilka dni wyjadą z wyspy. Zawsze traktował dom na Korculi jako tymczasowe schronienie. Jeszcze na długo przed tym, nim Mandragora wystąpił ze swymi idiotycznymi żądaniami, Grober załatwił jemu i Sabine fałszywe dokumenty oraz przygotował wszystko, by sfingować ich śmierć, żeby mogli spokojnie zacząć w Brazylii nowe życie, nienękani przez nikogo. Włożył wiele wysiłku, aby zaplanować pozorowany śmiertelny wypadek, który będzie przekonywający. Teraz jednak dochodzi do wniosku, że jeśli nic się nie zmieni, śmierć Sabine wcale nie musi być sfingowana.

Niezależnie od tego, Mandragora musi umrzeć, jeszcze zanim on wyjedzie z Korculi. Po prostu nie wyobraża sobie, by mógł puścić płazem bezczelność agenta. Jeśli nie będzie mógł w pełni polegać na Krolu, sam się tym zajmie.

Z tym postanowieniem wstaje z krzesła i otwiera drzwi sypialni.

Cała Villa Dora, ogrodzona wysokim parkanem, stojąca na szczycie klifu nad Kanałem Korculańskim, jest nowa, zbudowana w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym. Tylko piwnica, w której Grober umieścił swoją centralę łączności, oraz fundamenty domu pochodzą jeszcze ze średniowiecza. Kiedyś stanowiły fragment murów obronnych niewielkiej twierdzy, podobnie jak wykuty w skałach tunel prowadzący na drugą stronę wzniesienia, do wyjścia ukrytego w gęstej kępie pinii. Kamienne schody prowadzą stamtąd w głąb jaskini na poziomie morza, z której łatwo przedostać się łodzią na sąsiedni półwysep. Według Grobera tunel zapewniający mieszkańcom twierdzy drogę ucieczki z wyspy pochodzi z okresu, gdy okoliczną ludność nękali piraci. W każdym razie i on zamierza skorzystać z tej drogi ucieczki, gdyby zaszła konieczność szybkiego opuszczenia Korculi. Podłożone ładunki

wybuchowe i detonator ukryty w tunelu posłużą mu do tego, by zrównać z ziemią Villa Dora i zabić każdego, kto się w niej znajdzie.

Najpierw musi jednak mieć pewność, że Mandragora nie żyje.

Wielkie szerokie dłonie nie pozwalają mu szybko pisać na małej klawiaturze laptopa. Musi więc wystukiwać wiadomość jednym palcem, a ponieważ Fabien, odbiorca z Marsylii, nie zna niemieckiego, on zaś bardzo słabo zna francuski, musi pisać po angielsku, co dodatkowo utrudnia mu zadanie. Dopiero po godzinie wstępna wersja jest gotowa, a potrzeba jeszcze następnej godziny, by nanieść poprawki i sformatować tekst. Kiedy wreszcie kończy pisanie listu będącego w gruncie rzeczy wyrokiem na Mandragorę, zawierającym różnorodne szczegóły mogące dopomóc w jego odnalezieniu, pieczołowicie dołącza do niego cały zestaw zeskanowanych zdjęć Bena Gatesa i jego żony, które żona Krola zabrała z Miller's Reach.

Wreszcie podłącza modem laptopa do telefonu satelitarnego za pośrednictwem urzędnika szyfrującego, dzięki któremu będzie mógł bezpiecznie przesłać do adresata wyrok śmierci na Mandragorę. Ma nadzieję, że nazajutrz rano uzyska z Marsylii potwierdzenie przyjęcia zlecenia, gdyż nie ma najmniejszych wątpliwości, że zostanie ono przyjęte. Organizacja Fabiena nadzwyczaj skutecznie wykonuje indywidualne wyroki za sto tysięcy dolarów. Dla zachęty wcześniej wyznaczył dziesięciokrotnie wyższą nagrodę za głowę Mandragory, ponieważ i tak stanowi to zaledwie część sumy, jakiej agent zażądał od niego za swe usługi.

Wciąż odczuwając niepokój, otwiera masywne drewniane drzwi piwnicy i z pochyloną nisko głową wchodzi do tunelu, w którym są rozmieszczone ładunki wybuchowe zrobione z mieszaniny RDX, TNT i substancji plastycznej. Z przygotowanego na wszelki wypadek ekwipunku wyjmuje silną latarkę i zapaliwszy ją, wolno posuwa się dalej. W kilku miejscach na zakrętach tunel jest tak niski, że trzeba go pokonywać na czworakach, gdzie indziej znacznie się zwęża, co zmusza do przesuwania się bokiem, z wyprostowanymi ramionami i wciągniętym brzuchem. Mimo to parę razy udało mu się dotrzeć na drugą stronę wzniesienia w ciągu pięciu minut, a kolejne dwie zajmowało zejście po schodach do jaskini, gdzie pod stertą starych płyt sklejk jest ukryty ponton z doczepnym silnikiem marki Zephyr. Dzięki takim próbom oszacował, że dziesięciominutowe opóźnienie detonatorów zegarowych powinno mu zezwolić na całkowicie bezpieczną ucieczkę.

Dzisiaj, jak czynił to już wielokrotnie, dochodzi jedynie do wylotu tunelu w kępie pinii rosnących na szczycie klifu. Wyłania się spomiędzy drzew i spogląda na gęstą mgłę przesłaniającą widok półwyspu leżącego po drugiej stronie przesmyku, która jednakże nie

tlumi dolatujących stamtąd odgłosów. A niosące się nad wodą wycie szakali wyruszających na łowy działa kojąco na jego napięte nerwy.

RUNDE ECKE

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Nigel Ridout ani trochę nie sprawiał wrażenia rozdrażnionego, kiedy doktor Schnell zadzwonił do niego o piątej rano i bez podania przyczyn zażądał natychmiastowego spotkania.

- Jak zawsze z przyjemnością - odparł - jeśli tylko dojdzie do niego na gruncie neutralnym.

Do celów tego spotkania - konfrontacji, jak sam mówi - doktor Schnell wykorzystał swoje wpływy, by zdobyć klucze od byłej kwatery głównej Stasi, gdzie teraz siedzi w niewielkim gabinecie, czekając na przybycie Ridouta. Flint nerwowo krąży po korytarzach Runde Ecke, podziwiając zdumiewające eksponaty. Głębokie rozcięcie lewej dłoni, które zostało zszyte, zdezynfekowane i opatrzone, boli jak diabli.

Wchodzi do pokoju będącego dokładną kopią sali, w której niegdyś fotografowano zatrzymanych starym aparatem skrzynkowym, i przymierza się do wąskiego drewnianego krzeselka wyszlizganego pośladkami niezliczonych aresztantów. Przez otwarte drzwi sąsiedniego pomieszczenia widać generator pary służący do otwierania kontrolowanych listów. Podejrzewa, że gdy Mandragora - bo już nie potrafi o nim myśleć jak o Benie - po kryjomu otwierał jej korespondencję, wykorzystywał strumień pary wydobywający się z dzióbka czajnika.

- Jakie miał zadanie?

- Szpiegować cię - odparł Nick Fellowes, sepleniący z powodu silnie krwawiącej wargi.

- Po co? Na jakich informacjach zależało Ridoutowi?

- Na wszystkich.

Dokładnie taki sam cel przyświecał robactwu pracującemu w tym budynku, stąd też w jej świadomości nic nie różni zastępów Stasi od mrocznych sił MI6, najwyżej skala działania. Podczas gdy niemieccy tajniacy zmuszali mężów do szpiegowania żon, Ridout w tym samym celu od podstaw stworzył jej męża, sfabrykował go, zaopatrzył w fikcyjną przeszłość i wysłał

na ulicę, aby omotał ją niczym dziwka wabiąca klienta. Stąd też uważa Anglika bardziej za odrażającego alfonsa niż nadzorcę tajnych agentów.

- Musisz mi jedno obiecać, Grace - powiedział Schnell, zanim wyraził zgodę na jej obecność w czasie tego spotkania. - Będziesz się zachowywać porządnie. Mówiąc obrazowo, nie nadepniesz Ridoutowi na przestrelone kolano.

Obiecała siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, lecz wcale nie ma pewności, czy zdoła dotrzymać obietnicy. Otto zagląda do pokoju i mówi:

- Już czas. Ridout będzie za chwilę.

Flint, nie ruszając się z krzeselka przed starym aparatem, odpowiada:

- Może lepiej zostanę tutaj.

Przez cienką ścianę z sąsiedniego pokoju dolatuje gwar głosów, powitanie i obcesowe uprzejmości.

- Miło znów cię widzieć, Otto, stary kumplu.

- Sporo czasu upłynęło, Nigel.

- Ileż to? Trzy, cztery lata? Po raz ostatni widzieliśmy się w Wiedniu, prawda?

- Chyba w Sztokholmie.

- Tak, masz rację. A więc...

Rozlega się szuranie krzeseł o żelaznych nóżkach po linoleum leżącym na podłodze.

- Jesteśmy sami?

- Nie - odpowiada szczerze Niemiec. - Mój kolega czeka w sąsiednim pokoju.

- Ach, rozumiem. Tak podejrzewałem, że nie będziesz sam. W takim razie niech moja dziewczyna się trochę rozejrzy. Chyba nie masz nic przeciwko temu, prawda? Mam nadzieję, że twoja dziewczyna nie nagrywa tej rozmowy, nie ma przy sobie nadajnika. - Ridout rozkazuje podniesionym głosem: - Zajrzyj tam, Stephanie. Bądź łaskawa to sprawdzić.

Agentka staje w otwartych drzwiach i obrzuca Flint takim spojrzeniem, jakby patrzyła na jeden z eksponatów. Odznacza się bardzo bladą cerą i gęstymi, ognistorudymi włosami zebranymi z tyłu w gruby kucyk. A więc to ona podróżuje pod nazwiskiem Fitzroy i jest znana pod pseudonimem Ćma, zapewne z powodu połyskliwych włosów, jak ocenił Schnell.

Widziałam cię już, myśli Grace. Nie na pokładzie samolotu, bo wtedy nie zwracałam uwagi na otoczenie, ale przed dworcem kolejowym, gdy w czapeczce baseballowej udawałaś, że czytasz przewodnik, obserwując Feliksa.

- Ładny zakiet - mówi, ruchem głowy wskazując jej czarny lniany strój sięgający bioder, na tyle luźny, by bez trudu ukryć pod nim broń.

- Stephanie?

- Wszystko w porządku, Nigel. Nie masz się czym martwić.

- I tak się martwię, Stephanie, bo gdy Otto Schnell wyciąga nas z łóżek, dzwoniąc o tak niestosownej porze, i domaga się natychmiastowego spotkania, oznacz to... Uff! Dobry Boże!

Flint przychodzi na myśl, że Schnell właśnie położył przed nim na biurku jedno ze zrobionych niedawno zdjęć.

- Co się stało z jego twarzą, do pioruna?! - pyta Ridout.

- Został pogryziony.

- Chyba przez wściekłego psa, sądząc po urazach. Stephanie - nawołuje Anglik, błyskawicznie dochodząc do siebie - chodź tu i przywitaj się z Otto. Powinnaś sama zobaczyć to urzekające zdjęcie. Kto to jest, Otto?

- Twierdzi, że pracuje dla ciebie.

- Czyżby? Słyszałaś, Stephanie? Wygląda na to, że jeden z psów urwał się z łańcucha. Koniecznie musisz tu przyjść i to zobaczyć.

Agentka wyraźnie się ociąga z opuszczeniem posterunku, ale po krótkim namyśle i ostatnim uważnym spojrzeniu na Flint znika w przyległym pokoju.

- Otto, przedstawiam ci Stephanie, która jest pod wrażeniem twojej nadzwyczajnej sławy. Stephanie, to Otto, dla ciebie doktor Schnell, który z kolei jest pod wrażeniem wyglądu tego przerażającego biedaka... Nie krzyw się tak, Stephanie, przecież jesteś już dużą dziewczynką... Jak twierdzi Otto, ten biedak to jeden z naszych ludzi. Kojarzysz go, Stephanie?

- Nie - odpowiada szybko agentka.

- A zatem go nie znasz?

- Nie.

Następuje chwila ciszy, po której Ridout mówi:

- Zatem to już wyjaśniliśmy, Otto. Wydaje mi się, że złapałeś jakiegoś mitomana, który myśli, że jest drugim Jamesem Bondem. Teraz takich pełno. Naczytają się bzdurnych powieści de Fleminga albo naoglądają filmów i zdaje im się, że nasza praca polega głównie na uprawianiu seksu z pięknymi agentkami. Gdyby jeszcze było w tym choć trochę prawdy... Nie patrz tak na mnie, Stephanie. Tak więc przykro mi, Otto, ale to żaden z naszych. To wszystko? Nie masz więcej pytań?

Schnell nie odpowiada.

- Podejrzewam, że moglibyśmy spróbować zidentyfikować tego człowieka dla ciebie - ciągnie ironicznym tonem Ridout. - Wiesz, jak się nazywa? Miał przy sobie jakieś dokumenty?

Schnell nadal milczy i Flint, coraz bardziej zaintrygowana przedłużającą się ciszą, wstaje z krzesła i na palcach zakrada się bliżej drzwi, żeby zajrzeć do sąsiedniego pokoju.

Nigel Ridout siedzi naprzeciwko Niemca przy metalowym biurku, ostentacyjnie rozparty na krześle, z nogą założoną na nogę i dłońmi splecionymi za głową. Ma na sobie świetnie dopasowany, trzyczęściowy granatowy garnitur, błękitną jedwabną koszulę oraz kasztanowy krawat, który pozwala odróżnić jego strój od szkolnego mundurka lub wojskowego munduru galowego. Jest młodszy, niż można by się spodziewać, koło czterdziestki, dobrze zbudowany, o zdrowej gładkiej cerze. W tych drogich ciuchach, z pogodną, szeroką twarzą Anglosasa, włosami gładko zaczesanymi do tyłu, równo przystrzyżonymi na wysokości kołnierzyka, przypomina specja od reklamy. Ale dla niej i tak jest alfonsiem Mandragory.

Schnell w końcu sięga do kartonowej teczki, którą trzyma tuż przed sobą jakby się bał, że ktoś zobaczy, co jest w środku.

- Jak stoimy z czasem, Stephanie? - pyta Ridout.

Ze swego stanowiska przy drzwiach Flint nie widzi rudowłosej agentki, domyśla się jednak, że Cma teatralnym gestem spogląda na zegarek.

- Robi się trochę późno.

- Wybacz, ale musimy zdążyć na samolot, Otto. Więc jeśli nie masz innych spraw...

- Ten człowiek, którego nie znacie... - odzywa się Schnell, udając, że czegoś szuka w teczce, po czym wyjmuje niewielki plik zdjęć, układa je na biurku obrazem do dołu, bierze pierwsze z nich, odwraca i podsuwa Ridoutowi - ...zostanie oskarżony o morderstwo, nie mówiąc już o innych zarzutach. Zabił starszego człowieka, udusił go poduszką. Był to całkowicie zbyteczny przejaw okrucieństwa. Zmiażdżył staruszkowi krtań.

Anglik pochyla się nad biurkiem, by przyjrzeć się fotografii. Najwyraźniej spodziewa się widoku z miejsca zbrodni, ale zdjęcie przedstawia Fellowesa stojącego na Richard-Wagner-Strasse ramię przy ramieniu obok Stephanie Cooper-Cole i pogrążonego z nią w rozmowie. Uśmiecha się szeroko, odchyła na oparcie krzesła i mówi:

- Ładnie wyszłaś, Stephanie, jeśli mam być szczery.

- Nazywa się Nicholas Fellowes, chociaż nie miał przy sobie żadnych dokumentów.

Schnell odwraca następne zdjęcie i podtyka Ridoutowi pod nos. To przedstawia Fellowesa i Cooper-Cole w samochodzie. Flint podchodzi nieco bliżej i staje w przejściu, gdzie Anglik nie może jej nie zauważyć.

- Jeszcze się ludzi, że nie zostanie o nic oskarżony i będzie po cichu zwolniony z aresztu, ponieważ my się dogadamy i dojdziemy do porozumienia - ciągnie Schnell. - Wszystko jednak wskazuje na to, że tylko się ludzi.

Zaczyna szybciej odwracać kolejne zdjęcia i unosić w górę, demonstrując swojemu rozmówcy.

Zbliżenie Fellowesa rozmawiającego z Cooper-Cole; Fellowes wchodzący do budynku mieszkalnego naprzeciwko Runde Ecke; Fellowes i Ridout w oknie wynajmowanego mieszkania; Fellowes, Ridout i Cooper-Cole w holu tego samego budynku. Część zdjęć jest niezbyt wyraźnych, ziarnistych, zrobionych teleobiektywem z dużej odległości, ale uchwycone na nich postaci można bez trudu rozpoznać. Na ostatnim widać tylko Ridouta w drzwiach domu, na wpół odwróconego, mówiącego coś przez ramię do kogoś znajdującego się za nim.

W zapadłej grobowej ciszy Flint wchodzi głębiej do gabinetu, chcąc wiedzieć, gdzie stoi Ćma, by mieć baczenie na to, co robi. Ridout wyrozumiale kiwa głową i uśmiecha się szeroko, jakby jej widok sprawił mu przyjemność.

- Brawo, Otto - mówi. - A nie masz jeszcze jakiegoś filmu? Albo przynajmniej zarejestrowanych rozmów? Przydałby się podkład dźwiękowy.

Schnell puszcza mimo uszu tę uwagę.

- Kogo ten biedak zamordował?

- Turka o nazwisku Ciller, który pracował jako służący w domu Ilse.

- Jakiej Ilse?

- Grober. Siostry Karla Grobera.

- Aha. - Ridout zerka na Flint, po czym szybko odwraca głowę i patrzy na Cooper-Cole. - Słyszałaś, Stephanie? Karl ma siostrę. Nie ma na ten temat ani słowa w naszych aktach, prawda? Mówiłem ci, że jankesi ukryli przed nami część informacji. No więc? - odwraca się z powrotem do Schnella. - Co dalej, Otto? Nasze dziewczyny mają o świcie stanąć naprzeciwko siebie z pistoletami? Zwyczajna zgarnia wszystko? A może wolisz, żeby stoczyły walkę wręcz, najlepiej w błocie? To by ci się pewnie spodobało, Otto. A i Stephanie nie miałyby nic przeciwko temu, prawda, Steff? Jest bardzo silna.

Śmieje się głośno, rozbawiony własnym dowcipem. Jest tak pewny siebie, a jego kłamstwa szyte tak grubymi nićmi, że Flint zaczyna się obawiać, iż lada chwila może stracić

panowanie nad sobą i złamać daną obietnicę. Nie ma jednak okazji, żeby wykonać choćby najdrobniejszy ruch, gdyż Ridout nagle pochyła się na krzesło, jakby chciał podkreślić doniosłość tego, co ma do zakomunikowania.

- Powiedział, że nazywa się Foster i jest kimś w rodzaju płatnego najemnika, byłym komandosem z oddziałów specjalnych. Ni stąd, ni zowąd zadzwonił do naszej centrali w Londynie. Zapytał, czy jesteśmy zainteresowani aktualnym miejscem pobytu niejakiego Karla Grobera. Oczywiście byliśmy. Po całym tym zamieszaniu w Nowym Jorku... powiedziałbym nawet, po wielkiej klapie... - ogląda się znacząco na Grace - ...byliśmy przekonani, że operacja „Zielone Świątki” nie przyniesie już żadnego rezultatu. Zatem to chyba w pełni zrozumiałe, że byliśmy zainteresowani. W każdym razie... - Wstaje z krzesła i zaczyna krążyć po pokoju. - Odmówił podania jakichkolwiek szczegółów do czasu, jak się wyraził, ustalenia wysokości nagrody, jaką otrzyma za dostarczenie Herr Grobera związanego i zakneblowanego pod nasze drzwi. Zażądał spotkania w Lipsku. Jego obietnice wydawały nam się mało wiarygodne, ale Stephanie miała akurat wolny weekend... - Posyła krótki uśmiech swojej podwładnej. - Wyznajemy zasadę, że nawet taki strzał w ciemno jest lepszy niż siedzenie z założonymi rękami. Dlatego Stephanie spotkała się z Fosterem, on zaś w trakcie rozmowy rzucił parę kamyków mogących świadczyć, że faktycznie ukrywa coś cennego w zanadrzu, a potem zaśpiewał swoją cenę: pół miliona dolarów. „To trochę dużo”, powiedziałem, kiedy Stephanie do mnie zadzwoniła, ale jeszcze w zasięgu naszych możliwości. Nie byłaby to zbyt wygórowana cena, gdybyśmy rzeczywiście dostali za nią Grobera. Toteż i ja przyjechałem do Lipska, żeby przedstawić nasze warunki: nic z góry, nie dostanie ani grosza, dopóki nie poczujemy wyraźnego zapachu żywego Grobera. A i wtedy może liczyć tylko na niewielką zaliczkę, całość zaś uregulujemy, gdy Grober zajmie już miejsce na jednym z moich bardzo niewygodnych krzeseł w Londynie, w strumieniu jaskrawego światła, odpowiadając na pytania dotyczące miejsca ukrycia swojej nielegalnie zdobytej fortuny.

Na ścianie po prawej stronie biurka wisi niewielkie zszarzałe lustro. Ridout zatrzymuje się przed nim, żeby poprawić i tak nienaganny węzeł krawata.

- Foster, czy też Fellowes, jeśli wolicie go tak nazywać, zaczął mnie zasypywać żądaniami pokrycia kosztów wynajęcia i zorganizowania specjalnej grupy, złożonej z byłych agentów Stasi oferujących teraz swoje usługi na czarnym rynku najemników. Chciał dostać dziesięć tysięcy dolarów, a ponieważ nie jestem zbyt skąpy, dałem mu je. Zniknął z forszą, po czym dwa razy zadzwonił do wynajmowanego przez nas mieszkania, relacjonując przebieg przygotowań, ośmielę się zauważyć, dość ogólnikowo i tajemniczo, o czym możecie się sami

przekonać, jeśli sprawdzicie taśmy z zapisem podsłuchu telefonicznego. Po raz ostatni skontaktował się wczoraj, późnym popołudniem, i od tamtej pory... - Ridout odwraca się od lustra i w obronnym geście unosi obie ręce. - Cisza. Mniej więcej to wszystko, co mogę ci o tej sprawie powiedzieć, Otto. Oczywiście, nie miałem najmniejszego pojęcia, że zamierza zamordować jakiegoś biednego starego Turka. Skoro już o tym mowa, dlaczego to zrobił?

Schnell z uporem wpatruje się w sufit, jak gdyby bez reszty pochłaniało go śledzenie zygzakowatych linii pęknięć tynku.

- Ponieważ przykazałeś mi, aby za wszelką cenę nie dał się złapać.

- Czyżby? - Anglik opiera się o skraj biurka i pochyla nad Schnelllem. - Masz to nagrane na taśmie, Otto? - pyta, kręcąc głową, gdyż świetnie zna odpowiedź. - Nie sądzę. Dokładnie sprawdziliśmy mieszkanie na obecność jakichkolwiek zabawek, które twoi ludzie mogli tam zostawić. Dobrze o tym wiesz, ponieważ je znaleźliśmy. Jakżeby inaczej. Wyszukiwanie pluskiew to jedna z wielu zadziwiających umiejętności Stephanie.

Ćma wypręża się, splatając ręce za plecami, przez co Flint traci je z oczu.

- Jeśli chcesz znać prawdę, Otto - mówi dalej Ridout bardziej agresywnym tonem - powiedziałem mu dokładnie: „Tylko nie rób niczego niezgodnego z prawem”. Tak samo zabroniłem mu więc przekraczania dozwolonej prędkości czy przejeżdżania skrzyżowań na czerwonym świetle, jak też włamywania się do czyichś domów albo duszenia obywateli śpiących w swoich łóżkach. - Urywa na chwilę, po czym ciągnie: - Oczywiście powiadomiłbym cię, Otto, gdybyśmy dostali Grobera. Chyba w to nie wątpisz? Ale po tej farsie w Nowym Jorku... Bez obrazy, Otto, lecz co najmniej jeden z twoich chłopców był w nią zaangażowany... Więc chyba rozumiesz, dlaczego zdecydowaliśmy się działać na własną rękę?

Zapada milczenie, które niespodziewanie przerywa Flint; odzywa się tak cicho, jakby mówiła do siebie:

- Jak się miewa Mandragora, panie Ridout?

Ten prostuje się błyskawicznie i spogląda na nią w osłupieniu.

- Słucham?

Grace, z rękoma w kieszeniach żakietu, dwoma drobnymi kroczkami podchodzi nieco bliżej biurka.

- Pytałam, jak się miewa Mandragora.

Lepiej dobrze się zastanów nad odpowiedzią Ridout, ponieważ mam już dosyć twoich kłamstw.

- Mandragora? - powtarza, jakby ten pseudonim nic mu nie mówił, ale na jego wargach wykwitła ledwie zauważalny ironiczny uśmiezek.

- Jeśli wolisz, Ben. - Grace wzdycha głośno. - Mój mąż, a twoja dziwka.

- Moja dziwka? Ach, tak, cudownie. W takim razie kim ty jesteś, moja droga?

Ridout wybucha gromkim śmiechem, zadziera głowę i otwiera szeroko usta, gdy w twarz trafia go strumień gazu łzawiącego.

- Słyszałem kiedyś, że odczuwa się to tak, jakby człowiek nagle oślepl, dostał gwałtownego ataku astmy i jednocześnie wpadł głową do frytkownicy z rozgrzanym olejem, ale mówiąc szczerze, po raz pierwszy widziałem na własne oczy, jaki to odnosi skutek, i jak szybko.

Urażona Flint, która została skazana na banicję na tylnym siedzeniu jednego z samochodów zaparkowanych przed Runde Ecke, zwraca uwagę, że Hartmann wcale nie jest tak bardzo zgorzony jej postępkami, jak by wynikało z jego słów.

- Prysk! I w jednej chwili ten kłamliwy nadęty dureń pada na kolana i zaczyna skamleć jak niemowlę. - Grace kręci z niedowierzaniem głową jakby sama nie potrafiła zrozumieć, dlaczego to zrobiła. - Ćma rzuca się w moją stronę niczym wszechmocna czarodziejka, no więc: Prysk!, i ona też wali się na podłogę. Może to wcale nie jest zwykły gaz łzawiący? Myślisz, że produkuje się mieszanki gazu łzawiącego ze zmielonym pieprzem?

Zaczyna gorączkowo szukać w kieszeniach zakietu, żeby sprawdzić na opakowaniu zawartość aerozolu, lecz po chwili przypomina sobie, że doktor Schnell skonfiskował jej tajną broń.

- Otto wpadł w szal, zaczął wrzeszczeć: „Uważasz, że masz prawo wymierzać sprawiedliwość na własną rękę?!”. Nie on pierwszy mnie o to zapytał. To samo zrobił Cutter, kiedy zaangażował mnie do pracy w wydziale i dostał z Londynu moje akta personalne. Jakiś żartowniś z Yardu dołączył do nich kartkę z tekstem: „Pytanie: Co to jest Prawo Flint? Odpowiedź: Zależy, w jakiej sytuacji”. Chciał przez to podkreślić, że nie zawsze stosuję się sztywno do reguł gry. W takim razie jak można zdefiniować Prawo Ridouta? Jak powiedziałam Schnellowi, kiedy wreszcie dopuścił mnie do głosu, ten cholerny Ridout odpowiada za fiasko operacji „Zielone Świątki” i za śmierć Ruth, to również przez niego i jego cholernego Mandragorę mój ojciec wciąż leży nieprzytomny w szpitalu, podczas gdy on wynajmuje jakiegoś psychopatę do schwywania Grobera, jeśli wierzyć w jego bajeczkę, do czego nie potrafię się zmusić. „Powiedział, że nazywa się. Ni stąd, ni zowąd, zadzwonił do naszej centrali w Londynie”. Stek bzdur. Nie można wierzyć ani jednemu słowu. Gotowa

jestem się założyć o cały mój fundusz emerytalny, że Fellowes pracuje na pełnym etacie w MI6, nawet jeśli nie figuruje na liście płac i łatwo można się wyprzeć znajomości z nim.

- Przyjąłbym ten zakład, Grace - odpowiada z uśmiechem Hartmann - gdybym tylko był pewien, że dożyjesz chwili, kiedy będziesz mogła spieniężyć swój fundusz emerytalny.

Ona także odbiera to z uśmiechem.

STATEN ISLAND

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

W swoim pokoju Melinda Stark siedzi ze ściśniętymi kolanami na samym brzeżku wiśniowego fotela na biegunach i spoglądając mętnym wzrokiem na Aldusa Cuttera, bezskutecznie próbuje zrozumieć to, co wydaje się jej niepojęte. Cutter mówi cicho i powoli, grobowym tonem, jakby informował rodziców o śmierci ich syna. Melinda stara mu się nie przerywać, ale od czasu do czasu wyrывa się jej mimowolne pytanie:

- Nathan?

Jej głos pełen niedowierzania świadczy wyraźnie, że wszystko, czego dowiaduje się o swoim mężu, uznaje za niewiarygodne bujdy; według niej zaszła straszliwa pomyłka, ktoś musiał popełnić błąd przy identyfikacji podejrzanego.

Wcale nie jest taką idiotką, za jaką Nathan ją uważa. Teraz jednak, wobec nieustającego potoku słów Cuttera, ma kłopoty ze zrozumieniem wszystkiego. Po raz drugi, może nawet trzeci, zwraca uwagę na samochody stojące ciasno przy krawężniku na wprost domu, na ludzi stojących na podjeździe niczym grabarze czekający na zakończenie ceremonii pogrzebowej. Nadal nie ma pojęcia, co oni tutaj robią, toteż Cutter musi jej tłumaczyć wszystko od początku.

- Melindo, musimy przeszukać dom. To trochę potrwa. Byłoby lepiej, gdybyś zabrała Nathana juniora i wyjechała stąd, żeby się nie denerwować. Zawieziemy was w ustronne miejsce, gdzie będziecie mogli przeczekać w spokoju kilka dni, aż ucichnie to zamieszanie.

Kilka dni? Przypomina sobie nagle, że dziś wieczorem Carpenterowie mają przyjść na obiad, ponieważ zapomniała odwołać spotkanie, a w dodatku nie była w sklepie, gorączkowo usiłuje więc skojarzyć, co ma w lodówce. Zapewne nie zdąży nic przygotować, toteż Nathan znów wzniesie oczy do nieba i mruknie z dezaprobatą: „Melindo!”, tonem świadczącym, iż tylko tego można się było po niej spodziewać. Będą zatem musieli coś zamówić na wynos z restauracji, a Nathan jak zwykle zrobi cierpką uwagę, że to piekielnie kosztowne.

Nie, jednak tym razem nie zrobi żadnej uwagi, ponieważ jest uciekinierem. W każdym razie tak go określił Cutter. „Podwójnym agentem” pracującym dla „obcego mocarstwa” i „uciekiniem”. W wyobraźni widzi męża z walizką idącego przez terminal lotniska, na którym wszystkie napisy są w obcym dla niej języku. Nagle zapragnęła dowiedzieć się, dokąd wyjechał.

- Jakiego obcego mocarstwa? - pyta stanowczo, przerywając potok wyjaśnień Cuttera.

- Dla Brytyjczyków, wywiadu angielskiego. Carpenterowie są Brytyjczykami, zatem chyba jest w tym coś z prawdy. Zaraz jednak uderza ją inna myśl.

- Sądziłam, że to nasi sprzymierzeńcy, są po naszej stronie.

- Nie wszyscy - odpowiada Cutter.

To stanowi już całkiem nieodgadnioną zagadkę, dlatego postanawia nie łamać sobie nad nią głowy. Czuje się straszliwie osamotniona. Chciałaby teraz zostać tylko z synem, który usiadłby obok niej na kanapie i potrzymał ją za rękę, jak czasami to robi pod nieobecność Nathana, pragnąc dać jej poczucie bezpieczeństwa, jakiego od dawna nie zapewnia mąż.

- Gdzie jest Nate?

- W swoim pokoju - zapewnia Cutter. Myli się jednak.

Nathan junior w gabinecie ojca przygląda się uważnie poczynaniom Rocco Moralesa próbującego otworzyć sejf. Z pozoru proste zadanie przysparza Moralesowi sporych kłopotów.

Znudzony bezczynnością, Nathan pyta w końcu ostrym tonem:

- Próbował pan tej kombinacji, którą podyktowałem? Jeden, sześć, dziewięć, cztery...

List Nathana Starka zaczyna się od słów:

Podejrzewam, Aldusie, że będziesz chciał przeczesać cały dom, mam jednak nadzieję, że dla dobra Melindy i chłopca zrezygnujesz z tego pomysłu. To naprawdę nie ma sensu, bo niczego tu nie znajdziesz, no, może jedynie na twardym dysku komputera, jeśli moja znajomość metod kasowania plików nie jest tak dobra, jak mi się zdawało.

Cutter zajął miejsce Melindy w fotelu na biegunach, aby w spokoju przeczytać ten list po raz drugi, powoli i uważnie, bez nerwów. Z gabinetu Nathana dolatują odgłosy zrywanej klepki podłogowej, a z korytarza stłumiony głos Jarretta Crawforda rozmawiającego przez telefon.

Każdy dokument, który „pożyczyłem sobie” z Biura, wrócił na miejsce, gdy znalazłem w nim szukane informacje. Niczego nie wynosiłem z centrali wydziału, ponieważ, jak z pewnością sam się o tym przekonasz, nie było takiej potrzeby. Zresztą, nawet gdyby zaistniała, nie wiem, czybym się na to zdecydował. Możesz mi wierzyć, Aldusie, że

stworzone przez ciebie zasady ochrony tajnych materiałów w Gmachu Marscheidera są o wiele skuteczniejsze od zabezpieczeń stosowanych w FBI. Gdyby nie Flint, zapewne nigdy bym się nie zdecydował na to, by działać przeciwko tobie. Ona zawsze była twoją piętą achillesową.

Pewnie zadajesz sobie pytanie, w ilu operacjach cię zdradziłem. W żadnej. Jedyne, co robiłem, to udostępnianie naszym sprzymierzeńcom tajnych informacji, które mieli prawo znać, a do których dostępu broniły im obowiązujące w Biurze idiotyczne reguły tajności. Już dawno temu zdałem sobie sprawę, że FBI wolałoby raczej puścić wolno jakiegoś przestępcę niż udostępnić o nim informacje komuś postronnemu. Sądziłem, że w Wydziale będzie inaczej, jak sam to obiecywałeś, ale przekonałem się, że jest jeszcze gorzej. Mieliśmy szansę wydać globalną wojnę międzynarodowej przestępczości i terroryzmowi, sprawić, by granice były dla stróżów prawa tak samo łatwe do przekroczenia, jak są dla naszych przeciwników. Ale ta idea stała się czystą mrzonką ponieważ tak jak w FBI, musieliśmy pilnie strzec wszelkich informacji, jakie udało nam się zdobyć. Dlatego się poddałem, Aldusie, i postanowiłem robić to na własną rękę.

- Nie poddałeś się, tylko sprzedałeś, sukinsynu - mruczy Cutter pod nosem.

Świadomość tego, że jego najbliższy współpracownik postanowił zaspokoić własną chciwość, zasłaniając się szczytnymi ideami, sprawia że ciśnienie skacze do niebezpiecznego poziomu, aż głośny szum w głowie przybiera alarmujący poziom.

Nie zdradzę, ile razy dzieliłem się informacjami, bo muszę zostawić coś do roboty twoim terierom. Powiem tylko, jak to się zaczęło. W roku 1984 Biuro prowadziło inwigilację niejakiego Kalinina, który działał pod przykrywką pracownika sowieckiej misji przy ONZ. Był kurierem obsługującym punkt kontaktowy w Queens i udało nam się zidentyfikować jego informatora, kiedy na scenie pojawił się attache wojskowy z ambasady brytyjskiej w Waszyngtonie. Tak nam się przynajmniej wtedy zdawało. Nazywał się Manyon i przez trzy niedziele z rzędu podróżował do Nowego Jorku na spotkania z Kalininem, które odbywały się w znanej nam rosyjskiej kryjówce. Mieliśmy udokumentowane te spotkania, nagrania rozmów, a mimo to nie mogliśmy poinformować o tym Brytyjczyków. W każdym razie jeszcze nie wtedy. Attache wrócił do Londynu, żeby zająć jakieś ważniejsze stanowisko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, mieliśmy wiele dowodów, by uważać go za sowiecką wtyczkę, lecz nadal musieliśmy zachować to w tajemnicy. Dostaliśmy w tej sprawie wyraźne rozkazy dyrektora, który nie chciał przerywać operacji wymierzonej przeciwko Kalininowi.

Czy dla ciebie jest to logiczne, Aldusie? Bo dla mnie było jawną bzdurą. Dlatego powiadomiłem Brytyjczyków. Nie po raz pierwszy odniosłem wtedy wrażenie, że łączą nas

wspólne interesy, którym zupełnie nie służy nasza obsesja na punkcie tajemnicy państwowej i aroganckie założenie, że nikomu spoza Biura nie wolno ufać. Tobie zostawiam ustalenie, w jakich podobnych sytuacjach ta sama świadomość skłoniła mnie znowu do działania, jeśli tylko ci się to uda.

Pod tym względem już cię uprzedziliśmy, Nathan, myśli Cutter.

W Gmachu Marscheidera Kate Barrymore i jej zespół sprawdzają każdą teczkę z dokumentacją podpisaną przez Starka w ciągu ostatnich piętnastu lat służby w FBI - każdą, jaką mentorowi Cuttera z Departamentu Sprawiedliwości udało się wyciągnąć pod Bóg jeden wie jakim pretekstem. W ostatnim meldunku Barrymore donosiła, że poza sprawą Kalinina zdołali namierzyć dziewiętnaście innych, w których Stark mógł dostarczać informacje Brytyjczykom, dzieląc z nimi „wspólne interesy”.

Na korytarzu Crawford głośno chrząka.

- Proszę wybaczyć, panie Cutter, ale mam ważną wiadomość. Chyba udało nam się namierzyć Nathana.

Cutter odruchowo pociera palcami skronie, odczuwając coraz silniejszy ból głowy.

- Mów dalej, Jerry.

- Tuż przed północą biały mężczyzna odpowiadający rysopisowi Starka przekroczył granicę kanadyjską w miejscowości Coburn Gore w stanie Maine. To zapadła dziura, na posterunku przy jednopasmowej drodze okręgowej czuwa tylko jeden strażnik. Widział wysłany za Starkiem list gończy, ale nie zorientował się od razu, bo podejrzany legitymował się paszportem na inne nazwisko, podróżował innym samochodem, a poza tym nie był sam.

Cutter odruchowo marszczy brwi ze zdumienia, ale błyskawicznie się przekonuje, że nawet ten drobny ruch nasila dokuczliwy ból.

- Jechał z pasażerką - ciągnie Crawford. - Strażnik mógł ją tylko pobieżnie opisać. Biała, dwudziestoparoletnia, posługująca się paszportem na to samo nazwisko, co kierowca: Lacey. Strażnik w pierwszej chwili uznał, że to ojciec z córką. Powiedział, że była ładna, bardzo ładna.

- A więc Nathan ma kochankę - podsumowuje Cutter tonem sugerującym, że należało się tego spodziewać. - Co wzbudziło podejrzliwość strażnika? Zapach pigwy?

- Zgadza się. Twierdzi, że cały samochód był nim przesiąknięty. To był któryś z nowych modeli forda, czarny albo ciemnogrnatowy, z numerami rejestracyjnymi z Maine. Moim zdaniem albo kobieta tam mieszka i podróżują jej wozem, a Stark doleciał samolotem tylko do Maine, albo udali się tam razem i wynajęli auto z wypożyczalni. Już sprawdzamy lokalne lotniska i firmy wynajmu samochodów.

Cutter znów odruchowo kiwa głową czego natychmiast żałuje.

- Wszystko w porządku, panie dyrektorze?

- Nie bardzo, Jerry - odpowiada powoli Cutter, mając wrażenie, że lada chwila głowa mu eksploduje. - Chyba dzieje się ze mną coś złego.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

Kiedy karetka odjeżdża na sygnale, Crawford znowu wyjmuje telefon komórkowy, żeby zadzwonić do Lipska i przekazać Flint niespodziewane złe wiadomości. Tylko w ogólnych zarysach zna przebieg jej konfrontacji z MI6, wie jednak, że Otto Schnell zezwolił dwojgu z trójki brytyjskich agentów potajemnie opuścić Niemcy, nie wysuwając przeciwko nim żadnych zarzutów, a Grace, według relacji Cuttera, „nadal wspina się na szczyt, plując krwią na lewo i prawo”.

- Zdarzyło się to przed tym, jak powiedział jej pan o zdradzie Nathana, czy później? - zapytał dyrektora.

- Nawet dużo wcześniej. Wtajemniczyłem ją dopiero wtedy, gdy musiała przysiąc, że będzie siedzieć jak mysz pod miotłą.

I teraz odzywa się półgłosem, kiedy podnosi słuchawkę. Crawford mówi bez wstępu, że ma dalsze złe nowiny.

- Jezu!

- Chodzi o Cuttera, Grace. Zasłabł nagle, prawdopodobnie dostał zawału. Okazało się, że ciśnienie krwi podskoczyło mu wręcz niewiarygodnie. Sanitariusze dali mu zastrzyk i zabrali do szpitala, ale nie wygląda to najlepiej.

Łatwo może się domyślić, że Flint natychmiast wraca myślami do swego ojca, który także leży w szpitalu.

- Gdzie to się stało? I kiedy?

- Tutaj, w domu Nathana.

- To wiele wyjaśnia. - Grace mówi tak niewyraźnie, jakby była na środkach uspokajających. - Powiedział, dlaczego to zrobił?

- Nathan? Niezupełnie. Zostawił list pełen wykrętów, którymi próbuje się usprawiedliwiać. Pisze o globalnej wojnie z międzynarodową przestępczością lecz pomija milczeniem fakt, że zwyczajnie brał forszę od Anglików. Opłacali go od lat. Pewnie dlatego mógł sobie pozwolić na bardzo atrakcyjną i kosztowną kochankę. Wczoraj późnym wieczorem przekroczyli razem granicę kanadyjską.

Po drugiej stronie linii panuje cisza, aż Crawford nabiera podejrzeń, że połączenie zostało przerwane.

- Jesteś tam, Grace?

- Powiedział coś o Mandragorze?

Jarrett ociąga się z odpowiedzią nie mając pewności, jak Flint przyjmie taką dawkę złych nowin równocześnie. Po chwili pyta ostrożnie:

- Na pewno chcesz to usłyszeć już teraz?

- Tak.

- To była zaplanowana mistyfikacja od samego początku. Brytyjczycy, a konkretnie MI6, wiedzieli o planach Grobera od sierpnia dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Wiedzieli nawet, że na wypranie czeka co najmniej miliard dolarów, nie mieli jednak pojęcia, jakimi drogami pójną te pieniądze, a mając za mało własnych ludzi, postanowili nas wykorzystać. Podsunęli nam informacje o Groberze, abyśmy odwalili za nich czarną robotę. Skłonili Nathana, żeby zmusił Vincenta Regala do podrzucenia ci kilku łakomych kąsków, ty zaś ochoczo podjęłaś trop. Im wystarczyło spokojnie siedzieć, obserwować i trzymać rękę na pulsie, ponieważ... - Crawford urywa w pół słowa.

- Mów śmiało, Jerry.

- ...byłaś już pod kontrolą Mandragory. Był ich tajnym współpracownikiem, niefigurującym w żadnej kartotece, więc mogli się łatwo wyprzeć kontaktów z nim. Nie wiem, czy ci to w czymś pomoże, Grace - dodaje pospiesznie - ale Nathan twierdzi, że wasz ślub nie był częścią planu. Mandragora miał tylko zostać twoim kochankiem.

- Kochankiem? - wtrąca zdumiona Flint, jakby było to dla niej całkiem obce słowo. - To dość dziwne zadanie dla człowieka, któremu obce są wszelkie uczucia, nie sądzisz? - Crawford się nie odzywa, więc Grace dodaje po chwili: - Nie, Jerry. W niczym mi to nie pomoże, bo ślub był moim pomysłem.

- No właśnie - odpowiada wyraźnie zakłopotany Jarrett. - Ale nie to jest jeszcze najgorsze. Tych z MI6 w ogóle nie interesowało, co zamierzamy osiągnąć, bo zależało im, by operacja „Zielone Świątki” skończyła się fiaskiem, a oni mogli pozbierać po niej wszystkie resztki i zagarnąć forszę Grobera dla siebie. Na tym polegało drugie zadanie Mandragory. Musiał nawiązać kontakt z Groberem i przekonać go, że jest w stanie nas szpiegować, monitorować każde nasze posunięcie.

- Nie każde, Jerry - wtrąca posepnym tonem Flint. - Nawet ja nie byłam na tyle głupia, żeby znieść do domu kopie wszystkich materiałów z operacji „Zielone Świątki”.

- To prawda, nie zapominaj jednak, że oprócz dostępu do niektórych naszych raportów Mandragora miał też dostęp do wszystkich materiałów trafiających do komputera współpracującego z nami wydziału w Scotland Yardzie. Pamiętasz Scratchwood i Petera?

- Owszem, pamiętam.

- No więc okazuje się, że Peter był hakerem. Nie doszło do żadnego przecieku w Yardzie. To on włamał się do londyńskiego komputera, dzięki czemu MI6 mogło na bieżąco dostarczać Mandragorze wszelkie informacje, on zaś sprzedawał je Groberowi. Nathan twierdzi, że w Londynie powstała istna panika kiedy kurier MI6 został zatrzymany na granicy, bo gdybyśmy wtedy od razu poinformowali o tym Scotland Yard, Anglicy pewnie szybko by doszli, kto ma nielegalny dostęp do ich komputera.

- Szlag by to trafił!

- To, że utrzymałaś sprawę w tajemnicy, bo nie byłaś pewna, komu możesz ufać, teoretycznie tylko uzasadnia punkt widzenia Nathana. Przynajmniej według niego. Wszystkie swoje mactwa tłumaczy wstrętem do obsesyjnego trzymania w sekrecie wszelkich informacji.

Kiedy Flint w milczeniu oswaja się ze świadomością popełnionego błędu, Crawford pospiesznie kartkuje list Starką a znalazłszy szukany fragment wykpiwający jej decyzję, zaczyna czytać do słuchawki:

Oczywiście Flint była z góry skazana na porażkę, ponieważ Grober od początku wiedział o zastawionej na niego pułapce, toteż nie mógł dać się złapać. Bóg jeden wie, dlaczego w ogóle zjawił się na spotkanie z Ruth Apple. Możesz mi wierzyć, Aldusie, że szczerze żałuję tego, co się stało. Wróć do tego za chwilę. Na razie chcę podkreślić z całą mocą że porażka Flint była tak spektakularna z powodu jej zaślepienia i bezgranicznej porywczosci, co omyłkowo bierzesz za przejawy odwagi i zdolności.

Zresztą nie tylko porywczosc ją zaślepia. Pytałem cię przed kilkoma dniami, jak to możliwe, żeby wyjść za kogoś, o kim się nic nie wie, a ty odpowiedziałaś wymijająco. Teraz, gdy znasz już całą prawdę, Aldusie, może powinienes jeszcze raz zastanowić się nad odpowiedzią na to pytanie.

- Jak widzę, przechodzi do porządku dziennego nad tym, że Ruth została wyrzucona z helikoptera - przerywa mu Grace lodowatym tonem. - Pewnie w ogóle nie nawiązuje do tego wypadku. To dla niego element wkalkulowanego ryzyka, drobny minus po stronie strat. Co znaczy życie jednej agentki, skoro całe robactwo musi przede wszystkim uzasadniać swoje istnienie i gromadzić brudne pieniądze, żeby zapłacić Mandragorze za jego usługi i żeby

Nathan mógł kupować prezenty swojej dziwce? Drobnostka. W ogóle wspomniał w tym liście o Ruth?

- Niewiele - odpowiada Crawford, wspominając tragiczne wydarzenia. - Píše, że Grober w ogóle nie powinien przychodzić na to spotkanie, a gdy się jednak pojawił, Nathan chciał za wszelką cenę wymusić na tobie przerwanie akcji.

W rzeczywistości Stark ma znacznie więcej do powiedzenia na temat śmierci Ruth Apple.

Odpowiedzialność za śmierć Apple ponosi niemal wyłącznie Flint. Przede wszystkim nie powinna była wysłać tak mało doświadczonej agentki na spotkanie z tak nieprzewidywalnym i gwałtownym człowiekiem jak Grober, czego zresztą nie ukrywałem, prosząc ją aby przerwała akcję. Jest to utrwalone na taśmie. Powiedziałem wtedy: „Ty byś to zrobiła, ale nie ona”. Niestety, Aldusie, część winy spada także na ciebie. Nie rozkazałeś jej przerwać akcji, trwając uparcie w przekonaniu, że Flint dobrze wie, co robi. Jednak nie wiedziała. Kierowała się instynktem, ściągając niebezpieczeństwo nie tylko na siebie, ale na całą ekipę. Muszę przyznać, że wielokrotnie się zastanawiałem, czemu nie chciałeś dopuścić do siebie prawdy. Uważam cię za najbardziej dalekowzrocznego człowieka, jakiego znam. Dlaczego więc jesteś całkiem ślepy na poczynania Flint?

- Muszę kończyć - mówi Crawford.

- Jedź do szpitala, Jerry. Pozdrów ode mnie Cuttera.

- Zrobię to. A co u ciebie?

Odpowiada, że nic nowego. Są zawieszani w próżni, czekają na rozwój wydarzeń.

- Trafiłaś na jakiś trop Mandragory?

- Nie bardzo - mówi niechętnie, najwyraźniej przygnębiona złymi wiadomościami.

LIPSK

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Flint wciąż ma na sobie zapięty pod szyję tani wełniany sweter Frau Hartmann i włosy upięte w kok, ale poza tym w niczym jej nie przypomina. Patrząc z boku, można by odnieść wrażenie, że już całkiem inna kobieta wysiada z taksówki na podmiejskim Grunau i rusza energicznym krokiem zarośniętą chwastami ścieżką w kierunku wielkiego skupiska wieżowców, w którym mieszka piąta część mieszkańców Lipska, następnie pyta napotkane dziecko o drogę, wchodzi do bloku numer 5 z dumnie zadartą głową, jakby sama tu mieszkając wjeżdża windą na dziesiąte piętro. Przed drzwiami lokalu numer 107 wkłada okulary w drucianej oprawce i odczytuje nazwisko na mosiężnej tabliczce obok dzwonka. Zgadza się: KROL. Pospiesznie, jakby nie miała czasu do stracenia, naciska dzwonek.

Drzwi uchylają się na parę centymetrów i na korytarz wygląda kobieta. W oczach maluje się podejrzliwość. Obrzuca Flint uważnym spojrzeniem, usiłując skojarzyć, dlaczego twarz gościa wydaje się jej skądś znajoma. Nie ma jednak czasu na zastanowienie.

- Nazywam się Hartmann - mówi Grace łamaną niemczyzną. - Dzwoniłam do pani. Muszę jak najszybciej porozmawiać z pani mężem. Chodzi o Frau Grober.

Frau Krol otwiera szerzej drzwi, ale nie usuwa się na bok, żeby wpuścić ją do środka. Zaciemnienie na jej lewej skroni jest teraz dużo bardziej widoczne niż tamtego ranka, kiedy spotkały się po raz pierwszy. To ewidentnie znamię.

- Męża nie ma w domu - odpowiada Frau Krol, wciąż spoglądając na Flint podejrzliwym wzrokiem. - Spóźnia się.

To jasne, przemyka Grace przez myśl, chociaż nawet sobie nie wyobrażasz, co jest przyczyną tego spóźnienia.

Kobieta nie wie bowiem, że w tej chwili Manfred Krol, zniecierpliwiony i rozwścieczony, siedzi w pokoju przesłuchań na komendzie policji przy Goethe-Strasse i musi odpowiadać na pytania dotyczące wyssanego z palca włamania, gdyż dzięki interwencji doktora Schnella pod takim zarzutem został zatrzymany.

- W takim razie chciałabym porozmawiać z panią - mówi z naciskiem Flint, robiąc krok do przodu, i dodaje ciszej, konspiracyjnym szeptem: - Na osobności.

Pamięć zawodzi Frau Krol. Zgodnie z przypuszczeniami Grace, nie potrafi skojarzyć agentki, która ostro zaczepiła ją w nowojorskiej restauracji, z tą kobietą zerkającą

podejrzliwie na boki i pragnącą dać do zrozumienia, że sprowadziła ją tu nadzwyczaj doniosła sprawa, lepiej więc, by nikt jej nie widział przed drzwiami mieszkania.

- Proszę wejść - mówi w końcu gospodyni, usuwając się na bok.

Okazuje się, że są to dwa połączone mieszkania. Dzięki usunięciu ścianki działowej powstał jeden obszerny pokój. Na grubo lakierowanej klepce podłogowej leżą trzy wspaniałe perskie dywany, z pewnością ręcznie tkane i piekielnie drogie, prawdopodobnie warte więcej niż duży elegancki regał, rozbudowana nowoczesna wieża stereo i olbrzymi, zawieszony na ścianie płaski telewizor razem wzięte. No cóż, państwo Krol mogą sobie mieszkać w obskurnym, pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu architektonicznego, skleconym z prefabrykatów wieżowcu, typowym dla socjalistycznego budownictwa, skoro tak wspaniale się urządzili.

Rozsiadłszy się wygodnie w przepaścistym, obitym białą skórą fotelu, trzymając w dłoniach filiżankę mocnej aromatycznej kawy podanej przez Frau Krol, Flint przystępuje do snucia swojej pajęczyny kłamstw.

- Nazywam się Hartmann - powtarza. - Jestem sublokatorką Frau Grober, towarzyszką jej życia, jedyną osobą, z którą rozmawia. Ilse nie czuje się dobrze. Ma złośliwego raka w kolanie, który wymaga jak najszybszej operacji, lecz w ogóle nie chce o tym słyszeć. Z dnia na dzień coraz więcej mówi o tym, co ją obsesyjnie trapi, o swoim bracie, Karlu. Nienawidzi go za to, co zrobił rodzicom i jak wpłynął na jej życie. W jego dawnym pokoju postawiła karykaturalną kukłę Karla, na której wyładowuje swoją złość. Symbolicznie zemściła się na Karlu, obcinając... proszę wybaczyć tę brutalną szczerość, Frau Krol... obcinając mu penisa.

Flint pociąga łyk kawy, patrząc prosto w utkwione w niej nieruchomo oczy gospodyni.

- Co rozumiałe, dla Ilse taka zemsta jest niewystarczająca - mówi dalej. - Świetnie sobie zdaje sprawę, że jej życie dobiega końca, bardzo chciałaby więc przed śmiercią dokonać prawdziwej zemsty. Pragnęłaby zaszkodzić Karlowi najbardziej, jak tylko to możliwe, i zdaje się, że znalazła na to sposób. Chce go zdradzić tak samo, jak kiedyś on ją zdradził. Właśnie dlatego tu przyszedłam, Frau Krol. Mam nadzieję, że zdołają państwo ostrzec Herr Grobera. Szczerze mówiąc, liczę na to, że pani mąż i Herr Grober okażą swoją wdzięczność za to ostrzeżenie. Jeszcze raz proszę wybaczyć, że stawiam sprawę tak jasno. - Flint uśmiecha się nieskromnie. - Chwilowo zdołałam namówić Ilse, by nie podejmowała żadnych pochopnych decyzji. Jednakże jej choroba postępuje coraz szybciej, przez co Ilse jest przekonana, że zostało jej niewiele czasu. Zresztą - dodaje posepnym tonem - nie bez racji, jak się obawiam. Przedwczoraj, kiedy była szczególnie przygnębiona, poprosiła mnie, bym skontaktowała się z

policją i powiadomiła, że pani mąż zna miejsce pobytu poszukiwanego za morderstwo Karla Grobera. Dała mi też coś, żebym przedstawiła to jako dowód. Proszę spojrzeć.

Grace odstawia filiżankę i wyjmuję z torebki białą kopertę.

- To list od pani męża, w którym pisze on, że Karl jest zaniepokojony brakiem wiadomości od Ilse i chciałby wiedzieć, czy nie potrzeba jej czegoś poza przesyłanymi pieniędzmi. A musi pani wiedzieć, Frau Krol, że Ilse nawet nie tknęła tych pieniędzy.

Wyjmuję kolejno trzy paczki ściśniętych gumką banknotów i układa je na poręczy fotela.

- Mówi, że to brudne pieniądze splamione ludzką krwią.

Spogląda na gospodynię, unosząc wysoko brwi, aby dać do zrozumienia, że jej zdaniem to gruba przesada. Dzisiaj, dzięki zastosowaniu soczewek kontaktowych, ma oczy intensywnie niebieskie. Zmieniła także kolor włosów, ufarbowała je na ciemny blond.

- Wszystkie pieniądze leżą nietknięte - tłumaczy z naciskiem. - Nie wzięłam z nich ani marki, chociaż mogłabym je bez trudu przywłaszczyć, bo ilekroć pani mąż dostarcza kolejny list, Ilse każe mi go natychmiast spalić. Ale nie jestem złodziejką, nie biorę cudzych pieniędzy. Mam tylko nadzieję na dowód wdzięczności za przekazane informacje. Państwu zostawiam ocenę, ile są one warte. A mam do wyjawienia szczegóły uknutego przez Ilse planu zemsty.

Flint, niby w zamyśleniu, kładzie dłoń na paczce banknotów i zaczyna wicherzyć palcem ich krawędzie, jakby miała do czynienia z talią kart.

- Kiedy będę rozmawiała z policją, jeśli w ogóle do tego dojdzie - wtrąca pospiesznie, żeby zasugerować, że nie jest to jeszcze przesądzone - mam zaproponować, by nie podejmowano natychmiast działań przeciwko pani mężowi, by nie domagano się, na przykład, ujawnienia źródeł pieniędzy dostarczanych w listach. - Milknie na chwilę, po czym dodaje: - A jest tego bardzo dużo, Frau Krol, w sumie prawie milion marek.

Gospodyni nerwowo odwraca wzrok i zaczyna się wpatrywać w oddalony punkt ponad jej prawym ramieniem.

- Mam też zasugerować, by nie zakładano państwo podsłuchu telefonicznego i nie rozmieszczano ukrytych mikrofonów w waszym mieszkaniu.

Rozgląda się szybko, zatrzymując na krótko spojrzenie w różnych miejscach, gdzie z łatwością można by ukryć urządzenia podsłuchowe.

- A po dokonaniu wstępnych ustaleń z policją Ilse pragnie do was zadzwonić i zażądać rozmowy z pani mężem. Chce mu powiedzieć, aby koniecznie skontaktował się z jej bratem, gdyż potrzebuje większej sumy pieniędzy. Aby uwiarygodnić swoją opowieść, zamierza

uchylić rąbka tajemnicy i zdradzić, że jest bardzo chora i musi się jak najszybciej poddać operacji. Pragnie jednak zaznaczyć, że nie ma zaufania do niemieckich lekarzy, bo to banda głupców, wybiera się więc do Stanów Zjednoczonych, gdzie ma już zarezerwowane miejsce w prywatnej klinice, której właściciel podejmuje się przeprowadzić operację. Dlatego poprosi, żeby natychmiast powiadomić o tym Karla, który jest jej to winien, a ona znalazła się w skrajnej desperacji i jest gotowa na wszystko w celu ratowania życia.

Flint milknie, czekając, aż gospodyni znów na nią popatrzy. Po chwili podejmuje:

- Teraz już pani wie, że Ilse planuje podstępny wybieg. Gdybym nie zdecydowała się ostrzec państwa, po takiej rozmowie Herr Krol z pewnością natychmiast zadzwoniłby do Karla Grobera, dając tym samym policji niezbity dowód, że faktycznie zna miejsce pobytu człowieka poszukiwanego za morderstwo. Zostaliby państwo postawieni w sytuacji bez wyjścia.

Grace podnosi się z fotela, zostawiając pieniądze na poręczy, podchodzi do regału i staje przed olbrzymią wieżą stereo. Z uniesioną w górę dłonią, dla podkreślenia braku innych rozwiązań, mówi:

- Pani mąż będzie zmuszony do ujawnienia policji miejsca pobytu Karła bo w przeciwnym razie sam zostanie oskarżony o współudział w morderstwie. Amerykanie z pewnością wystąpią o ekstradycję, a wobec pani, Frau Krol, jak się obawiam, zostanie wszczęte intensywne dochodzenie policji skarbowej.

Delikatnie przeciąga palcami po obciążonych satyną klawiszach drogiego wzmacniacza wieży.

- Mają państwo tyle wspaniałych rzeczy...

Na dźwięk dzwonka telefonu gospodyni aż podskakuje na miejscu. Zrywa się na nogi, lecz nim zdąży podejść do aparatu, sygnał cichnie.

To umówiony znak, że Grace zostało najwyżej dwadzieścia minut. Manfred Krol został zwolniony i jest już w drodze do domu.

- Na szczęście zdołałam państwa w porę ostrzec - ciągnie jak gdyby nigdy nic Flint. - Niewykluczone, że w przyszłości także będę pomocna. Na przykład mogłabym opóźnić niektóre sprawy o kilka dni. Mogłabym powiedzieć Ilse, że byłam na komendzie, ale policja musi dokładnie rozważyć jej plan. Później zaś mogłabym jej wytłumaczyć, że założenie podsłuchu telefonicznego i rozmieszczenie ukrytych mikrofonów w waszym mieszkaniu zajmie dodatkowo dwa albo trzy dni. W końcu i tak musiałabym spełnić jej prośbę, Frau Krol, lecz pani razem z mężem, jak pozwolę sobie zasugerować, zdążylibyście w tym czasie

załatwić sobie nadzwyczajny urlop. Oczywiście, nie na terenie Niemiec, ani nawet w Unii Europejskiej czy też w Stanach Zjednoczonych.

Grace od samego początku improwizuje, jak zawsze kieruje się wyłącznie instynktem, dostosowując się do okoliczności, zależnie od reakcji rozmówcy. Ale Frau Krol przejawia tylko bezgraniczne zdumienie, słucha wszystkiego niemalże z zapartym tchem.

- Słyszałam - dodaje Flint swobodnym tonem, jakby wtrącała uwagę niezwiązaną z poruszaną sprawą - że o tej porze roku na wybrzeżu Adriatyku jest szczególnie przyjemnie.

Na krótko spojrzenie gospodyni ujawnia skrajne osłupienie. Mam cię! - przemyka Grace przez myśl.

- *Wer sind Sie?* - odzywa się w końcu Frau Krol, po raz pierwszy od początku rozmowy.

Tym razem to Flint robi zdumioną minę.

- Już mówiłam. Nazywam się Hartmann.

- Ale kim pani jest? Twierdzi pani, że mieszka u Frau Grober, ale jest pani Angielką, prawda?

Kręcąc głową, pospiesznie wyjaśnia pochodzenie swego obcego akcentu:

- Moja matka była Angielką, ale ojciec Niemcem. Rozwiedli się, gdy byłam mała. Przez lata mieszkałam razem z nią, dopiero niedawno wróciłam do ojczyzny.

- Skąd pani wie o...? - gospodyni urywa w pół zdania, lecz zaraz pyta inaczej: - Czego pani właściwie chce?

- Dowodu waszej wdzięczności, Frau Krol, oraz pewnej rekompensaty za moje usługi. Przecież to jasne, że mogę być wam bardzo pomocna. Po śmierci Ilse, a więc najdalej za kilka tygodni, dwa, może trzy miesiące, jedynym dowodem przeciwko pani mężowi będą jego listy oraz pieniądze niewiadomego pochodzenia. Mówiąc szczerze, pozwalają one jedynie wnioskować, że co najmniej raz Herr Krol został poproszony przez dawnego przyjaciela, Karla Grobera, o skontaktowanie się z jego siostrą i przekazanie pewnej sumy, lecz ponieważ listy nie są datowane, równie dobrze mogło do tego dojść, jeszcze zanim Herr Grober został oskarżony o morderstwo i stał się poszukiwany międzynarodowym listem gończym. Dopiero treść innych listów, datowanych, pozwoliłaby ujawnić prawdziwy charakter trwającej do dziś głębokiej przyjaźni Herr Krola z mordercą, Karlem Groberem. Jak już powiedziałam, na szczęście owe listy są dobrze ukryte w bezpiecznym miejscu. Zatem pozostaje tylko kwestia pochodzenia pieniędzy, która dla urzędu skarbowego...

Flint nie musi nic więcej mówić, gdyż mina gospodyni zdradza, że dotarł do niej sens tego monologu.

- *Sie sind ein extortionist!* - wykrzykuje Frau Krol.

- Skądże znowu - odpowiada spokojnie Grace. - Sądzi pani, że jestem na tyle głupią by próbować szantażować morderców? Chciałabym dostać tylko to, co państwo uznają za warte moich usług.

Niemka tak gwałtownie pochyła się na krzesło, że Flint nachodzą obawy, iż zamierza się na nią rzucić z pięściami. Ona jednak pospiesznie zgarnia paczki pieniędzy z fotela i drżącą ręką wyciąga je w jej kierunku.

- Proszę to zabrać! - nakazuje ostro. - I wynosić się stąd!

- Dziękuję - odzywa się Grace tonem pełnym wdzięczności. - A co z resztą? Także mogę ją zatrzymać do czasu zakończenia tej nieprzyjemnej historii?

- Tak! Możesz je sobie wziąć! A teraz wynocha!!!

Już w drzwiach Flint odwraca się i dodaje na pożegnanie:

- Proszę pamiętać, Frau Krol, że muszą państwo bardzo uważać podczas rozmów telefonicznych.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Idąc z powrotem przez Grunau w kierunku przystanku tramwajowego, Flint zwraca uwagę na niebiesko-białą furgonetkę z napisem DEUTSCHE TELEKOM posuwającą się kilkaset metrów z tyłu. Samochód ewidentnie ją śledzi, jedzie bardzo wolno i zatrzymuje się wtedy, gdy i ona przystaje przed wystawami sklepów. Ogon jest tak oczywisty, jakby kierowca ustawił za przednią szybą tablicę informacyjną. Upewniwszy się, że nie jest przez nikogo więcej obserwowana, wyjmuje telefon komórkowy i wybiera numer Hartmanna.

- Feliksie, trochę zmarzłam. Dlaczego po prostu nie podjedziesz, żeby mnie zabrać?

Hartmanna w żadnym stopniu nie można obarczać winą za to, że Ridout i Cooper-Cole pozostali na wolności i mogli wrócić do Londynu, aby uwolnić się od odpowiedzialności za fiasko operacji „Zielone Świątki” i bez wątplenia pozacierać za sobą wszelkie ślady, zwłaszcza te, które pozwalałyby powiązać Nicholasa Fellowesa z MI6. To Schnell podjął taką arbitralną decyzję, z której ani trochę nie zamierzał się tłumaczyć Flint.

- Chce ich pan puścić wolno? - zapytała z niedowierzaniem. - Po tym wszystkim, co zrobili?

Schnell siedział na przednim fotelu samochodu. Nawet się nie obejrzał, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Doskonale rozumiem, Grace, co czujesz wobec Ridouta, ale muszę mieć na względzie znacznie szerszy aspekt.

- Nieprawda, Otto, wcale pan nie rozumie, co czuję. - Przez jakiś czas jechali w milczeniu, wreszcie Flint uderzyła pewna myśl. - Czy Cutter o tym wie?

- Sam to zaproponował. Niech ci się nie zdaje, że Ridout odzyska pełną swobodę. Będzie musiał ponieść konsekwencje, zapłaci za wszystko.

- Absolutna racja - odparła Grace szeptem, który usłyszał tylko Hartmann siedzący obok niej.

Mimo to w furgonetce panuje wyczuwalne napięcie, kiedy przeciska się między pulpitemi aparatury podsłuchowej, skinieniem głowy wita technika, potem Feliksa, rozpina wełniany sweter oraz dwa górne guziki bluzki, po czym wyjmując mikrofon przymocowany do brzegu stanika.

Wskazując ruchem głowy magnetofon na pulpicie, pyta:

- Nagraliście wszystko?

Oczywiście ma na myśli rozmowę z Frau Krol, a właściwie swój monolog.

- Każde słowo - odpowiada cierpko Hartmann. - Pewnie nawet więcej, niżbyś chciała?

- Jak mam to rozumieć? - Nie daje jej spokoju świadomość, że Ruth Apple zginęła dokładnie dwa tygodnie temu, właśnie o tej godzinie z dokładnością do kilku minut, toteż nie jest w najlepszym nastroju do jakichkolwiek gier słownych.

- „A jest tego bardzo dużo, Frau Krol” - mówi, przedrzeźniając kulawą niemiecczynę Frau Hartmann. - Rzeczywiście znalazłaś prawie milion marek, Grace?

- Plotłam, co mi ślina na język przyniesie.

Feliks spogląda na nią z niedowierzaniem, jakby chciał powiedzieć: „Chyba kręcisz”.

- Ma to jakieś znaczenie? - pyta Flint.

- Owszem. Milion marek może mieć duże znaczenie.

- Daj spokój, Feliks. Czemu się mnie uczepliłeś?!

Ten niespodziewany wybuch sprawia, że technik nasłuchu ogląda się na nią z jawnym osłupieniem malującym się na spoconej twarzy.

- Ilse nie tknęła ani grosza z cuchnących pieniędzy Karla. Za to ma raka, jest umierająca, a kiedy, jeśli Bóg pozwoli, zgarniemy Grobera, urwie jej się ten dopływ gotówki, więc może wcale nie byłoby najgorzej, gdyby wreszcie z nich skorzystała i przedłużyła sobie trochę życie albo przynajmniej zaznała przed śmiercią odrobiny luksusu. W końcu wyniknąłby z tego jakiś pożytek.

Flint sięga pod brzeg bluzki i odpina nadajnik, ukryty na biodrze przy pasku spódnicy, po czym ze złością odrywa plaster mocujący przewody do jej ciała, nie zważając, że jest to bolesne.

- Jeśli chcesz mieć swój udział w tym łupie, odebrać swoją część działki należnej BND, to proszę bardzo. Tylko miej na uwadze, że w moim pojęciu Ilse jest ofiarą przestępstwa, a nie jego sprawcą, więc nie oczekuj pomocy z mojej strony.

- Jedyne, czego pragniemy - odpowiada z naciskiem Feliks - i na czym zależy doktorowi Schnellowi, to abyś niczego przed nami nie ukrywała. Zrozum, jesteśmy przecież partnerami.

Flint spogląda na niego z rozdziawionymi ustami, dopóki zakłopotany Niemiec nie odwraca głowy.

Na parkingu pod blokiem numer 5 furgonetka Deutsche Telekom z anteną satelitarną na dachu przypomina mrugający jaskrawy neon. Kamera wysokiej czułości ukryta w podstawie talerza anteny rejestruje, że nawet Manfred Krol, mimo zatroskania i rozwścieczenia, którego przyczyną jest pobyt na komendzie policji, przygląda się ciekawie wozowi technicznemu zza szyby swojego mercedesa, obrzucając go uważnym wzrokiem doświadczonego agenta Stasi i uczestnika licznych tajnych operacji terenowych.

Flint także przygląda się uważnie twarzy widocznej na ekranie. Technik, nad którego ramieniem zerkna na monitor, ma na głowie słuchawki, a z nich dolatują zniekształcone dźwięki muzyki z mieszkania numer 107. Jeśli dobrze słyszy, jest to msza h-moll Bacha, toteż uderza ją dziwna zbieżność, że Frau Krol w celu ukojenia zszarganych nerwów wybrała jeden z ulubionych utworów Mandragory.

Znajdę cię, Ben - po raz kolejny niczym mantra przemyka jej przez głowę uparta myśl.

- Cisza - nakazuje szeptem Hartmann.

Krol wysiada z samochodu i rusza powoli w stronę furgonetki krokiem myśliwego wężącego zwierzynę. Znika z pola widzenia kamery. Słysząc, jak ostrożnie ciągnie za klamkę zamkniętych drzwi. Łatwo sobie wyobrazić, że osłaniając dłońmi oczy, próbuje coś dostrzec za przyciemnionymi szybami szoferki. Bez wątpienia dziwny opuszczony pojazd stojący przed jego domem budzi w nim głęboki, lecz w pełni uzasadniony niepokój.

Uciekaj, zajączku! Uciekaj! - nakazuje w myślach Flint.

Krol znów pojawia się na ekranie, zmierzając szybkim krokiem w kierunku tylnego wejścia do budynku. W pośpiechu zapomniał nawet zamknąć mercedesa. Nie ma to większego znaczenia, gdyż nadajnik radiolokatora został już w nim zainstalowany pod osłoną

kolumny kierownicy. Hartmann zdradził, że Krola specjalnie przetrzymywano na komendzie, by technicy mieli dość czasu, aby wybrać najdogodniejsze miejsce do jego ukrycia.

W odróżnieniu od nich Flint nie miała czasu, dlatego jej nadajnik podsłuchowy w mieszkaniu jest przyczepiony na magnesiku do tylnej obudowy wieży stereo, co nie pozostawia większych złudzeń, że jeśli tylko Krol nie jest kompletnym idiotą, odnajdzie go najdalej po upływie pół minuty.

- Musiałam niemal z czułością pogłaskać klawisze wzmacniacza - powiedziała. - Niemożliwe, żeby ona nie zwróciła na to uwagi.

Jeszcze przez kilkadziesiąt sekund czekają w milczeniu, aż wreszcie technik, jedną ręką dociskając słuchawki na głowie, a drugą uruchamiając magnetofon, mówi szeptem:

- Jest przekaz.

- Relacjonuj, co słyszysz - nakazuje Hartmann.

- Dobrze, ale jak podejść bliżej mikrofonu... Na razie tylko ona mówi, lecz nie mogę wyłapać ani słowa... Zaraz... No, wejdźcie głębiej... Już trochę lepiej... Teraz on się odzywa... „Dlaczego ją wpuściłaś do mieszkania?”. „Powiedziała, suka, że jest sublokatorką Ilse, ale przyszła tylko po to, żeby nas szantażować”, i tak dalej... „Już gdzieś ją kiedyś widziałam... Nie mogę sobie przypomnieć gdzie”... „Opisz ją”... „Niepozorna, włosy farbowane na blond, zacięta mina”... - Technik zerka z ukosa na Grace. - „Twierdziła, że jej ojciec był Niemcem, ale mówiła z okropnym akcentem, amerykańskim albo angielskim”, i tak dalej... „Zamknij się!”. To on krzyczy. Rety, chyba jest nieźle wkurzony. „Gdzie była?”. Ona nie rozumie, o co mu chodzi... „Gdzie się kręciła? Gdzie siedziała? Tu, na kanapie?”... Oho, zaczyna przewalać graty, chyba zwyczajnie zrzuca rzeczy z regału na podłogę... „Gdzie jeszcze, kobieto? Gdzie chodziła? Czego dotykała?”. „Podeszła tutaj. Czego szukasz?”. „Bądź cicho”...

Flint spogląda na zegarek. Od jego wejścia do mieszkania minęła minuta i czterdzieści sekund, a nadajnik wciąż działa. A więc jednak Krol jest kompletnym idiotą.

- Cholera!

Peter podskakuje na miejscu, jakby dostał pięścią w brzuch, i błyskawicznie zrywa słuchawki z głowy.

Grace uświadamia sobie, że jednak się pomyliła. To nie msza Bacha, ale Pasja według świętego Mateusza. Z rzuconych na pulpit słuchawek dolatuje charakterystyczne finałowe crescendo puszczonego na cały regulator nagrania.

Trzy, cztery, pięć... - Grace odlicza w myślach, w regularnych odstępach czasu bezskutecznie naciskając dzwonek mieszkania numer 107, na który nikt nie reaguje.

- Jesteś pewna, że chcesz przez to przejść? - zapytał Hartmann, gdy wysiadała z furgonetki.

Miała ochotę odpowiedzieć szczerze, że nie bardzo, ale by jej plan mógł się powieść, ktoś musiał nasilić jeszcze zamęt panujący obecnie w rodzinie Krolów, a ona była jedyną kandydatką do wypełnienia tej misji.

- Frau Krol, tu Hartmann! - mówi spiętym szeptem przez drzwi. - Jest pani tam? Mam ważną wiadomość.

W mieszkaniu panuje grobowa cisza, ale Grace jest przekonana, że wyczuwa czyjąś obecność za zamkniętymi drzwiami. Obawia się, że lada chwila otworzą się gwałtownie i małżonkowie równocześnie rzucają jej się do gardła. Siłą woli opanowuje instynktowną chęć ucieczki i puka pięścią w drzwi.

- Proszę posłuchać. Obie zostałyśmy wykiwane.

Stara się mówić z lekką zadyszka, żeby zasugerować, że przybiegła tu, ile sił w nogach.

- Kiedy wróciłam do domu, policja już tam była. Widocznie Ilse ją wezwała. Nie wiem, co powiedziała gliniarzom, ale niewykluczone, że już jest za późno. - Milknie na chwilę, by Krolowie mogli sobie zadać w myślach pytanie: Na co za późno? - Wróciłam, żeby was ostrzec. Szukajcie ukrytych mikrofonów i nadajników. Nie rozmawiajcie przez telefon. Rozumiecie?

To jasne, że na pewno nie jest jeszcze za późno, by uciekać. Grace liczy na to, że jej powtórna wizyta skłoni mieszkańców do takiego właśnie wniosku.

- Ja nie wracam już do domu. Wyjeżdżam z Lipska. - Po krótkim namyśle dodaje na pożegnanie: - Powodzenia, Frau Krol.

Uciekajcie, zajączki! Uciekajcie!

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Flint wie, że pod osłoną kolumny kierownicy w mercedesie Krola technicy zainstalowali nowoczesny radiolokator, który na podstawie odczytów GPS może przesyłać do odbiornika informacje o swoim położeniu w dowolnym miejscu na ziemi, z dokładnością do trzystu metrów, jeśli tylko pozostanie w zasięgu łączności satelitarnej - co zresztą nie daje jej żadnej satysfakcji, gdyż od siedemnastu godzin samochód stoi w tym samym miejscu.

Doskonale go widać na parkingu z okien tymczasowego schronienia, które załatwił jej doktor Schnell, by mogła trochę wypocząć. W małym pokoju mieszkania numer 117, znajdującego się piętro wyżej, dokładnie nad mieszkaniem Krolów - wynajętym przez BND od osłupiałych lokatorów pod pozorem koniecznych działań dotyczących „bezpieczeństwa narodowego” - jest tylko nieduży dziecięcy tapczanik zawalony niewiarygodną liczbą pluszowych maskotek. Pod klepką podłogową zostały rozmieszczone czujniki ciepła, które potwierdzają obecność dwojga ludzi w mieszkaniu poniżej, a czułe mikrofony od czasu do czasu wyłapują odgłosy ich domowej aktywności, lecz wciąż nie pada ani jedno słowo. Hartmann już dawno temu wysnuł wniosek, że Krolowie porozumiewają się między sobą, wymieniając pisemne notatki.

Wielkie dzięki, Feliksie! Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego nie uciekają? No co jeszcze czekają?

W ciągu nocy Frau Krol dwukrotnie wychodziła z mieszkania. Po raz pierwszy parę minut po dwunastej, kiedy to zauważono, jak przechodzi korytarzem obok windy i kieruje się do schodów, nie zdołano jednak ustalić, czy poszła na dół, czy na górę, gdyż wtedy jeszcze technicy Schnella zdążyli zainstalować kamery tylko na dziesiątym piętrze. Ale z pewnością kobieta nie wyszła z budynku i po trzydziestu pięciu minutach wróciła do mieszkania.

Na drugą wyprawę ruszyła krótko przed piątą rano i także zniknęła na schodach. Kilka minut później jeden z agentów obserwujący z dachu parking musiał pospiesznie szukać schronienia, kiedy Frau Krol wyłoniła się z wjazdu nie dalej niż osiem metrów od jego stanowiska.

Podeszła do krawędzi i zaczęła z góry spoglądać na plac przed domem, ale nie zainteresowała się bliżej małą furgonetką, która skręciła z ulicy, ale tylko okrążyła parking i pojechała dalej.

- Stała tam jak wmurowana - zameldował później agent - chociaż nic się nie działo, w zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

Po pięciu minutach kobieta wróciła do środka i zeszła schodami na dziesiąte piętro. Kiedy przed drzwiami mieszkania znalazła się w polu widzenia kamery, miała całkowicie obojętny wyraz twarzy.

- W porządku, Feliksie. Posppekulujmy jeszcze trochę - odezwała się kwaśno Flint, której na nerwy działało pełne napięcia, przedłużające się oczekiwanie. - Jak myślisz, co to wszystko może oznaczać?

- Sądzę, że zadzwonili po pomoc i ktoś ma ich stąd zabrać. Moim zdaniem, Krol doszedł do wniosku, że podróż własnym samochodem byłaby ryzykowna ze względu na łatwość jego namierzenia, dlatego postanowił użyć jakiegoś innego środka transportu. Wygląda na to, że za pierwszym razem jego żona poszła do znajomego sąsiada i poprosiła o możliwość skorzystania z telefonu, a za drugim - na dach, chyba po to, żeby odebrać umówiony sygnał od człowieka, do którego wcześniej dzwoniła.

- I co?

- Czy go odebrała? - Hartmann wzrusza ramionami. - Może ta furgonetka, która okrążyła parking, była właśnie tym znakiem? Zwróć uwagę, że nie musiała przejeżdżać przez całą jego długość, by zawrócić, więc może jedna pętla miała oznaczać, że oczekiwana pomoc przybędzie za godzinę?

Ale od tamtego czasu upłynęło aż sześć bezsennych godzin i nadal nic się nie dzieje. Flint jest coraz bardziej przekonana, że Hartmann ma rację i Krolowie czekają na kogoś, kto ich stąd zabierze. Tylko jak długo będzie to jeszcze trwało?

A jeśli wcale nie czekają na samochód? - podpowiada jej drugie ja.

Co takiego?

Przecież wcale nie muszą uciekać samochodem.

Grace zamyka piekące oczy i próbuje się skoncentrować.

To jasne, że nie czekają na samochód!

Ma ochotę dać sobie po pysku za to, że tak późno się domyśliła.

Zeskakuje z łóżka, wybiega z pokoju i zaczyna rozglądać się za Schnelllem. Słyszy, że w kuchni rozmawia z Hartmannem. Wpada tam z takim impetem, jakby się paliło, i rzuca jednym tchem:

- Śmigłowiec! Krolowie czekają na transport powietrzny!

Tym razem z wieży stereo płynie muzyka Wagnera, patetyczne tony *Walkirii*, które jej zawsze kojarzyły się z łoskotem helikopterów. Czyżby miał to być przejaw ironii Krola? Mało prawdopodobne, ponieważ dawni agenci Stasi są całkowicie pozbawieni poczucia

humoru. Wszystko wskazuje na to, że głośna muzyka ma na celu zagłuszyć odgłosy pakowania się do wyjazdu.

Dochodzi pierwsza po południu i Flint jest już pewna, że jedno okrążenie parkingu przez furgonetkę miało oznaczać godzinę odlotu. Wreszcie małżonkowie wychodzą z mieszkania. Mają niewielki bagaż, ona niesie małą torbę podróżną, on lekką walizkę. Ubrani w ciepłe płaszcze bez pośpiechu mijają windę i kierują się do schodów, sprawiając wrażenie dobrze sytuowanej pary w średnim wieku, która przyjechała w odwiedzinach do dzieci.

Nie ma już obserwatorów na dachu. Schnell wycofał wszystkie zespoły, pozostała tylko samotna kamera na szczycie sąsiedniego wieżowca, z której czarno-biały obraz jest przekazywany do monitora stojącego na kuchennym stole w wynajętym mieszkaniu. Technik usiłujący poprawić jakość obrazu uśmiecha się przepraszająco, jakby chciał powiedzieć: „Nic więcej nie dam rady zrobić w tych warunkach”. Grace odpowiada wyrozumiałym skinieniem głowy. Przypomina sobie Rocco Moralesa gorączkowo próbującego uzyskać obraz jachtu stojącego na przystani East River, z dużym, zasłoniętym brezentem urządzeniem na dachu nadbudówki.

- Uwaga! - mówi ostrzegawczo, zauważywszy dwie sylwetki wyłaniające się z wjazdu. Hartmann i Schnell podchodzą bliżej. - Tym razem wszystko nam się uda, prawda, Feliksie? - dodaje ciszej, bardziej chcąc stłumić swoje zdenerwowanie niż usłyszeć odpowiedź.

Jest za minutę pierwsza. Krolowie zaczynają się rozglądać po niebie, po chwili on wskazuje coś nad południowo-wschodnim horyzontem, ona zaś spogląda w tamtym kierunku, osłaniając oczy od słońca. Hartmann podbiega do otwartego okna, zza którego słychać już przybierający na sile terkot wirnika śmigłowca, wzmocniony zwielokrotnionym echem powstającym między stłoczonymi wieżowcami osiedla Grunau.

Parę sekund później na monitorze pojawia się czarny cień maszyny lądującej na dachu domu, poły płaszczy Krolów zaczynają powiewać w strugach powietrza. Wreszcie śmigłowiec ukazuje się w polu widzenia kamery. Jest czarny, bez żadnych oznaczeń, nie ma nawet numeru rejestracyjnego na ogonie. Pilot ustawia go precyzyjnie, manewrując między wylotami szybów wentylacyjnych i antenami telewizyjnymi.

- Co to za model? - pyta Schnell, gdy helikopter siada na dachu.

- Moim zdaniem Robinson R44, ale zaraz sprawdzę - mówi Hartmann, sięgając po telefon komórkowy.

Flint dostrzega przez bańkę kopuły, że za sterami siedzi tylko jeden człowiek. Świetnie wie, że gdyby Otto podejrzewał, iż jest to Karl Grober we własnej osobie, nigdy by

nie zaakceptował jej ryzykownego planu śledzenia trasy nisko lecącej maszyny z pomocą kontrolerów ruchu lotniczego.

Otwierają się drzwi po obu stronach kadłuba i małżonkowie, nisko pochyleni, wciskając głowy w ramiona pod wirującym rotorem, ruszają biegiem w jego kierunku. Jakby czytając w jej myślach, Schnell odzywa się półgłosem:

- Niewykluczone, Grace, że widzimy ich po raz ostatni.

- Zaufaj mi, Otto.

- Przecież tak właśnie robię. Hartmann kończy rozmowę i komunikuje:

- Zgadza się, to R44 znany także pod nazwą Raven. Jego maksymalny zasięg wynosi około sześciuset kilometrów, jeśli ma zapasowy zbiornik paliwa, więc nie dolecą stąd aż nad Adriatyk, będą musieli po drodze zatankować, prawdopodobnie w Austrii... - Podchodzi do wielkiej mapy Europy rozpiętej na ścianie. - Gdzieś tutaj... na przykład w Wolfsbergu. Do Chorwacji zapewne polecą dalej nad Słowenią, a tam... - Unosi obie ręce w górę. - Któż to wie? Wybrzeże ma koło pięciuset kilometrów długości, wzdłuż niego leży ponad tysiąc wysp...

Flint słucha go jednym uchem. Krolowie są już na pokładzie, zamykają za sobą drzwi i chwilę później śmigłowiec startuje z dachu. Wolno pochyła się na bok i wykręca łukiem, podobny do wielkiego czarnego kruka, których stado uciekało znad ogarniętego płomieniami Miller's Reach.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY

- Grace, to ja - rozlega się w słuchawce głos Aldusa Cuttera, co ją zaskakuje, bo gdy ostatni raz dzwoniła do Ameryki, lekarze wydali mu stanowczy zakaz prowadzenia jakichkolwiek rozmów. Jerry Crawford powiedział, że dyrektora dopiero niedawno zabrano z oddziału intensywnej opieki, a pielęgniarka zaaplikowała mu dodatkową dawkę środków nasennych, gdy przyłapała go na próbie dzwonienia do siedziby wydziału. Dodał, że trzeba było niemal przywiązać Cuttera do łóżka, postraszyć najgorszymi konsekwencjami i oczywiście zabrać telefon z pokoju. To jednak bez wątpienia on zbudził ją w środku nocy. Nie dając nawet czasu na zebranie myśli, rzuca szybko: - Musimy porozmawiać.

- Jak się pan czuje?

- Świetnie. To był fałszywy alarm, a może raczej tylko dzwonek ostrzegawczy. Ale nie będę ci teraz opowiadał o sobie. Chodzi o twojego ojca.

W pokoju jest ciemno, Grace nie może namacać włącznika lampki, a nogi zaplątały jej się w skopaną koldrę.

- Nie umiem gadać ogólnikami pełnymi słów pocieszenia, dlatego powiem wprost. John nie wyszedł z tego.

- John? - powtarza szeptem imię ojca, jakby nie mogła skojarzyć, o kim mowa, gdyż podświadomie odpycha od siebie tragiczną wiadomość.

- Niestety, zmarł, Grace. Zdaje się, że dostał zapalenia płuc. Brakuje mi słów, żeby ci przekazać, jak piekielnie mi przykro z tego powodu.

To nieprawda! To nie może być prawda!

Chcąc jednak dowieść kłamstwa, musi się wygrzebać z pościeli, toteż zaczyna wierzgać nogami i ciągnąć koldrę, nie zważając na to, co mówi Cutter. Wreszcie uwolniona, spuszcza jedną nogę na ziemię, okazuje się jednak, że pod łóżkiem nie ma podłogi. Z drugą nogą wciąż zaplątaną w koldrę, traci równowagę i panicznie wyciągając przed siebie ręce, spada w mroczną otchłań.

Budzi się nagle. W pokoju wcale nie jest ciemno. Ze zdziwieniem przyjmuje to, że siedzi na podłodze, oparta plecami o brzeg dziecięcego tapczaniku, obejmując rękoma nogi podciągnięte do brzucha. Obok leży jej telefon komórkowy, roztrzaskany na dwie części.

Dochodzi do wniosku, że musiała się stoczyć z tapczanu, uderzyć się w głowę i stracić przytomność, ponieważ nie może sobie przypomnieć, co robi w dziecięcym pokoiku, w samych majtkach i za ciasnej bawełnianej koszulce. Nie kojarzy też, gdzie się podzieli Otto i Feliks, nie wie nawet, czemu to miałyby być ważne. Nagle serce podchodzi jej do gardła na wspomnienie przerwanej rozmowy telefonicznej z Cutterem.

- Grace! Czy jest w pobliżu Feliks albo Otto? Podejrzewam, że dostałaś szoku, a kiedy z niego wyjdiesz, będzie ci się zdawało, że to zły sen. Ale to nie sen. Dlatego nie chcę, żebyś była sama, gdy to się zdarzy. Grace? Jesteś tam? Grace, proszę, daj mi Feliksa do telefonu!

Nie mogę. Roztrzaskał się. Spadłam z łóżka i rozwaliłam mój aparat. Matko Boska!

Sięga po niego i gorączkowo próbuje złożyć razem obie części, mając nadzieję, że będzie działał. Nic jej z tego nie wychodzi, więc rzuca nim o ścianę. Podrywa się na nogi, wybiega z pokoju i zaczyna się rozglądać po mieszkaniu, w którym nie ma nikogo oprócz niej. Nawołuje to Feliksa, to znów Schnella, ale nikt nie odpowiada.

Na szafce w korytarzu stoi telefon stacjonarny. Podbiega do niego, łapie za słuchawkę i zaczyna wybierać numer, ale i tego nie może sobie przypomnieć. Wraca więc do małego pokoju, odnajduje torebkę, wyciąga z niej notes z adresami i biegiem wraca do aparatu. Wybiera numer, ale się myli, robi to po raz drugi, nakazując sobie w myślach spokój.

Niecierpliwie czeka na połączenie, zasłuchana w sygnał wywoławczy. Musi sobie powtarzać, żeby rytmicznie oddychać.

Błagam, odbierzcie...

- Słucham, oddział intensywnej opieki - rozlega się dźwięczny kobiecy głos, zapewne dyżurnej pielęgniarki.

Nabiera głęboko powietrza i mówi:

- Tu Grace Flint. Dzwonię, żeby zapytać o stan mojego ojca. Czy mogłaby pani...

- Och, witam, panno Flint! - pada, jakby to była towarzyska pogawędka, nic ważnego.

- Zaraz zawołam siostrę oddziałową. Proszę zaczekać.

- Chwileczkę!

Ale jest za późno, rozlega się stuk odkładanej słuchawki. Grace czeka niecierpliwie, wsłuchując się w szum na linii. Kiedy w słuchawce coś pstryka, nachodzą ją obawy, że połączenie zostało przerwane. Zaraz jednak dolatuje stłumiony gwar i po chwili rozlega się głos, ale nie siostry oddziałowej, lecz męski:

- Halo! Jest pani tam?

- Oczywiście.

- To świetnie. Mówi Baxter. Przepraszam za to zamieszanie, ale próbowaliśmy się z panią skontaktować, tyle że pani telefon nie odpowiadał, widocznie się zepsuł, dlatego...

- Doktorze, na miłość boską! Proszę... - Grace przełyka ślinę i wyrzuca z siebie przez ściśnięte gardło: - Proszę mi tylko powiedzieć, doktorze, czy mój ojciec żyje?

- Czy żyje? Ależ tak, rzekłbym, że aż nadto daje tego dowody. - Baxter chichocze. - Ocknął się ze śpiączki zaraz po północy. Nagle otworzył oczy i usiadł, czym śmiertelnie przstraszył dyżurną pielęgniarkę. Właśnie z tego powodu próbowaliśmy się z panią skontaktować, lecz telefon nie odpowiadał. Teraz mogę już przekazać, że pani ojciec niezupełnie wrócił do stanu przed urazu, objawiła się afazja oraz amnezja. Na przykład, nie do końca wie, kim jest, chociaż doskonale pamięta panią. Bardzo chce wiedzieć, gdzie pani jest, do cholery, jak pozwolę sobie zacytować jego słowa. Można się pocieszać, że zanik pamięci jest prawdopodobnie przejściowy, muszę jednak zaznaczyć, że to dopiero pierwszy dzień po odzyskaniu świadomości i trzeba jeszcze wykonać wiele badań...

Flint nie słyszy już dalszej części wyjaśnień neurologa. Ma nieznośne wrażenie, że mózg jej się rozplywa. Podświadomie usiłuje znaleźć dowód na to, że nie śni, więc tak mocno przygryza dolną wargę, aż czuje na języku smak krwi. Mimo woli wyrzywa jej się z gardła cichy jęk, toteż Baxter urywa nagle i pyta z troską w głosie:

- Halo! Czy coś się stało, panno Flint?

Gdyby tylko mogła dobyć z siebie głosu, wykrzyknęłaby radośnie: „Nie! Skądże!”.

Upewniwszy się, że to nie sen, idzie do kuchni, chcąc zaspokoić olbrzymie pragnienie, i znajduje na stole kopertę zaadresowaną do niej kaligraficznym charakterem pisma Schnella. W środku znajduje się kasetka magnetofonowa i nic poza nią, nie ma żadnej karteczki z wyjaśnieniem. Grace rozgląda się gorączkowo, ale nie ma tu magnetofonu.

Coraz bardziej zaniepokojona, zaczyna przeszukiwać mieszkanie i w dziecięcym pokoiku odkrywa tandetną miniwieżę z półprzezroczystą obudową z czerwonego plastiku. Pospiesznie wkłada kasetę do kieszeni magnetofonu, wciska klawisz odtwarzania i z głośnika rozlega się dudniący głos Schnella:

- Dobry wieczór, Grace!

Wieża jest ustawiona tak głośno, że Flint aż krzywi się z bólu. Zatrzymuje odtwarzanie, kręci gałką głośności i ponownie uruchamia magnetofon.

- W każdym razie mam nadzieję, że słuchasz tego wieczorem, ponieważ bardzo jest ci potrzebny wypoczynek. Uznaliśmy wspólnie, że w ostatnich dniach działałaś nazbyt intensywnie.

Stopniowo wracają jej wspomnienia. Po odlocie śmigłowca Schnell i Hartmann zaczęli się spierać co do czasu trwania drugiej części akcji. Otto utrzymywał, że maszyna doleci na miejsce za osiem do dziesięciu godzin, podczas gdy Feliks uzasadniał, że z powodu konieczności międzylądowania i uzupełnienia zapasu paliwa, jak również zmęczenia pilota, rejs potrwa dwanaście do czternastu godzin. Tak czy inaczej, obaj uznali, że starczy czasu na to, by ona dobrze wypoczęła. W końcu nie pozostało im nic innego, jak tylko czekać na wyniki. Oczywiście, obaj solennie obiecali, że ją zbudzą, kiedy nadejdą wiadomości. Otto kategorycznie polecił jej iść do łóżka, a Feliks podjął się ochoczo zrobić jej gorącej herbaty. Grace nie miała nawet siły, by zaprotestować.

Ty łobuzie! Dosypałeś mi czegoś do herbaty!

Na pewno użyli ogólnodostępnych środków nasennych z barbituranami, na które jest uczulona. To wyjaśnia, dlaczego aż tak bardzo chce jej się teraz pić.

- Miałaś całkowitą rację, że polecą na wybrzeże Adriatyku - mówi z nagrania Schnell.
- Kiedy następnym razem przeczytam w gazetach, gdzie mogę znaleźć podejrzanego, na pewno nie zlekceważę tych informacji, nawet jeśli opublikuje je „Bildzeitung”. W trakcie przelotu śmigłowca wystąpiły tylko drobne kłopoty ze śledzeniem jego trasy. Na szczęście władze chorwackie ochoczo zgodziły się na współpracę i przyniosło to doskonałe rezultaty. Dzięki tobie wiemy już dokładnie, gdzie przebywa Karl Grober. Miałaś też rację w innej kwestii, Grace.

Jest z nim Mandragora. Obaj jak szczury dali się schwytać w tę samą pułapkę.

Rozlega się dzwonek telefonu. W pierwszej chwili Flint sądzi, że to dzwoni aparat stacjonarny w przedpokoju, ale terkot szybko milknie i z głośnika magnetofonu dolatuje stłumiony głos Hartmanna, który odebrał połączenie. Rozlega się trzask oznaczający, że nagranie zostało wstrzymane na jakiś czas. Po chwili Schnell podejmuje znacznie szybciej, jakby zaczęło mu się nagle spieszyć:

- Właśnie z powodu obecności na miejscu Mandragory postanowiliśmy cię nie budzić, Grace. Nie możesz lecieć z nami do Chorwacji, nie możesz uczestniczyć w ostatniej fazie działań, ponieważ boimy się twoich reakcji. Uzgodniliśmy to z Aldusem, jeszcze zanim... - Niemiec urywa na krótko, dobierając widocznie stosowne określenie - ...doszło do twojego starcia z Ridoutem. Jesteś za bardzo zaangażowana osobiście, Grace. Zostałaś tak perfidnie zdradzona, że teraz musisz nam zostawić ostateczną rozprawę z Mandragorą. O co chodzi? - To pytanie jest wyraźnie skierowane do Hartmanna, który przed chwilą coś powiedział. - Ach, tak. Feliks przypomniał mi, bym cię powiadomił, że Cutter bardzo szybko dochodzi do siebie.

Mam gdzieś Cuttera! Mam gdzieś Feliksa! Pocałujcie mnie wszyscy w dupę!

Zaczyna się pospiesznie ubierać w rzeczy Frau Hartmann, gorączkowo zestawiając w myślach listę koniecznych działań: musi zadzwonić po taksówkę i wrócić do domu Ilse po swoje rzeczy, a potem od razu, tą samą taksówką jechać na lotnisko. Tylko dokąd lecieć? Prawdopodobnie we Frankfurcie można złapać połączenie do Zagrzebia. Tam wynająć samochód i ruszyć w kierunku wybrzeża...

A co potem?

- W drodze jest już Crawford, który, zgodnie z procedurą, będzie reprezentował wasz wydział podczas aresztowania - ciągnie Schnell. - Wysłuchaj mnie, Grace. Domyślam się, co ci teraz chodzi po głowie, ale byłoby głupotą z twojej strony, byś próbowała nas wyśledzić. Nawet gdyby ci się to udało i jakimś cudem dopadłabyś Mandragorę, mogłabyś zrobić tylko to, na czym tak bardzo zależy Ridoutowi. Tylko się zastanów. On by bardzo chciał, żebyś odnalazła i wyeliminowała jego tajnego agenta, który za dużo wie. Przede wszystkim wie o wiele za dużo o całym robactwie, jak ty to nazywasz.

Flint słucha tego jednym uchem. Musi pobrać pieniądze z bankomatu i kupić nowy telefon komórkowy.

Schnell wzdycha głośno do mikrofonu, jakby dobrze wiedział, że jego tłumaczenia są zwykłą stratą czasu.

- Na dole czeka na ciebie nasz samochód, a przed drzwiami czuwają dwaj ludzie. Otrzymali kategorię rozkaz, aby odeskortować cię do Berlina, kupić bilet do Anglii i wsadzić cię do samolotu. Tylko do Anglii i donikąd indziej, Grace. Zanim dotrzesz na miejsce, będzie już po wszystkim.

Dwóch ludzi, Otto? Tylko dwóch?

- Wracaj do domu, Grace. Twój ojciec bardzo cię potrzebuje.

WYSPA KORCULA

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

- To Ilse cię zdradziła!

Złowieszcze słowa wypowiedziane już wcześniej przez telefon teraz padają po raz drugi. Krol stoi pośrodku obszernego salonu Villa Dora, nerwowo zaciskając pięści, wciąż w grubym płaszczu, z twarzą pobladłą od zmęczenia długą podróżą śmigłowcem, ale śmiało wytrzymuje ostre spojrzenie Grobera.

- Musisz się z tym pogodzić, Karl, że twoja siostra wydała nas obu.

- Dość!

- Ona cię nienawidzi, zawsze...

- Zamilcz!

Z szybkością zdumiewającą jak na człowieka jego postury Grober nagle doskakuje do Krola i wierzchem dłoni wymierza mu policzek, aż ten leci do tyłu, i nie czekając, aż odzyska równowagę, uderza go drugi raz, powalając na kolana. Żona Krola piszczy histerycznie, a zamroczona winem Sabine zaczyna się gramolić z kanapy, żeby go powstrzymać.

Ale Grobera nie sposób pohamować. Błyskawicznie wymierza kolaniem cios w gardło przyjaciela, a gdy Krol pada na wznak, siada okrakiem na piersi i jedną ręką przyciskając ramiona do podłogi, drugą zaczyna metodycznie okładać po boku głowy, to z jednej strony, to z drugiej, najpierw lewą pięścią, potem prawą nie zważając na głośne protesty obu kobiet i ich próby odciągnięcia go od leżącego. Dopiero w pełni wyładowawszy swą wściekłość, wstaje i spogląda z góry na nieprzytomnego Krola, na jego krwawiące obie małżowiny, następnie gwałtownie rozpycha kobiety i bez słowa wychodzi z pokoju.

Przyczyną tego wybuchu wściekłości Karla Grobera jest Mandragora, a konkretnie to, że nie można go odnaleźć. Wcześniej tego dnia Fabien obiecywał mu przez telefon, że jego ludzie są już bardzo blisko, złapali świeży trop poszukiwanego w banku w Bordeaux, w

którym wypłacił część pieniędzy z konta, i podążyli za nim do portu w La Rochelle, gdzie Mandragora najwyraźniej szukał jachtu do kupienia. To już tylko kwestia najbliższych godzin, gdy go dopadną obiecał Francuz.

Kiedy już to się stanie, pobawią się z nim przez kilka dni, aby nauczyć go, jak wielki popełnił błąd, dopiero później zabiją i zatopią zwłoki w Atlantyku. Oczywiście to wszystko na jego rozkaz.

Teraz jednak trzeba było zmienić ten plan.

W piwnicy przekształconej w centrum łączności, już całkiem spokojny, puściwszy w niepamięć incydent z Krolem, Grober pisze wiadomość e-mailową do Fabiena, w której zmienia wcześniejsze instrukcje.

Mają unieszkodliwić Mandragorę, ale go nie zabijać, utrzymać przy życiu w takim stanie, by nadal mógł odczuwać ból, i przywieźć jak najszybciej na Korculę, najlepiej wycarterowanym szybkim śmigłowcem, ponieważ cena nie gra roli.

Wysłała tę wiadomość i czekając na potwierdzenie odbioru od Fabiena, otwiera drzwi zamykające wejście do tunelu. Ładunki wybuchowe owinięte czarną plastikową folią są przymocowane do kolumn podtrzymujących fundamenty Villa Dora, z pierwszej paczki Grober wyjmuje cylindryczny iskrownik, z którego wychodzą kable elektryczne. Nie ma zaufania do urządzeń zegarowych żadnego typu, dlatego stosuje ładunki z zapłonem prochowym, którego opóźnienie zależy wyłącznie od długości użytego lontu, tę zaś trzeba dobrać nadzwyczaj dokładnie. Raz, przed laty, źle wymierzył jego długość i bomba podłożona w hotelu w Managui eksplodowała przedwcześnie, kiedy był jeszcze w holu, toteż znalazł się wśród poranionych odłamkami szkła. Pamiątką po owym zdarzeniu jest blizna na prawym przedramieniu, dokładnie piętnaście centymetrów długości, służąca mu od tamtej pory za miarę do wyznaczania długości lontu.

Odciąwszy potrzebny kawałek, podłącza kable iskrownika do wyzwalacza mającego wielkość paczki papierosów z dwoma przyciskami na obudowie. Musi sprawdzić działanie układu i choć traktuje to jak czynność rutynową, doskonale znaną i wykonywaną dotąd już wiele razy, to jednak odczuwa drobne ciarki na plecach, niebędące przejawem strachu, lecz świadomości śmiertelnego zagrożenia. Wcisną pierwszy klawisz oznaczony napisem ŁADOWANIE i czeka, aż zapali się zielona dioda kontrolna, oznaczająca, że w kondensatorze zebrał się wystarczający ładunek, by wyładowanie między elektrodami iskrownika zdołało zapalić lont. Wreszcie ostrożnie zdejmuje palec z obudowy, uważając, by przypadkiem nie potrać drugiego przycisku oznaczonego napisem ODPALENIE.

Wszystko jest w porządku. Tymczasem Fabien potwierdził odbiór wiadomości, toteż Groberowi nie pozostaje nic innego, jak cierpliwie czekać na dostarczenie Mandragory.

Podaje decyzję, że tej nocy nie zmrúży oka. Zdejmuje z haka na ścianie latarkę i rusza tunelem w kierunku drugiego wyjścia po przeciwnej stronie wzniesienia, gdzie ukryty wśród gęstej kępy pinii będzie mógł w spokoju nasłuchiwać oczekiwanego terkotu nadlatującego helikoptera.

MID COMPTON

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Grace pracuje w gabinecie ojca, zmuszona do tego, by zająć się kilkoma nagłymi przypadkami. Doktor Flint nie odzyskał jeszcze na tyle sił, by wrócić do swojej praktyki, tymczasem suczka collie sąsiadów porzuciła swoje małe i siedem szczeniąt trzeba niemal przez okrągłą dobę karmić mlekiem z butelki. To ogłupiające zajęcie, ona ma jednak nadzieję, iż dobrze jej zrobi na zranioną duszę.

- Grace! Gracie! - woła John Flint z wysokiej skarpy przed domem, wciąż nie mogąc się nauczyć korzystać z interkomu, który specjalnie dla niego zainstalowała. - Kochanie, przeglądam rachunki, ale nigdzie nie mogę znaleźć książeczki czekowej. I nie pamiętam, gdzie ją schowałem. Mogłabyś mi pomóc?

Po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich dziesięciu dni Grace rzuca wszystko i wychodzi ze stodoły, żeby poszukać kolejnej zaginionej rzeczy albo przypomnieć ojcu to, co chwilowo uleciało mu z pamięci.

- Jestem nieznośny, prawda? - pyta ze wstydliwym uśmiechem, patrząc, jak córka wchodzi po schodach.

- Piekielnie.

- I pewnie doprowadzam cię do szału. Sam nie wiem, jak możesz ze mną wytrzymać.

- Skoro już o tym mowa, chyba będę musiała się od ciebie uwolnić na jakiś czas.

Szeroko uśmiechnięta, obejmuje go w pól i prowadzi z powrotem do domu. Mimo grubej marynarki bez trudu wyczuwa pod ręką wystające zebra i kościsty łokieć, gdyż jest straszliwie wychudzony. W jej oczach postarzał się nagle o dziesięć lat i utracił bardzo dużo ze swej sprawności, toteż Grace uświadamia sobie ze strachem, że przerażająco szybko stał się godnym politowania staruszkiem.

Na szczęście dość szybko odzyskał siły i z dnia na dzień mogą się razem wypuszczać na coraz dłuższe spacerory. Ma jednak wyraźnie przytępioną bystrość umysłu, od czasu do czasu zapada w stan odrętwienia, a Baxter, opiekujący się nim neurolog, ostrzega wprost, że pod tym względem jego stan niewiele się już poprawi, a co gorsza, w znaczący sposób wpłynie to na wydolność jego pamięci.

Amnezja powoli ustępuje, ale oprócz wyraźnych luk w starszych wspomnieniach dręczy go jedno zdumiewające skojarzenie. John Flint dokładnie pamięta tamten wieczór, kiedy, jak sądzi, przewrócił się i rozbił sobie głowę; pamięta, że najpierw rozmawiał z zięciem na tarasie, potem weszli do środka na drinka, gdzie rozmawiali jeszcze do późnej nocy o pracy Bena, chorobie jego matki i jego miłości do Grace. Jednakże, co zdumiewające, ojciec jest prawie pewien, że ona także była w domu tamtego wieczoru, że grali w szachy, a gdy partia zakończyła się jej druzgocącą porażką za karę musiała mu przygotować na kolację tosty z serem. W ogóle nie dopuszcza do siebie myśli, że poważny uraz głowy jest wynikiem brutalnej napaści Bena - a właściwie nie Bena, gdyż jego zięć posługujący się tym imieniem w rzeczywistości nigdy nie istniał, o czym również nie ma pojęcia, ponieważ córka nie powiedziała mu prawdy.

Nie wie także, że człowiek, którego traktował jak zięcia, nie żyje.

Grace postanawia wyjawic mu wszystko w najbliższym czasie, może nawet jeszcze tego popołudnia, po powrocie ze spaceru.

- Kochanie, czy nie mówiłaś przypadkiem, że Ben ma przyjechać? - pyta doktor Flint nie po raz pierwszy od chwili powrotu do domu.

- Nie, tato. Ben nie przyjedzie.

Stojąc naprzeciwko niego przy kuchennym stole, dostrzega w jego oczach ten sam mętny wyraz otępienia, który staje się zastraszająco znajomy.

- Ach, tak - mruży w zamyśleniu. - Nie wiem dlaczego, ale mógłbym przysiąc, że zapowiadałaś jego przyjazd.

Wczesnym wieczorem, gdy obudził się z drzemki po długim spacerze przez pola i wziął prysznic, schodzi do kuchni. Dla Grace to najlepsza pora dnia, gdyż połączenie wysiłku fizycznego i wypoczynku odświeżająco wpływa na ojca, ożywia jego umysł niemal do tego stopnia, jak sprzed wypadku. Toteż bez słowa siada naprzeciwko niego przy kuchennym stole i czeka spokojnie, aż skończy rozwiązywać krzyżówkę.

- Już! Gotowe! - oznajmia po chwili radośnie, odkładając długopis. Jest z siebie bardzo zadowolony, lecz uśmiech natychmiast znika z jego ust na widok zatroskanej miny córki. - Coś się stało?

- To dla mnie bardzo trudne - zaczyna Grace, z nienaturalnym spokojem cedząc słowa.
- Muszę ci coś powiedzieć, wyjaśnić parę rzeczy, które trzymałam w tajemnicy przed tobą, czekając, aż odzyskasz siły. Musisz być bardzo dzielny, tato, co najmniej tak dzielny, jak dawniej.

Doktor przygląda jej się z troską w oczach. Bez słowa wyciąga rękę i zaciska palce na jej dłoni.

- Chodzi o Bena. Oszukał nas. Oszukiwał od samego początku, od chwili, gdy go pierwszy raz spotkałam. Wszystko, co mówił i mnie, i tobie, było kłamstwem. Posługiwał się nawet fałszywym imieniem. Zależało mu tylko na tym, żeby nawiązać ze mną romans, a potem wziąć ślub, by znać szczegóły mojej pracy, w zasadzie jednej konkretnej operacji. Przyczynił się do jej storpedowania, w wyniku czego zginęła jedna agentka. Potem uciekł i przyjechał tutaj, bo chciał odzyskać coś, co było mu potrzebne, a co ukrył wcześniej w moim pokoju i przez co omal nie zginąłeś. Wcale nie przewróciłeś się tamtego wieczoru, tato. On cię napadł. Uderzył cię w głowę podstawą lampki z biurka w twoim gabinecie, potem zamknął w jednej z klutek w stodole. Żyjesz tylko dzięki temu, że ktoś w porę zawiadomił policję. To nie był on. Od tamtej pory szukałam go intensywnie, gotowa zabić za to, co ci zrobił, ale ktoś mnie uprzedził. On nie żyje, tato. Wiem, że wolałbyś nie usłyszeć tego ode mnie, ale bardzo się cieszę, że został zabity. Żałuję tylko, że nie było mnie tam w chwili, kiedy konał.

Przez dobrą minutę John Flint spogląda na córkę takim wzrokiem, jakby miał przed sobą postać wyciosaną z kamienia, bez wyrazu, całkowicie obojętną. Dopiero później powoli uwalnia jej dłoń z uścisku, wstaje od stołu, obchodzi go i bez wysiłku podnosi córkę z krzesła, jakby była małym dzieckiem, po czym w milczeniu zaczynają tulić do siebie. Grace przychodzi na myśl inna podobna sytuacja i teraz świetnie rozumie, co Ilse miała na myśli, mówiąc:

- Wydawało mi się, że chce tym sposobem tchnąć we mnie część swojej siły, jaka promieniowała z jego cudownych, mocnych i delikatnych ramion.

Dużo później, gdy nadal siedzą w kuchni, ponieważ Grace całkiem straciła poczucie czasu, ojciec mówi:

- Czy mogłabyś zacząć jeszcze raz od początku, kochanie?

Wbrew sobie zaczyna powtarzać całą historię, nie mogąc mu odmówić, i tym razem śmiało mówi nawet o tym, do czego sama przed sobą nie chciała się dotąd przyznać, chociaż ma obawy, że oboje popadną w stan przygnębienia. Niemniej, z minuty na minutę czuje się

coraz lepiej, jakby wyznanie prawdy czyniło jej brzemię nieco znośniejszym. W dodatku i ojciec sprawia wrażenie coraz silniejszego, przejmując od niej część tego ciężaru.

Opowiada o wszystkim ze szczegółami, pomijając tylko ten incydent, kiedy przyśniło jej się, że dostała wiadomość o jego śmierci.

- To mniej więcej wszystko - kończy. - Okazało się, że chłopcy Schnella to potężnie zbudowane osiłki mające po dwa metry wzrostu, którym nie miałam szans się przeciwstawić, zresztą, zanim jeszcze dojechalśmy do Berlina, doszłam do przekonania, że faktycznie nie miałyby to sensu. Nawet gdybym zdołała urzeczywistnić swój plan i dostać się do Zagrzebia, nie odnalazłabym ich na wybrzeżu. Poza tym... - Uśmiecha się blade. - Gdy już wsadzili mnie do samolotu, myślałam wyłącznie o tobie. W przeciwieństwie do wielu innych, ta decyzja była słuszna.

Ojciec lekceważącym machnięciem ręki kwituje tę uwagę.

- Ale wiesz, co się stało w Chorwacji?

- Mniej więcej, Jerry Crawford mi opowiedział. Nie oznacza to, że zamierzam odezwać się choć jednym słowem do cholernych Niemców, Otto Schnella i Feliksa Hartmanna. Obiecuję ci z ręką na sercu, że któregoś dnia to ja im dosypię czegoś do szklanek, by potem mieli wrażenie, iż za chwilę skonają z pragnienia.

Ojciec śmieje się głośno.

- Na pewno znajdę ci jakiś stosowny środek w mojej apteczce.

- Na przykład coś, co podajesz rozdętej krowie?

- Chociażby coś takiego. Więc co ci powiedział Jerry?

- Grober i reszta jego towarzystwa, nie wyłączając Mandragory, zabunkrowali się w eleganckiej willi na wybrzeżu dalmatyńskim, na wyspie Korcula, jakieś piętnaście mil morskich od stałego lądu. Dom stał na odludziu, na szczycie klifu nad przesmykiem, dlatego bardzo trudno zbliżyć się do niego niepostrzeżenie od strony lądu. Zanim Jerry dotarł do Dubrownika, chorwackie samoloty zwiadowcze przeprowadziły rekonesans z wysokiego pułapu, a na podstawie zdjęć ustalono, że na tyłach willi znajduje się lądowisko z dwoma helikopterami, na sąsiednim parkingu stoi kilkanaście samochodów, a po całym terenie kręcą się uzbrojone straże. To był ich wielki błąd. Mam na myśli tę małą armię ochroniarzy.

W przeciwieństwie do ojca jest już bardzo zmęczona, przeciąga się i ziewa szeroko. Mówi jednak dalej:

- Tamtejsza policja ma charakter paramilitarny i słynie z braku subtelności. Schnell musiał szczegółowo zrelacjonować działania Grobera, a zwłaszcza zdarzenia z Nowego Jorku, toteż gdy tylko Chorwaci dowiedzieli się o uzbrojonej straży, postanowili wydać

frontalną wojnę byłym agentom Stasi. Dlatego podjęta przez policję akcja bardziej przypominała wojskową inwazję. Następnego ranka, tuż przed świtem, wyruszyły silnie uzbrojone śmigłowce i kutry patrolowe. Jerry, który obserwował wszystko z pokładu kutra, twierdzi, iż wybuchła gwałtowna strzelanina, lecz już na pierwszy rzut oka było widać, że ludzie Grobera nie mają szans.

Grace odwraca głowę i przez chwilę spogląda za okno, po czym podejmuje znacznie wolniej:

- Kilka osób próbowało stamtąd uciec, prawdopodobnie Grober, Mandragora i Krolowie, których opisano jako trzech niezidentyfikowanych mężczyzn i dwie kobiety. Według mnie tą drugą była niejaka Sabine, kochanka Grobera. Udało im się dotrzeć do śmigłowców i nawet wystartować oraz wznieść na kilkadziesiąt metrów na krótko przed tym, nim nastąpiła potężna eksplozja. Olbrzymi dom wyleciał w powietrze i helikoptery albo zostały trafione odłamkami, albo zderzyły się w powietrzu, w każdym razie stanęły w ogniu i spadły na ziemię. Wśród szczątków znaleziono osiem ciał, niemal całkowicie zwęglonych. W stosunku do Grobera taki rodzaj śmierci wydaje mi się najbardziej stosowny. Nawet miałam nadzieję, że zginie w katastrofie śmigłowca, żeby zakończenie tej historii miało symboliczne znaczenie.

- A skąd wiadomo - pyta John Flint - że Ben... przepraszam, że Mandragora także zginął w jednym ze śmigłowców?

- Po odciskach palców. Tylko na jego zwłokach zachowały się fragmenty skóry. Napijmy się herbaty. - Grace wstaje od stołu i napełniając czajnik wodą mówi przez ramię: - To też przykład ironicznego zbiegu okoliczności, tato. W archiwach żadnej agencji nie było odcisków palców Mandragory, nie znaleziono ich też w biurze, ponieważ Frau Krol, czy też Frau Lender, bo tak kazała się wtedy nazywać, bardzo dokładnie oczyściła całe biuro, a i ja nieświadomie w tym dopomogłam, puszczając z dymem Miller's Reach. Nie zgadniesz, skąd pochodziły odciski palców, na podstawie których udało się przeprowadzić identyfikację.

- Nawet nie będę próbował.

- Z przeklętego MI6.

- Naprawdę?

- Tak. Schnell wiedział, że Anglicy mają obowiązek zdejmować do akt odciski palców nawet nieformalnych współpracowników, dlatego, jak określił to Jerry, namówił Ridouta do ich ujawnienia. Prawdę powiedziawszy, chyba nie wymagało to większych starań, gdyż Ridoutowi również zależało na ustaleniu, czy Mandragora rzeczywiście nie żyje. W ten sposób mógł zamknąć jeden z wątków tej sprawy.

Ojciec nie odpowiada, pogrążony w zadumie. Flint wyjmując z szafki filiżanki i zaczyna je ustawiać na tacy.

- Gracie, to chyba niemożliwe, żeby ten Ridout jakimś sposobem oszukał doktora Schnella, prawda?

- Wykluczone - odpowiada szybko. - W ogóle nie uczestniczył w identyfikacji zwłok, był wtedy tysiące kilometrów od miejsca zdarzenia. Schnell i Hartmann nadzorowali to osobiście. Był przy tym również Jerry.

- Rozumiem.

Kiedy zagotowuje się woda w czajniku i Grace zaparza herbatę, dopadają ją nagle tak natarczywe podejrzenia, że żołądek ściska jej się boleśnie. Ojciec zaś wyjaśnia półgłosem:

- Czytałem w jakiejś książce, że policja celowo upozorowała śmierć podejrzanego, podsuwając sfałszowane odciski palców. W tym wypadku nie mogło być żadnego powodu, żeby zrobić to samo, prawda, Grace? Na pewno nikomu nie zależałoby na sfinansowaniu śmierci Mandragory?

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Flint dzwoni do Gmachu Marscheidera i czeka niecierpliwie, aż Jerry Crawford skończy swoją tyradę.

- Grace, zaczynasz ścigać duchy! Ben nie żyje, Grober też nie żyje. Wszyscy zginęli. Czyżbyś już zapomniała? Wiem, że jesteś wkurzona na Schnella i Hartmanna, zresztą wcale ci się nie dziwię, bo gdybym ja był na twoim miejscu... Mniejsza z tym. W każdym razie twoje podejrzenia są całkowicie bezpodstawne i powinnaś o tym świetnie wiedzieć. Dlaczego BND miałoby sfinansować śmierć Bena? Po co? Przecież to zwykła głupota...

Kiedy wreszcie braknie mu tchu, Flint pyta ostro:

- Skończyłeś?

- Jasne - odpowiada ciężko Crawford.

- Ben nigdy nie istniał, więc nazywajmy go lepiej Mandragorą. A teraz powtórz mi jeszcze raz, co widziałeś na własne oczy.

- Widziałem, jak oba helikoptery spadają i rozbijają się o ziemię... No cóż, raczej to słyszałem, niż widziałem, ale jestem całkowicie pewien, że spadły. Willa wyleciała w powietrze, a eksplozja była tak potężna, że co najmniej jeden z helikopterów stanął w płomieniach. Oba nagle runęły w dół jak kamienie i gdy się zderzyły z ziemią nastąpiła druga eksplozja rozbłysła wielka kula ognia. Kiedy dotarliśmy na miejsce, tuż po świcie, ujrzeliśmy

tylko dymiące szkielety maszyn i pogruchotane silniki. Dokoła walały się osmalone ludzkie szczątki, niektóre ledwie rozpoznawalne. Mandragora musiał zostać wyrzucony z kabiny, gdy śmigłowiec runął na ziemię, dlatego jego zwłoki były w nieco lepszym stanie, umożliwiającym pobranie odcisków palców. Poza tym nikogo z zabitych nie udało się zidentyfikować.

- A gdzie wtedy byli Schnell i Hartmann?

- Kiedy?

- Podczas całej akcji.

- Zaczekaj chwilę - rzuca Crawford.

Flint przechodzi z kuchni do saloniku, gdzie ojciec drzemie na kanapie. To dzięki jego dociekliwym pytaniom i argumentom nie do zbiccia zdołała w ciągu dwóch godzin skonkretyzować podejrzenia. Z troską spoglądała na przemęczone malujące się w jego oczach i na pociętej zmarszczkami twarzy, myśląc z nadzieją że jego umysł pracuje nadzwyczaj sprawnie. Za nic nie dał się jednak namówić, żeby pójść spać.

- Nigdy w życiu - oznajmił stanowczo. - Odpocznę dopiero wtedy, gdy poznam prawdziwe zakończenie tej historii.

- Przepraszam - mówi Crawford. - Musiałem odebrać drugi telefon. Więc na czym skończyliśmy?

Grace pospiesznie wycofuje się z powrotem do kuchni i odpowiada:

- Na Schnellu i Hartmannie.

- Co chcesz o nich wiedzieć?

- Jarrett! - wykrzykuje groźnie, chcąc mu przypomnieć, że mimo wszystko ona wciąż jest wicedyrektorem pionu operacyjnego wydziału, nawet jeśli przebywa na urlopie bezpłatnym pięć tysięcy kilometrów od siedziby wydziału, a jej identyfikator nadal nie daje jej wstępu do Gmachu Marscheidera. Wziąwszy pod uwagę, że Aldus Cutter leży w szpitalu, a Nathan Stark uciekł i wróci najwyżej w kajdankach, przynajmniej formalnie to ona teraz kieruje całym wydziałem.

- Dopóki się nie zdecydują, żeby cię wylać na zbity pysk!

- Zamknij się.

- W porządku, już pamiętam - mówi Crawford. - Podczas ataku doktor Schnell i Feliks znajdowali się na pokładzie jednego z policyjnych śmigłowców i byli jeszcze nad przesmykiem, gdy willa wyleciała w powietrze. Kiedy tam dotarłem, przeczesywali szczątki w poszukiwaniu rzeczy Grobera.

- Jakich rzeczy?

- Zbierali wszystko, co nie spłonęło doszczętnie. Dokoła walało się sporo papierów, ale nie było wśród nich żadnych zestawień finansowych, jeśli o to ci chodzi.

Rzeczywiście, dokładnie to ją interesowało.

- Skąd wiesz?

- Bo pokazali mi, co znaleźli, co zdołali uratować. Przejrzałem dokładnie każdy okopcony świstek. Daj spokój, Grace. Myślisz, że poczułem się jak na wycieczce krajoznawczej?

- Więc powiedz, co tam było.

- Nic ciekawego, w większości dokumenty związane z domem, rachunki, pokwitowania, ubezpieczenia i temu podobne. Prawie wszystko było po chorwacku, ale poprosiłem jednego z miejscowych gliniarzy, żeby mi przetłumaczył. Owszem, było parę wyciągów bankowych, ale z tamtejszych banków, ze Splitu i Dubrownika, gdzie na kontach znajdowało się zaledwie kilkaset tysięcy dolarów, a nie kilka miliardów. Poza tym Niemcy znaleźli kilka pism sądowych. Grober miał zatarg z sąsiadem, który uskarżał się na zakłócanie ciszy przez hałaśliwe śmigłowce. Możesz mi wierzyć, Grace, że nie było w tych papierach nic, co mogłoby nas zainteresować.

- A raczej ty niczego takiego nie widziałeś - koryguje Flint.

- Na miłość boską!...

- Jerry, jak długo Schnell i Hartmann kręcili się po terenie, zanim tam dotarłeś? Ile mieli czasu od katastrofy obu helikopterów? Jak długo musieli grzebać w tych rozrzuconych i okopconych szczątkach, żeby cokolwiek znaleźć? Trzy godziny? Cztery? Pięć?

- Nic podobnego. Zaraz po eksplozji i katastrofie śmigłowców kapitan kutra, na którym płynąłem, skierował go do jaskini w klifie, skąd wydostałem się na górę po trzydziestu pięciu, najwyżej czterdziestu minutach. Dalszych dziesięć zajęło mi przejście na teren posiadłości Grobera. Zresztą, Grace... - W głosie Crawforda pojawia się cień ironii. - W tym czasie Niemcy nie mieli szans, żeby cokolwiek wyciągnąć spomiędzy szczątków, bo nadal się paliły i były piekielnie gorące. Mogli zacząć je przeszukiwać dopiero po kilku godzinach.

- Powiedz mi jeszcze o komputerze - odpowiada spokojnie Flint.

- Jakim komputerze?

- Laptopie Grobera, czy co to było. Bo przecież musiał korzystać z komputera, prawda? Zabunkrował się na jakiejś odludnej wysepce, ale bez przerwy pilnował swoich interesów, nadzorował bankowe transfery brudnych pieniędzy i cały czas uważał, aby być o krok przed naszymi terierami. Nie mógł robić tego wszystkiego przez telefon, prawda? Nie

wystarczyło, żeby zadzwonił do swojego człowieka na Kajmanach czy Isle of Man i powiedział: „Przelej taką kwotę tu, a taką tam”. Musiał mieć połączenie z siecią, możliwość wysyłania zaszyfrowanych maili i tak dalej. Zatem musiał tam mieć komputer, albo w domu, albo w tej jaskini, i na pewno zabrał go ze sobą na pokład śmigłowca. Nawet jeśli został zniszczony podczas katastrofy, spalił się w pożarze czy roztrzaskał w drobny mak, to przecież nie wyparował, nie rozpułynał się w powietrzu. Podczas przeczesywania szczątków na pewno musieliście się natknąć na jakieś pozostałości po nim, bo nie wątpię, że go szukaliście, prawda, Jerry?

- Oczywiście. Chorwaci sprowadzili całą brygadę z łopatami i przez trzy dni na czworakach przekopywali się przez tę kupę gruzów.

- I co?

Crawford nie odpowiada.

- Jeśli nie znaleźliście żadnych resztek komputera, to co się z nim stało? Zastanów się dobrze, Jerry. Czy gdyby był na pokładzie któregoś ze śmigłowców, nie mógłby w chwili katastrofy zostać wyrzucony z kabiny, podobnie jak ciało Mandragory? A gdyby Grober zostawił go w willi, czy także nie mógłby ocaleć z eksplozji, podobnie jak niektóre dokumenty? - Flint milknie na chwilę, po czym ciągnie: - Dlatego jednej rzeczy jestem prawie pewna: Schnell i Hartmann znaleźli go przed twoim przybyciem na miejsce i zataili to przed tobą. Zależało im na tajemnicach Grobera, chcieli się dowiedzieć, gdzie są pieniądze, żeby położyć łapę przynajmniej na ich części, bo od początku nie zamierzali się z nami dzielić.

Grace dochodzi do wniosku, że potrzebna jest jej dłuższa przerwa przed tym, co nieuchronnie musi teraz nastąpić. Ale chce jeszcze raz poukładać w myślach fakty, które uznaje już za niezbite, bo wciąż ma mętlik w głowie.

- Jerry, zadzwonię drugi raz za kilka minut. Muszę teraz zajrzeć do ojca.

Doktor Flint smacznie śpi i oddycha miarowo, jak małe dziecko, co jest szczególnie radosną oznaką gdyż od powrotu ze szpitala skarżył się na kłopoty z zaśnięciem. Baxter uznał nawet, że mogą to być objawy uszkodzeń w płatach czołowych mózgu.

Chyba jednak nie ma się o co martwić, uznaje w myślach Grace.

W trakcie drugiej rozmowy telefonicznej Crawford sprawia wrażenie mniej zdesperowanego i nienastawionego już tak sceptycznie jak poprzednio.

- W porządku, Grace, rozumiem twój punkt widzenia, ale nadal nie podzielam podejrzeń. Jeśli masz rację co do Schnella i Hartmanna, to dlaczego w ogóle tak chętnie zgodzili się z nami współpracować? Czemu Schnell przekazał nam pełne akta personalne Grobera pochodzące z archiwów Stasi? I po co nakłonił Cuttera, żeby wysłał cię do Lipska?

- Na dobrą sprawę, wcale z nami nie współpracowali, Jerry. Po prostu nas wykorzystali, a może raczej tylko mnie, podobnie jak Ridout, zresztą z tego samego powodu. Tyle że zrobili to lepiej od niego. Po fiasku operacji „Zielone Świątki”, ucieczce Grobera i zniknięciu większości jego brudnych pieniędzy rozpoczęło się zwyczajne polowanie. Wszystkim zależało na odnalezieniu go i dorwaniu się choćby do części forsy, bo przecież wszyscy potrzebujemy dodatkowych funduszy, dlatego zaczął się wyścig, na zwycięzcę czekała teoretycznie wysoka nagroda. Nie rozumiałam tego dobrze, ponieważ nie chodziło mi tylko o pieniądze. Chciałam dopaść Grobera z dwóch powodów: po pierwsze, ze względu na Ruth, bo niezależnie od tego, co myślisz, czułam się winna jej śmierci; i po drugie, ze względu na Mandragorę, gdyż po tym, co zrobił mojemu ojcu, chciałam go odszukać, nawet gdybym miała poświęcić na to resztę życia. Nikt nie miał ważniejszych motywów ode mnie i nikt nie lekceważył reguł gry do tego stopnia, co ja. Byłam gotowa absolutnie na wszystko, ponieważ dla mnie to sprawa bardzo osobista. A Hartmann wiedział o tym co najmniej tak dobrze jak ty.

Urywa, żeby zaczerpnąć oddechu, Crawford zaś mówi:

- Jak dotąd nie mam podstaw, żeby oponować.

- Więc teraz dobrze się zastanów. Po śmierci Ruth Cutter odesłał Hartmanna z powrotem do Pullach, by przekazał kierownictwu BND, że prawie rok prowadziliśmy tę gigantyczną operację przeciwko ich rodakowi, nie powiadamiając ich o tym, i dopiero teraz, gdy na finiszu ponieśliśmy klęskę, zwracamy się do nich o pomoc. Mogli nam pomóc, udostępniając pełne akta Stasi, ale co ich do tego skłoniło? Mogli przecież na własną rękę podjąć poszukiwania Grobera, żeby położyć łapę na jego brudnej forsie, i mieć nas w nosie. - Powtarza sobie w myślach, że powinna zachować spokój, ale narastająca złość trawi jej duszę niczym żrący kwas. - Tylko nie byli pewni, czy sami zdołają go odnaleźć. Potrzebowali mnie, bo byłam w to osobiście zaangażowana. Łatwo mogę sobie wyobrazić, jak Hartmann mówi o tym Schnellowi, a ten uśmiecha się i puszcza do niego oko. W końcu ani trochę nie byli źli, że zatailiśmy przed nimi operację „Zielone Świątki”, nawet więcej, z ochotą zgodzili się na pozorowaną współpracę. Dostarczyli Cutterowi raport Stasi i nakłonili go, by wysłał mnie do Lipska, gdzie zrobili ze mnie dostawcy cennych informacji, podobnie jak wcześniej Ridout, a ja niczego nie podejrzewałam, gdyż skupiałam się wyłącznie na Mandragorze. Byłam całkowicie zaślepiona.

- Może nadal nie potrafisz pewnych spraw dostrzec we właściwym świetle? - podsuwa Crawford.

- Uwierz mi, Jerry, że teraz widzę wszystko jasno i wyraźnie. Dlatego proszę, abyś mnie wysłuchał. Jedyne ich problem stanowiła konieczność unieszkodliwienia mnie, gdy już wpadnę na świeży trop Grobera i wskażę im właściwą drogę. Zdawali sobie sprawę, że nie wystarczy mi zakomunikować o jego śmierci i powiedzieć, że pieniądze zniknęły bez śladu, gdyż słusznie podejrzewali, że będę dalej szukała. Może inny agent na moim miejscu przyjąłby to za dobrą monetę i zajął się następną sprawą, ale oni znali mnie na tyle dobrze, iż wiedzieli, że jestem gotowa zaglądać pod każdy kamień noszący ślad Grobera, w nadziei, że dotrę w ten sposób do Mandragory. Nie mieli więc żadnych wątpliwości, że wcześniej czy później wpadnę na ślad forsy, którą zagarnęli, a jakkolwiek trop prowadzący z powrotem do Pullach musi doprowadzić do ujawnienia ich spisku. Tylko w wypadku śmierci Mandragory mogli być pewni, że przestanę tropić zaginione pieniądze Grobera. W końcu czeka na nas wiele innych podobnych spraw. Nie wątpię, że Schnell i Hartmann rozumowali właśnie w ten sposób. Tylko potwierdzona śmierć zarówno Grobera, jak i Mandragory eliminowała moje powody dalszego dochodzenia.

- Ale Mandragora naprawdę zginął, Grace - powtarza Crawford z naciskiem, niemal tak samo zdesperowanym tonem jak na początku. - W szczątkach dwóch helikopterów odnaleźliśmy osiem zwęglonych ciał, pięciu innych ludzi zginęło podczas eksplozji ładunków podłożonych pod willą. Wszyscy zginęli, nikt nie wyszedł stamtąd z życiem. Widziałem to na własne oczy!

- Wiem, co widziałeś, Jerry. Ale Mandragory tam nie było - powtarza spokojnie Flint i nie zważając na próby protestu Jarretta, ciągnie: - Skąd w ogóle wiadomo, że Mandragora był na Korculi? Kto zidentyfikował jego zwłoki? Chorwaci? Jakim cudem? Na jakiej podstawie? Mieli jego zdjęcie, dokument tożsamości, odciski palców, próbkę krwi do oznaczenia DNA, a może przechwycili rozmowę telefoniczną? Bardzo wątpliwe. Informacja o tym, że Mandragora jest na wyspie, wyszła od Schnella. Po raz pierwszy usłyszałam ją od niego co najmniej tysiąc kilometrów od miejsca zdarzenia, w ciasnym zagraconym mieszkanku na obrzeżach Lipska, gdzie zostawili mnie naszprycowaną środkami nasennymi, bym nie miała okazji zidentyfikować zwłok męża po zakończeniu ich akcji. Pomyśl tylko, Jerry. Skąd Schnell mógł już wtedy wiedzieć, że Mandragora jest na Korculi? Nie mógł, prawda? W ogóle nie miał pojęcia, gdzie on może być, ale to się dla niego nie liczyło. Mandragora był tylko maleńkim pionkiem w wielkiej rozgrywce doktora Schnella, tak samo jak jego żona.

- Nie mam pojęcia, skąd on to wiedział, Grace, ale jesteś w błędzie, bo zapominasz o odciskach palców. Niezależnie od tego, co się zdarzyło w Lipsku, mogliśmy zdjąć odciski palców jednego z zabitych, a Schnell wyciągnął od Ridouta akta personalne Mandragory.

Porównanie dało wynik pozytywny. Byłem przy tym, jak Feliks zdejmował odciski z palców trupa. Ich kopię mam przed sobą na biurku, a obok leży arkusz z akt personalnych przysłanych przez Ridouta z Londynu. Właśnie na nie patrzę i mogę jeszcze raz potwierdzić z całą mocą, że się zgadzają.

- Ani trochę w to nie wątpię. - Flint chichocze ironicznie. - Mogę się nawet założyć, że nigdy wcześniej nie widziałeś tak idealnej zgodności. A wiesz dlaczego? Bo wystarczyło zdjąć trupowi odciski dwa razy. Pierwszy raz jeszcze przed twoim przybyciem, a drugi już przy tobie, oficjalnie, z zachowaniem wszelkich procedur. Schnell wcale nie musiał wyciągać od Ridouta żadnych akt personalnych, tylko tak powiedział. Schował pierwszy arkusz z odciskami zdjętymi przez Hartmanna, odczekał trzy dni, a potem: Bingo! Właśnie dostaliśmy je z Londynu i zgadzają się idealnie, dzięki współpracy MI6. Dałeś się nabrać z tego samego powodu co ja: po prostu nawet przez chwilę nie dopuszczałeś do siebie myśli, że możemy działać po przeciwnych stronach barykady.

Na chwilę zapada milczenie, wreszcie Crawford odzywa się grobowym głosem:

- Nie masz nic na potwierdzenie tej teorii.

- Oczywiście, w końcu to tylko teoria. Ale możesz łatwo dowieść, że się mylę.

Zadzwoń zaraz do Cuttera...

- Grace, już prawie północ!

- Dobrze wiem, która godzina. Chcę jednak, żebyś zadzwonił do Cuttera i wszystko mu powtórzył, każde moje słowo. Powiedz, że według mnie powinien natychmiast zadzwonić do Schnella, wyciągnąć go z łóżka i zakomunikować, że wiemy, co zrobił. Niech zagrozi Schnellowi, że jeśli nie udostępni nam komputera Grobera, albo przynajmniej nie podzieli się odkrytymi informacjami, wypowiemy mu świętą wojnę. Na początek matactwa BND trafią na pierwsze strony „Spiegla” i „Timesa”, potem pójdą przesłuchania przed komisją senacką, protesty dyplomatyczne, obostrzenia wolnego handlu i tak dalej. Jeśli Cutter zaakceptuje ten pomysł i potraktuje go z pełną powagą, po reakcji Schnella łatwo rozpozna, czy się pomyliłam, czy nie. W końcu uchodzi za najlepszego pokerzystę w tym gronie. Jestem jednak przekonana, że się nie mylę, Jerry. Zaufaj mi.

Znów na chwilę zapada cisza, po czym Crawford pyta cicho:

- Czemu sama nie zadzwonisz do Cuttera?

- Bo on musi to usłyszeć od ciebie. To ty byłeś na miejscu, nie ja. Sam wiesz najlepiej, że wysłali cię policyjnym kutrem patrolowym dlatego, żeby dotrzeć na miejsce przed tobą i mieć trochę swobody. Wiesz także, że wśród szczątków powinny się znaleźć jakieś resztki komputera, których nie było. Wiesz, że wszystkie kluczowe fakty w tej sprawie pochodzą od

Schnella, to znaczy zgodność odcisków palców i identyfikacja zwłok Mandragory. Wiesz, że w opowieści Niemca są oczywiste luki. Cutter na pewno będzie miał mnóstwo pytań, dlatego musi usłyszeć odpowiedzi z pierwszej ręki, czyli od ciebie, Jerry.

- A co ty zamierzasz robić?

- Przespać się w oczekiwaniu na twój telefon. Chce już odłożyć słuchawkę, gdy Crawford mówi:

- Zaczekaj. Przyszło mi właśnie do głowy jeszcze jedno pytanie. Skąd Schnell mógł wiedzieć, że pod willą są podłożone ładunki wybuchowe? Na jakiej podstawie mógł zakładać, że znajdują się przynajmniej jedne zwłoki, z których będzie można pobrać odciski palców?

- Chyba tylko się tego domyślał. Bez względu na okoliczności z reguły można się natknąć co najmniej na jedno zmasakrowane ciało, które takim czy innym sposobem da się zidentyfikować. Nie zapominaj, że Schnellowi chodziło wyłącznie o to, byśmy uwierzyli w śmierć Mandragory.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

John Flint obwieścił córce, że po raz pierwszy od powrotu ze szpitala zamierza pracować w swoim gabinecie, przynajmniej przez kilka godzin - chce się trochę rozejrzeć, zbadać zwierzęta pozostające pod jego opieką, nakarmić osieroczone szczenięta collie. Siedząc na skraju tarasu i grzejąc w słońcu gołe nogi, Grace słyszy dolatujące ze stodoły pogwizdywanie, którąś ze skocznych melodii Gilberta i Sullivana, w pełni oddającą jego nastrój.

Od rozmowy z Crawfordem minęło pięć godzin, lecz nadal nie ma odpowiedzi, na próżno trzyma telefon na kolanach. Po raz kolejny odtwarzając ją w myślach, w pełnym świetle słonecznego majowego dnia, ma coraz więcej wątpliwości, czy zdołała przekonać Jarretta co do przypuszczalnej gry Schnella na dwa fronty. Ale nie wątpi, że zadzwonił do dyrektora, gdyż w końcu wydała mu takie polecenie, a Cutter musi dobrze wiedzieć, że ona ma rację, ponieważ zawsze ufał jej przecuciom.

I tym razem też powinien zaufać.

A jeśli nie zaufa, to jaki masz plan B?

Pamiętajcie, pielgrzymi, że zawsze musicie mieć plan rezerwowy - mruczy Grace pod nosem, naśladując mentorski ton Cuttera.

Odnaleźć Mandragorę.

To był plan A.

I B, i C, i tak aż do Z, jeśli zajdzie potrzeba.

Tylko jak go odnaleźć? Żaden z jej planów nie zawiera konkretnego sensownego sposobu osiągnięcia tego celu. Wie tylko, że powinna zacząć od Ridouta, zmusić go do ujawnienia, kim naprawdę jest Mandragora, a raczej kim był, zanim przeistoczył się w mitycznego Bena Gatesa. To jedyne wyjście.

Odpędzając od siebie te ponure rozważania, Grace wstaje z krzesła, żeby zaparzyć sobie kawy, kiedy w końcu dzwoni telefon.

- Jerry?

To jednak Cutter, a nie Crawford. W typowy dla siebie sposób oznajmia bez zbędnych formalności:

- Schnell złapał przynętę. Udostępnił informacje zawarte na twardym dysku laptopa Grobera, a podobno jest ich dużo więcej niż tylko szczegóły operacji finansowych.

- Uwierzył mu pan?

- Przynajmniej na tyle, na ile było mnie stać. Ale na jego miejscu zagrałbym w otwarte karty. Najpierw połączyłem się z Londynem i kazałem natychmiast odszukać Ridouta, a kiedy go wreszcie znaleźli i do mnie zadzwonił, powiedziałem, że możemy załatwić sprawę na dwa sposoby: po cichu, bez mieszania MI6 w te krętactwa, jeśli tylko sam pójdzie na pełną współpracę, albo ujawniając szczegóły dokonań jego i całej sekcji na pierwszych stronach wszystkich najważniejszych dzienników. Kiedy Nathan wybrał współpracę, poprosiłem go o drobną przysługę i dwie godziny temu dostałem podpisane przez niego oświadczenie, w którym stwierdza pod przysięgą, że MI6 nie udostępniło Schnellowi ani nikomu innemu arkusza z odciskami palców Mandragory. Dopiero później zadzwoniłem do Pullach i powiedziałem Schnellowi, że...

Flint nie może uwierzyć własnym uszom. Wyrywa jej się mimo woli:

- Zawarł pan układ z Ridoutem?! Przecież on ma na sumieniu nie mniej od Schnella! Skądże, dużo więcej...

- Bądź realistką, Grace. Nikt nie jest bez skazy.

- Nie do wiary! I nawet obiecał pan Ridoutowi...

- Niczego mu nie obiecywałem, bo nigdy nie składałem obietnic, których nie mógłbym dotrzymać. Możesz być pewna, że nie mniej od ciebie chcę, aby wylądował za kratkami, ale nie zamierzam dopuścić, by opinia publiczna dowiedziała się o naszym konflikcie z wywiadem brytyjskim.

- Więc zatuszuje pan całą sprawę?

- Owszem, gotów jestem i na to. A teraz bądź łaskawa przestać na mnie krzyczeć, jeśli nie chcesz, żebym odłożył słuchawkę. Gorzko byś tego żałowała, Grace.

Flint zaczyna nerwowo krążyć po tarasie niczym dzikie zwierzę zamknięte w klatce. Ma przed oczyma chytry uśmieszek na ustach Ridouta, a w uszach jego ironiczną uwagę:

Moja dziwka? Ach, tak, cudownie. W takim razie kim ty jesteś, moja droga?

- Ridout... - mówi instynktownie, prawie szeptem. - Nie możemy dopuścić, żeby wywinął się z tego bezkarnie, panie Cutter.

- Na pewno się nie wywinie - odpowiada dyrektor. - Nie zaśnie spokojnie, dopóki przynajmniej jedno z nas pozostanie wśród żywych. - Milknie na krótko, jakby chciał dać jej czas na zrozumienie podtekstu ukrytego za tymi słowami, i zaraz dodaje: - Doskonale się spisalaś. Mam na myśli ujawnienie mistyfikacji z rozpoznaniem zwłok Mandragory.

- Trochę za późno.

- To już mniej ważne, skoro pierwsza odkryłaś prawdę. Teraz pozostało ci tylko sprowadzić go tutaj.

- Och, może mi pan wierzyć, że... - Grace urywa nagle, gdyż ton Cuttera wyraźnie sugeruje, że jest to polecenie służbowe. - Co pan powiedział?

- Że masz go tu sprowadzić.

Ledwie mogąc wydusić z siebie głos, pyta ostrożnie:

- Więc pan już wie, gdzie jest Mandragora?

- Wiem, gdzie należy go szukać.

Wciąż niezdolna do zaczerpnięcia głębszego oddechu, z trudem przełyka ślinę.

- Skąd pan wie?

- Przecież ci mówiłem, że na twardym dysku laptopa Grobera jest dużo więcej informacji niż tylko szczegóły transferów bankowych.

- Panie Cutter, na miłość boską!

- Powiem ci, Grace, przekażę wskazówki, jak tylko przyjmiesz moje warunki. Nie obchodzi mnie, do jakiego stopnia kierujesz się pobudkami osobistymi, bo w końcu jesteś gliną i śmiało możesz dać mi słowo, że załatwisz sprawę, jak należy, w jedyny możliwy do przyjęcia sposób.

- To znaczy?

- Masz tu sprowadzić Mandragorę żywego. To mój podstawowy warunek. Jeśli go nie przyjmiesz, nie mamy o czym mówić.

Mimo wszystko będę musiała opracować jakiś plan rezerwowy, panie Cutter - przemyka jej przez myśl, nie ma jednak odwagi powiedzieć tego na głos.

Odnajdę cię, Ben.

LA ROCHELLE

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

W poobiedniej porze ruch przybiera na sile, w miarę jak miasto wraca do pracy. Mandragora nagle skręca w lewo, przeciska się między stłoczonymi autami na przeciwległym pasie i parkuje na chodniku przed apteką. Parę osób stoi w kolejce do okienka, ma więc dogodną sposobność, by przyjrzeć się dokładnie rzędom buteleczek stojących na regale, zerkając jednocześnie na ulicę i wypatrując ludzi Grobera. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że wciąż na niego polują. W ciągu ostatniej doby prawie im się udało wykonać na nim wyrok.

Niewiele brakowało, by przypłacił życiem własną nieuwagę. Przeczytawszy w gazetach o śmierci Grobera, niepotrzebnie dał się ponieść złudnej nadziei, że nic mu już nie grozi, przynajmniej z tej strony. Mimo to na wszelki wypadek jeszcze przez trzy tygodnie nie pokazywał się w centrum La Rochelle, wykorzystując ten czas na niezbędne naprawy jachtu, później zaś, z rzadka tylko oglądając się za siebie, pojechał do Bordeaux, żeby opróżnić konto bankowe. Dopiero po powrocie do La Rochelle, gdy już spakował pieniądze Grobera w plastikowy worek i ukrył je bezpiecznie w zębie, uświadomił sobie, że był śledzony. Podpowiadał mu to szósty zmysł. Dlatego odstawił butelkę wina, którą zamierzał uczcić swój sukces, i wyłonił się spod pokładu w samą porę, by zauważyć trzech podejrzanych mężczyzn kręcących się wokół pochylni remontowej, potężnie zbudowanych drabów w luźnych marynarkach i rozpiętych na piersi koszulach, którzy nawet nie zadawali sobie trudu, żeby udawać miłośników żeglarstwa. Gdyby nie to, że dieslowski silnik już pracował na wolnych obrotach, by naładować akumulatory, a „Lady Jane” była zacumowana tylko cienką linką rufową, zapewne nie udałoby mu się uciec. Nawet gdy niepostrzeżenie zrzucił linkę cumowniczą, zablokował dźwigienkę gazu w skrajnym położeniu i rzucił się przed siebie, by dać nura pod pokład, poczuł wokół siebie gwałtowny pęd powietrza i kilka pocisków, które przeleciały mu tuż obok głowy i powybijały dziury w górnym pokładzie. Właśnie ta ostentacyjna lekkomyślność zabójców, dobyte broni i próba wykonania wyroku w biały dzień na przystani pełnej ludzi przekonały go, że niezależnie od publikacji w prasie Karl Grober nadal żyje.

Całą noc spędził na morzu, żeglując w bezpiecznej odległości od lądu ze zgaszonymi światłami, dopóki o świcie nie znalazł schronienia po zawietrznej stronie wyspy Ile d'Oleron. Stał na kotwicy i ciągle zerkając na ekran radaru z obawy przed zbliżającymi się ewentualnie jednostkami, zapisał przy stole mapowym kilkanaście kartek, zbierając wszystko, co wie o Groberze, przypominając sobie każdy szczegół mogący pomóc w jego odnalezieniu.

Zachowywał się jak człowiek ogarnięty obsesją, jak maniak niepotrafiący zaznać spokoju, dopóki istnieje najmniejsza szansa, że zabójca Ruth Apple jeszcze żyje.

Dopiero przed południem, gdy na morzu zaroilo się od jachtów, wśród których mógł się ukryć, skierował „Lady Jane” z powrotem do La Rochelle, płynąc w niewielkiej flotyli podobnych łodzi, zakotwiczył na redzie portu, dopłynął bączkiem do lądu, po czym, zachowując maksymalną ostrożność, przekradł się na pocztę i wysłał notatki do Nowego Jorku, tym samym robiąc Grace pożegnalny prezent.

Teraz gotów jest wreszcie na stałe opuścić La Rochelle i wyruszyć w swoją wielką podróż bez wytyczonego szlaku i punktu przeznaczenia. Musi tylko wrócić na pokład „Lady Jane”, by ująć przed nagonką i doprowadzić myśliwych do skrajnej frustracji.

Kupuje buteleczkę olejku do opalania, przed wyjściem z apteki jeszcze raz uważnie lustruje ulicę, po czym wtapia się w grupę angielskich turystów idących powoli w stronę portu, udając jednego z nich.

Woli nie zakładać, że trzech ludzie, którzy próbowali go zabić na przystani, to już wszyscy płatni mordercy najęci przez Grobera. Nie łądzi się też, że tylko ludzie na pierwszy rzut oka przypominający mafiosów stanowią dla niego zagrożenie. Woli podejrzewać wszystkich w zasięgu wzroku, dlatego uważnie przygląda się każdemu mijanemu na ulicy.

Kiedy jednak odłącza się od grupy turystów i energicznym krokiem rusza w stronę schodów, przy których przywiązał swojego bączka, ledwie przelotnym spojrzeniem obrzuca zgarbionego kalekę na wózku inwalidzkim, w berecie na głowie, w wyświechtanej czarnej marynarce i białej koszuli zapiętej pod szyję, z nogami zakrytymi kocem. Nie wątpi, że staruszek wyjechał przed dom tylko po to, żeby wygrzać się w promieniach słońca.

Gdy zaś z ulgą wskakuje do łódki i zaczyna uruchamiać doczepny silnik, inspektor Gilles Bourdonnec unosi w górę rękę i mówi do mikrofonu krótkofalówki ukrytej w luźnym rękawie:

- Właśnie odbija.

W Zatoce Biskajskiej, z dala od lądu, Mandragora obraca jacht rufą do wiatru i stawia go w dryf na łagodnej fali, żeby dokonać przygotowanej transformacji „Lady Jane”.

Wdrapawszy się na pawęż, zdejmuje z rufowego poszycia tablicę z nazwą jednostki i wyrzuca ją do morza. Na jej miejsce przytwierdza drugą, według której jacht nazywa się teraz „Anna Magdalena” (na cześć drugiej żony Bacha) i jest zarejestrowany w Panamie. Potwierdzeniem tego są wpisy w odpowiednich księgach, wskazujące, że jednostka jest własnością fasadowego przedsiębiorstwa, mającego tylko zarząd pochodzący z nominacji, którego w żaden sposób nie da się powiązać z Mandragorą.

Później, uzbrojony w sztancę, pędzle i dwie puszki farby, przesiada się do bączka i płynie wzdłuż burty, żeby zamalować brytyjskie numery rejestracyjne na dziobie, a na ich miejscu wymalować nowe. Po powrocie na pokład i umocowaniu bączka opuszcza sztandar Zjednoczonego Królestwa i wciąga flagę panamską, przez co ostatecznie „Lady Jane” formalnie przestaje istnieć. Przy najbliższej wizycie w porcie, chociaż nie wie jeszcze, gdzie i kiedy to nastąpi, każe wyciągnąć jacht z wody i przemalować go, żeby zmienić jeszcze wygląd burt, nadbudówki i głównego pokładu. Zastąpi ponadto sterownicę kołem sterowym, zainstaluje elektryczne kołowroty, zaopatrzy się w nowe linki i może każe też zmienić maszt na wyższy. Chodzi mu po głowie jeszcze wiele drobnych zmian kosmetycznych, uniemożliwiających szybkie rozpoznanie jachtu przez ludzi być może wciąż prowadzących poszukiwania „Lady Jane”.

Zadowolony z siebie idzie na dziób, by podnieść żagle, po czym wraca do kokpitu, żeby wyznaczyć kurs. Zatoka Biskajska słynie z nadciągających niespodzianie gwałtownych sztormów i olbrzymich fal, na razie jednak nad tą częścią Atlantyku zalega rozległy wyż i prognozy pogody są pomyślne: morze powinno być spokojne, spodziewany jest umiarkowany wiatr z północnego wschodu. Dlatego już wcześniej zdecydował, że popłynie na zachód, aż poza granicę szelfu kontynentalnego, by na głębszych i pewniejszych wodach oceanu skrócić na południe i pożeglować w kierunku północnych wybrzeży Hiszpanii, gdzie jest pod dostatkiem mniejszych i większych portów, zapewniających schronienie w razie załamania pogody. A jeśli pogodny wyż się utrzyma, popłynie dalej na zachód kursem na La Corunę i dopiero potem skróci na południe, żeby wzdłuż wybrzeża Portugalii skierować się na cieplejsze wody Morza Śródziemnego. W sumie ma przed sobą około półtora tysiąca mil morskich i ze dwadzieścia dni na morzu, ale jacht jest załadowany wystarczającą ilością prowiantu, a ponadto wyposażony w autopilota i urządzenie samosterujące.

Wiele może się zdarzyć w czasie owych trzech tygodni pobytu Mandragory na morzu, poza zasięgiem polujących na niego najemników. Kto wie, może jego szczegółowe wskazówki pozwolą nawet Grace odnaleźć Karla Grobera?

Z satysfakcją konstatuje, że wystarczyło postawić jedynie główny żagiel, a nawet na tym lekkim wietrze „Anna Magdalena” rozpędza się do prędkości siedmiu węzłów. Nad lekko spienionym kilwaterem zaczyna zataczać koła czarna rybitwa. Ma nadzieję, że już niedługo zobaczy wielkie petrele oraz bardzo rzadkie nawałniki burzowe, może nawet w towarzystwie grupy wyskakujących z wody delfinów.

Uporawszy się z najpilniejszymi czynnościami, nie widząc żadnej innej jednostki na horyzoncie, ustawia autopilota i schodzi do głównej kabiny, żeby przygotować sobie spóźniony lunch.

Nastawia radio na krótkofalową stację nadającą prognozy pogody dla rybaków, po czym zaczyna kroić pomidory. Nie słyszy, jak powoli otwierają się drzwi dziobowej kabiny sypialnej.

- Witaj, Mandragora - odzywa się Grace.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SZÓSTY

Bardzo ważne dla niej jest to, by dokładnie widzieć oczy Mandragory, a ponieważ oświetlenie w kajucie jest słabe, każe mu wyjść na pokład, jednoznacznie wskazując drogę lufą pistoletu, w który zaopatrzył ją Gilles.

Od razu chce się tłumaczyć, lecz tylko zaczyna niezręcznie:

- Grace, powinnaś wiedzieć...

- Zamknij się - przerywa mu stanowczo, nie podnosząc głosu. - Ruszaj.

Każe mu usiąść przy sterownicy, tyłem do rufy, a sama zajmuje miejsce na ławeczce przy schodach do kajuty, jakieś trzy metry od niego, oparta plecami o ścianę nadbudówki, mierząc mu w pierś. „Anna Magdalena” sterowana przez autopilota wciąż płynie kursem zachodnim.

Przez kilka minut Flint siedzi w milczeniu, spoglądając na Mandragorę z obojętną nieprzeniknioną miną jakby tylko chciała nasycić oczy jego wspaniałą opalenizną, gęstą brodą i krótko ostrzyżonymi włosami, przez co jego twarz sprawia wrażenie wychudzonej. Wreszcie łagodnym tonem, jak gdyby był dla niej kimś całkiem obcym, pyta:

- Więc jak się naprawdę nazywasz? Mandragora uśmiecha się lekko.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Ben ci nie wystarczy?

- Owszem, ma znaczenie, a Ben nie wystarczy. Bądź łaskaw nigdy więcej nie używać tego imienia, bo nie należy do ciebie.

Wyrozumiałe kiwa głową, jakby świetnie to rozumiał.

- Zatem nazywam się... niech no sobie przypomnę... aha, Rayland Tully, ale może być też Jeffrey Stamp, a jeszcze wcześniej Christopher Morgan, przedtem zaś Christian Myers. Niektórzy jednak mówią mi Mandragora, o czym już wiesz. Mam wiele różnych nazwisk, Grace. Wybierz sobie to, które ci najbardziej odpowiada.

Teraz ona kiwa głową, chcąc dać do zrozumienia, że przyjmuje taką odpowiedź. Zaraz jednak, kategorycznym tonem, choć nadal nie podnosząc głosu, mówi:

- Posłuchaj. Wydaje ci się, że mnie znasz, ale jesteś w błędzie. Nie jestem już tą samą osobą. Zatem nie możesz być pewien, do czego jestem zdolna, nie masz nawet pojęcia, czego się po mnie spodziewać. Zadam więc to samo pytanie po raz drugi i ostatni. Jak się naprawdę nazywasz?

- Nie uwierzysz, jeśli ci powiem.

- Zobaczymy.

Waha się jeszcze przez chwilę, po czym rzuca:

- Errol Flynn. - Pospiesznie, zanim ona zdąży zareagować, dodaje: - To prawda, Grace. Przysięgam. Dzięki mojej matce, która go uwielbiała. - Uśmiecha się ironicznie. - Teraz już wiesz, dlaczego tak chętnie przy pierwszej okazji zmieniłem imię i nazwisko.

- Skąd pochodzisz?

- Urodziłem się w Melbourne, w Australii.

- Kiedy?

- W maju tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Przynajmniej data urodzenia jest w dokumentach prawdziwa.

- Jak się nazywał twój ojciec?

- Joseph Flynn.

- A matka?

- Francoise. Co do tego też cię nie okłamałem. Poza tym, jej rodzina rzeczywiście pochodzi z Francji - dodaje z zapalem, starając się wykazać, że nie każde jego słowo było fałszem.

Wiatr nieco zmienia kierunek i poluzowany żagiel zaczyna łopotać, pochyla się więc w kierunku kołowrotu, żeby naciągnąć linkę.

- Zostaw to.

- Spójrz sama, przecież...

- Powiedziałaś zostaw to! Dam ci znać, gdy będę chciała, żebyś się poruszył.

Mandragora z rezygnacją krzyżuje ręce na piersi i opiera się plecami o pawęż.

- A zatem, Errol... - zaczyna Flint.

- Tylko nie to, błagam - rzuca, krzywiąc się z niechęcią. - Nazywaj mnie, jak chcesz, tylko nie tym imieniem.

- Może być: dziwka? Albo: raszpla?

- Słucham?

- Przecież w rzeczywistości nie jesteś niczym innym, prawda? Tylko dziwką Ridouta, jego kurewką. Sprzedajesz się za forszę, czyż nie tak?

Przez chwilę wpatruje się w nią nieruchomym wzrokiem, lecz po jego minie trudno ocenić, czy powodem jest urażona duma, czy tylko zdziwienie i zaskoczenie. W końcu mówi:

- A więc już wiesz o Ridoucie. Miałem nadzieję, że sama do tego dojdiesz.

- Czyżby?

- Tak, bo w ten sposób powinnaś też wiedzieć, dlaczego to zrobiłem, a raczej dlaczego musiałem to zrobić. Nie miałem wyboru.

Jasne, myśli Grace. Łapie się jedynej deski ratunku, jaka mu pozostała.

Kiedy Grace nie odpowiada, tylko usadawia się wygodniej, żeby oprzeć na kolanie rękę, w której trzyma pistolet, a jej mina wciąż pozostaje nieprzenikniona, odzywa się błagalnym tonem:

- Bo chyba i to już wiesz, prawda? Nie jest dla ciebie tajemnicą, że byłem szantażowany?

Grace uparcie milczy, przyglądając mu się uważnie.

- To może lepiej opowiem ci wszystko. Powinnaś znać prawdę, zanim mnie osądzisz.

Waha się, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Łopoczący na wietrze żagiel wyraźnie działa mu na nerwy.

- Proszę - mówi, ruchem głowy wskazując kołowrót.

Nie napotkawszy tym razem jej sprzeciwu, pospiesznie napina linę, szacuje wzrokiem jej naciąg, poprawia jeszcze trochę. Szybkim spojrzeniem obrzuca wskazania przyrządów i wyjaśnia:

- Wiatr przybiera na sile. Prognoza jest pomyślna, ale tu, w zatoce, niczego nie można być pewnym. Gdybyśmy musieli wracać na ląd, dobrze byłoby zawrócić jak najwcześniej.

- Na razie nie widzę żadnego powodu, żebyś musiał wracać - odpowiada Grace.

- Od czego mam zacząć? - pyta retorycznie Mandragora. - Chyba najlepiej od początku.

Robi jeszcze krótką przerwę, obserwując ją badawczo, ale nie ma żadnej reakcji. Flint chce wyraźnie dać do zrozumienia, że nie zamierza mu pomagać i musi sam przez to przejść. W końcu zaczyna:

- W porządku. Opuściłem krainę Oz, gdy miałem dziewiętnaście lat. Jak większość chłopaków, nie mogłem się doczekać, kiedy będę mógł się wyrwać z domu, ponieważ Australia wydawała mi się dziurą zabitą deskami na samym końcu świata. Moi rodzice nie byli szczęśliwi z tego powodu, głównie dlatego, że nawet nie zacząłem nauki w college'u, powiedziałem im jednak, że zamierzam studiować na Uniwersytecie Życia. W końcu się poddali, kupili mi bilet na samolot i dali parę tysięcy dolarów, żebym miał z czym wystartować. Przez kilka tygodni szwendalem się po Indonezji, Malezji i Wietnamie, wreszcie dotarłem do Tajlandii. Nie mogłem wytrzymać w Bangkoku, ruszyłem więc na północ, do Chiang Mai, a tam mi się spodobało, zostałem więc na jakiś czas. Kończyła mi się forsa i musiałem znaleźć jakąś robotę, ale nie miałem pozwolenia na pracę. Imałem się różnych zajęć... - Mandragora usadawia się wygodniej. - W końcu wylądowałem jako wykidajło w nocnym barze. Prawdę mówiąc, był to bardziej burdel niż bar. Klientelę stanowili głównie turyści, Niemcy, Brytyjczycy, czasami Amerykanie. Wielu z nich mnie pytało, gdzie można kupić prochy, dlatego... No cóż, nie owijając w bawełnę, zacząłem na boku handlować narkotykami, przede wszystkim marihuaną, rzadziej heroiną. Tylko w małych ilościach, nic wielkiego. W każdym razie...

Flint jest pewna, że wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę, ale najwyraźniej w jej spojrzeniu można wyczytać pogardę, gdyż Mandragora ciężko wzdycha.

- Tak, wiem, Grace. Uważasz wszystkich handlarzy narkotyków za najgorsze szumowiny. Ale zrozum, byłem jeszcze gówniarzem i nie zdawałem sobie sprawy, w co się pakuję.

A mimo to stałeś się gorszy od najgorszej szumowiny - przemyka jej przez głowę.

- No więc złapali mnie po jakichś czterech miesiącach. Ktoś musiał ich nasłać, bo gdy policjanci wpadli do wynajmowanego przeze mnie mieszkania, od razu wyciągnęli towar ze skrytki. Wiedzieli, gdzie go trzymam. Nawet mnie nie przesłuchali w Chiang Mai, tylko wrzucili na skrzynię furgonetki i zawieźli prosto do Bangkoku, a tam wpakowali do więzienia o nazwie Bang Kwang. Jezu, co to była za nora! Policja chciała znać nazwisko mojego dostawcy, ale powtarzałem uparcie, że nie wiem, jak się naprawdę nazywa. Oczywiście znałem jego nazwisko, wiedziałem też, że jest synem wysokiego rangą urzędnika państwowego. Ostrzegł mnie, że jeśli zostanę złapany i go wsypię, jego znajomi odnajdą mnie w dowolnym tajskim więzieniu i załatwią w ciągu pięciu minut. Nie miałem podstaw, aby w to nie wierzyć. Gliniarze tłukli mnie, ile wlezie, a gdy się męczyli, powtarzali, że wpakują mnie do karceru, wyrzucą klucz i zostawią na pięćdziesiąt lat. Wciąż jednak nie chciałem

zeznawać, ponieważ bardziej bałem się Vicharna niż ich. Właśnie Vicharn był moim dostawcą - powtarza w zamyśleniu Mandragora.

I za kogoś takiego wysłaś. Wydawało ci się, że kochasz tego człowieka.

- Pozwolili mi gnić w więzieniu przez dziesięć miesięcy, a potem któregoś ranka, ni stąd, ni zowąd, wyprowadzili z celi, oddali wszystkie rzeczy i odwieźli na lotnisko. Powiedzieli, że mogę wybrać sobie samolot, pod warunkiem, że leci do Amsterdamu. Wiedziałem, że zawdzięczam wolność Vicharnowi, a raczej jego ojcu. Kiedy mnie już eskortowali do samolotu, jeden z gliniarzy wcisnął mi do ręki kopertę. W środku była kartka z sentencją: „Milczenie zasługuje na nagrodę”, oraz tysiąc dolarów w gotówce. Nie była to zbyt duża nagroda za dziesięć miesięcy w cuchnącym Bang Kwang, ale wtedy przyjąłem ją z wdzięcznością. Grace, muszę się wysikać - mówi, przerywając opowieść, i nie czekając na jej przyzwolenie, wstaje, po czym odwraca się tyłem. Nie widząc jego dłoni, Flint pospieszenie odciąga kurek rewolweru, na co on wtrąca, zerkając przez ramię: - Chyba już wiesz, że Grober nadal żyje?

Grace nie odpowiada, obawiając się, że nagła zmiana tematu ma służyć wyłącznie odwróceniu jej uwagi, a ona pod żadnym pozorem nie zamierza dać się wciągnąć w pułapkę.

Wciąż odwrócony do niej tyłem, ciągnie:

- Napisałem ci o tym w liście, razem ze wszystkimi szczegółami, które pomogłyby ci odnaleźć Grobera. Wysłałem go dzisiaj pod adresem twojego nowojorskiego biura. Oczywiście, gdybym wiedział, że się spotkamy...

Wykonuje takie ruchy, jakby rzeczywiście zapinał rozporek. Nie spieszy się zanadto. Kiedy zaczyna się obracać, Grace lekko przyciska palcem spust. Jest gotowa strzelić, jeśli tylko dostrzeże broń w jego ręku, nie zawaha się ani na chwilę. Jakaś cząstka świadomości nawet pragnie zobaczyć nóż albo pistolet.

Jakby czytając w jej myślach, szybko podnosi ręce do góry, pokazując, że nic w nich nie ma.

- Mogę zapytać, jak mnie znalazłaś? - Nie uzyskawszy odpowiedzi, dodaje: - Proszę, Grace. To dla mnie bardzo ważne.

- Nie ja cię znalazłam, tylko zbiry Grobera. Wystarczyło trzymać się blisko nich.

- Tak myślałem. Zatem wiesz, że na mnie polują.

Już nie, odpowiada w myślach Flint, lecz woli nie mówić tego na głos. Nie chce, by pocieszał się myślą, że w strzelaninie, do jakiej doszło poprzedniego wieczoru, ludzie Gilles'a zabili dwóch najemników, a trzeciego ranili tak poważnie, że wylądował w więziennym szpitalu z niewielkimi szansami na przeżycie.

- I co z tego?

- To oznacza, że Grober ciągle żyje, ponieważ zawsze płaci za wykonane zlecenie, nigdy z góry. Gdyby zginął, Francuzi straciliby perspektywę zapłaty za moją głowę, a możesz mi wierzyć, Grace, że tacy jak oni nigdy nie pracują za darmo.

- Miałabym ci uwierzyć? - pyta w zamyśleniu, jakby rzecz dotyczyła całkowicie abstrakcyjnego pojęcia.

- W porządku, rozumiem. Źle dobrałem słowa. Ale nie zmienia to faktu, że mogę ci pomóc w odnalezieniu Grobera. Zrobię wszystko, co każesz. I nie zapominaj, że to on z zimną krwią zabił Ruth. Nie miałem z tym nic wspólnego. Gdybym wiedział, co zamierza, jakoś bym go powstrzymał.

- Jakoś?

- Może zdobyłbym się na odwagę i wyznał ci prawdę. Nawet nie masz pojęcia, Grace, ile razy chciałem ci wszystko powiedzieć, wyznać otwarcie, do czego Ridout mnie zmusza. - Mandragora obiema dłońmi nerwowo pociera policzki. - Nie zdobyłem się na to, ponieważ nie mógłbym znieść twojego spojrzenia, dokładnie takiego, jakim teraz na mnie patrzysz.

Ponownie odwraca się do niej tyłem i staje ze wzrokiem utkwionym w lekko spienionym kilwaterze „Anny Magdaleny”.

- Co zamierzasz?

- Wysłuchać cię. Sprawdzić, co masz do powiedzenia.

- A później?

Flint jeszcze nie zna odpowiedzi na to pytanie, lecz nie chce, aby on o tym wiedział.

- W Amsterdamie po raz pierwszy przybrałem fikcyjne nazwisko. W Tajlandii nie postawiono mi formalnych zarzutów, ale kumpel z celi w Bang Kwang ostrzegł, że tajska policja zawsze rozpowszechnia personalia podejrzanych o handel narkotykami, przede wszystkim przez Interpol. Dlatego bałem się, że przy każdym przekraczaniu granicy będę miał poważne kłopoty. Facet, z którym siedziałem, pochodził z Quebecu i dał mi namiary na knajpę w Amsterdamie, gdzie można kupić kanadyjski paszport na dowolne nazwisko. Po dziesięciu miesiącach spędzonych z nim w jednej celi całkiem nieźle mówiłem z kanadyjskim akcentem.

- Masz na myśli bar przy Herengracht? - pyta Flint. Spogląda na nią zdumionym wzrokiem.

- Naprawdę mnie zaskakujesz. Skąd to wiesz?

- Jak miał na imię człowiek, który sprzedał ci paszport?

- Klaus. Znasz go?

Owszem, nawet dość dobrze zna Klauza Fischera, bo przy paru różnych okazjach sama kupowała u niego świetnie podrobione kanadyjskie paszporty. Ale to także zostawia tylko dla siebie i ignorując jego pytanie, rzuca:

- Mów dalej.

- Szczęśliwym trafem Klaus miał już gotowy paszport na nazwisko Christiana Myersa i zgodził się sprzedać go tanio, tylko za trzysta dolarów. W ten sposób stałem się Kanadyjczykiem, za którego uchodzę do dzisiaj. Oczywiście, nigdy nie wiadomo, jak dobrze są podrobione dokumenty, dopóki się tego nie sprawdzi, więc na wszelki wypadek postanowiłem odbyć podróż do któregoś cywilizowanego kraju, gdzie nie ma takich cuchnących nor jak Bang Kwang. Klaus powiedział, że może mi dorzucić tani bilet do Londynu, zgodziłem się więc i bez żadnych kłopotów przeszedłem przez kontrolę imigracyjną. I niespodziewanie, już w sali przylotów, wpadłem na mojego starego przyjaciela Vicharna. „Miło cię widzieć”, rzekł. „Gdzie chcesz nocować? Może zatrzymałbyś się u mnie?”. Zdumiewające, prawda? - pyta nagle ostrzejszym tonem. - To był cholernie zastanawiający zbieg okoliczności, nie sądzisz, Grace?

- Nie.

- Nie? - Śmieje się gardłowo. - Masz rację. To nie był żaden zbieg okoliczności. Milknie na dłużej, aż Flint wtrąca:

- Chyba musisz się trochę pospieszyć. Nie mamy zbyt dużo czasu.

Mandragora głośno przetyka ślinę i obrzuca ją takim spojrzeniem, jakby chciał wszcząć awanturę. Zaraz jednak się opanowuje.

- W porządku. Vicharn mieszkał w apartamencie w Eaton Square z czterema innymi bogatymi gnojkami, dwójką młodych księżąt z Arabii Saudyjskiej, synem bankiera z Dubaju i jeszcze jednym Arabem, Egipcjaninem, którego ojciec wynajmował ten apartament. Wszyscy przyjechali do Londynu na studia, ale w głowie była im tylko gorzała, prochy i dziwki. Łatwiej było podrywać dziewczyny, kiedy się miało prochy, i właśnie do zdobywania prochów byłem im potrzebny, bo sami nie chcieli ryzykować ani zatargu z handlarzem, ani złapania przez policję. Szukali zaufanego posłańca, a Vicharn świetnie wiedział, że można mi ufać, dlatego z radością przyjęli mnie do swego grona. Zostałem ich cukiernikiem, dostarczającym kokę, herę, wódę i wszystko, czego zapragnęli, żeby mogli się do woli otumaniać i sprowadzać dziwki całymi tabunami. Już wiesz, jak wyglądało moje życie? Rozumiesz, dlaczego nie miałem odwagi powiedzieć ci prawdy o sobie?

Flint czuje się tak, jakby w jej żyłach krążyła lodowata woda, dlatego wciąż milczy, nie ufając swoim reakcjom.

- Sam nigdy nie brałem, Grace. Raz spróbowałem koki, ale tylko się porzygałem. Dlatego ilekroć urządzali swoje... przyjęcia... - rzuca z pogardą w głosie - ...znikałem z hotelu i wracałem o pierwszej, drugiej w nocy. Któregoś razu wróciłem trochę wcześniej, krótko po północy, gdy zabawa jeszcze trwała na dobre, i w swoim pokoju zastałem na łóżku dziewczynę. Była całkiem naga, sina i nie oddychała. Z ręki sterczała jej opróżniona strzykawka, więc doszedłem do wniosku, że przedawkowała heroinę i serce nie wytrzymało. W każdym razie była martwa i przedstawiała sobą poważny kłopot. I to jaki! - Ze wzrokiem utkwionym w pokładzie kręci głową, wspominając tamte zdarzenia. - Okazało się na dodatek, że nie jest zwykłą dziwką. Miała dopiero osiemnaście lat, studiowała w college'u i była córką wiceministra. Vicharn i pozostali zaczęli robić w gacie, gdy im o niej powiedziałem, prawie musiałem ich związać i zakneblować, żeby nie pojechali natychmiast na lotnisko. Wyprosiłem pozostałe kobiety z apartamentu i wytłumaczyłem Vicharnowi, co musimy zrobić: po cichu odwiedzić ją do domu, do mieszkania w Chelsea, które kupił jej ojciec. Cały kłopot polegał na tym, że nie mogliśmy znaleźć kluczy. Jej torebka zniknęła, pewnie ukradła ją któraś z dziwek. Ciągłe coś tam ginęło. Dziwki kradły wszystko, cokolwiek wpadło im w ręce, co tylko były w stanie wynieść. Musieliśmy więc pozbyć się zwłok w inny sposób. Vicharn zaczął mnie błagać, żebym coś zrobił. W końcu ją ubrałem, zawinałem w koc, zniosłem schodami pożarowymi, wpakowałem do bagażnika samochodu Vicharna i odjechałem, nie mając zielonego pojęcia, dokąd ją zawieźć.

Z miny Flint można chyba wyczytać jej odczucia, ponieważ Mandragora urywa nagle i mówi cicho:

- Grace, nie patrz na mnie takim wzrokiem, jakbym był obleśnym robakiem, który wypełznął spod kamienia. Myślisz, że łatwo mi o tym mówić?

Flint odchrząkuje, próbując przełknąć gorzki kłęb, który ją dławi w gardle.

- Chcesz wysłuchać reszty czy nie?

- Mhm - odpowiada pomrukiem przez zaciśnięte zęby.

- Pojechałem nad rzekę blisko bloku, w którym mieszkała.

Usiłowałem znaleźć dogodne miejsce, gdzie mógłbym niepostrzeżenie znieść trupa nad wodę i gdzie ktoś by go odnalazł jeszcze przed nadejściem przyływu. W końcu je znalazłem, ale nie było miejsca do zaparkowania, zostawiłem więc samochód przy krawężniku, z zapalonymi światłami awaryjnymi, wyciągnąłem ją z bagażnika i zataszczyłem na murek, kiedy wóz zwrócił uwagę policyjnego patrolu. Zdążyłem jeszcze zrzucić ciało, zanim mnie zatrzymali. Nie mogłem nic zrobić, nie było gdzie uciekać. W głowie kołatała mi się tylko jedna myśl: „Czy znajomi Vicharna mogą zabijać ludzi także w brytyjskich

więzieniach?". Wiedziałem, że niezależnie od tego, co powiem, od razu mnie z nim powiążą. W końcu przyjechałem jego samochodem. Pieprzony Vicharn. Wiesz, co zrobił? Przyciągnął swoich arabskich kumpli na komendę w Chelsea, gdzie siedziałem w areszcie, i wyparł się znajomości z tą dziewczyną, zeznał, że to była moja przyjaciółka, widział ją po raz ostatni, gdy wchodziła do mojego pokoju, i nie wie, jak zmarła, bo musiało się to stać, gdy już poszedł do łóżka. I dodał, oczywiście, że ukradłem jego samochód. Nie miałem nawet szans się bronić, gliniarze mieliby zeznania ich czterech przeciwko moim.

Z zakamarków pamięci Flint wypływa krzykliwy nagłówek w londyńskim „Evening Standard”: ZWŁOKI CÓRKI MINISTRA WYŁOWIONE Z TAMIZY.

- Ta dziewczyna nazywała się jakoś? - pyta.

- Pewnie. Na imię miała Kay albo Kate. Chyba Kate.

- Nawet tego nie wiesz?

- Przecież jej nie znałem, Grace. Widziałem ją w apartamencie najwyżej trzy razy, chyba nie zamieniliśmy ani jednego słowa. - Uśmiecha się smutno i dodaje grobowym głosem: - Nawet nie za bardzo mi się podobała.

Flint ma wrażenie, że chce jej w ten sposób przypomnieć, iż ona mu się podoba. Ogarnia ją fala nieznośnego wstydu, zaczyna czuć obrzydzenie do samej siebie.

- Policja orzekła, że zostanę oskarżony o zatajenie śmierci i próbę nielegalnego porzucenia zwłok, a więc nie najpoważniejsze przestępstwa. Tak mi się przynajmniej zdawało. Aż tu nagle następnego dnia, wciąż jeszcze na tej samej komendzie, zjawił się w pokoju przesłuchań facet, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Wszedł, zamknął drzwi i od progu zakomunikował: „W heroinie, którą jej dałeś, była trucizna. To ona stała się przyczyną śmierci. Zatem grozi ci oskarżenie o morderstwo”. A potem dodał: „Jeśli przyznasz się do winy i dopisze ci szczęście, sąd potraktuje cię łagodnie, ale wzięwszy pod uwagę, kogo zamordowałeś, kim jest ojciec dziewczyny i jakie ma wpływy, i tak dostaniesz co najmniej piętnaście lat”. Kiedy odzyskałem mowę, zacząłem szybko tłumaczyć, że nie dawałem dziewczynie żadnej heroiny, ale on wyciągnął z zanadru kilka zdjęć, na których wyraźnie było widać, jak przekazuję dilerowi pieniądze i odbieram towar. Trzecie zdanie, jakie padło z jego ust, brzmiało: „Tylko jeden człowiek na świecie może cię z tego wyciągnąć. Właśnie ja”. I wtedy zrozumiałem, że wpadłem w zastawioną pułapkę, zostałem w to wszystko ordynarnie wrobiony. Myślałem, że facet jest inspektorem policji, ale oczywiście się pomyliłem.

- To był Ridout? - podsuwa Flint.

- Zgadza się.

- Czego od ciebie chciał?

- Raczej kogo niż czego. Kamala Tohamiego, tego Egipcjanina, który wynajął apartament. Okazało się, że to bogaty przemysłowiec, który, jeśli wierzyć Ridoutowi, miał powiązania z libańskimi ugrupowaniami terrorystycznymi i dostarczał broń do Iraku. A było to krótko przed wojną w Zatoce. Podobno wykorzystywał ten apartament hotelowy jako skrzynkę kontaktową, a czasami miejsce tajnych narad. Znalazłem się w idealnej pozycji do tego, by kontrolować wszystko, co się tam dzieje, i donosić o tym Ridoutowi. Jego ludzie nauczyli mnie, jak bez śladu otwierać pocztę Kamala i fotografować jej zawartość. Założyłem podsłuch telefoniczny, ale nie z nadajnikiem radiowym, tylko zwyczajnym odgałęzieniem kabla, więc w zasadzie niemożliwy do wykrycia. A gdy Kamal przyjeżdżał do Londynu i na czas jego pobytu musieliśmy się wynieść z hotelu, rozmieszczałem ukryte mikrofony we wszystkich pokojach. Również były bez nadajników, tylko połączone kablem z ukrytymi za boazerią miniaturowymi magnetofonami włączającymi się automatycznie na dźwięk głosu. To niemal idealne rozwiązania do prowadzenia podsłuchu, lecz można je stosować tylko wtedy, gdy ma się swojego człowieka na miejscu. Właśnie do tego byłem potrzebny.

- I tak lepsze to niż perspektywa więzienia pod zarzutem morderstwa - wtrąca Flint.

- Jasne. Kiedy tylko zgodziłem się spełnić jego żądania, Ridout schował z powrotem zdjęcia, a bez nich policja nie miała żadnego dowodu, że dostarczałem heroinę do hotelu. Zostałem oskarżony o próbę nielegalnego porzucenia zwłok, ale wyszedłem za kaucją. Ridout to załatwił. Zatrzaszczył się też, bym został z powrotem przyjęty w Eaton Square z otwartymi ramionami, nie tylko z tego powodu, że w czasie przesłuchań nie pisałem ani słówkiem na temat Vicharna i jego przyjaciół, ale również dlatego, że nadal mogłem być ich cukiernikiem. Dzięki Ridoutowi zyskałem kontakt z innym dilerem, który podobno nie dosypywał do prochów żadnych trujących świństw.

Przez dłuższą chwilę Flint siedzi nieruchomo, gorączkowo układając w myślach poznane przed chwilą fakty. Wreszcie pyta ostrożnie:

- Chcesz powiedzieć, że Ridout... to znaczy MI6... zaopatrywał cię w heroinę?

- Niezupełnie. Powiedziałem tylko, że dostałem od Ridouta pseudonim i numer telefonu.

- Co za pseudonim?

- Storczyk.

- Ale spotykałeś się z tym facetem i kupowałeś od niego heroinę?

- Nie musiałem kupować. Dostawałem za darmo.

- Ile razy?

- Dziesięć, może dwanaście.

- Gdzie się z nim spotykałeś?

- Różnie. W pubie, wynajętym mieszkaniu, na ulicy naprzeciwko Hyde Parku... Poza tym to nie był facet, tylko dziewczyna. Moim zdaniem, agentka Ridouta - dodaje ciszej.

- Opisz ją.

- Biała, koło dwudziestki, raczej nie Angielką prędzej Irlandka, wysoka, rudą o bardzo jasnej karnacji. Ani trochę nie wyglądała na dilerkę i chyba dokładnie o to chodziło. Ridout nie chciał, żebym znowu wylądował w areszcie.

- Mógłbyś ją zidentyfikować?

- Minęło dziesięć lat... Ale raczej tak, pewnie bym ją rozpoznał. Była dość ładna, cerę miała bez skazy, więc chyba sama nie brała, nie powinna się za bardzo zmienić przez ten czas. - W rzeczywistości Mandragora świetnie wie, że w ogóle się nie zmieniła, ponieważ widział ją niedawno w pobliżu domu Johna Flinta, zerkając ze stodoły przez szparę na podwórko. Woli jednak nie nawiązywać do niczego, co mogłoby nakierować rozmowę na temat ojca Grace. Dlatego dodaje tylko: - Tak, jestem prawie pewien, że bym ją rozpoznał.

- To dobrze - odpowiada Flint, mówiąc bardziej do siebie.

- Dlaczego?

Po raz kolejny odzywa się jedynie w myślach, zachowując to na własny użytek: Bo niewykluczone, ale tylko niewykluczone, że podałeś właśnie powód, dla którego nie powinnam cię zastrzelić na miejscu.

Nie tylko wiatr przybiera na sile, również fale robią się wyższe i zaczynają się załamywać. Kadłub „Anny Magdaleny” dygocze i potrzaskuje cicho pod ich naporem, płaty białej piany spadają na pokład, rozpryski wody zostawiają mokre plamki na koszuli Mandragory.

- Barometr szybko spada - mówi ten, spoglądając na horyzont, nad którym widać już złowieszczy ciemnoszary pas nadciągających chmur.

Flint woli się jednak nie oglądać, nie chce nawet na chwilę spuścić z oczu jego rąk.

- Więc tym bardziej powinienes się pospieszyć - mówi.

- Szpiegowałem Kamala przez cztery miesiące, co kilka dni przekazując Ridoutowi wyniki tych działań.

- Gdzie?

- W Regent's Park, Saint James's Park, na stacji Victoria. Za każdym razem w innym miejscu. Na koniec każdego spotkania Ridout wyznaczał termin i miejsce następnego. Gdyby wynikło coś pilnego, na przykład Kamal pojawił się niespodziewanie w Londynie, miałem numer telefonu, pod który powinienem zadzwonić, i dwie godziny później on czekałby na

mnie pod kolumnadą przed hotelem Ritza. Gdyby zaś on musiał się pilnie ze mną zobaczyć, było umówione hasło, miałem usłyszeć przez telefon: „Pańskie zamówienie jest gotowe do odbioru”, i po dwóch godzinach powinienem się stawić przed Ritzem. Któregoś dnia zakomunikował mi: „Nadeszła pora, żebyś spłacił swoje długi”. Znaczyło to, że mam iść do więzienia. Dostałem jeszcze parę dni na załatwienie swoich spraw, a Vicharn urządził mi przyjęcie pożegnalne. Stałem przed sądem, przyznałem się do winy, to znaczy do próby nielegalnego porzucenia zwłok dziewczyny... czyli Kate - poprawia się szybko. - Dostałem dwa lata. To znaczy Christian Myers został skazany na dwa lata, ja nigdy nie trafiłem za kratki. Jeszcze tego samego popołudnia, kiedy Vicharna zgarnęła policja za posiadanie dwóch kilogramów surowej heroiny, którą Ridout kazał mi podzucić w jego pokoju, i za co, nawiasem mówiąc, dostał osiemnaście lat odsiadki, zyskałem nowe nazwisko i nowy kanadyjski paszport, po czym ruszyłem w podróż do Dublina, żeby sprzedać IRA transport granatników raketowych. Znowu nie miałem wyboru. Ridout postawił sprawę jasno: w każdej chwili może przekazać policji tamte zdjęcia i zostaną oskarżony o morderstwo, jeśli uda mi się dożyć tej chwili po ujawnieniu przez niego miejsca mojego pobytu. Teraz posłuchaj uważnie, Grace. Dwa dni po moim wyjeździe do Dublina Kamal wraz z synem zginęli w wypadku samochodowym w drodze na Heathrow. Podobno zepchnął ich z autostrady inny samochód, którego nie udało się zidentyfikować.

Wiadomość o śmierci Egipcjanina nie robi żadnego wrażenia na Flint, która pyta:

- Dostarczałeś broń IRA?

- Co? Nic podobnego. Chodziło tylko o wyciągnięcie od nich forsy. Zgodnie z umową IRA miała zapłacić połowę kwoty z góry, a drugą przy odbiorze transportu, który w ogóle nie miał szans dotrzeć na miejsce. Już Ridout się o to zatroszczył. Jest pewna granica, za którą nigdy bym się nie posunął.

- Czyżby?

Mandragora odpowiada głośnym śmiechem, chociaż w jej pytaniu nie było nic zabawnego. Dlatego Grace dodaje szybko:

- Opowiedz mi teraz o Groberze.

To działa na niego jak kubeł zimnej wody. Natychmiast poważnieje i z zasepioną miną spuszcza głowę. Wręcz sprawia wrażenie udęconego, doskonale zdając sobie sprawę, że niemal każde słowo, które teraz powie, sprawi jej ból.

- Byłem wtedy w Moskwie i szukałem dojścia do jednego z oszustów na Kremlu. Wówczas, w epoce Jelcyna, aż się od nich roilo w jego otoczeniu. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem nazwisko Grobera. Nie było wątpliwości, że to gruba ryba, skoro zajmuje się

ściągnięciem brudnych pieniędzy z całej Rosji i praniem ich na Zachodzie. Ridout był bardzo podniecony, że wpadłem na jego ślad. Chciał, żebym przeniknął do organizacji Grobera, nie miałem jednak nic do zaoferowania, a Niemiec był nadzwyczaj ostrożny. Rozpuściłem na próbę kilka plotek, ale nie przyniosły żadnego rezultatu. Wtedy Ridout odwołał mnie z Moskwy, ściągnął z powrotem do Anglii i oznajmił, że znalazł klucz. Ty byłaś tym jego kluczem. Powiedział, że wszczynasz dochodzenie w sprawie działalności Grobera i gdyby udało mi się do ciebie zbliżyć, zyskałbym coś bardzo cennego do przetargu; na tyle cennego, żeby zdobyć zaufanie Grobera. Wątpiłem, by ten plan wypalił, nie miałem większych szans, by się do ciebie zbliżyć, i to nie tylko dlatego, że jesteś gliną. Oczywiście Ridout pokazał mi twoje zdjęcia, miał nawet jakiś fragment filmu wideo, ale dopóki nie zobaczyłem cię na własne oczy w Miami, nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś aż tak piękna...

- Daruj to sobie - przerywa Flint szyderczym tonem.

- Dlaczego? Nie chcesz znać prawdy? Od razu wydałaś mi się oszalemiącą, nie tylko z wyglądu. Później, już po naszym pierwszym spotkaniu, powiedziałem Ridoutowi, że nic nie wyjdzie z jego planu, bo, moim zdaniem, możesz mieć każdego faceta, który ci wpadnie w oko, a skoro chwilowo nie masz nikogo, oznacza to, że chcesz być sama. Jeśli mam być szczery, przez jakiś czas zastanawiałem się nawet, czy nie jesteś lesbijką. Gdybyś wtedy nie zadzwoniła...

- Wiesz co? Rzeczywiście wyjątkowy z ciebie okaz.

- Nie zmienimy tego, co się stało, Grace. Mogę teraz najwyżej spróbować jakoś to wszystko poukładać.

- Poukładać? Po tym, co mi zrobiłeś? Zresztą mniejsza o mnie. Co zrobiłeś mojemu ojcu? Jak możesz myśleć, że po tym wszystkim da się jeszcze cokolwiek poukładać?

- Jezus, Maria! A więc wiesz, że to byłem ja. Woląłem o tym nie wspominać. Bałem się, że...

Odwraca głowę, nie mogąc znieść jej oskarżycielskiego spojrzenia.

- Że co? Że go zabiłeś? Gdyby tak się stało, już byś nie żył. Możesz mi wierzyć.

- Zatem nic mu się nie stało?

- Niezupełnie. Wpakowałeś go do psiej klatki, łajdaku, i porzuciłeś na pastwę losu.

Minęło parę godzin, zanim go znaleziono.

- Jak to? Niemożliwe!

- Słucham?

- Wokół domu kręcili się ludzie Ridouta. Specjalnie zostawiłem otwarte drzwi stodoły, żeby go znaleźli i... - Ostrożnie podnosi głowę i zerka jej w oczy, po czym zaczyna mówić

szybciej, trochę chaotycznie: - Posłuchaj, Grace. Ta kobietą o której wcześniej mówiłem, od której dostawałem heroinę... Nie znam jej prawdziwego nazwiska, ale posługuje się pseudonimem Ćma i bez wątpienia pracuje dla Ridouta. Kiedy uciekłem ze Stanów po śmierci Ruth, Ridout kazał mi wracać do Anglii. Zamknął mnie w kryjówce MI6, ale nie czułem się tam bezpiecznie, bo za dużo wiedziałem, podejrzewałem więc, że będzie chciał się mnie pozbyć. Śmiertelna dawka heroiny czy zepchnięcie z autostrady przez inny samochód, zależnie od tego, jak mu będzie wygodniej. Dlatego uciekłem i przedostałem się do domu twojego ojca, bo wcześniej ukryłem pod podłogą twojej sypialni trochę pieniędzy i fałszywy paszport. Twój ojciec nalegał, żebym został. Nie zamierzałem go krzywdzić. Chciałem tylko zabrać swoje rzeczy i dalej uciekać. Kiedy w środku nocy zszedłem na dół, zastałem go w kuchni, gdy próbował się do ciebie dodzwonić... Spanikowałem, Grace. Przysięgam, że nie chciałem go uderzyć aż tak mocno. Przeniósłem go nieprzytomnego do stodoły, ponieważ zamierzałem upozorować rabunek i włączyć alarm przeciwwłamaniowy, kiedy będę wychodził. Wtedy niespodziewanie pojawiła się ta para, Ćma i jej kolega, niejaki Fellowes, który pilnował mnie w kryjówce MI6.

Mandragora mówił, że lubisz się pieprzyć! - odzywają w jej pamięci słowa Nicka Fellowesa, sepleniącego z powodu przegryzionej i silnie krwawiącej wargi.

- Wymknąłem się, kiedy weszli do domu. Oczywiście, przez nich nie mogłem włączyć alarmu przeciwwłamaniowego, byłem jednak pewien, że odnajdą twojego ojca w stodole, udziela mu pierwszej pomocy, wezwą karetkę. Była piąta rano, Grace. Nie mógł leżeć w klatce przez kilka godzin, na miłość boską!

Znowu spuszcza głowę, żeby uniknąć jej wzroku, a z jego gardła wrywa się zduszony jęk przypominający głos rozpaczliwego człowieka stojącego nad otwartym jeszcze grobem kogoś bliskiego. Kiedy po chwili prostuje się powoli i zerka na nią ostrożnie, żeby sprawdzić, jaki przyniosło to skutek, Flint obwieszcza lodowatym tonem:

- To tylko zawrozenie wiatru w olinowaniu.

Nie obchodzi mnie, do jakiego stopnia kierujesz się pobudkami osobistymi, powiedział Cutter. Załatwisz sprawę, jak należy, w jedyny możliwy do przyjęcia sposób. Sprowadzisz Mandragorę żywego.

- Przedstawię ci teraz warunki umowy - mówi Flint. - Jedyne, jakie mam do zaoferowania.

Mandragora patrzy na nią spode łba, jak człowiek stojący na miejscu dla oskarżonych i czekający na wyrok sądu.

- Po pierwsze, pomożesz mi odszukać Grobera, żywego czy martwego, nawet gdybyś miał w tym celu pełnić rolę żywej przynęty i wystawiać się na śmiertelne ryzyko. Jeśli złapiemy go żywego, a ty wyjdiesz z tego cało, będziesz zeznawał przeciwko niemu w każdym sądzie i tak często, jak tylko będzie to konieczne. Zostaniesz objęty programem ochrony świadków, to znaczy, że nawet przez chwilę nie zostaniesz sam i będziesz robił dokładnie to, co ci każemy, niezależnie od wszystkiego. Podpiszesz oświadczenie, w którym się zgadzasz na te wszystkie warunki, a kiedy je złamiesz albo w jakikolwiek sposób spieprzysz swoje zadanie, staniesz przed sądem pod zarzutem współudziału w zamordowaniu Ruth Apple, za co grozi kara śmierci, ja zaś uczynię absolutnie wszystko, wykorzystam wszelkie kontakty i znajomości, abyś tę karę otrzymał. Zrozumiałeś?

- Tak.

- Po drugie, pomożesz mi się odplacić Ridoutowi, choć jeszcze nie wiem jak. Ale i w tej sprawie wystąpisz w roli przynęty, jeżeli zajdzie taka potrzeba, natomiast wcześniej złożysz zaprzysiężone zeznanie, w którym wyznasz wszystko, co o nim wiesz, opowiesz szczegółowo o każdym zadaniu, jakie dla niego wykonywałeś, przypomnisz sobie każdą rozmowę i każdy układ zawarty czy to z nim, czy z którymś z jego agentów. Ponadto przekażesz mi wszelkie dowody, jakie masz na poparcie tych zeznań, a także zgodzisz się na przesłuchanie z użyciem poligrafii czy jakiegokolwiek inne badania, które będą potrzebne w celu ustalenia twojej prawdomówności. Zgodzisz się zeznawać przed sądem lub jakąkolwiek komisją parlamentarną, a gdyby do niczego takiego nie doszło na skutek prób wyciszenia sprawy, będziesz rozmawiał z każdym dziennikarzem, z którym cię skontaktuję. Odważnie stawisz wszystkiemu czoło, Mandragora, nawet gdyby miało to oznaczać, że zostaniesz osądzony za śmierć Kate, bo jeśli nie, uczynię wszystko, abyś i tak nie uniknął wyroku śmierci. Czy to jasne?

- Jak słońce, Grace.

- Po trzecie, pójdziesz do więzienia za napad na mojego ojca, a w dodatku zaoszczędzisz mu nerwów rozprawy sądowej. Złożysz pełne pisemne zeznanie, w którym przyznasz się do winy niezależnie od tego, jakie zarzuty zostaną ci postawione. Rozumiesz?

Przytakuje ruchem głowy.

- I wreszcie po czwarte, bez żadnych zastrzeżeń zgodzisz się na nasz rozwód albo, jeśli tylko będzie to możliwe, unieważnienie małżeństwa na tej podstawie, że wprowadziłeś mnie w błąd. W żadnym wypadku nie będziesz się domagał jakichkolwiek korzyści materialnych ani rościł sobie prawa do małżeńskiej własności, w ogóle nie będziesz stawiał warunków. I na koniec, kiedy już załatwimy wspólne sprawy i spłacisz wszystkie swoje długi,

znikniesz i nie będziesz nigdy próbował się skontaktować ani ze mną ani z moim ojcem, w żadnej postaci i formie. Jeśli spróbujesz... - Zawiesza na chwilę głos i kończy: - Zabiję cię.

Mandragorą wstrząsa dreszcz, choć może tylko z wychłodzenia.

- Takie są warunki umowy. Możesz je przyjąć albo odrzucić.

- Co będzie, jeżeli ich nie przyjmę?

- Pociągnę za spust - oznajmia chłodno, mając nadzieję, że jeśli faktycznie choć trochę ją zna, zrozumie, że to nie żarty.

Zawsze trzeba mieć plan rezerwowy, panie Cutter.

- Zgadzam się.

- Na co? Powiedz to wyraźnie.

- Przyjmuję wszystkie twoje warunki, Grace. Pomogę ci odnaleźć Grobera i odpłacić Ridoutowi, niezależnie od tego, co będę musiał zrobić, jak również zapłacę za to, co zrobiłem twojemu ojcu. A gdy już załatwimy nasze sprawy... - uśmiecha się smutno - ...wpełznę z powrotem pod swój kamień i nigdy nie będę próbował się z tobą zobaczyć. - Zawróć jacht.

Na wschodnim kursie „Anna Magdalena” gładko mknie z wiatrem. Milczący Mandragora stoi przy sternicy, natomiast Flint w otwartym luku, zaparta łokciami o dach kajuty, uginając lekko kolana, żeby zamortyzować coraz silniejsze kołysanie łodzi na falach. Dotąd jasnozielony ocean robi się całkiem czarny.

Atak następuje niespodzianie. W dodatku Grace nie ma najmniejszych szans, by się przed nim ustrzec.

Patrząc na stojącego w niedbałej pozie, wspartego o sterownicę Mandragorę, odbiera tylko przelotne wrażenie, że wiatr stopniowo zmienia kierunek, gdy nagle kątem oka dostrzega mknący w jej kierunku bom głównego żagla podobny do gigantycznego kija baseballowego. Odruchowo wciska głowę w ramiona, ale jest już za późno. Silne uderzenie w sam czubek głowy sprawia, że spada bezwładnie w głąb kajuty, a gdy próbuje złapać równowagę, siła bezwładności wywołana gwałtownym obrotem bomu mocno przechyliła jacht na bok i gwałtownie go wyhamowuje, jakby wpadli na betonową ścianę. Grace kołysze się w kajucie, uczepona jedną ręką poręcz, próbując wymacać schodki pod nogami, na pół oślepiąca i ogłuszona, ale świadoma tego, że Mandragora lada moment wpadnie do środka, żeby ją obezwładnić, toteż kurczowo ściska w drugiej ręce rewolwer i strzela na oślep, raz za razem, bez zastanowienia naciskając spust, dopóki nie milkną ogłuszające wystrzały i nie rozlega się głuchy brzęk iglicy uderzającej w pustkę.

Dopiero teraz rozluźnia uścisk i zeskakuje do kajuty, spada na kolana i jak przestraszony pająk zaczyna niezdarnie poruszać się na czworakach po śliskiej podłodze w

stronę dziobowej kajuty sypialnej, gdzie leży jej plecak, a w nim rakieta i sześć naboju świetlnych, które dostała od Gilles'a. Świetnie wie, że takie rakiety odpalone z niewielkiej odległości mogą wypalić w piersi człowieka dziurę o średnicy melona. Roztrzęsionymi rękoma nabija rakiety, usiłując zebrać nieskładne myśli.

Ruchy łodzi są nieprzewidywalne. Grace, miotana to w jedną, to w drugą stronę, przedziera się przez główną kajutę w kierunku wyjścia na pokład, gotowa w każdej chwili odpalić raketę. Ale Mandragory nigdzie nie widać, nie miał się także gdzie schować. W kokpicie go nie ma. Na pokładzie nie widać śladów krwi. Nie ma go ani na dachu kajuty, ani na pokładzie dziobowym. Musiał skoczyć do morza albo wylecieć za burtę.

Flint czuje się zagubiona. Jacht wykręcił pod wiatr i luźny żagiel z furją łopocze w jego porywach. Wie, że powinna go opuścić, lecz w ogóle nie zna się na żeglarstwie. Wdrapuje się na dach kajuty i rozgląda niepewnie wokół podstawy masztu, zachodząc w głowę, którą z bezliku linek powinna odwiązać. Może liczyć jedynie na swoje szczęście. Pospiesznie luzuje węzeł, ostrożnie popuszcza linki i zauważa z radością, że górna część żagla zaczyna się osuwać w dół.

Trwa niemal całą wieczność, zanim udaje się jej opuścić żagiel do końca i prowizorycznie go przywiązać niczym niechlujnie zrolowane prześcieradło do bomu. Później musi jeszcze odkryć, jak się uruchamia silnik i reguluje jego obroty. W końcu jednak z grubsza poskramia „Annę Magdalenę” i powoli zawraca szerokim łukiem, wypatrując na falach Mandragory.

Zauważa go, gdy jacht wpływa na grzbiet fali. Jest po lewej, na godzinie dziewiątej, dobre siedemdziesiąt metrów od burty. Unosi się na falach niczym szałwiarz i macha do niej ręką, dostrzegłszy ją przy sterze. Lecz już po chwili, gdy dziób jachtu zsuwa się z fali, Grace traci go z oczu. Namierza po raz drugi z grzbietu kolejnej fali, ale wtedy jest już na godzinie ósmej i wyraźnie trochę dalej.

Flint dodaje gazu i ciągnie do siebie sterownicę, żeby wykonać zwrot przez lewą burtę. W myślach wytycza kurs, który powinien ją zaprowadzić do niego, lecz popełnia grubo błąd, bo gdy znów dostrzega go na falach, wciąż jest na lewo od niej i wcale nie bliżej niż poprzednio.

Tym razem robi dużo ciaśniejszy nawrót i po jakimś czasie stwierdza z satysfakcją, że właściwie skorygowała kurs, bo gdy po raz czwarty widzi Mandragorę na falach, „Anna Magdalena” płynie prosto na niego, a dystans systematycznie maleje.

Odważnie stawisz wszystkiemu czoło, Mandragoro, i spróbujesz to wszystko poukładać.

Nagle odczuwa przyływ nadzwyczaj intensywnej emocji, tak silnych - nie, znacznie silniejszych od fizycznego cierpienia. W wyobraźni słyszy niemal histeryczne krzyki jej drugiego ja: Nie! Nie! Nie! Jak sparaliżowana zastyga bez ruchu z dłonią zawieszoną nad dźwigienką gazu, który powinna teraz zmniejszyć.

Jacht sunie dalej, unosząc się i opadając na falach, w tym samym rytmie co Mandragora, który spogląda na nią z szeroko rozwartymi ustami wzrokiem pełnym przerażenia i desperacji.

Grace, nie wolno ci tego zrobić! Nie możesz dopuścić, żeby utonął!

Dlaczego?

Bo jesteś policjantką, składałaś przysięgę, a poza tym obiecałaś Cutterowi sprowadzić go żywego.

Sam wypadł za burzę.

Grace, musisz...

Chciał mnie zabić, do jasnej cholery!

Bo jest gnidą, obrzydliwym zakłamanym tchórzem. I chyba w ogóle nie ma sumienia, pewnie nawet nie wie, co to jest.

Święta racja.

Ale ty nie jesteś taka, Grace, ani trochę nie jesteś do niego podobna. Ty masz sumienie, zastanów się więc, jak będziesz dalej żyć z tą świadomością, jeśli teraz dopuścisz...

Zamknij się!

Gdzieś z głębin umysłu wypływa podejrzenie, szybko rozrastające się niczym złośliwy rak w niezachwianą pewność - zbyt przerażającą, by w ogóle dopuścić ją do siebie.

Mandragora leży na wznak, próbując utrzymać się na falach. Znowu usiłuje podnieść rękę, żeby dać jej znak, lecz wyraźnie zaczyna opadać z sił. Nie wytrzyma tak długo, toteż małostkowy głos w jej głowie podejmuje kolejną nieśmiałą próbę:

Świetnie, pozwól mu utonąć - wtedy Ridout poczuje się całkiem bezpieczny. Tego chcesz, Grace? Zależy ci, by wszystko uszło mu bezkarnie? Bez Mandragory będziesz musiała porzucić nadzieję na wyrównanie rachunków z Ridoutem.

Zgadza się, nie będzie na to żadnych szans.

No więc?

Czy z Mandragorą czy bez niego, i tak nie zdołam nic zrobić Ridoutowi. Takim jak on nic nie zagraża na tym świecie.

Kolejne podejrzenie stopniowo przeistacza się w pewność, a ona żadnym sposobem nie potrafi jej zdusić w myślach. Gdyby nawet ta świadomość nie paraliżowała ruchów, i tak nie dałaby rady nic zrobić, bo czuje się śmiertelnie zmęczona.

Zatem to wszystko na nic? Przybyłaś tu, żeby go zabić, a teraz chcesz się w spokoju przyglądać, jak tonie?

Tak... Nie... Sama już nie wiem.

Nie rób tego, Grace, proszę. Nie zachowuj się jak ci, których ścigasz, nie upodabniaj się do Ridouta. Jego ludzie zostawili twojego ojca w psiej klatce na pewną śmierć. Nie zostawiaj teraz Mandragory w podobnej sytuacji.

Sprowadzisz go tu żywego - odzywają w jej pamięci słowa Cuttera.

Ręce i nogi ma jak z waty. Każda czynność - dźwignięcie się z ławki, dodanie gazu i pchnięcie sterownicy, żeby wykonać kolejny nawrót - zdaje się wysiłkiem ponad siły. W końcu jednak „Anna Magdalena” wchodzi na właściwy kurs, zbliża się do rozbitka, toteż Flint wyciąga ze skrzyni kamizelkę ratunkową i przywiązuje do niej koniec linki.

Mandragora jest piętnaście metrów od burty, potem dwanaście, dziesięć. Grace przestawia nieco ster, żeby nie wpłynąć prosto na niego, i próbuje oszacować moment, kiedy powinna przestawić dźwigniękę gazu w położenie neutralne. Wybiera go jednak źle, ponieważ jacht pchany siłą rozpędu mija punkt, w którym powinien się zatrzymać, i gdy Flint z rozmachem rzuca kamizelkę za burtę, ta spada o wiele za blisko, poza zasięgiem Mandragory.

Cholera!

Pospiesznie dodaje gazu i napiera na sterownicę. Silnik zaczyna wyć na pełnych obrotach. Dziób gwałtownie uderza w fale, aż rozpryski spadają na nią. Słona woda szczypie w oczy, przesłaniając widoczność. Ze złością przeciera twarz dłonią i wprowadza łódź w ciasny skręt, żeby wrócić w pobliże Mandragory. Kiedy jedna część jej świadomości pragnie już teraz zmniejszyć obroty, aby jacht samą siłą rozpędu dopłynął na miejsce, druga mówi ostrzegawczo:

Lepiej się pospiesz, dziewczyno, bo to, co unosi się na falach, coraz bardziej przypomina topielca.

Zdrowy rozsądek szybko bierze górę - przecież topielcy nie unoszą się na wodzie, najwyżej wypływają po dłuższym czasie. Przestawia silnik na wolne obroty i nie czekając, aż łódź się zatrzyma, wyciąga ze skrzyni następne kamizelki ratunkowe, układając je na ręku niczym wielki pęk żółtych chryzantem, które będzie mogła rzucać w morze po dotarciu do celu.

Tyle że nie ma już czego wypatrywać. Mandragory nigdzie nie ma na falach. Grace wdrapuje się na dach kajuty, potem przechodzi na pokład dziobowy, gorączkowo rozglądając się na boki.

Na próżno jednak wyteża wzrok.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SIÓDMY

Na ołowianoszarym niebie zwiastującym bliski sztorm rozbłyska jaskrawoczerwona gwiazda, płonie przez chwilę jasnym światłem i szerokim łukiem zaczyna spadać do morza, niczym kometa ciągnąc za sobą długi ogon.

Raca odpalona z raketnicy jest nie tylko wezwaniem o pomoc do Gilles'a, lecz również widomą oznaką jej porażki.

Inspektor czeka na pokładzie kutra patrolowego żandarmerii zachowującego ciszę radiową i pozostającego gdzieś za wschodnim horyzontem, w którego kierunku „Anna Magdalena” płynie, pchana połową mocy doczepnego silnika. Flint siedzi skulona przy sterownicy, ubrana w sztormiak, który znalazła w szafce w głównej kajucie. To sztormiak Mandragory, jej tragicznie zmarłego męża.

Gilles na pewno już wie o fiasku akcji, ponieważ dał jej raketnicę właśnie na wypadek, gdyby sprawy potoczyły się bardzo źle, gdyby Mandragora nie zgodził się poddać i wrócić do portu, zaatakował ją i zmusił do użycia broni, w którą przewidujący inspektor także ją zaopatrzył, choć z wyraźnym ociąganiem.

- Proszę, Grace, nie strzelaj do niego, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne - powiedział.

Cóż, nie było konieczne. Nie musiała strzelać do tonącego człowieka.

Sól, którą czuje na wargach, ma gorzki smak porażki.

Nie będzie miała żywej przynęty ani na Ridouta, ani na Grobera. Nie dojdzie do zeznań przed sądem i nie przedstawi żadnych dowodów na poparcie oskarżeń. Doskonale wie, że nic nie zrobi Ridoutowi, bo w tej sytuacji miałyby przeciwko niemu tylko niepotwierdzone i niezarejestrowane zeznania patologicznego kłamcy, teraz w dodatku martwego. Co się zaś tyczy Grobera, nawet uzasadnione podejrzenia Mandragory, że Karl nie zginął na Korculi, nadal żyje i gdzieś się ukrywa, są dla niej jedynie czymś w rodzaju pyrrusowego zwycięstwa.

I tak wcześniej czy później sama odkryłaby prawdę, bo przecież uparła się, żeby w waszyngtońskim laboratorium przeprowadzono analizę porównawczą DNA każdej z ofiar

eksplozji w Villa Dora z materiałem genetycznym matki Karla, dostarczonym przez nią w postaci kilku włosów zdjętych ze szczotki w urządzanej przez Ilse świątyni ku czci rodziców.

Tak więc nie zasłużyłaś na żadną nagrodę, Grace.

Och, daj spokój.

Nie będzie kwiatów ani owacji.

Przestań!

Podrywa się na nogi i zrzuca z siebie sztormiak, jakby w ten sposób chciała symbolicznie uwolnić się od apatii, w którą wpędza ją drugie ja.

- Odnajdę cię, Karl - mówi na głos.

- Tak, pewnie.

Znajduje w sobie dosyć siły, by złożyć uroczystą przysięgę i wykrzyknąć ją na wiatr - przysięgę, że niezależnie od tego, co się stanie i ile ją to będzie kosztowało, w ciągu najbliższych siedmiu miesięcy odnajdzie Karla Grobera i zmusi go, by zapłacił za wszystkie swoje grzechy.

W ten sposób, nadając dalszym poszukiwaniom charakter wyścigu z czasem, ostatecznie sama przed sobą przyznaje się do tego, o czym jej organizm sygnalizował już od paru tygodni i o czym za wszelką cenę starała się zapomnieć, chociaż każdego dnia otrzymywała niezaprzeczalne dowody; do czego nigdy, przenigdy nie przyznałaby się byłemu mężowi, zasłaniając się wymówkami o nawale pracy i konieczności siedzenia w biurze do późnych godzin nocnych - czyli do tego, że jest w ciąży, nosi w łonie dziecko Mandragory.

EPILOG

W rozrastającym się stale wielkim Sao Paulo mieszka więcej Włochów niż w Rzymie, dwa razy tyle Portugalczyków co w Lizbonie i ponad milion emigrantów z Europy Wschodniej. Istnieją liczące się skupiska Hiszpanów, Francuzów, Belgów, Niemców, Holendrów, Szwajcarów i Anglików, ale prawdą jest także, że mieszka tam około miliona Arabów, więcej Japończyków niż w jakimkolwiek innym mieście poza Japonią, a emigranci z Chin i Afryki tworzą mniejszości posługujące się ponad pięćdziesięcioma językami. Mimo obecności Amerykanów (czego dowodem jest istnienie w stanie Sao Paulo miasta o nazwie Americana) ta największa i najbardziej kosmopolityczna aglomeracja brazylijska nosi zdecydowanie europejski charakter, co bardzo odpowiada Karłowi Groberowi.

Dzięki kosztownej operacji plastycznej zmienił kształt nosa oraz ułożenie małżowin usznych i posługuje się teraz paszportem na nazwisko Petera Brauna, obywatela szwajcarskiego pochodzącego z Berna.

Czując się świetnie ustawionym i świetnie zamaskowanym, wręcz zagubionym wśród mieszkańców piętnastomilionowej metropolii, Grober w ogóle nie zareagował, gdy jego informator z *Agência Brasileira de Inteligência* doniósł o tym, że w Sao Paulo pojawiła się niejaka Flint, która, opierając się na danych odczytanych z twardego dysku laptopa, sugeruje, że

Grober ukrywa się w tym mieście. Tak samo zlekceważył jej drugą i trzecią wizytę w Brazylii.

Kiedy jednak dobrze opłacany informator zameldował o jej czwartej wizycie, dodał też, że z niezwykłą, wręcz niespotykaną stanowczością domagała się od brazylijskiej policji intensyfikacji dochodzenia, które utknęło w martwym punkcie, w dodatku namówiła amerykańskiego konsula, by wykorzystał swoje rozległe wpływy do poparcia jej starań, aż w kręgach politycznych pojawiły się plotki, że nie wyklucza się zaangażowania w śledztwo jego *Agencji*.

Siedząc razem z nim w samochodzie zaparkowanym w najwyższych rejonach miasta i podziwiając szczególnie piękny zachód słońca, Grober zaczął się na głos zastanawiać, czy nie wydać wyroku śmierci na Flint, bo przecież tutaj, w Sao Paulo, bardzo łatwo byłoby znaleźć chętnych do wykonania takiego zlecenia.

Lepiej nie, uznał informator. Nie dość, że byłoby to zabójstwo gliniarza, i do tego zagranicznego gliniarza, to jeszcze kobiety będącej w widocznej ciąży - przeciągnął przy tym rękoma szerokim łukiem wokół brzucha, chcąc pokazać dobitnie, jak bardzo zaawansowana jest to ciąża. Podpowiedział, że byłoby najlepiej, gdyby Grober wybrał się na wakacje, wyjechał gdzieś daleko, na drugi kontynent, dopóki szum nie przycichnie, a Flint będzie musiała zapomnieć o tym, co ją obsesyjnie trapi.

Po dłuższym milczeniu, kiedy słońce zanurzające się w falach oceanu zalało miasto ognistym blaskiem, Grober w końcu skinął głową, przyjmując tę propozycję.

- Dokąd pojedziesz?

- Do Europy. Flint przypomniała mi, że mam do załatwienia kilka spraw w Lipsku.

- Interesy?

- Owszem, rodzinne. Bardzo stare.

Tego wieczoru dom przy Karl-Heine-Strasse zdaje się tonąć w całkowitych ciemnościach. Tylko świece palą się w świątyni

Ilse, lecz ich roztańczony blask nie wydostaje się na zewnątrz przez okna zabite płytami sklejki. Na ścianach malują się upiorne cienie ogrodowych krasnali stojących niczym żałobny orszak u stóp łóżka, na którym Ilse leży przykryta białym całunem, z samotną krwistoczerwoną różą na piersi. Całun jest półprzezroczysty, podobny do tych, w jakich występowała kobieta w *Koszmarze* Fuseliego, lecz ani w wyglądzie Ilse, ani w ułożeniu jej ciała nie ma niczego o podtekście erotycznym. Przy tym oświetleniu niemalże przypomina dziecko, uroczą małą siostrzyczkę Karla, która na pewno nigdy nie wydałaby go policji.

Siedzi przy jej łóżku, wpatrując się w spadające monotennie krople morfiny wprowadzanej kroplówką do żyły na jej przedramieniu. Spogląda na nią z taką czułością, bo mimo domniemanej zdrady pod żadnym pozorem nie chce sprawić jej przykrości. Czeka, aż wyda ostatnie tchnienie, delikatnie głaszcze ją po głowie i powtarza szeptem to jedno słowo, które najlepiej oddaje, czym dla niego zawsze była i czym na zawsze pozostanie - jego ulubione słowo:

Liebling.